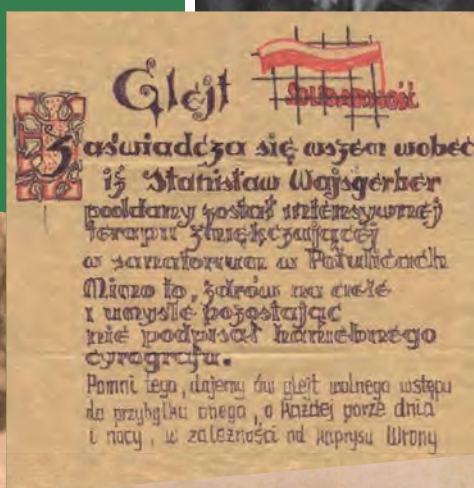


ONI TWORZYLI NASZĄ HISTORIĘ

Prace laureatów Wojewódzkiego Konkursu
im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej
2014–2018

pod redakcją Wojciecha Polaka



Urząd Marszałkowski
Województwa Kujawsko-Pomorskiego
w Toruniu



**ONI TWORZYLI
NASZĄ HISTORIĘ**

ONI TWORZYLI NASZĄ HISTORIĘ

**Prace laureatów Wojewódzkiego Konkursu
im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej
2014–2018**

pod redakcją Wojciecha Polaka

Toruń 2024

Redakcja naukowa:

Prof. dr hab. Wojciech Polak

Koncepcja i realizacja publikacji:

Kamila Łajczak, Mirosław Basiewicz

Departament Edukacji Urzędu Marszałkowskiego Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu

Realizacja poligraficzna:

Dom Wydawniczy Margrabsen

Korekta:

Hanna Borawska

Recenzenci:

Prof. dr hab. Mirosław Golon

Prof. UMK dr hab. Sylwia Galij-Skarbińska

Logotyp edukacji regionalnej zaprojektowała Magda Roszkowska z Zespołu Szkół Plastycznych

im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy

Wersję elektroniczną logotypu kohr wykonał Franciszek Otto

Reprodukowane w pracach fotografie zostały przekazane przez laureatów, którzy w przesłanych dokumentach oświadczyli, że mają do nich prawa autorskie. Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego nie ponosi odpowiedzialności za naruszenie praw osób trzecich.

Wydawca:

Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu

Plac Teatralny 2

87-100 Toruń

tel. (56) 62 18 600

www.kujawsko-pomorskie.pl

punkt.informacyjny@kujawsko-pomorskie.pl

Kontakt:

Departament Edukacji

Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu

e-mail: ek.sekretariat@kujawsko-pomorskie.pl

tel. (56) 62 18 779

© Copyright by Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego
Toruń 2024

© Copyright by Autorzy tekstów i Redaktor Naukowy

ISBN 978-83-66844-68-1

Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego serdecznie dziękuje Pani Dorocie Zawackiej-Wakarecy Prezes Fundacji Generał Elżbiety Zawackiej w Toruniu za bezpłatne przekazanie zdjęć zamieszczonych w niniejszej publikacji. Zdjęcia na okładce pochodzą z nagrodzonych prac oraz ze zbiorów Fundacji Generał Elżbiety Zawackiej w Toruniu (fotografia Elżbiety Zawackiej pochodzi z lat 80. XX w.)

Wersja elektroniczna publikacji znajduje się na stronach:

Klubu Odkrywców Historii Regionu kohr.kujawsko-pomorskie.pl

issu.com/kujawsko-pomorskie.pl

Organizatorzy Wojewódzkiego Konkursu im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej „Oni tworzyli naszą historię”

ORGANIZATOR



Urząd Marszałkowski
Województwa Kujawsko-Pomorskiego
w Toruniu

WSPÓŁORGANIZATORZY



Fundacja General Elżbiety Zawackiej.
Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej
oraz Wojskowej Służby Polek w Toruniu



Biblioteka Pedagogiczna
im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej
w Toruniu



Kuratorium Oświaty
w Bydgoszczy

Wojewódzki Konkurs im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej
„Oni tworzyli naszą historię” jest realizowany
przez Samorząd Województwa Kujawsko-Pomorskiego od 2009 roku.

Prace nagrodzone w Konkursie VI–X w latach 2014–2018 oraz dokumentacja fotograficzna
z wręczania nagród w edycjach Konkursu są dostępne na portalu Klubu Odkrywców
Historii Regionu kohr.kujawsko-pomorskie.pl



EDUKACJA
REGIONALNA
WOJEWÓDZTWA
KUJAWSKO-POMORSKIEGO



Klub Odkrywców Historii Regionu

kohr.kujawsko-pomorskie.pl
e-mail: kohr@kujawsko-pomorskie.pl

Spis treści

- 11 Piotr Całbecki
Przedmowa
- 13 Dorota Zawacka-Wakarecy
Przedmowa
- 15 Grażyna Dziedzic
Przedmowa
- 17 Katarzyna Minczykowska
Nota biograficzna Elżbiety Zawackiej
- 27 Wojciech Polak
Wprowadzenie
- 29 **Rozdział I 2014 – VI EDYCJA**
- 31 Julia Knak
Ślad afrykańskiej Sybiraczki
- 49 Natalia Tuńska
Jak bieda, to jeden drugiego ratuje...
- 59 Magdalena Mikołajewska
„Gdybym miał wybierać, wybrałbym Was – Polaków”
- 77 Marcjanna Tomczewska
„Na początku było słowo...” Historia Toruńskiej Społecznej Biblioteki
- 91 Karolina Monika Woźniak
Smutno więźniarką być...
- 105 Laura Wollert
„KOBIECY, ŻONY, MATKI, CÓRKI...” Historia pomordowanych Żydówek z Bocienia i Szerokopasu
- 121 **Rozdział II 2015 – VII EDYCJA**
- 123 Adrianna Michalak
Historia małego rycerza o walecznym sercu
- 143 Agata Gorczewska
„Jedni z drugimi, nigdy jedni przeciw drugim”
- 159 Katarzyna Sopolińska
...jesteśmy mimo wszystko stróżami naszych braci...
- 183 Marcjanna Tomczewska
„Poproszę kurs na wolność...” Historia działalności NSZZ „Solidarność” Toruńskich Taksówkarzy

- 197 Karol de Tillier
Historia rodziny de Tillier
- 217 Anna Tęcza
Ocalić od zapomnienia

231 Rozdział III 2016 – VIII EDYCJA

- 233 Matylda Rumińska
Rotmistrz Stanisław Marian Kowalewski – jeździec w mundurze
- 253 Dominika Wilmowicz
Dlatego wyruszyliśmy do lasu
- 271 Weronika Dyl
„Dziwny jest ten świat”
- 283 Jakub Skiba
Polka, która prawie stała się Niemką
- 295 Daniel Zero
„Narzucony los...”
- 307 Jakub Walter
Album rodzinny Walterów

317 Rozdział IV 2017 – IX EDYCJA

- 319 Ewa Śpiewakowska
Eugeniusz Piotrowski – z Wołynia do ziemi dobrzyńskiej
- 333 Dawid Wypyszewski
Wojenne losy Anny Mantyk
- 339 Hubert Kwiatkowski
Wyzwolenie sprawia radość, wyzwoliciele – smutek
- 359 Daniel Zero
Tajemnica leśnej osady, czyli odkrywanie tragedii mieszkańców Białego
- 371 Dominika Maciejewska
Historia mojego wujka
- 381 Anna Borowicz
Lokalne Milenium? Wizyta prymasa Stefana Wyszyńskiego w Chełmży oczami świadków

393 Rozdział V 2018 – X EDYCJA

- 395 Monika Lisiecka
„O wydarzeniach”, czyli wspomnienia mojej Babci Teresy z okresu wojny i okupacji (1939–1945)

- 403 Kaja Pantkowska
Zawsze w naszej pamięci – historia Franciszka Pantkowskiego
- 413 Julia Kruszką
On stworzył naszą historię – Paweł Cymś
- 423 Matylda Rumińska
Z Murmańska do Dywizjonu 300 – wojenna tułaczka sierżanta Jerzego Jaworskiego
- 445 Anna Wiśniewska
Gen patriotyczny i społeczny w mojej rodzinie
- 471 Anna Borowicz
„Antoś jest taki odważny, oni go przecież zabiją”. Antoni Łapczyński i „Solidarność” w Chełmży

487 **Rozdział VI SKŁADY KAPITUŁY I LISTA NAGRODZONYCH**

- 489 VI edycja – 2014 rok
- 497 VII edycja – 2015 rok
- 507 VIII edycja – 2016 rok
- 519 IX edycja – 2017 rok
- 527 X edycja – 2018 rok



Piotr Całbecki

Marszałek Województwa Kujawsko-Pomorskiego

Przedmowa

Konkurs historyczny im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej to hołd składany Pani General, Pani Profesor i jej służbie Ojczyźnie. Duże zainteresowanie nim młodych ludzi to najpiękniejszy pomnik wystawiany tej wspaniałej postaci, wielkiej patriotce. Taki, jakiego sama zapewne by sobie życzyła.

Przeszukując rodzinne archiwa, spisując relacje, uczestnicy konkursu wpisują się w dzieło dokumentowania polskiej historii najnowszej. W efekcie kolejnych edycji powstał jedyny w swoim rodzaju zbiór rodzinnych wspomnień, lokalnych dziejów, niepublikowanych nigdy wcześniej zdjęć – kopalnia wiedzy o czasach wcale nie tak odległych, ale już nieuchronnie zasnuwanych mgłą niepamięci, o bezimiennych bohaterach walki o Polskę, o polskość, o godność, o bohaterstwie codziennego trudu.

Dziękuję autorom prac, gratuluję laureatom i ich opiekunom naukowym. Do udziału w kolejnych edycjach konkursu zapraszam nowe roczniki.



Dorota Zawacka-Wakarecy

Prezes Zarządu Fundacji Generał Elżbiety Zawackiej

Przedmowa

Piętnaście lat temu odbyła się pierwsza edycja konkursu „Oni tworzyli naszą historię”. Inicjatorem był Samorząd Województwa Kujawsko-Pomorskiego przy współpracy z Biblioteką Pedagogiczną im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej i Fundacji Generał Elżbiety Zawackiej. Patronką konkursu jest Elżbieta Zawacka, andragog, społeczniczka, generał Wojska Polskiego, żołnierz Armii Krajowej, emisariuszka do Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie i jedyna kobieta wśród cichociemnych, więźniarka polityczna.

Przez 15 lat powstały setki prac napisanych przez młodych ludzi, uczniów szkół podstawowych i średnich, którzy w albumach rodzinnych, opowieściach, lokalnych archiwach szukali źródeł do poznawania historii. Prace były ciekawe, wzruszające, pokazujące ogromne zaangażowanie autorów i rozwijające wiedzę historyczną o naszym regionie.

Profesor Elżbieta Zawacka – „Kustosz Pamięci Narodowej” – na spotkaniach z młodymi ludźmi zachęcała zawsze, by poznawali historię swojej rodziny, przodków swojej „Małej Ojczyzny”. Byłaby dumna z autorów – uczestników konkursu. Ona całe swoje stuletnie życie poświęciła służbie Polsce, jako pedagog, żołnierz, historyk. To, co zrobiła dla naszej pamięci historycznej, jest nie do przecenienia.

Mamy nadzieję, że publikacja II tomu prac laureatów konkursu „Oni tworzyli naszą historię” z lat 2014–2018 pokaże, jak ważna i ciekawa jest historia naszego regionu i jacy niezwykli ludzie ją tworzyli.



Grażyna Dziedzic
Kujawsko-Pomorski Kurator Oświaty

*Aby mierzyć drogę przyszłą,
trzeba wiedzieć skąd się wyszło...*
C.K. Norwid

Wojewódzki Konkurs im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej „Oni tworzyli naszą historię” doczekał się wieloletniej, własnej już historii. Wizytatorzy Kuratorium Oświaty w Bydgoszczy od początku trwania konkursu biorą czynny udział w pracach Kapituły Konkursu.

Przed Czytelnikami drugi tom publikacji zawierającej nagrodzone i wyróżnione prace uczniów naszego województwa z lat 2014–2018. Pierwszy – obejmujący prace od I do V edycji konkursu – ukazał się pod redakcją prof. Wojciecha Polaka w 2013 r.

Zamieszczone prace są poświęcone jednemu z tematów, w których uczniowie przedstawiają sylwetki członków swoich rodzin, związanych z regionem bohaterów, relacje żyjących w naszym regionie uczestników i świadków historycznych wydarzeń. Prace zawierają fotografie rodziny uczestnika konkursu związane z wydarzeniami historycznymi o randze lokalnej lub ogólnopolskiej. Dotyczą także zdarzeń, które miały miejsce po 1945 r. z udziałem mieszkańców województwa kujawsko-pomorskiego lub osób spoza regionu – biorących udział, będących świadkami wydarzeń na terenie obecnego województwa kujawsko-pomorskiego. Istotą konkursu jest to, by pamięć o ludziach i ich dziełach stała się żywa.

Udział w konkursie przyczynia się do zgłębienia wiedzy na temat swoich przodków i wydarzeń, w których brali udział lub byli ich świadkami, do zainteresowania historią. Zbliża członków rodzin, gdyż często w poszukiwanie dokumentów, rodzinnych zdjęć czy pamiątek lub zbieranie przekazów ustnych angażują się całe rodziny.

Ocenianie prac przez członków Kapituły Konkursu jest trudne, gdyż opisane historie są różnorodne i często wywołują wzruszenie.

Pisanie wspomnień i ich publikacja to śmiałe przedsięwzięcie, zarówno dla samego autora, jak i osób, które są lub były mu bliskie.

Książka jest prezentacją relacji, które kształtowały postacie i wydarzenia w czasie i przestrzeni, które w znacznym stopniu zdecydowały o kształcie naszej Ojczyzny i najbliższego regionu.

Gratuluje nagrodzonym i wyróżnionym uczniom, ich rodzinom oraz zaangażowanym nauczycielom. Oczekuję na kolejny, III tom publikacji zawierającej prace z lat 2019–2023.

Katarzyna Minczykowska
Wiceprezes Fundacji Generał Elżbiety Zawackiej

Nota biograficzna Elżbiety Zawackiej

Innymi słowy o Elżbiecie Zawackiej¹

*Jeżeli mnie się zadaje pytanie: czy warto było?
Ale mało powiedzieć warto było! To wszystko dawało radość!*

Elżbieta Zawacka²

15 lat od śmierci gen. Elżbiety Zawackiej, z którą (i dla której) miałam zaszczyt pracować przez kilkanaście lat i na temat życia której miałam przyjemność prowadzić badania naukowe w latach 2008–2014, wydaje się, że już sporo o naszej bohaterce, kobiecie-odważnej, powiedziano i napisano.

Niemniej jednak Elżbieta Zawacka wciąż nie funkcjonuje zarówno w powszechnej polskiej, jak i światowej, świadomości, mimo że na naszych kochanych Pomorzu i Kujawach wiemy, kim była i jak wiele jej zawdzięczamy.

Tylko czy na pewno wiemy?

Torunianka z urodzenia (ur. 19.03.1909), która całe swoje niemalże stuletnie życie (zm. 10.01.2009) poświęciła Polsce: polskim organizacjom pozarządowym – działając społecznie m.in. w Organizacji Przysposobienia Wojskowego



Elżbieta Zawacka, lata 80. XX w. (zbiory FGEZ)

1 Więcej zob. K. Minczykowska, *Cichociemna. Generał Elżbieta Zawacka „Zo” (1909–2009)*, Toruń–Warszawa 2024, passim.

2 Elżbieta Zawacka, *„Miałam szczęśliwe życie”*, Fundacja Filmowa AK, reż. M. Widarski, 2005 (dalej: *„Miałam szczęśliwe życie”*).

Kobiet, w Komisji Historii Kobiet w Walce o Niepodległość w Warszawie, w NSZZ „Solidarność”, w Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskim czy w Światowym Związku Żołnierzy Armii Krajowej, którego była współzałożycielką, i w swojej kochanej Fundacji „Archiwum Pomorskie AK” (od roku 2009 Fundacji Generał Elżbiety Zawackiej). Poświęciła swe życie polskiej armii, służąc w Służbie Zwycięstwu Polski – Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej; oświacie, pracując i ucząc setki (jeśli nie tysiące) młodych ludzi; i nauce, pracując naukowo jako pedagog, specjalistka od nauczania dorosłych (andragogiki) i jako historyk, inicjując i prowadząc badania naukowe, których celem było upamiętnienie całego pokolenia Polaków, którzy walczyli o naszą niepodległość w latach 1939–1945 i którzy często zapłacili za tę walkę najwyższą cenę, cenę życia. Wielu bowiem zginęło w czasie II wojny światowej z rąk najeźdźców (faszystowskich Niemiec i Sowietów), wielu też zostało zamordowanych w komunistycznych więzieniach.

W swojej pracy Elżbieta Zawacka zawsze była konsekwentna i zdeterminowana i tego też mogli się nauczyć od niej jej współpracownicy, ale też tylko najsilniejsi. Była bowiem wymagająca wobec siebie i innych.

Dla dziesiątek ludzi, którzy utożsamiali się (i wciąż się utożsamiają) z ideami, które przyświecały działaniom Elżbiety Zawackiej, a które we współczesnym świecie często są zagłuszane przez konsumpcjonizm i wręcz szaleńczy pęd za pieniądzem, była ona niedoścignionym wzorem tytanicznej pracy i tego, że dla takich wartości jak „praworządność”, „uczciwość”, „lojalność”, „wolność” warto i należy pracować.

Elżbieta Zawacka dawała temu dowody wielokrotnie. Już jako nastolatka walczyła (i to dosłownie) o honor Pomorza, gdy jej przybyłe do Torunia z centralnej i wschodniej Polski rówieśnice z nowo powstałego, po latach zaborów, Gimnazjum Polskiego w Toruniu nazywały ją i jej toruńskie koleżanki „Niemkami”. Na studiach matematycznych na Uniwersytecie Poznańskim i jako młodzieńca nauczycielka przedwojennych szkół bez reszty angażowała się w edukowanie młodych dziewcząt i kobiet z terenów wiejskich. W czasie II wojny światowej, już jako dojrzała, ale wciąż bardzo młoda osoba (30–35 lat), angażowała się w działalność konspiracyjną i podejmowała się zadań dowódczych oraz specjalnych, narażając niejednokrotnie swoje życie dla odzyskania przez Polskę niepodległości. Organizowała struktury Służby Zwycięstwu Polski (SZP) na Śląsku, konstru-



Gen. bryg. prof. Elżbieta Zawacka (1909–2009) – sesja popularnonaukowa (2000 r.)

ując siatkę łączności i pozyskując informacje wywiadowcze dla współtworzonej przez nią Komendy Okręgu Śląsk oraz dla Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej (KG ZWZ). Włączyła do konspiracji kilkaset kobiet, swoich przedwojennych współpracownic i uczennic, tworzyła struktury Wojskowej Służby Kobiet oraz zorganizowała w Katowicach placówkę przerzutową kurierów Wydziału Łączności Zagranicznej KG ZWZ-AK. Zorganizowała też zachodnie trasy kurierów, którzy dostarczali pocztę do polskich baz łącznościowych rozmieszczonych na terenie całej Europy, odpowiedzialnych za łączność ze Sztabem Naczelnego Wodza w Londynie.

Jej determinacja, zaangażowanie i konsekwencja w działaniu, a co za tym idzie siła charakteru, zostały dostrzeżone przez Komendanta Głównego Armii Krajowej gen. Stefana Roweckiego, który wyznaczył ją w 1942 r. do wykonania misji specjalnej: przedostania się do Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie, dostarczenia poczty, a przede wszystkim przekonania polskich władz politycznych i wojskowych przebywających na uchodźstwie o konieczności uregulowania



Gen. bryg. prof. Elżbieta Zawacka (1909–2009) – 90. urodziny (1999 r.)

praw kobiet w polskiej armii oraz usprawnienia funkcjonowania łączności organizowanej przez Sztab Naczelnego Wodza.

Zadanie „wręcz i dosłownie karkołomne”, podczas którego Elżbieta Zawacka mogła stracić życie o każdej porze dnia i nocy. Miała się bowiem przedostać z Warszawy do Londynu, pokonując trasę pociągiem, na piechotę, przedzierając się zimą przez Pireneje, opływając Europę od strony zachodniej Oceanem Atlantyckim, by na koniec zostać zatrzymaną przez angielskie służby specjalne (Special Operations Executive/SOE) i po dwóch dniach przesłuchań, podczas których nawet sojusznikom Polski nie wyjawiała swoich prawdziwych danych osobowych, twierdząc, że podróżuje jako Elizabeth Watson, ale naprawdę nazywa się Zofia Zajkowska (*sic!*), dostarczoną do Hotelu Rubens, gdzie swoją siedzibę miał Sztab Naczelnego Wodza.

I tam znowu, dzięki sile swojego charakteru, determinacji i konsekwencji, podczas gdy „polski Londyn” się bawił, ona dokonywała niemożliwego. Za jej sprawą bowiem nie tylko zaczęto w końcu odczytywać nieodczytywane od miesięcy

depesze nadawane z Kraju do polskich baz w całej Europie, usprawniono łączność między Sztabem Naczelnego Wodza w Londynie a bazami (co było kluczowe dla Komendy Głównej AK w Warszawie), ale i zaczęto pracować nad uregulowaniem prawnym statusu kobiet w wojsku polskim. Do czasu misji „Zo” (to najdłużej przez nią używany pseudonim w konspiracji) Polki miały w armii obowiązki, ale nie miały żadnych praw, w tym prawa do awansów. „Zo” będąc w Anglii i Szkocji, szkoliła przyszłych „cichociemnych”, a do Polski wróciła nocnym skokiem spadochronowym, stając się tym samym jedną z „ptaszków”, jak tych dzielnych oficerów Armii Krajowej określano w tajnej korespondencji wojskowej, o których dzisiaj wielu słyszało, ale niewielu wie, że „cichociemny” to „ptaszek” właśnie³.

Determinacja, konsekwencja i siła psychiczna Elżbiety Zawackiej to cechy, którymi się wyróżniała podczas całego swojego życia – walcząc w Powstaniu Warszawskim i odbudowując zerwaną łączność po jego upadku. To dzięki „Zo” świat usłyszał o „Kurierze z Warszawy”. To ona bowiem przygotowywała, „trasując” (przecierając) szlak dla Jana Nowaka-Jeziorańskiego „Zycha” (wł. Zdzisław Jeziorański) i jego żony Jadwigi, ps. Greta, których wyprawiła z misją do Londynu, by ci opowiedzieli światu o powstaniu⁴.

„Zo” jeszcze po wojnie miała szansę zostać za granicą. Nie wyobrażała sobie jednak, że nie będzie odbudowywać kraju. Chciała wrócić do nauczania, które tak bardzo kochała. Mawiała: „miałam już dwie służby: nauczycielską i żołnierską”⁵.

Uczyła przed II wojną światową, w czasie jej trwania była nauczycielką na tajnych kompletach XV Gimnazjum im. Narczyży Żmichowskiej w Warszawie, po wojnie pracowała w liceach, a gdy komuniści skazali ją na 10 lat więzienia za „działania na szkodę Państwa Polskiego”⁶ i posiadanie 10-dolarowego banknotu⁷, uczyła młodociane więźniarki matematyki i przekonała naczelnika więzienia, by ten dla swoich „pensjonariuszek” otworzył przy więzieniu punkt konsultacyjny liceum korespondencyjnego.

3 Studium Polski Podziemnej w Londynie (dalej: SPP), Oddział VI Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie, Ruch kurierów, sygn. A 2.3.4.3.1.1– A 2.3.4.3.1.7.

4 Tamże, Sprawozdanie z podróży Zycha i Grety, 6 II 1945, sygn. 3.1.2.1.4, k. 72–73.

5 „Miałam szczęśliwe życie...”.

6 Dz.U. 1946, nr 30, poz. 192, Dekret z dnia 13 czerwca 1946 r. o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy Państwa, art. 5.

7 Instytut Pamięci Narodowej, Biuro Udostępniania Publicznego, Akta w spr.kar. Z.E., Wyrok z 28 listopada 1952 r., sygn. IPN BU 0259/604, s. 51.



Gen. bryg. prof. Elżbieta Zawacka (1909–2009) – obchody rocznicy Powstania Warszawskiego (2004 r.)

Była odważna, zdeterminowana i nawet w najtrudniejszych momentach swojego życia odnajdywała „światło w tunelu”, odnajdywała nadzieję, dzięki czemu przetrwała, by po latach powiedzieć: „Nawet to więzienie ubowskie... te ileś tam lat. Nie, to nie było ważne. Ważne było, żeby jeszcze zdążyć coś zrobić”⁸.

I zrobiła. Po ponad trzech latach spędzonych w więzieniu (5.09.1951–24.02.1954) i kilku miesiącach bezskutecznych poszukiwań pracy pożyczyła pieniądze i sukienkę od przyjaciółek i udała się do Departamentu Kadr Ministerstwa Oświaty w Warszawie i – jak zawsze pełna determinacji i konsekwencji – powiedziała w sekretariacie tegoż Departamentu, że nie wyjdzie, dopóki nie dadzą jej zaświadczenia, że osoby takie jak ona nie są potrzebne Polsce Ludowej. A trzeba pamiętać, że miała uprawnienia nauczycielskie do nauczania matematyki, fizyki i wychowania fizycznego, znała biegle niemiecki, komunikatywnie angielski i francuski oraz posiadała wieloletnie doświadczenie w pracy w oświacie. Podobno pod drzwiami departamentu przesiedziała cały Boży dzień, by w końcu

8 „Miałam szczęśliwe życie...”.

otrzymać od urzędników skierowanie do pracy w szkole w Sierpcu. Takie to bowiem były czasy: do pracy otrzymywało się skierowanie⁹.

Elżbieta Zawacka w oświacie pracowała do 1965 r., kiedy to obroniła pracę doktorską z andragogiki i podjęła pracę w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Gdańsku, gdzie przepracowała 10 lat (od 1970 r. Uniwersytet Gdański), prowadząc badania naukowe, kształcąc studentów i przygotowując rozprawę habilitacyjną, której kolokwium odbyło się w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie (od 2023 r. Uniwersytet Komisji Edukacji Narodowej). I żadna z tych rzeczy by się nie zadziała, gdyby nie determinacja i konsekwencja Elżbiety Zawackiej. Materiały badawcze zniszczył jej Urząd Bezpieczeństwa podczas aresztowania (5.09.1955, Olsztyn), odebrano jej prawo wykonywania zawodu, a temat badań musiała zmieniać kilkakrotnie, ponieważ każdy zaproponowany przez nią był zbyt „niebezpieczny” (chciała pisać o dawnych pewiaczkach – członkiniach przedwojennej Organizacji Przysposobienia Wojskowego Kobiet). Ale nie odpuściła. Osiągnęła swoje cele, zarówno te edukacyjne, jak i badawcze, o wojskowych nie wspominając.

W 1975 r. „przyszła” propozycja z jej ukochanego Torunia. Zaproponowano jej, by zorganizowała samodzielny zakład andragogiki na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika. Przyjęła ofertę UMK. Wróciła z Gdańska do Torunia. Jednak nie było jej dane cieszyć się długo samodzielnością badawczą. Służba Bezpieczeństwa wciąż bowiem inwigilowała Elżbietę Zawacką. SB pozyskiwała też tajnych współpracowników, by donosili na Zawacką. Zatrzymywana przez SB jesienią 1976 r., szykanowana i poddawana ostracyzmowi w miejscu pracy, została przymuszona do przejścia na emeryturę. I przeszła, ale zawał serca, długą rekonwalescencję i nigdy już nie wróciła do badań andragogicznych¹⁰.

I tak jak władze pruskie, w czasach gdy była małą dziewczynką, próbując ją zgermanizować (Toruń w latach dzieciństwa Elżbiety Zawackiej był pod zaborem pruskim), tak komuniści, próbując ją złamać, „wychodowali” sobie wroga doskonałego.

Dopiero po odejściu na emeryturę Elżbieta Zawacka zajęła się tym, czego mogli obawiać się ci, którzy próbowali ją zniszczyć.

9 „Miałam szczęśliwe życie...”; Archiwum Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, Doc. Elżbieta Zawacka, sygn. K-23/217, k. 90.

10 Tamże.



Gen. bryg. prof. Elżbieta Zawacka (1909–2009) – nadanie Orderu Orła Białego (grudzień 1995 r.)

Nawiązała kontakty z polską emigracją niepodległościową w Anglii. Systematycznie, wieloma drogami jednocześnie (jak za czasów II wojny światowej, także przy pomocy „kurierów”) wysyłała do Głównej Komisji Weryfikacyjnej AK listy z nazwiskami osób do odznaczeń i awansów wojskowych, zaangażowała się w działalność NSZZ „Solidarność”, walczyła o założenie Społecznego Stowarzyszenia Praw Człowieka, utworzyła Klub Historyczny im. Antoniego Antczaka w Toruniu, doprowadziła (współ m.in. z Janem Wyrowińskim i Dorotą Zawacką-Wakarecy) do powstania i odsłonięcia pierwszych na Pomorzu tablic upamiętniających żołnierzy Armii Krajowej (m.in. w krużganku kościoła NMP w Toruniu, 1986 r.) i z jej inicjatywy, już w wolnej Polsce, powstała wspomniana wyżej Fundacja „Archiwum Pomorskie AK”.

Marzyła, by takie Kluby, jakie stworzyła w Toruniu, powstały w całej Polsce i to się udało (jak by powiedziała). Dzięki wielogodzinnym rozmowom Elżbiety Zawackiej z Marią Dmochowską, pierwszą wiceprezes Instytutu Pamięi Narodowej, i zaangażowaniu tej drugiej przy każdym Oddziale IPN do dzisiaj funkcjo-

nuje Klub Historyczny im. gen. Stefana Roweckiego „Grota”. Marzenia się zatem spełniają. Wystarczy determinacja i konsekwencja.

Te cechy przejawiają także uczestnicy Konkursu im. gen. Elżbiety Zawackiej: „Oni tworzyli naszą historię”. Bez determinacji i konsekwencji uczniów, nauczycieli, rodzin oraz organizatorów nie wspominalibyśmy na kartach tego zbioru ani Elżbiety Zawackiej, ani wielu innych, jakże ważnych, dla naszej małej i dużej Ojczyzny, bohaterów.

Za swoją służbę i działalność niepodległościową Elżbieta Zawacka była wielokrotnie odznaczana (m.in. odznaczono ją Orderem Orła Białego, dwukrotnie Krzyżem Virtuti Militari, czterokrotnie Krzyżem Walecznych, Krzyżem Armii Krajowej; wyróżniono ją tytułem Kustosza Pamięci Narodowej, Honorowym Obywatelstwem Miasta Torunia i Miasta Piastowa oraz Honorową Odznaką za Zasługi dla Województwa Kujawsko-Pomorskiego).

Ale gdy pytano Elżbietę Zawacką: *Czy warto było?*, odpowiadała: *Mało powiedzieć warto było! To wszystko dawało radość!*¹¹.

I tego życzę czytelnikom niniejszego zbioru i uczestnikom kolejnych edycji konkursu. Myślę, że mogę śmiało stwierdzić, służąc pod dowództwem gen. Elżbiety Zawackiej przez 12 lat, a pracując dla jej Fundacji przez lat 20, że Elżbieta Zawacka, która odeszła na wieczną wartę 10 stycznia 2009 r. w Toruniu, byłaby dumna z każdego z autorów pracy konkursowej publikowanej w niniejszym tomie.

dr Katarzyna Minczykowska
historyk, archiwista, społecznik,
biografka i wieloletnia współpracowniczka
gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej

11 „Miałam szczęśliwe życie...”



Prof. dr hab. Wojciech Polak
Przewodniczący Kapituły

Wprowadzenie

Oddajemy w ręce Czytelników drugi tom zbioru prac nagrodzonych w Konkursie im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej „Oni tworzyli naszą historię”, organizowanym w województwie kujawsko-pomorskim. Tom pierwszy, wydany w 2013 r., zawiera trzydzieści prac nagrodzonych w pierwszych pięciu edycjach Konkursu, w latach 2009–2013. W tomie drugim opublikowano kolejnych trzydzieści prac z edycji Konkursu organizowanych w latach 2014–2018.

Pozwolę sobie przytoczyć fragment wstępu do pierwszego tomu, wydanego w 2013 r. Słowa te zachowały, jak sądzę, nadal aktualność:

Bez historii nie ma patriotyzmu. Umiłowanie Ojczyzny wymaga uświadomienia sobie, że stoją za nami pokolenia, które Polskę kochały, które o Polskę walczyły, a także podnosiły Ją z ruin. Mamy wobec nich zobowiązanie wdzięczności, a także przenoszenia polskości w następne pokolenia. Brzmi to romantycznie, ale taki właśnie jest polski patriotyzm.

Nie jest łatwo uczyć historii ludzi młodych. W dzisiejszych czasach wymaga to zastosowania nowoczesnych metod, wykorzystania filmów fabularnych i dokumentalnych, inscenizacji, programów i gier komputerowych, a także zorganizowania wycieczek oraz spotkań z bohaterami i świadkami historii najnowszej. Warto też namawiać młodzież do badania przeszłości własnej rodziny. Każdy z nas ma przodków, którzy walczyli, cierpieli i pracowali dla Polski. Opowieści o ich życiu mogą zachęcić młodych ludzi do zainteresowania się różnymi aspektami przeszłości naszego kraju.

Konkurs im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej „Oni tworzyli naszą historię”, organizowany w województwie kujawsko-pomorskim, ma na celu budzenie wśród młodzieży postaw patriotycznych poprzez opisywanie wspólnych wydarzeń z historii najnowszej regionu. Jego uczestnikami jest młodzież starszych klas szkół podstawowych i szkół średnich. Co roku przysyłanych jest kilkadziesiąt prac, najczęściej dotyczących dziejów rodzinnych, często także historii małych ojczyzn, zazwyczaj w okresie I i II wojny światowej, ale także w latach 1980–1989.

Poziom prac jest bardzo wysoki, pisane są często na podstawie pamiętników i dokumentów wydobytych z archiwów rodzinnych lub relacji ustnych krewnych i znajomych. Zawierają też niekiedy fotografie o dużej wartości historycznej. Młodzież opisując wspaniałe dzieje swoich bliskich, zaczyna lepiej rozumieć historię naszego kraju, a także poznaje wzorce patriotycznych postaw, z których może czerpać w przyszłości.

Niniejsza książka zawiera prace bardzo różnorodne w formie. Oprócz typowych opracowań historycznych, mamy też prace będące w istocie wydawnictwami źródłowymi. Są także wywiady i albumy rodzinne opatrzone starannym i rzetelnym komentarzem. Teksty nadesłane na Konkurs im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej „Oni tworzyli naszą historię” to cenne źródła historyczne, które ratują przed zapomnieniem wspaniałych ludzi i ciekawe wydarzenia. Uwaga ta dotyczy nie tylko prac nagrodzonych opublikowanych w tej książce, ale także wszystkich innych nadesłanych na konkurs. Są one starannie archiwizowane w Bibliotece Pedagogicznej w Toruniu i będą służyć przyszłym pokoleniom.

Na koniec pragnę wyrazić uznanie dla wszystkich uczniów, którzy brali udział w konkursach, a także ich nauczycieli i rodziców. Zapał i pracowitość młodzieży w połączeniu z wiedzą i zdolnościami dydaktycznymi nauczycieli, a także życzliwością rodziców, pomagających w zdobywaniu relacji i odszukiwaniu pamiątek rodzinnych – dały wspaniały efekt.

Zachęcam wszystkich do lektury opowieści o niezwykłych losach mieszkańców Kujaw i Pomorza, o ludziach twardych, niepokornych i kochających zarówno swoją małą Ojczyznę, jak i tę wielką – Polskę.

Rozdział I

Wojewódzki Konkurs im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej „Oni tworzyli naszą historię”

2014 – VI EDYCJA



I miejsce

kategoria: szkoły gimnazjalne

Julia Knak

opiekun: Dariusz Miller

Gimnazjum nr 7 im. Tadeusza „Bora” Komorowskiego w Grudziądzu

Ślad afrykańskiej Sybiraczki

Ciągle w podróży. Właśnie wróciła z ostatniego zjazdu Afrykańczyków. Spotkali się po raz czternasty. Zawsze we Wrocławiu. Ludzie niemal z całego świata. Tyle wspomnień, wciąż żywych. Łzy wzruszenia. To już 70 lat od tamtych wydarzeń. Kilku znajomych zabrakło na zawsze. A tyle jeszcze do powiedzenia, tyle pieśni do zaśpiewania, tyle chwil do uwiecznienia. I radość, że mogli się spotkać, że ktoś pielęgnuje pamięć, odwiedza „starą” Afrykę. Studenci – oni emeryci, a tyle ich łączy...

Jeszcze tylko „podrzuciła” samolotem linii Wrocław–Gdańsk swoją 86-letnią ciocię Agnieszkę i już znowu w domu. Na półkach książki, biuletyny „Klubu pod Baobabem”, zdjęcia... jakieś pożółkłe i te całkiem nowe, świeże, ale też naznaczone historią Jej życia, całej rodziny.

Nieustannie w biegu, ciekawa świata i ludzi... Kolejny raz próbuje „okiełznać” dopiero co obudzoną przeszłość i starannie połączyć ją z teraźniejszością, aby obowiązkowo wnieść coś do przyszłości... Do naszej przyszłości, pokolenia zbuntowanych, zde gustowanych nastolatków. Nie boi się, wierzy w młodych. Przecież kiedyś też miała te naście lat... Moja Babcia Danuta Janosz-Kołodziejska.

Za parę dni kolejna lekcja w gimnazjum. Będą słuchać, zawsze słuchają z wypiekami na twarzy. A Ona z pozoru nie uczyni niczego wielkiego. Zwyczajnie,



Rodzice Babci – Anna i Alojzy Janoszowie

nie kryjąc chwil wzruszenia, opowie o rzeczach niełatwych – o tęsknocie, rozłące, bólu, cierpieniu, nadziei, miłości i poświęceniu... O swoim wojennym dzieciństwie. Tamtego czasu nie zapomni nigdy. Był ważny, trudny, wymagający, inny.

Pierwsze dwa lata życia mojej Babci to czas niezmałowanej radości i poczucia bezpieczeństwa. Urodziła się w Sarnach (wtedy jeszcze Polska, obecnie Ukraina), w rodzinie oficera Wojska Polskiego – Alojzego Janosza. Na starych, ocalałych fotografiach z tamtego czasu widać szczęśliwą rodzinę: małą Danusię, Jej mamę Annę i tatę Alojzego oraz białego szpica – Dzidzię.

Na stałe mieszkali w Toruniu, jednak ze względu na służbę pradziadka często podróżowali. W 1939 r. powiększona o córkę Halinę rodzina wyjechała do Janowa, w okolice Kostopola, na pograniczu Polesia, gdzie pradziadek nadzorował budowę umocnień. Mimo poczucia zbliżającej się agresji niemieckiej ludzie starali się żyć normalnie. Toteż wkrótce na letni wypoczynek do rodziny Janoszków przyjechała z Grudziądza moja praprababcia Aniela ze swoimi nastoletnimi córkami – Agnieszka i Janina.

Wybuchła wojna i do domu nie było powrotu. Pradziadek otrzymał rozkaz mobilizacyjny do III PSP w Bielsku. 15 września został przeniesiony do Korpusu Ochrony Pogranicza w Bereźnie nad rzeką Słucz. Wraz z inwazją sowiecką na Polskę 17 września 1939 r. rozpoczęła się rodzinna tułaczka. Pradziadek, dzięki życzliwości sąsiada, Ukraińca, uniknął wywiezienia do Katynia i przez wiele miesięcy, do maja 1940 r., ukrywał się we Lwowie i Stanisławowie. Tymczasem wiosną 1940 r. na świat przyszedł brat babci Danki – Ryszard. Wkrótce rodzina, do której po długim czasie mógł wrócić pradziadek, została poddana kolejnym próbom. Najpierw było przymusowe wysiedlenie do Włodzimierza. To, co nastąpiło później, tak wspomina Babcia Danki (na podstawie relacji swojej mamy):

30 czerwca 1940 r., wyrwani ze swych domów, wywiezieni z Kresów na Syberię, straciliśmy materialnie wszystko. Nie straciliśmy jednak wiary, umiłowania Ojczyzny i nadziei na lepsze jutro. To wiara oraz miłość rodzinna pomogły w dużej

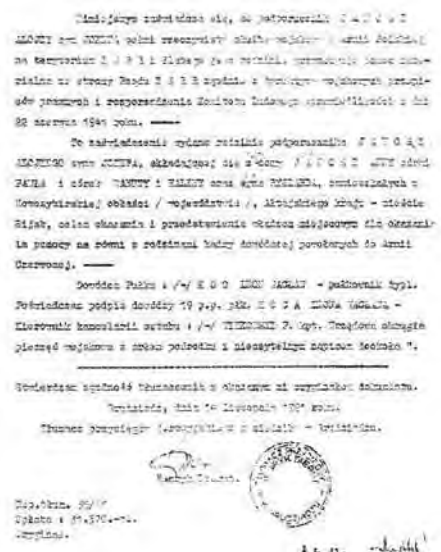
mierze przetrwać nam tułaczkę, rozłąkę, poniewierkę, głód, mróz, ciężką, niewolniczą pracę i choroby. Wspominając po latach pobyt w łagrze, trudno uwierzyć, że przeżyliśmy, że tyle człowiek może wytrzymać. Zawdzięczamy to przede wszystkim rodzinie: Mamie, Ojcu, Babci Anieli, która zajmowała się nami, gdy rodzice i 13-letnia ciocia Agnieszka pracowali.

Syberyjski koszmar trwał dwa lata. Dopiero 10 września 1941 r., po podpisaniu umowy między Stalinem a generałem Władysławem Sikorskim, mogli opuścić „niehumanitarną ziemię”. Byli wolni, ale tylko pozornie, bowiem *nikt nie zatroszczył się, jak mamy się wydostać z sowieckiego raju*. Musieli uciekać, wiedzieli, że mogą być wszędzie, tylko nie tam. Tęsknili za Polską, ale nie było powrotu. Schorowani i wycieńczeni, z narażeniem życia płynęli 135 kilometrów zbudowaną przez siebie tratwą przez rzekę Czuiłym, aby dostać się do najbliższej stacji kolejowej Zerianka. Po tygodniowej podróży pociągiem dotarli do miasta Bijsk. Zamieszkali w Kraju Ałtajskim. Było ciężko, ale byli razem. Wkrótce jednak nadeszła rozłąka. Czteroletnia Babcia Danuta kolejny raz przeżyła rozstanie z Ojcem, gdy 16 grudnia 1941 r. pradziadek Alojzy wyjechał do Buzułuku i wstąpił do oddziału tworzącego się II Korpusu Armii Polskiej przy Armii generała Władysława Andersa. Z tamtego czasu zachowało się tłumaczenie dokumentu o pomocy materialnej dla rodziny Babci:

19 Pułk Piechoty Tockoje 5.01.1942

Niniejszym zaświadcza się, że por. Janosz Alojzy (...) pełni rzeczywistą służbę wojskową w Armii Polskiej na terytorium ZSRR, dlatego jego rodzinie przysługuje pomoc materialna ze strony Rządu ZSRR, zgodnie z dyrektywą wojskowych przepisów prawnych i rozporządzenia Komitetu Ludowego Sprawiedliwości z dnia 22 czerwca 1941 roku.

To zaświadczenie wydano rodzinie (...) składającej się z żony Janosz Anny i córki Danuty i Haliny oraz syna Ryszarda,



zamieszkałych w nowosybirskiej obłości, Ałtajskiego Kraju – mieście Bijsk, celem okazania (...) władzom miejscowym dla okazania im pomocy na równi z rodzinami kadry dowódczej powołanych do Armii Czerwonej.

Dowódca Pułku – Koc Leon Wacław

Wraz z odradzającą się armią polską szło ocalenie. W końcu, 28 lutego 1942 r., dzięki przepustce, nieco „zmodyfikowanej” przez pradziadka Alojzego (z 7 zrobił 17 i wywiózł sąsiadów), rodzina Babci na zawsze pożegnała Rosję. Wraz z innymi polskimi uchodźcami, otoczeni opieką Anglików, znowu wyruszyli w nieznane. Nareszcie, po wielu latach syberyjskiej poniewierki, wszechobecnej śmierci i strachu, mieli poczucie bezpieczeństwa, ale tęsknota za Ojczyzną nie słabła. Tymczasem do Polski było coraz dalej – geograficznie i – jak się później okazało – politycznie. Dotarli do Guzar, gdzie zbierało się Wojsko Polskie, Armia Andersa. Stamtąd, z portu w Krasnowodzku, przepłynęli statkiem rosyjskim przez Morze Kaspijskie do Iranu. Tam w porcie Pahlevi oddzielono cywilów od wojskowych. Niespełna sześciolatnia Babcia Danką kolejny raz musiała przeżyć rozłąkę z ojcem. Wiedziała, że to konieczność i powinność żołnierska. Po latach tak relacjonuje tamte wydarzenia:

Ojciec z żołnierzami wyjechał na przeszkolenie do Syrii, Iraku i Palestyny. Następnie do Egiptu, skąd Wojsko Polskie wyjechało na front do Włoch. Płakałam, ale mama tłumaczyła, że Tatuś będzie bił Niemców.

Przez góry Elburs, 2 kwietnia 1942 r. polscy Sybiracy trafili do obozu przejściowego nr 3 pod Teheranem. Tam też wkrótce spotkał ich niezwykle zaszczyt – wizytacja generała Władysława Sikorskiego. To jemu zawdzięczali wydostanie się z sowieckich łagrów. Jakże wielki był smutek, kiedy po pewnym czasie dotarła do nich wiadomość o śmierci generała w katastrofie samolotu nad Gibraltarem:

Tragiczna śmierć generała okryła żałobą całą naszą sybiracką społeczność. Nasz smutek wyrażaliśmy noszeniem czarnych opasek na lewym rękawie, m.in. munduru harcerskiego.

Ucieczka z syberyjskiego piekła dobiegała końca. 30 października 1943 r. z portu nad Zatoką Perską wypłynęli polskim statkiem „Batory”, który będąc jednostką transatlantycką, oparł się zawierusze wojennej. Tam po wielu latach syberyjskich łagrów przeżyli swoje pierwsze polskie Boże Narodzenie. Byli wśród swoich

– uciekinierów i polskich marynarzy, na skrawku polskiej ziemi – na statku pod ojczystą banderą z orłem w koronie. Niewątpliwie był to czas radości. Jednak dla dorosłych pasażerów to wydarzenie niosło ze sobą łyzy wzruszenia i narastającą tęsknotę. Babcia wspomina tradycyjne jasełka i diabła z widłami wykrzykującego: *Niech Hitlera weźmie cholera!* Dla dzieci były nawet drobne upominki. Polskie maluchy po wielu latach mogły się najeść do syta, mogły się bez strachu bawić i zwyczajnie psocić. Babcia pamięta, że któregoś dnia, w tajemnicy przed mamą, wybrała się na zwiedzanie okrętu. Szukając drogi powrotnej, dotarła aż do maszynowni. Tam znalazł ją polski marynarz i wyprowadził na pokład.

Po kilku tygodniach niezwyklej podróży na ORP „Batory” dotarli do portu Karaczi w Pakistanie. Stamtąd, po kilkumiesięcznym pobycie w obozie, wyruszyli do Afryki, która *po syberyjskim koszmarze stała się dla nas prawdziwym ocale niem, jakby przejściem z dna piekieł do raj u*. Podróż była długa i męcząca, ale dla sześćioletniej Babci Danki i jej młodszego rodzeństwa – fascynująca. Korzystając z opowieści swojej mamy Anny, tak wspomina ten niezwyklej czas:

Do portu Mombasa w Afryce Wschodniej przybyliśmy z portu Karaczi w Pakistanie. Płynęliśmy przez Ocean Indyjski brytyjskim statkiem handlowym. Obok nas płynęły statki patrolowe, a nad nami leciały hydroplany. Wszyscy pasażerowie byli przydzieleni do szalup ratunkowych. Często odbywały się ćwiczenia, które dla nas, dzieci, były niezwyklej atrakcją. Tak zaczęła się dla Babci Danuty wyprawa do kraju, jak mówi, „szczęśliwego dzieciństwa”.

Afryka powitała ich wspnianiałymi obrazami dzikiej, kolorowej przyrody. Jakże odmienny był to widok! Z pewnością inny niż zimnej syberyjskiej tajgi.

Do dzisiaj Babcia wspomina swoje zdziwienie na widok ogromnych strusiów biegnących na równi z pociągiem: *Staliśmy w oknie wagonu i patrzyliśmy na nie jak zaczarowani. Dla nas dzieci to było jak bajka*.

Nie tylko widoki zaskakiwały polskich uchodźców. Życie też było inne, lepsze. Tutaj każda rodzina otoczona została opieką – Polacy mogli liczyć na pomoc medyczną, wyżywienie, odzież, godne warunki życia. Początkowo zamieszkali w osiedlu Makindu. Był to obóz przejściowy, w którym przebywali półtora miesiąca.

Po obowiązkowej kwarantannie siedmioosobową rodzinę Babci Danki przydzielono do osiedla Koja w Ugandzie, ok. 60 kilometrów od stolicy, Kampali,



U dołu Babcia Danka, po prawej harcerki z żałobnymi opaskami



W jednym z tych domków mieszkała Babcia Danka...

położonego na półwyspie Jeziora Wiktorii (na terenie Afryki Wschodniej i Południowej w dawnych brytyjskich koloniach istniały 22 polskie osiedla). Znajdowało się na wysokości 1134 m n.p.m. u podnóża góry Gillette i w sąsiedztwie dwóch innych wzgórz, nazwanych przez polskich uciekinierów „Wanda” i „Krakus”. Z jednej strony osiedla było jezioro, pozostałe otaczała dżungla.

Na polskich Sybiraków czekały prostokątne domki zbudowane z trzciny oblepionej gliną, pokryte dachami zrobionymi z trawy słoniowej. Otwory okienne i drzwi obite były workowatym materiałem – nie było szyb. Domek, w którym mieszkali Babcia Danka i Jej rodzina, składał się

z trzech pomieszczeń: *Dwa z nich zajmowała nasza rodzina, trzecią, boczną izbę pan Stażak z córkami Alicją i Ireną (Irena żyje i mieszka we Wrocławiu).* Podłoga była z gliny. Babcia pamięta, że na niedzielę smarowali ją świecącą żółtą gliną. Drewniane łóżka na noc zakrywane były moskitierą mocowaną do drewnianej ramy. Chroniła ona przed moskitami roznoszącymi zarazki malarii. Pomimo takiej ochrony każdy z rodziny Babci przechodził malarię, której nawroty leczone były jeszcze przez wiele lat (nawet po powrocie do Polski).

Przed domkiem znajdował się ganek, miejsce wielu rozmów i spotkań: *Często siadywaliśmy na ganku z sąsiadami. Snuliśmy opowieści i wspominaliśmy Polskę i bliskich, którzy w Ojczyźnie zostali. Mama i Babcia opowiadały nam o rodzinie i o Ojczyźnie, której zwyczajnie nie mogliśmy pamiętać. Wtedy, w Afryce, nasza*



Jezioro Wiktorii



Babcia z rodzeństwem



Upolowany lampart

Ojczyzna była dla nas, dzieci, krajem egzotycznym. Ale kochaliśmy Ją swoimi małymi, polskimi sercami i tęskniliśmy. Byliśmy dumni, że jesteśmy Polakami. Tego nauczyła nas Mama.

Umeblowanie domku było skromne – kilka szafek do przechowywania żywności ze ściankami z workowatego materiału. Nóżki tych niezwykłych mebli musiały stać w puszkach z naftą, która chroniła przed mrówkami. Afrykańska przyroda płała bowiem polskim uchodźcom rozmaite figle. Babcia wspomina całe szeregi mrówek bez skrępowania wędrujących przez środek ich domu oraz termyty, które w ciągu nocy potrafiły „przymurować” szafkę do ściany domku. Zdarzało się, że pijąc wodę (wyłącznie przegotowaną – ochrona przed pierwotniakami), natrafiało się na „kożuszek” mrówek, które potrafiły wejść przez najmniejszą szczelinę.



Babcia Danką z mamą
i rodzeństwem przed swoim
afrykańskim domkiem

Za domem Babci znajdowała się wolnostojąca kuchnia i toaleta. Często na dachu domku mama Babci kładła wiązki bananów, kupowane na bazarze w sąsiedniej wiosce murzyńskiej. Dzieci miały nie lada zabawę, kiedy trzeba było „bronić” dojrzewające banany przed stadem małp. Dzięki małpom zdobywały tzw. małpie śliwki, które rosły nad jeziorem na niezwykle wysokich drzewach: *Chcąc je zdobyć, drażniliśmy małpy, a te w odwecie rzucały w nas owocami.*

Z racji, że osiedle położone było w Afryce Równikowej, w ciągu dnia obowiązkowo trzeba



Osiedlowy szpital

Pracownicy biura osiedlowego – po prawej
mama Babci Danki

Polskie dzieci po jednym z przedstawień

było nosić korkowe hełmy, aby chronić głowę przed porażeniem słonecznym. Z kolei od godziny osiemnastej, kiedy zapadał zmrok, w obawie przed komarami roznoszącymi malarię, wszyscy szczerlnie skrywali ciało pod ubraniami. Wokół osiedla aż roiło się od niebezpieczeństw. Upał zachęcał do kąpieli w Jeziorze Wiktorii. Jednak było to niemożliwe ze względu na krokodyle, hipopotamy oraz przywry i pierwotniaki ameby. Mimo zakazów chłopcy nie raz wskakiwali do wody. Jednym z takich „śmiazków” był młodszy brat Babci – Ryszard. Z kolei w wysokiej trawie słoniowej, porastającej teren wokół osiedla, trzeba było uważać na węże, które często wylegiwały się na ścieżkach. Sensację w osiedlu wzbudził wąż boa, który zakradł się do obórki sąsiadów Babci i połknął okazałego cielaka (do tej pory nikt z mieszkańców nie widział tak potężnego gada). Babcia pamięta, że duże kłopoty sprawiały tzw. pchełki ziemne: *Wchodziły pod skórę przy paznokciach nóg i tam składały*

jajka, tworząc swędzące pęcherze. Trzeba było je przekłuwać, wyskrobywać jajeczka i dezynfekować.

Właśnie tam, w Afryce, Babcia Danuta przeżyła swoje jedyne trzęsienie ziemi: *Siedząc w domu, nagle zaczęliśmy podskakiwać. Mama kazała nam wszystkim wyjść na podwórko. Trzęsienie trwało ok. minuty, ale spowodowało utworzenie*

się dużej rozpadliny w pobliżu domu (osiedle znajdowało się w obszarze sejsmicznym, na obrzeżach wielkiego rowu tektonicznego).

W osiedlu mieszkało ok. 3 tys. Sybiraków (trzecie polskie osiedle pod względem liczby ludności). Układ domków był gwiazdasty, z licznymi uliczkami. Pośrodku osiedla stały budynki administracyjne: angielskiego komendanta osiedla i jego polskiego zastępcy. Przez pewien czas funkcję zastępcy pełnił pan Modzelewski – ojciec szkolnej koleżanki mojej Babci.

Osiedle było dobrze zorganizowane. Posiadało nawet własny szpital i kino. Ośrodkami kultury polskiej stały się biblioteka i teatr. Babcia wspomina, że w teatrze nad jeziorem wystawiano *Wesele Wyściańskiego*.

Działały też dwie świetlice, m.in. YMCA. Polacy pracowali w warsztatach rzemieślniczych, m.in. meblarskich, tkackich, krawieckich. Był nawet zakład lutniczy, w którym wyrabiano skrzypce. Działał również zakład fotograficzny „FOTO-AMATOR”, którego właściciel, pan Stelmach, uwiecznił na kliszy niejedno wydarzenie. Osiedle wyposażone było również w zbiornik filtrowanej wody pitnej. W jego pobliżu znajdowała się łaźnia publiczna – kabiny, bez dachu, zbudowano z mat palmowych. Betonowa podstawa zbiornika oparła się buldożerem likwidującym osiedle i zachowała się do dziś.

Wielu Sybiraków nie doczekało końca wojny i wyjazdu z Afryki. Zostali na zawsze na tym Czarnym, niezwykle gościnnym Łądzie, który stał się dla nich ocaleniem, domem i przystanią w drodze ku wolności. Pochowano ich na miejscowym cmentarzu, położonym na obrzeżach osiedla. Na okalającym go murze znajdował się betonowy krzyż, orzeł w koronie oraz tablica z nazwiskami zmarłych. Każdy grób posiadał imienną tabliczkę. Tam, gdzieś w tej ziemi, leży kolega Babci – Romek Śliwa, zabity przez krokodyla w czasie zabawy na trawie...



Babcia nad martwym postrachem amatorów kąpiei



Pogrzeb Romka Śliwy

znajduje się w kościele w Makindu). Babcia Danka dokładnie pamięta tamte chwile: *Każda msza święta kończyła się pieśnią „Boże coś Polskę”, a strofa „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie” wyrażała naszą tęsknotę i miłość do Ojczyzny. Proboszczem parafii był ks. Myszkowski. To tam 30 maja 1946 r. moja*



Polaków rozdzielonych przez wojnę z najbliższymi, z ojczystym krajem podtrzymywała na duchu wiara. To Kościół stał się ostoją polskości i nadziei na lepsze jutro. Wspólnymi siłami na wzniesieniu wybudowano mały, drewniany kościółek.

W ołtarzu widniał obraz Matki Bożej Ostrobramskiej (dzisiaj

ki Bożej Ostrobramskiej (dzisiaj znajduje się w kościele w Makindu). Babcia Danka dokładnie pamięta tamte chwile: *Każda msza święta kończyła się pieśnią „Boże coś Polskę”, a strofa „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie” wyrażała naszą tęsknotę i miłość do Ojczyzny. Proboszczem parafii był ks. Myszkowski. To tam 30 maja 1946 r. moja Babcia przystąpiła do pierwszej Komunii św. Tak po latach wspomina ten dzień: Sukienkę uszyła mi mama, wianek miałam z białych afrykańskich kwiatków. Książeczki do nabożeństwa, które dostaliśmy, wydrukowane były w Stanach Zjednoczonych.*

Polscy Sybiracy byli otoczeni szczególną troską Brytyjczyków i Rządu Polskiego na Uchodźstwie. Polskie dzieci mogły uczęszczać do przedszkola. Już od najmłodszych lat uczono je miłości do Ojczyzny. Babcia doskonale pamięta łzy wzruszenia, kiedy Jej młodszy braciszek, Rysiu, w wojskowej furażerce, na której lśnił orzeł w koronie, z powagą i przejęciem recytował „Kto ty jesteś? – Polak mały. Jaki znak twój? – Orzeł biały...”. Dla Sybiraków były to najpiękniejsze słowa, jakie mogli usłyszeć na obczyźnie, wręcz święte, a widok polskich dzieci ubranych w stroje narodowe dawał wszystkim nadzieję, że nie zginęła.

W osiedlu istniały też cztery sześcioklasowe szkoły powszechne, gimnazjum, a w latach późniejszych liceum. Babcia uczęszczała do szkoły podstawowej od pierwszej do początków czwartej klasy. Jej ukochaną wychowawczynią i nauczycielką była pani Stefania Fenc: *Z wielką wdzięcznością i sentymentem wspominam moją nauczycielkę, którą po 45 latach w 1992 r. spotkałam w Polsce na zjeździe Klubu pod Baobabem.*

Babcia Danka naukę rozpoczęła w 1944 r. Pamięta, że budynek szkolny, zbudowany podobnie jak domki mieszkalne, był nieco dłuższy, podzielony na sale lekcyjne. W klasach znajdowały się ławki z kałamarzami i czarne tablice. Pierwsze litery polskie dzieci stawiały rysikiem na grafitowych tabliczkach. Ze względu na klimat rok szkolny rozpoczynał się w styczniu i dzielił na trzy okresy: pierwszy 15 I–15 IV, drugi 15 V–15 VIII, trzeci 15 IX–15 XII. Szkoły były wyposażane dzięki darczyńcom. Z angielskich i polskich organizacji pomagających uchodźcom dzieci otrzymywały podręczniki, zeszyty i przybory do pisania: ołówki, obsadki ze stałówkami. Podręczniki i książki drukowane były w Jerozolimie i Nairobi, w Kenii. Z kolei pomoce naukowe wykonywali sami nauczyciele. Zaangażowanie swoich pedagogów tak po latach wspomina i docenia moja Babcia: *Nasi nauczyciele wkładali wiele wysiłku i trudu, by wyposażyć nas w wiedzę, szczególnie w latach, gdy brak było podręczników i zastępowała je polska gazeta „Polak w Afryce”. Przekonaliśmy się o tym, gdy po powrocie do kraju bez trudu kontynuowaliśmy naukę.*

Do dziś Babcia zachowała swoje afrykańskie świadectwa, m.in. to podpisane przez wychowawczynię Stefanię Fenc. Wśród nich jest niezwykle, jak na tamte warunki i sytuację, dokument – zaświadczenie udziału Babci w prywatnych lekcjach fortepianu udzielanych przez panią prof. Barbarę Dulębę – absolwentkę konserwatorium lwowskiego.

Pomimo tęsknoty za krajem i bliskimi wszyscy starali się żyć normalnie. Pożywienia dostarczała im afrykańska przyroda: *W pobliżu domu rosły krzewy manio-ku, z których bulw robiliśmy mączkę. Zajadaliśmy się też słodkimi batatami, które piekliśmy jak ziemniaki w ognisku.*





Polskie rodziny, w tym również Babci, hodowały kury na jajka i mięso.

W rodzinie Babci, „rządzanej” przez kobiety, dzień zaczynał się wcześnie rano. Po śniadaniu prababcia Ania, w drodze do pracy w biurze osiedlowym, odprowadzała najmłodszego syna, Rysia, do przedszkola. Później do szkoły szły Babcia Danka z siostrą Haliną oraz ich nastoletnie ciotki – Agnieszka i Janina. W tym czasie praprababcia Aniela zajmowała się domem i przygotowywała obiad. W porze lunchu do domu wracała prababcia Anna. Razem z bliskimi spożywała posiłek i po odpoczynku na godzinę siedemnastą wracała do biura. Natomiast dzieci korzystały z reszty dnia – chodziły na zbiórki harcerskie



Babcia z mamą, rodzeństwem i nastoletnimi ciotkami

i zwyczajnie się bawiły. Wieczorem wracała prababcia Ania i wtedy następowało podsumowanie dnia. Dzieci opowiadały o postępach w szkole, mama sprawdzała zeszyty, praprababcia Aniela relacjonowała wszystkie „przewinienia” rodzeństwa. Babcia Danka doskonale pamięta ostre reprimendy mamy,



Cała afrykańska rodzinka

która chciała wychować swoje dzieci na „**dobrych, mądrych i odpowiedzialnych ludzi**”: *Mama była konsekwentna, ale sprawiedliwa. Żadne przewinienie nie uszło Jej uwadze. Podziwiam Ją, gdyż musiała być dla nas matką i ojcem.* Wieczorami, po pacierzu, Babcia Danka i Jej rodzeństwo z zapartym tchem słuchali baśni braci Grimm, które specjalnie dla nich mama przetłumaczyła z niemieckiego i zapisała w zeszycie. Po niedzielnej mszy świętej rodzina miała czas dla siebie. Babcia Danka wspomina, że dużo rozmawiali, grali w gry planszowe i czytali listy od taty żołnierza, którego ostatni raz widzieli w Teheranie. Tęsknili, ale byli dumni z bohaterskiego ojca, który „bije Niemców”.

Osiedle, mimo wojny, tętniło życiem. Dla dzieci organizowano wycieczki, m.in. do dżungli, misji katolickiej w Makindu czy też do ciepłych źródeł i wodospadów w Górach Księżycowych. Działały również zespoły sportowe, chóralne, taneczne i teatralne, które swoimi występami uświetniały uroczystości kościelne i państwowe. Uczestniczyła w nich również moja Babcia, która w czasie procesji niosła lilie, a Jej siostra sypała kwiatki. W świetlicy, ozdobionej herbami większych miast polskich, wyświetlano filmy, przeważnie amerykańskie (Babci utkwił w pamięci *Tarzan*).

Dzieci korzystały ze swego dzieciństwa – bawiły się, psociły. Babcia wspomina, że kiedyś razem z bratem uwolnili małą małpkę uwiązaną na ganku sąsiedniego domu. W ten sposób zyskali „sympatię” rozpaczającej mamy uratowanego zwierzęcia, ale narazili się na gniew kolegi, który ganiał za nimi po całym osiedlu. Babcia nie miała zbyt wielu zabawek: *na spółkę z Haliną miałyśmy tylko jedną lalkę i misia.* Ich ulubioną zabawą było ubieranie tekturowych laleczek, które otrzymywały w specjalnym katalogu. Brak zabawek nie był jednak zmartwieniem,



Wycieczka do dżungli



W Górach Księżycowych

gdyż pokolenie Babci uwielbiało zabawy ruchowe, np. chodzenie na szczudłach, toczenie kółka, grę w klasy czy też skakankę.

Długo wieczory spędzali przy lampie naftowej (prąd miał tylko szpital dzięki agregatowi). Wówczas starsze pokolenie – praprababcia Aniela i prababcia Anna – snuło opowieści o dalekiej Ojczyźnie, której dzieci nie pamiętały, o krewnych, których nie zdążyły poznać, i o ojcu żołnierzu, który w dalekich Włoszech walczył o ich wolność: *Mama często na mapie pokazywała nam Polskę, naszą drogę i miejsce, gdzie jesteśmy.*

Byli daleko, ale tam, w Afryce, w polskim osiedlu, jak mówili, „czuliśmy Polskę”. Miłości do Ojczyzny uczyły rodzina i Kościół, a także organizacja Związku Harcerstwa Polskiego na Wschodzie, *która odegrała ważną rolę w kształtowaniu naszych postaw.* To właśnie drużyny harcerskie i zuchowe uczyły patriotyzmu, m.in. poprzez organizowanie defilad z okazji świąt narodowych: 3 Maja czy też 11 Listopada. Tamten czas doskonale pamięta Babcia Danką: *Od pierwszej klasy szkoły należałam z siostrą do drużyny zuchowej gromady Pszczółek. Prócz zabaw i wycieczek zdobywaliśmy liczne sprawności. W szkole i na zbiórkach uczyliśmy się polskich pieśni patriotycznych, które pamiętam do dziś, mimo przebytej rusyfikacji w moich latach szkolnych w Polsce. To właśnie oni – rodzice, nauczyciele, drużynowi i księża, nauczili nas przede wszystkim miłości do Ojczyzny, sumiennej pracy, uczciwości i poszanowania ludzi starszych.*

Rodzina Babci po trudach Syberii cieszyła się w miarę stabilnym i szczęśliwym życiem. Jednak na początku sierpnia 1944 r. wszystko się zmieniło. Ten dzień już na zawsze zapisał się w pamięci mojej Babci. To właśnie w czasie przerwy między-



Drużyna „Pszczółek”. Legitymacja zuchowa Babci Danki

lekcyjnej do kilkuletniej Danusi dotarła wiadomość, najstraszniejsza w dotychczasowym Jej życiu: *Podeszła do mnie koleżanka i powiedziała „Twojego Ojca zabili Niemcy”. Wtedy się rozpląkałam, wzięłam swoje rzeczy i pobiegłam do domu. Tam czekała na mnie Mama. W drżącej dłoni trzymała list od dowódcy Ojca – porucznika Dudy. Wzięła mnie w objęcia i razem płakałyśmy. A jeszcze parę dni temu czytaliśmy słowa Ojca zapisane 15 lipca 1944 r., dokładnie dwa dni przed śmiercią.*

Pradziadek – porucznik Alojzy Janosz – poległ we Włoszech 17 lipca 1944 r. w bitwie pod Ankoną. Od tego dnia nic już nie było takie, jak wcześniej. Świadomość braku Ojca boleśnie wdzieriała się w codzienne życie rodziny i pozostała w niej na zawsze.

Pomimo że dzisiaj moja Babcia z sentymentem wspomina Afrykę jako *moje szczęśliwe dzieciństwo spędzone w tym pięknym, gościnnym kraju*, to jednak nie potrafi zapomnieć rozdzierającej serce tęsknoty za Ojcem, za Ojczyzną. Mijały kolejne lata, a oni wciąż nie mogli wrócić do domu, do swoich najbliższych, do Polski. Szczególnie trudne były Święta Bożego Narodzenia: *Wtedy narastała nostalgia*. Pozornie wszystko wyglądało jak niegdyś, w Polsce: *My dzieci nie miałyśmy żadnych wspomnień. O wszystkim, o świętach w Polsce i tradycjach opowiadały*



Tata Babci – por. Alojzy Janosz

nam *Mama i Babcia*. Oczywiście było drzewko – tuja ozdobiona kolorowymi łańcuchami wykonanymi przez dzieci, skromne prezenty, potrawy – w miarę możliwości tradycyjne, kolędy i wspólna pasterka pod rozgwieżdżonym afrykańskim niebem. Brakowało tylko jednego, najważniejszego – ojczystej ziemi. Do dziś Babcia ze łzami w oczach mówi o tamtych chwilach: *Jedynym życzeniem, które składaliśmy sobie w czasie Świąt Bożego Narodzenia, były słowa „Oby te święta były ostatnie na obczyźnie”.*

Na spełnienie tych słów moja Babcia i Jej rodzina czekali cztery lata. Wojna skończyła się w 1945 r. Do dalekiej Afryki docierały niepokojące informacje o nowej sytuacji politycznej w Polsce: *Wtedy powstał dylemat – co dalej? Czy wracać do ponownie zniewolonej Polski, czy też wyjechać do innego kraju?*

Podjęli decyzję. Zbyt długo tęsknili. Zbyt wiele wycierpieli, aby teraz zwątpić, poddać się.

Kiedyś, na Syberii obiecali sobie, że wrócą. Byli to winni mojemu Pradziadkowi Alojzemu. Pożegnali gościnną afrykańską ziemię, która przez tyle lat ich chroniła, która ich, polskich Sybiraków przygarnęła. Babcia z sentymentem przywołuje wspomnienia z tego okresu: *W chwili wyjazdu do Polski każda rodzina otrzymała z likwidowanej biblioteki osiedlowej książki. Mama – **Trylogię** Sienkiewicza, „**Chłopów**” Reymonta, a dzieci „**Jak polska Pyza wędrowała**” czy „**Wiersze Białe-Czerwone**”. Te książki mam do dziś.*

W kwietniu 1947 r. wypłynęli z Mombasy przez Ocean Indyjski, Kanał Sueski, Morze Śródziemne do portu Genua we Włoszech, a stamtąd pociągiem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża do Czechowic-Dziedzic. Płakali, gdy na dworcu powitały ich dźwięki polskiego hymnu i okrągły bochen chleba: *Na naszą rodzinę czekał brat Ojca – Czesław Janosz z ogromnym bochnem polskiego chleba, którego zapach i smak czuję do dziś.*

Wrócili do swojej kochanej Ojczyzny. Był rok 1947. Wrócili do swoich najbliższych... Szkoda, że spotkania z ojczystą ziemią nie doczekał ojciec Babci Danuty – porucznik Alojzy Janosz.

Babcia i Jej bliscy nigdy nie żałowali swojej decyzji. Wiedzieli, że kolejny raz nie mogą uciekać. Czuli, że muszą zostać... mimo wszystko, mimo nieprzychylności nowej władzy, bo *Ojczyzna to najwyższe dobro*.

Długo czekali na wolną Polskę, aż w końcu marzenia się spełniły. Nie spełniło się tylko jedno pragnienie mojej Babci – chęć powrotu do Afryki: *Do raju po syberyjskim piekle, do słońca i beztroskiego dzieciństwa, które często wspominam z tęsknotą i chęcią odwiedzenia tych miejsc, ale to tylko marzenie, które już się nie spełni*.

Wiele lat minęło od tamtych wydarzeń, ale wojenne przeżycia mojej Babci Danuty są niezwykle, szczególnie dla nas, młodych. Historia, jak to zwykle bywa, zataczyła koło – teraz to Ona uczy nas *miłości do Ojczyzny, sumiennej pracy, uczciwości i poszanowania ludzi starszych*.

Jej dzieciństwo – to afrykańska ziemia. Tam odcisnęła swój ślad, ślad swojego życia, swojego pokolenia, swojej rodziny.

Ten ślad afrykańskiej Sybiraczki jest we mnie i pozostanie już na zawsze.

Praca powstała w oparciu o wspomnienia mojej Babci Danuty Kołodziejskiej z domu Janosz, relacje i notatki prababci Anny Janosz oraz zdjęcia i dokumenty z archiwum rodzinnego.

P.S. Losami Polaków wywiezionych na Sybir, a następnie przebywających w Afryce, zainteresowali się studenci Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Odbyli podróż do Afryki, do byłych osiedli Koja i Tangeru. Na zniszczonym polskim



Przepustka – Państwowy Urząd Repatriacyjny, 3 VII 1947 r.



cmentarzu postavili krzyż, odnowili główną tablicę z nazwiskami zmarłych i tabliczki nagrobne. W listopadzie 2012 r. cmentarz został poświęcony przez ugandyjskiego kardynała Emmanuela Wamudu w asyście polskiego misjonarza ks. R. i Konsula RP.

II miejsce

kategoria: szkoły gimnazjalne

Natalia Tuńska

opiekun: Aleksandra Jankowska
Zespół Szkół Publicznych
Gimnazjum nr 1 w Łasinie

Jak bieda, to jeden drugiego ratuje...

Moja babcia była zawsze i jest nadal dla mnie kochaną osobą. Serdeczna i bardzo opiekuńcza – to jej charakterystyczne cechy. Kochana babcia, która zawsze pocieszy. Ta, która zna mnóstwo historii na każdą okazję, zawsze uśmiechnięta służy dobrą radą. Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się nad tym, skąd u niej tyle takiego dobra. Nie patrzyłam na nią jak na bohaterkę, ale jak na kochaną moją babcię. Jednak babcia była też świadkiem smutnych i poważnych wydarzeń. Mając dziewięć lat, musiała opuścić swoje rodzinne strony, miejsce, które znała od dziecka i kochała, uważała za bezpieczne. Stało się ono miejscem wrogim i niebezpiecznym. Podczas rozmów w szkole z nauczycielem zaczęło do mnie docierać, że ta – wydawałoby się – zwykła, skromna osoba jest bohaterką. Zachęcona do udziału w konkursie, postanowiłam więc porozmawiać z babcią i spisać jej wspomnienia. Będzie to również przyczynek do ubogacenia historii oraz dokumentacji mojej rodziny. Przeżycia i wspomnienia, które spisałam podczas naszej rozmowy, ukazują uzasadnienie tej tezy. W niniejszej pracy zostały zachowane oryginalne wypowiedzi Bogusławy Tuńskiej. Fotografie zamieszczone w pracy pochodzą z rodzinnych zbiorów rodziny Tuńskich.



Józef Gruda,
ojciec Bogusławy Tuńskiej



Józefa Gruda,
matka Bogusławy Tuńskiej

Bogusława Tuńska urodziła się 24 maja 1934 r. Rodzicami jej byli Józefa i Józef Gruda. Była jedyną dziewczynką z siedmiorga rodzeństwa.

Miałam dziewięć lat czy osiem, kiedy rozpoczęły się te tragiczne wydarzenia. Myśmy mieszkali we wsi Halinówka, gmina Silno, powiat łucki, to było województwo wołyńskie przed wojną. Do czterdziestego trzeciego tam mieszkaliśmy... – zaczęła spokojnie, powoli wspominać swoje życie moja babcia, jakby chciała najdokładniej przypomnieć sobie ten trudny dla wszystkich czas. *Pamiętam, że mieszkaliśmy w wiosce, na gospodarstwie, mieliśmy ziemi trochę i tam rodzice gospodarzyli. Mieszkało się biednie, jak to na wsi, samochodów nie było, do kościoła pieszo, moi bracia, Janek i Zygmunt, chodzili do szkoły, ja jeszcze nie chodziłam. Jak przyszli Niemcy, jak ta wojna była, to Ukraińcy zaczęli Polaków bić. Zabijali po nocach, napadali na domy, na wioski. Trzeba było się ukrywać, nieraz szliśmy do wioski w nocy, każdy się bał, że przyjdą i zabiją. I tak było przez długi czas. Aż nadeszła pamiętna noc...* – tutaj zawiesiła głos, twarz posmutniała. Wydawało się, jakby przed jej oczami zaczęły pojawiać się na nowo tragiczne obrazy, które nadal po tylu latach wywołują wiele emocji. W wyniku agresji III Rzeszy i ZSRR na Polskę we wrześniu 1939 r. tereny województwa wołyńskiego znalazły się pod sowiecką okupacją. Od września 1941 r. (po ataku Niemiec hitlerowskich na



Bogusława, Janek, Zygmunt
oraz najmłodszy z rodzeństwa,
jedyne zdjęcie, które zachowało
się z Wołynia

Związek Sowiecki) należały do Komisariatu Rzeszy Ukraina. Powoli rodziła się tam partyzantka ukraińska. W 1943 r. zapadła decyzja o oczyszczeniu terenów Ukrainy (w tym Wołynia) z Polaków. Efektem tego wrogiego działania stały się dokonywane przez ukraińskich nacjonalistów masowe zbrodnie wobec mniejszości polskiej na terenie województwa wołyńskiego. Szacunki liczbowe mówią o ok. 60–80 tys. Polaków zamordowanych w okresie od lutego 1943 do stycznia 1944 r. w wyniku antypolskich akcji nacjonalistów ukraińskich. W centrum jednego z tych wydarzeń znalazła się mała dziewczynka Bogusia wraz ze swoją rodziną.

Tej nocy, co uciekać musieliśmy, tata poszedł na wartę. Po warcie wrócił do domu. A myśmy nocowali w wiosce. Ale nagle krzyk, wszystko zaczęło się palić, mama nas pobudziła i powiedziała, że do domu nie idziemy. Szukała taty, dowiedziała się, że on już poszedł. No to poszliśmy, a mieszkaliśmy niecały kilometr od wioski. Doszliśmy do domu, tata obudził się – opowiada bardzo dokładnie. No i co? Już wszystko się pali, no to trzeba uciekać. I wtedy: co wziąć? Nic. Tak jak

stali, wzięli tylko jeden chleb. No bo co więcej weźmiesz? Mój brat Kazik był mały, miał cztery latka, Mirek też mało więcej, a to noc, ja też nie byłam jeszcze taka duża. I wtedy wszyscy do lasu. Uszliśmy kawałek, a mama mówi: „Jeszcze bydlę trzeba wypuścić”. Tata na to: „Gdzie tam bydlę, ty myślisz, że oni bydlę będą palić”. Ale i tak się spaliło, jak potem mówili. I to wszystko Ukraińcy. Palili, strzelali, ale podobno dom nasz się nie spalił. A jak myśmy uciekali, to żeśmy szli i szli... aż już nie było nic słychać, bo to i psy, i wszystko jęczało, aż taki był trzask, jak to wszystko płonęło tam. Jak już słońce było wysoko na niebie, to doszliśmy do takiej Huty Stefańskiej, tam jakieś uzdrowisko było, ja tam tego aż tak dobrze nie pamiętam. I żeśmy tam wyszli na polanę, ale tam niedużo ludzi było z wioski. Pamiętam, jak jeszcze kobieta z dzieckiem na rękę wyszła i nie wiedziała, że dziecko nieżywe już niosła. Nikt nic nie wziął. Każdy jak wyskoczył z łóżka, tak uciekał. I wtedy ten chleb rozkroili jeden, co myśmy mieli, a potem dalej pieszo. To myśmy na wieczór zaszli do jednej wioski. I tam już pełno ludzi z różnych miejscowości było, co też pouciekali przed Ukraińcami.

A jaki to był miesiąc? To chyba na wiosnę było. Byłam jeszcze mała. Nie wszystko już pamiętam. Nie do końca wtedy zdawałam sobie z tego sprawę. Wiedziałam jednak, że to była wojna.

Co się dalej z wami działo? Ta wioska była już przepełniona, że w takiej szkole nas zakwaterowali. Nas było tak pełno, że jeden przy drugim spał na podłodze. Tam byliśmy chyba ze dwa tygodnie. A po tygodniu dopiero nam się Janek znalazł, bo wcześniej się nam zgubił. Jak był ten pożar, to go z nami wtedy nie było.

Co się z wujkiem działo przez ten czas? Bo on w tej wiosce był z dziadkiem na warcie, później zasnął. I tam spał u takiego gospodarza jednego, co Wacław na niego mówili. I jak żeśmy uciekali, to go nie było. No, a co później nie można było do wioski wracać. I co teraz? A ten gospodarz uciekał, jak naładował wszystkiego na wóz, coś go tknęło i wrócił się do domu, a tam patrzy, że jeszcze Janek śpi. Uciekli do lasu, udało się, choć strzelali Ukraińcy za nimi. Zatrzymali się w lesie i dopiero na drugi dzień, jak wszystko ucichło, wrócili się do wioski, żeby zobaczyć, co z gospodarstwem. Zajechali też tam i Janek mówił potem, że dom się nie zapalił, bo blacha była na dachu. No i on jeszcze z domu wziął pierzynę, poduszkę i książeczkę do nabożeństwa, mówił, że to jest ważne. No i po tygodniu dopiero do nas dojechali. A mama już go pochowała, była pewna, że on już nie żyje. A jednak on

przyjechał. A tę poduszkę, co zabrał, daliśmy kobiecie młodej, co uciekła, jak stała, i nie miała w co dziecko położyć. My jakoś sobie dawaliśmy wspólnie radę, a ona z dzieckiem sama i nie miała nic. Nawet jej nie znaliśmy. Ale ważne, że jak bieda – to jeden drugiego ratuje.

Spotkaliście na swojej drodze Niemców... i co się dalej z wami działo? Później Niemcy powiedzieli, że jeżeli nas nie wywiozq, to nie mamy liczyć na to, że ktoś tu przeżyje, bo jest wielka ofensywa, Ukraińcy się organizują, a jak napadną, to pozabijają nas. I wtedy nas zabrali. Był transport, na początku zwiad taki jechał, wojsko wokół, no i takie furmanki. No i potem nas ładowali na pociąg. Wieźli nas aż do Niemiec. A wtedy już była wiosna, ciepło było. Kwiaty kwitły – pamiętam. No, bo jak gdzieś raz staliśmy i Kazik płakał i mówił: „Mama, chleba”, to mama odpowiedziała: „Popatrz, Kaziu, jaki tam ładny kwiatuszek, powąchaj”, żeby nie płakał. Raz dziennie może dawali jakąś zupkę. Czasem to jeszcze tym małym dzieciom kaszkę dawali, może ona była na mleku, ale i choćby na wodzie, to i tak by zjadł każdy. To Kazik i Mirek dostawali tę kaszkę, ja to już byłam za duża, ale sobie znalazłam puszkę taką, umyłam ją i też poszłam po kaszkę. Nie wiedziałam, czy mi dadzą, ale co, może dadzą? No i nieraz dostawałam, a czasem to krzyknął Niemiec i wygonił, nie dał, no to ja popłakałam się i poszłam – mówiła babcia z uśmiechem, ale mi na myśl o tej sytuacji zrobiło się smutno i żal.

Zawieźli nas najpierw aż do Wiednia, potem dalej. No i jak już dojechaliśmy tam w ostatnie miejsce, to było nas jakoś pięć rodzin, to tam przyszedł taki gospodarz i wybierał do pracy. Woleli rodziny bez dzieci, ale mama umiała trochę po rusku, a ten mężczyzna, co tam zarządzał na tym majątku, też rozumiał. No i mama mówi mu, że będziemy pracować, że Janek, Zygmunt mogą pomagać. A on pyta: „No, ale kto wam będzie jeść gotował, jak pójdziecie do pracy?”, a mama, że ona na pewno już da radę. No i tam zostaliśmy, a tak może by nas do obozu wywieźli...

Miasto, w którym zamieszkiwała babcia w Austrii, nazywało się Pinkafeld. Chcąc dowiedzieć się czegoś więcej o tym miejscu, wpisałam nazwę w wyszukiwarkę. Jediną informacją, którą znalazłam na temat miasta, było to, że jest to miasto w Austrii, w kraju związkowym Burgenland, a w 2005 r. liczyło 5 285 mieszkańców.

A jak żyło wam się, babciu, w Austrii? Tam było dobrze. Mieliliśmy kartki na żywność. Choć mama miała tam ciężko, bo zatrudnili ją do dojenia krów, a musiała



Bogusława Tuńska – fot. z lat późniejszych

siedem krów rano i wieczorem wydoić – i to ręcznie. Nie było jeszcze wtedy dojarek. No, ale dzięki temu dostawaliśmy więcej mleka. I chleba przydział też mieliśmy dosyć duży i cukru było pod dostatkiem, i kakao dawali. A na zakupy to mama z taką Niemką chodziła, bo języka niemieckiego jeszcze wtedy nie rozumiała. Na polu też pracowała. Przed wyjściem zdążyła też zawsze obiad zrobić. A w maju 1944 r. urodził się Franek. No to po sześciu tygodniach mama już do pracy poszła. To ja musiałam go pilnować. No to nieraz brałam go w wózek i jechałam na pole, gdzie oni pracowali. Często też jeździłam nad rzekę czy do sadu z tym wózkiem.

Najgorzej bałam się, jak naloty były. Pamiętam raz, jak chciałam pójść do mamy na pole. Wybiegam na zakręt, to już po syrenie było. Żołnierz krzyczy na mnie, że mam uciekać do domu – babcia relacjonowała z przejęciem. Raus! – krzyczał. No to ja musiałam wrócić do domu. I dopiero jak alarm się skończył, można było wyjść. Pamiętam raz, jak wyszłam do mamy z Frankiem. I nagle syrena i nalot. Nie wiadomo, skąd samoloty się wyrwały. Mama chwyciła wózek. Były tam krzaki, więc krzyknęła: „Uciekamy w te krzaki!”. Samoloty ostrzelały łąkę i dworzec, który był niedaleko, i odleciały. A to były ruskie samoloty – dodała.

Czym zajmował się w tym czasie babci ojciec? Przy koniach pracował. Pole orali, jesienią zwozili kukurydzę. Rano wychodził z domu, karmił konie, to też było dużo roboty, każdy miał swoje zajęcie.

A jak wy się z Niemcami porozumiewaliście, babciu? Jakoś po roku żeśmy się dogadywali z nimi, a popatrz, teraz to ja nic już bym po niemiecku nie rozumiała.

Jak długo mieszkaliście w Austrii? Do czterdziestego piątego, aż Rosjanie przyszli. I jak tam był nalot, to Niemcy kazali nam iść do lasu, bo front będzie przechodził. A jak wróciliśmy do tego majątku, to już Ruskie byli. A tam winiarnia była, to Ruskie takie łakome na picie, to co noc tam urzędowali. Podobno po kolana w winie chodzili, beczki niszczyli. Często w nocy przychodzili pijani, wtedy wszystkich

z domu wyciągali i pod ścianę, wołając: „Po co przyjechałeś na Niemca robić?!”. Grozili, że nas rozstrzelają. I to tak ciągnęło się, aż przyjechał taki oficer ruski. No i mama mu mówi, że może u nas zostać, bo jest pokój wolny. Jak już był, to oni się wtedy bali. A po jakimś czasie mówią nam, że mamy wyjeżdżać. A Niemcy, co tam w majątku byli, prosili: „Nie jedźcie, zostańcie. Zobaczycie, front przejdzie i będzie spokój”. No ale Ruskie: „Uciekać, nie ma co dla Niemca pracować, do Polski wracać”. A czym tu wracać? Był tam wół, to dziadek go wziął i zaprzągnął do wozu. I żeśmy tak jechali. No i wlekliśmy się jak ten wół. A trzeba było uważać, bo to jeszcze Niemcy czasem w lasach strzelali. Parę dni tak jechaliśmy. Później wojsko ruskie chciało nam zabrać tego wołu, bo nie mieli co jeść. No ale mama mówi, że nie, bo czym my wtedy pojedziemy. No to konia nam dali. Ten koń był trochę kulawy, bo ochwat miał czy coś. Ale zawsze to koń. To pośpieszyliśmy tym koniem, dogoniliśmy transport, co jechał do Polski. Wiosną to było. Bo myśmy w maju już w Lublinie byli. A jakoś więcej niż miesiąc jechaliśmy tym transportem. I jak do Lublina dojechaliśmy, to ruskie wojsko stało i mówili, że już koniec wojny.

Jak wyglądała podróż pociągiem, babciu? W tych wagonach bydłowych podróżowaliśmy całą drogę i to po kilka rodzin. Było ciasno i duszno. Czasem wojsko jakiś przydział jedzenia dało. I żołnierze mówili nam, że jak czasem jakieś strzały będą, to na podłodze mamy leżeć.

A pamiętam jeszcze, jak chcieli tatę wziąć do wojska. A to było jeszcze wtedy, jak jechaliśmy tym koniem, to wtedy nas ruskie żołnierze zatrzymali. Chcieli jego tatę do wojska zabrać. A mama na to: „Nie! Jak jego zabieracie, to ja mam tu sześcioro dzieci, to jak chcecie, to nas wszystkich bierzcie”. Ruskie na to: „Nie, ty masz sobie jechać”. Ale mama uparcie, że nie i skrzyła tym wozem i stanęła przy tym wojskowym transporcie. Na to ten żołnierz: „A to uparta baba!”. I do taty: „A jedźcie już sobie, weź tę babę i jedźcie!”. Ale nas jeszcze uprzedził, że nie mamy nigdzie się przyznawać, że jesteśmy z Ukrainy, bo w wojsku było dużo Ukraińców i mogliby nas pozabijać.

Z Lublina jechaliśmy do Zduńskiej Woli, koło Częstochowy, stamtąd dziadek pochodził. I nas do takiego PUR-u [Państwowy Urząd Repatriacyjny] zawieźli i wydali nam tam papiery. I tam w jednej wiosce, Ruda się nazywała, stał dom, który kiedyś należał do rodziny mojego taty, to żeśmy tam zamieszkali w tej Rudzie. A to już koniec maja był. I w czerwcu zaczęłam na religię chodzić, bo jeszcze wtedy

przyjęta do I Komunii nie byłam, bo Janek i Zygmunt to już tam na Wschodzie byli przyjęci. Dzieciaki w różnym wieku na religię chodzą. I to chyba jakoś z miesiąć chodziłam. No i tam byłam przyjęta.

Później dziadek znalazł nam gospodarstwo koło Bydgoszczy, w Więcborku. No i w końcu tam zamieszkaliśmy. Bo w tej Rudzie ziemi nie mieliśmy, tylko samo mieszkanie. To tam poszłam do szkoły wreszcie. Do pierwszej klasy dopiero w czterdziestym piątym, ale w czterdziestym dziewiątym już ukończyłam siedem klas. Po pół roku chodziłam do każdej klasy, a potem się zdawało egzaminy i szło do następnej.

Chcąc zrozumieć choć w części przeżycia mojej babci, zaczęłam poszukiwać informacji dotyczących przedwojennego Wołynia oraz wydarzeń, które tak tragicznie wryły się w pamięć Polaków zmuszonych do ucieczki ze swoich domów przed śmiercią. Wymowny w swojej formie jest wiersz *Wołyń* Romualda Drohomireckiego¹:

Dziś czasem dumam nad moim Wołyniem
O sasankach zbieranych w lesie na wiosnę
Derażnem, Siepaniem, wierzbami nad Horyniem.
Tu wczesne dzieciństwo było radosne
Aż nagle wojna, jak grom z jasnego nieba
Wszystko się zawaliło i zabrakło chleba
W Równem, Kostopolu, Klewaniu, Ołyce
A niedawno na tych polach zbierano pszenicę.
Pieńkach, Mendykach, Jamińcu i Hradach.
Stydyniu, Butejkach. O bandyckich napadach.
O Hucie Stefańskiej, gdy Polaków mordowali.
I o Ukraińcach co życie Polaków ratowali.
O Sarnach, Antonówce, Janowej Dolinie,
Co z kopalni bazaltu od dawnych lat słynie.
O Dworcu, Borku, Rafałówce i Kazimierce,
To łzy z oczu mych płyną i ściska się serce.

1 Romuald Drohomirecki, *Wołyń*, [online], [dostępny: <https://www.program7.pl/2012/06/30/wiersz-romualda-drohomireckiego-wolyn-recytuje-alicja-kondraciuk>], [dostęp: 2.01.2014].

Wracają do mnie tamte, smutne wspomnienia.
Wołyń to mordy, krew i cierpienia.
Tragiczne losy, ucieczki w udręce.
Przeżyte o głodzie, w strachu i męce.
Dziś, gdy pielgrzymia drogą, w tę stronę,
Odwiedzam miejsca krzyżami znaczone.
Przenikam myślami niedolę i trwogi.
Pokornie przed krzyżami uginają kolana.
Bo czuję, że to moja ziemia ukochana.
Po deszczu w kałużach biegałem tu bosy.
Zboża ziarnem sypały, gdy dojrzały kłosa.
Tu proch pradziadów od wieków spoczywa,
Tu orali zagony, tu zbierali żniwa.
Chociaż ohydna zbrodnia Wołyń okryła,
Ta ziemia od zawsze – matką moją była!
Dziś chciałbym nad nią lotem sokoła
Wzbić się pod niebo rozewrzeć ramiona,
By mnie usłyszała jak głośno zawołam
Krwawa i umęczona bądź pozdrowiona!
Bądź pozdrowiona!
Mimo że serce goryczą przepełnione
Szuka sposobu do przebaczenia i zgody
I tęskni spoglądając na wołyńską stronę,
By od nowa pojednać nasze bratnie narody,
Lecz jedyna tylko droga jest – na wybaczenie
Od tych co zawinili, musi być przeproszenie.

Bogusława Tuńska nigdy nie powróciła do swojej rodzinnej wsi. Dlaczego?
*Bo to było straszne przeżycie, szczególnie dla dzieci, które nie do końca wiedziały,
co się dzieje. Ale jeszcze mam w pamięci płonące domy, uciekających ze wsi ludzi
i krzyki, płacz dzieci... Tego się nie zapomni. Tylko dzięki rodzicom, szczególnie
mamie mojej, mogłam ten smutny czas przeżyć. Ochroniła nas przez śmiercią,
ale również przed tym, że jako dzieci do końca nie rozumieliśmy istoty tragedii*



Bogusława Tuńska – obecnie

na Wołyniu. Potem, jak dowiedzieliśmy się, co działo się na Wołyniu, Bogu dziękuję, że przeżyliśmy – dodaje babcia i wydaje się, że już ze spokojem.

Po wojnie, w 1955 r. wyszła za mąż. W Więcborku mieszkali do 1971 r. Potem ze swoją rodziną przeprowadziła się do Łasina i do tej pory tu mieszka. Jedno zdanie szczególnie zapamiętam z tej rozmowy z babcią, jakby przestrożę, kiedy na koniec dodała: *Pamiętaj – wojna zmienia życie!* Tak, ma zapewne rację. Wojna nadaje przecież życiu inny sens. Sens przetrwania i wolę walki. Każdy z nas przeżywał w dzieciństwie cudowne chwile, w ciepłym domu, wśród rodziny. Dzieciństwo mojej babci było inne. Musiała uciec, by przeżyć, i walczyć, by przetrwać. Walczyć z samą sobą, aby się nie poddać i iść dalej. Nigdy nie narzekała, szła przed siebie i wierzyła, że będzie dobrze. Tak jest do dzisiaj. I dlatego jest właśnie moją BOHATERKĄ. Ilekroć pomyślę o tym, co musiała przeżyć, czuję się źle. Ilu z nas ma wszystkiego pod dostatkiem, a i tak narzeka, że to za mało? Ilu z nas zapomina, by podziękować Bogu za to, że żyje, ma własny dom, rodzinę, nie musi uciekać? Pomyślmy czasem, dzięki komu jesteśmy wolni. Dzięki nim! Tym, którzy tworzyli naszą historię. Bo tylko ten, kto cierpiał, docenia wartość szczęścia.

Źródła informacji:

1. Relacja ustna Bogusławy Tuńskiej – 2013–2014 r.
2. Literatura: Romuald Drohomirecki, *Wołyń*, <http://www.program7.pl/wiersz-romualdadrohomireckiego-wolyn-recytuje-alicja-kondraciuk/>
3. Fotografie ze zbiorów rodzinnych Bogusławy Tuńskiej

III miejsce

kategoria: szkoły gimnazjalne

Magdalena Mikołajewska

opiekun: Józef Nowakowski

Zespół Szkolno-Przedszkolny

Publiczne Gimnazjum im. Władysława Stanisława Reymonta w Bądkowie

„Gdybym miał wybierać, wybrałbym Was – Polaków”

Prolog

Była wiosna 1944 r. II wojna światowa trwała już czwarty rok, a jej końca nie było widać, choć klęski Niemców na wszystkich frontach jej koniec przybliżały. Nad ranem 18 maja 1944 r. nad ruinami klasztoru na szczycie Monte Cassino zauważono białą flagę. To symbol kapitulacji, poddania się. Na zwiad wysłano patrol 12. Pułku Ułanów Podolskich pod dowództwem ppor. Kazimierza Gurbie-la. Bez żadnych strat przeszli przez pole minowe i wkroczyli do ruin klasztoru, zajmując już opuszczony obiekt. Podporucznik nakazał wziąć do niewoli 16 rannych żołnierzy niemieckich i oddał ich pod opiekę trzech sanitariuszy. A potem przytwierdził do muru najpierw proporzec 12. Pułku Ułanów¹, a później flagę Polski. Dopiero po kilku godzinach na rozkaz generała Andersa została wywieszona flaga brytyjska. Plutonowy Wojska Polskiego – Emil Czech, odegrał na ruinach

1 Uszyty na poczekaniu przez plut. Jana Donocika, [online], [dostępny: http://pl.wikipedia.org/wiki/Bi-twa_o_Monte_Cassino].

klasztoru hejnał mariacki. Był to znak ogłaszający zwycięstwo polskich żołnierzy. Sukces II Korpusu umożliwił jednostkom brytyjskim wejście w dolinę rzeki Liri bez strachu, że północne skrzydło brytyjskie może zostać zaatakowane przez Niemców z rejonu masywu Monte Cassino. Droga na Rzym była otwarta.

Bitwa o Monte Cassino dla wielu pokoleń Polaków zostanie w pamięci po wieczne czasy. Batalia ta jest, obok Grunwaldu, Wiednia i Somosierry, jedną z tych nielicznych zwycięskich bitew, z których możemy być dumni. Jestem przekonana, że musimy uchronić od zapomnienia wiedzę o wydarzeniach, które się w tych miejscach rozegrały. Także, a może przede wszystkim, dla nas, młodych ludzi. Żebyśmy wiedzieli, że zadziwiły one świat. Musimy być z nich dumni, tym bardziej że w naszych dziejach znacznie więcej było klęsk i porażek i to pamięć o nich jest bardziej czczona niż o dniach chwały naszych przodków.

Bo wolność krzyżami się mierzy²

Musimy pamiętać, że walki na froncie włoskim należały do jednych z najtrudniejszych w czasie II wojny światowej. Zginęło w nich 54 tys. żołnierzy alianckich. A sama bitwa o Monte Cassino jest też nazywana „**Bitwą o Rzym**”, ponieważ zwycięstwo w niej otwierało drogę do stolicy Włoch. Trzeba też podkreślić i przypomnieć, że oprócz ZSRR, Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji, Kanady u boku aliantów stanęli polscy żołnierze, dumnie i z honorem reprezentujący naszą ojczyznę, której formalnie już nie mieliśmy, gdyż od 1939 r. ziemie II Rzeczypospolitej były pod okupacją. Tego, czego nie udało się osiągnąć żołnierzom wojsk sprzymierzonych, za cenę wielkiej ofiary krwi dokonali tylko Polacy.

Z wojskowego punktu widzenia był to ważny szlak – dlatego o klasztor i górę bezskutecznie od kilku miesięcy walczyli alianci. Różne ich oddziały próbowały uwolnić tę drogę, ale przypłaciły to jednak życiem swoich ludzi. Bez powodzenia o przełamanie niemieckiej linii obrony z umocnieniami na szczycie góry Cassino walczyło kilka alianckich dywizji³. Amerykanie już 12 stycznia 1944 r. podjęli

2 Cytat to fragment pieśni *Czerwone maki* [online], [dostępny: <http://teksty.org/patriotyczne,czerwone-maki,tekst-piosenki>].

3 Amerykańska 5. Armia pod dowództwem generała-porucznika Marka Clarka poruszała się po zachodniej stronie Apeninów, wzdłuż brzegów Morza Tyrreńskiego; natomiast brytyjska 8. Armia pod dowództwem generała Bernarda Montgomery'ego walczyła po wschodniej stronie, wzdłuż wybrzeża Adriatyku.

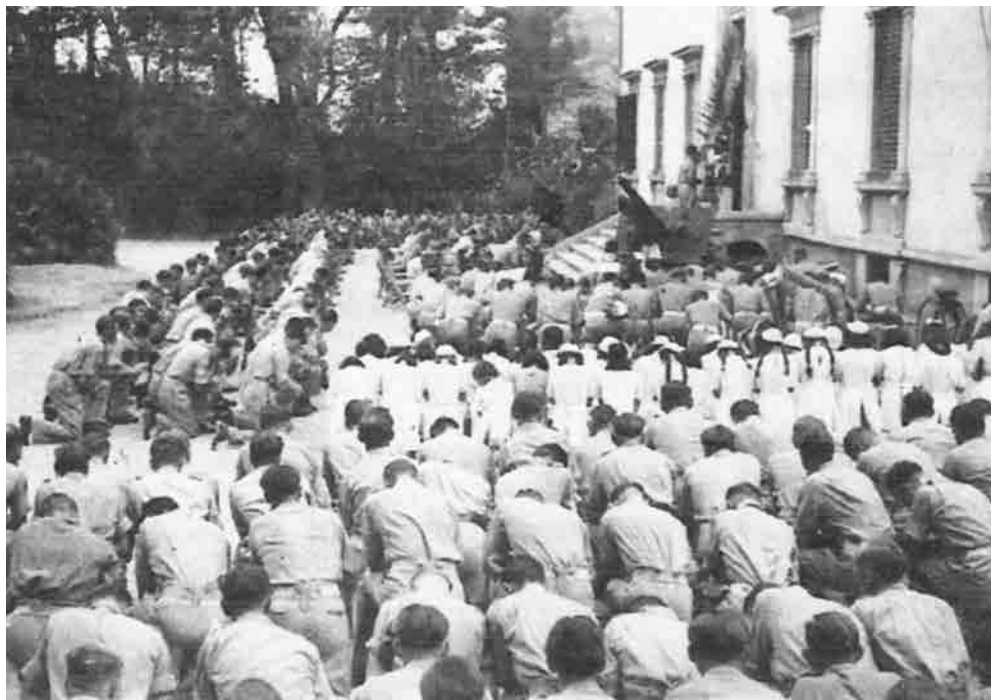
się przełamania niemieckiej linii obrony na Monte Cassino. Po nich przyszła kolej na Brytyjczyków i Francuzów. Trzecią próbę podjęli 15 marca Kanadyjczycy, Hindusi i Nowozelandczycy. Wszystkie ich wysiłki kończyły się fiaskiem. 1 maja do walki włączyli się polscy żołnierze II Korpusu pod dowództwem generała Władysława Andersa. W pierwszym podejściu się nie udało, ale już drugi atak przyniósł sukces, jeden z najbardziej znaczących w dziejach polskiego oręża, gdyż – co trzeba podkreślić – Polacy dokonali tego, czego nie dały rady uczynić wojska alianckie.

To nie przypadek, że w powstałej wówczas żołnierskiej pieśni *Czerwone maki na Monte Cassino* podkreślano nawiązanie do ich czerwieni, mówiącej, że kwiaty te wyrosły z polskiej krwi. I była to prawda, gdyż nasi żołnierze okupili zwycięstwo niewyobrażalnie wielką ofiarą. To była cena za uwolnienie przez nasze oddziały jedynej drogi do Rzymu, która prowadziła obok góry Monte Cassino. Była to jedyna trasa, żeby dostać się do stolicy Włoch. Ale najpierw trzeba było wypędzić Niemców, którzy w klasztorze znajdującym się na szczycie góry zrobili swoją twierdzę, miejsce ostrzału. Żaden pojazd nie mógł przemknąć się tą drogą, ponieważ trafiłyby go pociski z niemieckich dział.

I kiedy wydawało się, że próby zdobycia Monte Cassino zakończą się niepowodzeniem i przez to załamiały się plany dotarcia tędy do Rzymu, aby przyspieszyć koniec wojny na tym odcinku walk, wtedy o możliwość wykonania niewykonanego, jak zaczęto myśleć, zadania zapytano generała Władysława Andersa, dowódcę II Korpusu. Wyzwanie zostało podjęte przez Polaków⁴. *...decyzja była ciężka – wspomina generał Anders. – Zdawałem sobie sprawę, że w razie niepowodzenia cała odpowiedzialność spadnie wyłącznie na mnie. Gdy przegramy tę bitwę, myślałem, że to będzie moja osobista przegrana, a gdy zwyciężymy, to zwycięstwo odniesie cały naród. Po namyśle więc oświadczyłem, że podejmę się tego trudnego zadania*⁵. Nawet dziś, po latach, czytając jego słowa, wyraźnie widzimy dwie strony medalu i możemy poczuć ciężar odpowiedzialności, jaki na siebie wziął dowodzący polskimi żołnierzami. Jedna strona to odmówienie propozycji

4 Źródło: <http://www.polskieradio.pl/39/248/Artykul/846592>. Do zwycięstwa na Monte Cassino poprowadził Polaków gen. Władysław Anders

5 Generał Władysław Anders o bitwie pod Monte Casino, [online], [dostępny: https://www.youtube.com/watch?v=3YPpt_J5Wqw].



Nie mam pewności, czy to zdjęcie od pana Urbaniaka zostało zrobione przed bitwą pod Monte Cassino. Nie ma na nim ani daty, ani miejsca. Ale zawsze przed ważnymi bitwami było tak, że polscy żołnierze modlili się o to, by przeżyć i by zwyciężyć. Tradycja ta utrzymywała się od Grunwaldu, przez Wiedeń, po II wojnę światową, zgodnie z przesłaniem „Bóg, Honor, Ojczyzna”

i narażenie się na kpiny, szyderstwo, a druga – podjęcie się walki i narażenie na śmierć swoich żołnierzy.

Dowódca dał swym żołnierzom szansę przejść do historii i... dokonali tego.

Polskie walki o masyw Monte Cassino i Piedimonte trwały 13 dni i 20 godzin i były niezwykle krwawe⁶, w skrajnie trudnych warunkach, gdyż walczone dosłownie o każdy kawałek skały, o każde zagłębienie dające choćby częściowe schronienie przed niemieckimi kulami. Zginęło 923 żołnierzy, 2931 zostało rannych, a za zaginionych uznano 345, z których 251 powróciło do oddziałów po zakończeniu bitwy⁷. O tym, jak wielkiego, heroicznego wręcz czynu dokonali polscy żołnierze, płacąc za zwycięstwo wielką ofiarę krwi, świadczyła biał-

⁶ M. Wańkowicz, *Bitwa o Monte Cassino*, Warszawa 2009, s. 546.

⁷ Z. Wawer, *Monte Cassino*, Warszawa 2009, s. 281.

-czerwona flaga powiewająca nad ruinami twierdzy. Czym dla Polaków, ale i dla aliantów było to zwycięstwo, świadczą słowa generała Harolda Alexandra, wypowiedziane kilka godzin po tym, jak Polacy zameldowali wykonanie zadania: *Żołnierze II Polskiego Korpusu! Jeżeli by mi dano do wyboru między którymikolwiek żołnierzami, których bym chciał mieć pod swoim dowództwem, wybrałbym Was – Polaków*⁸.

Słowa, słowa, słowa...⁹

Po wielkim zwycięstwie nastąpiła defilada zwycięstwa na froncie włoskim. Miała ona miejsce 5 czerwca 1944 r. w Rzymie. Odbyła się wkrótce po uwolnieniu miasta spod niemieckiej okupacji. Ze smutkiem i zdziwieniem muszę podkreślić, że nie uczestniczyli w niej tylko Polacy. Tak, dokładnie. Nikt nie pomylił się, czytając powyższe zdanie, ani ja nie popełniłam błędu. Sama w to nie uwierzyłam po pierwszym zapoznaniu się z tą informacją. Dla pewności spytałam swojego nauczyciela historii, czy tak się naprawdę zdarzyło. Prawda była okrutna – Polaków nie zaproszono na defiladę zwycięzców. I zrobiono to z wyjątkowym okrucieństwem, perfidnie i świadomie. Dał temu wyraz generał Clark, który *nie życzył sobie oglądać w defiladzie żadnych Polaków ani straży pożarnych*¹⁰.

A jednak słowa Szekspira okazały się trafne i dlatego do głowy cisną się kolejne pytania: Czy rzeczywiście to, czego dokonali Polacy, było ważne dla przebiegu tego etapu wojny? Czy słowa Harolda Alexandra były coś warte? Czy były prawdziwe, a może bardziej szczere są słowa generała Clarka? Nie potrafię dać poprawnej odpowiedzi, chyba za mało jeszcze wiem i rozumiem. Dlatego chyba należy przyznać rację emigracyjnemu polskiemu historykowi Janowi Sidorowiczowi, który tak skomentował nasz żołnierski wysiłek: (...) *czytając obcojęzyczne opracowania historyczne na ten temat, człowiek najpierw przeciera oczy ze zdumienia, a potem wpada w oburzenie. Wynika z nich bowiem, że historycy anglo-*

8 *Polski czyn zbrojny w II wojnie światowej*, praca zb. pod red. W. Biegańskiego, t. II: *Walki formacji polskich na Zachodzie 1939–1945*, Warszawa 1981, s. 489.

9 Słynny cytat ze sztuki Williama Szekspira *Hamlet* (akt drugi), przywoływany w sytuacjach, gdy słowa są mało szczere lub gdy zamiast czynów są tylko słowa.

10 T. Zakrzewski, *Papież i generał*, [online], [dostępny: www.przegląd-tygodnik.pl/pl/artykuł/papież-general].

sascy zwycięstwo to przypisują wojskom angielskim i amerykańskim, a Francuzi wojskom francuskim, co budzi szczególne oburzenie. O roli Polaków wspomina się, jakby była ona marginesowa, a w źródłach niemieckich w ogóle nie ma wzmianki o Polakach¹¹.

Jakże takie słowa i oceny musiały boleć Jana Pawła II, który wiele razy odwiedzał to polskie na włoskiej ziemi miejsce. Papież ubolewał nad niehonorowym potraktowaniem polskiej armii walczącej u boku zachodnich aliantów. Papież podkreślał, że tylu ich zginęło w walkach o klasztor, tymczasem Polaków nie zaproszono do udziału w defiladzie zwycięstwa w Rzymie. A przecież to Polacy otworzyli Amerykanom drogę do Wiecznego Miasta – rozpamiętywał. Wspominał swój pobyt na cmentarzu pod Monte Cassino. Mocno w jego pamięci utkwiły słowa napisu wyrzeźbionego na cmentarnej płycie:

Za wolność naszą i waszą,
My żołnierze polscy
Oddaliśmy dusze – Bogu,
Ciało ziemi włoskiej,
A serca Polsce¹².

Dlatego ta ziemia do Polski należy...

Choć inni o nas i naszej ofierze krwi zapomnieli, wierni byli do końca żołnierze II Korpusu. To właśnie oni wyszli z inicjatywą budowy cmentarza dla poległych uczestników bitwy o klasztor. Powstał on na przełomie lat 1944–1945 pod kierownictwem inż. Tadeusza Muszyńskiego. Jest dziś jednym z najważniejszych miejsc naszej pamięci narodowej i celem podróży większości wycieczek Polaków do Włoch. Spoczywa na nim 1072 polskich żołnierzy. Został tam również pochowany Władysław Anders, który zmarł w Londynie w 1970 r.¹³

Pięknie opisał to miejsce Melchior Wańkowicz: *Schodami wchodzimy na wielkim łukiem zatoczone plateau, kryte trawertynem (co to z niego zbudowane*

11 J. Sidorowicz, *Cztery przegrane bitwy o Monte Cassino*, www.powstanie.pl/index.php?ktory-3&class

12 [online], [dostępny: <http://blogmedia24.pl/node/13576>].

13 Do zwycięstwa na Monte Cassino poprowadził Polaków gen. Władysław Anders, [online], [dostępny: www.polskieradio.pl/.../846592,Do-zwyciestwa-na-Monte-Cassino].

jest Koloseum). Wejścia pilnują w trawertynie rzeźbione przez profesora Cambe-lottiego dwa ogromne orły na trzymetrowych pilastrach, o potężnych szponach, o skrzydłach husarskich, przypominające Szukalskiego. Pośrodku liczącego tysiąc czterysta metrów kwadratowych plateau szesnastometrowy krzyż *Virtuti Militari* z wiecznie płonącym zniczem. Plateau otacza amfiteatr dziewięciu tarasów ułożonych z wapiennych głazów. Na każdym tarasie w dwuszeregu groby – na każdym krzyż z szarokremowego trawertynu i płyta z głęboko wkutym napisem... Idzie się ku nim z dołu, od tego wielkiego krzyża *Virtuti Militari* monumentalnymi białymi schodami czterdziestosiedmiometrowej szerokości. Na najwyższym tarasie bryła głazu – ołtarz – i po murze oporowym kute godła oddziałów. A wyżej, na zboczu wznoszącym się ku 593 – krzyż z żywopłotu; ramię jego pięćdziesiąt metrów; środek jego orzeł, płaskorzeźba w kamieniu montecassińskim o wymiarach sześć na siedem metrów...¹⁴.

Często niezwykle czyn żołnierzy II Korpusu i poniesioną przez nich ofiarę życia i krwi porównuje się do czynu 300 Spartan pod Termopilami. Czy słusznie? Na polu bitwy i bohaterskiej śmierci żołnierzy Leonidasa, na kurhanie, w którym pochowano Spartan, znajduje się obecnie kamienna tablica z napisem: *Przechodniu, powiedz Sparcie, tu leżym jej syny, prawom jej do ostatniej posłuszni godziny*. Podobny napis: *Przechodniu, powiedz Polsce, żeśmy polegli wierni w jej służbie*, znajduje się na polskim cmentarzu wojennym u stóp Monte Cassino. Upamiętnia on polskich żołnierzy poległych podczas jego zdobywania. I choć dzieli te wydarzenia ponad dwa tysiące lat (480 p.n.e. i 1944 r.), podobnie ocenili te fakty potomni. Warto odwołać się do słów prymasa Józefa Glempa, który podczas uroczystości rocznicowych w swej homilii wygłoszonej na tym kawałku Polski we Włoszech też przypomniał, że *ta ziemia do Polski należy*. Teraz lepiej rozumiem, co naprawdę wtedy, gdy powstała pieśń, znaczyły te słowa i jaką mają wymowę dziś, gdy wielu z nas ich słucha, ale nie słyszy: *Ta ziemia do Polski należy, Choć Polska daleko jest stąd, Bo wolność krzyżami się mierzy, Historia ten jeden ma błąd*¹⁵.

Zwycięstwo i zdobycie twierdzy było ogromnym sukcesem Polaków, którzy dowiedli, że w drodze do wolnej Polski niestraszny im żaden wróg, żadna prze-

14 M. Wańkowicz, dz. cyt., s. 556.

15 Fragment pieśni patriotycznej *Czerwone maki*, [online], [dostępny: <http://teksty.org/patriotyczne,czerwone-maki,tekstpiosenkihttp://teksty.org/patriotyczne,czerwone-maki,tekst-piosenki>].



Budowa cmentarza na Monte Cassino. Fot. udostępniona przez rodzinę S. Urbaniaka

szkoda. Wielkie wrażenie i podziw wywołuje wysiłek włożony w to, aby wykuć w skale miejsce spoczynku poległych. Jednak patrząc na fot ografię zachowaną w rodzinie Stanisława Urbaniaka, mój wzrok przykuły okaleczone pociskami drzewa, z których pozostały tylko połamane konary. Dopiero to pozwoliło mi poczuć, jakiego nieludzkiego wysiłku musieli dokonać polscy żołnierze, aby zdobyć szczyt, i zrozumieć, dlaczego maki na Monte Cassino musiały być czerwone.

I może trochę na przekór niechętnym słowom sojuszników, którzy nas w Rzymie widzieć nie chcieli, a może zgodnie z polskim przysłowiem, że „Być w Rzymie i papieża nie zobaczyć”, nasi żołnierze odbyli swój osobisty triumf – przeszli ulicami Wiecznego Miasta, przypomnieli wszystkim, że to dzięki ich ofiarności to miasto i dziesiątki innych włoskich miast i wsi oraz ich mieszkańcy mogli cieszyć się wolnością. Wielu z nich do wolnego kraju nigdy nie dotarło...

Defilada w Rzymie nie była jedyną i nie była ostatnią, w której Polacy nie wzięli udziału. Nie zaproszono ich również do stolicy Anglii na drugą paradę triumfu, która odbyła się 8 czerwca 1946 r. dla uczczenia zwycięstwa nad Niem-

cami i Japonią. Tego pięknego dnia odbył się przemarsz, jakiego Londyn jeszcze nie widział. Była wtedy kiepska pogoda, ale to nie przeszkodziło ponad milionowi mieszkańców, by obejrzeć przemarsz żołnierzy, lotników, marynarzy i służb



Bądkowianin Stanisław Urbaniak z towarzyszami broni w Rzymie – sierpień 1944 r.
Fot. ze zbiorów J. Nowakowskiego – udostępniona mu przez rodzinę S. Urbaniaka



1 maja 1945 r. bądkowianin Marcin Wienconek w Rzymie – w górnym rzędzie pierwszy od lewej.
Fot. udostępniona J. Nowakowskiemu przez córkę M. Wienconka – J. Kowalską

cywilnych. Kolumna marszowa miała ponad 15 kilometrów długości. Najliczniej stawili się Amerykanie, potem przeszli Francuzi, a za nimi Kanadyjczycy, Australijczycy i Nowozelandczycy. Na samym końcu maszerowali Czesi i Norwegowie.

A gdzie w tym pochodzie byli Polacy? Właśnie to jest najbardziej bolesne, ponieważ tych jakże ważnych dla Wielkiej Brytanii bohaterów w paradzie nie było¹⁶. Kilka dni temu z programu „Szkło kontaktowe” w TVN dowiedziałam się, że polscy piloci oglądali defiladę zza płotu¹⁷. Słyszając te słowa, naiwnie wierzyłam, że się chyba przesłyszałam. Niestety, była to prawda, choć muszę dodać (na co zwrócił mi uwagę mój nauczyciel), że początkowo do udziału w defiladzie nas zaproszono, ale tylko lotników. Gdy ci dowiedzieli się, że pominięto żołnierzy innych formacji, marynarzy, żołnierzy generała Maczka i kolejny raz generała Andersa, wtedy na znak solidarności odmówili. Pozostało im stanie za płotem, byli już nikomu niepotrzebni. Zabrakło przedstawicieli czwartej co do wielkości alianckiej siły zbrojnej. Zabrakło tych, dzięki którym ta parada w ogóle się odbyła. Gdyby nie polscy piloci, to po londyńskim Mallu najpewniej defilowałby Wehrmacht, a na trybunie zamiast rodziny królewskiej stałby Adolf Hitler. Laborzystowski rząd Clementa Attlee celowo nie zaprosił przedstawicieli Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, nie chcąc denerwować Stalina. Może też podzielał ocenę generała Clarka, że Polacy i straż pożarna psułyby atmosferę radości i sukcesu? Wysłał za to zaproszenie do Warszawy dla poczty sztandarowego Ludowego Wojska Polskiego. Polscy komuniści, pod naciskiem Moskwy, odrzucili zaproszenie¹⁸. Próbowалам sobie wyobrazić, co musieli wtedy czuć i myśleć polscy żołnierze. Czy spoglądając na siebie, widząc smutne, może nawet mokre od łez twarze kolegów, widząc na ich piersiach polskie i angielskie medale, albo stojąc obok tych o kulach – bez ręki czy nogi, nie pytali się po cichu: czy było warto?

Może niektórzy z nich jeszcze raz zastanawiali się nad prawdziwością i szczerością słów Harolda Alexandra, który tak pięknie powiedział publicznie o polskim żołnierzu. O tym żołnierzu, który w imię hasła „Za wolność waszą i naszą” dzielnie walczył i ginął, znacząc krzyżami drogę do Polski. Te krzyże na tym z fo-

16 [online], [dostępny: <http://www.wykop.pl/ramka/1086841/parada-zyyciestwa-wlondynie-8-czerwca-1946-roku-polakow-na-niej-zabraklo/>].

17 Audycję prowadził red. Grzegorz Miecugow.

18 [online], [dostępny: <http://www.wykop.pl/ramka/1086841/parada-zwyciestwa-w-londynie-8-czerwca-1946-roku-polakow-naniej-zabraklo/>].

tografii i wielu innych grobach żołnierzy Armii Andersa, zachowane na fotografii Stanisława Urbaniaka, wykonanej w 1942 r. w Iranie, zasługiwały na szacunek i pamięć.



To żadna pociecha, że do podobnych sytuacji, w których sponiewierano Polaków, dochodziło już w minionych wiekach. Wystarczy przypomnieć wyraźną niechęć cesarza Leopolda I do Jana III Sobieskiego, który triumfował w bitwie pod Wiedniem. Złość władcy wywołało to, że to na cześć naszego króla wiwatowały tłumy wiedeńczyków. Niecały wiek później ci sami Austriacy w geście wdzięczności przyłożyli rękę do I rozbioru. A przecież jeszcze nie tak dawno, gdy od 1940 r. trwały walki o Londyn, w których tak pięknie zapisali się polscy piloci, Winston Churchill powiedział: „Jeszcze nigdy tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym”. Ale ten sam Churchill, który nieraz komplementował żołnierzy Andersa, po burzliwej rozmowie z generałem Andersem powiedział również, że „kiedy Polacy odnoszą sukcesy, stają się hienami”¹⁹. Przypomnienie tych wypowiedzi pozwala zrozumieć, ile były warte słowa i zapewnienia, gdy je porównamy z tym, co zrobiono naszym żołnierzom, mówiąc o nich lekceważąco i nie zapraszając na defiladę tych, bez ofiarności których by się w ogóle nie odbyła.

Bardziej jednak musiała boleć niewdzięczność od swoich...

Zakończyła się II wojna światowa. Do Anglii wróciły tysiące żołnierzy, w tym kilkadziesiąt tysięcy Polaków walczących w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. W tym momencie dla Anglików polscy żołnierze przestali być już potrzebni. Wprawdzie pozwolili im przebywać w Wielkiej Brytanii oraz Szkocji, pozwalali pracować oraz oferowali żołd, ale robili to wszystko z przymusu, czyniąc wiele, aby opuścili Anglię. Byli naszymi sojusznikami, ale nie było tego widać. Jak to

¹⁹ T. Zakrzewski, dz. cyt.

musiało boleć żołnierzy. Narazali oni swoje życie, zdrowie, aby pomóc Anglikom w walce o ich sprawę, bo o naszą wolność to – prawdę mówiąc – walczyli „przy okazji”. Można rzec, że na nich, Anglikach, to nie robiło większego wrażenia.

Byłam przekonana, że może nasi żołnierze w polskich mundurach, choć z naszywką po angielsku „POLAND”, mogli przynajmniej liczyć na wsparcie wśród swoich w kraju. I tu znów spotkało mnie kolejne rozczarowanie, gdyż ani uznanie, ani szacunek po powrocie do kraju na nich nie czekały. Dopiero nieco później zrozumiałam, wczytując się w różne materiały, że wszystko to przez zmiany, jakie w państwie polskim zaszły na przełomie lat 1944/1945. W tym czasie dostaliśmy się w strefę wpływów ZSRR. Czczono żołnierzy radzieckich jako wyzwolicieli spod okupacji hitlerowskiej i żołnierzy LWP, którzy im w tej walce od Lenino do Berlina towarzyszyli. O walczących z tym samym wrogiem – Niemcami, ale na Zachodzie – nie wspomniano, robiono wszystko, aby ich samych, ich czyny i ofiary znaczone tysiącami grobów na wielu frontach zostały „zapomniane”.

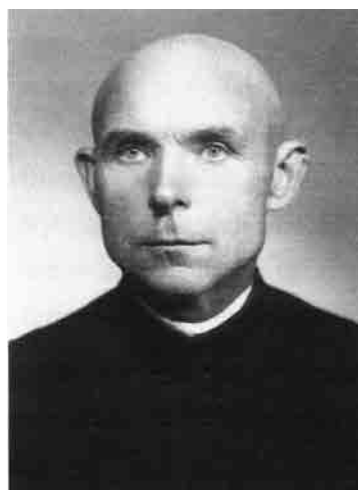
Jednym słowem skandaliczne i nie do pomyślenia jest, że władze komunistyczne, które rządziły w powojennej Polsce, szykanowały, zamykały w więzieniach, oskarżały o przestępstwa takie jak zdrada oraz udział w szkoleniach na szpiegów. Ofiarą takich sytuacji byli żołnierze, którzy nie od razu po zakończeniu wojny wrócili do kraju. Dotyczyło to wielu służących na froncie zachodnim. Jednym słowem, można to nazwać podwójną niewdzięcznością: ze strony obcych jak i swoich, a to drugie musiało najbardziej boleć. Z udziału w projekcie poświęconym wyjątkowym bądkowianom zapamiętałam, że taki właśnie los i kłopoty dotknęły także bądkowian, żołnierzy Armii Andersa, bohaterów spod Monte Cassino – Marcina Wienconka i Stanisława Urbaniaka (Urbańskiego). Dlatego zadałam sobie pytanie:

Czy o żołnierskim trudzie bądkowian pamiętają bądkowianie?

Maki na Monte Cassino są czerwone, ponieważ zraszane były również potem i krwią żołnierzy pochodzących z bądkowskiej gminy: Marcina Wienconka i Stanisława Urbaniaka. Czy o służbie w Armii Andersa i ich udziale w tej bitwie wiedzieli bądkowianie? Odpowiedź na to pytanie nie była łatwa. Powinno się

zapytać o to rówieśników naszych bohaterów, ale oni niestety już nie żyją. Moi rodzice też nie wiedzą nic na ten temat, podobnie jak moi dziadkowie. Jeszcze do niedawna nie tylko o uczestnikach walk pod Monte Cassino, ale i o innych bądkowianach walczących w II wojnie światowej, poza ich najbliższymi raczej się nie pamiętało i nie mówiło. I pewnie tak by było do dziś, gdyby nie pomysł naszego gimnazjalnego historyka, który z kilkoma rocznikami gimnazjalistów, w gronie których znalazłam się i ja, zajął się odszukiwaniem i opisywaniem ich żołnierskich czynów. W naszym uczniowskim słowniku biograficznym, którego jestem współautorką, bez trudu odnalazłam opisane przez moje koleżanki życie i wojenne zasługi obu bądkowian²⁰, a których życie i drogę do takiej pięknej żołnierskiej służby chciałabym teraz przypomnieć.

Marcin Wienconeck urodził się 9 listopada 1890 r. w Bądkowie. Był synem Jana Wienconka i Wiktorii. Przyszło mu żyć w okresie zaborów. W czasie I wojny światowej, będąc poddanym cara, jako kapral piechoty walczył na froncie rosyjskim. W wolnej Polsce w 1923 r. wstąpił do Policji Państwowej w Prozorokach na Kresach Wschodnich. Był sumiennym, oddanym słuźbie oraz Ojczyźnie funkcjonariuszem, dwukrotnie nagrodzonym za długoletnią słuźbę. Zaraz po ślubie z Eleonorą Proszkiewicz wyjechali do Prozorok, gdzie urodziło im się troje dzieci: Janina, Brunon i Leon. W Prozorokach zastała Wienconka i jego rodzinę wojna i napaść ZSRR. Aby nie dostać się w ręce Rosjan, zgodnie z rozkazami władz, przekroczył łotewską granicę i tam został internowany. Ale po zajęciu Łotwy przez Stalina dostał się do rosyjskiej niewoli i został wywieziony do obozu w Kozielsku. Wiemy, jaki los spotkał polskich żołnierzy, policjantów i urzędników pojmanych na Kresach i więzionych po przegranej wojnie obronnej w 1939 r. Zostali wywiezieni i zamknięci w obozach w Kozielsku, Miednoje i Charkowie. Od kwietnia 1940 r.



Marcin Wienconeck, Ryga, 1940 r.

20 Efektem naszej uczniowskiej pracy były dwie broszurki i prawdziwy słownik „Nie odejdą w niepamięć”. Rezultat widnieje na stronie naszego gimnazjum: okładka oraz słownik [online], [dostępny: <http://gim-badkowo.pl/images/stories/universytet/Słownik.pdf>].

mordowano ich w lesie katyńskim i w wielu często do dziś nieznanym miejscach, co mogliśmy obejrzeć w filmie Andrzeja Wajdy *Katyń*. Marcin Wienconecki trafił do Kozielska już po wymordowaniu polskich oficerów.

Po napadzie Niemiec na ZSRR w czerwcu 1941 r. Rosjanie stali się też ofiarą wojny. Świat zrozumiał, co mogłoby się stać, gdyby Hitler wygrał. Dlatego powstała antyhitlerowska koalicja. W lipcu 1941 r. Władysław Sikorski, premier rządu emigracyjnego, pod naciskiem Wielkiej Brytanii, zawarł pakt Majski-Sikorski. W jego wyniku przestaliśmy być wrogami dla ZSRR, a staliśmy się sojusznikami w walce ze wspólnym już wrogiem – Niemcami hitlerowskimi. Po jego zawarciu zaprzestano prześladowań Polaków zamieszkujących tereny ZSRR, a nawet zaczęto tworzyć w Kazachstanie polskie wojsko. Jego organizatorem i dowódcą został generał Władysław Anders. Marcin Wienconecki zgłosił się w Tatiszczewie na ochotnika do polskiego wojska. Został wcielony do 5. Dywizji Piechoty – wchodzącej w skład Armii Andersa. Z nią wyruszył na Bliski Wschód. Pełnił służbę w Iranie, Iraku, Palestynie, Egipcie i we Włoszech. Na włoskim froncie walczył od 23 marca 1944 do 2 maja 1945 r.²¹ Za bohaterskie czyny otrzymał Krzyż Pamiątkowy Monte Cassino (nr 47279) oraz Medal Armii, a z odznaczeń brytyjskich: Gwiazdę za Wojnę 1939–1945 r. i Gwiazdę Italii, Medal Wojska po raz pierwszy, Brytyjski Medal Wojny 1939–1945²². Po zwolnieniu z wojska zaciągnął się do służby w armii brytyjskiej. Ze Szkocji udał się do Anglii, gdzie przebywał tylko trzy lata, ponieważ Polacy nie byli tam mile widziani. Do Ojczyzny nie powrócił, gdyż jako były policjant bał się o wolność i o życie. Dlatego przeniósł się do brata mieszkającego w Englewood w Stanach Zjednoczonych. Wienconecki długi czas próbował poznać losy rodziny, której nie widział od 1939 r. Wreszcie za pośrednictwem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża dowiedział się, że

21 Karta ewidencyjna Marcina Wienconki nr 30043779 i zeszyt ewidencyjny nr 30043779 z Ministry of Defence APC Disclosures 5 (Polish) (ze zbiorów J. Nowakowskiego). Z akt osobowych otrzymanych z Archiwum Armii Andersa mogłam prześledzić jego włoski szlak bojowy. 23.03.1944–23.04.1944 – walki nad rzekami Sangro i Rapido (w Apeninach), 24.04.1944–31.05.1944 – bitwa pod Monte Cassino (przełamanie linii obronnej Gustawa), 01.06.1944–04.09.1944 – bitwa o Anconę (przełamanie linii Gotów), 05.09.1944–05.10.1944 – osłona 8. Armii Brytyjskiej, 10.10.1944–01.01.1945 – działania w północnych Apeninach, 02.01.1945–08.04.1945 – działania nad rzeką Senio, 09.04.1945–02.05.1945 – bitwa o Bolonię.

22 Wszystkie informacje pochodzą z dokumentów i pisma otrzymanych przez pana Nowakowskiego z Ministry of Defence APC Disclosures 5 (Polish) z Wielkiej Brytanii w marcu 2008 r. (ze zbiorów J. Nowakowskiego).

dwoje dzieci, Janina i Brunon, żyje. Wśród pamiątek po ojcu przechowywanych przez córkę Janinę i rodzinę Wódkowskich z Bądkowa zachowały się dwie fotografie przesłane z Anglii, a wykonane przed domem w Radcliffe. Mnie wzruszyły nie tyle fotografie, co odręczne dopiski na ich odwrocie, wyrażające tragiczny los żołnierza-tułacza. „Synusiowi Tatuś sierpień 1951 r.” i „Dla Synusia Tatuś. 31.08.1947 r.”. Marcin Wienconeck zmarł po ciężkiej chorobie 26 maja 1955 r. Jego grób znajduje się na jednym z amerykańskich cmentarzy. Nie wrócił już nigdy do swojej Ojczyzny, spoczął na obcej ziemi.

Drugim bądkowianinem – żołnierzem Armii Andersa i uczestnikiem walk o Monte Cassino – był Stanisław Urbaniak (Urbański). Urodził się 14 grudnia 1908 r. w Wysocinie (według innych źródeł w Wysocinku) w gminie Bądkowo. Był synem Andrzeja Urbaniaka i Katarzyny. Służbę wojskową odbył w Inowrocławiu w 4. Pułku Artylerii, dosłużył się stopnia kaprała. Ukończył także szkołę podoficerską, co dla chłopaka pochodzącego z chłopskiej rodziny było dużym wyróżnieniem. Po powrocie z wojska poślubił Józefę Pietrzak. Gdy wybuchła wojna, został zmobilizowany i walczył w wojnie obronnej 1939 r. Dostał się do sowieckiej niewoli. Podobnie jak Marcin Wienconeck, przestał być jeńcem, gdy po napaści Niemiec na ZSRR zawiązała się koalicja antyhitlerowska. Podobnie jak Wienconeck wstąpił w 1941 r. do tworzącego się w głębi ZSRR polskiego wojska. Został żołnierzem II Korpusu dowodzonego przez generała Władysława Andersa i z jego wojskiem przeszedł cały szlak bojowy z Rosji przez Irak, Palestynę do Włoch²³. Ponad 14 miesięcy uczestniczył w walkach na froncie włoskim, by w końcu wziąć udział w walkach o Monte Cassino, które przyniosły Polakom tak chlubne zwycięstwo i sławę, a Stanisławowi Urbaniakowi Medal Monte Cassino. Na własną prośbę został zdemobilizowany i w 1947 r. wrócił do Polski. W 1948 r. osiadł na stałe w Wysocinie.

Powojenne losy Stanisława Urbaniaka potoczyły się dużo lepiej niż Wienconka, gdyż w 1947 r. wrócił do kraju, pracował w Gminnej Spółdzielni w Bądkowie. Ale choć był kombatanem, nie chciano go przyjąć nawet do gminnego koła

23 Jego syn przekazał p. Nowakowskiemu kilkadziesiąt fotografii i dokumentów, dzięki którym można opisać i zilustrować jego żołnierską służbę od 1939 r., przez internowanie i cały szlak bojowy z Armią Andersa. Tylko niewielką część mogłam włączyć do swojej pracy.



Taką zgodę na noszenie angielskich medali wywalczył u władz PRL S. Urbaniak *vel* Urbański. Dokument udostępnił J. Nowakowskiemu jego syn

ZBoWiD²⁴. Jednak nie dano rady go złamać czy poniżyć. Pan Urbaniak nie bał się nowych władz i na uroczystości państwowe wkładał andersowski mundur i płaszcz. Do munduru przypinał otrzymane angielskie i polskie medale i odznaczenia, a miał ich wiele. Do dziś przechowuje je synowa pana Stanisława – Irena Urbaniak, z pobliskich Osięcin. Pan Stanisław stał zawsze na honorowych miejscach, podkreślając, kim był i gdzie walczył. Z dokumentów otrzymanych od jego syna wynika, że na noszenie obcych medali, czyli tych alianckich, dostał nawet zgodę komunistycznych władz. Stanisław Urbaniak (Urbański) zmarł 8 maja 1974 r. i został pochowany na cmentarzu parafialnym w Bądkowie.

Postscriptum

Jeśli dać wiarę mojemu nauczycielowi historii, czeka nas rok wyjątkowych wydarzeń i rocznic. I nie chodzi tu o wybory, które będą raczej dotyczyły na-

24 Księga protokołów gminnego koła ZBoWiD w Bądkowie za lata 1969–1979.

szych rodziców i dorosłych. Na wiosnę świętowana będzie na różne sposoby 70. rocznica naszego wielkiego zwycięstwa pod Monte Cassino, a latem i jesienią pochylimy głowy i zapalimy znicze na grobach żołnierzy Września 1939, którzy „starali się wykonać niewykonalne zadanie” (słowa wyrzeźbione na pomniku Armii Poznań). Zostaną przypominane nazwiska wielkich dowódców, miejsca bohaterskich bitew, będą odwiedzane polskie cmentarze rozrzucone od Kazachstanu po Tobruk i Narvik. Ale mało prawdopodobne, aby podczas tych uroczystości dla upamiętnienia tysięcy żołnierzy – bohaterów II wojny światowej, chociaż w kilku słowach wspomniano o bądkowianach, których co najmniej kilkudziesięciu walczyło od września 1939 do maja 1945 r. Z dumą oglądam nasz słownik biograficzny, w którym wielu z nich już opisaliśmy. Z ciekawością czekam na efekty nowego projektu drugoklasistów „A lato było piękne tego roku”, w którym chcą uchronić od zapomnienia wszystkich mieszkańców naszej gminy, żołnierzy Września, jeńców obozów i tych, którzy walczyli na wszystkich frontach II wojny światowej – abyśmy dziś mogli żyć w wolnym kraju i być dumnymi z naszych dziadków, choćby dlatego, że inni odebrali im do tego prawo.

Źródła informacji:

Literatura:

1. Niemczyk A., *Marcin Wienconek* (biogram), [w:] *Nie odejdą w niepamięć. Słownik biograficzny bądkowian, którzy potrafili pięknie żyć, pracować i walczyć*, red. J. Nowakowski, wyd. „Krakowiak” 2013. Publikacja napisana przez uczniów Publicznego Gimnazjum im. W.S. Reymonta w Bądkowie w projekcie „Równać szanse. By nie odeszli w niepamięć”
2. *Polski czyn zbrojny w II wojnie światowej*, praca zb. pod red. W. Biegańskiego, t. II: *Walki formacji polskich na Zachodzie 1939–1945*, Warszawa 1981, s. 489
3. Wańkiewicz M., *Bitwa o Monte Cassino*, Warszawa 2009, s. 546
4. Wawer Z., *Monte Cassino*, Warszawa 2009, s. 281

Netografia:

(wszystkie informacje ze stron internetowych zaczerpnięte zostały między 28.12.2013 a 26.01.2014 r.)

http://pl.wikipedia.org/wiki/Bitwa_o_Monte_Cassino

<http://teksty.org/patriotyczne.czerwone-maki.tekst-piosenki> <http://www.polskieradio.pl/39/248/Artykul/846592.Do-zwyciestwa-na-Monte-Cassinoprowadzil-Polakow-gen-Wladyslaw-Anders>

www.przeglad-tygodnik.pl/pl/artykul/papiez-general.

<http://www.wykop.pl/ramka/1086841/parada-zwyciestwa-w-londynie-8-czerwca-1946-rokupolakow-na-niej-zabraklo/>

<http://blogmedia24.pl/node/13576>

Dokumenty i fotografie:

1. Materiały i fotografie ze zbiorów J. Nowakowskiego, otrzymane od Janiny Kowalskiej z Poznania, córki Marcina Wienconka, Andrzeja Wódkowskiego z Bądkowa oraz syna, Stanisława Urbaniaka z Pikutkowa i jego synowej Ireny Urbaniak z Osięcin
2. Księga protokołów gminnego koła ZBoWiD w Bądkowie za lata 1969–1979
3. Karta ewidencyjna Marcina Wienconka nr 30043779 i zeszyt ewidencyjny nr 30043779 z Ministry of Defence APC Disclosures 5 (Polish)

I miejsce

kategoria: szkoły ponadgimnazjalne

Marcjanna Tomczewska

opiekun: Jacek Tymiński

V Liceum Ogólnokształcące im. Jana Pawła II w Toruniu

Na początku było słowo...

Historia Toruńskiej Społecznej Biblioteki

Każdy człowiek ma prawo do swobodnego wyrażenia opinii;
prawo to obejmuje swobodę poszukiwania, otrzymywania i rozpowszechniania
informacji i poglądów wszelkiego rodzaju bez względu na granicę,
słowem, pismem lub drukiem, w postaci dzieła sztuki
bądź w jakikolwiek inny sposób według własnego wyboru¹

Społeczna Biblioteka w Toruniu odegrała bardzo dużą rolę w walce o sprawiedliwość i wolność. Dziś trudno nam zrozumieć odwagę, determinację i to, jak wiele byli w stanie poświęcić ludzie ją tworzący. Dzięki nim społeczeństwo mogło czytać nieocenzurowane książki, periodyki i czasopisma, które niosły słowo prawdy... I właśnie to słowo odegrało jedną z najważniejszych ról w niszczeniu komunistycznego systemu.

1 Art. 19 pkt 2 Międzynarodowych Paktów Praw Człowieka (od grudnia 1977 formalnie obowiązujących w PRL), cytat wykorzystany w Liście „Do czytelnika” z Katalogu Społecznej Biblioteki, Toruń, 1979 r.; Oryginał w posiadaniu autora.

Biblioteka w latach 1978–1982

Załączek Toruńskiej Biblioteki Solidarności

W 1978 r. Toruń został włączony, z inicjatywy poznańskich studentów UAM, w obszar działań niezależnych. Na początku tego roku Wiesław Cichoń – sygnatariusz deklaracji założycielskiej poznańskiego Studenckiego Komitetu Solidarności (SKS), dostarczył do Torunia pięć egzemplarzy tajnego dokumentu wydanego przez Niezależną Oficynę Wydawniczą pt.: „Z Księgi Zapisów GUKPPiW”, a następnie przekazał je osobom, które zostały wskazane przez KOR, m.in. był wśród nich Antoni Stawikowski. To właśnie w czasie rozmów tych dwóch osób narodziła się idea powstania niezależnej biblioteki w Toruniu. Pomysł został zrealizowany już jesienią 1978 r. Mieszkańcy Torunia dowiedzieli się jednak o księgozbiórze dopiero w marcu następnego roku, poprzez rozkolportowane w mieście ulotki. Podobne inicjatywy powstały również w innych ośrodkach kraju, ale Toruń był jednym z najprężniejszych środowisk opozycyjnych.

Założyciel Biblioteki – Antoni Stawikowski

Antoni Stawikowski był przewodniczącym „Solidarności” w 1981 r. oraz twórcą Niezależnej Społecznej Biblioteki w Toruniu. W 2013 r. toruńska Rada Miasta przyznała mu zaszczytny tytuł honorowego obywatela miasta, m.in. za zasługi w walce o wolność słowa. Kariera naukowa ułatwiała mu działania związane z tworzeniem biblioteki, gdyż miał możliwość wyjeżdżania na zagraniczne sympozja i stypendia. W trakcie pobytu za granicą zetknął się z „Kulturą”, wydawaną przez Jerzego Giedroycia na emigracji. Zadaniem pisma, wolnego od cenzury, było poszerzanie zakresu debaty o Polsce na płaszczyźnie politycznej i kulturalnej. W 1964 r. prof. Antoni Stawikowski podczas pobytu w USA spotkał się z Polonią, która czytała paryską „Kulturę”. Lektura pisma wywarła na profesorze niezatarte piętno. Uświadomiła mu skalę zakłamania najnowszej historii Polski i świata i nie pozwoliła na wyparcie tego faktu z pamięci. Dotarcie z tą wiedzą do Polaków w kraju stało się ważnym życiowym celem. Jeżdżąc do Paryża, zawsze kupował chociaż jeden zeszyt „Kultury”, gdyż na więcej nie było go stać. Potem zaczął prosić polskich księgarzy w Paryżu i w Londynie o darowizny, na co ci chętnie przystawali i obdarowywali profesora zakazanymi w Polsce lekturami.



Skany oryginalnych stron tytułowych i okładek książek pochodzących ze Społecznej Biblioteki, obecnie w posiadaniu Biblioteki Głównej UMK w Toruniu

Dziś profesor wspomina, że po raz pierwszy zetknął się wówczas z książką Aleksandra Solżenicyna *Archipelag GUŁag* w angielskiej wersji językowej, gdyż nie było jeszcze polskiego tłumaczenia. Z początku jego zbiór książek składał się głównie z wydawnictw zagranicznych. Pokażną liczbę 40 książek przekazał mu Wiesław Cichoń. Antoni Stawikowski zaczął od udostępniania książek przyjaciółom, ale ludzie bali się czytania takich publikacji, szczególnie ci, którzy słabo znali profesora. Grono czytelników z początku było małe. Jednak zbiór cały czas się powiększał.

Antoni Stawikowski nawiązał współpracę z Niezależną Biblioteką Dzieł Zakazanych w Warszawie, dzięki której uzyskano bezpłatnie wiele cennych książek. Namówił także wuja, Arno Gerkewitza, ze starej, jeszcze dziewiętnastowiecznej emigracji polskiej w Niemczech, żeby zaprenumerował „Kulturę”. Niezależne słowo było dla władzy komunistycznej szczególnie niebezpieczne, a jego kolportaż zabroniony. Wwiezienie tych materiałów wymagało opracowania systemu, który nie narażałby go na zatrzymanie. Z Zachodu książki były przewożone za żelazną kurtynę przez wuja profesora, który zostawiał je u krewnych w Niemieckiej Republice Demokratycznej (NRD), skąd Antoni Stawikowski mógł je odebrać. Regularna dostawa była dużym krokiem naprzód, trwało to dwa lata. Przywożenie książek udawało się prof. Stawikowskiemu bez wpadki, zawsze

kierował się zasadą, że „najciemniej jest pod latarnią”. Pewnego razu, gdy jechał z NRD do Polski z kieszeniami wypchanymi „Kulturą”, celniczka podeszła do niego z pytaniem, czy posiada coś do oclenia. Stanowczym głosem odpowiedział, że nie, ale za chwilę podszedł następny celnik i poprosił znów o paszport, co nie zwiastowało niczego dobrego. Profesor oznajmił, że celniczka już była i został sprawdzony, a w myślach mówił do siebie: „No Stawikowski, wpadłeś!”. Celnik otworzył paszport i pierwsze, co powiedział z uśmiechem na twarzy, to: „no rzeczywiście”. Okazało się bowiem, że ten celnik również nazywał się Stawikowski. Porozmawiali chwilę, a następnie celnik zaprowadził profesora nawet do pierwszej klasy, a „Kultura” przez cały czas „bezpiecznie” ukryta była w kieszeni.

Wyjątkową okazją do powiększenia zbioru okazało się uzyskanie książek z Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego (POSK) w Londynie. W 1980 r., gdy profesor przebywał w Anglii, zwrócił się do ośrodka polonijnego z prośbą o obdarowanie toruńskiej biblioteki nowymi woluminami. POSK odpowiedział Stawikowskiemu, że może brać „co chce i ile chce”. Pozostała tylko odpowiedź na pytanie: jak przewieźć książki do Polski? Profesor spotkał się więc w Londynie z bratem, który przekazał mu starą, niewiele wartą biżuterię żony. Stawikowski ułożył w walizce tyle książek, ile mógł zmieścić, przykrył je paroma ubraniami, a na to położył ową biżuterię. Rozegrał to sprawdzonym sposobem – podszedł na lotnisku w Warszawie do celniczki i sam niepewnym głosem oznajmił, że on chyba ma coś do oclenia. Przed pracowniczką kontroli granicznej otworzył walizkę i pokazał jej biżuterię, na co poirytowana funkcjonariuszka pouczyła profesora, żeby jej głowy nie zawracał, bo to nie jest nic wartościowego, tylko zwykłe koraliki. Antoni Stawikowski dużo ryzykował, bo gdyby go złapano z książkami, odebrano by mu paszport, a dla młodego naukowca byłby to koniec naukowej kariery.

W 1980 r. zbiór liczył już około dwóch tysięcy pozycji i konieczne stało się ich skatalogowanie. Najcenniejsze egzemplarze profesor przechowywał w domu, w piwnicy, w tzw. rupieciarni w tapczanie.

O miejscu przechowywania książek wiedziały tylko dwie osoby, Biblioteka była świetnie zakonspirowana, jednak nawet to nie uchroniło profesora przed podejrzeniami Służby Bezpieczeństwa (SB). Przeszukano mu całe mieszkanie, na koniec świadomy zagrożenia profesor sam zaprowadził oficerów SB do piw-



Podziękowanie – 1989 r. Ryszard Musielak wręcza kwiaty na zakończenie kadencji przewodniczącego Antoniego Stawikowskiego

nicy, gdzie było pełno śmieci i bardzo brudno i zaproponował „smutnym panom”, by mu tu posprząтали, odsuwając tym samym podejrzenia. Kolejny bluff się udał. Esbecy uznali, że na pewno nic tu nie znajdą i zrezygnowali z przeszukania. *Po tej rewizji, raz się udało, ale wiedziałem, że już drugi raz się nie uda*, powiedział Antoni Stawikowski w czasie wywiadu, jaki z nim przeprowadziłam w listopadzie 2013 r. Postanowił więc przekazać księgozbiór Zarządowi Regionu NSZZ „Solidarność” (było to w połowie 1981 r.). I tu zaczyna się najbardziej tajemniczy okres w dziejach biblioteki „Solidarności”. W książce *Czas ludzi niepokornych*² znajdujemy jedyną relację na ten temat:

*Tuż po stanie wojennym Ryszard Konikiewicz umieścił ją [bibliotekę – M.T.] w piwnicy domu swojego ojca – Sylwestra Konikiewicza. Pomagali mu w tym synowie – Marek i Krzysztof. Następnie książki zostały przekazane czasowo do domu matki Marii Ziółkowskiej, a po pewnym czasie do domu samej M. Ziółkowskiej zamieszkałej w Toruniu przy ul. Piskorskiej 3/3. W połowie roku 1983 Jan Hanasz i Andrzej Madrak przewieźli księgozbiór do nieznanego mieszkania przy ulicy Wodociągowej*³.

2 W. Polak, *Czas ludzi niepokornych. Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność” i inne ugrupowania niezależne w Toruniu i Regionie Toruńskim (13 XII 1981–4 VI 1989)*, Toruń 2003, s. 240.

3 Tamże.

Biblioteka w latach 1982–1989

Irena Musielak (z domu Biała)

Irena Musielak była główną szefową, opiekunką i organizatorką niezależnej Biblioteki, w okresie stanu wojennego wchodziła także w skład władz podziemnej „Solidarności”.

Na początku 1982 r. weszła w skład Tymczasowego Prezydium Regionu pod przywództwem Jana Hanasza. Było to zarówno ciało decyzyjne, jak i wykonawcze, w którego skład wchodził m.in. przedstawiciele zakładów pracy (Elana, Geofizyka, Merinotex, Apator, Toral), UMK oraz nauczyciele. Podzielili się oni na nowo obowiązki, zbieraniem informacji, przekazywaniem ich do zakładów pracy, uruchomieniem druku niezależnych wydawnictw, przewożeniem ulotek i ich rozprowadzaniem. Irena Musielak zdecydowała się wziąć na siebie obowiązki związane z prowadzeniem Biblioteki, które polegały na uzupełnianiu zasobów bibliotecznych z dostaw książek z innych miast i z zagranicy, udostępnianiu książek z biblioteki oraz rozprowadzaniu wydawnictw niezależnych.

Podjęła też decyzję o przewiezieniu całego księgozbioru w jedno miejsce, do domu pani Janiny Szwedowskiej na ul. Wodociągową (dom ten obecnie już nie istnieje, został zburzony na początku lat 90. XX w.). W domu pani Janiny książki były schowane w tapczanach i szafach.

Organizacja Biblioteki

Irena Musielak dostała katalog książek i wyznaczyła około siedem lub osiem mieszkań na terenie Torunia dla przedstawicieli zakładów pracy lub poszczególnych środowisk. Posiadali oni również katalogi i to oni zbierali ze swoich środowisk zamówienia, przekazywali je następnie Irenie Musielak w wyznaczonych mieszkaniach, na małych karteczkach lub upchane w papierosach. Po jakimś czasie, umówiwszy się z nimi ponownie w tych mieszkaniach, przekazywała książki. W ten sposób nie spotykała się nigdy z wypożyczającymi, a jedynie z ich przedstawicielami. Ze zwrotem książek było różnie i to z rozmaitych powodów. Ludzie często tracili je podczas rewizji lub po prostu przekazywali sobie książki dalej. To był czas strachu. W latach 80. można było za posiadanie takich książek trafić do więzienia. Dzięki znakomitej konspiracji do dziś są mylone miejsca

odbierania książek z miejscami przechowywania Biblioteki.

Mimo trwania stanu wojennego księgozbiór był cały czas uzupełniany o nowe pozycje. Z każdą dostawą jeden egzemplarz trafiał do Biblioteki, reszta na sprzedaż. Zakupy książek były finansowane przez Zarząd Regionu, a gdy został wprowadzony stan wojenny, ze składek członkowskich.



Ryszard Musielak i Antoni Stawikowski
na spotkaniu konspiracyjnym, 1987 r.

Janina Szwedowska

Janina Szwedowska była pielęgniarką w toruńskim szpitalu na Bielanych. Przez ponad półtora roku w swoim domu przechowywała książki Biblioteki Społecznej, była także osobą, która uratowała Bibliotekę. Bez jej odwagi i szybkiej reakcji została by ona skonfiskowana już w 1982 r. Pod koniec tego roku, zimą, Janina Szwedowska przysłała do pracy na nocną zmianę. Będąc już na swoim oddziale, zauważyła, że pojawili się tam esbecy i rozpytywali o różne osoby, m.in. o nią. Przestraszyła się, że w razie jakiegokolwiek przesłuchania i późniejszego przeszukania Biblioteka zostanie skonfiskowana. Wymknęła się niepostrzeżenie ze szpitala, nie zakładając na siebie zimowego płaszcza, by oszczędzić czas i nie zostać zauważoną, pobiegła do domu. Było to mniej więcej 10 minut drogi. Zdecydowała, że wszystkie książki, a było ich około kilka ton, przeniesie do piwnicy sąsiada, do której szczęśliwie miała dostęp. Po całej nocy wróciła do pracy, a już około godziny dziewiętej SB pojawiła się z nakazem przeszukania jej mieszkania. Zrobili jej rewizję całościową, włącznie z piwnicą. Nic jednak nie znaleziono i w taki sposób Janina Szwedowska uratowała Bibliotekę, nabawiając się przy tym poważnego zapalenia płuc.

Przeniesienie Biblioteki i jej nowe siedziby

W 1983 r. organizatorka Biblioteki w obliczu tych wydarzeń zdecydowała o przeniesieniu książek w nowe miejsce. Zbiory umieszczono w dwóch mieszka-

niach. Pierwszym z nich było mieszkanie państwa Nawrockich przy ul. Dziewulskiego 5a/94, gdzie umieszczono najczęściej wypożyczane książki, ze względów technicznych do tego mieszkania Irena Musielak miała lepszy dostęp. Ponadto książek było już tak dużo, że nie mieściły się w jednym mieszkaniu. Drugim zaś było mieszkanie, które wynajmowała od ciotki Mirosława Chrzanowska (dziś Chrzanowska-Jankowska) przy ul. Moczyńskiego 4/4⁴.

Irena Musielak do pomocy poprosiła Mirosławę Chrzanowską, ponieważ pracowała z nią wiele lat i wiedziała, iż była osobą godną zaufania. W mieszkaniu ciotki książki ukryte były w pawlaczu i zasłonięte kłębkiem wełny. Do tego mieszkania Irena Musielak zgłaszała się po książki, jednak tylko raz na parę miesięcy. Panie pozostawały na bieżąco w kontakcie telefonicznym. Przechowywały tu około jednej trzeciej wszystkich zasobów Biblioteki.

Państwo Nawroczy wcześniej mieszkali w Bydgoszczy i już tam byli zaangażowani w działania opozycyjne. Po przeprowadzeniu się do Torunia stracili kontakty i praca się skończyła. Przez przypadek poznali Andrzeja Domańskiego, lidera „Solidarnościowych Taksówkarzy”, który wprowadził ich w toruńskie środowisko opozycyjne. Już na początku 1983 r. zaproponowano państwu Nawrockim, by w ich mieszkaniu znajdowała się większa liczba książek Biblioteki Społecznej. W wywiadzie, jaki przeprowadziłam listopadzie 2013 r., pan Andrzej Nawrocki nazwał to „nowym wyzwaniem”. Oboje byli otwarci na tę propozycję. Sprzeczała się tylko, kto z nich w razie „wpadki” pójdzie do więzienia. Kierowali się dobrem społeczeństwa, nie swoim. Anna Nawrocka powiedziała: *Byliśmy całym sercem za wolnością słowa, za demokracją, to, co się działo, nie mieściło nam się w głowach*⁵.

By przewieźć książki do mieszkania państwa Nawrockich, Irena Musielak umówiła się z kolegami, którzy dysponowali samochodem marki Żuk. Wśród nich był m.in. Jerzy Komocki. Blok, w którym mieszkali Nawroczy, stał tuż obok IV komisariatu milicji. Podczas transportu książek pani Musielak razem z panią Nawrocką obserwowały przez okno, z mieszkania na dziewiątym piętrze, ulicę, którą miał nadjechać żuk. Gdy samochód podjechał pod blok, niespodziewanie

4 W książce W. Polaka *Czas ludzi niepokornych* występuje adres „ul. Moszyńskiego”. Mirosława Chrzanowska-Jankowska potwierdza jednak adres „ul. Moczyńskiego 4/4”.

5 Informacja Anny Nawrockiej, wywiad, listopad 2013 r.

zatrzymał go milicjant. Podeszedł do szoferki i jak wynika z relacji Ireny Musielak podczas wywiadu, który przeprowadziłam w listopadzie 2013 r., kierowca (Jerzy Komocki) wysiadł, odsłonił plandekę, milicjant zajrzał do środka, a paniom obserwującym wszystko przez okno zrobiło się gorąco: *byłyśmy pewne, że przepadło, a Jurek wsiadł do szoferki, objechał kilka razy okolicę, przyjechał i zaczęli wyładowywać książki*⁶. Jak się później okazało, kierowca powiedział milicjantom, że się przeprowadza, a gdy milicjant odchylił plandekę, zobaczył stosy kartonów, w których były książki, a na nich parę ręczników. Ze względu na nieuwagę i pośpiech nie starano się nawet specjalnie kamuflować kartonów z książkami. Po raz kolejny Biblioteka miała ogromne szczęście. Wystarczyło, by milicjant otworzył chociaż jeden karton, a stracono by większą część zasobów Biblioteki i Jerzy Komocki poszedłby do więzienia, był to bowiem rok 1983.

W 1985 r. Irena Musielak zorientowała się, że jest inwigilowana. Uznała, że mimo że w domu nie przechowywała książek, musi się pozbyć także dokumentacji. Ukrywała ją w domu, ponieważ musiała się nią posługiwać podczas wypożyczeń. Kiedy Biblioteka się powiększała, pani Musielak dawała właścicielom mieszkań pośredniczących aneksy do katalogów. Wiedziała, że musi jak najszybciej pozbyć się dokumentów, bo jeżeli SB je znajdzie, naraziłaby na niebezpieczeństwo i Bibliotekę, i ludzi z nią związanych. Zapakowała więc w czerwoną reklamówkę dokumenty i fiszki, które trzymała, choć ich nie używała. Uważała z jakiegoś powodu, że kiedyś mogą się przydać. Po przyjściu do swojego małego biura, które dzieliła z koleżanką, nie mając nawet gdzie położyć torby z dokumentacją, postawiła ją na krześle, które stało w widocznym miejscu. Pech chciał, że około godziny dziewiątej rano do jej pracy przyjechało troje funkcjonariuszy SB, dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Zrobili jej dokładną rewizję osobistą, następnie rewizję miejsca pracy, czyli biurka. Zabrali ją do jej mieszkania na wielogodzinną, bardzo dokładną rewizję, następnie na przesłuchanie i 48-godzinny areszt. A czerwona reklamówka z całą dokumentacją pozostała na krześle, dokumentację przejęła koleżanka z pracy Ireny Musielak, dzięki czemu później udało się wszystko odzyskać. *Los nad Biblioteką czuwał*⁷.

6 Informacja Ireny Musielak, wywiad, listopad 2013 r.

7 Tamże.

Dalsze losy książek

Biblioteka pozostała do 1989 r. w tych dwóch mieszkaniach. Choć NSZZ „Solidarność” został reaktywowany, zbiory nie od razu trafiły do Zarządu. Książki krążyły, ukrywane w mieszkaniach prywatnych, aż do 1993 r., kiedy to przekazano wszystkie do Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność”, a ten w 1995 r. przekazał je dalej – do Biblioteki Głównej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, gdzie należycie się nimi zaopiekowano.



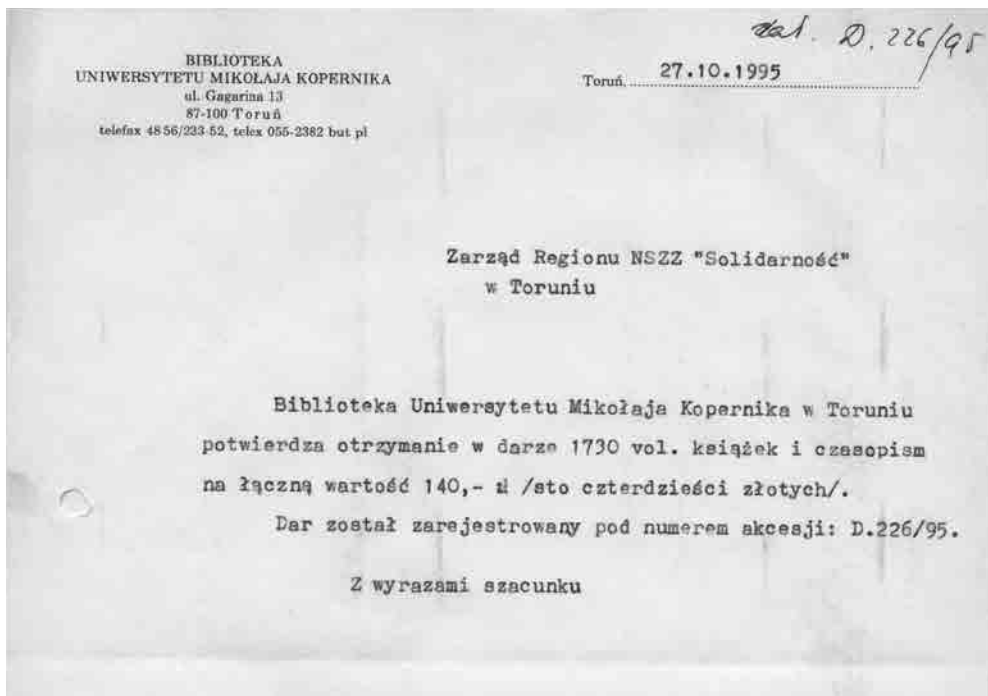
Biblioteka Główna UMK w Toruniu, podziemne magazyny – miejsce, gdzie przechowywane są książki drugiego obiegu (fot. styczeń 2014 r.)



Współczesne katalogi Toruńskiej Społecznej Biblioteki (1977–1981) w Bibliotece Głównej UMK w Toruniu (fot. styczeń 2014 r.)

Książki te wchodziły teraz w skład księgozbioru drugiego obiegu i są składowane razem z dwoma milionami innych książek w podziemnych magazynach największej biblioteki w północnej Polsce. Dzięki uprzejmości pana Mirosława Supruniuka, który w 1995 r. przejmował książki od Zarządu „Solidarności”, oraz pana Grzegorza Szturo, kierownika Sekcji Gromadzenia i Uzupełniania Zbiorów Biblioteki Głównej UMK, mogłam zobaczyć książki, które kiedyś znaczyły dla ludzi tak wiele, że narażali dla nich własne bezpieczeństwo. To niezwykle, jak chęć niesienia słów prawdy determinowała ludzi do działania.

Nie da się ukryć zdziwienia, widząc regały uginające się pod dziełami takich pisarzy jak George Orwell, Krystyna Kersten, Czesław Miłosz czy Tadeusz Żenyczkowski. Cenzura próbowała pozbawić Polaków dostępu do arcydzieł literatury i ważnych faktów historycznych.



Skan oryginalnego aktu darowizny ksiązek Biblioteki Społecznej przez Zarząd NSZZ „Solidarność” na rzecz Biblioteki Głównej UMK z 27 października 1995 r.

Do dziś losy Biblioteki Społecznej w Toruniu nie zostały całościowo opisane⁸, są opracowane jedynie do 1981 r. Dlaczego nikt nie zajął się tak ważnym tematem? Być może przez utrudniony dostęp do informacji. Dotarcie do osób, które współtworzyły Bibliotekę, jest dziś bardzo trudne poprzez ówczesną znakomitą konspirację. Ludzie, którzy współpracowali na co dzień, do dnia moich wywiadów często nie znali nawet wzajemnie swoich nazwisk.

Historia napisania tej pracy rozpoczęła się niepozornie – od wywiadu z Mirosławą Chrzanowską-Jankowską. Jej opowieść dała początek niezaspokojonej ciekawości. Następnie udało się dotrzeć do prof. Antoniego Stawikowskiego oraz państwa Musielaków. Oni dostarczyli mi najwięcej informacji, ale moje poszukiwania trwały dalej, a informacji przybywało. Wywiady przeprowadziłam także

8 Zob. M. Supruniuk, *Toruńska Społeczna Biblioteka w latach 1978–1981*, Acta Universitatis Nicolai Copernici, „Bibliologia II–III” – Nauki Humanistyczno-Społeczne, z. 328, Toruń 1998; W. Polak, dz. cyt., s. 240.



Biblioteka wydawnictw niezależnych po przekazaniu książek do Zarządu Regionu (na zdj. Marcin Orłowski, kronikarz „S”)

z państwem Nawrockimi i Janiną Szwedowską. Śledząc losy książek, w końcu miałam okazję spotkać je w podziemnych magazynach książek drugiego obiegu Biblioteki Głównej UMK. Niosąc słowo prawdy, spełniły już swoje zadanie, w ogromnym stopniu przyczyniając się do rozpadu systemu komunistycznego.

Na początku było słowo...

Źródła informacji:

1. Informacje w pracy pochodzą głównie z wywiadów przeprowadzonych w listopadzie 2013 r. z Antonim Stawikowskim, Ireną Musielak, Ryszardem Musielakiem, Mirosławą Chrzanowską-Jankowską, Anną Nawrocką i Andrzejem Nawrockim
2. Oryginalne katalogi Biblioteki Społecznej udostępnione do wglądu dzięki uprzejmości Ireny Musielak
3. Informacje przekazane przez pracowników Biblioteki Głównej UMK w Toruniu: Mirosława Supruniuka (Samodzielna Sekcja – Archiwum Emigracji), Grzegorza Szturo (Sekcja Gromadzenia i Uzupełniania Zbiorów) i Annę Kługowską (Sekcja Dokumentów Życia Społecznego)
4. W. Polak, *Czas ludzi niepokornych. Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność” i inne ugrupowania niezależne w Toruniu i Regionie Toruńskim (13 XII 1981–4 VI 1989)*, Toruń 2003
5. M. Supruniuk, *Toruńska Społeczna Biblioteka w latach 1978–1981*, Acta Universitatis Nicolai Copernici, „Bibliologia II–III” – Nauki Humanistyczno-Społeczne, z. 328, Toruń 1998
6. Zdjęcia pochodzą z prywatnego archiwum Ireny Musielak

II miejsce

kategoria: szkoły ponadgimnazjalne

Karolina Monika Woźniak

opiekun: Radosław Stawski

Zespół Szkół nr 1 im. Karola Wojtyły – Jana Pawła II

III Liceum Ogólnokształcące w Brodnicy

Smutno więźniarką być...

Podobno czas jest odpowiedzią na wszystkie pytania człowieka.

To właśnie on jest niezbędny do zrozumienia swojej – poszukiwanej nie-rzadko przez całe życie – tożsamości. Ponadto zmusza on ludzi do zastanowienia się zarówno nad swoim człowieczeństwem, jak i nad wyborami, których w tym człowieczeństwie trzeba dokonywać.

To wolność jest najtrudniejszym wyborem. Życie w niej wiąże się z wykonywaniem określonych zadań, które wymagają znacznie więcej niż zniewolenie. Wolność musi być nieustannie na nowo wybierana przez człowieka, który przez to trwa w strachu i niepewności. Paradoks polega na tym, że wymaga to ogromnej odwagi, choć bardzo łatwo jest przekroczyć cienką granicę lęku przed samym sobą.

Próbując przeniknąć człowieka, nie można nie podjąć próby sięgnięcia do jego źródła.

Cofnijmy się zatem do Pokrzydowa (gmina Zbiczno, niedaleko Brodnicy) w grudniu 1932 r., do domu Andrzeja i Marcjanny Lewińskich, którym cztery dni po Bożym Narodzeniu urodziła się czwarta z pięciu córek – Marianna.

Ojciec rodziny urodził się w 1890 r. w Żabieńcu (zabór rosyjski). Tuż przed ukończeniem 18. roku życia został wcielony do wojska rosyjskiego. Już po

upływie roku dostał urlop, jednak – chociaż powrócił na ziemię polskie – nie dotarł do domu, za to prawdopodobnie nawiązał wówczas kontakt ze swoim bratem, Ludwikiem Lewińskim. Dzięki niemu przedostał się na Węgry, gdzie zaciągnął się do oddziału Ułanów Krechowieckich. Bardzo zasłużył się na polu walki (po latach został odznaczony m.in. Krzyżem Walecznych na Polu Chwały). Co więcej, brał udział w bitwie warszawskiej w sierpniu 1920 r. Po wojnie ojciec Marianny zamieszkał w rodzinnej Magierowej Woli pod Warszawą. Jej matka – Marcjanna Górską – odziedziczyła w posagu dworek w pobliżu tej wsi – tam poznała Andrzeja Lewińskiego. Po pewnym czasie wyszła za niego za mąż. Około 1924 r. przeprowadzili się do Pokrzydowa, gdzie osiedli na stałe, zajmując 20-hektarowe gospodarstwo. Mąż Marcjanny był aktywnym działaczem społecznym, działał m.in. w Ochotniczej Straży Pożarnej w Pokrzydowie. Jego córka wspomina dziś: *Pamiętam, że na dożynkach przed II wojną śpiewano o nim: „A nasz pan Lewiński, chociaż taki młody, to do spraw społecznych, jak ryba do wody”. Angażował się w wiele spraw. Wszystko po to, by umacniać polskość. Był wielkim patriotą. To właśnie słowa tego człowieka odegrały ogromną rolę w życiu młodej Marianny: Z trudu i znoju Polska powstaje, by żyć na nowo. Już od najmłodszych lat życie zmusiło ją, aby pomogła Polsce w tym powstawaniu – już od dzieciństwa zgotowało jej piekło.*

Pierwszego września 1939 r., w dniu, w którym wybuchła wojna, miała iść do szkoły pierwszy raz. Wydarzenia w kraju jednak pokrzyżowały te plany, a bezwzględni Niemcy za nic mieli łzy dzieci, które, podobnie jak Marianna, miały tego dnia rozpocząć edukację. Cóż z tego, że nowy tornister i fartuszek szkolny już od dawna był przygotowany? Ich pierwszą szkołą stała się surowa i bezwzględna szkoła życia.

Jeszcze we wrześniu 1939 r. wielkie gospodarstwo Grochowalskich zostało zajęte przez Niemca, a całą rodzinę zamknięto w jednym pokoju. Byli traktowani jako tania siła robocza. Wkrótce spadła na nich kolejna tragedia – w styczniu 1940 r. zmarła najstarsza siostra Marianny, Jadwiga. Jakby tego wszystkiego było mało, około cztery miesiące później, wczesnym rankiem 13 kwietnia mężczyźni w czarnych mundurach dobijali się do drzwi tak głośno, że wszystkich obudzili. Byli to esesmani. Przyczyną ich wizyty był fakt, że Andrzej Lewiński nie podpisał volkslisty, mimo że w rejonie Pokrzydowa i Brodnicy znaczna większość obywa-

teli (ponad 80 proc.) to zrobiła. W dodatku, w trakcie przeszukania mieszkania wykryto u niego słuchawki i radio (było to zakazane). Dalszego biegu wydarzeń można się już domyślić. Mężczyźnie kazano się ubrać i zabrać niezbędne rzeczy. Do dziś pani Marianna ma przed oczami ojca, kiedy stanął w progu ich domu. Miał założone buty, bryczesy, czapkę-maciejówkę i kurtkę z kołnierzem z karakułów. Niemiec popchnął go, a on zatrzymał się i powiedział – jedne z najważniejszych, które dziewczynka w życiu usłyszała – słowa: *Z trudu i znoju Polska powstaje, by żyć na nowo! Zostańcie z Bogiem!*

To było jej ostatnie spotkanie z ojcem. Później przeczytała tylko trzy listy od niego, w języku niemieckim, w których pod cenzurą kazano tylko napisać: *Jestem zdrowy, dobrze się czuję, myślę o was...*

Dokładnie dwa lata później, 13 kwietnia 1942 r., Niemcy przyszli po pozostałych członków rodziny. Skierowano ich do obozu w Potulicach.

Jak wspomina pani Marianna, jeszcze dzień wcześniej wieczorem przyszedł do nich niemiecki wachman. Rozsiadł się w kuchni na krześle i kazał znosić z domu wszystkie książki. Każdą kolejno palił. Zajął to całą noc. Kobieta wciąż pamięta, jaki smutek odczuwała, gdy widziała płonąca *Bitwę o Kijów*, darzoną przez całą rodzinę szczególnym sentymentem. Po tym wszystkim wachman nakazał Grochowalskim spakować się. Każdy mógł zabrać rzeczy mieszczące się w jednym worku od zboża. Matka pakowała pościel, kurtki, buty, sukienki, pończochy... Wszystkie najważniejsze rzeczy zmieściły się w pięciu workach. Na górze worka Marianny leżała lalka Itka — ulubiona zabawka, która nawet otwierała i zamykała oczy.

Rano po kobiety przyjechał wóz zaprzężony w konia. Gdy zapakowano na niego worki, ruszono w drogę. W ten sposób dziesięcioletnia Marianna, osiemnastoletnia Helena, czternastoletnia Regina, ośmioletnia Janina i ich matka, niepewne swojej – nawet najbliższej – przyszłości, dojechały do Jajkowa, gdzie mieściła się stacja kolejowa. Stamtąd przyjechały pociągiem na dworzec w Brodnicy. Było tam mnóstwo ludzi. Już wtedy mogły się przekonać, jak bardzo brutalni i bezwzględni są Niemcy oraz jak nieludzko człowiek może traktować drugiego człowieka. Kobiety zostały wepchnięte do wagonów bydlęcych z lufcikami powietrza u góry. Miejsca było tak mało, że mogły tylko stać lub siedzieć na swoich pakunkach. Tak jechały przez prawie cały dzień. Dopiero nocą dotarły do celu

– do Nakła. Stamtąd wozami zawieziono je i innych pasażerów pociągu kilkanaście kilometrów dalej, do obozu w Potulicach, będącego podobozem Stutthofu. Rankiem 14 kwietnia ich oczom ukazał się piękny pałac i park hrabiów Potulickich, a ich nozdrza popieścił zapach pieczonego chleba. Tak zostali przyjęci do lagru – niemieckiego obozu pracy przymusowej. Oczywiście, był to tylko pozór – nikt z wygłodniałych więźniów nie dostał ani okruszyny, gdyż był to chleb dla Niemców pracujących jako obsługa obozu.

Przybyli więźniowie zostali zarejestrowani z numerami 445 c, 446 a. Otrzymali po kawałku kartonika z numerami obozowymi i nazwiskami. Początkowo umieszczono ich w pałacu. Parkietowe posadzki pokrywała słoma. Wysokie i przestronne pokoje wypełniały drewniane bale, stanowiące konstrukcję dla piętrowych pryczy. Kiedy Marianna otworzyła swój bagaż, zobaczyła zmiażdżoną Itkę. Dziś podejrzewa, że ktoś w wagonie na niej usiadł. Wyznała również, że *Była to moja pierwsza rozpacz i w sumie pożegnanie się z dzieciństwem.*

Niedługo po tym wydarzeniu Marianna wraz z innymi więźniami została skierowana do tzw. letnich baraków, które powszechnie nazywano „psimi budami”, jako że niewiele się od nich różniły – nie miały okien, a dachy były pokryte papą. Przez całą długość baraku przechodziła zagroda zbita z desek, za którymi była gnijąca słoma. „Psie budy” otaczało ogrodzenie z drutów kolczastych.

Obóz był rozbudowywany do końca wojny. Powstało sześć baraków dla niemieckich urzędników i wachmanów, 21 baraków dla całych rodzin, dwa baraki dla samotnych mężczyzn, jeden dla samotnych kobiet, jeden dla gruźlików, jeden dla niezdolnych do pracy starców, po dwa baraki dla dzieci polskich i dzieci rosyjskich. W innych mieściły się zakłady, warsztaty stolarskie, zakłady lotnicze, magazyn, kuchnia i piekarnia. Cały teren otoczony był rodzajem nasypu ziemnego, po którym chodzili wartownicy. Dziedziniec pokryto czarnym żużlem. Nie posiano nawet trawy. Może dlatego widok był tak ponury i przygnębiający.

Swoje pierwsze dni w obozie pani Marianna relacjonuje tak: *Wraz z mamą i siostrami weszliśmy do baraku. Musiałyśmy, jak inni, stanąć w rzędzie. Tyle, ile zajęłyśmy miejsca, stojąc ciasno obok siebie, tyle przestrzeni mogłyśmy zająć do spania, a więc na długość i szerokość ciała. Drzwi baraku były zamykane już o 18-tej. W rogu stało pięć wychodków. Do rana były one przepełnione do tego stopnia, że ich zawartość wypływała górą i podciekała pod posłania. W każdym*

baraku mieszkało do kilkuset więźniów. Kiedy rano między 6 a 8 otwierano drzwi, smród był potworny. Wychodki wyciągano i wylewano na zewnątrz. Ciągłe słychać było wrzask Niemców i bijących nas obozowych kapo: „Alle aufstehen! [Wszyscy wstawać!] Raus, raus! [Wynocha!] Schnell, schnell! [Szybko, szybko!]”. Obozowi kapo wyręczali Niemców. Mieli metalowe bicz obciążone gumą. Bili głównie po nogach. Aż krew bryzgała. Ustawiano nas na zewnątrz i przydzielano zadania. Po apelu spędzano nas na ganek baraku. Następnie wyczytywano nazwiska i na każdą osobę wręczano jedną kromkę czarnego chleba – „komiśniaka”, na który czasami nakładano mały kleks marmolady. Do tego dawano kubek czarnej, gorzkiej kawy zbożowej. Takie śniadanie mogło trwać kilka minut i nie dawało nigdy poczucia sytości. Następnie dorosłych zapędzano do pracy. A my? Dzieci? Pod nadzorem kapo na 5–6 godzin, niezależnie od pogody, byliśmy codziennie zapędzani do lasu. Mieliśmy ważne zadanie. Od nas zależało, jaki będzie tego dnia obiad. Dlatego nikt nie uciekł. Zbierałyśmy, co się dało – głównie mchy lub komosę, rosnącą przy drogach. Do tego zielska na obiad dorzucano pociętą na ćwiartki brukiew lub kapustę, które o tej porze roku były na wpół zgniłe. Nie było w tym ani grama tłuszczu. Przez kilka pierwszych tygodni nie mogłyśmy tego przełknąć. Głód jednak zwyciężył i pokonał obrzydzenie. Musieliśmy jeść, by żyć. Najgorsze chwile miały jednak dopiero nadejść... (...) Moja mamusia codziennie rano zdejmowała nam nocne koszule i zabijała wszędobylskie wszy i pchły, które nocami gromadziły się na naszych wychudzonych ciałach i bieliźnie. I ciągle kęsały. Pluskwy bywały trudne do pochwylenia. Z nastaniem dnia uciekały. Na ciałach zaczęły nam się tworzyć ranki od ukąszeń. Wkrótce przeobrażały się one w krosty nie do usunięcia. Każda kolejna noc bywała przez to nie odpoczynkiem po trudach dnia, lecz męką i ciągłą udręką. Rozdrapywane rany ociekały krwią i ropą. Nie śpiąc, wspólnie płakałyśmy z żalu, bólu, zimna i głodu.

Kiedy nadeszło wreszcie upragnione lato, okazało się, że upał jest jeszcze gorszy niż zimno. W barakach było mnóstwo much. Co gorsza, ciała osób zmarłych spoczywały na pryzkach nawet do sześciu dni, zanim pozwolono je pochować. Można sobie tylko wyobrazić te rozkładające się zwłoki i insekty, które roznosiły trupi jad... Na wybuch epidemii nie trzeba było długo czekać: ospa, szkarlatyna, tyfus – wszystkie te choroby ciągnęły za sobą coraz bardziej krwawe żniwo, zabijając dziennie nawet kilkunastu więźniów. Pani Marianna wspomina: *Pamiętam,*

gdy rankiem barakowy kapo [więzień funkcyjny; wyznaczony przez Niemców szef komanda roboczego] wywoływał nazwiska więźniów po porcję chleba. Wiele matek odpowiadało mu przez łzy: „gestorben!” [umierać], tracąc tym samym racje żywnościowe przypadające na ich członków rodziny.

Jak relacjonuje pani Marianna Grochowalska, na wiosnę 1941 r., około 3 kilometrów od starego obozu, zaczęto budować nowy lager. Do budowy zaangażowano starsze siostry kobiety – Helenę i Reginę. Janina, Marianna oraz matka zostały w baraku. Był to moment, w którym najmłodsza, Janina, zaczęła chorować. Aby nie myśleć o dramacie, który rozgrywał się w ich życiu, wychudzone i głodne kobiety każdego dnia siadały przed barakiem i marzyły o kubku mleka i kawałka ciasta.

Pani Marianna do dziś pamięta i ze łzami w oczach wspomina, jak bezbronna i niewinna Janinka, umierając, pokazywała matce na migi swoimi chudymi jak patyczki paluszkami, prosząc: „Mamusiu, ja bym tak zjadła tylko tyle zsiadłego mleczka i tyle kartofelka...”. Matka nie mogła spełnić prośby córki. Było to marzenie po prostu niemożliwe do zrealizowania. Można tylko próbować sobie wyobrazić, co czuje matka, która patrzy na śmierć swojego dziecka ze świadomością, że jest ona nieuchronna, ale można byłoby jej zapobiec, gdyby tylko miało się coś do jedzenia... *Moja matka siedziała, tuląc mocno malutką główkę Janeczki do swojej piersi. Wydzierał się z niej cichy krzyk rozpacz, bólu i tak strasznej bezsilności... Modliła się do Boga o cud, by sprawił, żeby mogła dać córeczce to, czego tak bardzo w tej chwili pragnie. Czy troszkę zsiadłego mleczka i ćwiartka kartofelka to wiele? Cud jednak się nie zdarzył.* Janina Lewińska (osiem lat) zmarła z głodu w obozie w Potulicach 15 września 1942 r. Jej rodzina nigdy nie dowiedziała się, gdzie zostało zakopane jej ciało. Pani Marianna mówi, że *Płacz, smutek, żal i rozpacz były w nas tak wielkie, że ten czas w mojej pamięci układa się w jedno, wielkie straszne odrętwienie.*

Koszmar trwał jednak nadal: dwa tygodnie po śmierci dziecka rodzina odebrała dość dużą paczkę. Głodne kobiety miały nadzieję, że jest to jedzenie. Przesyłkę otworzył kapo w obecności esesmana. W środku znajdowały się rzeczy Andrzeja Lewińskiego, ojca dziewcząt i męża pani Marcjanny. Został zamordowany przez hitlerowców w obozie Sachsenhausen/Oranienburg. 15 września 1942 r., dokładnie tego samego dnia, którego zmarła jedna z jego córek. Ten

moment pani Grochowalska relacjonuje tak: *Ujrzałam wówczas obłęd na twarzy mojej matki. Wydała z siebie krzyk podobny do wycia psa, który był tak wielki, że zaczęłam uciekać na oślep. Nagle zapanowała cisza. Obejrzałam się. Matka straciła przytomność, leżąc twarzą na pudle z rzeczami ojca. Nad nią stał esesman z obozowym kapo. W wielkim strachu podeszłam do matki, kucnęłam obok niej, przytuliłam się najmocniej, jak mogłam i zapłakałam... Ktoś wylał na nas wiadro zimnej wody. Pomogło. Mama wkrótce wstała, popatrzyła na wszystkich, wzięła mnie na ręce i poszliśmy do baraku. Ktoś nam przyniósł rzeczy ojca, które matka potem kolejno oddawała innym więźniom za kawałki chleba.*

Kiedy panią Marcjanę zabrano do pracy w folwarku pod Bydgoszczą, Marianna w Potulicach została sama wśród setek obcych ludzi. Zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, w jakim się znajduje: dzieci pozostawione bez opieki zabierano do „ochronek”. Dziewczynka bardzo się tego obawiała, dlatego schowała się w barłogu, przykrywając się resztkami łachmanów. Spędziła tak około trzy dni, nie wychodząc nawet po jedzenie. Czwartego dnia usłyszała słowa wykrzykiwane po niemiecku przez znienawidzonego przez wszystkich kapo Jopka (po wyzwoleniu obozu więźniowie sami powiesili go na bramie): *Lewińska, ty suko!, gdzieś tak długo była, że nie zdechłaś jeszcze?* Wtedy uderzył dziewczynę ciężką, żeliwną nalewką. Już po pierwszym ciosie straciła przytomność: *Ocknęłam się, czując ból głowy. Leżałam na swoim tłumoczku w ochronce. Było tam także kilkanaście dziewcząt i chłopców w moim wieku. Gdy dotknęłam palcami bolącej głowy, poczułam lepką masę zastygłej krwi. Jedno z dzieci powiedziało mi wówczas: „Ale cię urządzili... Masz wiele ran na głowie... i kapo powiedział, że jesteś oporna, i że czeka cię sąd...”. Niewiele trafiało wtedy do mojej świadomości. Wkrótce wyjaśnił mi to jednak kapo o nazwisku Afeld, który w obecności esesmana przeczytał mi oskarżenie, z którego wynikało, że skazują mnie na jedną dobę lochu w zamku za ukrywanie się i nieposłuszeństwo wobec władz obozowych. Po odczytaniu wyroku wziął mnie pod pachę i zaniósł do zamkowej piwnicy. Stało tam kilka zbitych z drewna korytek na wózkach. Kapo położył mnie wtedy w jednym z nich i przywiązał sznurami. Następnie umieścił w piwnicy za ciężkimi drzwiami wśród zupełnych ciemności. Bardzo się bałam. Tak, że nawet nie czułam bólu. Chciałam się uwolnić z więzów, ale nie mogłam (...). Trzęsałam się jak w febrze z powodu narastającej gorączki (...).*

Słyszałam wokół, że coś szeleściło, nie zdając sobie sprawy, że mogły to być szczury. Wkrótce ich ostre pazury poczułam na sobie... Najpierw chciałam je odganiać i szarpałam się, próbując oswobodzić się ze sznurów, którymi byłam przywiązana do korytka. Po pewnym czasie miałam jedynie siłę na to, by wolnymi rękoma zakrywać twarz. Traciłam przytomność. Przywracał mi ją potworny ból. To szczury gryzły moje skrępowane sznurami nogi i stopy. Znowu traciłam przytomność...

Wreszcie ocucił mnie dźwięk otwieranych drzwi i światło z latarki. Nachylał się nade mną kapo, który po odwiązaniu sznurów powiedział: „No wstawaj i idź, śmierdzielu!”. Byłam oblepiona krwią i kałem, a nogi odmawiały posłuszeństwa. Wlokłam się więc na kolanach, popychana nogą kapo. W ochronce ktoś zaniósł mnie do łaźni i umył. Była to kobieta mająca pieczę nad ochronką. Myjąc mnie, mówiła: „O Jezu! Biedactwo! Ale cię urządzili...”. Zapytała, czy nie mam tu nikogo z bliskich. Odpowiedziałam, że mam mamę na robotach i siostry Helę i Reginę w nowym lagrze. Wtedy spytała, jak się nazywam. A ja na to – Marysia Lewińska. Spytała ją wówczas: „Proszę pani, czy ja za chwilę umrę?”. Odpowiedziała mi: „Nie damy ci umrzeć, moje dziecko!”. Ubrała mnie wtedy w czyste rzeczy i zaniósła na posłanie. Opatrzyła mi też rany na głowie. Nogi spuchły i były drętwe. Wkrótce ktoś przyniósł mi kawałek białego chleba i trochę cukru. Ktoś inny powiadomił o moim stanie siostry. Reginie, pracującej w zamaskowanej przyobozowej fabryce części lotniczych „Hausena”, wkrótce udało się przedostać do mnie. Gdy mnie zobaczyła, rozplakała się. Przypominałam małego upiora z czarnymi i spuchniętymi nogami. Już nie chciałam żyć. Odmawiając modlitwę, kończyłam: „i zabierz mnie do tatusia i Janeczki. Amen”.

Siostra Marianny, Helena Gajtkowska (z domu Lewińska), w 1942 r. podjęła pracę w nowym obozie. To, co przeżyła, uwieczniła w maszynopisie: Nasza matka trafiła na roboty do majątku w Gądeczu. Moja młodsza siostra Marysieńka pozostała sama w starym obozie. Miała wówczas 11 lat. Od znajomych dowiedziałam się, że jest ona chora, że nie może chodzić, bo ma wrzody na stopach. Żeby się do niej dostać [pocierałam sobie oczy] kawałkami mydła, abym została przepuszczona do lekarza obozowego do starego lagru. W rezultacie mogłam ją tylko po zastosowaniu takiej metody zobaczyć. Przerazenie i rozpacz ogarnęły mnie na jej widok. Była cieniem dziecka, z potężnym strachem zwierzęcia w oczkach. Buzia

była rozpuchnięta długotrwałą gorączką. Jedyną myślą, która przebiegała mi przez głowę w tej chwili to to, by ją jak najszybciej zabrać stąd, bo będzie z nią szybki koniec. Różnymi sposobami i przez różnych ludzi załatwiałam przeniesienie Marysieńki do nowego obozu – w końcu udało się. Zaniostałam ją najpierw na rękach do lekarza, który zoperował stopy i podleczył strupy na ogolonej głowie (...). Każdego dnia, gdy była pogoda, wynosiłam ją pod barak i tam siedziała do chwili mojego powrotu. Powoli wracało zdrowie – rany na nogach się goiły, a włosy na głowie rosły. Ciągle jednak była głodna, a nie było żadnej możliwości zorganizowania większych porcji, wobec tego, gdy już mogła chodzić, grzebała po śmietnikach [szukając czegokolwiek do zjedzenia]¹.

Pani Marianna ujawnia, że lekarz, który ją opatrzył i dał kilka zastrzyków, ratując tym samym życie kobiety, nazywał się Kąkolewski, pochodził z Torunia. Kiedy – po tych dramatycznych wydarzeniach – czuła się nieco lepiej, któregoś dnia śpiewała w męskim baraku piosenkę o czerwonym jabłuszku. Była słuchana przez kilku więźniów, gdy do baraku weszli kapo i Niemiec. Ten ostatni wyciągnął pistolet i zapytał, co śpiewa. Dziewczyna zanuciła mu melodię. Zrozumiał, co to za piosenka i zaczął się śmiać, chowając pistolet i kierując się stronę wyjścia. Chociaż kilku więźniów „oberwało” za tę sytuację, po wyjściu mężczyźni dali śpiewaczce to, co mogli – każdy po kawałku chleba.

W tym samym czasie pani Marcjanna, matka Marianny, została przywieziona z pracy w folwarku. Była wyczerpana, miewała nawet krwotoki z nosa. To jednak nie było tak bardzo istotne jak fakt, że znów mogła być razem z córką.

Pani Marianna wspomina również, że przez cały pobyt w obozie dwa razy dostali gotowane ziemniaki i kiedyś – na jakieś święto – plaster końskiej kiełbasy. Codziennie jedli „zupę”: wodę z zielskiem z dodatkiem nadpsutej kapusty lub brukwi. Mimo to rodzina Lewińskich miała stosunkowo komfortową sytuację – Helena przez pewien czas pracowała w kuchniach i jadalniach obozowej obsługi i, pragnąc wykarmić matkę i siostrę, czasem przynosiła gorące ziemniaki prosto z kotła. By je przemycić, chowała je w staniku. Mimo pęcherzy i oparzeń poświęcała się tak dla bliskich.

1 Helena Gajtkowska, „Wspomnienia z trzech lat okupacji od 1942 do 1945 roku Heleny Gajtkowskiej, z domu Lewińskiej, zamieszkałej w Pokrzydowie”, Pokrzydowo, luty 1988, maszynopis.

Po pewnym czasie rodzina Lewińskich została przeniesiona do nowego lagru, gdzie warunki były nieco lepsze. Baraki miały okna, a wewnątrz były trzypiętrowe prycze z siennikami. W kranach była nawet bieżąca woda. Jednak znaczną wadą było to, że w nocy wyła obozowa syrena, a wtedy było słychać bieganinę niemieckich żołnierzy, dźwigających ekwipunek. Następnie odbywały się zbiórki na placu, w czasie których liczono więźniów. Pani Marianna nie wie, czy zdarzały się ucieczki, bo nikt ich o tym nie informował.

Z pobytu w obozie przetrwały również i miłsze wspomnienia. Na przykład czas Bożego Narodzenia w 1943 r., kiedy Niemcy obchodzili święta ze swoimi rodzinami, a w Potulicach zostali tylko więźniowie strzeżeni przez wachmanów. Lewińskie były umieszczone wtedy w baraku numer 9, którego pilnowała kobieta kapo. Pozwoliła ona urządzić Wigilię. Marianna została ubrana w czystą, białą koszulę. Ktoś zrobił jej skrzydła z papieru. Regina wycięła w warsztacie gwiazdę z blachy i przemyciła ją, by przymocować na głowie siostry. Ubrana w ten strój, dziewczyna chodziła korytarzem baraku i śpiewała wraz z innymi kobietami: *Bóg się rodzi, moc truchleje... Ogień krzepnie, blask ciemnieje, Ma granice Nie-skończony; Wzgardzony, okryty chwałą, Śmiertelny Król nad wiekami...* Można się tylko domyślać, że to wydarzenie było ważne dla więźniarek. Jak podkreśla pani Marianna, słowa powszechnie znanej kolędy nabierały wtedy dla nich zupełnie innego, wyjątkowego wymiaru i znaczenia. Być może na nowo narodziła się w nich nadzieja, że Bóg – jak każdego roku – rodzi się w tym samym miejscu i o tej samej porze, by udowodnić ludziom, że można bez końca zaczynać od początku. Że dla nich – wzgardzonych, żyjących w nieludzkich warunkach – jest szansa, by okryć się chwałą polskości po wojnie.

Takie miłe wydarzenia miały miejsce sporadycznie. Rzeczywistość obozowa była dużo bardziej brutalna: *W marcu 1944 r. na obozowym placu zgromadzo-no dzieci powyżej 10 lat i ustawiono w szeregu. Trzymałam się kurczowo matki i siostr. Za nic nie chciałam, by nas rozdzielono. Kapo odliczał po dziesięć osób. Siłą oderwał mnie od matki i dołączył do grupy odliczonych dziewczynek. Następnie do każdej grupy przydzielał starszą kobietę. Nie wiedzieliśmy jednak, po co to robi i co nas czeka. Mieliśmy godzinę na przygotowanie się do odjazdu i zabranie rzeczy. Wkrótce okazało się, że wywieziono nas do pracy w majątkach należących do Niemców. Wieziono nas koleją, a potem wozami. Gdy nocą przywieziono nas do*

jakiegoś majątku w miejscowości, której nazwy nawet nie pamiętam, co prawda w kuchni dano nam jeść, ale właścicielka odmówiła przyjęcia „takich pracowników”. Wozem wieziono nas zatem dalej. Trafiliśmy w końcu do jakiegoś majątku w pobliżu Jabłonowa Pomorskiego. Wkrótce okazało się, że to Nowy Młyn. Tu nas przyjęli. Nie miałam pojęcia, że jestem tak blisko domu i Pokrzydowa. Właścicielem majątku w Nowym Młynie pod Jabłonowem był niejaki Konrad, który wraz ze swoimi trzema synami był na wojnie. Jego żona i córka Elza okazały się litościwe. Przyjęto nas, chociaż proszono o silnych robotników, a nie wychudzone i słabe dzieci. Wraz ze mną trafiły tu dziewczynki z obozu w Potulicach: Bronisława Kupc, Olimpia Lenke, Irena Kurpiewska, Janina Las, Cecylia Lipiecka, Eleonora Ligmam, Genowefa Lodowska, Zofia Ligenza i Wanda Kurzyńska. Naszą opiekunką z obozu była Waleria Jereczko.

Dopiero tu, w Nowym Młynie, Marianna mogła zacząć żyć normalnie – z dostatkiem jedzenia, bez bicia. Mogła także praktykować swoją wiarę – pozwolono jej chodzić do kościoła w Jabłonowie. Wszystkie dziewczęta pracowały w polu, w ogrodzie, w kuchni. Prace wykonywały starannie, by w jakimś stopniu móc podziękować za dobro, które otrzymywały od tej rodziny. Pozwolono nawet, by Marianna wysyłała paczki żywnościowe do obozu dla matki – część swojego przydziału chleba oraz kostkę margaryny. Dziewczyna dożywała się u pracowników na folwarku.

W czasie świąt Bożego Narodzenia były więźniarki wystawiły dla pani Elzy bajkę *Król Drozdobrody*. Dostały za to po upominku i kawałku ciasta. Pani Marianna wspomina, że było wówczas tak serdecznie, że czuły się wręcz wolne.

W końcu nadszedł styczeń 1945 r. Czas, w którym Niemcy odeszli z terenów polskich, a wkroczyła na nie Armia Czerwona. Ludzi jednak nieustannie dręczyły obawy o losy bliskich. Już w marcu Marianna została odnaleziona przez siostrę Helenę. Regina i matka znajdowały się w Pokrzydowie. Ich gospodarstwo było zrujnowane. Teoretycznie mogły zacząć wszystko od nowa. W praktyce – były do tego zmuszone, chociaż nie miały na to ani pieniędzy, ani siły fizycznej, a tym bardziej psychicznej. Pani Marcjanna wciąż nie wierzyła w śmierć męża.

Nawet umierając na raka, wierzyła, że Andrzej wróci z wojny.

Regina Lewińska, siostra Marianny, umarła w 1961 r., mając 32 lata, na ziaranicę złośliwą. Osierociła dwoje dzieci.



Barbara Kopańska wręcza folder Mariannie Grochowalskiej, autorce tomu wierszy pt. *Ziemio brodnicka, moja ziemio...* (fot. Radosław Stawski)

fotografii”, w ramach którego promowany był tomik wierszy pani Marianny *Ziemio brodnicka, moja ziemio...*

W rozmowie z panem Radosławem Stawskim, przeprowadzonej 12 stycznia 2011 r., pani Marianna wyznała: *Po raz pierwszy tak szeroko opisuję swoje przeżycia. Myślałam, że będę to robiła ze spokojem, skoro minęło już tyle lat (...). Opowiadając, przeżyłam to jednak wszystko na nowo i wspomnienia odżyły (...). Tego już nie da się zapomnieć...*

Najtrudniejszą walką, jaką człowiek musi stoczyć, jest walka o wolność. Jednym z bohaterów, którym się to udało, jest pani Marianna Grochowalska, dziś niemal 82-letnia mieszkanka Pokrzydowa, która była więźniem obozu w Potulicach.

Pani Marianna w 1950 r. podjęła pracę zawodową. W 1954 r. wzięła ślub. Wychowała czworo dzieci. Doczekała się sześciora wnucząt oraz dwóch prawnuczek. Od 1981 r. jest na rencie. Choruje na serce. Jej mąż, Joachim, zmarł.

Kobieta dużą wagę przykładą do historii swojej rodziny. Sama jednak przyznaje, że *Całość „drzewa” pomógł mi poskładać wuj Marian. On wie wszystko. Ja byłam zbyt mała i tak krótko znałam ojca. Wszystkie dokumenty i pamiątki zaginęły w czasie wojny.*

Warto wspomnieć, że pani Marianna nadal aktywnie działa w swoim regionie. Wzięła udział w projekcie „Babcia wszystko potrafi”, podjętym przez Stowarzyszenie Rozwoju Wsi Pokrzydowo i Okolic w ramach z oferty konkursowej „Wspieranie aktywizacji i integracji społecznej seniorów”, ogłoszonej przez Urząd Marszałkowski w Toruniu. W listopadzie Stowarzyszenie zdołało podsumować projekt „Nasz region w poezji i na

Podczas jednej z kilku przerw w obozowej opowieści pani Marianna nuciła jakby z dawna zapomnianą, ułożoną przez siebie obozową pieśń:

Smutno więźniarką być w ręku gestapo żyć
Na brudnej słomie spać na Achtung wstawać.
Ref.: Za kratą szumi wiatr on słucha naszych skarg
Blask słońca złotem lśni na drutach drży
Choć chiromantki trzy wróżą wolności dni
Ja wiem, że będzie obóz KZ2

Ta dramatyczna historia nigdy nie musiała się wydarzyć. Losy rodziny Lewińskich mogłyby potoczyć się zupełnie inaczej, gdyby 13 kwietnia 1940 r. esesmani nie pojawili się przed drzwiami ich domu... Gdyby nie szaleństwo Hitlera, który zaplanował, że Żydzi i słowiańscy Polacy mają ulec zagładzie, ponieważ są „rasą niższą”... Gdyby nie plan rozbudowy państwa Aryjczyków na chwałę Tysiącletniej Rzeszy Niemieckiej...

Jeżeli jednak uznać, że każde cierpienie ma sens, to na pewno ani śmierć członków tej rodziny, ani żadna sekunda ich walki o wolność nie jest bez znaczenia dla historii. Nie wolno nam zapomnieć, że historii nie tworzą tylko wielcy i znani ludzie. Za nimi stoją miliony tych, których nazwisk nigdy nie poznamy. Nigdy nie będzie nam dane stwierdzić, czy gdyby zmienił się maleńki element w losach jednego człowieka, to nie zmieniłby się bieg historii.

Każdy człowiek, tworząc swoją własną historię, tworzy jednocześnie wielką historię ludzkości.

Źródła informacji:

1. Rozmowa z panią Marianną Grochowalską przeprowadzoną przez pana Radosława Stawskiego 12 stycznia 2011 r. – z tego źródła pochodzą przytoczone w pracy cytaty pani Grochowalskiej (z domu Lewińskiej)
2. Helena Gajtkowska, „Wspomnienia z trzech lat okupacji od 1942 do 1945 roku Heleny Gajtkowskiej, z domu Lewińskiej, zamieszkałej w Pokrzydowie”, Pokrzydowo, luty 1988, maszynopis
3. Tłumaczenie z języka niemieckiego – Beata Górka (Brodnica)
4. Ustalenie informacji w sprawie niemieckich właścicieli Nowego Młyna – Adam Orzech (Jabłonowo Pomorskie)

III miejsce

kategoria: szkoły ponadgimnazjalne

Laura Wollert

opiekun: Zofia Wojtalik

Zespół Szkół w Chełmży

Liceum Ogólnokształcące im. Komisji Edukacji Narodowej

„KOBIECY, ŻONY, MATKI, CÓRKI...”

Historia pomordowanych Żydówek z Bocienia i Szerokopasu

Moje rodzinne miasto, Chełmża, w czasie II wojny światowej leżało na terenach wcielonych do III Rzeszy. Przed wojną w Chełmży nie mieszkało dużo Żydów i tak naprawdę nie wiadomo, jaki stosunek do nich mieli polscy mieszkańcy miasta. Ich liczba stanowiła około 40 osób. W Chełmży Żydzi osiedlili się pod koniec XVIII w. Założono wówczas cmentarz wyznania żydowskiego oraz powstała synagoga. Jednak oba te miejsca we wrześniu 1939 r. zostały zniszczone przez hitlerowców¹. Synagoga była pięknym zabytkiem historycznym, ale dzisiaj nie ma po niej żadnego śladu. W miejscu tym obecnie mieści się budynek byłego szpitala dziecięcego. W 2008 r. odsłonięto tutaj tablicę upamiętniającą

1 P. Birecki, *Dzieje sztuki w Chełmży*, Chełmża 2001, s. 54.

żydowską synagogę. Nie jest to jedyny akcent po zamieszkałych w Chełmży Żydach. U zbiegu ulic Górnej i 3 Maja znajduje się skwerek, który przed wojną był cmentarzem żydowskim.

Żydzi w moim mieście byli bogatymi kupcami, bankierami, bardzo mocno zasympilowanymi z niemieckimi mieszkańcami miasta. Tak naprawdę dzieliła ich tylko religia. W latach 20. XX w. duża część chełmżyńskich Żydów wyemigrowała do Niemiec.

Postawa Polaków wobec Żydów w czasie II wojny światowej jest tematem burzliwej dyskusji i w różny sposób jest oceniana. Według Jana Tomasza Grossa Polacy nie zawsze mieli dobre nastawienie do Żydów. W *Złotyach żniwach* Gross prezentuje pogląd, że Polacy przejmowali żydowskie mienie przy współudziale polskich środowisk prawniczych czy granatowej policji. Autor opowiada również o ciężkiej sytuacji Żydów mieszkających na polskiej wsi. Pyta o rolę Kościoła katolickiego w kształtowaniu zachowań wiernych wobec Żydów. Nie stroni od ostrych historycznych, ale również moralnych ocen, w żaden sposób nie ukrywa swoich emocji². Gross nie opowiada o tych Polakach, którzy z narażeniem życia swojego i własnej rodziny uratowali wiele istnień żydowskich. W książce nie ma słowa o Irenie Sendlerowej, która uratowała około 2500 dzieci żydowskich. Nie wspomina o Polakach, którzy stanowią największą liczbę wśród odznaczonych najwyższym izraelskim odznaczeniem cywilnym nadawanym nie-Żydom, medalem Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata przez Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów Holocaustu Yad Vashem. Jest ich 6394 Polaków; czyli 26 proc. liczby wszystkich odznaczonych tym medalem³. Mówi natomiast o tych Polakach, którzy nie zasłużyli na dobre słowa i pamięć...

Jednak w opozycji do tej książki staje zachowanie mieszkańców małej wioski pod Chełmżą, którzy byli świadkami strasznej, bestialskiej zbrodni, jaka dokonywała się na ich oczach, a także byłego proboszcza, księdza kanonika Zbigniewa Koślickiego. Dźwierzno, bo o tej wiosce mowa, jest miejscem pochówku około 7 tys. kobiet – Żydówek, które zmuszane do ciężkiej, niekończącej się pracy, umierały w brudzie, głodzie, chorobie i braku nadziei na przetrwanie. Ich zmal-

² J.T. Gross, *Złote żniwa. Rzecz o tym, co się działo na obrzeżach zagłady Żydów*, Kraków 2011.

³ Names and Numbers of Righteous Among the Nations – per Country & Ethnic Origin, as of January 1, 2013.

tretowane ciała były zakopywane na cmentarzu w Dźwierźnie. Ludność wsi była niemyym świadkiem tragicznego losu tych kobiet. Kiedy udawały się do pracy przy budowie umocnień, mieszkańcy wsi rzucali im cebulę, narażając własne życie, ponieważ jakakolwiek pomoc Żydom była przez Niemców karana śmiercią.

Pomimo wielu lat, które minęły od tych wydarzeń, pamięć o tych kobietach przetrwała. Tym, który przyczynił się do tego, jest ksiądz kanonik Zbigniew Koślicki, dla którego kobiety te przede wszystkim były matkami, córkami i żonami. Ksiądz, dzięki swej determinacji, doprowadził do utworzenia miejsca pamięci poświęconego żydowskim kobietom. We wsi stanął piękny pomnik, przy którym zawsze stoją świeże kwiaty. Miejszem ich spoczynku jest aleja obsadzona pięknymi świerkami. To ksiądz zainspirował ludność tej małej wioski, by uczcić pamięć pomordowanych Żydówek.

Mieszkańcy Dźwierzna reprezentują postawę zgoła odmienną od postaw Polaków wobec Żydów opisywanych w książkach Grossa. Stoją w opozycji do wydarzeń z Jedwabnego oraz innych miejsc, gdzie Polacy ukazani zostali jako oprawcy bądź współpracownicy Niemców w eksterminacji Żydów. Dlatego właśnie podjęłam się tego tematu, trudnego, ale skłaniającego do refleksji. Do zastanowienia się, jakim bestialstwem i okrucieństwem potrafią wykazać się ludzie w stosunku do drugiego człowieka, którego jedynym „grzechem” było urodzić się Żydem.

Jest także ukłonem dla tych mieszkańców, którzy przyczynili się do godnego uczczenia pamięci pomordowanych Żydówek i nie bali się o tym mówić. Chciałabym także, żeby ta praca stała się cegiełką ponad podziałami, które dzisiaj są tak bardzo widoczne w naszym społeczeństwie.

„A WIĘC WOJNA...”

Plan ataku na Polskę zakładał wojnę błyskawiczną, co oznaczało, że działania zbrojne miały trwać zaledwie kilka dni. Hitler wystawił przeciwko Polsce pięć armii podzielonych na dwie grupy: Północ i Południe. Natarcie sił nieprzyjaciela odbywało się w trzech kierunkach: od strony Pomorza i Prus Wschodnich, z Górnego Śląska oraz ze Słowacji. Obrona Polski pod kryptonimem „Zachód” zakładała prowadzenie działań do czasu rozpoczęcia ofensywy przez zachodnich sprzymie-

rzeńców. Pierwszym punktem obrony była ochrona granic, a drugim bezpośredni opór stawiany nieprzyjacielowi. Wojsko Polskie, dowodzone przez marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza, zostało podzielone na siedem armii oraz samodzielne grupy operacyjne, które pozostawiono na wschodzie. 17 września 1939 r. na wschodnie tereny Polski, na mocy układu Ribbentrop–Mołotow, wkroczyła Armia Czerwona. Zdradziecka napaść Związku Radzieckiego na Polskę przypieczętowała klęskę państwa polskiego. Kampania polska zakończyła się na początku października, po przegranej bitwie pod Kockiem 5 października 1939 r.⁴

Ziemie polskie pod okupacją niemiecką zostały podzielone w następujący sposób:

Ziemie wcielone do III Rzeszy: Pomorze, Wielkopolska, Śląsk, część województwa warszawskiego, łódzkiego i kieleckiego oraz po napaści na ZSRR województwo białostockie.



Tereny Polski zajęte przez
III Rzeszę i Związek Sowiecki
(podział w okresie 28.09.1939–22.06.1941)

Generalne Gubernatorstwo (powstałe 12 października 1939 r.): część województwa warszawskiego, część województwa kieleckiego i krakowskiego, ziemie między Bugiem a Wisłą, czyli województwa lubelskie i rzeszowskie, po

4 K. Cegieła, *Polacy ratujący Żydów w latach II wojny światowej*, Warszawa 2008, s. 5.

napaści na ZSRR dystrykt Galicja. Stolicą Generalnego Gubernatorstwa stał się Kraków, a generalnym gubernatorem został Hans Frank. Obszar ten miał być zapleczem siły roboczej, pracującej dla III Rzeszy.

Plany niemieckie zakładały odmienne potraktowanie ludności z ziem wcielonych do Rzeszy oraz GG. Mieszkańcy ziem wcielonych do III Rzeszy mieli być poddani całkowitej germanizacji jeszcze w czasie trwania wojny. Ludność polska miała być wysiedlona i zastąpiona ludnością narodowości niemieckiej. Tych, którzy pozostali, zniemczano poprzez zmuszanie do podpisywania Niemieckiej Listy Narodowej (*Deutsche Volksliste*). Podpisywała ją ludność, która miała niemieckich przodków. Podpis na tej liście gwarantował im pewne przywileje, ale również i obowiązek służby w armii III Rzeszy. Szczegółnej germanizacji poddawano ludność Śląska i Pomorza. Zlikwidowano polskie szkolnictwo, instytucje naukowe i kulturalne. Generalne Gubernatorstwo do 1941 r. traktowano jako zaplecze niewykwalifikowanej siły roboczej, utrzymywanej na niskim poziomie kulturalnym i materialnym, w bezwzględny posłuszeństwie wobec III Rzeszy.

Na ziemiach okupowanych przez Niemców wprowadzono niemieckie prawo rasowe, które nakazywało rozdzielenie społeczeństwa polskiego według kryteriów rasistowskich. Działania mające na celu ścisłe odseparowanie społeczności polskiej i żydowskiej rozpoczęły się już w pierwszych dniach okupacji⁵. W tym celu początkowo wprowadzono oznaczenia opaskami z gwiazdą Dawida, przeznaczone dla ludności żydowskiej, a później przeprowadzono szereg wysiedleń do miast, w których tworzone getta dla Żydów. Osoby tam umieszczone obowiązywał zakaz opuszczania wyznaczonej dzielnicy pod groźbą kary śmierci. Taką samą karę wyznaczono dla osób, które udzieliłyby uciekinierom pomocy.

15 października 1941 r. generalny gubernator Hans Frank podpisał „Trzecie rozporządzenie o ograniczeniu pobytu w Generalnym Gubernatorstwie”. Rozporządzenie Franka przewidywało, że *Żydzi, którzy bez upoważnienia opuszczają wyznaczoną im dzielnicę, podlegają karze śmierci. Tej samej karze podlegają osoby, które takim Żydom pomogą*. Celem tego rozporządzenia było zniechęcenie Żydów do szukania ratunku poza gettem oraz odstraszenie ludności polskiej od świadczenia im jakiegokolwiek pomocy.

5 T. Prekerowa, *Konspiracyjna Rada Pomocy Żydom w Warszawie 1942–1945*, Warszawa 1982, s. 27.

20 stycznia 1942 r., podczas konferencji w Wannsee, władze III Rzeszy podjęły decyzję o zagładzie narodu żydowskiego. Po zakończeniu wysiedleń oraz deportacji europejskich Żydów do gett zlokalizowanych w okupowanej Polsce, 22 lipca 1942 r. Niemcy rozpoczęli program wywózek ich mieszkańców do obozów zagłady w ramach tzw. Operacji Reinhardt, której celem była fizyczna likwidacja ludności żydowskiej⁶.

Jednym z miejsc, gdzie dokonywała się eksterminacja ludności żydowskiej, był obóz Stutthof.

STUTTHOF

Był to jeden z pierwszych i najwcześniej istniejących hitlerowskich obozów na terenie Polski. Funkcjonował od 2 września 1939 do 9 maja 1945 r. Obóz ten powstał na obszarze Wolnego Miasta Gdańska i od samego początku stanowił główny ośrodek masowej eksterminacji ludności na terenach Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie.

Na początku września 1939 r. w Gdańsku doszło do pierwszych aresztowań. Według danych z tego okresu aresztowano około 1500 Polaków. Z tego wybrano 150 osób, które przewieziono w okolice miejscowości Sztutowo, gdzie budowa-



Główna brama obozu STUTTHOF

no obóz. Tak właśnie rozpoczęła się tragiczna⁷ historia tego miejsca.

Pierwsi więźniowie przewiezieni zostali na małą polanę w lesie, gdzie rozpoczęli przygotowanie terenu pod budowę obozu. Polegało to na wycinaniu drzewostanu, karczowaniu i wyrównywaniu terenu. Wycięte drzewa przewożono do

⁶ Akcja Reinhardt. Zagłada Żydów w Generalnym Gubernatorstwie, red. D. Libionka, Warszawa 2004.

⁷ M. Owsieński, *Pamiętamy, Pamiętam... Pomorze Gdańskie i obóz Stutthof 1939–1945*, Warszawa – Sztutowo 2012, s. 2.

dniach po ataku Rzeszy na ZSRR 22 czerwca 1941 r. Trafili do obozu, ponieważ w dniu rozpoczęcia agresji na ZSRR przebywali na statkach radzieckich w porcie gdańskim. W obozie obowiązywał system oznaczania więźniów. Czerwony trójkąt oznaczał więźnia politycznego, zielony – więźnia kryminalnego, czarny – aspołecznego, różowy – homoseksualistę, fioletowy – badacza Pisma Świętego, więźniów żydowskich oznaczano żółtą gwiazdą Dawida. W środku oznaczenia umieszczano litery identyfikujące narodowość osadzonego.

Wiosną 1942 r. do Stutthofu przybyły transporty z innych obozów koncentracyjnych. Najpierw z Buchenwaldu 114 osób, z Mauthausen – 122 osoby, Flossenburga – 512 osób. W każdej z tych grup znajdowali się więźniowie wielu narodowości: Niemcy, Czesi, Holendrzy, Belgowie, Jugosłowianie, Rosjanie. 25 maja 1942 r. z Warszawy przybył pierwszy transport z więzienia na Pawiaku.

W 1942 r. rozpoczęła się rozbudowa obozu, która trwała do jesieni 1944 r.

We wrześniu 1942 r. uruchomiono w obozie krematorium, ponieważ od początku jego istnienia zwłoki więźniów wywożono do Gdańska i grzebano w masowych mogiłach na cmentarzu na Zaspie.

21 listopada 1943 r. do Stutthofu przybył pierwszy transport więźniów narodowości żydowskiej spoza terenu Pomorza. Była to grupa 300 osób z getta w Białymstoku. W sierpniu 1943 r. stan fizyczny więźniów był bardzo zły. Część z nich już w czasie podróży zmarła z wyczerpania, a duża ich liczba po kilku tygodniach pobytu w obozie i przy pracy w karczowaniu lasu.

Czerwiec 1944 r. był przełomowy w dziejach obozu, ponieważ zmienił się jego charakter – na obóz zagłady. Pierwszy transport Żydówek przybył 29 czerwca 1944 r. z Auschwitz. Były to Żydówki węgierskie, w stanie skrajnego wycieńczenia. W tym samym czasie zaczęły przybywać do Stutthofu transporty z ośrodków odosobnienia w krajach nadbałtyckich. Pierwsze odnotowano 12 i 13 lipca 1944 r. W tych transportach znajdowało się 4785 więźniów narodowości żydowskiej, głównie kobiet z dziećmi. Następne transporty odnotowano 16 i 17 lipca. Przybyło w nich wówczas 3377 Żydów z getta w Szawłach.

Obóz w żaden sposób nie był przygotowany na taką liczbę więźniów. W sierpniu 1944 r. do Stutthofu przybyły kolejne rekordowo duże transporty. Łączna liczba więźniów żydowskich osadzonych w obozie jest szacowana na 49 tys. osób. Liczbę więźniów narodowości żydowskiej, którzy przeżyli pobyt w Stutt-

hofie lub jego podobozach, ocenia się na około 1100 osób⁹. Pod koniec wojny część kobiet żydowskich Niemcy skierowali do pracy przy umocnieniach. Trafiły one w okolice Chełmży i Torunia.

Najtragiczniejszy okres w historii obozu przypada na styczeń 1945 r., kiedy to objęto obóz działaniami zmierzającymi do przeniesienia więźniów poza rejon zagrożony walkami. Rozkaz ewakuacji został wydany 25 stycznia 1945 r. Jednak bardzo szybko okazało się, że plan ten jest nierealny. Więźniowie poruszali się zbyt wolno, większa część maszerujących zmarła z wycieńczenia. Więźniowie byli traktowani w nieludzki sposób, brutalnie. „Marszu śmierci” nie przeżyło około 16 500 osób. W okresie od 2 września 1939 do 17 stycznia 1945 r. w obozie osadzonych zostało 105 302 więźniów. Opierając się na częściowo zachowanej dokumentacji obozowej oraz relacjach świadków, w Stutthofie śmierć poniosło około 63–65 tys. więźniów.

W kilku procesach po wojnie tylko stu esesmanów oraz sześciu nadzorujących było sądzonych. Większość z liczącej ponad 2000 członków załogi SS uniknęła odpowiedzialności za swoje czyny¹⁰.

BOCIEŃ

Żydówki z obozu w Stutthofie trafiły w okolice mojego miasta. Pierwszą grupę kobiet, zakwaterowaną w miejscowości Bocień, podzieloną na kilka komand roboczych, skierowano do pracy w rejonie Chełmży; kolejną grupę osób skierowano do majątku Szerokopas, następnie do Grodna, a trzecią, liczącą 1700 Żydówek, rozmieszczono w rejonie Torunia w miejscowościach Gniewkowo, Górsk, Chorabie. Miejscowości te były główną bazą, z której więźniarki wychodziły do okolicznych wsi, aby pracować przy umocnieniach polowych.

Opuszczając obóz macierzysty, zostały zaopatrzone w jedną kołdrę, jedno naczynie stołowe z łyżką oraz w jeden ręcznik i kostkę mydła. Ich narzędziami pracy były taczki, łopaty, kilofy, których używały do kopania zygzakowato biegnącego rowu o głębokości co najmniej 2 metrów oraz bunkrów przeciwpancernych.

⁹ Tamże, s. 11.

¹⁰ Tamże, s. 13.

Warunki, w jakich przyszło żyć tym żydowskim kobietom, oraz praca, jaką każdego dnia wykonywały, miały jeden cel: całkowitą ich eksterminację.

Ze wspomnień więźniarek, którym udało się przeżyć, wiemy, że kobiety przechodziły największe tortury: były bite, miały łamane kręgosłupy, skakano po ich ciałach, były rozstrzeliwane. Poza tym wiele z więźniarek umarło z głodu, a także bardzo ciężkich warunków, w jakich żyły. Spały w brudzie i swoich odchodach. Więźniarki, Żydówki z Węgier, Polski, Niemiec, które przybyły do miejscowości Bocień, zostały umieszczone w dużym drewnianym budynku gospodarczym w miejscowym majątku. Stąd codziennie, w grupach liczących 200–300 osób, wychodziły do pracy do odległych miejscowości. W podobozie panowało wiele różnych chorób, takich jak tyfus plamisty, wszawica, dyzenteria. Jedzenie, jakie dostawały, równie dobrze mogło być podawane zwierzętom. Te z kobiet, które nie nadawały się do dalszej pracy, były z rozkazu majora rozstrzeliwane bądź uderzane kolbą w głowę, co doprowadzało do ich powolnej śmierci. W Dźwierźnie, w mierzącym około 100 metrów i głębokim na 2 metry rowie zakopywano ciała zabitych Żydówek. Obecnie na cmentarzu w Dźwierźnie, w miejscu pochówku Żydówek, dzięki staraniom księdza kanonika Zbigniewa Koślickiego oraz lokalnej społeczności, ufundowano pomnik poświęcony pamięci ofiar obozów w Boceniu i Szerokopasie¹¹.

Ksiądz kanonik Zbigniew Koślicki jest bardzo znaczącą postacią związaną z miejscem pamięci poświęconym Żydówkom z Bocienia i Szerokopasu. To on zainicjował uporządkowanie i upamiętnienie miejsca pochówku tych kobiet. Pełnił wtedy posługę kapłańską w parafii w Dźwierźnie jako proboszcz. Obecnie przebywa na emeryturze. Przeprowadziłam z księdzem rozmowę. Opowiedział mi, jak historia Żydówek z Bocienia wplotła się w życie jego i mieszkańców małej wsi Dźwieržno.



Ks. kanonik Zbigniew Koślicki

11 M. Świąchowicz, *My z Dźwierzna. Uczcić pamięć pomordowanych*, „Newsweek”, 13 VII 2013.

Jak rozpoczęła się księdza historia połączona z historią Żydówek z Bocienia?

Nastałem tu w 1969 r., w czerwcu, w święto Piotra i Pawła. W swoim życiu znałem wielu proboszczów i często czerpałem z ich wiedzy i doświadczenia, wprowadzając ich nauki w moje dokonania. Znałem kiedyś proboszcza Lorenza, kiedy umierał, miał 98 lat. Powiedział mi on kiedyś pewne słowa: „Nie przyjadę do ciebie do plebanii, nie przyjadę do kościoła, ale przyjadę do ciebie i pójdę najpierw na cmentarz. Spojrzę na niego i poznam, jak ludzie wierzą. Jaka jest wiara w parafii”. Kiedy wróciłem od niego, od razu udałem się na cmentarz. Miałem ze sobą mojego psa Ciapka. Kiedy doszliśmy na cmentarz, pies zaczął piszczeć, hałasować, podrapał się krzakami i zaroślami, które tam rosły. Od tego momentu zacząłem się zastanawiać, dlaczego ten cmentarz tak strasznie wygląda. Właśnie wtedy dowiedziałem się, że w Bocieniu i Szerokopasie znajdował się podobóz Stutthofu. Stamtąd przywożone były, w końcu 1943 r., a szczególnie w 1944 r., Żydówki. Było ich około 7 tysięcy. Z tej ogromnej liczby kobiet przeżyło tylko około 700 Żydówek.

W jaki sposób zrodziła się inicjatywa stworzenia miejsca pamięci poświęconego tym kobietom?

Razem z sędzią z Torunia zrobiliśmy mały wywiad i obliczyliśmy, że w Dźwierznie leży około 2,5 tysiąca Żydówek. Moje starania rozpocząłem od zainicjowania budowy drogi dojazdowej do cmentarza. Dotychczasowa droga była zawsze pełna błota i bez gumowych butów to nikt czysto tam nie przechodził. Trzy lata trwały moje starania. Któregoś razu otrzymałem pismo z ministerstwa, że chwali się moją inicjatywę, ale niestety nie ma pieniędzy na pomoc. Bardzo zdenerwowałem się tą wiadomością i napisałem do ministra bardzo szczerą odpowiedź. Oznajmiłem, że na najbliższej mszy powiem mieszkańcom wioski, że pieniądze, które są przeznaczone na innowacje i pomoc, ministerstwo przeznacza na swoje wygodę i pieczętunki. Na początku lat 70. w Toruniu miała miejsce profanacja cmentarza św. Jakuba. Naczelnik całego powiatu zebrał nas w Toruniu i nakazał, abyśmy ogrodzili i zabezpieczyli cmentarze w swoich parafiach. Ja to wykorzystałem. Od naczelnika dostałem pomoc w postaci możliwości kupna 1,5 tony cementu. Wtedy zebrałem ludzi i zaczęliśmy likwidować wszystkie chwasty, wycinać niepotrzebne drzewa, aby oczyścić cmentarz. Ogrodziliśmy go. Podziwiałem ludzi, naprawdę byłem

pełen podziwu dla nich. Ludność pochodząca z majątków również pomagała. Orali na cmentarzu, aby wszystko wyrównać i doprowadzić część jeszcze niezajątą do użytku.

Proszę opowiedzieć, jakie było nastawienie mieszkańców Dźwierzna do sprawy Żydówek z Bocienia?

Świadkowie tych wydarzeń z czasów wojny nadal żyją, jednak są to już starsi ludzie. Dlatego ta pamięć już nie jest taka sprawna. W latach 70. przyjechał do mnie wspomniany wcześniej sędzia z Torunia, który chciał przeprowadzić swego rodzaju wywiad, zebrać dokumentację całej tej sprawy. Poprosił mnie, abym mu pomógł. Nie miałem nic przeciwko. Na mszy ogłosiłem, że przyjechał sędzia w sprawie Żydówek z Bocienia. Poprosiłem, że jeśli jacyś mieszkańcy coś wiedzą, mogą zgłaszać się. To był mój błąd, ponieważ kiedy ludzie usłyszeli, że „sędzia z Torunia przyjechał”, to bardzo się przestraszyli. Nie przyszli na spotkanie związane z Żydówkami. Myśleli, że jeśli przyjechał sędzia, to będzie jakiś sąd. Z drugiej strony, nie w każdym wypadku uważali, że Żydzi byli wobec nas porządni. Jeden z biskupów [Bernard] Czapliński był w Oświęcimiu i Mauthausen. W tych obozach tzw. obozowymi kapo byli Żydzi. Dlatego ludzie się bali. Dopiero po czasie, kiedy przyjechał ktoś z gazety i jeszcze raz poprosiłem, zaczęli wspominać o tym dramacie. Wspomnienia były bardzo bolesne dla każdego z nich. Patrzyli na cierpienie ludzkie i nie mogli z nim nic zrobić. Nie mieli na to żadnych szans.

Czego ksiądz się dowiedział od mieszkańców o tym, co się w tej okolicy wydarzyło?

Te kobiety zostały zakopane poza cmentarzem. Kiedy rolnicy wyjeżdżali na pole po słomę, to przejeżdżali po tych Żydówkach. W tym miejscu rosły tzw. babie zęby. Niemcy codziennie obok cmentarza przywozili około trzech wozów ciał i hakami wrzucali je do rowu szerokiego na 2 metry i długiego na 100 metrów. Chciałem wytyczyć to miejsce, gdzie te kobiety mają swój spoczynek. Zasadziłem po jednej i po drugiej stronie rowu aleje świerków. Przy pracach renowacyjnych cmentarza nie natknęliśmy się na żadne szczątki ludzkie. Nie wierzę w to, aby ludzie jeszcze rozkopywali groby w poszukiwaniu złotych zębów czy innych wartościowych rzeczy. Żołnierze nie wypuściliby zwłok bez sprawdzenia przedtem, czy nie mają czegoś

przy sobie. Mieszkańcy, którzy pracowali przy zwalaniu ciał do grobu, mówili, że ciała były bardzo zmaltretowane, czaszki zmiażdżone, szczęki powyrywane. Nic przy sobie nie miały. Ciała były zakopywane warstwowo, przysypywane najpierw wapnem, a potem ziemią. Ci, którzy zajmowali się zwożeniem ciał, często mieli wrażenie, że niektóre Żydówki nadal jeszcze żyły.

Dlaczego katolicki ksiądz zajął się sprawą Żydówek?

To pytanie było mi najczęściej zadawane. Zawsze odpowiadam na nie jednakowo. Dla mnie to nie były tylko Żydówki, ale kobiety, żony, matki, córki. Przy każdym powstaniu narodowym czy wojnie to właśnie kobieta, kiedy mąż szedł walczyć, zostawała w domu z gromadką dzieci. Kobieta musiała sobie poradzić. Wyżywić swoją rodzinę i samą siebie. Dlatego podkreślałem i nadal podkreślam: dla mnie to były kobiety, niewinne niewiasty, a nie tylko Żydówki. Chociaż ja również mam jakieś swoje pretensje do tego narodu. Byłem na 40-lecie swoich święceń w Ziemi Świętej na wycieczce. Nie znalazłem tam ani jednego pomnika poświęconego Polakom. Są tabliczki przy muzeum w Jerozolimie „Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata” związane z ratowaniem Żydów oraz drzewa oliwne i to wszystko, nic więcej nie ma. Dostałem list od przewodniczącego Związku Żydów Europejskich z podziękowaniem za troskę okazaną temu miejscu w Dźwierznie. Prosił, abym podziękował również swoim współpracownikom. Po roku odpisałem mu, że nam nie chodzi o podziękowania, ponieważ uważamy to jako swój obowiązek okazania godności człowiekowi. Napisałem również, że nadal zbieramy fundusze na modernizację tego miejsca, i że jeśli sami będziemy zbierać, to bardzo długo nam to zezjdzie, więc będziemy bardzo wdzięczni za najdrobniejszą pomoc, jednak do dzisiaj nie dostałem żadnej odpowiedzi.

Jak przebiegała zbiórka funduszy?

Tę tablicę, którą mamy przy cmentarzu dzisiaj, ufundowała gmina w 2001 r. Różnych tablic upamiętniających mieliśmy kilka. Na żadnej nie robiliśmy krzyża ani gwiazdy Dawida.



Postawa księdza stoi w kontraście do wydarzeń z Jedwabnego, jak to ksiądz wytłumaczy?

Wszyscy, którzy rozmawiali ze mną o tym, co zrobiłem, poruszali temat związany z Jedwabnem. Dla wszystkich to, co wydarzyło się tam, jest wielkim kontrastem do spraw związanych z Dźwierzniem. Pytali, skąd to się wzięło. Moim zdaniem bardzo łatwo jest komuś coś zarzucić, nie wiedząc, jakie pobudki nim kierowały.

Nikt nie wie, w jakiej sytuacji byli stawiani Polacy z Jedwabnego. Kiedy Niemcy pukali do ich drzwi i mówili: „Albo mówisz, gdzie są Żydzi, albo zabijamy twoją całą rodzinę”. Jestem ciekawy, co większość ludzi by zrobiła. Zawsze gdzieś znalazł się kolaborant, który bez presji mówił, gdzie są Żydzi. Nie wiadomo, jaka była tam sytuacja, może była zupełnie inna, niż wszystkim może się wydawać.

Mieszkańcy wsi nadal opiekują się miejscem pamięci tych kobiet?

Tak, oczywiście, bardzo mnie to cieszy, kiedy widzę zawsze świeże kwiaty przy tablicy lub myjące ją kobiety. To miejsce jest czyste i zadbane. Każdy je szanuje. W końcu te Żydówki leżą u nas, obok zmarłych bliskich mieszkańców Dźwierzna. Na naszym cmentarzu nie ma żadnego podziału, a te kobiety w końcu odnalazły swój spokój.

Rozmowa z księdzem Koślickim otworzyła mi oczy na wydarzenia, które miały miejsce niedaleko mojego rodzinnego miasta. Pokazała mi, ile można zdziałać, jeśli jest się zdeterminowanym. Ksiądz Koślicki przełamał stereotyp katolickiego księdza. Nie bał się reakcji innych, ponieważ właśnie ci „inni”, pomimo strachu, stali po jego stronie, pomagali mu. Dzięki mieszkańcom tej małej wsi niedaleko Chełmży znamy historię Żydówek z Bocienia i Szerokopasu. Każdy z nas może uczcić ich pamięć. Nie ma podziałów, jest tylko współczucie i modlitwa. Jest także nadzieja, że kolejne pokolenia unikną przeżycia tak wielkiego okrucieństwa i bestialstwa, z jakim przyszło się zmierzyć tym „kobietom, żonom, matkom i córkom”. Pamiętajmy o nich, bo w dzisiejszym świecie, nastawionym na materializm i egocentryzm, zanikają ludzkie skłonności do współczucia i pamięci historycznej.

Źródła informacji:

1. P. Birecki, *Dzieje sztuki w Chełmży*, Chełmża 2001
2. J.T. Gross, *Złote żniwa. Rzecz o tym, co się działo na obrzeżach zagłady Żydów*, Kraków 2011
3. Names and Numbers of Righteous Among the Nations – per Country & Ethnic Origin, as of January 1, 2013
4. K. Cegieła, *Polacy ratujący Żydów w latach II wojny światowej*, Warszawa 2008
5. T. Prekerowa, *Konspiracyjna Rada Pomocy Żydom w Warszawie 1942–1945*, Warszawa 1982
6. *Akcja Reinhardt. Zagłada Żydów w Generalnym Gubernatorstwie*, red. D. Libionka, Warszawa 2004
7. M. Owsieński, *Pamiętamy, Pamiętam... Pomorze Gdańskie i obóz Stutthof 1939–1945*, Warszawa – Sztutowo 2012
8. M. Świąchowicz, *My z Dźwierzna. Uczcić pamięć pomordowanych*, „Nesweek”, 13 VII 2013
9. Rozmowa z księdzem kanonikiem Zbigniewem Koślickim, emerytowanym proboszczem parafii w Dźwierznie

Wojewódzki Konkurs im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej „Oni tworzyli naszą historię”

2015 – VII EDYCJA



I miejsce
kategoria: szkoły gimnazjalne

Adrianna Michalak

opiekun: Jolanta Szubska
Gimnazjum Publiczne nr 2 w Solcu Kujawskim

Historia małego rycerza o walecznym sercu

Prolog

Istnieją w historii dowody na to, że nie ma bezpośredniej zależności między wzrostem bohatera a jego dokonaniem. Znamy ludzi niewielkiego wzrostu, którzy dokonali rzeczy wielkich i ważnych, mało tego, mogą być wzorem do naśladowania dla innych.

W szczególności zaś bezcenni są tacy, którzy potrafili położyć na szali swe życie i bez wahania bronić wolności ojczyzny, rodaków, a także ludzi innych narodowości i wyzwalać ich ojczyste ziemie. Jesteśmy im winni szacunek, a naszym obowiązkiem jest uwiecznić ich historie i przekazywać je następnym pokoleniom.

Takim człowiekiem był mój pradziadek ze strony mamy. Mierzył zaledwie 158 cm, a przebył drogę godną niejednego starożytnego wodza i zdobywcy – przez wschodnią Ukrainę, Syberię, Egipt, Włochy, Wielką Brytanię do Polski. Z pomocą mojej rodziny, a w szczególności zgromadzonych przez nią pamiątek

i dokumentów wojskowych, stworzyłam opowieść, w której, w zaledwie małej części, spróbowałam opowiedzieć i uwiecznić historię małego polskiego rycerza o walecznym sercu.

Młodość

Gościeszyn to mała wieś na krańcach obecnego województwa kujawsko-pomorskiego. Tam, około 15 km od pierwszej stolicy Polski – Gniezna, w rodzinie polskiego rolnika Walentego Smaruja i jego żony Franciszki z Kapturów, przyszedł na świat 17 listopada 1897 r. mój pradziadek – **Walenty Smaruj**.

Dorastał w środowisku ludzi, którym nie były obojętne losy naszej ojczyzny. W jednym z albumów rodzinnych znajduje się fotografia jego rodziców z 1907 r. wraz z mieszkańcami wsi Ryszewo, w której później zamieszkali, zrobiona przy budynku tamtejszej szkoły podczas uroczystości upamiętniającej rocznicę strajku szkolnego 1905 r. *Strajki szkolne w zaborze pruskim, w Wielkopolsce i na Pomorzu Nadwiślańskim w 1901–1907 były wywołane zakazem używania języka polskiego na lekcjach religii w szkołach ludowych (podstawowych) w Poznańskim i na Pomorzu*¹.



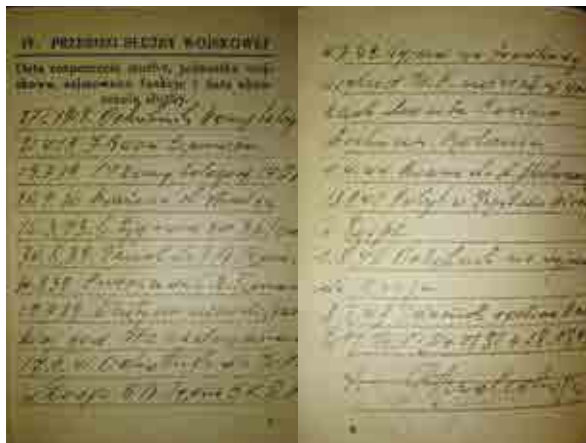
Jako młody chłopak pomagał rodzicom w prowadzeniu gospodarstwa rolnego, jednak gdy w grudniu 1918 r. w Poznaniu wybuchło powstanie, nie wahał się, aby wstąpić w szeregi walczących o niepodległość ojczyzny. *W okresie powstania wielkopolskiego mieszkańcy wsi brali aktywny udział jako ochotnicy m.in. w wyzwolaniu Żnina (8–12 stycznia 1919 r.)*². W archiwum rodzinnym zachował się dokument wystawiony w 1937 r. przez by-

Dokument poświadczający udział Walentego Smaruja w walkach o wyzwolenie Żnina

1 [online], [dostępny: http://pl.wikipedia.org/wiki/Strajk_szkolny], [dostęp: 26.01.2015].

2 [online], [dostępny: <http://www.ryszewo.pl/ryszewo-i-ryszewko-na-paukach>], [dostęp: 26.01.2015].

łego dowódcę oddziałów powstańców żnińskich, chorążego rezerwy Marcelego Cieślińskiego, poświadczający, iż mój pradziadek Walenty brał czynny udział z bronią w rękę jako powstaniec w kompanii Gnieźnieńskiej oddział Gościszyn z narażeniem życia we walkach powstańczych przy oswobodzeniu miasta Żnina dnia 10 i 11 stycznia 1919 r.



Przebieg służby wojskowej zapisany w książeczce wojskowej wystawionej już po wojnie

Według źródeł taki przebieg miały wydarzenia, w których brał udział mój pradziadek:

11 stycznia 1919 – Bój o Szubin zakończył się zwycięstwem strony polskiej. Jego znaczenie było duże. W rękach powstańców znalazł się nie tylko Szubin, ale również i Żnin, Łabiszyn, Złotniki. Również w innych rejonach północnej Wielkopolski dała się zauważyć znaczna aktywność strony polskiej³.

Analizując wpisy w książeczce wojskowej, wyczytałam, że po odzyskaniu niepodległości przez Polskę pradziadek zgłosił się 27 stycznia 1919 r. jako ochotnik do regularnej armii polskiej i rozpoczął służbę w kompanii telegraficznej. 21 kwietnia 1919 r. przeniesiono go do 7. Baonu Łączności, 19 lipca 1919 r. znalazł się w 14. Kompanii Telegraficznej 14. Dywizji Piechoty. W kolejnym roku służby otrzymał awans na starszego strzelca i prawdopodobnie został przeniesiony do rezerwy.

Po powrocie do domu życie mojego pradziadka wróciło do normalności. Nadal zajmował się uprawą roli w rodzinnym gospodarstwie we wsi Ryszewo.

Zaczął układać sobie życie rodzinne – 6 lutego 1923 r. w kościele parafialnym w Ryszewku pojął za żonę **Aniełę Jaźwiedzką**, moją prababcię, z którą miał później kolejno dzieci: Stefanię (ur. 1923), Franciszkę (ur. 1925), Walentego (ur. 1926, mojego dziadka), Henryka (ur. 1927), Hipolita (ur. 1929), Aniełę

3 [online], [dostępny: <http://www.powstaniewielkopolskie.pl/index.php?menu=historia>], [dostęp: 26.01.2015].

(ur. 1931), Henryka (ur. 1933, mieszka obecnie w Darłowie), Andrzeja (ur. 1935, jest emerytowanym misjonarzem i od kilkudziesięciu lat przebywa w Wenezueli) oraz Aleksandra (ur. 1939).

To właśnie prababci Anieli nasza rodzina zawdzięcza fakt, że przetrwało do dzisiaj tak wiele pamiątek po pradziadku, pieczętowiec przez nią przechowywanych w rodzinnym domu w Ryszewie. Obecnie pieczę nad tymi rodowymi skarbami sprawuje synowa pradziadka, ciocia Łucja, żona nieżyjącego Hipolita, który odziedziczył po nim schedę i kontynuował przez lata rolniczą tradycję.

W 1923 r. pradziadek stawiał się w jednostce 3. Pułku Łączności i odbył sześć tygodni ćwiczeń rezerwistów.

Przez kolejnych 16 lat pochłonięty był życiem rodzinnym i ciężką pracą na roli. Realizował się jako wzorowy ojciec i mąż. Założona wcześniej rodzina powiększyła się o dziewięcioro pyzatyh, uśmiechniętych dzieci. Były też przykre chwile, gdy zmarły nowo narodzone bliźnięta⁴.

Kampania wrześniowa

Nadszedł rok 1939. Pełne trudu życie rolnika i szczęśliwego ojca wielodzietnej rodziny zakłóciły wydarzenia polityczne. W Europie wrzało. Nad Polską wisiała realna groźba wojny.

30 sierpnia 1939 r. mój pradziadek został zmobilizowany do 7. Baonu Łączności i tego samego dnia przeniesiony do 6. Baonu Łączności.

Dnia 1 września 1939 roku o godzinie 4.45 nad ranem niemiecki pancernik „Schleswig-Holstein” rozpoczął ostrzał Westerplatte⁵. Niemcy mieli ogromną przewagę zarówno liczebną, jak i techniczną. Mimo to Polacy walczyli dzielnie przez kilka tygodni. Sytuację Polski pogorszył atak Związku Radzieckiego – 17 września 1939 r. – na wschodnie tereny Rzeczypospolitej, zgodnie z podpisanym paktem Ribbentrop–Mołotow, który mówił o podziale ziem polskich między Niemcy i Związek Radziecki. Rozpoczęcie działań przez Armię Czerwoną przyspieszyło ewakuację polskich władz. 17 września Polskę opuścili prezydent Mościcki i Naczelnny Wódz, udając się do Rumunii – gdzie zostali internowani.

⁴ Z relacji ustnej rodziny nie wynika dokładnie, w którym roku miało miejsce to smutne wydarzenie.

⁵ [online], [dostępny: <http://historia.pgi.pl/kampania.php>], [dostęp: 26.01.2015].

Oficjalny pretekst agresji był zawarty w przekazanej o godzinie 3.00 w nocy 17 września przez zastępcę Ludowego Komisarza (ministra) Spraw Zagranicznych Potiomkina ambasadorowi Grzybowskiemu nocie dyplomatycznej: zamieszczono tam niezgodne z prawdą oświadczenie o rozpadzie państwa polskiego, ucieczce rządu polskiego, konieczności ochrony mienia i życia zamieszkujących wschodnie tereny polskie Ukraińców i Białorusinów oraz uwalnianiu ludu polskiego od wojny.

W konsekwencji ZSRR uznał wszystkie układy zawarte uprzednio z Polską za nieobowiązujące – zawarte z nieistniejącym państwem. Dlatego też odmawiano np. wziętym do niewoli polskim żołnierzom statusu jeńców wojennych.

Łącznie siły Armii Czerwonej, skierowane w trzech rzutach przeciwko Rzeczypospolitej, wynosiły ok. 1,5 miliona żołnierzy, ponad 6 tys. czołgów i ok. 1800 samolotów. Wieczorem 17 września Naczelnny Wódz wydał następujący rozkaz (dyrektywę): „Sowiety wkroczyły. Nakazuję ogólne wycofanie na Rumunię i Węgry najkrótszymi drogami. Z bolszewikami nie walczyć, chyba w razie natarcia z ich strony albo próby rozbrojenia oddziałów. Zadanie Warszawy i miast, które miały się bronić przed Niemcami – bez zmian. Miasta, do których podejść bolszewicy, powinny z nimi pertraktować w sprawie wyjścia garnizonów do Węgier lub Rumunii”.

Rozkaz ten nie dotarł jednak do wielu oddziałów, a przez część dowódców uznany został za prowokację. Do starć z Armią Czerwoną dochodziło w wielu miejscach. W sumie w starciach z Armią Czerwoną zginęło ok. 2,5 tys. polskich żołnierzy, a ok. 20 tys. było rannych i zaginionych. Do niewoli sowieckiej dostało się ok. 250 tys. żołnierzy, w tym ponad 10 tys. oficerów⁶.

*W tym czasie mój rodowy bohater walczył wraz ze swymi współtowarzyszami z 6. Baonu Łączności, przemieszczając się na wschód, i został wzięty do niewoli sowieckiej 19 września 1939 r. pod **Stanisławowem**, miastem, które od 1923 r. znajdowało się w granicach Polski, a po 17 września 1939 r. było okupowane przez Armię Czerwoną.*

6 [online], [dostępny: <http://www.polskatimes.pl/artukul/3576995,cios-w-plecy-75-lat-temu-wojska-so-wieckie-wkroczyly-do-polski,3,id,t,sa.html>], [dostęp: 26.01.2015].



Walenty Smaruj (u dołu z prawej) ze współwięźniami w obozie Krzywy Róg

Zesłanie

Mój pradziadek padł ofiarą represji sowieckich. *W pierwszej kolejności byli to jeńcy, żołnierze WP, którzy wpadli w ręce sowieckie w wyniku działań wojennych w 1939 r. Na mocy decyzji Ławrientija Berii z końca września 1939 r., władze sowieckie zatrzymały około*

25 tys. jeńców – szeregowych i podoficerów, celem wykorzystania ich do pracy przy budowie dróg strategicznych.

Część z nich, około 10 tys. ludzi, skierowano później do pracy przymusowej w rozmaitych zakładach przemysłowych, kopalniach metali na wschodzie Ukrainy – w Zaporozżu, Krzywym Rogu i Jeleno-Karakubie⁷.

Wśród zesłanych na wschodnią Ukrainę żołnierzy znalazł się i mój przodek. Został osadzony w obozie jenieckim pracy przymusowej w **Krzywym Rogu** koło Dniepropietrowska⁸. Tam przebywał i ciężko pracował do 1942 r.

Armia Andersa

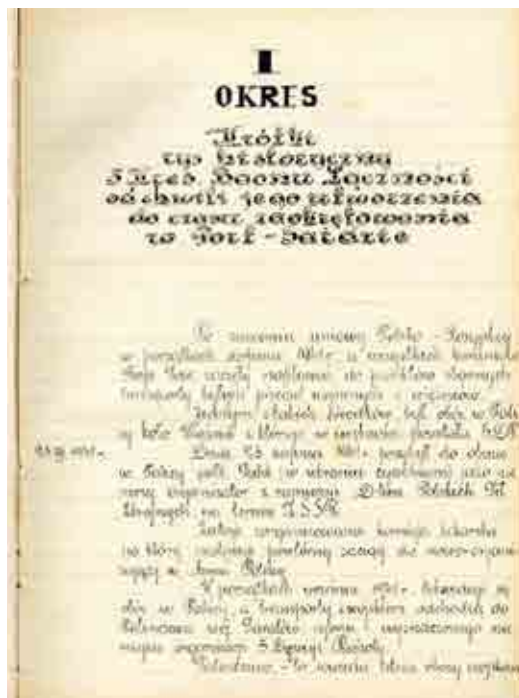
Kolejnym ważnym etapem wojny była agresja Niemiec na Związek Radziecki. Ziemie polskie znalazły się w bezpośrednim sąsiedztwie walk. Ważna była zmiana stosunku do Związku Radzieckiego. Rząd brytyjski nakłaniał do zawarcia porozumienia. W tej sytuacji 30 lipca 1941 r., po rozmowach z ambasadorem radzieckim w Londynie – Iwanem Majskim, doszło do podpisania układu polsko-radzieckiego o wspólnej walce z Niemcami, anulowano umowy niemiecko-sowieckie, zapowiadano przywrócenie stosunków dyplomatycznych. Związek Radziecki zgodził się na utworzenie armii polskiej, organizacyjnie podległej władzom polskim.

7 [online], [dostępny: <http://www.1wrzesnia39.pl/39p/czytelnia/8867,Artykul-z-Biuletynu-IPN-nr-112003.html>], [dostęp: 26.01.2015].

8 Notatka na odwrocie zdjęcia; w archiwum rodzinnym w Darłowie.

Po układzie Sikorski-Majski, w sierpniu 1941 r. ogłoszono amnestię dla Polaków więzionych w ZSRR. Związek Sowiecki, będący dotychczas dla Polski agresorem i okupantem, po układzie stał się nieoczekiwanie naszym sojusznikiem. W istocie pozostawał jednak nadal śmiertelnym wrogiem Polski. Jedno jest pewne, amnestia ta dała blisko 120 tys. ludzi szansę wyjścia ze Związku Sowieckiego z gen. Andersem na Bliżni Wschód⁹.

Udało mi się dotrzeć do materiałów **The Polish Institute and Sikorski Museum w Londynie**, zamieszczonych w Internecie, i na ich podstawie odtworzyć w dużym



Jedna ze stron Kroniki 5. KBŁ. Źródło: Internet¹⁰

skrótce żołnierską drogę, jaką przebył mój pradziadek wraz ze swymi towarzyszami. Mowa o Kronice **5. Kresowego Baonu Łączności** redagowanej przez kronikarzy – żołnierzy, zawierającej szczegółowe zapiski ze szlaku bojowego tej formacji.

Jednym z punktów zbornych, do których zaczęli napływać Polacy – jeńcy wojenni i więźniowie z terenu całego Związku Radzieckiego, był obóz w **Talicy**. 25 sierpnia 1941 r. przybył do niego, jako pierwszy organizator z ramienia Dowództwa Polskich Sił Zbrojnych na terenie ZSRR, płk Nikodem Sulik. Z początkiem września 1941 r. obóz został zlikwidowany i przeniesiony do **Tatiszczewa** – miejsca organizacji 5. Dywizji Piechoty. Dowódcą został **gen. bryg. Mieczysław Boruta-Spiechowicz**.

15 września 1941 r. przybył do obozu **gen. Władysław Anders** – dowódca Wojsk Polskich w ZSRR.

9 [online], [dostępny: <http://www.1wrzesnia39.pl/39p/czytelnia/8867,Artykul-z-Biuletynu-IPN-nr-112003.html>], [dostęp: 26.01.2015].

10 [online], [dostępny: <http://polishinstitute.com/c/c459.pdf>], [dostęp: 26.01.2015].

Dwa dni po tym wydarzeniu, 17 września 1941 r., zgłosił się jako ochotnik do nowo tworzonej 8. Armii Polskich Sił Zbrojnych mój pradziadek i został przydzielony do 5. Baonu Łączności wchodzącego w skład **5. Kresowej Dywizji Piechoty**.

Żołnierze byli intensywnie szkoleni, organizowany był sprzęt.

14 grudnia 1941 r. przyjechał do obozu Naczelny Wódz – **gen. broni Władysław Sikorski**. Kronikarz napisał: *Ostatecznie do defilady stanęły dwie kompanie, jedna w fufajkach i papachach (strój sowiecki) bez broni i druga w umundurowaniu Wojska Polskiego z r. 1939 – z bronią*¹¹. Ostatecznie dopiero 15 lutego 1942 r. nastąpił upragniony przez żołnierzy wyjazd do **Dżałał Abad (Dżalalaabad)** – podróż odbywała się w bardzo trudnych warunkach, słabo opalanymi pociągami towarowymi, przy temperaturze ok. -40°C.

Radość żołnierzy była tym większa, że im bliżej celu podróży, tym robiło się cieplej (Dżałał Abad leży w pobliżu granicy chińskiej).

W legitymacji wojskowej mojego pradziadka, wystawionej przez Szefa Sztabu 5. Dywizji Piechoty – ppłk. dypl. Wilhelma Leśniaka-Wilka, widnieje nazwa miejscowości: Dżałał Abad, czyli miejsce tworzenia armii przez gen. Andersa, oraz data 20 lipca 1942 r. Wszystkie dane zapisane są w trzech językach: polskim, rosyjskim i angielskim.

W niedługim czasie Armia Polska w Związku Radzieckim liczyła 40 tys. żołnierzy, a wobec trudności z dostawami sprzętu i żywności rząd brytyjski proponował przeniesienie polskiego wojska do Iranu, gdzie zamierzał go użyć do ochrony bogatych w ropę terenów Bliskiego Wschodu.

W czerwcu 1942 r. kronikarz 5. Batalionu Łączności zanotował, iż dowództwo zapowiedziało rychły wyjazd z Rosji.

Podróż na Bliski Wschód

W przebiegu służby wojskowej mojego pradziadka widnieje data 4 lipca 1942 r. jako dzień wyjazdu na Środkowy Wschód¹². Według zapisu w kronice

11 [online], [dostępny: <http://polishinstitute.com/c/c459.pdf>], [dostęp: 26.01.2015].

12 Zauważyłam tutaj pewną nieścisłość – mianowicie data wydania legitymacji w Dżałał Abad jest datą późniejszą, bo 20 lipca 1942 r. Być może w książeczce wojskowej, którą wydano po wojnie – w Wągrowcu, 7 lutego 1947 r., podczas odtwarzania przebiegu służby wojskowej pradziadka umieszczono nieścisłe dane. Nie jestem w stanie dojść, jaka była tego przyczyna i jaka jest właściwa chronologia.



Okładka legitymacji
pradziadka – tytuł w trzech
językach



Strona tytułowa legitymacji



Legitymacja, część w języku polskim



Strona z podpisem przełożonego



Strony legitymacji w języku rosyjskim



Strona legitymacji
w języku angielskim



Pradziadek Walenty w mundurze letnim (pierwszy z lewej)



Pradziadek (drugi z lewej) wraz z kolegami z oddziału



Pradziadek Walenty (czwarty z prawej) z kolegami

batalionu żołnierzy najpierw przetransportowano drogą lądową do **Krasnowodska**, a następnie okrętami do Iraku. Po przybyciu do miejscowości **Pahlevi** zostali oni „przemundurowani” w odzież letnią, gdyż temperatury znacznie różniły się od tych rosyjskich. Kolejnym miejscem pobytu stała się **Khanagina**, gdzie mieścił się Obóz Wojsk Polskich. Żołnierzom nieprzyzwyczajonym do pustynnego klimatu dokuczały silne upały, mieszkali w namiotach.

We wrześniu obóz wizytował **gen. Anders**. Nadal brakowało sprzętu, dopiero w październiku 1942 r. spełniła się obietnica Wodza i baon otrzymał nowy sprzęt. Odbywały się nieustannie kursy i szkolenia.

W marcu 1943 r. 5. Baon Łączności mojego pradziadka zmienia miejsce pobytu na **Kirkuk**. Upał dokuczał wszystkim. W kwietniu 1943 r. zostaje zmieniona nazwa z 5. Dywizji Piechoty na **5. Kresową Dywizję Piechoty**, a 5 Baon Łączności na **5. Kresowy Baon Łączności**.

W lipcu 1943 r. mój pradziadek otrzymuje

pierwsze odznaczenie: **Brązowy Krzyż Zasługi z Mieczami**.

W sierpniu 1943 r. pradziadek Walenty wraz ze swoim oddziałem został przerzucony do **Palestyny**, w rejon **Gazy**, a w grudniu do **Egiptu** – do Suez.

W lutym 1944 r. przewieziono ich koleją do **Port Saidu**, skąd mieli płynąć do **Włoch**.

Monte Cassino

Na początku marca 1944 r. okręty przewożące polskie wojsko dopłynęły po około tygodniu do **Porto di Taranto**, na wybrzeżach **Italii** – pierwszego etapu wojennej wyprawy. Zadaniem batalionu mojego przodka była budowa linii telegraficznych.



Pradziadek w mundurze
Armii Polskich Sił
Zbrojnych w ZSRR



Oznaczenia
wojskowe z munduru
pradziadka



Orzełek żołnierzy Armii
gen. Andersa z czapki
mojego pradziadka

W drugiej połowie marca 1944 r. 5. Kresowy Baon Łączności już walczył na froncie. I tak było przez kilka następnych miesięcy. Baon uczestniczył w walkach w rejonie **Prata, Monte Fano, St. Lucia** (bitwa o **Ankonę**), **Piero S. Bagno, Forli, Monte Cassino**, wreszcie **Bolonii**. 1 kwietnia 1944 r. mojego pradziadka awansowano do stopnia starszego plutonowego.

Bitwa o Monte Cassino jest także określana jako bitwa o Rzym. Wzgórze Monte Cassino miało znaczenie strategiczne – wraz z pasmem sąsiednich wzniesień blokowało drogę do stolicy Włoch. Niemcy wykorzystując warunki naturalne, wybudowali na wzniesieniach pas silnych umocnień nazywanych linią Gustawa. Wojska sprzymierzonych usiłowały bezskutecznie przełamać niemiecką obronę od stycznia 1944 r. Niepowodzeniem zakończyła się próba ominięcia linii niemieckiego oporu poprzez wysadzenie desantu morskiego – operacja związana z lądowaniem pod Anzio, pomimo zdobycia przyczółka, nie przyniosła rozstrzygnięcia patowej sytuacji. W tych okolicznościach aliantom pozostało jedynie podjęcie kolejnej próby zdobycia Monte Cassino, bronionego przez doborowe jednostki niemieckie. Straty II Korpusu Polskiego w walkach o Monte Cassino: 924 poległych, 2930 rannych i 345 zaginionych. Żołnierze polscy odznaczyli się w tej bitwie bohaterstwem i dowiedli swej wierności sojuszniczej. Na stoku wzgórza znajduje się polski cmentarz wojskowy.



Brytyjska książeczka wojskowa, 1943 r.

Kolega frontowy mojego pradziadka Stanisław Wołczek przesłał mu zdjęcia zrobione 6 maja 1946 r. na cmentarzu polskim w Loreto, ukazujące składanie wiązanek kwiatów przez polskich żołnierzy oraz Gwardię Włoską.

Na mocy rozkazu dowództwa II Korpusu z dnia 18 lutego 1945 r. Walenty Smaruj otrzymał **Krzyż Walecznych Po Raz Pierwszy**.

W lutym 1945 r. odbyła się także dekoracja **Krzyżem Pamiątkowym Monte Cassino**. Kronikarz napisał: „Wszyscy, którzy przeszli Cassino, otrzymali symbol znoju i trudu w postaci krzyża, bez różnicy stopni i zasług”¹³.

W legitymacji pradziadka wpisano stanowisko: podoficer kuchenny. Nie wiem, jaki był jego udział w natarciu i obronie Monte Cassino, ale z pewnością został odznaczony, co potwierdza obecność jego nazwiska na liście odznaczonych, umieszczonej w kronice 5. Kresowego Baonu Łączności.

Pradziadek Walenty był bardzo religijnym człowiekiem, wyrósł w katolickiej rodzinie. Był żołnierzem, któremu przyświecała stara, znana już wśród polskiego rycerstwa i szlachty sentencja: „**Bóg, Honor, Ojczyzna**”. Nic więc dziwnego, że nosił przy sobie symbole religijne i namiastkę modlitewnika.

Był to rodzaj owalnego medalika uszytego ręcznie z białej ceratki, z wizerunkiem Serca Jezusa obszytego czerwoną włóczką – wykonanego w Wielkiej Brytanii przez członków **Apostolstwa Modlitwy**¹⁴, jak głosi napis.

Kolejnym osobliwym przedmiotem jest, także owalny, medalik uszyty z białej ceratki z nadrukiem Serca Jezusa w cierniowej koronie i obszyty czerwonym płótnem tworzącym rodzaj kieszonki, w której schowane są dwie karteczki. Jedna została wyrwana z modlitewnika w języku włoskim, druga to poślódkła już karteczka z zeszytu w linie, w której pradziadek skrzętnie ukrył zasuszony kwiat – czerwony mak.

13 [online, [dostępny: <http://polishinstitute.com/c/c459.pdf>], [dostęp: 26.01.2015].

14 Apostolstwo Modlitwy powstało w 1844 r. we Francji w jezuickim kolegium Vals. Założyli je ks. François Gautrelet SJ i ks. Henri Ramiere SJ, nawiązując do tradycji swojego zakonu, który szerzył kult Najświętszego Serca Jezusa, [online], [dostępny: <http://ekai.pl/wspolnoty/apostolstwo-modlitwy/>], [dostęp: 26.01.2015].



Żołnierze Gwardii Włoskiej i Wojska Polskiego na cmentarzu w Loreto



Krzyż Walecznych – awers i rewers

1. Józef, Józef	101. Józef, Józef
2. Józef, Józef	102. Józef, Józef
3. Józef, Józef	103. Józef, Józef
4. Józef, Józef	104. Józef, Józef
5. Józef, Józef	105. Józef, Józef
6. Józef, Józef	106. Józef, Józef
7. Józef, Józef	107. Józef, Józef
8. Józef, Józef	108. Józef, Józef
9. Józef, Józef	109. Józef, Józef
10. Józef, Józef	110. Józef, Józef
11. Józef, Józef	111. Józef, Józef
12. Józef, Józef	112. Józef, Józef
13. Józef, Józef	113. Józef, Józef
14. Józef, Józef	114. Józef, Józef
15. Józef, Józef	115. Józef, Józef
16. Józef, Józef	116. Józef, Józef
17. Józef, Józef	117. Józef, Józef
18. Józef, Józef	118. Józef, Józef
19. Józef, Józef	119. Józef, Józef
20. Józef, Józef	120. Józef, Józef

Lista odznaczonych – nazwisko pradziadka w prawej kolumnie, trzecie od góry; źródło: Internet



Krzyż Monte Cassino – awers i rewers



Legitymacja podpisana przez dowódcę 5. KBŁ – mjr. Mariana Zimmera



Makowe płatki z Monte Cassino



Zaświadczenie uprawniające do noszenia odznaczeń

W związku z poważnymi problemami zdrowotnymi w sierpniu 1945 r. pradziadek był zmuszony opuścić jednostkę i udać się do szpitala.

W maju 1946 r. dowództwo odznaczyło go **Gwiazdą za Wojnę 1939–1945** i **Gwiazdą Italii**.

Stan mojego pradziadka był na tyle poważny, a zdrowie nadszarpnięte przeżyciami z pola walki, że 11 lipca 1946 r. przyznano mu kategorię E i uznano za całkowicie niezdolnego do dalszego pełnienia służby wojskowej.

Powrót do Egiptu

14 września 1945 r. pradziadka operowano, jak sam napisał w późniejszym liście, z powodu „narostów tuberkulicznych w jamie brzusznej”. Operacja nie przyniosła większej poprawy, więc w listopadzie 1945 r. odesłano go do **Egiptu**, do **8. Generalnego Szpitala Wojennego**. W grudniu 1945 r. jeden z brytyjskich lekarzy uznał stan pradziadka za beznadziejny.

Szpital opuścił 5 września 1946 r. Komisja lekarska orzekła 60 proc. utraty zdrowia w związku z pełnieniem służby wojskowej.

Chcąc spotkać się ze swoją rodziną, której nie widział od 1939 r., zaczął się starać o powrót do kraju. Przebywał następnie w kilku obozach repatriacyjnych, m.in. w Suezie.

Do momentu wypłynięcia z Egiptu zażywał świeżego powietrza i czekał niecierpliwie na upragnione spotkanie z żoną oraz gromadką dzieci.



Karta wypisu ze szpitala wojennego



Kartka z książeczki żołdu



Pradziadek Walenty w Egipcie, prawdopodobnie Suez

Repatriacja

Wreszcie mój dzielny „Mały Rycerz” doczekał się wyjazdu z pustynnej egipskiej krainy. Udał się drogą morską do Wielkiej Brytanii.

Po czterech miesiącach spędzonych w różnych obozach repatriacyjnych, schorowany, zmęczony i zniecierpliwiony oczekiwaniem 11 grudnia 1946 r. trafił do 98 P.R.C. CUMNOCK-AYERSHIRE PENNYLANDS-CAMP.

Z dniem 18 grudnia 1946 r. został skreślony z ewidencji Polskich Sił Zbrojnych poza Krajem, w których służył od 4 lipca 1942 r., i oddany do dyspozycji władz brytyjskich.

Mając na uwadze swój beznadziejny stan zdrowia, powołując się na brytyjską ustawę o gratyfikacji inwalidów wojennych, napisał list do samego króla Wielkiej Brytanii – Jerzego VI. Wyraził w nim ubolewanie na temat opieszałości i braku zrozumienia ze strony urzędników rozpatrujących sprawy inwalidów wojennych.

Powrót do domu

Po interwencji udało mu się szczęśliwie dotrzeć do ukochanej Ojczyzny 9 stycznia 1947 r. Zameldował się w Punkcie Przyjęć w Gdańsku-Porcie.



Karta repatriacyjna



List wystosowany przez pradziadka do Jerzego VI



Zaświadczenie z Punktu Przyjęć



Zaświadczenie o kredytowaniu przejazdu

Aby dojechać do domu, pradziadek otrzymał zaświadczenie (jak każdy powracający żołnierz), umożliwiające mu bezpłatny przejazd dowolnym środkiem lokomocji.

Pradziadek Walenty Smaruj szczęśliwie dotarł do Polski, do Ryszewa, swojego rodzinnego domu i ukochanej rodziny po ośmiu ciężkich latach tułaczki. Przebył z armią gen. Andersa szlak liczący tysiące kilometrów, a ciężka praca w obozie jenieckim, udział w walkach na wielu frontach sprawiły, że stracił zdrowie. Jego zasługi widać po uzyskanych odznaczeniach. Niestety, nie było mu dane długo cieszyć się wolnością i szczęściem rodzinnym – zmarł 7 sierpnia 1947 r. – pół roku po szczęśliwym powrocie z wojennej tułaczki.



Szlak bojowy pradziadka

Epilog

We wrześniu 2014 r. kanał telewizyjny PLANETE+ wyemitował film dokumentalny pt. *Malaria, tajna broń Hitlera*, który obejrzałam z rodzicami. Tereny, na których walczył mój pradziadek w czasie kampanii włoskiej, to oprócz obszarów górzystych także tereny nadmorskie, okolice Pontu. Klimat Błot Pontyjskich sprzyjał wylęganiu się komarów i wielokrotnie były one siedliskiem epidemii malarii. W czasie II wojny światowej na tym obszarze przechodziły aż trzy linie frontowe. Między innymi brzeg morski w Anzio – miejsce, w którym w 1944 r. lądowaniem aliantów rozpoczęła się operacja „Shingle”. Gdy hitlerowcy zmuszeni byli się wycofać, zniszczyli wiele urządzeń melioracyjnych, których celem było utrzymywanie równowagi na terenach bagnistych. Powtórne zalanie obszaru pól doprowadziło do nawrotu epidemii malarii¹⁶.

Na malarię zachorowały w tym rejonie i w tym czasie tysiące ludzi, zarówno cywilów, jak i żołnierzy. Wielu z nich zmarło.

Na wypisie mojego pradziadka ze Szpitala Wojennego nr 8 w rubryce: rozpoznanie choroby, widnieje nazwa łacińska *Tabes mesaraica. Malaria chronica*. Nie można wykluczyć, że był on jedną z ofiar broni biologicznej Hitlera.

Tak czy inaczej, był człowiekiem niewielkiego wzrostu o sercu walecznego rycerza.

16 [online], [dostępny: <http://www.telemagazyn.pl/tv/528859/malaria-tajna-bron-hitlera?z=2>], [dostęp: 26.01.2015].

Źródła informacji:

1. *Encyklopedia II wojny światowej*, Warszawa 1975
2. http://pl.wikipedia.org/wiki/Strajk_szkolny 26.01.2015
3. <http://www.powstaniewielkopolskie.pl/index.php?menu=historia> 26.01.2015
4. <http://www.ryszewo.pl/ryszewo-i-ryszewko-na-paukach> 26.01.2015
5. <http://historia.pgi.pl/kampania.php> 26.01.2015
6. <http://www.telemagazyn.pl/tv/528859/malaria-tajna-bron-hitlera?z=2> 26.01.2015
7. Fotografie: archiwum rodzinne

II miejsce

kategoria: szkoły gimnazjalne

Agata Gorczewska

opiekun: Aleksandra Jankowska
Zespół Szkół Publicznych w Łasinie
Gimnazjum nr 1

„Jedni z drugimi, nigdy jedni przeciw drugim”

Rok 2014 obchodzony był jako „Rok Ludzi Wolności”. Aby bliżej poznać temat i móc zrozumieć, dlaczego taka nazwa i kogo należy w ten sposób wspomnieć, upamiętnić i docenić, rozmawiałam z moim nauczycielem historii. Dzięki temu ukierunkowana zostałam na temat tzw. Ludzi „Solidarności”. Moje zainteresowania skierowałam w stronę „Solidarności”. Słowa hymnu „Solidarności” (autorstwa Jerzego Narbutta) również są wymowne¹. Chciałam zrozumieć tę „tajemnicę” i fenomen tego ruchu (potem związku zawodowego).

„Solidarność” to wielkie słowo. Tak, tylko dla kogo? Dla mnie? Dla kolegów i koleżanek w moim wieku? Powinno, ale nie jest. Wielkie jest na pewno dla historyków, naukowców i działaczy. Dla tych osób słowo to coś znaczy, ma wagę historyczną. Uczniowie siedzący na lekcjach historii uczą się założeń tej organizacji,

¹ *Solidarni, nasz jest ten dzień, / A jutro jest nieznane, / Lecz żyjemy tak, jak gdyby nasz był wiek; / Pod wolny kraj / spokojnie kładź fundament. / A jeśli ktoś nasz polski dom zapali, / To każdy z nas gotowy musi być, / Bo lepiej / byśmy stojąc umierali, / Niż mamy klęcząc na kolanach żyć. / Solidarni, nasz jest ten dzień; / Zjednoczmy się, bo jeden jest nasz cel!*, [online], [dostępny: http://www.solidarnosc.org.pl/bbial/osci_19.html], [dostęp: 12.01.2015]

etapów walki o wolną Polskę. Ale przecież jak ważne są postaci, które brały w niej czynnie udział, które walczyły w różnych miejscach naszego kraju na różne sposoby. Wokół nas można znaleźć takie osoby. Przechodzą koło nas na ulicy, stoją w kolejce do banku czy w sklepie. I nikt nie wie, że ten człowiek, właśnie ten, zrobił coś, czego nie zapomną pokolenia, za co powinniśmy być mu wdzięczni. Stanisław Wajngerber – grudziądzanin – jest jedną z takich osób. Praca ta powstała po to, aby nie był on zapomniany, bo przecież to m.in. on tworzył naszą historię. Wystarczyło jedno spotkanie, aby Pan Wajngerber pokazał mi, jak ważną organizacją dla niego, dla ogółu ludzi i dla całego ustroju Polski była „Solidarność”.

W okresie PRL każdy uciśniony przez władzę marzył o prawdziwej wolności. Do ustanowienia obecnego ustroju Rzeczypospolitej Polskiej przyczyniło się wielu ludzi. Nikt z nas nie widzi już tłumu obywateli czekających na transport jakiegoś deficytowego towaru, którego nie było od dawna na półkach sklepowych. W mediach pojawia się niedopuszczalna przed 1989 r. krytyka władzy. Dla młodego pokolenia urodzonego po 1989 r. jest to nie do pomyślenia, nie do wyobrażenia. A przecież wielu ludzi walczyło o to, co mamy teraz – wolność. Wśród nas znajdziemy osoby, które możemy nazwać bohaterami, które tworzyły naszą historię. Jednym z nich jest mieszkaniec Grudziądza – Stanisław Wajngerber, działacz NSZZ „Solidarność” lat 80. ubiegłego wieku. Pojęcie „solidarności” temu człowiekowi nie jest obce. Jego historia to solidarny marsz po wolną Polskę.



Logo „Solidarności”

Na początek przyjrzę się etymologii tego słowa. Według *Encyklopedii PWN* solidarność w prawie cywilnym to: obowiązek wzajemnej pomocy i odpowiedzialności; może występować po stronie dłużników i po stronie wierzycieli². Inne źródło tłumaczy solidarność jako wspólnotę działania podyktowaną wspólnotą interesów. Pojęcie solidarności, obok takich pojęć pokrewnych, jak:

2 *Azетка Encyklopedia PWN*, red. M. Sajko, Warszawa 2004, s. 842.

wieź społeczna, spójność, zwartość, a nade wszystko integracja społeczna, należy do podstawowej terminologii socjologicznej od samych jej początków. Odnosi się ono do fundamentalnego zagadnienia socjologicznego, jakim jest wieź społeczna, czyli pytanie o siły łączące ludzi. Co powoduje, że ludzie żyją bądź chcą żyć w jakichś wspólnotach? Arystoteles powiedział: *Kto żyje poza społecznością jest albo zwierzęciem, albo Bogiem*³. Życie zbiorowe jest cechą gatunkową człowieka i jakieś inne jego bytowanie nie jest po prostu możliwe. Każdy z nas jest jednostką społeczną, która potrzebuje innych ludzi do życia, przetrwania, rozwijania się. Źródłami solidarności społecznej są: poczucie zagrożenia bądź potrzeba pomocy, wspólny interes oraz miłość. Dla mojego tematu punktem odniesienia są wszystkie wymienione czynniki. Oczywiście jest to, że w sytuacji zagrożenia, gdy potrzebujemy pomocy, poszukujemy wsparcia. Nie chcemy być w tych momentach sami. Szukamy sojuszników, aby przeciwstawić się komuś lub czemuś. W pojedynkę nie wygramy z wrogiem. Sama ta potrzeba, będąca potężnym filarem solidarności, jest neutralna etycznie. Jednak najlepszym przykładem polskiej solidarności w moich rozważaniach jest NSZZ „Solidarność”, jako odpowiedź na zagrożenie i poniżenie społeczne, a także jako oznaka miłości i szacunku do wolnego państwa, które wiele wycierpiało w swej historii.

Czym jest więc „Solidarność” pisana przez duże S? Jakie znaczenie ma ona w historii Polski i kto był z nią związany? Według *Encyklopedii PWN: Solidarność to ruch społeczno-polityczny powstały w 1980 r. w wyniku ogólnopolskich strajków, który przyjął formę związku zawodowego (Niezależny Samorządny Związek Zawodowy)*⁴.

To ugrupowanie do 1989 r. stanowiło ośrodek ruchu oporu społecznego wobec władz komunistycznych w Polsce. Powstało w okresie strajków robotniczych w sierpniu 1980 r., a zostało zalegalizowane 10 listopada 1980 r. W tym czasie należało do niego ok. 10 mln osób, przywódcą został Lech Wałęsa. „Solidarność” składała się ze struktur regionalnych oraz ze struktur branżowych (górników, hutników, nauczycieli itp.)⁵. Związek ten walczył o obronę praw pracowników, likwidację nomenklatury, decentralizację zarządzania gospodarką,

3 [online], [dostępny: <http://cortez11.republika.pl/cykat/cytaty/baza/008.htm>], [dostęp: 3.01.2015].

4 *AZetka Encyklopedia PWN*.

5 W. Roszkowski, *Historia Polski 1914–2000*, Warszawa 2005, s. 360–364, 377–378.

niezawisłość sądów, uwolnienie oświaty, kultury i nauki od politycznego i ideologicznego nadzoru Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej oraz o ograniczenie cenzury. „Solidarność” dążyła do realizacji postulatów poprzez stosowanie różnorodnych form nacisku na władzę, a mianowicie przez strajki okupacyjne w przedsiębiorstwach przemysłowych i budynkach publicznych, gotowość do strajku, demonstracje uliczne, negocjacje, propagandę (przez wydawanie biuletynów, czasopism, ulotek). Po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce związek ten został zdelegalizowany. Władza rozpoczęła internowanie kilku tysięcy działaczy, dokonywała represji wobec uczestników procesów. Jednak siła ducha „Solidarności” była ogromna. Pomimo zagrożenia, ciężkich konsekwencji, stanu wojennego, realizowała dalej swe postulaty poprzez odbudowanie ugrupowania w podziemiu w formie zdecentralizowanego, różnorodnego ideowo i organizacyjnie ruchu społecznego⁶.

W naszym otoczeniu znajdują się działacze „Solidarności”, choć nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę. Jednym z nich jest mieszkaniec Grudziądza – Stanisław Wajngerber. Człowiek, któremu drogę (jak sam będzie wspominał) wyznaczył papież Polak – Jan Paweł II. Stanisław Wajngerber urodził się 27 września 1957 r. w Grudziądzu. W 1980 r. ukończył Wydział Prawa na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. W okresie studiów włączał się w kolportaż niezależnych wydawnictw. W 1980 r., podczas strajku okupacyjnego w Pomorskich Zakładach Urządzeń Okrętowych „Warma” w Grudziądzu, był doradcą prawnym strajkujących. Od września 1980 r. był członkiem NSZZ „Solidarność”, członkiem Prezydium oraz referentem prawnym w Międzyzakładowym Komitecie Związkowym w Grudziądzu, następnie w grudziądzkim Oddziale Regionu „Solidarności”. W 1981 r. był delegatem na I WZD Regionu Toruńskiego. W dniach 13 grudnia 1981–4 marca 1982 r. internowany w Potulicach. Ponownie internowany w Strzebielinku od 11 maja do 14 października 1982 r. Od 1982 r. doradca prawny podziemnych struktur „S”; współorganizator Duszpasterstwa Ludzi Pracy, Mszy za Ojczyznę i filii Rejonowego Komitetu Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności, Zwolnionym z Pracy i ich Rodzinom w Grudziądzu⁷.

⁶ W. Terlecki, *Solidarność. Dekada nadziei 1980–1989*, Warszawa 2010, s. 74–76.

⁷ [online], [dostępny: http://www.encyklopedia-solidarnosci.pl/wiki/index.php?title=Stanis%C5%82aw_Wajngerber], [dostęp: 23.11.2014].

Jego biografia zainspirowała mnie do przyjrzenia się bliżej tej postaci, poznania, wysłuchania wspomnień i refleksji. Chciałam dowiedzieć się m.in., co przyczyniło się do wejścia w kręgi opisywanego związku zawodowego i jaki miało to wpływ na późniejsze życie bohatera. Wywiad, który z nim przeprowadziłam, ukazał nowe, może nieznane fakty na temat „Solidarności”.

Co pana skłoniło do zapisania się do „Solidarności”?

Pamiętam, jak zapisywałem się do „Solidarności” i zaczynałem pracować. Poszedłem tam z pobudek ideowych. Inspirowany wyborem papieża Polaka oraz patriotycznym wychowaniem rodzinnym. To wychowanie sprowadzało się m.in. do czytania lektur, Trylogię połąkłem w święta. Ponadto do mojej babci na wieś przyjeżdżała taka stara nauczycielka. Wzięła mnie do ogrodu, popatrzyła na mnie i zaczęła mówić: „Ty jesteś, tak mi się wydaje, roztropny, to ja ci opowiem o Powstaniu Warszawskim i o Katyniu”. Wtedy po raz pierwszy dowiedziałem się o tym. Ponadto chodziłem na duszpasterstwo i stamtąd też czerpałem wiedzę.

Jakie były pana początki w „Solidarności”?

„Kręciłem się” przy bramie zakładu, w którym mój tata pracował. Zauważył mnie Janusz Bucholc, który załatwił mi przepustkę na teren zakładu. Społecznie pracowałem w „Solidarności” od sierpnia do grudnia 1980 r. Wtedy przyszło wezwanie do wojska. Żeby tam nie pójść, to musieli mnie zatrudnić. Dostałem etat jako referent prawny. Przez te kilka miesięcy miałem spektrum problemów do rozwiązania. Ludzie przychodzili do tego związku z zaufaniem. Babki mówiły np., „że duchy straszq”. Inne, że jajka giną z kredensu. I tego trzeba było wysłuchać. Były też problemy pracownicze, bowiem zwalniano ludzi z pracy, a nie było wtedy jeszcze sądów pracy, tylko tzw. komisje pojednawcze. Doradzałem na miarę oczywiście wiedzy po studiach. Ona nie była tam za wielka, ale szybko nabywałem doświadczenia, bo musiałem się sam uczyć. Jak nie umiałem pomóc, to trzeba było szukać. Pracę zaczynałem o 8.00, a kończyłem często o 22.00.

Gdzie i kiedy ugruntowała się w panu świadomość idei „Solidarności”?

Podczas pierwszego internowania w Potulicach. Na początku było chyba 170, albo trochę więcej, osób. To byli fajni ludzie – profesorowie, ludzie z wyższych



Mandat członka Prezydium
MKZ NSZZ „Solidarność”
w Grudziądzu

kręgów naukowych, niezwykle patriotyczni, robotnicy czy zwykli ludzie. Klawisze byli do nas nastawieni negatywnie. Myśleli, że przywieźli bandziorów. Otwierali drzwi celi, a my do nich – „Dzień dobry, bracia!”. Byli zaskoczeni. Ponadto była modlitwa przed każdym posiłkiem, poranna, wieczorna, śpiewy, hymn... Zaczęli się zastanawiać, czy my rzeczywiście jesteśmy bandziorami. Nawiązała się nawet nie pewnej znajomości. To tam właśnie ugruntowała i kształtowała się świadomość „Solidarności”.

Ale zanim trafił pan do Potulic, był ten tragiczny dzień 13 grudnia 1981 r.

Od początku 1981 r. wydawało nam się, jakby „coś” wisiało w powietrzu. W marcu w Bydgoszczy pobito Jana Rulewskiego, potem spacyfikowano Wyższą Oficerską Szkołę Pożarniczą. Władza szukała pretekstu i sondowała, jakie są reakcje społeczeństwa. Ja wówczas byłem świeżo po studiach i jako referent prawny wspierałem grudziądzkich robotników. Udzielałem porad, oczywiście na tyle, na ile ówczesna moja wiedza i umiejętności pozwalały. Mój ojciec, Stanisław, w Unii był kierownikiem zaopatrzenia. Byłem tam również opiekunem pracowników niepełnosprawnych. W oczach władzy miałem duży wpływ na załogę. A tajni współpracownicy pisali na mnie donosy, że „należy mnie jak najszybciej wyeliminować z załogi zakładu”. Kilka dni przed wprowadzeniem stanu wojennego otrzymaliśmy z ojcem anonimowy

Województwo Toruńskie
Urząd Wojewódzki
Toruń

14.1.1981 r.

Forma odpowiedzi

DECYZJA NR 133/81
o internowaniu

Uwaga, że postanowienie nie zostało objęte
nazwisko i imię HAJSGERBER STANISŁAW
imię rodziców Jerzy Anna
data i miejsce urodzenia 27.09.1937r. Grudziądz
stanowisko (zajęcie) i miejsce pracy referent prawny, zatr. MCZ Grudziądz
miejscowość zamieszkania Grudziądz ul. Łukasiówicza 12

zagrażał bezpieczeństwu Państwa i porządkowi publicznemu przez to, że
poświadczenie w celu obciążenia autorytetu władzy politycznej
i administracyjnej

na podstawie art. 4 ust. 2 i 3 pkt 1, 2 i 3 ustawy z dnia 12.12.1981r. o ochronie bezpieczeństwa
Państwa i porządku publicznego w czasie obywatelstwa stanu wojennego.

potwierdza się

1. interwencja ob. Hajsgerber Stanisław
i zamieszkiwanie w okresie odosobnienia w Potulicach
2. wykonanie decyzji przez funkcjonariuszom KINO Toruń

KOMENDANT WOJEWÓDZKI MO
/podpis nieczytelny/

Decyzja o internowaniu w Potulicach

telefon. Ktoś informował, że przyjedzie po nas milicja. Zbagatelizowaliśmy to, chociaż podczas zjazdu regionu toruńskiej „Solidarności” dowiedzieliśmy się o ruchach wojsk i mobilizacji. 12 grudnia ponownie zadzwonił anonim. Tego dnia o 23.30 milicjanci w asyście SB zapukali do drzwi. Potem walili i kopali, na koniec łomami rozwalali drzwi. Do dziś widać na nich pęknięcie i uzupełniony fragment. Całą „akcję” nagrałem na kasecie magnetofonowej. Po naszym aresztowaniu brat ukrył ją pod deskami na strychu. Mam nadzieję, że specjaliści kiedyś ją opracują. Nikt z sąsiadów nie wystąpił w naszej obronie. Jedni się bali, a inni krzyczeli: „Brać tych sk...nów!”. Z komendy przewie-

ziono ich na lotnisko w Toruniu, na którym lądowały helikoptery. Straszono nas, że wylatujemy na Białoruś. Mówiliśmy już sobie: „żegnaj Polsko” i modliliśmy się. Jak bardzo się baliśmy, świadczy fakt, że nawet niewierzący składali ręce i odmawiali „Ojcze nasz”. Około siódmej rano przywieźli nas do więzienia w Potulicach.

Pierwsze wspomnienia z okresu działalności w NSZZ „Solidarność” spisały Agnieszka Głazewska, Aleksandra Burcz, Małgorzata Szałkowska i Anna Pawłowska. Jest to roboczy zapis „dziennika internowanego” i czeka jeszcze na wydanie. Na razie mamy wersję spisana dla IPN lub internetową...

Te wspomnienia spisywałem w więzieniu dzień po dniu na małych karteluskach. Później przemyciałem na widzenia. One mają charakter emocjonalny z tamtego czasu. Można by im nadać szlif polonistyczny, ale poloniści i historycy



Zaadresowana
przez rodzinę
koperta wysłana
do Strzebielinka,
list oczywiście
był ocenzurowany

stwierdzili, żebym tak zostawił. Nie mają one takiego stylu polonistycznego. Są pewnie jakieś niedociągnięcia stylistyczne, no bo wiadomo, pisałem ukradkiem. Klawisz przechodził, to się chowało. Przenosiłem wszystko w bieliźnie. Moja mama to odbierała za każdym razem, kiedy było widzenie, i tak kartka po kartce, czy tam plik kartek, więc się to zachowało...⁸.

We wspomnieniach z okresu internowania w Potulicach wspomina pan m.in. o trudnych warunkach bytowych...

Przez cały czas staraliśmy się z ojcem być blisko siebie, trzymaliśmy się za ręce, chyba dzięki temu trafiliśmy do wspólnej celi. W Potulicach siedzieliśmy cztery miesiące. W trudnych warunkach – w zimnie, ciasnym pomieszczeniu, z ohydny jeźdzeniem. Rodzina (moja mama i brat) nie wiedziała długi czas, co się z nami działo. Żyliśmy w strachu, próbowano nas złamać, to były naprawdę ciężkie chwile...

W swoich wypowiedziach odwołuje się pan często do nauki Kościoła. Jaką rolę, według pana, odegrał Kościół w tych trudnych czasach?

8 „Moje wspomnienia” – wspomnienia Stanisława Wajserbera z okresu internowania w Strzebielinku notowane od 12 maja do 14 października 1982 r., pochodzące z jego archiwum osobistego oraz zapiski internetowe: m.in. [online], [dostępny: <http://grudziadz.naszemiasto.pl/artukul/kartki-obozonego-dzienika-ze-strzebielinka-chowal-w,2590548,art,t,id,tm.html>].



„Zaświadczenie” z Potulic wydane przez współosadzonych



Obraz Matki Bożej namalowany przez jednego z więźniów obozu potulickiego

Pamiętam sytuację, gdy do Potulic przyjechał biskup Marian Przykucki. Wy-mógł otwarcie cel, żebyśmy mogli się odwiedzać. Odprawił Mszę Świętą na kory-tarzu. Oczywiście za kratami stali kławiszze z karabinami i psami, ale myśmy mieli Mszę. Były rozważania na temat fragmentów Pisma Świętego. Każdy mógł powie-dzieć, co czuje. To również nas wszystkich cementowało.

Na 586 dni stanu wojennego przebywał pan 228 dni w dwóch miejscach dla internowanych – w Potulicach i Strzebielinku. Co spotkało pana po opuszczeniu obozu dla internowanych?

Kiedy wyszedłem z internowania, kontynuowałem dalej działalność opozycyj-ną. Jako prawnik pomagałem bez przerwy robotnikom w Grudziądzu. Przed sta-nem wojennym, w stanie wojennym i potem do końca lat 80., bo tak trzeba było... Dwa lata byłem bezrobotny, bo miałem zakaz pracy w Grudziądzu. Moją pierwszą pracą była posada w Gminnej Spółdzielni w Łasinie. Kiedy byłem dwa lata bez-robotny i poszedłem do prezydenta miasta Grudziądza, Tafelskiego, mówię: „No panie prezydencie, czas by było, żebym wreszcie dostał pracę w Grudziądzu”. A on

mi na to: „Dostanie pan, jak przestanie pan chodzić na Msze za Ojczyznę”. „Solidarność” podziemna odezwała się do mnie i zapytała, czy mam z czego żyć. Dostałem zapomogę w wysokości 300 zł. Bez żadnego poniżania... dostawałem telefon, przyjeżdżałem do Torunia i otrzymywałem pieniądze. Nie byłem skazany na poniewieranie i jałmużnę komuny. Takie to były czasy.

Czym była dla pana wtedy „Solidarność”?

Kojarzyła mi się z pewnym zrywem patriotycznym, z pewną solidarnością międzyludzką. Byłem na wszystkich pielgrzymkach papieża (z wyjątkiem pierwszej, bo miałem egzaminy). To Jan Paweł II inspirował mnie swoimi kazaniami, dlatego stwierdziłem, że „Solidarność” to jest to. Ludzi, którzy się wtedy do niej zapisywali, nazwałem „pierwszym garniturem Solidarności”, ponieważ oni nie szukali poklasku. Taka postawa raczej zasługiwała na represje. A my robiliśmy to z pełną świadomością. Dzięki „Solidarności” kształtowały się nasze poglądy na solidarność związkową, ale i międzyludzką.

Czy ten pogląd z biegiem czasu uległ zmianie?

Ta „Solidarność” się zmieniła. Zaczęła się kształtować, jakby odpolityczniona, bo powstały partie polityczne. Siłą rzeczy musiała się zająć działalnością stricte związkową. Napływali ludzie, którzy chcieli raczej ugrać coś dla siebie niż dla innych.

„Solidarność” stała się więc związkiem bezideowym?

Nie powiem, że stała się związkiem zupełnie bezideowym, bo ideowym jest! Może w mniejszym stopniu, bo to nie te czasy. Ideowość można manifestować w tej chwili na różne sposoby – w partiach, kościołach, w swoich poglądach. Teraz już nikt nie idzie za to do więzienia. Ubolewam jednak nad tym, że nie hołduje wprost



Pieczętki i ekslibrisy wykonane przez internowanych w Strzebielinku

nauczaniu Jana Pawła II i chrześcijańskim wartościom. To jest nasze, polskie! Dlaczego mamy z tego rezygnować? W imię czego niby? Fałszywej poprawności politycznej? Nikogo się tym nie urazi. Kto nie chce, nie musi się modlić. Ja jestem zwolennikiem, żeby te wartości pielęgnować. Wartości pomagają zachować tożsamość. Ten związek teraz jest nieco inny. Nie mówię, że gorszy, ale ma inne pole zainteresowań.

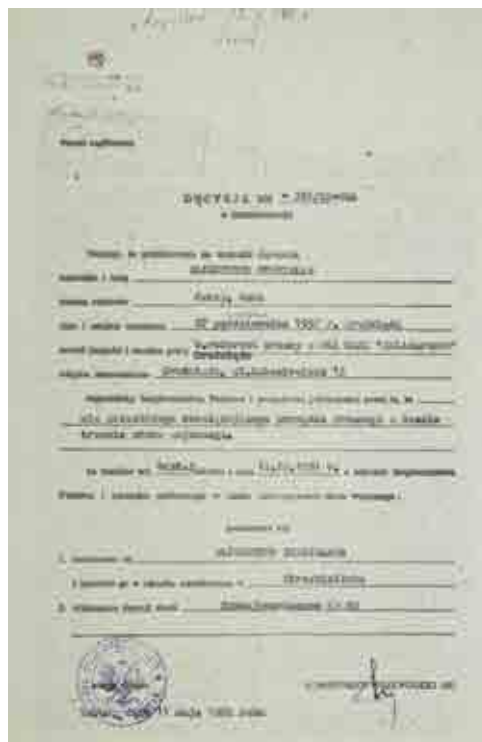
Na pytanie, czy jest nadal członkiem „Solidarności”, odpowiedź zabrzmiała „Nie, nie jestem”.

Bohater mojej pracy znajdował się nie tylko w Ośrodku Odosobnienia w Potulicach, ale również w Strzebielinku. Był tam uczestnikiem głódówek protestacyjnych. Pisał teksty do gazet podziemnych przemycanych jako grypsy (m.in. dotyczące analizy prawnej legalności wprowadzenia stanu wojennego).

Stanisław Wajngerber jest laureatem nagrody Prezesa Oddziału IPN w Gdańsku za wspomnienia z okresu internowania „Moje wspomnienia” (2008)⁹.

Za swoją działalność opozycyjną został również uhonorowany w 2009 r. i z rąk prezydenta Lecha Kaczyńskiego otrzymał Złoty Krzyż Zasługi.

W 2012 r. odznaczono go (wraz z ojcem Jerzym, również internowanym w Potulicach) Krzyżem Wolności i Solidarności (2012)¹⁰. *Czujemy się docenieni. Ten*



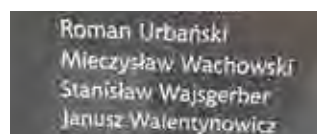
Decyzja o internowaniu do Strzebielinka z dnia 11 maja 1982 r.

9 [online], [dostępny: <http://www.bydgoskimarzec.pl/obchody-2008/lista-nagrodzonych-i-wyroznionych-w-ogolnopolskim-konkursie-bydgoski-marzec-1981-twoj-krok-ku-wolnosci>], [dostęp: 17.01.2015].

10 [online], [dostępny: <http://ipn.gov.pl/wydzial-prasowy/komunikaty/odznaczenia-panstwowe-dla-zasluzonych-dzialaczy-opozycji-dem2>], [dostęp: 17.01.2015]; [online], [dostępny: <http://grudziadz.naszemiasto.pl/arttykul/grudziadzanie-odznaczeni-krzyzem-wolnosci-i-solidarnosci,2591842,art,t,id,tm.html>], [dostęp: 23.01.2015].



Stanisław Wajngerber
w Strzebielinku, podczas
uroczystości odsłonięcia
tablicy upamiętniającej
istnienie w tym miejscu
obozu dla internowanych
w czasie stanu wojennego,
2014 r.



Tablica z nazwiskami osób
internowanych w Strzebielinku
oraz uwidocznione nazwisko
Stanisława Wajngerbera



Złoty Krzyż Zasługi, 2009 r.



Stanisław Wajngerber z ojcem Jerzym i matką Anną prezentują medale przyznane za działalność opozycyjną

medal to ogromna satysfakcja – mówił Stanisław Wajngerber w imieniu swoim i ojca. W tamtych czasach tak trzeba było działać. To było nasze zadanie! To było jedyne słuszne działanie przeciwko władzom komunistycznym. Inaczej nie można było! Myślę, że dobrze je wykonaliśmy. Szkoda tylko, że tych pięknych idei nie udało się w pełni zrealizować do dzisiejszych czasów – dodał.

Hymn „Solidarności” mówi dużo: „Żyjmy tak, jak gdyby nasz był wiek; pod wolny kraj spokojnie kładź fundament. A jeśli ktoś nasz polski dom zapali, to

każdy z nas gotowy musi być, bo lepiej byśmy stojąc umierali, niż mamy klęcząc na kolanach żyć”. I my, wówczas pełni idei, tak właśnie robiliśmy. Chcieliśmy być wolni. Chcieliśmy żyć w wolnym kraju. Takie były dylematy... A czy nam się to udało, to historia osądzi – dodał na koniec naszej rozmowy mój Bohater. A słowa te będą w mojej pamięci bardzo długo.



Grudziądzki pomnik „Solidarności”





Wręczenie Krzyża Wolności i Solidarności, 2012 r.

Stanisław Wajngerber pracuje nadal jako radca prawny w Grudziądzu i Łasinie. Z charakterystyczną dla siebie życzliwością pomaga wielu osobom, nie tylko zawodowo, często również bezinteresownie. Służy swoją radą i pomocą osobom potrzebującym porad prawnych. Widać, że jest wierny swoim ideałom.

Bardzo chętnie korzysta również z zaproszeń do szkół (m.in. Szkoły Podstawowe nr 5 i nr 16 w Grudziądzu), aby młodym uczniom opowiadać o czasach „Solidarności”, o patriotyzmie, o potrzebie kultywowania pamięci i tradycji tych czasów, ale również pomagać w zrozumieniu tego specyficznego historycznego czasu¹¹.

Podsumowując, pragnę przede wszystkim podziękować panu Stanisławowi, że zechciał spotkać się ze mną, podzielić się swoimi nie tylko wiadomościami, zbiorami, ale refleksjami z okresu „Solidarności”, szczególnie cennymi z uwagi na nasze najbliższe okolice. Cieszę się, że mogłam poznać człowieka, który ma tak bogatą historię. Jest człowiekiem aktywnym, otwartym, chętnym dzielić się swoją wiedzą. Wsłuchując się w słowa, starałam się wyobrazić sobie czasy, które dla mojego pokolenia kilkunastoletnich gimnazjalistów są w pewnym stopniu może już trochę odległą historią. Pan Wajngerber pokazał mi, jak ważną orga-

11 [online], [dostępny: http://www.sp5grudziadz.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=1179&Itemid=61]; [online], [dostępny: http://www.sp16.pl/index.php?action=newsy_2011_12], [dostęp: 17.01.2015].



Spotkanie z uczniami z Koła Historycznego SP nr 5 w siedzibie grudziądzkiej „Solidarności”



Spotkanie Stanisława Wajsgerbera z uczniami SP nr 16 w Grudziądzu

nizacją dla niego, dla wielu ludzi i dla całego ustroju Polski była „Solidarność”. Czytanie informacji ocenzurowanych, książkowych jest niczym w porównaniu z relacjami nie tylko naocznego świadka, ale również człowieka czynnie biorącego udział w kształtowaniu Polski. Bohater mojej pracy jest bardzo dobrym przykładem na to, że pracą, wysiłkiem i zjednoczeniem sił można osiągnąć rzeczy wbrew pozorom niemożliwe do osiągnięcia. To on przez pewien czas za darmo pomagał ludziom w sprawach prawnych, to on przeżywał ciężkie chwile podczas internowania. Jednak, jak sam przyznał, nie dałby rady bez tego, co było i jest w nim nadal... bez wiary! On nie liczył na pochwały, nie liczył na poklask i nie robił niczego, mówiąc kolokwialnie, „pod publikę”. Działania podejmowane przez niego i przez ten związek były surowo potępiane przez ówczesne władze, jednak ani on, ani wielu jemu podobnych nie poddało się. Patriotyzm, słowo, które w obecnych czasach traci na wartości, dla niego i dla tych ludzi było warte tyle, co życie, czyli wszystko. Jak silną trzeba mieć osobowość i wiarę, aby wybaczyć drugiej osobie zdradę (jak przyznał w naszej rozmowie, podał rękę osobie, która podstępnie zbierała przeciw niemu dowody i donosiła na niego). Jednak i to dla Stanisława Wajsgerbera nie było niemożliwe. To bardzo cenne móc osobiście uczestniczyć w spotkaniach z takimi ciekawymi ludźmi; ludźmi, którzy rzeczywiście byli współtwórcami naszej historii, historii miasta, regionu i Polski. Rozmowa z nim poszerzyła moje horyzonty. Spotkanie z Panem Stanisławem oraz jego doświadczenia pozwoliły mi zrozumieć, że solidarność to jedność, wspólnota, to bycie razem i wzajemna siła, która napędza do działania. Jedno z ostatnich słów wypowiedzianych podczas spotkania przez mojego bohatera zapamiętam

do końca życia, a mianowicie: *Pamiętaj, w życiu nie wolno nienawidzić, staraj się zawsze wybaczać*, tak samo jak słowa Jan Pawła II wyryte na grudziądzkim pomniku „Solidarności” – „Jedni z drugimi, nigdy jedni przeciw drugim”.

Źródła informacji:

1. Wspomnienia, relacja ustna Stanisława Wajngerbera 2014–2015 r.
2. „Moje wspomnienia” – wspomnienia Stanisława Wajngerbera, rękopis z osobistych zbiorów

Literatura:

1. *AZetka Encyklopedia PWN*, red. M. Sajko, Warszawa 2004
2. W. Roszkowski, *Historia Polski 1914–2000*, Warszawa 2005
3. W. Terlecki, *Solidarność. Dekada nadziei 1980–1989*, Warszawa 2010

Netografia:

http://www.solidarnosc.org.pl/bbial/osci_19.html
<http://www.solidarnosc.org.pl/o-nszz-solidarnosc/o-nszz-solidarnosc/logo>
<http://ipn.gov.pl/wydzial-prasowy/komunikaty/odznaczenia-panstwowe-dla-zasluzonych-dzialaczy-opozycji-dem2>;
<http://grudziadz.naszemiasto.pl/artykul/grudziadzanie-odznaczeni-krzyzem-wolnosc-i-solidarnosci,2591842,art,t,id,tm.html>
<http://grudziadz.naszemiasto.pl/artykul/kartki-obozowego-dziennika-ze-strzebielinka-chowal-w,2590548,art,t,id,tm.html>

Fotografie:

1. Zbiory własne Stanisława Wajngerbera
2. <http://grudziadz.naszemiasto.pl/artykul/stanislaw-i-jerzy-wajngerberowie-razem-byli-wiezieni-razem,2591848,art,t,id,tm.html>
3. http://www.sp5grudziadz.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=1179&Itemid=61
4. http://www.sp16.pl/index.php?action=newsy_2011_12
5. Wykonane przez autora pracy

III miejsce

kategoria: szkoły gimnazjalne

Katarzyna Sopolńska

opiekun: Elżbieta Ratańska
Gimnazjum Dwujęzyczne w Inowrocławiu

...jesteśmy mimo wszystko stróżami naszych braci...

Zbigniew Herbert

Pracę poświęcam mieszkańcowi mojego regionu, który w czasach największej próby pokazał siłę charakteru, umiłowanie ojczyzny i honor. Przedstawię postać, która dla nas, młodych ludzi powinna być wzorem i autorytetem.

Przygotowania do napisania pracy, poszukiwanie dokumentów, zdjęć i członków rodziny mojego bohatera, pamiętnik żony pozwoliły mi rozszerzyć wiedzę o historii, którą jeszcze można „dotknąć”, a ostatni świadkowie mogą nam pomóc rozszyfrować losy niezwykłych osób. Wkrótce to na nas, młodych, spadnie odpowiedzialność za pamięć o dawnych bohaterach i ich czynach.

Dlatego teraz opowiem historię niezwykłego mężczyzny rodem z Kujaw – Zbigniewa Przybyszewskiego, przede wszystkim w oparciu o wspaniałe świadectwo jego życia – pamiętnik żony.



Pierwszy nalot

Na cyplu Helu stała bateria imienia Laskowskiego,
Załoga jej była zgrana, gdyż miała dowódcę przedniego.
Ten mozołu i swych trudów nie żałował
I swą baterię do boju wzorowo przygotował.
Gdy pierwszego września na alarm zawyły klaksony,
Na czele swej baterii stanął kapitan obrony.
Ktoś z załogi krzyknął: „Już leci przekłete krzyżactwo”,
Krążąc nad baterią rzucali półtonowe żelastwo.
Lecz gniazda karabinów czuwając chytrze i skrycie,
Prażyły kadłuby i skrzydła szwabskich samolotów należycie.
Kapitan wciąż stoi na wieży,
Świeci przykładem jakim trza być,
Z browninga swego w łeb szwaba mierzy,
Po to jest żołnierz, by wroga bić.
Widząc żołnierze dzielną postawę dowódcy swego,
Wychodzą pod drzewa z rowu strzeleckiego.
Nie baczą na huk bomb i wrzask piekielny,
Marynarz okazał się śmiały i dzielny.
Choć dwadzieścia dwie minuty krążyli szwabskie kamraty,
Odlecieli ze wstydem i nie wszyscy psubraty.
Po ich odlocie sprawdziliśmy to sami,
Jak plaża była zasłana najrozmaitszymi częściami.
Z szwabskich samolotów te części leciały,
Gdyż karabiny marynarzy dobrze je trafiały.
Myśleli szwabowie, że z naszych armat i nas zostały strzępy,
Lecz w rezultacie zniszczyli nam tylko dwa ustępy.

Hel, 4 września 1939 r., wiersz ułożył i napisał swemu dowódcy Panu Kapitanowi Zbigniewowi Przybyszewskiemu st. bosman Kowalski

We wrześniu 2012 r. rozpoczęłam naukę w Gimnazjum Dwujęzycznym przy I Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Kasprówicza w Inowrocławiu i to wtedy,

na apelu inauguracyjnym po raz pierwszy usłyszałam o komandorze poruczniku Zbigniewie Przybyszewskim, wychowanku mojej nowej szkoły. W grudniu przypadała 60. rocznica jego śmierci, niestety nie można było złożyć na grobie kwiatów, bo miejsce, gdzie spoczywa komandor, nie jest znane do dziś. Zaczęłam zastanawiać się, dlaczego tak się stało i postanowiłam odkryć jego historię.

Zbigniew Przybyszewski urodził się niedaleko Kruszwicy 22 września 1907 r. w majątku ziemskim Giżewo, dlatego moją kwerendę rozpoczęłam od tego miejsca. Majątek, który z pewnością za czasów Zbigniewa był okazałym domem, dziś straszy i przypomina czasy działalności PGR. Mieszkają tam trzy rodziny, które nie potrafią zadbać o miejsce, gdzie na świat przyszedł bohater obrony Helu.



Giżewski zespół dworsko-pałacowy znajduje się w obrębie Nadgoplańskiego Parku Krajobrazowego

Na cmentarzu parafialnym w pobliskich Polanowicach znajduje się rodzinny grobowiec Przybyszewskich, ale dopiero od 2008 r. można tu znaleźć tablicę upamiętniającą Komandora. Po wykonaniu wyroku w 1952 r. rodzina nie została powiadomiona o miejscu pochówku. W świetle dzisiejszych badań prawdopodobnie znajduje się ono na Służewcu lub na Powązkach Wojskowych. Myślę, tak jak wnuczka komandora – Anna Bogusławska-Narloch, że w ciągu następnych lat uda się ustalić to miejsce i z honorami złożyć ciało do grobu:

Oczywiście wszyscy mamy wiarę i nadzieję, bo bez tego trudno żyć, że prace ekshumacyjne przyniosą sukces i wiele rodzin, a w tym nasza, doczeka się odnalezienia i zidentyfikowania szczątków ciał naszych bliskich. Wierzymy w to, że ci wszyscy



Tablica poświęcona kmdr. por. Zbigniewowi Przybyszewskiemu na grobowcu rodziny na cmentarzu w Polanowicach, wmurowana w 2008 r.

ludzie tak bestialsko zamordowani i haniebnie pogrzebani doczekają się godnego pochówku, że po tylu latach oczekiwań będą mieli swoje miejsce wiecznego spoczynku, a rodziny będą miały gdzie przychodzić i zapalić znicz, złożyć kwiaty i pomodlić się¹.

[Autorka pracy pisała te słowa w 2013 r. Wkrótce, 28 lutego 2014 r., Instytut Pamięci Narodowej, Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa i Pomorski Uniwersytet Medyczny w Szczecinie ogłosiły, że zidentyfikowano szczątki komandora Przybyszewskiego wśród ofiar pomordowanych przez organy bezpieczeństwa publicznego w latach 1945–1956 i pochowanych w Kwaterze na Łączce przy murze cmentarnym Powązek Wojskowych w Warszawie. Pogrzeb odnalezionych szczątków trzech zamordowanych przez ko-

munistów oficerów – komandora Zbigniewa Przybyszewskiego, kontradmirała Stanisława Mieszkowskiego i kontradmirała Jerzego Staniewicza, odbył się 16 grudnia 2017 r. Pochowani zostali na cmentarzu Marynarki Wojennej w Gdyni-Oksywiu w Kwaterze Pamięci – przyp. red.].

Prawdopodobnie położenie majątku w pobliżu Gopła spowodowało u przyszłego Komandora zainteresowanie wodą. Kiedy po wielu latach zaborów Polska odzyskała niepodległość, Zbigniew miał 11 lat, a dwa lata później, 1 lutego 1920 r., gen. Józef Haller dokonał aktu zaślubin Polski z morzem i wypowiedział te słowa: *Teraz wolne przed nami świąty i wolne kraje. Żeglarz polski będzie mógł dzisiaj dotrzeć wszędzie pod znakiem Białego Orła, cały świat stoi mu otworem*².

Historię życia Komandora odsłoniła przede mną jego wnuczka, Janina Bogusławska-Narloch, mieszkająca w Strzebielinie Morskim, z którą skontaktowałam

1 Rozmowa z Anną Bogusławską-Narloch, wnuczką kmdr. Zbigniewa Przybyszewskiego.

2 E. Pławski, *Fala za falą... Wspomnienia dowódcy ORP „Piorun”*, Gdańsk 2003, s. 128.

się dzięki pomocy Krzysztofa Zajączkowskiego, autora książki pt. *Bohater obro-ny Helu, kmdr por. Zbigniew Przybyszewski 1907–1952*.

W latach 1916–1918 Zbigniew chodził do szkoły w Kruszwicy, a następnie uczęszczał do gimnazjum w Inowrocławiu, w którym obecnie się uczy.



Autorka pracy – Katarzyna Sopolińska przed budynkiem Gimnazjum i I Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Kasprowicza w Inowrocławiu

Zbigniew Przybyszewski uczył się tu w latach 1918–1924, maturę zdając już w Krasnymstawie. Swoje marzenia o pływaniu urzeczywistnił, składając podanie w 1927 r. do Szkoły Podchorążych Marynarki Wojennej w Toruniu.



Rodzinna wyprawa łodzią, Zbigniew Przybyszewski z wiosłem pierwszy od prawej



Zbigniew Przybyszewski na pokładzie
ORP „Iskra”, 1928 r.
(ze zbiorów rodziny Przybyszewskich)

Okres nauki w Szkole Podchorążych Marynarki Wojennej trwał trzy lata i trzy miesiące. Rok szkolny dzielił się na siedem miesięcy nauki, cztery miesiące pływania praktycznego i pięć tygodni urlopu³.

16 sierpnia 1930 r. w oksywskim porcie na ORP „Bałtyk” 17 nowo mianowanych poruczników polskiej Marynarki Wojennej otrzymało honorowe nagrody z rąk gen. bryg. Stanisława Burhardta-Bukackiego.

W czasie swojej służby pełnił obowiązki m.in. na ORP „Kujawiak”, a także szkolił rekrutów w Ośrodku Morskim, uczestniczył w Kursie Oficerów Artylerii Morskiej, Kursie Oficerów Podwodnego Pływania, Kursie Pilotów Lotnictwa Morskiego i Nurków. Nie sposób wymienić wszystkich jego osiągnięć, ale wynika z nich, że był

człowiekiem bardzo pracowitym, nieustannie podnoszącym swoje kwalifikacje.

17 października 1935 r. poślubił Helenę z domu Poważę i odtąd młodzi zamieszkali w Gdyni przy ulicy Ejsmonda 14.



Zdjęcie z promocji oficerskiej
17 absolwentów Szkoły
Podchorążych Marynarki
Wojennej. Zbigniew
Przybyszewski piąty
od lewej (ze zbiorów NAC)

3 K. Zajączkowski, *Bohater obrony Helu*, Warszawa 2011, s. 32.



Zbigniew Przybyszewski
podczas szkolenia młodych
marynarzy na ORP „Bałtyk”
(ze zbiorów NAC)

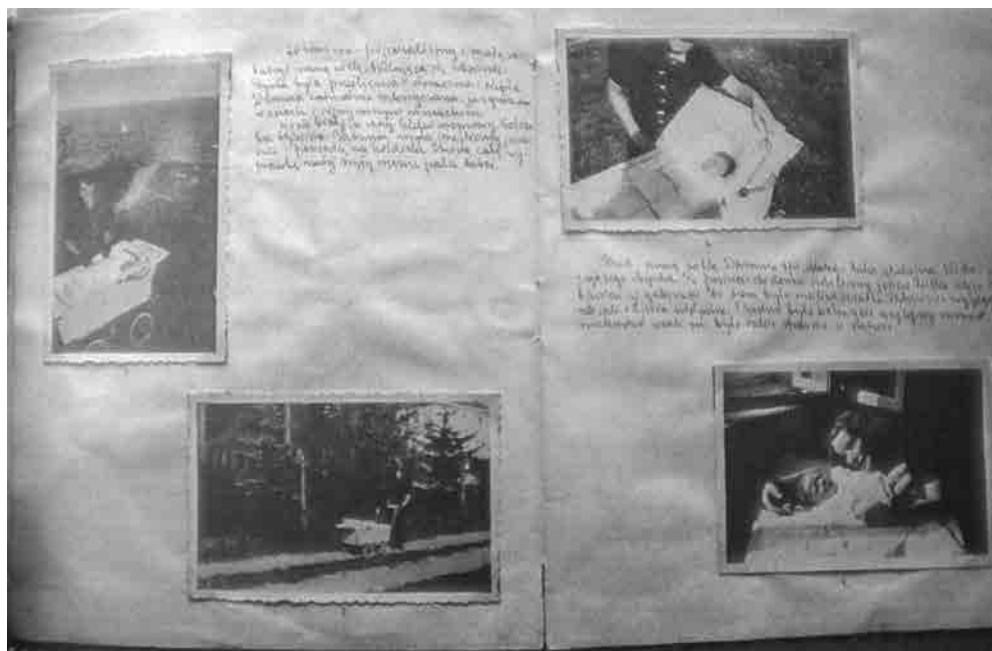
Niecały rok potem urodziła się małżeństwu Przybyszewskich córka – Danuta. Mieszka obecnie w Szwecji, a pani Janina Bogusławska-Narloch jest jej córką, która kultywuje pamięć o dziadku i babci. Życie prywatne rodziny możemy dziś poznać dzięki pamiętnikowi pisanemu od 1938 r. przez żonę Helenę. Znajduje się on w rodzinnych zbiorach Janiny Bogusławskiej-Narloch. Tak oto Helena



Zdjęcia ślubne Heleny i Zbigniewa Przybyszewskich z 17.10.1935 r.
(ze zbiorów Janiny Bogusławskiej-Narloch)

opisywała codzienne życie: *Tego roku (1938) w lecie chodziliśmy na plażę, nawet dosyć daleko. Danusia z początku bała się morza. Za żadne skarby nie zbliżała się do brzegu. Trzeba ją było powoli oswajać i kusić, to kamykami, to wodą, w końcu chytrze udało się i odtąd po prostu nie chciała wyjść z wody⁴.*

4 Pamiętnik Heleny Przybyszewskiej (ze zbiorów Janiny Bogusławskiej-Narloch).



Pamiętnik pisany przez Helenę Przybyszewską (ze zbiorów Janiny Bogusławskiej-Narloch)

Te piękne dni miały wkrótce zostać przerwane: *Urlop Zbyszka niestety został przerwany, odwołano go. Niemcy zajmowały Sudety, a my odbieraliśmy Zaolzie. Trzeba więc było, żeby Marynarka była w pogotowiu, a nuż trzeba się będzie bić z Niemcami. Skończyło się jednak na tym, że Zaolzie zostało przyłączone do Polski, a Czechy dostały się pod protektorat Niemiec, w łapy żołdackie Prusaków, którzy im zniszczą kraj zupełnie. Czechy nie broniły się zupełnie, bez strzału zrezygnowały ze swojej wolności. Co za wstyd i hańba spada na nich.*

19 marca 1938 r. Zbigniew Przybyszewski otrzymał awans do stopnia kapitana, a 25 października 1938 r. mianowano go dowódcą XXXI Baterii Artylerii Nadbrzeżnej im. kmdr. ppor. inż. Heliadora Laskowskiego na Helu, wchodzącej w skład Dywizjonu Artylerii Nadbrzeżnej. W związku z tym wydarzeniem cała rodzina przeniosła się na Hel. Zbigniew Przybyszewski jako dowódca XXXI Baterii 24 sierpnia 1939 r. zameldował pełną gotowość. Helena tak wspomina te ostatnie dni przed wojną: *Atmosfera była wspaniała. Zwłaszcza mój mąż, na swojej baterii, na cyplu chciał się bić z Niemcami. On się po prostu rwał do tego, był pełen optymizmu, że ich pobijemy.*

Rodziny żołnierzy zmuszone zostały do opuszczenia Helu i tak na wiele lat małżeństwo zostało rozdzielone.

Najważniejszym zadaniem XXXI Baterii było zwalczanie okrętów od strony morza i zatoki. Podczas wielu dni Września załoga dzielnie odpierała ataki Niemców, 25 września Zbigniew Przybyszewski zostaje ranny i trafia do szpitala. W liście do żony z niewoli tak opisze to wydarzenie: *Jednym odłamkiem dostałem w rękę, a drugim w pierś, ale ten odłamek przesunął się tylko po skórze, rozciął łańcuszek medalika i poza chwilowym krótkim otumanieniem właściwie nic mi nie zrobił⁵.*



Zbigniew Przybyszewski z odniesionymi ranami
(ze zbiorów Muzeum Obrony Wybrzeża z Helu)

28 września kapitan Przybyszewski przejął dowodzenie, a 30 września Niemcy rozpoczęli natarcie lądowe. W związku z problemami z wyżywieniem i brakiem amunicji oraz przychylnym podejściem miejscowej ludności do Niemców kontradmirał Józef Unrug decyduje się na kapitulację. Na żołnierzach baterii cyplowej ta decyzja zrobiła bardzo przygnębiające wrażenie. Samopoczucie Zbigniewa Przybyszewskiego opisał por. Edmund Pappelbaum: *Pragnął walczyć do samego końca, do ostatniego pocisku. Z ogromnym żalem przyjął wiadomość o konieczności kapitulacji. Ogromnie bolał, że musi zniszczyć kilkadziesiąt pocisków, które pozostały na baterii i nie zostały użyte przeciw wrogowi. Narodziła się wtedy myśl, aby nie kapitulować, a walczyć dalej. Podzielił się nią ze mną i pytał, jakie jest moje zdanie. Przystałem natychmiast na ten zamiar, bo właśnie budowa*

5 List Zbigniewa Przybyszewskiego do Heleny Przybyszewskiej z 21 stycznia 1940 r. (zbiory własne Janiny Bogusławskiej-Narloch).

6 E. Pappelbaum, *Wspomnienia z obrony Wybrzeża 1939 roku*, w: *Ostatnia reduta*, red. R. Witkowski, Gdańsk 1977, s. 165–166.

mej baterii została zakończona i działa były gotowe do akcji. Załoga baterii i ja chcieliśmy walczyć, zobaczyć skutki naszego ognia po parotygodniowym trudzie wymontowania dział ORP „Gryf”. (...) Powiadomiliśmy o naszych zamiarach dowódcę Dywizjonu komandora podporucznika Stanisława Kukiełkę. Zamiary nasze nie zostały zaakceptowane. Uznano je za godne pochwały, ale równocześnie za nierozsądne⁶.

Z relacji tej widać wyraźnie, jak bardzo Przybyszewski był zaangażowany i jak wielką miał wolę walki. Podczas 32-dniowej obrony Helu zginęło około stu polskich żołnierzy, a około 3 tys. żołnierzy i marynarzy trafiło do niewoli. Zbigniew Przybyszewski trafia do obozu jenieckiego w Spittal, a potem w Woldenbergu i tam poprzez korespondencję z rodziną próbuje ustalić, gdzie znajdują się jego żona i córka. Wszystkie listy znajdują się w zbiorach wnuczki, Janiny. Nastąpił wtedy pięcioletni okres pisania listów między małżonkami. Widać w nich, jak bardzo były wzajemnie wyczekiwane i jak wielką była miłość Zbigniewa Przybyszewskiego do rodziny. Mnie szczególnie urzekły te słowa: *Dla Danusi bądź łagodniejsza niż ja...; Czy zadowolona jesteś z Danusi, jej zdrowia i charakteru?*⁷; *Sama tylko świadomość, że życie, już by mi wystarczyła. A czym ja w zamian mogę się tobie zrewanżować? Przecież za ostatnie 16 miesięcy stosunek naszych wkładów jest jak 98 do 2 na Twoją korzyść. Przyczem Ty jesteś kobieta, ja mężczyzna. Wiesz chyba, jak b. czuję się z tego powodu zgnębiony. Tylko przeświadczenie, że w przyszłości będę mógł Tobie ulżyć i życie Twoje uczynić b. przyjemne jest dla mnie jedyną otuchą. Dzisiaj pozostaje mi tylko być dumnym, że tak dzielnie sobie poczynacie*⁸.

Podczas pobytu w obozie dowódca XXXI Baterii cyplowej, jeniec nr 612/XVIII oflagu IIC w Woldenbergu, mieszkaniac bloku nr B-15B, cały czas starał się doskonalić. Więźniowie przekazywali sobie wiedzę, a także brali udział w obozowej konspiracji i przygotowywali ucieczki. Robiono podkopy i w pracach tych Przybyszewski brał czynny udział. Niestety nie udało się tych działań doprowadzić do końca, a Zbigniew Przybyszewski został ukarany wraz z 11 więźniami 14-dniowym aresztem. Jednakże nie poprzestał on na tych dwóch próbach,

7 List z 2 sierpnia 1942 r. (zbiory Janiny Bogusławskiej-Narloch).

8 List z 16 kwietnia 1940 r.

postanowił spróbować samotnie opuścić obóz. Do realizacji tego planu doszło 21 lipca 1943 r., gdy udało mu się ukryć w obozowej ciężarówce w pojemniku na drzewo. Niestety już poza terenem obozu kierowca, który chciał dołożyć drewna, odkrył zbiega i odwiózł go do obozu. Dla kapitana skończyło się to ponownie aresztem⁹.

Polscy jeńcy przebywali w obozie do niemieckiej ewakuacji, tj. do 24 stycznia 1945 r. 30 stycznia 1945 r. licząca około 3 tys. grupa jeńców została oswobodzona przez Armię Czerwoną. W zbiorach wnuczki kapitana znajdują się także zeszyty obozowe, w których kpt. Przybyszewski opisał dzieje polskiej marynarki oraz stan jej przygotowania do wojny. Notatki służyły do prowadzenia szkoleń dla jeńców w obozie w Woldenbergu.

Po wojnie Stalin zdecydowanie wolał stworzyć polską marynarkę od podstaw, niż korzystać z wypracowanego dorobku i zasobów kadrowych. Przeciwnikiem powrotu marynarzy, którzy w wyniku działań wojennych lub niewoli znaleźli się w Anglii, był wiceadmiral Jerzy Świrski, który obawiał się represji i jak czas pokaże, nie pomylił się w swoich przypuszczeniach. Po wyborach w 1947 r. Świrski, 31 marca, wydał ostatni rozkaz, w którym ogłosił zakończenie istnienia Polskiej Marynarki Wojennej w Wielkiej Brytanii. Zbigniew Przybyszewski, jak pisze jego żona w życiorysie, wrócił do kraju, *nie poszedł dalej do armii sprzymierzonych. Był wielkim patriotą i uważał, że miejsce Polaka jest w Ojczyźnie. Wrócił, idąc pieszo lub przypadkowym transportem*¹⁰.

8 sierpnia 1946 r. został powołany do Marynarki Wojennej. Podczas swojej służby pełnił wiele funkcji, m.in. objął dowodzenie Dywizjonem Ścigaczy, za co został wielokrotnie doceniony i odznaczony: Medalem Za Odrę, Nyse, Bałtyk, przyznany 17 marca 1946 r., „za bohaterskie czyny i dzielne zachowanie się w walce z niemieckim najeźdźcą”; Medalem Zwycięstwa i Wolności 1945 – „W uznaniu zasług położonych w wojnie z Niemcami dla sprawy zwycięstwa Narodu Polskiego nad barbarzyństwem faszystowskim i triumfu idei wolności demokratycznej”; Orderem Krzyża Grunwaldu III klasy.

⁹ K. Zajączkowski, *Bohater obrony Helu*, s. 155.

¹⁰ Życiorys Zbigniewa Przybyszewskiego napisany przez Helenę Przybyszewską.



Zaświadczenie otrzymania Orderu Krzyża Grunwaldu III klasy (zbiory Janiny Bogusławskiej-Narloch)

22 lipca 1947 r. Zbigniew Przybyszewski otrzymał awans do stopnia komandora porucznika (Dziennik Personalny MON nr 7 z dnia 12 lipca 1947 r.)¹¹.



Dekoracja kpt. Zbigniewa Przybyszewskiego przez marszałka Michała Rolę-Żymierskiego

jak wspomina jego wnuczka, że jest żołnierzem i nie interesuje się polityką, bo służba Polsce nie jest związana z żadną partią. Pod koniec lat 40. zaostrzyły się represje wobec wojskowych i marynarzy, których często oskarżano o szpiegostwo. Zbigniew Przybyszewski z pewnością zdawał sobie sprawę z nadciągającej

Służba w ludowej Marynarce nie była łatwa dla Komandora. Był wychowany w innych realiach. Religijny (świadcstwo dawał, nosząc stale na szyi medalik), nie mógł dogadać się z radzieckimi współpracownikami. Wielokrotnie był namawiany do wstąpienia do partii, stale jednak odmawiał. Twierdził,

11 Wyciąg z akt personalnych Zbigniewa Przybyszewskiego (ze zbiorów Janiny Bogusławskiej-Narloch).



Uroczystość
zaprzysiężenia
rekrutów Dywizjonu
Artylerii Nadbrzeżnej,
22 lipca 1947 r.
(zbiory Janiny
Bogusławskiej-Narloch)

burzy, obserwując sowietyzację Marynarki i aresztowania kolegów. Od 1950 r. jest już inwigilowany, w domu Komandora został umiejscowiony informator „Biały” – Aleksander Kwiatkowski. Jak wspomina wnuczka: *babcia niejednokrotnie wspominała, że Zbyszek nie lubił Kwiatkowskiego i nie miał do niego zaufania.*

Zbigniew Przybyszewski postanowił odejść z Marynarki i w tym celu 17 września 1950 r. udał się do Warszawy, do Departamentu Personalnego Ministerstwa Obrony Narodowej.

Aresztowanie kmdr. Przybyszewskiego miało miejsce na ulicy, skąd przewieziono go do więzienia przy ulicy Chałubińskiego 3B. Nikt o tym nie został powiadomiony, wszystko odbyło się po kryjomu. Żona szukała go przez wiele dni i nie mogła nigdzie uzyskać informacji. Zbigniew Przybyszewski był pierwszym spośród ośmiu komandorów, których aresztowano do końca 1951 r. Były to tak okrutne czasy, że podczas brutalnych wielogodzinnych przesłuchań więźniowie potrafili przyznawać się do niepopołnionych win w trosce o swoje rodziny. W trakcie śledztwa Przybyszewskiemu pozwolono napisać list do żony, znajduje się on obecnie w zbiorach Janiny Bogusławskiej-Narloch.

Kochana Leneczko!

Napisz krótko, ale dokładnie, co słychać, jak zdrowie Wszystkich. Gdzie pracujesz. Co z Mamusią. Jak się sprawuje, uczy, do której chodzi klasy i do jakiej uczęszcza szkoły Danko. Co z resztą Rodziny?

O mnie się nie martwcie. Jestem zupełnie zdrowy. Jedzenie mamy bardzo dobre, tak, że mi żadnych paczek ani pieniędzy nie trzeba. W zupełności wystarcza mi to, co tutaj otrzymujemy i to zarówno pod względem jakościowym jak i ilościowym. Moje ubranie i bielizna również w porządku. Tak się składa, że pierwszy list piszę akurat w przeddzień Twoich i Mamusi imienin. Życzę Wam Wszystkiego Dobrego.

Całuję Wszystkich mocno.

Zbyszek¹².

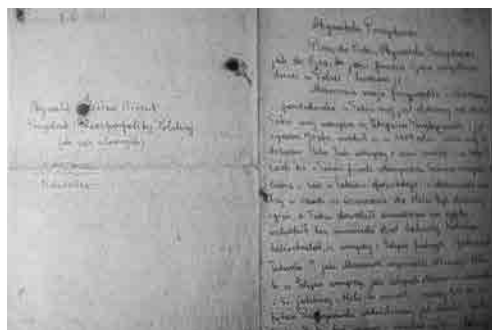
W tym samym czasie żona Komandora otrzymała nakaz opuszczenia terenu Wybrzeża bez prawa powrotu. Musiała bez żadnych zabezpieczeń i perspektyw na dalsze życie wyjechać z dzieckiem, była postrzegana jako żona szpiega i nieakceptowana społecznie. 15 lipca 1952 r. przed Najwyższym Sądem Wojskowym rozpoczęła się rozprawa, w czasie której kmdr. Przybyszewskiego oskarżono o usiłowanie usunięcia przemocą organów zwierzchniej władzy narodu i próbę obalenia ustroju państwa. O rozprawach i wyrokach nie powiadomiono w żaden sposób rodzin oskarżonych¹³. Oskarżono go z artykułu 86 Kodeksu karnego Wojska Polskiego oraz z artykułu 7 i 15 dekretu PKWN z 13 czerwca 1946 r. o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa. Paragrafy te pozwalały orzekać karę śmierci. 21 lipca 1952 r. Komandor został uznany winnym i sąd skazał go na karę śmierci.

Helena Przybyszewska wraz z żonami innych skazanych podjęła dramatyczną walkę o ułaskawienie męża, pisząc listy do Bieruta i Stalina. List do Bieruta napisała także córka Komandora: *Wiem, że Tatusi kochał swój naród i swoją pracę. I jak ja teraz będę mogła uczyć się i żyć bez Tatusia, mojego kochanego Tatusia? Tatusia wszyscy będą żałować, bo tatusia znają i czytali, jak bronił Helu. Mamusia już też pisała do Ciebie, Obywatelu Prezydencie, ja proszę ocal Tatusia. Ty możesz to zrobić, bo masz takie prawo. Ocal mi tatusia¹⁴.*

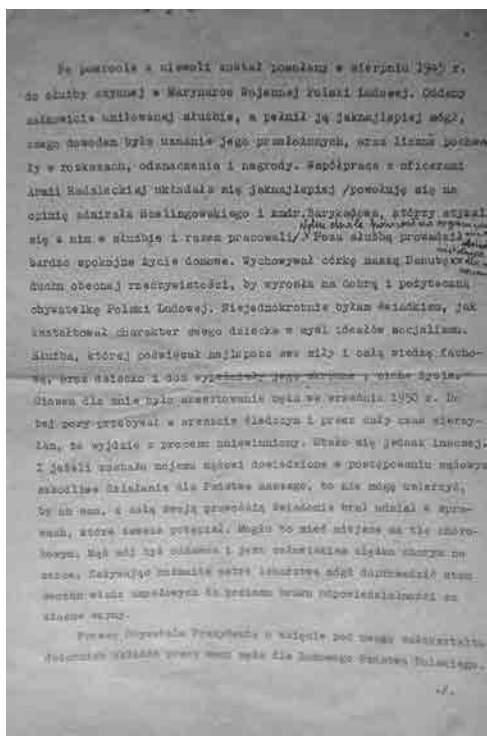
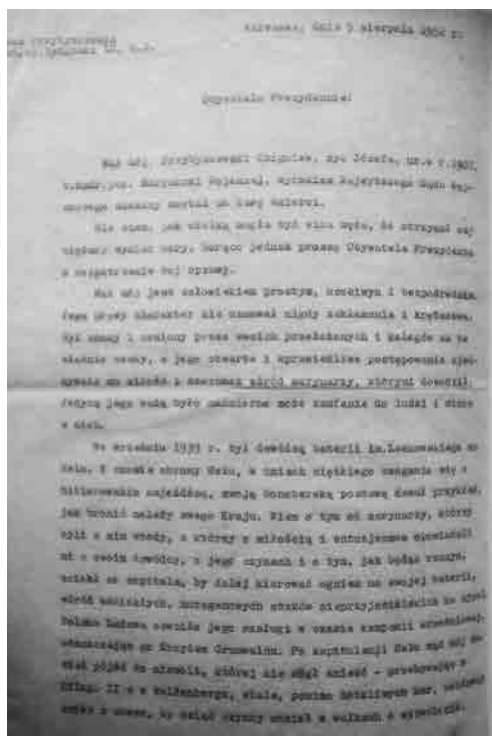
12 List Zbigniewa Przybyszewskiego do Heleny Przybyszewskiej z 21 maja 1952 r. (zbiory Janiny Bogusławskiej-Narloch).

13 K. Zajączkowski, dz. cyt., s. 218.

14 List Danuty Przybyszewskiej do prezydenta Bolesława Bieruta (zbiory Janiny Bogusławskiej-Narloch).



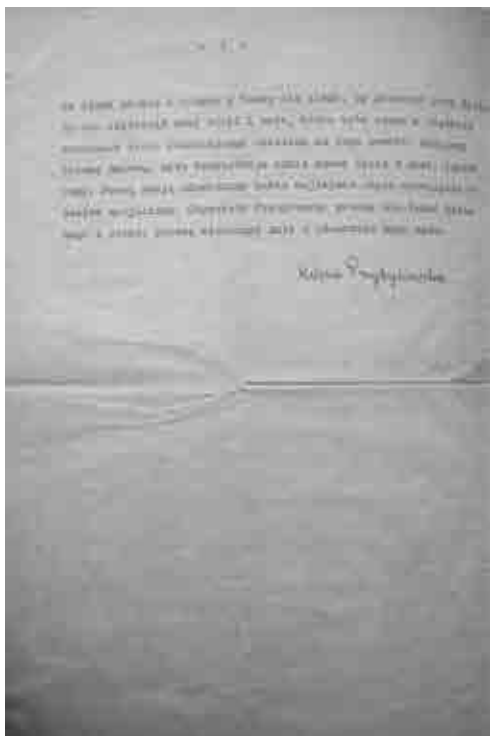
List Danusi Przybyszewskiej do Bolesława Bieruta (ze zbiorów Janiny Bogusławskiej-Narloch)



Jako jedyny ze skazanych w „procesie komandorów” Przybyszewski nie skorzystał z prawa wniesienia skargi rewizyjnej do Zgromadzenia Sędziów Najwyższego Sądu Wojskowego. Nie wniósł też prośby o łaskę do Bieruta.

Kiedy Danusia pisała ten list, miała dokładnie 12 lat, trudno mi sobie wyobrazić, co czuła ona i jej mama, jak bardzo musiały się bać o życie ukochanej osoby.

10 października 1952 r. Przybyszewski odwołał wszystkie swoje zeznania i nie zmienił zdania, gdy za złożenie obciążających zeznań płk Skulbaszewski proponował mu uratowanie życia. W wieku 45 lat na kmdr. Zbigniewie Przybyszewskim 16 grudnia 1952 r. wykonano wyrok śmierci, prawdopodobnie strzałem w tył głowy. Po śmierci Stalina nastąpiła odwilż i dzięki tym zmianom 2 maja 1956 r. Helena otrzymała akt rehabilitacyjny. Nic już jednak nie wróciło życia człowiekowi, który całym swoim życiem pracował dla Ojczyzny i nic nie poprawiło trudnej sytuacji matki i córki, wyrzuconych z domu i pozbawionych środków do życia. Ciekawe zdarzenie miało miejsce wiele lat po wojnie, tak opowiada o nim wnuczka Zbigniewa Przybyszewskiego: *Pod koniec lat siedemdziesiątych*



List Heleny Przybyszewskiej do Bolesława Bieruta (ze zbiorów własnych Janiny Bogusławskiej-Narloch)



Anna Bogusławska-Narloch
– wnuczka Komandora i Władysław
Szarski, wicedyrektor Muzeum
Obrony Wybrzeża im. kmdr. por.
Zbigniewa Przybyszewskiego w Helu
(zbiory autorki pracy Katarzyny
Sopolińskiej)

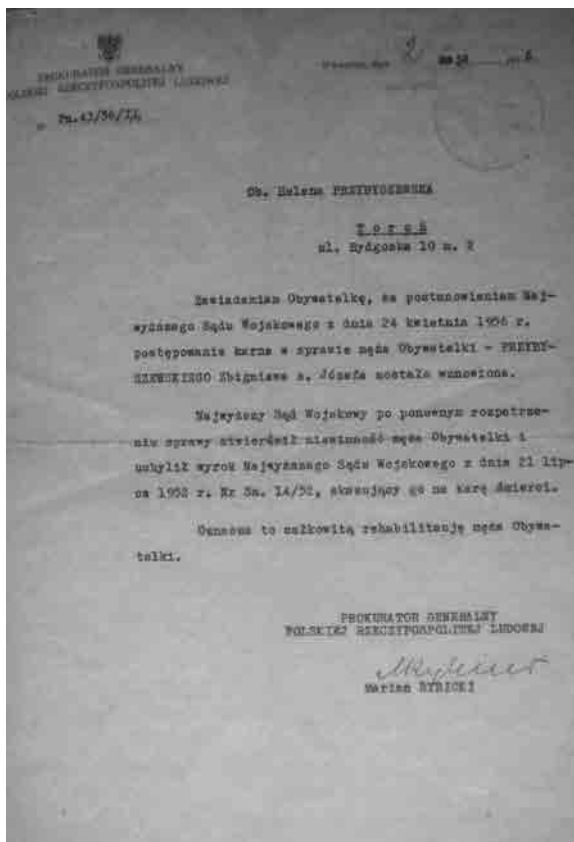
zapukał do naszych drzwi mężczyzna z Niemiec. Dowiedzieliśmy się, że mężczyzna ów w czasie wojny zamieszkiwał ze swoją rodziną w naszym domu w Gdyni na Ejsmonda. Był wówczas małym chłopcem. Jego ojciec był chyba lekarzem. Byli to dobrzy i porządni Niemcy, którzy tej wojny nie chcieli. Dom podczas ich bytności był bardzo zadbany i czysty. Syn słyszał historię mojego Dziadka i bardzo chciał poznać jego rodzinę. Przez kilka lat utrzymywaliśmy z nimi kontakt, przysyłali nam paczki. Był adwokatem i prowadził nawet naszą sprawę spadkową w Berlinie. Być może chciał się w ten sposób zrehabilitować, odkupić winy za czyny swojego narodu. Myślę, że była to forma uznania i poszanowania osoby mojego Dziadka, który był takim wspaniałym i nieskazitelnym człowiekiem i dowódcą¹⁵.

Do dziś nie znamy miejsca pochówku rozstrzelanych komandorów, ale pamięć o kmdr. Zbigniewie Przybyszewskim jest zachowana. W moim Gimnazjum Dwujęzycznym przy Liceum Ogólnokształcącym w Inowrocławiu w grudniu 2012 r. została zorganizowana w 60. rocznicę śmierci Komandora konferencja i wystawa poświęcone jego postaci. Nasza szkolna społeczność uczciła godnie pamięć Zbigniewa Przybyszewskiego. Jego portret zawisł w Galerii Najślawniejszych Uczniów naszej placówki.

Rozumiem jednak żal rodziny Komandora, która była potępiana, a potem lekceważona w swoich dążeniach do prawdy i trudno mi sobie wyobrazić, że nadal może to być temat niewygodny...

¹⁵ Rozmowa z Anną Bogusławską-Narloch, wnuczką Komandora.

Pismo prokuratora M. Rybickiego
z 2 maja 1956 r. informujące
o rehabilitacji Zbigniewa
Przybyszewskiego (zbiory Janiny
Bogusławskiej-Narloch)



Cała moja rodzina miała i nadal ma ogromny żal i gniew, iż rząd Polski – przeszły i obecny – tak opieszale podchodzi do sprawy odnalezienia, ujawnienia i skazania wszystkich oprawców tych zbrodni. Od ponad dwudziestu lat jesteśmy ponoć wolnym narodem, a nadal o wielu sprawach nie mówi się głośno. To jest hańba dla naszego kraju, aby tak długo z tym zwlekać. Nadal żyją ludzie, którym jest to nie „na rękę”, niewygodne. Uczczenie 60. rocznicy mordu na Komandorach też nie podobało się niektórym osobom. To jest bardzo bulwersujące nie tylko dla rodzin, ale i dla osób, które są bardzo zaangażowane w te sprawy¹⁶.

Na zakończenie mojej pracy chciałabym w całości zaprezentować list wnuczki Zbigniewa Przybyszewskiego, który uważam, że przypomni wszystkim młodym ludziom o takich ideałach jak Bóg, Honor i Ojczyzna.

¹⁶ Tamże.

Strzebielino, dn. 27.01.2013r.

Droga Młodzieży

Jestem wnuczek zamordowanego przez Stalinowskich władze, dowódcy Bateria Cyfrowej im. Heliodora Łaskowskiego w Helu, kmdr por. Zbigniewa Przybylskiego.

Dawno temu mój Dziadek uczęszczał do Naszego gimnazjum. Jak by był kiedyś takim samym uczniem. Miał swoje marzenia i nadzieję na ich realizację. Był pogodnym, bez trosk, pełnym optymizmu chłopcem. Nie wiedział jednak, jaki okrutny nadejdzie czas i jaki niesprawiedliwy spotka Go los. Jaki ciężki czeka Go okres wojenny, niewola w obozie jameckim i w końcu powrót do swojej ojczyzny, który okazał się dla Niego tragicznym końcem swojego życia. Mam nadzieję, że choć troszkę poznacie historię życia i śmierci mojego Dziadka. Jeżeli jeszcze nie, to zachęcam Was wszystkich, abyście to zrobili. Tęto bowiem wiedzieć jak żyli i w tamtych odległych czasach. Jakimi ideałami się kierowali i jakie były ich życiowe dewizy. Zachęcam Was do przeczytania, jeżeli mi teraz to za jakiś czas - książki autora Pana Krzysztofa Zajęczkowskiego „Bohater obrony Helu - kmdr por. Zbigniew Przybylski 1907-1952”. Przeczytała ją już Nasza koleżanka Kasia - pójdziecie za jej śladem.

Może chociaż kilku z Was zapamięta tą historię,
i przekaże ją dalej a osoba mojego Dziadka i ludzie
Jemu podobnych nie pójdzie w zapomnienie. Pragnęłabym
odwysokie kierowali się, wzięcie dewiza ludzi francuskich lat,
którzy ponad wszystko cenili wartości - **Bóg * Honor ***
Ojczyzna - a odtąd już mało kto pamięta.

Życzę Wam wykorzystanie samych dobrych chcił i życia,
wspomnień myśli i nauki, spełnienia marzeń,
prawdy i uczciwości i postępowania, pragnijcie nad sobą
każdego dnia. Dokonywania dobrych wyborów a na pewno
wyrosną z Was porządni ludzie. Bożem tacy potrzebni
są naszemu krajowi.

Jezeli jeszcze nie byliście, zapraszam nad nasze
piękne wybrzeże, Półwysep Helski i komercyjne do
odwiedzenia - Muzeum Obrony Wybrzeża pod patronatem
mojego Dziadka, oraz do miejsca Jego dowodzenia.
Serdечно pozdrawiam pedagogów i Was wszystkich.

Anna Bogusławska-Nenloch

Biografia i tragiczne losy mojego bohatera kmdr. Zbigniewa Przybyszewskiego uświadomiły mi wyraźnie, jak trudne były lata wojny, ale jeszcze wyraźniej pokazały tragizm lat powojennych komunistycznej Polski, której rzeczywistość naznaczona była terrorem, przemocą, niesprawiedliwością, bezsilnością niesłusznie potępionych. Moją refleksją młodego człowieka jest myśl, że dziwna to była wolność kraju, który niszczył najlepszych jego synów! Dlatego przywracanie pamięci o zapomnianych bohaterach jest naszym obowiązkiem, jest kontynuacją najlepszych wartości „Bóg, Honor, Ojczyzna”, a najlepiej oddaje tę ideę wiersz Zbigniewa Herberta *Pan Cogito o potrzebie ścisłości*:

...jak trudno ustalić imiona
wszystkich tych co zginęli
w walce z władzą nieludzką

jesteśmy mimo wszystko
stróżami naszych braci

niewiedza o zaginionych
podważa realność świata

wtrąca w piekło pozorów
diabelską sieć dialektyki
głoszącej że nie ma różnicy
między substancją a widmem

musimy zatem wiedzieć
Policzyć dokładnie
zawołać po imieniu
opatrzyć na drogę...

Wierzę, że wolna demokratyczna Polska może *policzyć dokładnie, zawołać po imieniu, opatrzyć na drogę, tych co zginęli w walce z władzą nieludzką*.

Źródła informacji:

1. Narodowe Archiwum Cyfrowe w Warszawie – kolekcja zdjęć
2. Muzeum Obrony Wybrzeża, Hel, zdjęcia
3. Zbiory prywatne Janiny Bogusławskiej-Narloch – pamiętnik
4. Zbiory prywatne Janiny Bogusławskiej-Narloch
5. Wywiad z Anną Bogusławską-Narloch

Opracowania:

1. E. Pappelbaum, *Wspomnienia z obrony Wybrzeża 1939 roku*, w: *Ostatnia re-duta*, red. R. Witkowski, Gdańsk 1977
2. E. Pławski, *Fala za falą... Wspomnienia dowódcy ORP „Piorun”*, Gdańsk 2003
3. K. Zajączkowski, *Bohater obrony Helu*, Warszawa 2011

I miejsce

kategoria: szkoły ponadgimnazjalne

Marcjanna Tomczewska

opiekun: Jacek Tymiński

V Liceum Ogólnokształcące im. Jana Pawła II w Toruniu

Poproszę kurs na wolność...

Historia działalności

NSZZ „Solidarność”

Toruńskich Taksówkarzy

*Solidarność to
Podobnie czuć i myśleć
Solidarność znaczy
Razem iść do celu
Aż w ciemnym tunelu
Światelko zabłyśnie
Nadzieja na którą
Czekało tak wielu
Solidarność w walce
O los sprawiedliwy
W dążeniu upartym
O jutro wciąż lepsze
Jest siłą co zburzy
Mur jak kruche szyby¹
Marek Grechuta (1994)*

1 Fragment piosenki autorstwa Marka Grechuty pt. *Solidarność*.

Wielka rola postaci drugiego planu

Jedną z tych z pozoru małych, a w rzeczywistości bardzo istotnych ról odgrywali toruńscy taksówkarze. Bez ich wkładu i zaangażowania wiele solidarnościowych akcji nie miałyby racji bytu. Mogłoby się wydawać, że ich czyny nie były wcale wielce heroicznymi, więc niewarte są upamiętniania, lecz to m.in. ci ludzie przyczynili się do powstania wolnej Polski. Nie odegrali głównych ról na scenie toruńskiej „Solidarności”, ale bez ich wkładu, jak i wielu innych drugoplanowych postaci nie udałooby się doprowadzić do poszerzenia wolności w Polsce. Dlatego warto upamiętniać tych ludzi i poświęcić im uwagę.



Marian Jaśkowiec przy swojej taksówce, którą jeździł w latach 60., czarnej wołdze. Zdjęcie pochodzi z prywatnego archiwum Mariana Jaśkowca

Struktury i zakres działania toruńskich taksówkarzy

W skład prężnie działających na toruńskich ulicach taksówkarzy wchodził: Edward Staszkievicz, Marian Jaśkowiec, Aleksander Przytarski, Janusz Błażejowski, Maks Wiśniewski, Mieczysław Hałdyn, Zygmunt Woźniak, Bogdan Jankowski oraz nieżyjący już przewodniczący NSZZ „Solidarność Taksówkarzy” Sławomir Mossakowski. Do dziś taksówkarzami pozostali tylko Edward Staszkievicz oraz Aleksander Przytarski.

Na zdjęciu od lewej: Aleksander Przytarski, Janusz Błażejowski, Edward Staszekiewicz, Marian Jaśkowicz; zdjęcie wykonane przeze mnie w styczniu 2015 r.



Posługiwali się pseudonimami, a ich znakami rozpoznawczymi były boczne numery taksówek:

- Edward Staszekiewicz – pseudonim „Grzegorz”, numer 242 (jeździ z nim do dziś),
- Marian Jaśkowicz – pseudonimy „Maryś” i „Murzyn”, numer 202,
- Janusz Błażejowski – numer 639,
- Aleksander Przytarski – pseudonim „Marynarz”, numer 4.

Byli ludźmi niezwykle cennymi dla wielu działaczy „Solidarności”, nie tylko ze względu na to, że posiadali samochody i większy przydział na paliwo, ale głównie ze względu na niezłomne charaktery i odwagę. Dzięki temu, że byli taksówkarzami, mieli wręcz niepodważalne alibi i oczywiste potencjalne powody, by pojawiać się w wielu miejscach i o różnych porach. W razie jakichkolwiek podejrzeń zawsze mogli powiedzieć, że tylko czekają na klienta.

Ich praca polegała głównie na kolportażu i transporcie zarówno rzeczy (ulotki, maszyny drukarskie, papier), jak i ludzi. Przewozili działaczy opozycyjnych na miejsca spotkań, zazwyczaj na tylnym siedzeniu w pozycji leżącej i zawsze posługiwali się umówionymi wcześniej hasłami. Byli wyszkoleni w działalności konspiracyjnej przez Antoniego Stawikowskiego oraz Wiesława Cichonia na wypadek przesłuchania lub wsypy i darzeni ogromnym zaufaniem władz podziemnej „Solidarności”. Pracą związaną z koordynowaniem ich działań oraz rozdzielaniem konkretnych zadań zajmowali się głównie Sławomir Mossakowski

oraz Edward Staszkiwicz. Robili to na spotkaniach organizowanych w domach taksówkarzy, głównie w domu Sławomira Mossakowskiego, ale także w domu Zygmunta Woźniaka. Spotkania organizowali w takim terminie, by zawsze wypadały w pobliżu daty urodzin lub imienin jednego z nich lub członków ich rodziny. Był to świetny pomysł na alibi.

Posługiwali się ustalonymi na bieżąco hasłami, które za każdym razem zmieniali. Były to zazwyczaj słowa niebudzące podejrzeń, np. „Czy pojedzie pan za 10 złotych?”. Wtedy taksówkarz podawał inną cenę lub odpowiadał w jeszcze inny ustalony sposób. Hasła trzeba było zapamiętać, nigdzie ich nie zapisywano. Jedynie w niektórych przypadkach zapisywano adresy. Robiono to na bibułkach od papierosów. Edward Staszkiwicz wspomina, że bibułkę dodatkowo owijał w poślótko i trzymał ją w ustach. Gdyby zatrzymała go SB, od razu połknąłby to. Dodatkowo, w samochodach taksówkarzy umieszczone były skrytki. Wykorzystywane były one w okresie stanu wojennego, kiedy żeby wjechać do miasta, trzeba było przejść kontrolę na rogatek. Skrytki były przygotowywane dużo wcześniej i wbudowane w siedzenia lub pod wycieraczkami, w miejscach trudno dostępnych i najczęściej niepoddawanych wnikliwej kontroli. W skrytkach przewożono niezależną prasę i ulotki.

Taksówkarze wykonywali kursy zarówno kilku-, jak i kilkusetkilometrowe i nigdy nie brali za to pieniędzy ani żadnych wynagrodzeń. Z początku nawet nie dostawali zwrotów pieniędzy za paliwo, ponieważ – jak powiedział podczas wywiadu Edward Staszkiwicz: *To nie był absolutnie nasz cel, żeby na tym zarabiać*². Ponadto taksówkarze organizowali w swoim środowisku składki pieniężne dla żon i dzieci internowanych działaczy opozycyjnych. Składali się też regularnie na cele ich działalności.

Podobne grupy taksówkarzy tworzyły się również w innych miastach Polski, jednak wszyscy jednogłośnie twierdzą, że to właśnie Toruń wyróżniał się pod względem osiągnięć w dziedzinie działalności podziemnej tej grupy zawodowej. Toruńscy kierowcy spotykali się z taksówkarzami z innych miast dość często, głównie w Warszawie i Lublinie. W maju 2009 r. w toruńskim dzienniku „Nowości” ukazała się wypowiedź Wiesława Cichonia na temat taksówkarzy:

2 Wypowiedź Edwarda Staszkiwicza podczas wywiadu przeprowadzonego przeze mnie w grudniu 2014 r.

Toruńscy taksówkarze to był chyba fenomen na skalę ogólnopolską. Byli doskonale zorganizowani, odpowiedzialni, zaangażowani całym sercem. Oczywiście, nie znałem osobiście wszystkich z kilkunastu włączonych w działalność opozycyjną. (...) Praktycznie we wszystkich większych akcjach korzystaliśmy z ich pomocy. Nigdy nie odmówili. Byli dyspozycyjni w stu procentach. A pamiętajmy, że taksówkarze to była wtedy arystokracja. Mogli, gdyby chcieli, zarabiać naprawdę duże pieniądze. (...) Dla mnie to cisi bohaterowie tamtych dni. A jedyne, co mogliśmy im obiecać, to to, że w przypadku aresztowania i więzienia ich rodziny uzyskają pomoc³.

Toruńscy taksówkarze postanowili nawet ufundować sztandar dla swojej organizacji związkowej. Uroczyste poświęcenie sztandaru miało miejsce w 1983 r. Edward Staszekiewicz przywiózł wtedy swoją taksówkę z Gdańska Annę Walentynowicz, która została matką chrzestną sztandaru. Uroczystość odbyła się w toruńskim kościele przy ul. Podgórnej. Podczas mszy świętej ksiądz Stanisław Kardasz poświęcił tak ważny wtedy dla nich symbol ich działalności. Sztandar był koloru błękitno-złotego i został wcześniej wyhaftowany przez siostry zakonne z Jabłonowa. Widniał na nim św. Krzysztof – patron kierowców, ówczesny herb Torunia oraz kierownica – atrybut kierowców.



Zdjęcie pochodzi z prywatnego archiwum Edwarda Staszekiewicz. Zostało wykonane w kościele przy ul. Podgórnej. Na zdjęciu: ks. Stanisław Kardasz, Marian Jaśkowiec, Anna Walentynowicz, Sławomir Mossakowski

3 [online], [dostępny: www.nowości.com.pl], [dostęp: 20.01.2015].



Zdjęcie pochodzi z prywatnego archiwum Edwarda Staszkiwicza. Zostało wykonane w kościele przy ul. Podgórnej. Na zdjęciu: z krzyżem Marian Jaśkowiec i Sławomir Mossakowski

Główne zadania i cele działalności taksówkarzy

Edward Staszkiwicz wspomina, że w jego przypadku rozpoczęło się od dowożenia żywności i koców dla strajkujących w „Towimorze” w sierpniu 1980 r. Później podczas tzw. karnawału „Solidarności” taksówkarze założyli swój związek NSZZ „Solidarność Taksówkarzy”. Wtedy zaangażowani taksówkarze rozpoczynają szerszą działalność. Było to już dużym osiągnięciem, ponieważ zostali wpisani jako prywatna inicjatywa do związków zawodowych, na co państwowe struktury nie chciały przystać. *Jednak udało się przy pomocy Zbyszka Bujaka, to on załatwił nam adwokata*⁴ – wspomina Staszkiwicz. Według niego do związku należało wtedy około 70 proc. toruńskich taksówkarzy.

Po sierpniu 1980 r. Edward Staszkiwicz zaproponował także bliższą współpracę najbardziej zaufanym kolegom. Byli wśród nich: Aleksander Przytarski, Janusz Błażejowski oraz Marian Jaśkowiec. Aleksander Przytarski wspomina, że Staszkiwicz musiał ich darzyć ogromnym zaufaniem. Wykonywali zlecenia, które otrzymywali od Edwarda Staszkiwicza oraz Sławomira Mossakowskiego. Akcje te zawsze wiązały się z ryzykiem, którego nie unikali, choć mieli świadomość, że na ich utrzymaniu są żony i dzieci.

⁴ Wypowiedź Edwarda Staszkiwicza podczas wywiadu przeprowadzonego przeze mnie w grudniu 2014 r.

Jedną z takich akcji, w której brał udział Aleksander Przytarski, był zaplanowany wyrzut dużej ilości ulotek z okna wieżowca na Rubinkowie, tak by wiatr rozniósł je na pobliskie ulice. Podczas gdy dwóch działaczy, a wśród nich Wiesław Cichoń, wchodziło na samą górę wieżowca, Przytarski czekał na ich powrót w taksówce. Taksówkarz wspomina dziś, że Wiesław Cichoń chciał jeszcze zostać i patrzeć, jak wiatr niesie ulotki, ale wiązało się to ze zbyt dużym ryzykiem.

Także dzięki taksówkarzom rodziny internowanych działaczy mogły odwiedzić bliskich. Kierowcy przewozili te rodziny zarówno do Potulic, Fordonu, jak i Strzebielinka. Nigdy jednak nie podjeżdżali pod więzienia, lecz parkowali auta w pewnym oddaleniu, by uniknąć dekonspiracji. Pomagali dodatkowo nosić paczki z żywnością przywiezioną dla internowanych i uczestniczyli z nimi w tych odwiedzinach. Janusz Błazejewski woził m.in. żonę i córkę Zbigniewa Iwanowa oraz rodziny Andrzeja Madraka, Antoniego Stawikowskiego i Krzysztofa Żabińskiego.

Jedną z bardziej pamiętnych chwil dla taksówkarzy był także strajk ostrzegawczy w marcu 1981 r. Było to całkowicie spontaniczne działanie. Powodem było pobicie Jana Rulewskiego w Bydgoszczy. Taksówkarze zebrali się wtedy na Starym i Nowym Rynku w Toruniu, a liczba kierowanych przez nich taksówek przeszła oczekiwania głównych organizatorów. Wtedy, jak wspominają, obudziła się w nich nadzieja, że taryfiarze, powszechnie zwani „złotówami”, również potrafią zaangażować się w coś tak ważnego, że obudził się w nich duch patriotyzmu. *Wynikało to chyba z autentycznej patriotycznej potrzeby. Uprawialiśmy stosunkowo wolny zawód. Może tym bardziej raziły nas absurdy – nakazy i zakazy – socjalizmu?*⁵ – powiedział Edward Staszekiewicz w rozmowie z dziennikarzem Jackiem Kiełpińskim.

Edward Staszekiewicz koordynował także sprawy związane z transportem w podziemnej Regionalnej Komisji Wykonawczej NSZZ „Solidarność”. Razem z innymi taksówkarzami przewoził m.in. maszyny drukarskie i papier z Piwnic, które były pozyskiwane dzięki Antoniemu Stawikowskiemu. Staszekiewicz

5 J. Kiełpiński, A. Luks, R. Rzeszotek, *Dziś kończymy rewolucję. Wybory przełomu oczami uczestników*, Toruń 2009, s. 64.

zajmował się przewożeniem urzędów, w tym samym czasie koledzy taksówkarze zapewniali mu bezpieczeństwo, asekurując go.

Jeszcze inną, bardziej niebezpieczną akcją, w której brali udział taksówkarze, było w 1985 r. kręcenie filmu o księdzu Jerzym Popiełuszcze pt. *Ksiądz Jerzy*. Było to już po jego śmierci i działało się z inicjatywy Mariana Terleckiego, późniejszego szefa Telewizji Polskiej. Film był nagrywany w Górsku, w miejscu porwania księdza Jerzego, a kamera była umieszczona bezpośrednio w samochodzie Edwarda Staszkiewicza. Był to teren nieustannego patrolu Milicji Obywatelskiej.

Taksówkarze brali także udział w przywożeniu prelegentów Klubu Myśli Politycznej, chociażby wspomnianych przez Staszkiewicza Jacka Kuronia, Tadeusza Mazowieckiego oraz innych działaczy, na spotkania, wykłady i lekcje religii prowadzone przez księdza Stanisława Kardasa. Zlecenia te taksówkarze dostawali od Antoniego Stawikowskiego, który posługiwał się wtedy pseudonimem „Wiesław”.

Marian Jaśkowiec, jeden z taksówkarzy, wspomina, że zawsze czuł dumę, gdy działacze obdarzali go zaufaniem i angażowali do pomocy przy niebezpiecznych akcjach. Tak było też podczas tej organizowanej przez prof. Jana Hanasza w Kaszczorku. Była to pierwsza akcja związana z emisją audycji radiowych. Nadajnik razem z balonem wypełnionym helem został wypuszczony na otwartej przestrzeni, a opozycjoniści po akcji szybko wrócili do samochodu Mariana Jaśkowca i odjechali. W samochodzie Jaśkowiec posiadał nowoczesne wtedy radio, które samo wybierało najsilniejszy sygnał radiowy. Gdy działacze zbliżali się już do Rubinkowa, nagle z włączonego odbiornika radiowego w samochodzie usłyszeli: „Tu radio Solidarność Toruń...”. Do dziś, gdy opowiada tę historię, w oczach Mariana Jaśkowca pojawiają się łzy wzruszenia. *Jedną ręką trzymałem kierownicę, a drugą rękę wyciągnąłem do tyłu i wtedy wszystkie ręce poszły w jednym kierunku. Trzymaliśmy się za nie i słuchaliśmy audycji. To był piękny moment*⁶ – wspomina. Taksówkarze brali także udział w późniejszych akcjach radiowych, m.in. w Nieszawce (E. Staszkiewicz) oraz w lesie nieopodal Grębocina (M. Jaśkowiec). Odbyło się bez większych wpadek, mimo że do Torunia zostały wtedy ściągnięte specjalne jednostki wojska ze specjalistycznym sprzętem namierzającym sygnał

6 Wypowiedź Mariana Jaśkowca podczas wywiadu przeprowadzonego przeze mnie w styczniu 2015 r.

radiowy. Gdy działacze wracali z emisji pod Grębocinem samochodem Mariana Jaśkowca, zatrzymało ich wojsko. Jaśkowiec wspomina, że wojskowi byli bardzo zdenerwowani i zachowywali się agresywnie. *Zanim zdążyliśmy wysiąść z samochodu, jeden z żołnierzy już chciał otworzyć maskę samochodu, szarpiąc przy tym tak, że prawie podniósł samochód, nie wiedząc, że w samochodzie Dacia maska jest otwierana z drugiej strony*⁷ – powiedział podczas wywiadu. Na szczęście nie zdążyli skontrolować do końca samochodu, ponieważ dostali informację poprzez nadajnik, prawdopodobnie by zmienić lokalizację poszukiwań.

Taksówkarze wozili także osoby wykonujące antykomunistyczne napisy na budynkach oraz rozwieszające transparenty, również z takimi hasłami. Jeden z takich transparentów rozwieszali nawet samodzielnie. Akcja toczyła się w nocy na trasie Toruń–Ciechocinek i brał w niej udział m.in. Marian Jaśkowiec. Było to, jak wspomina, przed referendum zorganizowanym przez władze komunistyczne w 1987 r. Ich taksówka była zaparkowana głębiej w lesie, tak by nie była widoczna dla przejeżdżających ulicą, a oni rozstawili się po dwóch stronach jezdni i czekali na moment, gdy ulica będzie pusta. Wiele razy próbowali i się wycofywali, widząc nadjeżdżające samochody. Transparent po wielu próbach udało się jednak rozwiesić. Nad drogą zawisła biała płachta z ogromnym napisem, zachęcającym do bojkotowania udziału w głosowaniu. Był to duży sukces.

Nie obyło się bez wpadek

Podobne emocje wiązały się również z akcjami emisji telewizyjnych. Jedną z nich została zorganizowana w wieżowcu na Rubinkowie na jedenastym piętrze, w mieszkaniu Piotra Łukaszewskiego, dosłownie 200 metrów od komendy milicji. Działo się to 26 września 1985 r. Sprzęt i ekipę nadawczą przywiózł wtedy Marian Jaśkowiec, a Edward Staszkiwicz został w jego domu z chorą żoną i dziećmi Jaśkowca. Emisja telewizyjna się udała i objęła całą dzielnicę, a nawet osiedle Wrzosy. Jednak po zakończeniu emisji do mieszkania wpadli funkcjonariusze SB. Uciec udało się tylko Piotrowi Łukaszewskiemu przez balkon sąsiadów, ale i on został później zatrzymany. Marian Jaśkowiec, czekając pod wieżowcem

7 Wypowiedź Mariana Jaśkowca podczas wywiadu przeprowadzonego przeze mnie w styczniu 2015 r.

w taksówce, widział, co się dzieje, ale nie mógł w żaden sposób zawiadomić działaczy i odjechał z miejsca zdarzenia. Zanim jednak dojechał do domu, SB zdążyła już zacząć przeszukiwać jego mieszkanie. Na szczęście na miejscu był przyjaciel, Edward Staszkievicz, który cały czas podążał za nimi i przypilnował, by funkcjonariusze niczego nie podrzucili, więc SB nie doszukała się niczego, by oskarżyć Mariana Jaśkowca. Został on jednak i tak zatrzymany na 48 godzin na komendzie milicji i przesłuchiwany. Konsekwentnie odpowiadał jednak ustalonym alibi. Mówił, że działacze byli dla niego jedynie klientami i nie zdawał sobie sprawy z niczego, co planowali. Była to jedyna duża wpadka związana z działalnością taksówkarzy, mimo że niejednokrotnie byli zastraszani. Jak wspomina Janusz Błażejowski, SB podszywała funkcjonariuszy jako klientów, by ci podczas zamówionych kursów zastraszali taksówkarzy. *Nie raz słyszeliśmy: „To twój ostatni kurs. Zobaczysz, jutro już nie będziesz jeździł. Załatwimy cię”. To były właśnie ich sposoby*⁸ – wspomina Janusz Błażejowski.

Wybory w czerwcu '89

Taksówkarze oczywiście brali udział w przygotowaniach do tak ważnego dla nich wydarzenia. Rozwozili m.in. plakaty i ulotki (Janusz Błażejowski i Aleksander Przytarski) oraz pomagali Alicji Grześkowiak w kampanii wyborczej. Edward Staszkievicz oraz Marian Jaśkowiec swoimi taksówkami przez cały okres kampanii wyborczej transportowali kandydatkę „Solidarności” na senatora do miejsc wystąpień. Jeździli nie tylko po Toruniu, ale także w jego okolicach, np. w Kowalewie Pomorskim, Jabłonowie Pomorskim i innych miejscowościach. Spotkania te zazwyczaj odbywały się w świetlicach. Samochód Mariana Jaśkowca, dacia, zasłynął także jako najbardziej oklejony plakatami wyborczymi w Toruniu.

Wybory w czerwcu 1989 r. zdawały się wtedy dla wszystkich działaczy uwieńczeniem ich mozolnej pracy, wydawały się celem, do którego prowadziły ich przez ostatnie lata wszystkie kręte drogi. Dla wszystkich kończył się jakiś niezwykle ważny etap nie tylko życia politycznego Polski, ale także ich życia oso-

8 Wypowiedź Janusza Błażejowskiego podczas wywiadu przeprowadzonego przeze mnie w styczniu 2015 r.



Podziękowanie za wkład w sukces wyborów w czerwcu 1989 r. udostępnione przez Edwarda Staszkiwicza

bistego. *Wtedy to była jedność, nie było żadnych podziałów, jak by się któremuś jakaś krzywda działa, tobyśmy w ogień skoczyli. Zresztą do dziś mamy takie dobre kontakty*⁹ – powiedział podczas wywiadu Edward Staszkiwicz.

Zasługi Taksówkarzy „Solidarności”

Taksówkarze odegrali dużą rolę w toruńskim podziemiu. Ich odwaga i chęć niesienia pomocy przyczyniły się do sukcesu właściwie większości organizowanych przez „Solidarność” akcji. Byli obecni zarówno przy akcjach związanych z kolportażem ulotek i broszur, biblioteką „Solidarności”, strajkami, pomaganiem internowanym i ich rodzinom, organizowaniem emisji radiowych i telewizyjnych... Nie byli organizatorami, ale bez ich zaangażowania te akcje nie miałyby racji bytu. Dlatego warto docenić ich wkład i upamiętniać ich czyny.

Po 1989 r. niektórzy taksówkarze zaczęli być doceniani za swoje zasługi. Edward Staszkiwicz został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi (1998),

9 Wypowiedź Edwarda Staszkiwicza podczas wywiadu przeprowadzonego przeze mnie w grudniu 2014 r.



Fragmenty legitymacji
potwierdzających
nadanie medali Edwardowi
Staszkieviczowi



Fotografie medali
Edwarda Staszkievicza

wyróżniony odznaką Zasłużony Działacz Kultury (2000), odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2011).

Marian Jaśkowiec został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2011).

Źródła informacji:

1. Rozmowa przeprowadzona ze świadkiem Edwardem Staszkiem w grudniu 2014 r.
2. Rozmowy przeprowadzone z Marianem Jaśkowcem, Aleksandrem Przytarskim, Januszem Błażejewskim, Edwardem Staszkiem w styczniu 2015 r.
3. Rozmowa przeprowadzona z prof. Stanisławem Dembińskim w styczniu 2015 r.
4. W. Polak, *Czas ludzi niepokornych. Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność” i inne ugrupowania niezależne w Toruniu i regionie Toruńskim (13 XVII 1981–4 VI 1989)*, Toruń 2003
5. J. Kiełpiński, *Darmowy kurs do wolności*, „Nowości”, 22 maja 2009 r. (www.nowosci.com.pl)
6. J. Kiełpiński, A. Luks, R. Rzeszotek, *Dziś kończymy rewolucję. Wybory przełomu oczami uczestników*, Toruń 2009, s.64
7. Zdjęcia pochodzą z prywatnych archiwów Edwarda Staszka oraz Mariana Jaśkowca i zostały udostępnione dzięki ich uprzejmości

II miejsce

kategoria: szkoły ponadgimnazjalne

Karol de Tillier

opiekun: Jacek Tymiński

V Liceum Ogólnokształcące im. Jana Pawła II w Toruniu

Historia rodziny de Tillier

Korzenie rodziny de Tillier nie są znane od samego jej początku. Obecnie jej członkowie są rozsiani po całym świecie. Już wcześniej wiadomo było, że polski protoplasta rodu brał udział w wojnach napoleońskich, a także że po nieudanej wyprawie na Rosję w 1812 r. osiadł w Polsce, zapoczątkowując polską gałąź rodziny de Tillier. Wcześniej był on nam znany jako napoleończyk, dziś jednak, dzięki porozumieniu poszczególnych gałęzi rodu, nadsyłanym nam licznym fotografiom oraz artykułom udało się odtworzyć historię rodziny od XVIII w. aż do dziś. Informacje o wszystkich pokoleniach zostały zebrane, dzięki czemu jesteśmy w posiadaniu najważniejszych informacji dotyczących aż siedmiu pokoleń polskiej oraz kilku zagranicznych gałęzi rodu de Tillier.



Podboje napoleońskie

Pierwszym znanym nam protoplastą rodu de Tillier jest Antoine de Tillier, urodzony w 1749 r. w Malain Côte-d'Or, jednak jedynymi informacjami o nim są



imię i nazwisko. Dużo więcej wiemy na temat jego syna François de Tillier. Początki jego historii znajdujemy w XIX w., kiedy to w 1812 r. Napoleon Bonaparte postanowił podbić Rosję i zmusić cara do wprowadzenia układów korzystnych dla Polski i Francji. Podczas sporządzania notatek o rodzinie de Tillier mój pradziadek Władysław, mieszkający wówczas w Bobolicach w Koszalińskim, wspomniał, że senior de Tillier (wówczas nie znano jego imienia, zostało ono odnalezione w aktach kilka lat temu) wywodził się z książęcego rodu, dziedziczył w Paryżu pałac i służył w armii w randze porucznika.

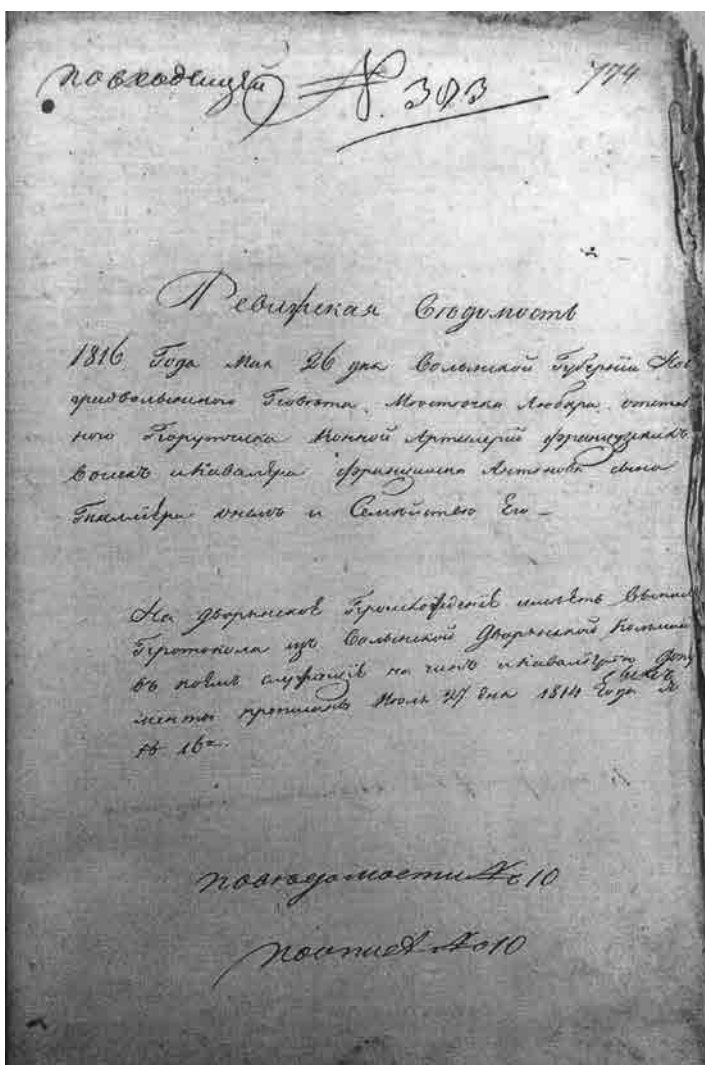
Biografie

Canonier le 19 fructidor an 9, artificier le 6 fructidor an 10, fourrier le 10 brumaire an 11, adjudant le 26 thermidor an 12 - Lieutenant le 16 Mars 1805, Officier de la Grande Armée, Chevalier de la Légion d'honneur (1814); Membre de la noblesse du Gouvernement de Volhynie (1814) - A été fait prisonnier près de Tilsit et blessé, décoré de la Légion d'honneur le 1er Juillet 1807 à Tilsit par l'Empereur Napoléon 1er et le Prince de Neuchatel, Eugène Murat - Officier dans la 5ème compagnie du 5ème régiment d'artillerie légère au 6ème corps d'armée près de Varsovie. A participé à toutes les batailles des années 9, 10 et 11 au sein de l'armée de Boulogne. Il a également participé au siège de Houlme, à la bataille d'Austerlitz, et aux campagnes de Prusse et de Pologne. S'est trouvé aux batailles de Selfet, Jéna, Veimar, Spandau, Pultusk, et de Tilsit.

Tłumaczenie: Kanonier, następnie adiutant. Od 1812 r. porucznik i oficer Wielkiej Armii napoleońskiej. Kawaler Legii Honorowej w 1814 r. Członek rządowej elity Wołynia. Był więziony i ranny blisko Tilsit (Tylży). Odznaczony tam 1 lipca 1807 r. Legią Honorową przez Napoleona. Stacjonował w korpusie armii niedaleko Warszawy, brał udział we wszystkich niemal bitwach od 1809 do 1811 r., od samej Bolonii. Brał udział w bitwie pod Austerlitz, w bitwach w Prusach i w Polsce, pod Pułtuskim, Jeną, Weimarem, Seltet, Spandau i Tylżą.



Podpis François de Tilliera



Dokument
potwierdzający
arystokratyczne
pochodzenie
François de Tilliera

Młodość François

Droga do kariery wojskowej wiodła synów magnackich i bogatej szlachty poprzez akademie rycerskie. Aby przyszli żołnierze sprawdzali się w swoich obowiązkach, uczono ich tam języka ojczystego i niemieckiego albo angielskiego, historii nowożytnej, prawa, filozofii, tańca oraz kultury salonowej. Z dziedzin wojskowych uczono architektury wojskowej, musztry, jazdy konnej, władania białą i palną bronią itp., natomiast z przedmiotów ogólnych – matematyki i fizyki. Z owych szkół wychodzili kandydaci na oficerów lub do służby cywilnej, dzięki czemu możemy śmiało powiedzieć, że François de Tillier szkołę rycerską miał ukończoną. Istnieje również teoria, że nie był on pierwszym wysoko postawionym członkiem rodu w armii francuskiej. Świadczy o tym odrys pieczęci herbowej, przechowywanej przez Władysława de Tillier.

François de Tillier pochodził z książęcego rodu, lecz nie wiadomo, czy tytuł książęcy został przez niego odziedziczony, czy może przyznany mu za wybitne zasługi w armii, co czasem miało miejsce we Francji jak i w innych krajach Europy. Taki tytuł pozwalał mu na władztwo nad podbitą prowincją, miastem bądź majątek i prawo ściągania z poddanych podatków albo roczną pensję, zapewniającą mu dostatnie życie.

Hoptarówka

Wiadomo, że po walkach na froncie rosyjskim, kiedy nastąpił odwrót spod Moskwy, François został ranny. Stało się to na Wołyniu. Osiadł w jakimś dworze, w którym mieszkała polska rodzina. Ich opieka okazała się jednak niewystarczająca, więc trafił do szpitala w Warszawie. Nie wiadomo, jak długo przebywał w szpitalu, wiadomo jednak, że coś długo zatrzymywało go w polskiej stolicy. Mogła być to potrzeba dalszej rehabilitacji lub wieść o niekorzystnej sytuacji Francji w wojnie toczącej się na jej granicach. François wykorzystał obecną w Polsce pogoń za nauką, a także brak dużej liczby nauczycieli względem liczby chętnej do nauki młodzieży i szybko znalazł pracę nauczyciela języka francuskiego w jednym z polskich gimnazjów. Poznał tam pewną polonistkę, a zarazem swą przyszłą żonę Agnetis Jezierską. Razem z małżonką spędzili miodowe mie-

siące we Francji, lecz François nie spodobał się obecny stan Francji, dlatego po powrocie do Polski postanowił całkowicie zerwać więzy łączące go z Paryżem i do śmierci zostać na wsi. Udało mu się nabyć polską wieś Hoptarówkę (obecnie leżącą na terenie Ukrainy), w zamian za swój pałac w Paryżu. W zaciszu Hoptarówki ich rodzina rozrastała się. François i Agnetis mieli pięcioro dzieci, a byli to Ludwika, Ferdinand-Charles, Jan, Felicjan i Antoni de Tillier.

Ludwika de Tillier

Ludwika była najstarsza ze swojego pokolenia. Urodziła się w 1820 r. Poślubiła pięć lat starszego ziemianina Mikołaja Strawińskiego spod Niemirowa na Podolu. Niestety za udział w powstaniu styczniowym skonfiskowano mu dobra i wraz z żoną został zesłany do Kazania, bez możliwości powrotu. Tam urodził się im syn Hieronim. Hieronim otrzymał dyplom lekarski i służył jako lekarz powiatowy w Kursku. Hieronim miał czworo dzieci: Stanisława, Alinę, Antoninę oraz Konstantego Strawińskiego, który otrzymał tytuł profesora biologii i botaniki na uniwersytecie lubelskim. Był zasłużony dla nauki i dziś w Lublinie znajduje się ulica nazwana jego imieniem. Jego syn, Andrzej Strawiński, był docentem na Politechnice Łódzkiej. Wkrótce do Hieronima przenieśli się jego rodzice. Niestety zmarli na początku XX w.



Zdjęcia rodziny Strawińskich

Felicjan de Tillier

Daty urodzenia i śmierci nie są znane. Felicjan poślubił Laurę Marię Shullz, o której niestety też dużo nie wiemy. Pewnym jest, iż zmarła w 1844 r. w Bruenn. Mieli oni jedno dziecko, Nicolaia Adoplhe'a de Tillier. Poślubił on Berthę Augustę Braun i zamieszkali w Nowogardzie na Ukrainie. Nicolai brał udział w I wojnie światowej w 1914 r. Wrócił z frontu, lecz odniesione rany wkrótce doprowadziły do jego śmierci. Rodzina Braunów do dziś mieszka w Niemczech i pomaga nam tworzyć rozbudowane drzewo genealogiczne rodziny de Tillier. Nicolai i Bertha mieli trójkę dzieci, a byli to Nicolai, który dostał imię po ojcu, Alexander oraz Emma, która imię dostała po ciotce ze strony matki. Po śmierci ojca Bertha wraz ze swoją siostrą, czyli ciotką dla osieroconej trójki, zniknęły bez śladu. Chłopcy trafili do Schroniska Ewangelicko-Luterańskiego. Wówczas panował w Rosji powszechny głód, Nicolai zmarł z głodu, oddając swe porcje żywnościowe młodszemu bratu. W informacjach na temat Emmy znajduje się duża luka, gdyż cała jej samotna młodość jest dla nas tajemnicą, a potwierdzonym jest, iż w późniejszych latach wyszła za Anisimowa o nieznanym imieniu. Rodzina Alexandra do dziś mieszka w Odessie i, prócz mojej rodziny, jako jedyni wciąż noszą nazwisko de Tillier.

Ferdinand-Charles

Nie jest nam znany dokładny rok narodzin Ferdynanda. Ożenił się on z Hermine Augustą Shullz, siostrą Laury Marii, która wyszła za wyżej opisanego Felicjana de Tillier. Mieli oni jedyne go syna, Karola Hermana de Tillier. Związał się z Justyną Margarethą Hittel, znaną w rodzinie jako ciocia Tina. Urodziła im się Olga Hermine de Tillier oraz Eugenia Karlowna de Tillier, która wyszła za Gregoriego Alexandrowicza Kouliabko-Koretzkiego, a ich potomkowie żyją obecnie we Francji.

Antoni de Tillier

Jest to protoplasta, z którego gałęzi wywodzi się ja. Urodzony w 1840 r., najmłodszy, lecz jest prawdopodobnie jedną z najistotniejszych postaci w rodowodzie. Od dziecka był on przygotowywany przez rodziców do przejęcia dziedzictwa. W tym celu ukończył gimnazjum (prawdopodobnie w Sumach), odbył we


 По Указу Его Императорского Величества
 Министрша Римско-Католическая Духовная
 Консистория согласно журнальному поста-
 новлению своему 14 Декабря 1882 года состав-
 ляющая выдает выписку из статьи набо-
 дающейся в метрических документах Кур-
 ского Костела о рождении и крещении Ка-
 миллы-Бенедикты Антониевны Де-Тиллиер
 следующего содержания:

Третья восмисотъ восмидесятъ первая го-
 да Января четвертого дня въ Курскѣмъ Ри-
 мско-Католическомъ приходскомъ Костелѣ Ку-
 рскимъ оного Ксендромъ Бенедиктамы Ан-
 дришевичемъ сърацемъ съмладенца имени
 Камильи-Бенедикты въ совершении
 вѣнъ сродовъ таинства. Писмороднаго
 Антонина и Жени уродженной Софони-
 аки Де-Тиллиеръ записаны въ метриче-
 ской родившаяся проишая тысяча во-
 сымисотъ восмидесятъ первая годъ Мая
 Фаддаты четвертого дня въ шестомъ
 Боттаровна Суджанскаго уезда. Родчи-
 сьмиками были дворянинъ Антонъ
 Петровичъ Писмородный въ дворянско Камильи
 Муржиу Присутствоваи: Доктора
 Андрей Муржиу съ дворянско Параша
 Костеуко.

Составили сѣмъ выписку. Подписали:

Akt urodzenia Kamilli de Tillier z 1882 r.



Jadwiga, Helena, Kamilla, Maria de Tillier



Cezary de Tillier



Leon de Tillier



Adam de Tillier



Edward de Tillier

Francji wyższe studia agrotechniczne i około 1863 r. powrócił do Hoptarówki. Wkrótce po jego powrocie zmarli rodzice, on natomiast poślubił pięć lat młodszą Teklę Sokołowską. Niestety, jedyne, co o niej wiemy, to to, że miała ukończone gimnazjum i przywiązywała wielką wagę do nauki. Ciekawostką jest, że starsza siostra Tekli wyszła za Aleksandra Kajetana Kondratowicza, któremu 17 września 1823 r. urodził się syn Ludwik. Syn ten oddał się poezji, przybierając literacki pseudonim Władysław Syrokomla. Związek Antoniego i Tekli pierwszy raz

zaowocował w 1870 r. narodzinami pierwszej córki – Jadwigi de Tillier. Wkrótce potem na świat przyszli również: Cezary (1871), Helena (1872), Leon (ok. 1875), Kamilla (1880), Maria (1882) oraz Adam i Edward (między 1882 a 1888).

W okresie dzierżawienia Hoptarówki Antoni doprowadził ją do rozkwitu. Niestety zmarł niedługo po narodzinach ostatniego dziecka, w 1890 r. na gruźlicę. Tekla, zajęta gromadką dzieci oraz rozwijającą się gospodarką Hoptarówki, miewała problemy. Jej sytuacja poprawiła się, gdy otrzymała od kilkanaście lat młodszego lekarza weterynarii Antoniego Sprzyszewskiego propozycję małżeństwa. Tekla, mimo liczego potomstwa i wieku powyżej czterdziestki, była bowiem bardzo atrakcyjną, a zarazem wykształconą kobietą. Niestety z czasem ciężko było Antoniemu pogodzić pracę weterynarza z zajmowaniem się rodziną. Stale rosnące problemy finansowe rozwiązała najstarsza, 21-letnia córka Jadwiga. Poznała ona 30-letniego Andrzeja Murżycę, lekarza, za którego wkrótce potem wyszła za mąż i zamieszkała z nim w Hoptarówce. Tekla wraz z resztą rodziny przeniosła się do męża, do Ronina. Hoptarówka została wyposażona w aptekę i szpital, w których Andrzej Murżyc darmowo i bezinteresownie leczył tamtejszą ludność. Szczęście małżonków zakłócał jednak ciągły brak potomstwa. Po badaniach okazało się, że Jadwiga nie może dać swemu mężowi potomka, lecz najgorsze miało dopiero nadejść. Po wybuchu rewolucji październikowej w 1917 r. na Ukrainie zapanował chaos. Rojło się od uzbrojonych reżimieszków, którzy mordowali właścicieli ziemskich, inteligencję, urzędników. Ofiarą mordu stał się Andrzej Murżyc, a ich pałac został rozgrabiony. Na pomoc swemu dobroczyńcy przybyli chłopci, lecz było już za późno. Ich pana już nie było, tak samo jak pałacu, cukrowni oraz szpitala i apteki. Jadwiga, która akurat była w Wiedniu, na wieść o strasznych wydarzeniach postanowiła na stałe zamieszkać u matki.

Władysław de Tillier

Chciałbym przejść teraz do kolejnej ważnej postaci, jaką jest mój pradziadek, Władysław de Tillier. Był on synem Cezarego de Tillier oraz Jadwigi Styczyńskiej. Władysław de Tillier urodził się w 1905 r. Cezary de Tillier ukończył gimnazjum, a następnie studiował górnictwo we Francji i około 1900 r. otrzymał dyplom inżyniera górnictwa. Po powrocie na Ukrainę poznał w Romnach swoją przyszłą

żonę, Jadwigę Styczyńską. W Romnach żyła liczna i dobrze zorganizowana Polonia, więc były różne okazje do nawiązania kontaktów towarzyskich z Polakami.

O Jadwidze wiemy, że pochodziła z rodziny szlacheckiej. Starszy brat jej ojca miał majątek koło Białej Cerkwi (na południe od Kijowa), ale za udział w powstaniu styczniowym został zesłany na Syberię i tam zmarł, a majątek władze carskie skonfiskowały i przydzieliły pułkownikowi rosyjskiemu. Miała czworo rodzeństwa: Leokadię, Marię, Bronisławę oraz brata o nieznanym imieniu, o którym mowa wyżej. Podobnie jak siostry, ukończyła rosyjskie gimnazjum w Romnach. Za Cezarego wyszła w wieku 21 lat.



Władysław de Tillier urodził się po dwóch latach związku Cezarego i Jadwigi, w 1905 r. W 1906 r. urodziła się również córeczka, której nadano imię matki – Jadwiga. Byli szczęśliwą rodziną, lecz nadeszły dla nich ciężkie chwile. Wskutek zawału stropu wyrobiska zginęło kilku górników, a znajdujący się w pobliżu inżynier Cezary de Tillier został ciężko ranny. Po wstępnym leczeniu lekarze orzekli, iż zdrowia nie odzyska i należy liczyć się z najgorszym. Jadwiga znalazła się w trudnej sytuacji, musiała opiekować się dwójką dzieci i chorym mężem, a ponadto we znaki dawał się niedostatek pieniędzy. Nie zostało im nic innego, jak powrót do rodziców, do Romnów. Pogarszający się stan Cezarego doprowadził do jego śmierci w 1908 r. Zmarł w Romnach, gdzie został pochowany obok swych młodszych braci, Adama i Edwarda.

Jadwiga (matka) została z dwójką dzieci. Otrzymywała ona stałe wsparcie od rodziny, lecz było ono ograniczone przez tamtejsze prawo. Rodzina Murzyków z Hoptarówki nie mogła odstąpić jej części majątku, gdyż było to niezgodne z prawem. Mogli jedynie wydawać jej roczne lub – jak w tym przypadku – miesięczne kwoty. Rodzinie udawało się dobrze rozgospodarowywać pieniądze, lecz mimo to dostawali oni dodatkowe środki, głównie od Tekli i Antoniego Sprzyszewskich.



Władysław i Jadwiga – dwa lata po śmierci ojca



Antoni Sprzyszewski – lekarz weterynarii w rosyjskim mundurze wojskowym

Antoni Sprzyszewski to przybrany dziadek Władysława i Jadwigi, ojczym Cezarego i jego liczного rodzeństwa oraz drugi mąż Tekli Sokołowskiej. Był on w rodzinie de Tillier bardzo cenionym człowiekiem. W 1905 r. otrzymał powołanie na wojnę rosyjsko-japońską na Daleki Wschód i wcielony został do pułku kawalerii jako lekarz weterynarii. Po jej zakończeniu wrócił do Romnów w randze pułkownika, by ponownie pracować jako lekarz powiatowy.

W domu Antoniego i Tekli zamieszkała urodzona w 1872 r. Helena de Tillier. Za młodu uczona była przez wyżej opisanego Antoniego Sprzyszewskiego, potem wstąpiła do gimnazjum klasycznego w Warszawie i zamieszkała w pensjonacie dla dzieci z rodzin arystokratycznych. Pobierała lekcje gry na fortepianie i prócz umilania czasu na spotkaniach rodzinnych prezentowała swój talent w kościele parafialnym. Zamieszkała ona z dziadkami Sprzyszewskimi, głównie by zająć się Teklą de Tillier, która straciła władzę w nogach.

Helena de Tillier posiadała również siostry w Romnach: Kamillę (z domu de Tillier) Wiśniowiecką (1880–1965), żonę Stanisława Wiśniowieckiego, z którym miała pięciu synów, oraz Marię de Tillier (1882–1952), która wyszła za mąż



Od lewej stoją: Jadwiga Styczyńska (z domu de Tillier), matka Władysława, Helena de Tillier, siedzą Bolesław Mutt wraz z Marią (z domu de Tillier) Mutt i synem Witoldem



Dzieci Stanisława i Kamilli (z domu de Tillier) Wiśniowieckich: Jarema, Tadeusz, Władysław i Stanisława (na kolanach Jaremy)

za lekarza weterynarii Bolesława Mutta. Mieli oni dwóch synów i dwie córki i wsparli Jadwigę i jej dzieci w najtrudniejszych chwilach, aż czas zagoił rany, a dzieci podrosły. Jadwiga postanowiła wtedy odwiedzić liczną, rozrzuconą rodzinę.

Do wybuchu I wojny światowej często bywała z dziećmi u cioci Jadwigi Murzyc w Hoptarówce, wyjeżdżała pod Kijów do brata męża, Leona de Tillier, który w dobrach Branickich zajmował stanowisko głównego buchaltera. Była tam siedziba gospodarstwa leśnego. Jeden z tamtejszych domków zajmował stryj Leon ze stryjenką Seweryną (spokrewnioną z rodziną Stefana Wyszyńskiego, późniejszego kardynała i Prymasa Polski). Odwiedzali oni również m.in. Smoleńsk i Odesę. W międzyczasie Władysław uczony był historii ojczystej oraz Rosji, by przygotować się do nauki w gimnazjum. W 1913 r. Jadwiga ponownie wyszła za mąż, za Józefa Gordzieja, a dwa lata później Władysław zdał egzamin wstępny do siedmioletniego Realnego Męskiego Gimnazjum w Romnach. Zakończył



Tadeusz i Jarema Wiśniowieccy
w mundurach gimnazjum carskiego

tam edukację w 1922 r. i w tym samym roku podjął naukę na Wydziale Architektury Politechniki Kijowskiej. Jego studia trwały tylko rok, gdyż rodzina postanowiła przenieść się do Polski. Wyjechali do Starowilejki w powiecie oszmiańskim, rodzinnych stron Józefa Gordzieja. Władysław ponownie chciał wstąpić na studia architektoniczne, lecz nie przyjęto go ze względu na posiadanie rosyjskiego świadectwa maturalnego. Pozostało mu szukać pracy, którą znalazł jako praktykant leśny w ordynacji dawidgródzkiej Karola Radziwiłła w Mańkiewiczach, a w 1924 r. w dobrach księcia Eustachego Sapiehy koło Grodna.

Będąc w Grodnie, Władysław de Tillier odbył zasadniczą służbę wojskową w 14. Dywizji Artylerii Konnej. Następnie

ukończył szkołę podchorążych w Wilnie. Po przejściu do cywila kolejnym krokiem było wstąpienie na Wydział Leśny Państwowej Średniej Szkoły Rolniczej (związanej organizacyjnie z Liceum Krzemienieckim) w Białokrynicy. Po jej ukończeniu otrzymał posadę leśniczego w Szutromicach, w Lasach Fundacji J.K.I. Hohendorffa.

Prócz obowiązków leśniczego, prowadził badania botaniczne flory dolnego Podola, wraz z prof. Władysławem Szaferem. Rok 1936 był przełomowy w życiu Władysława, gdyż poślubił on wtedy Eufrozyne Kaflowską, a rok później na świat przyszedł ich syn, Cezary de Tillier. Trzyosobowa rodzina opuściła Szutromice w 1938 r., w związku z nieuchronnie nadchodzącą wojną. Przenieśli się wtedy do rodziny w Sołach, w powiecie oszmiańskim. Władysław objął tam stanowisko leśniczego w Nadleśnictwie Smorgonie oraz nadleśniczego po zajęciu Wileńszczyzny przez Armię Czerwoną. 10 lutego 1940 r. zostali zesłani na Syberię.

АРХИВНАЯ СПРАВКА

В документах Государственного архива Красноярского края имеются сведения, что де Тиллие Зуфрозина (так в документе) Лидвиговна (место рождения не указано), 1912 года рождения, проживала на спецпоселении на территории Красноярского края. Время проживания не указано.

Директор
Государственного архива
Красноярского края



О. Р. Сордия

07.12.98г.
N 196

АРХИВНАЯ СПРАВКА

В документах Государственного архива Красноярского края имеются сведения, что де Тиллие Владислав Цезаревич, 1905 года рождения, уроженец д. Гданцевка Херсонской области (так в документе), проживал на спецпоселении на территории Красноярского края. Время проживания не указано.

Директор
Государственного архива
Красноярского края



О. Р. Сордия.

07.12.98г.
N 197

Дokumenty z Państwowego Archiwum Kraju Krasnojarskiego, mówiące o zesłaniu na Syberię Eufrozyny (wyżej) oraz Władysława (na dole)

Po kilku tygodniach jazdy bydlęcymi wagonami zostali wyładowani na stacji Szyro w Kraju Krasnojarskim. Mój pradziadek pracował tam między rokiem 1940 a 1942 jako drwal. Ciągły mróz i brak lekarstw sprawił, że w 1941 r. zmarł jego syn Cezary. Po pracy drwala został przeniesiony na stanowisko nadleśniczego, najprawdopodobniej awansowany ze względu na znajomość języka rosyjskiego. Ich warunki znacznie się poprawiły, dzięki czemu w 1943 r. na świat mogło przyjść dziecko, Krystyna. Tego samego roku Armia Czerwona zaczęła tworzyć I Dywizję im. Tadeusza Kościuszki. Władysław zgłosił się do punktu werbunkowego. Przez Krasnojarsk, Nowosybirsk, Moskwę dojechał do Diwna, gdzie formowała się dywizja. Po trzymiesięcznym przeszkoleniu otrzymał stopień sierżanta i wyruszył na front. Wziął udział w bitwie pod Lenino jako dowódca plutonu, za co otrzymał stopień chorążego. 11 lutego 1944 r. przeniesiony został do Sum, gdzie mieszkali jego przodkowie. Obsługiwał tam organizowaną I Armię Wojska Polskiego. Otrzymał stopień podporucznika i przydział do 2. Samodzielnego Batalionu Drogowo-Mostowego na stanowisko w 3. kompanii saperów, którą dowodził do końca wojny. Brał udział w wyzwoleniu Chełmna, Lublina, walczył o Warszawę, Bydgoszcz, Wałcz, Złotów, Jastrowie, Kołobrzeg. Zastępował komendanta miasta przez dwa tygodnie w Kołobrzegu, po czym brał udział w forsowaniu Odry i walkach pod Berlinem. 1 września 1945 r. został przeniesiony do Ministerstwa Obrony Narodowej w Warszawie na stanowisko kierownika zaopatrzenia w Departamencie Budownictwa Wojskowego. 15 listopada 1945 r. został awansowany do stopnia porucznika, a zwolniony z Ministerstwa został 11 kwietnia 1947 r. w stopniu kapitana i rekomendowany do Służby Leśnej. Pełnił on funkcję nadleśniczego w Nadleśnictwie Żydowo, Polanów, Gościno. W 1959 r. został na własną prośbę przeniesiony do Bobolic, gdzie był adiunktem. Otrzymał stopień majora, a w 1970 r. przeszedł na emeryturę.

Nowe pokolenie

W międzyczasie, podczas pobytu w Warszawie, 9 stycznia 1947 r. urodziła się moja babcia Barbara de Tillier oraz najmłodsza – Jadwiga, w Polanowie 6 lutego 1950 r. Władysław zmarł 9 lutego 1990 r. w Toruniu, przeżywszy 85 lat, i spoczął obok swej żony Eufrozyny na cmentarzu przy ul. Wybickiego, nagrodzony



Moja babcia, Barbara de Tillier, na tle szkoły w Białokrynicy



Od lewej: Barbara de Tillier wraz z siostrami przy grobie Władysława i Eufrozyny



Rodzina de Tillier przy świątecznym stole, 2013 r.

licznymi odznaczeniami wojskowymi i cywilnymi, m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i srebrnym medalem „Zasłużony na Polu Chwały” w 1944 r.

Córki Władysława dorastały w Bobolicach. Krystyna de Tillier opuściła Bobolice i wyjechała do Kołobrzegu, gdzie uczyła się w liceum, a następnie do Koszalina, by studiować chemię i biologię. Na studiach poznała swego męża, Waldemara Janusza. Pobrali się i mieszkali w Czaplinku, lecz ostatecznie osiedli w Gorzowie. Urodziły im się Barbara i Jolanta Janusz. Syn Barbary, Bartosz Rakoczy, ukończył medycynę na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Jolanta Janusz wyszła za Jarosława Lewandowicza, obecnie lekarza weterynarii, i mają dwójkę dzieci, Jacka i Jakuba. Mieszkają w Bogdańcu pod Gorzowem.

Jadwiga ukończyła studia geograficzne na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, szczęśliwie wyszła za mąż i mieszka w Toruniu.

Średnia siostra, moja babcia Barbara, zachowała swe nazwisko. Pracowała jako nauczyciel matematyki przez 33 lata. Jej zainteresowanie dziejami rodu motywowało ją do odwiedzania rodziny i zbierania informacji i dokumentów.



Marek i Iwona de Tillier z dwoma synami

Zwiedziła również miejsca mające związek z przodkami. Odwiedziła m.in. Lwów, Zaleszczyki, Liceum Krzemienieckie, Wydział Leśny w Białokrynicy. Sporządziła również kronikę rodzinną i wydała pojedyncze egzemplarze dla potomnych. Urodziła dwójkę dzieci, Beatę i Marka. Beata de Tillier ukończyła Wydział Ekonomii na Politechnice Koszalińskiej, wyszła za mąż za Piotra Bonieckiego. Mają dwóch synów – Mikołaja i Huberta. Mieszkają w Czarnym Błocie koło Torunia. Marek, po ukończeniu studiów ekonomicznych na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, ożenił się z Iwoną Żychowicz w 1993 r. Rok później urodził się im pierwszy syn, Filip, który obecnie studiuje na Politechnice Gdańskiej. W 1998 r. urodził się Karol de Tillier, a następnie Marcel de Tillier. Tutaj kończą się gałęzie drzewa genealogicznego rodziny de Tillier. Mamy nadzieję, że następne pokolenie nie da nazwisku zginąć.

Źródła informacji:

1. Informacje zdobyte podczas wywiadu z babcią, Barbarą de Tillier
2. Wymiana informacji oraz dokumentów z rodziną de Tillier w Odessie
3. Wymiana informacji oraz dokumentów z rodziną Braun w Niemczech
4. Informacje zawarte w notatkach sporządzonych przez Barbarę de Tillier i Bronisława Malinowskiego
5. Liczne dokumenty rodzinne, zbierane przez pokolenia

Podziękowania

Chciałbym podziękować mojej babci, która starała się zbierać dla mnie coraz to nowsze informacje i dokumenty, a także mojemu nauczycielowi wiedzy o społeczeństwie Jackowi Tymińskiemu i wszystkim, którzy wspierali mnie podczas pisania pracy.

III miejsce

kategoria: szkoły ponadgimnazjalne

Anna Tęcza

opiekun: Małgorzata Pielacka

Zespół Szkół Ogólnokształcących nr 6 w Bydgoszczy

VI Liceum Ogólnokształcące

Ocalić od zapomnienia

Ostatnio dowiedziałam się, że do tego, by poczuć się jak w niebie, wystarczy porządna prycza, siennik i koc – tylko tyle. Człowiek inaczej definiuje „niebo”, gdy w XXI w. ma dostęp do wszystkiego i jego dylematem jest to, czy w piątkowy wieczór wybrać się do kina czy do teatru, a inaczej, gdy jest pozbawiony wszystkiego, poniżany przez drugiego człowieka, cierpi głód, a jego jedynym dobytkiem, jeżeli można to tak w ogóle nazwać, jest pasiak i drewniaki.

Lekcja historii, którą zapamiętam do końca życia, to rozmowa z panem Jackiem Zieliniewiczem – *jednym z udziałowców tamtych czasów, jednym i niestety jednym z ostatnich*¹, bo tak mówi o sobie. „Tamtych czasów” to znaczy czasów okupacji, czasów pogardy, głodu, zimna, brudu, czasów, których dzisiejsza młodzież nie jest w stanie sobie wyobrazić. Mam nadzieję, że nigdy nie dowiem się, co w rzeczywistości oznacza „wojna”. Chyba nikt z nas nie chciałby jej doświadczyć. Wojna niesie degradację i śmierć. Sprawia, że pod jej wpływem normalni ludzie są skłonni do postępowania w sposób nieracjonalny, są zdolni do zachowań bestialskich, do poniżania drugiego człowieka. Nigdy nie zrozumieć motywów takiego działania, nie jestem w stanie ich zrozumieć...

1 Relacja Jacka Zieliniewicza, mieszkańca Bydgoszczy.



Jacek Zieliniewicz podczas prelekcji odbywającej się 22 stycznia 2015 r.

Niedawno udałam się na prelekcję zorganizowaną w bydgoskim Pałacu Młodzieży z okazji obchodów Miejskiego Dnia Pamięci o Ofiarach Holokaustu. Tam zobaczyłam kogoś, kto doskonale zna znaczenie słowa „wojna”, bo doświadczył jej na własnej skórze. Osoba, którą miałam okazję poznać, to pan Jacek Zieliniewicz (dziś ma ukończone 88 lat) – były więzień KL Auschwitz-Birkenau, człowiek pełen pokory, skromny, ale otwarty na to, by przekazywać młodemu pokoleniu prawdę historyczną. Po prelekcji podziękowałam panu Jackowi za świadectwo, które przekazuje nam, młodym. Pan Jacek odparł, że to nic takiego, że on chętnie spotyka się z młodzieżą. Bez chwili zastanowienia zapytałam, czy zechciałby jeszcze szerzej opowiedzieć mi swoją historię, oczywiście z chęcią się zgodził. Kilka dni później udałam się do jego mieszkania na umówione spotkanie (obecnie pan Jacek mieszka w Bydgoszczy) i tam poznałam historię tego niezwykłego człowieka, którego uznaję za bohatera.

Pan Jacek urodził się 10 maja 1926 r. w Janowcu Wielkopolskim. Kiedy rozpoczęła się II wojna światowa, miał zaledwie 13 lat. Nie pamięta dokładnie pierwszego dnia wojny, o tym, że wybuchła, dowiedział się z radia, wtedy jeszcze się nie

bał. Po tygodniu do jego rodzinnego miasta wkroczyli Niemcy, którzy urządzili „małą rzeź” na rynku. Zabili dwie żydowskie rodziny, kilku Polaków, w tym koleżankę ze szkoły pana Jacka. Jego ojciec też otarł się o śmierć, gdy do rodzinnego domu państwa Zieliniewiczów wtargnęło kilku Niemców, którzy wyprowadzili na ulicę ojca pana Jacka i zakomunikowali, że zaraz go zastrzelą. Życie ocaliła mu żona, która spostrzegła nieopodal starszego Niemca i krzyknęła do niego po niemiecku: *Panie Bierwagen, niech pan powie, czy mój mąż cokolwiek złego zrobił Niemcom?* Sąsiad potwierdził, że nigdy nie spotkał się z antyniemieckim zachowaniem ze strony ojca pana Jacka i wtedy go puścili. Niemcy często tak postępowali, przychodzili do domów Polaków, wyprowadzali na ulicę, stawiali pod murem i rozstrzeliwali. Niektórym czasem udawało się uniknąć śmierci. Gdy Niemcy przychodzili do ich domów, tamci chowali się pod łóżkiem, w zegarze czy wskakiwali do beczek, ale to byli nieliczni. Oni po prostu mieli trochę więcej szczęścia.

W 1939 r. pan Jacek ukończył gimnazjum, w grudniu tego samego roku został wysiedlony wraz z rodziną z Janowca, na spakowanie dostali 15 minut. Później rodzina Zieliniewiczów osiedliła się w miejscowości Końskie w dawnym województwie kieleckim. Wtedy poczuł, że życie zaczyna się od nowa. Miasto Niemcy nazwali „Banditenstadt” („miasto bandytów”), bo wokół działała partyzantka. Wspomina, że poznał tam bardzo życzliwych Polaków, którzy potrafili się jednoczyć w tych trudnych chwilach. Niestety 20 sierpnia 1943 r. hitlerowcy urządzili łapankę w mieście. Nie wiadomo, ilu dokładnie mieszkańców wtedy aresztowali, prawdopodobnie ponad dwustu. Wiadomo natomiast, że 25 kobiet i 140 mężczyzn trafiło do Auschwitz już dwa dni później. Nie wiedzieli, dlaczego zostali aresztowani. Pan Jacek wspomina, że wiedzieli, co to Auschwitz, ale to, co tam zastali, przeszło ich wyobrażenie. Kierownik obozu *Fritsch*, który miał zwyczaj przemawiania, powiedział, że nie przywieziono ich tutaj do sanatorium, tylko do niemieckiego obozu koncentracyjnego, i że stąd dla nich na wolność prowadzi tylko jedna droga – przez komin krematorium. *Fritsch* przedstawiał sprawę jasno: *Jeśli są wśród was Żydzi, to mają oni prawo żyć dwa tygodnie, księża miesiąc, a cała reszta trzy miesiące, a jeśli komuś się nie podoba, to może iść od razu na druty.* W obozie przewidzianym dla 10 tys. więźniów ostatecznie przebywało ich ponad 400 tys. (pozostałych zgładzono w komorach gazowych natychmiast po przybyciu do obozu), z których połowa zginęła na miejscu.

Byli to ludzie różnych narodowości, wśród nich ponad 200 tys. Żydów, ponad 100 tys. Polaków, kilkadziesiąt tysięcy Cyganów i Słowian. Część stopniowo wywieziono w głąb Niemiec do innych obozów, szczególnie w połowie 1944 r. Na początku 1945 r. w obozie było już tylko 65 tys. osób. Od 1942 r. Birkenau stał się obozem zagłady, właśnie od tego roku przywożono tutaj Żydów z całej Europy. Dziś wiadomo, że w Auschwitz zginęło ponad 1 mln ludzi. Dla przeciętnego człowieka jest to liczba niepojęta, bo przecież nikt z nas nie widział tak licznej gromady ludzi w jednym miejscu. Pan Jacek wspominał też o innej liczbie – 230 tysięcy. To liczba dzieci przebywających w obozie, prawie wszystkie zostały zamordowane. Najstraszniejsze wspomnienie z obozu dla pana Jacka to nie sytuacje związane z nim, to nie głód, nie ciężka praca, tylko właśnie te dzieci (mówiąc o tym, pan Jacek bardzo się wzruszył). Dalej relacjonował, że codziennie widział pochody ludzi idących na śmierć, było to dla niego zjawisko już po jakimś czasie tak powszednie, że zdążył się do tego przyzwyczaić. Pan Jacek pamięta sytuację, że kiedyś siedział z kolegami na pryczy w baraku i jeden z nich zapytał: *Słuchajcie, jesteśmy my jeszcze normalni? Przecież normalny człowiek powinien coś odczuwać, przecież ci ludzie idą umrzeć, za chwilę zginą w komorze gazowej, my o tym wiemy, oni nie. Oni myślą, że idą do łaźni*. Pan Jacek powiedział wtedy, że chyba coś jest z nimi nie tak. Drugi kolega odparł na to, że tak źle jeszcze z nimi nie jest, bo kiedy idą na śmierć dzieci, to jest to dla nich przykra sprawa i wielka strata.

Tadeusz Borowski (kolega pana Jacka z obozu) napisał w jednym ze swoich opowiadań: *Ale na rękę wytatuowano nam numery na znak, że byliśmy niewolnikami*². Pan Jacek mówi, że nie byli tylko niewolnikami, uważa, że w obozie traktowano ich jak „nieludzi”...

Każdy kolejny dzień przynosił coraz większy niepokój. 23 sierpnia rozlokowano ich na bocznicę, gdzie ujrzeni przed sobą olbrzymi oświetlony teren, zostali zaprowadzeni do takiej starej łaźni, bez jedzenia, bez picia. Najgorsze było dośkwierające pragnienie, dano im kartki z numerami, podchodzili kolejno do tatuażystów, którzy im te numery tatuowali na lewym przedramieniu. Jego numer to 138142. W Auschwitz nie dawano numerów po zmarłych, stąd dziś wiadomo, że w obozie ogółem przebywało ponad 400 tys. więźniów. W łaźniach zabrano

2 T. Borowski, *Opowiadania*, Warszawa 1999, s. 98.



Jacek Zieliniewicz w swoim obecnym mieszkaniu w Bydgoszczy



Numer obozowy Jacka Zieliniewicza

im wszystko, tzn. zabrano im tylko ich własne ubrania, bo nic więcej nie mieli. W zamian, po „kąpieli”, po obcięciu włosów, ogoleniu, dostali „obozowe łachy” i do tego trójkątną szmatkę, w ich przypadku w kolorze czerwonym, bo taka była przeznaczona dla więźniów politycznych, z literą „P”, na znak, że są to Polacy.



Żołnierze ZWZ/AK z Końskich, później więźniowie, od lewej: Jan Białecki, Józef Kosmał, Karol Król

Pan Jacek opisał, jak wyglądały baraki. Były zbudowane na wzór stajni końskich, pomieściłyby się w nich 52 konie albo 500 ludzi. W barakach znajdowały się trzypiętrowe prycze (na każdy poziom przypadało pięciu więźniów), pośrodku baraku umieszczony był przewód kominowy i piece, w których nigdy się nie paliło. Pan Jacek wspominał, że właśnie tam przeżywał wraz z obozowymi

kolegami kwarantannę, która służyła do wyeliminowania słabych. Co do kwestii posiłków, to rano więźniowie dostawali po pół litra kawy albo herbaty, o czwartej nad ranem wychodzili na dwór i czasami zdarzało się, że stali tam cały dzień. Czasem musieli wykonywać jakąś pracę albo ćwiczenia: skakać, czołgać się, biegać, wykonywać żabki. Tych, których hitlerowcy uznali za „leniwych”, uderzano kijem w głowę. Często ci ludzie w ten sposób ginęli. Posiłkiem, który więźniowie otrzymywali w południe, była „zupa” – pół litra przypadało na jednego więźnia (normalnie przypadał litr, ale podczas kwarantanny ograniczano ilość posiłku).

Pan Jacek wspomina, że czterech więźniów stawało dookoła jednej miski i po kolei pili tę zupę. Pierwszy łyk podobno był okropny, ale z czasem zaczęło im to nawet smakować i jedli bardzo chętnie, tylko że było tego bardzo mało. Wieczorem każdy z więźniów dostawał kawałek chleba i to było wszystko.

Kiedy w sierpniu 1942 r. do obozu trafiły kobiety, nie było tam nic, nawet wody. Przeraziłam się, gdy pan Jacek powiedział mi, że kobiety czasem umawiały się, że jedną porcję kawy naleją do miski i wypiją, a drugą zostawiają, by się w niej umyć. W takim jednym baraku znajdowało się do 1200 kobiet. „Ładowano”, bo trudno to inaczej określić, do 10 kobiet na jeden poziom. Kiedy cztery miesiące później przenoszono kobiety do Birkenau, było ich 13 tys., bo w tzw. starym Auschwitz zginęły ich 4 tysiące. Do końca roku doszło tam jeszcze 12 tys., czyli w sumie 25 tys. kobiet. Na koniec roku spośród tych 25 tys. przeżyło 5400. Pan Jacek mówi, że to była „rzeźnia, dosłownie rzeźnia”. W kwarantannie więźniowie pisali pierwsze listy. Dwa razy w miesiącu więzień miał prawo do napisania listu i dwa razy w miesiącu do otrzymania odpowiedzi. Cały list musiał być napisany po niemiecku i nie można w nim było zawrzeć żadnej wzmianki dotyczącej obozu. Natomiast obowiązkowo musiał umieścić zdanie: *Ich bin gesund und fühle mich gut* (*Jestem zdrowy i czuję się dobrze*). W obozie od początku 1943 r. zezwalano na paczki żywnościowe, które rodziny mogły przysyłać więźniom. Niektórym dzięki tym paczkom udało się przeżyć. Jednak Niemcom wcale na tym nie zależało, chodziło im o coś zupełnie innego. Po pewnym czasie doszli do wniosku, żeby od razu nie zabijać więźniów. Stwierdzili, że trzeba ich najpierw wykorzystywać do pracy tak długo, jak będą mieli na to siły – do tego właśnie potrzebne były te paczki. W obozie bowiem obowiązywała zasada: *Vernichtung durch Arbeit* (*Zniszczenie przez pracę*). Pan Jacek wspomina, że dzięki tym pacz-



Dziedziniec krematorium i komory gazowej nr IV



Ludzie zajęci swoimi pakunkami na rampie

*kom przez jakiś czas nie byli głodni, ale to tylko tyle, bo wszystkie inne nieszczęścia wisiły nad nimi*³.

Pan Jacek pracował w komandzie murarzy, wraz z około 500 innymi więźniami budował nową łaźnię. Przez jakiś czas pracował też w obozie kobiecym, gdzie zlecono jemu i reszcie więźniów budować umywalnie, które jednak nigdy nie zostały skończone i uruchomione. Gdy chodził tam do pracy, mijał ludzi, którzy szli „do gazu”. Pamięta, że grała tam orkiestra kobieca. Kobiety grały wtedy, kiedy odbywała się selekcja, kiedy ludzie szli na śmierć. Często wygrywały na instrumentach melodie związane z narodowością tych, którzy przyjeżdżali. Pan Jacek wspomniał mi, że ma prawnuczki, które potrafią grać na skrzypcach. Gdy opowiadał im o obozie, to uświadamiał je, że kiedyś taka umiejętność gry na instrumencie ocaliła niektórym kobietom życie.

W sierpniu 1944 r. pan Jacek znalazł się w transporcie tysiąca ludzi wywożonych w głąb Niemiec (docelowo do KL Natzweiler-Dautmergen, powiat Balingen). Do każdego z wagonów hitlerowcy upchali po kilkudziesięciu więźniów, dali im bochenki chleba i niewielką ilość kawy, którą natychmiast wypili. Przez cztery dni nie mieli w ustach ani kropli wody, a przecież był sierpień i straszliwe upały. Ci, którzy nie zjedli chleba od razu, nie zjedli go wcale, bo usta po kilku dniach były zaschnięte. Kiedy dotarli na miejsce, okazało się, że nie ma tam żadnego obozu, ich zadaniem było zbudowanie go. W polu znajdowały się tylko

3 Relacja Jacka Zieliniewicza, mieszkańca Bydgoszczy.



Selekcja na rampie
w Birkenau

namioty, w których spali. Idąc rano do pracy, wszyscy musieli zdejmować drewniaki, by nie ugrzęzły w błocie. Zakładali je dopiero na drodze, bo obtarcie stopy oznaczało właściwie śmierć. Pan Jacek wspomina, że *jedyny środek dezynfekcyjny, który był w posiadaniu każdego więźnia, stanowił własny mocz i to wszystko*⁴.

Po jakimś czasie do Dautmergen dojechał transport z kolejnym tysiącem więźniów, a cała łąka zamieniła się dosłownie w bagno. Z tego względu, że do pracy było daleko, więźniowie nie mieli obiadu. Do jedzenia dostawali *jeszcze gorsze paskudztwo niż w Auschwitz* i zamiast jednej czwartej bochenka – jedną ósmą (ok. 100 g) – ludzie umierali z głodu. Pan Jacek podczas pobytu w Auschwitz ważył 70 kg, a niespełna rok później, gdy jeden z jego kolegów sanitariuszy go zważył, to okazało się, że waży jedynie 38 kg. Mówił, że przeżył, bo po prostu miał „głupie szczęście”. Pan Jacek wspomina też swojego kolegę z Poznania, który, jak mówi, od początku był bardziej pechowy. Do obozu trafił wraz z ojcem, który umarł na tyfus. Chłopak częściej był bity i poniewierany. W Dautmergen razem mieszkali i razem chodzili do pracy, a potem kolega został wysłany w transport i kontakt się urwał. Po wojnie pan Jacek dowiedział się, że jego przyjaciel zginął pięć dni przed wyzwoleniem.

⁴ Tamże.

Pewnego dnia pan Jacek poprosił doktora Engelharta (znajomego jego rodziców sprzed wojny), który też był więźniem, ale pracował w „szpitalu”, o buty. Doktor przystał na prośbę, ale dodał też: *Jeśli chcesz przeżyć, to musisz przyjść do mnie, a ja spróbuję cię tutaj jakoś przechować*. Załatwił mu porządną pryczę, kiepski siennik, ale zawsze siennik, i koc. Pan Jacek wspomina, że poczuł się cudownie, gdy rano nie musiał wstać i iść na apel. Wtedy przez chwilę był naprawdę szczęśliwy, poczuł się jak w niebie. Zaskakujące jest to, jak ludziom niewiele potrzeba do szczęścia. Po jakimś czasie jeden esesman zauważył pana Jacka i wysłał go powtórnie do pracy. Pewnego wieczoru, po zakończeniu robót, gdy już leżał na pryczy, wyczytano jego numer. Wtedy był pewien, że oznacza to jedno – pójdzie na śmierć. Nie spał całą noc, był przerażony. Rano został wezwany do blokowego, spytano go, czy mówi po niemiecku i kazali mu odejść. W niecałe dwa tygodnie później okazało się, że szukano kogoś do pracy w baraku esesmańskim. Pan Jacek twierdzi, że wtedy ponownie szczęście się do niego uśmiechnęło. Dostał pracę pod dachem (czyścił buty, słał łóżka) i jakieś ubrania. Dodatkowo mógł zjadać resztki, które pozostawiali po posiłkach esesmani.

Pod koniec wojny Himmler wydał rozkaz, że żaden z więźniów obozu koncentracyjnego nie może żywy trafić w ręce aliantów. Prawie wszystkie obozy były ewakuowane. Pan Jacek znalazł się wśród 600 więźniów, którzy zostali wyprowadzeni z Dautmergen. Działo się to 18 kwietnia 1945 r. Przez cztery doby szli, po czym zostali spędzeni przez esesmanów na przydrożną łąkę i tamci uciekli. Właśnie wtedy dotychczasowi więźniowie stali się wolnymi ludźmi. Pan Jacek wrócił do domu 5 grudnia 1945 r. (dokładnie sześć lat wcześniej tego samego dnia został wysiedlony). Gdy dotarł do domu, był już wieczór, mimo że w oknach paliły się światła, to przez dłuższą chwilę nikt nie otwierał drzwi. Okazało się, że rodzice pana Jacka byli skupieni na czytaniu listu, który wysłał im w maju. A tu niespodzianka – jego nadawca stał pod drzwiami.

Lata młodości pana Jacka przypadły na czas wojny i obozu. Zapytałam go, jak ta rzeczywistość ukształtowała młodego człowieka. Odpowiedział mi, że jedno jest pewne – musiał szybko dorosnąć. W sensie mentalnym czuł się dużo starszy, musiał podejmować decyzje, które dotyczyły spraw naprawdę ważnych – mających wpływ na ludzkie życie. Relacjonował, że przełom nastąpił, gdy po wyzwoleniu wrócił do domu i znalazł się wśród kolegów sprzed sześciu lat. Wyszedł z obozu



Ostatni list Jacka Zieliniewicza do rodziców
(z 31 maja 1945 r.)



Listy Jacka Zieliniewicza

w atmosferze hitlerowskiego terroru, a znalazł się w wolnej Polsce. Mówi, że *jako Polak mógł swobodnie się czuć i to było wspaniałe uczucie*⁵. Zapytałam też, po ilu latach pan Jacek był w stanie wrócić do „piekła” Auschwitz. Powiedział, że po raz pierwszy pojechał tam w latach 60. Stanął wtedy przed budynkiem głównej wartowni i popatrzył na powieszony na ścianie plan obozu. W tym momencie usłyszał za sobą głos – ktoś mówił w języku niemieckim. Nie wiedział, co ma ze sobą zrobić, nie wiedział, czy jest nadal więźniem czy nie – tak reagował na wszystko, co niemieckie. Wspomnił, że przez 50 lat nie wypowiedział ani jednego słowa w języku niemieckim, nie chciał mieć absolutnie nic wspólnego z Niemcami. Teraz, po wielu latach pan Jacek ma nawet przyjaciół wśród Niemców, mówi, że *nie ma złych i dobrych narodów, są tylko źli i dobrzy ludzie*⁶.

Bywa też w niemieckich szkołach i przedstawia dokładnie to samo, co w polskich. Namawia nas, młodych, do tego, abyśmy dobrze wykorzystali swoją przyszłość, bo to do nas ta przyszłość należy, dodaje, że wcale nie jest to proste, ale jest naszym obowiązkiem. Zapytałam, dlaczego pan Jacek w ogóle wraca do tych trudnych dni swojego życia. Ludzie często chcą wymazać z pamięci takie obrazy. Pan Jacek stwierdził, że dzisiejsze wspomnienie obozu jest dla niego dużo trudniejsze niż to, co zobaczył i czego doświadczył w Auschwitz. Mimo wszystko decyduje się spotykać z młodzieżą, aby nie dopuścić do tego, by kiedykolwiek taka historia się powtórzyła i by już nikt nie odbierał ludziom godności.

5 Tamże.

6 Tamże.



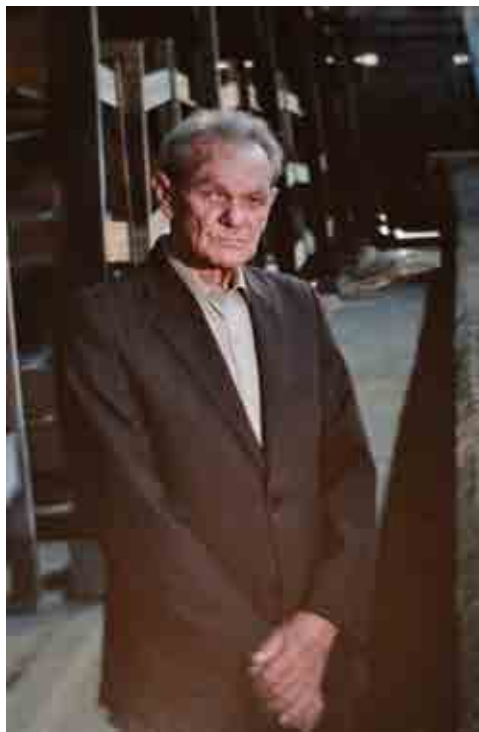
Jacek Zieliniewicz
z byłymi więźniami obozu

W tym roku mija 70. rocznica wyzwolenia obozu Auschwitz-Birkenau. Pan Jacek uczestniczył w obchodach z nią związanych. On oraz inni żyjący więźniowie zebrali się w miejscu przypominającym o zbrodniczej, nazistowskiej ideologii. Myślę, że dzisiaj musimy pamiętać o Auschwitz, by zdawać sobie sprawę, że nigdy więcej nie możemy dopuścić do upadku człowieczeństwa. Dziś musimy żyć tak, by nigdy nie spełniła się smutna wizja Tadeusza Borowskiego, który pisał: *Nad nami – noc. Goreją gwiazdy, dławiący, trupi nieba fiolet. Zostanie po nas złom żelazny i głuchy, drwiący głos pokoleń*⁷.

To niezwykle i wzruszające spotkanie z sędziwym człowiekiem, naznaczonym piętnem Zagłady, pozostanie na zawsze w mojej pamięci. Pozwoliło mi ono trochę bardziej namacalnie obcować z niezwykle trudną historią obozów koncentracyjnych i dostrzec, że nie jest to tylko kolejny dział podręcznika do historii, ponieważ więźniowie – ofiary tamtych strasznych czasów, choć nieliczni – są nadal wśród nas. Zdałam sobie sprawę, że to już ostatnie chwile, żeby czerpać z ich doświadczeń.

Wiem, że pan Jacek Zieliniewicz doskonale zdaje sobie sprawę z tego, jak niezwykle cenne są jego relacje. Zwracał na to uwagę Prezydent RP Bronisław Komorowski w Auschwitz w 70. rocznicę wyzwolenia obozu: *Strażnikiem pamięci*

7 T. Borowski, dz. cyt., s. 6.



Jacek Zieliniewicz podczas wizyty
w Auschwitz w 2013 r.

Auschwitz jest każdy z Państwa ocalonych z obozu – z piekła nienawiści i przemocy. Jesteście najważniejszymi uczestnikami dzisiejszej uroczystości. Bycie strażnikiem pamięci o Auschwitz nie obejmuje tylko pamięci o samej zbrodni, ale i refleksję o jej źródłach tkwiących w ludziach, narodach i polityce państw... Mimo że rana jest nadal otwarta, a wspomnienia trudne i zawsze wywołują wzruszenie, to pan Jacek wielokrotnie do nich wraca, po to, by je ocalić od zapomnienia. Wykazuje się niezwykłym heroizmem, często spotykając się z młodzieżą i przekazując tę niezwykłą prawdę historyczną. Najczęściej widuje się z młodzieżą z bydgoskich i okolicznych szkół, uczestniczy w wystawach i prelekcjach związanych z Holocaustem, jeździ z tą młodzieżą na wycieczki do Oświęcimia w roli przewodnika, rozmawia z każdym, kto chce słuchać. Samego siebie nie przedstawia jako bohatera, nie żali się na swój los, a nawet określa się „szczęściarzem”. Uważam jednak, że bezspornie należy nazwać tego niezwykłego człowieka – depozytariusza pamięci o Auschwitz, „bohaterem”. Pan Jacek nie walczy o „pomniki”, nie zależy mu na sławie, chce tylko nam, młodym, uświadomić okropieństwa wojny,

okupacji i Holokaustu. Uświadomić i przestrzec, podobnie jak Primo Levi (były więzień o numerze obozowym w KL Auschwitz 174517), przed tym, że *To się stało, a więc może znów się zdarzyć... Może się zdarzyć wszędzie*. Mając tak wyjątkowego człowieka jak pan Jacek pośród nas, nie możemy tej niepowtarzalnej szansy przegapić. Musimy wysłuchać i zrozumieć, że to od nas zależy, jak będzie wyglądał świat, w którym żyjemy.

Źródła informacji:

1. Relacje ustne Jacka Zieliniewicza
2. T. Borowski, *Opowiadania*, Warszawa 1999
3. www.wiadomosci.onet.pl [dostęp: 27.01.2015]
4. Fotografie o nr. 4–11 pochodzą ze zbiorów Jacka Zieliniewicza
5. Fotografie o nr 1–3 wykonałam podczas spotkania z Jackiem Zieliniewiczem (22.01.2015 r. oraz 30.01.2015 r.)

Wojewódzki Konkurs im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej „Oni tworzyli naszą historię”

2016 – VIII EDYCJA



I miejsce

kategoria: szkoły gimnazjalne

Matylda Rumińska

opiekun: Aleksandra Budzińska
Gimnazjum Gminy Brzuze w Ostrowitem

Rotmistrz Stanisław Marian Kowalewski – jeździec w mundurze

Dlaczego On?

Zajęcia koła historycznego... Nauczycielka opowiada o oficerach zamordowanych w Katyniu. Z jej ust słyszę: „rtm. Stanisław Marian Kowalewski”. „Znajome nazwisko” – pomyślałam. Przecież takie właśnie jest panieńskie nazwisko mojej babci. Słucham więc z zaciekawieniem. Z dalszego wywodu pedagoga dowiaduję się, iż Katyńczyk ten urodzony był w miejscowości sąsiadującej z moją, ochrzczony zaś w tej samej parafii (pw. św. Anny w Żałem, dekanat rypiński) co ja. Czy to przypadek, zbieg okoliczności? Powszechnie



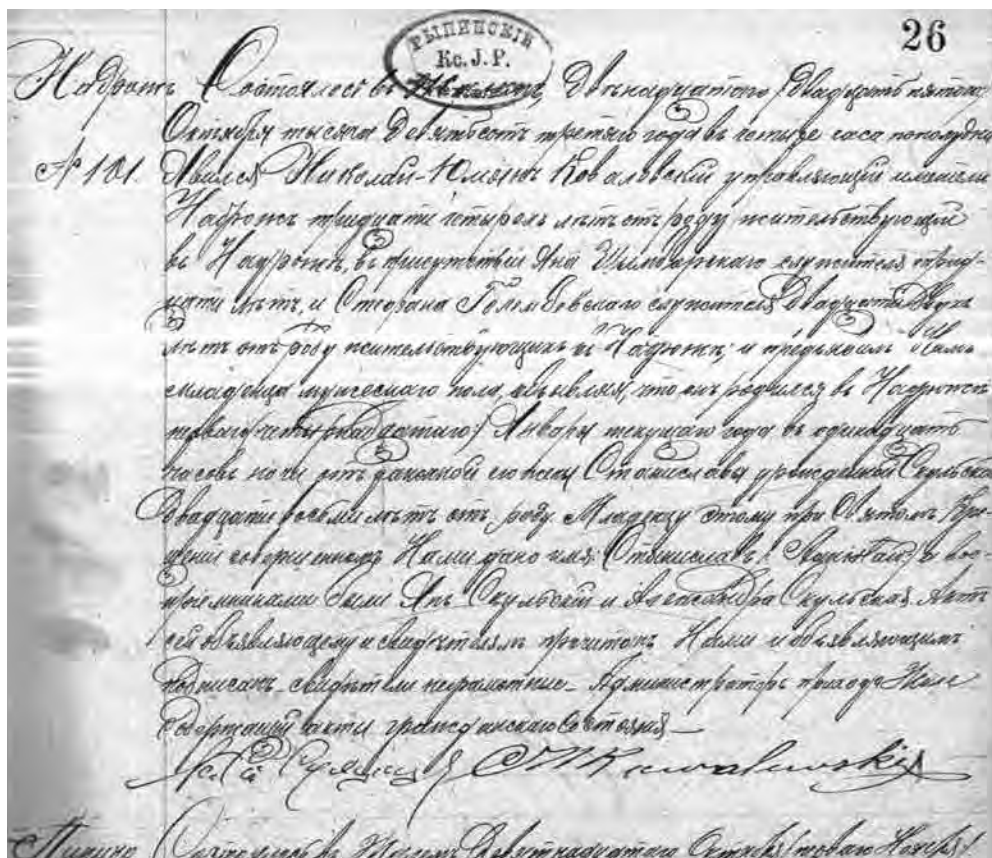
wiadomo, że nazwisko Kowalski/Kowalewski jest jednym z najpopularniejszych w Polsce. A może jednak to mój krewny? Skąd pochodził? Tyle nurtujących pytań. Pomyślałam, że warto byłoby to sprawdzić i podjąć próbę zweryfikowania ewentualnego pokrewieństwa obu tych stron, a jednocześnie z historią tą stanąć w szranki konkursu „Oni tworzyli naszą historię”.

Swoje badania rozpoczynam od poznania biografii Stanisława Mariana Kowalewskiego. Jedynym punktem zaczepienia jest krótki życiorys zamieszczony w książce Władysława Kubiaka i Zbigniewa Karpusa *Kujawsko-dobrzyńska lista katyńska*¹. Pomyślałam, że najcenniejsze byłoby dotarcie do krewnych. Gdzie ich szukać? Czy w ogóle żyją? A może działają w jednym ze Stowarzyszeń Rodzin Katyńskich? Zastanawiałam się, czy zechcą nawiązać współpracę. Po wielu e-mailach i telefonach do Stowarzyszenia Rodzin Katyńskich w całym kraju w końcu światło w tunelu! Przemiła pani z Dolnośląskiej Rodziny Katyńskiej obiecuje „poszperać” i prosi o telefon następnego dnia. Wówczas okazuje się, że pewna architekt – Ewa Kowalewska-Niewadzi z Wrocławia, będąca w zarządzie Stowarzyszenia, to wnuczka mojego bohatera. Proszę o jej numer telefonu. Wraz z moją nauczycielką historii natychmiast do niej dzwonicmy. Niezwykle ciepły głos ze słuchawki całkiem spontanicznie pozwala sobie na wzruszającą (słyszmy to w drżącym głosie i jego tonie) opowieść, która napawa nas optymizmem, że możemy wydobyć na światło dzienne wspaniałą historię lokalnego bohatera. Odległość z ziemi dobrzyńskiej do Dolnego Śląska nie stanowi dla nas żadnej bariery. Długie rozmowy – niestety tylko online oraz telefoniczne, mnóstwo przesłanych cennych materiałów z archiwum rodzinnego – wszystko to stanowi główną bazę źródłową niniejszej pracy.

Korzenie

Mój Mąż był człowiekiem inteligentnym, szlachetnym, religijnym i wielkim patriotą. Bardzo obowiązkowym w swojej zawodowej pracy. Lubił apele poranne, pobudki, żył w dużej części życiem koszarowym. Zawsze znalazł czas na zabawy ze swoim ukochanym synem. Był wesół i radosny. (...) Jego pasją życiową była jaz-

1 W. Kubiak, Z. Karpus, *Kujawsko-dobrzyńska lista katyńska*, Włocławek 2010.



Akt urodzenia Stanisława M. Kowalewskiego

da konna. (...) Z kolegami z pułku żył w wielkiej przyjaźni. Lubili go płk Grobicki, Roztworowski, Jasiewicz. Cenił go również generał Anders. (...) Co roku jeździliśmy do Warszawy na dwa tygodnie. (...) Zwiedzaliśmy atrakcyjne obiekty architektury miasta, bywaliśmy w teatrach, operetce, muzeach. Mąż bardzo kochał swoją Warszawę i był z niej dumny – wspomina Maria Aniela Stökiel².

Jej mąż – Stanisław Marian Kowalewski, urodził się 14 stycznia 1903 r. w Nadrożu, ówczesny powiat rypiński, województwo warszawskie, jako najmłodszy syn Mikołaja i Stanisławy ze Skulskich³.

2 Archiwum Rodziny Kowalewskich [dalej: ARK], Wspomnienia Marii Anieli Stökiel – żony S.M. Kowalewskiego, s. 3 (kopia rękopisu w zbiorach autorki).

3 ARK, Akt urodzenia S.M. Kowalewskiego.

Miał dwie starsze siostry – Wandę Nazję (ur. w 1897 r.), absolwentkę filozofii na UW oraz Zofię (ur. w 1900 r.), pracownicę banku warszawskiego⁴. Najpierw małżonkowie Kowalewscy byli związani z Rawą Mazowiecką, tam też na świat przyszły ich dwie córki. Syn natomiast urodził się w Nadrożu, gdzie Mikołaj prawdopodobnie był zarządcą tamtejszego majątku. Gdy najmłodsze dziecko miało trzy lata, Kowalewscy przeprowadzili się do Warszawy. Zamieszkali w wygodnym pięciopokojowym apartamencie. Z informacji od rodziny wiemy, że po jakimś czasie wyjechali do Moskwy, ponieważ Mikołaj jako inżynier otrzymał kontrakt do pracy przy nadzorze budowy Kolei Transsyberyjskiej. Wrócili do kraju, uciekając przed koszmarem rewolucji 1917 r. Ten swoisty exodus wiódł przez Warnę, gdzie swego żywota dokonała babka mojego bohatera, wcześniej zachorowawszy na tyfus⁵.

Edukacja

Stanisław ukończył siedem klas szkoły realnej Kulwiecia. Okres od 1915 do 1918 r. to trzyletnie moskiewskie funkcjonowanie placówki, a od 1918 do 1921 r. – trzyletnie warszawskie. W okresie pierwszym szkoła pozostawała po opieką Centralnego Komitetu Obywatelskiego Królestwa Polskiego (CKO). Przez krótki czas (1918–1919) korzystała z patronatu Rady Głównej Opiekuńczej, później zaś osobiście zarządzał nią Kazimierz Kulwieć (polski przyrodnik i krajoznawca), który tak charakteryzował placówkę: *Ideą przewodnią kierownictwa zwierzchniego szkoły w ręku moim przez dziewięć lat spoczywającego było wydobyć, skoordynować wszystkie dodatnie siły, tkwiące w polskim pedagogu i uczeniu (...), by wychować wolnego człowieka dla ludzkości i dać pożytecznego, wiernego obywatela Polsce*⁶.

Zdaje się więc, że edukacja kulwiecka miała ogromny wpływ na przyszłość bohatera mojej pracy. W latach 1922–1923 Kowalewski był słuchaczem Szkoły Podchorążych w Warszawie, gdzie zdał egzamin dojrzałości, zaś w latach 1923–1925 uczęszczał do Oficerskiej Szkoły Kawalerii w Grudziądzu⁷.

4 ARK, Akt małżeństwa Wandy Nazji Kowalewskiej i Eugeniusza Telszewskiego oraz akt małżeństwa Zofii Kowalewskiej i Seweryna Chojckiego.

5 Relacja Ewy Kowalewskiej-Niewadzi – wnuczki S.M. Kowalewskiego.

6 *Na obczyźnie i u siebie. Z przeżyć jednej szkoły*, Warszawa 1925, s. 6.

7 ARK, Akta personalne Stanisława Mariana Kowalewskiego z CAW.



Szkoła Kulwiecia – Stanisław po prawej stronie w ostatnim rzędzie



Z kolegą ze Szkoły
Podchorążych
w Warszawie
– Stanisław Kowalewski
z lewej



Przed koszarami w Brodach – Stanisław Kowalewski z wilkiem

Kariera wojskowa

W lipcu 1920 r. 17-letni Stanisław ochotniczo wstąpił do wojska, do 201. Pułku Artylerii Polowej. Walczył w wojnie polsko-bolszewickiej. We wspomnieniach żony czytamy: *Brał udział w wyprawie pod kryptonimem „Zima” dowodzonej przez [późniejszego – M.R.] marszałka Śmigłego-Rydza, mającej na celu wyzwolenie Inflant południowych nad Dźwiną, obecnie Łatgalii, gdzie w tym czasie powstaje Łotwa*⁸.

We wrześniu 1922 r. został mianowany starszym szeregowym i skierowano go do Szkoły Podchorążych w Warszawie. Począwszy od 1 września 1923 r., przez trzy miesiące służył w 72. Pułku Piechoty jako dowódca plutonu. Następnie jesienią tegoż roku został odkomenderowany do Oficerskiej Szkoły Kawalerii w Grudziądzu, którą pomyślnie ukończył 1 sierpnia 1925 r. Rozporządzeniem władz wojskowych z dnia 1 lipca 1925 r. mianowany został z tym dniem podporucznikiem kawalerii

8 ARK, Wspomnienia M.A. Stökiel, s. 1.

Respublica Polonia
Archidiecezja: Leopoliensis
Parochia: Brody **Districtus: Brody**
 Nr. 930/31

TESTIMONIUM CONTRACTI MATRIMONII

Ex parte Officii parochialis eiusdem Ecclesiae sub titulo Exaltationis S. Crucis in Brody
Resatur: in libris metriculibus matrimonialibus huius Ecclesiae destinatis pro BRODY
 Tom. IX. Pag. 53. repertori sequenti

Annus, mensis, dies, locus contracti matrimonii	Generalia sponsorum	Religio Aetas Sexus Natalitas	Testes
/6. IV. 1931./ ANNO DOMINI Millesimo nono centesimo trigesimo primo die sexta Aprilis in Ecclesia parochiali in Brody matrimonium contraxerunt.	KOWALEWSKI Stanislaus pur. 22. p. z. u. z. filius Nicolai, Juliani /bin./ et Stanislawae SKULSKA natae in Wadric districtu habsburgico in Brody	hbt. Brody romano catholica n. 14. I. 1903. Coelebs.	Jessenacht Edwardus notarius et
	STOKIEL Maria, Angela, bin. flia. Josephi et Vendae, Helenae, Mathildis /trin./ KAWALEWSKA natae in Brody ibidemque hbt.	hbt. Brody romano catholica n. 8. XI. 1908. Coelebs.	Jakóbiak Ceslaus rot. m. 22. p. z. u. z. ambo e Brody

Servatis omnibus de lege servandis matrimonio benedixit: Hieronymus Kosackewski catech. gimn.

Quod testimonium manus propria subscribi et sigillo Ecclesiae parochialis munit.
 6. V. 1931.

Akt małżeństwa Stanisława Mariana Kowalewskiego i Marii Anieli Stókielewskiej

ze starszeństwem. Dwa miesiące później – z końcem września 1925 r. – wcielono go do 22. Pułku Ułanów Podkarpackich w Brodach. To tam poznał swoją żonę – Marię, nauczycielkę, absolwentkę Seminarium Nauczycielskiego. Pobrali się w maju 1931 r.⁹

W latach 1925–1928 Stanisław Kowalewski był jednocześnie instruktorem szkoły podoficerskiej¹⁰. Z analizy dokumentów wynika, że w okresie służby wojskowej był bardzo wysoko ceniony przez swoich przełożonych¹¹. W opinii sporządzonej na podstawie rocznego uzupełnienia listy kwalifikacyjnej na rok 1927 ppłk Grobicki w poszczególnych rubrykach dokumentu wpisywał następujące określenia na temat Kowalewskiego: inteligentny, prawy, bardzo obowiązkowy, energiczny, samodzielnny, wybitny oficer¹².

Z dniem 1 stycznia 1934 r. mój bohater awansowany został na rotmistrza (patent oficerski nr 9353)¹³.

Na świadectwie Kursu Dowódców Szwadronów, jaki ukończył w 1935 r. z wynikiem dobrym, czytamy: *Bardzo pracowity, sumienny i ambitny. Zdolność logicznego rozumowania taktycznego i powzięcia trafnej decyzji dość duża. Fizycznie bardzo wytrzymały*¹⁴.

⁹ Relacja Ewy Kowalewskiej-Niewadzi.

¹⁰ ARK, Karta ewidencyjna z CAW.

¹¹ Tamże.

¹² Tamże, Arkusz ewidencyjno-kwalifikacyjny z CAW, s. 9.

¹³ Tamże, Patent oficerski.

¹⁴ Tamże, Wyciąg kwalifikacyjny z CAW.



Jesienią 1936 r. Kowalewski został przeniesiony na dowódcę szwadronu kawalerii Korpusu Ochrony Pogranicza „Olkieniki” (nazwa pochodzi od miasteczka Olkieniki, położonego na skraju Puszczy Rudnickiej nad rzeką Mereczanka, dziś południowo-wschodnia Litwa). Zastąpił dowódcę szwadronu rtm. Stanisława Rusieckiego, który przeszedł do 23. Pułku Ułanów Grodzieńskich¹⁵.

Jak ocenia Jarosław Suchorski – zastępca Stanisława Kowalewskiego – wyszkolenie liniowe szwadronu zawsze stało na wysokim poziomie. Szwadron niejednokrotnie otrzymywał pochwały, a w 1938 r., po generalnym przeglądzie, trwającym około tygodnia, przez Inspektora Północnej Grupy Kawalerii KOP, ppłk. Kopia, szwadron został uznany jako wzorowy w Północnej Grupie Szwadronów Kawalerii KOP¹⁶. W czasie mobilizacji w sierpniu 1939 r. KOP „Olkieniki” stał się kawalerią dywizyjną 33. Dywizji Piechoty dowodzonej przez płk. Tadeusza Zieleniewskiego. 1 września 1939 r. część kawalerii dywizyjnej pod do-

15 J. Suchorski, *Szwadron kawalerii Korpusu Ochrony Pogranicza „Olkieniki”. Szkic historyczny*, Białystok 2007, s. 17.

16 Tamże, s. 23–24.



Podczas przyjmowania delegacji zagranicznej, prawdopodobnie rumuńskiej



Przed defiladą (Stanisław Kowalewski na koniu, tyłem – Józef Piłsudski)

wództwem ppor. Mormana w walce pod Myszyńcem rozbiła szwadron 3. Pułku 1. Brygady Kawalerii Wehrmachtu. Prowadząc walki opóźniające na linii Ostrołęka przez Różan – Wyszaków, rtm. Kowalewski, jako dowódca kawalerii dywizyjnej, walczył pod Łochowem. W dniach od 10 do 12 września przesunął się w rejon Białej Podlaskiej i dalej, przez Sławatycze, na Lubelszczyznę. 17 września brał udział w walkach pod Włodawą¹⁷. Tadeusz Zieleniewski w swoim szkicu polemicznym do artykułu Suchorskiego napisał: *Swoją walką, rzetelną pracą rotmistrz Kowalewski i jego kawaleria dywizyjna zapisuje piękną kartę chwały Szwadronu KOP Olkieniki*¹⁸.

Po rozbiciu kawalerii dywizyjnej jej resztki pod dowództwem rtm. Kowalewskiego dotarły do Lasów Janowskich nad Sanem, gdzie skapitulowały 2 października 1939 r. W ostatnich walkach rotmistrz brał udział w składzie grupy kawalerii płk. Władysława Płonki¹⁹. Dostał się do niewoli bolszewickiej i przebywał w obozie w Starobielsku²⁰.

17 Tamże, s. 43; T. Mikulski, *Biogramy jeńców Kozielsk, Starobielsk, Ostaszków, Ukraina. Zaginieni*, Wrocław 1999, s. 211.

18 J. Zieleniewski, *Na marginesie szkicu historycznego J. Suchorskiego „Szwadron Kawalerii KOP »Olkieniki«*, „Wojskowy Przegląd Historyczny”, R. 12, 1967, nr 4, s. 451.

19 W. Kubiak, Z. Karpus, dz. cyt., s. 99.

20 ARK, Kartka ze Starobielska z dn. 8.03.1940 r.

KOWALEWSKI Stanisław s. Nikołaja
 Форма № 2

Учетная карточка

1. Наименование лагеря Старобелицкий
2. Фамилия Ковалевский
3. Имя Станислав 4. Отчество Николаевич
5. Год и место рождения 1903 г. Кагарлицы в. Вязьма
6. Национальность поляки
7. Принадлежность к полит. партиям нет
8. Последний чин или звание ротмистр
9. Образование (что окончил) Кав. школа
10. Особые указания инициал

См. на обороте

11. Профессия и специальность кадровый офицер
12. Место жительства до призыва в армию г. Брест
13. Дата и место взятия в плен 21.8.39 г. с. Бучин
14. Когда и откуда прибыл в лагерь 15/11 39 г. 18/11 39 г.
15. Бежал справки на выезд не выдавались 16. Задержан да
17. Убыл (дата, место и основная причина убытия) _____
18. № учетного дела 1896

26. 5 1939 г.
 м. Староб., ул. К. Ж. Зв. № 1315

Доверенность и подпись
 ответственного за карточку
Винни

Karta informacyjna z kartoteki polskich jeńców wojennych z 1939 r.

Pamiętaj, gdy zginę, ty zaopiekujesz się mamą

Jak wspomniałam wyżej, w 1937 r. Stanisław Kowalewski przeniesiony został pod granicę litewską, do Olkienik. Niezwykle obrazowo swój ostatni kontakt z mężem opisuje Maria Kowalewska: *Podczas wakacji w 1939 r. rodzina Męża i moja była w Olkienikach. Mężczyźni wyznaczili sobie spotkanie w Berlinie, niestety żaden z nich nie doczekał końca wojny. Pamiętam taki obraz: skrzydła taczanki z ciężkimi karabinami maszynowymi, działka przeciwpancerne, nowe*

sukienne mundury, nowe siodła i uprząże. „O Boże, to wielka siła, na pewno tę wojnę wygramy” – pomyślałam!²¹.

Kilkuletni syn – Zbigniew, chyba doskonale rozumiał tragizm sytuacji, gdy usłyszał, że 18 sierpnia 1939 r. ogłoszono mobilizację:

Pamiętam, że zbudził całą rodzinę dzwonek telefonu, który odebrał ojciec. Brzdęk kluczy, płacz matki i jej słowa do babci: „Ogłoszono mobilizację”. Wiedziałem, że stało się coś złego, lecz nie bardzo wiedziałem co. Wyjaśnienie przyniosły następne dni. Mieszkaliśmy na terenie koszar KOP-u w Olkienikach, na granicy litewskiej. Widziałem przybywających cywili przeistaczających się w żołnierzy. W kilka dni później na placu największym w koszarach do ćwiczeń konnej jazdy stanęły zwarte konne szyki. „Jak ten szwadron urósł” – pomyślałem. Na trybunie ojciec, oficerowie, ksiądz w białej komży ze stułą na ramionach i z krzyżem w ręce. (...) Ostatni raz Ojca widziałem w polowym mundurze, w łaziku wypełnionym książkami. Krótkie pożegnanie z Matką i ze mną, tuman kurzu i już więcej Ojca nie widziałem. (...) W kilka dni potem Matka decyduje się na wyjazd do rodzinnych Brodów woj. Tarnopol. Długa jazda pociągami, przeważnie nocą, rozświetlaną łunami, to się palił Porubanek [Wilno – M.R.], Łuniniec, Sarny, wreszcie Brody. Pierwsze bombardowanie i wejście Sowietów. Z mamą ciągle chodziliśmy na dworzec, gdzie szukaliśmy Ojca w transportach jadących do Szepietówki. Bez rezultatu²².

Przez całe swoje życie syn miał w głowie i sercu ostatnie słowa ojca: *Pamiętaj, gdy zginę, ty zaopiekujesz się mamą*²³. Istotnie, Zbigniew Kowalewski do ostatnich dni swojej rodzicielki był dla niej wsparciem i dostarczał dumy. Był cenionym wrocławskim lekarzem.

Tak więc, ponieważ koszary opustoszały, Maria wraz z synem wyjechała z Olkienik do Brodów. Z nadzieją oczekiwała jakiegokolwiek informacji:

Pierwszą wiadomość usną w 1939 r. udzielił mi ułan, który powiedział: „Pan rotmistrz żyje, rozdał nam żołd i powiedział, że możemy iść do domu, mówił, że jeśli któryś z nas spotka jego żonę, ma jej powiedzieć, iż chcemy przedostać się na Węgry, żeby dalek walczyć”. Później od podoficera Wilka z naszego 22. Pułku

21 ARK, Wspomnienia M.A. Stökiel, s. 5.

22 Tamże, Wspomnienia Zbigniewa Kowalewskiego – syna S.M. Kowalewskiego, s. 5.

23 Tamże, s. 4.



List ze Starobielska



Kartka ze Starobielska

Ułanów dowiedziałam się, że mój Mąż niestety jest w niewoli bolszewickiej. Natomiast pierwszą wiadomość listowną od Męża dostałam 22 grudnia 1939 r. W sumie dotarły do nas 4 karty pocztowe i 6 telegramów²⁴.

Z analizy ich treści wynika, że Stanisław Kowalewski przejawiał ogromną troskę o żonę i synka, tęsknił i sugerował, co mają robić w tych trudnych chwilach: Marysienka, jak Wy się tam gospodarujecie i z czego życie, Maryś sprzedawaj, co możesz na utrzymanie, wszystko w życiu można nabyć prócz zdrowia. (...) Następny list napiszę w kopercie. (...) Całuję moje słonka dwa miliony razy²⁵ – pisał.

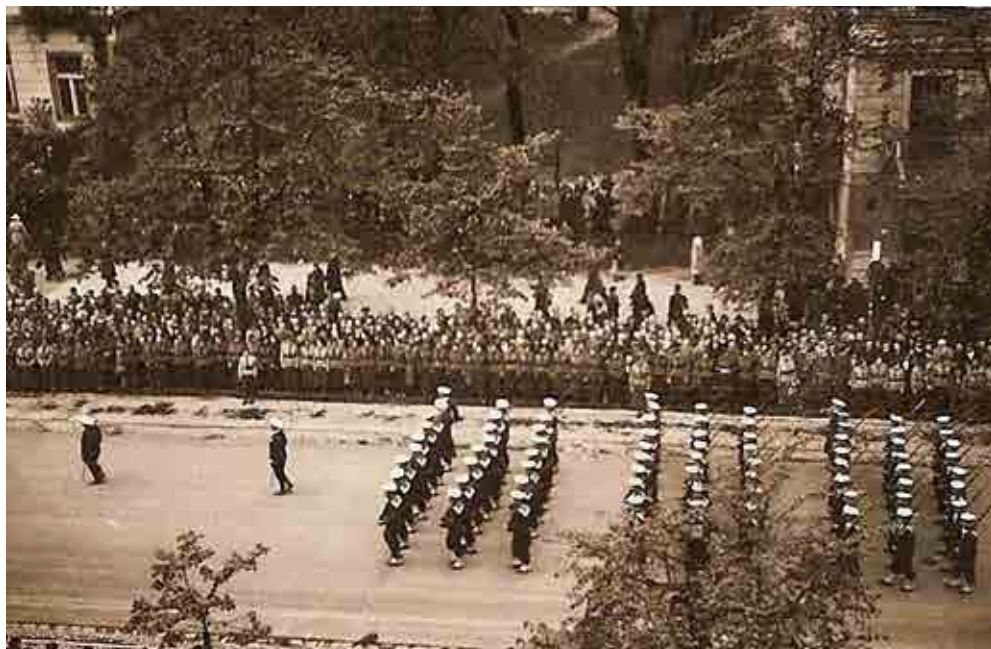
Ceniony przełożony, wzorowy żołnierz

W maju 1939 r. swój szacunek do przełożonego w swoisty sposób wyrazili ułani KOP-u, przekazując na jego ręce ryngraf²⁶. Ponadto wśród mnóstwa innych odznaczeń rtm. Kowalewskiego jest Medal Pamiątkowy za Wojnę 1918–1921. Został także odznaczony Medalem Dziesięciolecia Odzyskanej Niepodległości

²⁴ Tamże, Wspomnienia M.A. Stökiel, s. 4.

²⁵ Tamże, List ze Starobielska z dn. 04.03.1940 r.

²⁶ Tamże, Ryngraf od ułanów KOP-u.



Pogrzeb Marszałka Józefa Piłsudskiego



Spotkanie wojskowe z Józefem Piłsudskim, Stanisław trzeci z prawej



Ryngraf dla Stanisława Kowalewskiego od ułanów KOP-u

oraz łotewską odznaką „Tevija Dris Pulkis” w 1919 r. W 1938 r. z kolei Kowalewski dostał Brązowy Medal za Długoletnią Służbę. Pośmiertnie zaś otrzymał w sierpniu 1985 r. odznakę pamiątkową Krzyż Kampanii Wrześniowej 1939 oraz Medal „Za udział w wojnie obronnej 1939”. Prawdziwym wzorem żołnierza i patrioty był dla rtm. Kowalewskiego Józef Piłsudski, w rodzinnym albumie Kowalewskich odnajdziemy mnóstwo zdjęć Marszałka, także z jego pogrzebu.

Pasje hippiczne i czytelnicze

Z rozmowy z wnuczką Stanisława Kowalewskiego oraz z niezwykle bogatego w stare fotografie archiwum rodzinnego możemy wnioskować, że prawdziwą pasją mojego bohatera była jazda konna. Swoje umiejętności jeździeckie konfrontował z innymi, startując w zawodach ogólnopolskich. We wspomnieniach żony czytamy:

Jeździł na zawody hippiczne do Zakopanego, Lwowa, Tarnopola, Krzemieńca, Złoczowa, Warszawy, ostatnio przed wojną był w Łucku. W 1933 r. brał udział w Militari Armii.

„Militari” to powszechna, lecz nieoficjalna nazwa Konnych Mistrzostw Wojska Polskiego, rozgrywanych w II RP. Celem współzawodnictwa było m.in. wyrobienie hartu ducha, woli zwycięstwa i błyskawicznej reakcji na wszelkiego rodzaju zaskoczenia. Mistrzostwa organizowane były rokrocznie od 1923 r. w różnych miastach Polski. Po raz ostatni odbyły się w 1939 r. w Bydgoszczy. Trzydniowe zawody, oprócz konkurencji typowo sportowych, charakterystycznych dla WKKW (ujeżdżenie, bieg terenowy i skoki), wzbogacone były o próby typowo wojskowe – strzelanie z pistoletu, władanie szablą i lancą. Konkurencje bojowe przeprowadzane były w tempie szarżującego konia²⁷.

Maria Stökiel dalej wspomina: *Zdobywał wiele nagród medali, z których kilka ocalało. Ze swoich podróży zawsze przywoził piękne upominki dla mnie i dla syna. Uczył mnie jazdy konnej i pragnął uczyć już i syna. Syn pamięta, jak go Ojciec brał na konia i jeździł z nim. W pracy prędko zdobył uznanie i awanse*²⁸.

27 L. Kukawski, *Konne Mistrzostwa Wojska Polskiego w II Rzeczypospolitej*, Grajewo 2006.

28 ARK, Wspomnienia M.A. Stökiel, s. 3.



Komisja sędziowska podczas zawodów jeździeckich, pierwszy z lewej – generał Władysław Anders, drugi – Stanisław Kowalewski

Podczas zimowych zawodów hippicznych rozgrywano następujące konkurencje: skoki przez przeszkody, skijöring (narciarz za koniem), ski-skiöring (narciarz za koniem i jeźdźcem), wyścig kumoterek (małe góralskie sanki), od 1933 r. gonitwy płaskie i wyścigi kłusaków²⁹. O jego sukcesach świadczy też występujący w archiwum rodzinnym fragment nieznanego bliżej artykułu prasowego z okresu międzywojennego (poniżej). Z analizy dokumentacji wojskowej wynika także, że Stanisław interesował się literaturą poważną³⁰.

²⁹ M. Baraniak, *Sport w Zakopanem w okresie dwudziestolecia międzywojennego*, Gdynia 2015, s. 174–175.

³⁰ ARK, Roczna Lista Kwalifikacyjna za rok 1935, s. 4.

Skiskjöring pań.

Po skjöringach nastąpił ciekawy wyścig skiskjöringowy pań o nagrodę honorową im. Kar-szo Siedlewskiego, na dystansie 1.900 m. przy jednym okrażeniu toru. W biegu brało udział 8 koni. Startowali: p. Roguński na koniu „Raba” z narciarką mistrzynią Polaki Bronisławą Staszek-Polankówną, rtm. Karczewski na koniu „Rogu-za” ze znakomitą narciarką b. mistrzynią p. Lo-teczkową, por. Sierakowski na koniu „Radość” z p. Burnatówną, por. Chociejowski na koniu „Bełina” z narciarką Stopkówną, por. Kowalew-ski na koniu „Parma” z narciarką Sulejową, por. Zwan na koniu „Półksiężyc” z narciarką Starzewską. Pierwsze miejsce w skiskjöringach pań zajmuje Bronisława Staszek-Polankówna w czasie 1 min. 16.1 sek., 2) Stopkówna w czasie 1 min. 18 sek., 3) Burnatówna 1 min. 30 sek. — Znakomita nasza narciarka p. Loteczkowa za-wadziwszy na trasie niestety odpadła.

Po ukończeniu skjöringów i skiskjöringów na-stąpiła dalsza część konkursów hipicznych, któ-re ukończyły 3 konie bez punktów karnych. — Przybyli na nich por. Stricker, por. Kowalewski i por. Sokołowski. Między nimi też nastąpiła roz-grywka o pierwszą, drugą i trzecią nagrodę. Rozgrywka nastąpiła na 8 przeszkodach przy szybkości 450 m. na minutę.

Po rozgrywce pierwszą nagrodę zdobył por. Stricker na koniu „Piorun”, drugą por. Kowalew-ski na koniu „Mikado”, trzecią por. Sokołowski na koniu „Pajac”, czwartą, piątą, szóstą, siódmą, ósmą i dziewiątą nagrodę podzielił się zawod-nicy, którzy ukończyli parcourse z dwoma punk-tami karnymi, a zainicjował rtm. Królikiewicz, 1 p. szwol., na koniu „Dream”; por. Kowalewski, 22 p. ul., na koniu „Neapol”; por. Dąbski-Nehrlich, 7 dyw. art. kon., na koniu „Noro”; por. Bi-liński Wojciech, 5 dyw. art. kon., na koniu „Lord”; por. Dąbski-Nehrlich, 7 dyw. art. kon., na koniu „Domino” i por. Niczaj, 3 p. strzel. kon., na koniu „Ryś”. Flac otrzymali por. Bi-liński Wojciech, por. Łuszczewski (22 p. ul.), por. Krahelski (K. O. P.), por. Żelewski (8 p. ul.), po. Dąbski (5 p. strzel. kon.), por. Żelewski (8 p. ul.), por. Kowalewski, por. Rejcewicz (22 p. ul.), por. Wiszniewski (17 p. ul.), rtm. Królikiewicz (1 p. szwol.).

Po ukończeniu konkursu około godz. 3.30 po-łudniu odbyła się dekoracja zawodników, któ-rej dokonał inspektor armii gen. dyw. Juliusz Rómmel, prezes Małopolskiego Klubu Jeźdy, w otoczeniu jury, przy dźwiękach fanfar oddziałowych pułków, poczem nastąpiła defilada zwycięzców przed trybunami.



Zawody hippiczne – Zakopane, 1931 r.



Z kolegą – Zakopane, 1931 r.

Nadzieja, choćby słaba, lepsza jest od rozpacz

*Zawsze żyłam nadzieją, że jakimś cudem Stach wyjdzie cało z tej strasznej zawieruchy wojennej*³¹ – czytamy we wspomnieniach małżonki rotmistrza. Rzeczywistość okazała się jednak bardzo smutna – Stanisław Marian Kowalewski zginął wiosną 1940 r., zamordowany przez NKWD w Charkowie. Pochowano go na Cmentarzu Ofiar Totalitaryzmu na Piatichatkach.

Zakończenie

Poznanie historii Stanisława Mariana Kowalewskiego pozwala definitywnie rozwiązać moje wstępne przypuszczenia, iż był to mój krewny. Argumentów na potwierdzenie tej tezy odnalazłam kilka:

Pradziadek ze strony mojego taty – jednak nazywał się Stefan Kowalski, a nie Kowalewski (ur. w 1913 r.). Wiemy to z uzyskanego z Archiwum Państwowego we Włocławku jego aktu urodzenia. Zaś tylko ze względu na pomyłkę urzędniczą w późniejszym okresie pojawiło się w różnych dokumentach nazwisko Kowalewski.

Rodzina Stanisława Kowalewskiego przebywała w zasadzie tylko trzy lata na ziemi dobrzyńskiej. Jej korzenie sięgają Rawy Mazowieckiej, a później Warszawy.

Mój prapradziadek – Władysław wyemigrował do USA „za chlebem”. Według relacji bliskich bohatera mojej pracy w ich (znacznie bogatszym niż w mojej rodzinie) archiwum nie pojawia się żaden ślad o ewentualnym stryju Władysławie Kowalewskim/Kowalskim.

Reasumując, bardzo się cieszę, iż poznałam ciekawą historię Stanisława Mariana Kowalewskiego. Jestem pewna, że opowieść o rotmistrzu pochodzącym z małej wioski na ziemi dobrzyńskiej okaże się ciekawa nie tylko dla mieszkańców historycznej krainy leżącej między Wisłą, Drwęcą i Skrwą, ale także dla wszystkich, którym bliskie są losy bohaterów tworzących naszą historię.

31 ARK, Wspomnienia M.A. Stökiel, s. 4.

Źródła informacji:

1. Archiwum Rodziny Kowalewskich
2. Wspomnienia Marii Anieli Stökiel
3. Wspomnienia Zbigniewa Kowalewskiego
4. Zbiory własne autorki
5. Relacja Ewy Kowalewskiej-Niewadzi – wnuczki Stanisława Kowalewskiego

Opracowania:

1. M. Baraniak, *Sport w Zakopanem w okresie dwudziestolecia międzywojennego*, Gdynia 2015
2. W. Kubiak, Z. Karpus, *Kujawsko-dobrzyńska lista katyńska*, Włocławek 2010
3. L. Kukawski, *Konne Mistrzostwa Wojska Polskiego w II Rzeczypospolitej*, Grajewo 2006
4. T. Mikulski, *Biogramy jeńców Kozielsk, Starobielsk, Ostaszków, Ukraina. Zaginięni*, Wrocław 1999
5. *Na obczyźnie i u siebie. Z przeżyć jednej szkoły*, Warszawa 1925
6. J. Suchorski, *Szwadron kawalerii Korpusu Ochrony Pogranicza „Olkieniki”. Szkic historyczny*, Białystok 2007
7. J. Zieleniewski, *Na marginesie szkicu historycznego J. Suchorskiego „Szwadron Kawalerii KOP »Olkieniki«”, „Wojskowy Przegląd Historyczny”, R. 12, 1967, nr 4, s. 448–451*

II miejsce

kategoria: szkoły gimnazjalne

Dominika Wilmowicz

opiekun: Aleksandra Jankowska
Zespół Szkół Publicznych w Łasinie
Gimnazjum nr 1

Dlatego wyruszyliśmy do lasu

*Ucz się słuchać, abyś umiał
rozkazywać, gdy wypadnie.
Ucz się, badaj, byś zrozumiał,
co tam w życiu leży na dnie.
Ucz się milczeć, byś treściwie
Umiał w Niebo podnieść głosy;
Ucz się modlić, byś cierpliwie
Umiał wytrwać na złe losy.*

Wincenty Pol, *Dobre rady*

Stanisław Wierchucki, mój bohater, żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ), którego sylwetkę w niniejszej pracy pragnę zaprezentować, właśnie z tymi znaczącymi słowami Wincentego Pola¹ zwrócił się do uczniów mojej szkoły podczas inauguracji działalności Klubu Historycznego im. Armii Krajowej. Powtórzył je również podczas naszego osobistego spotkania i położył rękę na ramieniu, jakby chciał podkreślić moje zadanie w wykonywaniu tego

1 W. Pol, *Dobre Rady*, [online], [dostępny: <http://archiwum2000.tripod.com/497/lirycz.html>], [dostęp: 20.12.2015].



Bohater Stanisław Wierzchucki z autorką
(fot. Dominika Wilmowicz)

życiowego motta. Choć słowa napisane są w XIX w., mają swój sens też i w dzisiejszych czasach. Są one jak wskazówka, testament dla współczesnej młodzieży. Jak podkreślał mój bohater, w swoim życiu kierował się tym mottem. Tak mnie uczyli nauczyciele, tak mnie wychowywali rodzice – podkreślał Stanisław Wierzchucki.

Narodowe Siły Zbrojne

W latach 1944–1947 na terenach Polski działała konspiracyjna organizacja wojskowa obozu narodowego, czyli Narodowe Siły Zbrojne. Powstała ona formalnie 20 września, gdyż tego dnia został wydany przez pierwszego ko-

mandanta głównego NSZ, płk. Ignacego Oziewicza, rozkaz nr 1/42, w którym zawiadamiał o objęciu powyższej funkcji. Faktycznie proces formowania NSZ rozpoczął się od lipca 1942 r. Główne cele programowe NSZ zostały sformułowane w „Deklaracji Narodowych Sił Zbrojnych” z lutego 1943 r. Należały do nich przede wszystkim:

- walka o niepodległość Polski i jej odbudowę z granicą wschodnią sprzed 1939 r., a zachodnią na linii Odry i Nysy Łużyckiej,
- wzmocnienie pozycji prezydenta i senatu w celu przeciwdziałania chaosowi parlamentarnemu,
- decentralizacja organów administracji w celu rozwinięcia samorządów,
- wzmocnienie pozycji rodziny w społeczeństwie,
- edukacja oparta na katolickich zasadach etycznych.

NSZ były jedyną, obok AK, konspiracyjną formacją wojskową zorganizowaną profesjonalnie przez liczną kadrę przedwojennych oficerów zawodowych. NSZ pod względem politycznym były formacją zupełnie niezależną i niepodlegającą

żadnym zewnętrznym, ponadnarodowym i międzynarodowym, ośrodkiem politycznym².

Narodowe Siły Zbrojne cechował zdecydowanie wrogi stosunek do podziemia komunistycznego, występowały one zarówno przeciwko hitlerowskim Niemcom, jak też ZSRR. Wysuwa się zarzuty, że mające swoje polityczne korzenie w ruchach narodowo-nacjonalistycznych NSZ miały negatywny stosunek do ludności pochodzenia żydowskiego. Żaden z powojennych zarzutów o zabijaniu Żydów nie został udokumentowany. Nigdzie nie powiedziano, gdzie i kiedy do tych mordów doszło ani kto padł ich ofiarą. W NSZ, i nie tylko, walczyli żołnierze wyklęci, czyli ci, którzy nie uznali końca II wojny światowej i z bronią w ręku wystąpili przeciw drugiemu – obok nazizmu – zaborczemu totalitaryzmowi. Stali nie tylko przeciw potężnym siłom nowego agresora, lecz także przeciw jego gigantycznej, bezwzględnej propagandzie, która określała ich jako „bandytów” czy „zapłutych karłów reakcji”. W zamian za ofiarną walkę w obronie wartości, jaką była niepodległość Ojczyzny, wielu z nich poległo z bronią w ręku, innych zamęczono w więzieniach ciągłymi przesłuchaniami i torturami, a jeszcze inni po okrutnych śledztwach przechodzili pokazowe procesy, które były kpina z wymiaru sprawiedliwości, a których wyrok był oczywisty – natychmiast wykonywano kary śmierci. Jedynie nielicznym udało się przetrwać stalinowski reżim, aby żyć dalej przez długie dekady i dawać świadectwo o prawdzie, historii i bohaterstwie. Właśnie takie szczęście przytrafiło się panu Stanisławowi Wierchuckiemu, mojemu bohaterowi.

Stanisław Wierchucki, ps. „Błyskawica”, „Sęk”

Stanisław Wierchucki urodził się 9 października 1929 r. w Starostwie Kolo-
nia – Łosice, koło Łukowa. To *pięknie zbudowany blondyn o okrągłej, pucołowatej
twarzy i wesołych, zawadiackich oczach*³. Od marca 1946 r. należał do oddziału

2 M. Brechta, *Mazowsze i Podlasie w ogniu 1944–1956. Między Bolszewią a Niemcami*, Warszawa 2008, s. 348; *NSZ na Podlasiu w walce z systemem komunistycznym w latach 1944–1952*, red. M. Brechta, L. Żebrowski, t. II, Siedlce 1998, s. 114; [online], [dostępny: <http://nsz.com.pl/index.php/artykuly-i-opracowania/35-n-sz-a-ydzi>], [dostęp: 3.02.2016].

3 [online], [dostępny: <http://nsz.com.pl/index.php/wspomnienia/190-wspomnienia-ryszarda-mikoajczuka>], [dostęp: 15.01.2016].

NSZ. Dopiero 15 kwietnia 1947 r. oficjalnie został żołnierzem Narodowych Sił Zbrojnych Pogotowia Akcji Specjalnej Oddziału Partyzanckiego w Jacie Łukowskiej. Nie miał nawet 18 lat, gdy wraz z oddziałem wyruszył w las. Pan Wierzchucki był strzelcem, a dokładnie celowniczym. Najpierw miał pseudonim „Błyskawica”, później – z powodu zagrożenia wykrycia oddziałów – zmienił na „Sęk”.

30 września 1947 r. oddział został rozwiązany. Do 24 grudnia pan Stanisław nie miał żadnych dokumentów, jednakże dzięki spotkaniu przypadkiem kurierowi nabył wszystkie potrzebne papiery pod fałszywym nazwiskiem. Właśnie tak stał się Stanisławem Jasińskim. Po tych wszystkich zdarzeniach podejmował się wielu prac, a także kształcił się w różnych szkołach, co nie było dla niego problemem, ponieważ miał fałszywe dane. Ujawnił się dopiero 16 października 1956 r., a 11 dni później wziął ślub. Pan Wierzchucki pracował do lat emerytalnych i tu właśnie pojawiły się pewne problemy, ponieważ nie chciano przyznać mu emerytury. Było to spowodowane tym, że przez ponad cztery lata pracował pod nazwiskiem Jasiński. Po długim czasie oczekiwania w końcu przyznano mu należną emeryturę. 20 maja 2013 r. pan Stanisław awansował na stopień porucznika. Chcąc dowiedzieć się czegoś więcej o życiu i przeżyciach pana Stanisława, przeprowadziłam z nim wywiad, by zobaczyć to wszystko z trochę innej perspektywy – młodego człowieka, żyjącego już w innych czasach. Zachowane zostały celowo autentyczne zwroty i wypowiedzi mojego bohatera.

Spotykam się z nim w jego mieszkaniu. Serdecznie zaprasza do środka, częstuje herbatą, chętnie opowiada, pokazuje dokumenty, pamiątki, bo – jak dodaje: *Trzeba młodzieży o tym przypominać, warto mówić o takich ludziach. Ja sam nie czuję się bohaterem, robiłem wówczas to, co należało! Ale znam wielu, którzy na to miano zasłużyli, choć większość niestety już z nich nie żyje.*



Stanisław Wierzchucki,
w: NSZ na Podlasiu
w walce z systemem
komunistycznym
w latach 1944–1952

Gdzie pan mieszkał, gdy zaczęła się wojna?

W tym okresie mieszkałem w miejscowości Łosice na Podlasiu, gdzie spędziłem krótki, młody czas, to znaczy do momentu ukończenia czwartej klasy, ponie-

waż wyjechałem jeszcze za okupacji do Siedlec. Znalazłem tam dwuletnią szkołę zawodową, do której uczęszczałem do 1944 r., czyli do wyzwolenia Polski. Po wyzwoleniu szkoła zmieniła się na gimnazjum mechaniczne, do którego automatycznie się przeniósłem i uczyłem się w niej do 1947 r.

Czy może pan opowiedzieć o tym, co działo się i jakie uczucia towarzyszyły panu w trakcie całej historii partyzanckiej?

Byłem w czwartej klasie gimnazjum mechanicznego w Siedlcach. 15 kwietnia 1947 r. o godzinie 20.00 wyruszyliśmy do lasu, nas 10 z mechanicznego, sześciu z ogólnokształcącego i czterech jeszcze z innego. Broń przygotowana na cmentarzu i wymarsz do lasu łukowskiego. Tam zaczęła się nasza historia partyzancka. To był okres bardzo ciężki. Na szczęście mieliśmy tam dużo kontaktów leśniczych, koledzy mieli znajomych gajowych. Początkowo było chłodno, ponieważ był kwiecień, więc nocowaliśmy po gospodarzach. Jednak gdy w maju było już coraz cieplej, zrobiliśmy sobie tam ziemiankę z tego względu, że są tam bardzo duże lasy i miejsca, w których ludzka noga jeszcze nie była. Byliśmy tam przez trzy/cztery miesiące. Chodziliśmy na różnego rodzaju wypad, ale dopóki nas nie odkryto, to właśnie tam przebywaliśmy. Natomiast później non stop zmienialiśmy swoje miejsce pobytu o 30–40 km. Ciężkie kilometry pokonywaliśmy w nocy, na plecach niosąc amunicję ważącą 20 kg. Zmienialiśmy swoje miejsce ze względu na bezpieczeństwo, nie chcieliśmy, żeby nas wyczuli. Największym naszym problemem był brak wody i żywności. Było nas prawie 20 osób i zdobycie oraz przygotowanie jedzenia w tamtym czasie i do tego w lesie to była po prostu makabra. Dobrze, że mieliśmy po wsiach swoich kurierów, którzy pomagali nam to załatwiać. Można śmiało powiedzieć, że dzięki gajowym, leśniczym i gospodarzom przeżyliśmy tamten okres do września. Pozwolę sobie jeszcze przeczytać krótki fragment wspomnień, który idealnie ukazuje nasze uczucia w ten czas nam towarzyszących: *Każdy z nas był po uszy*



Broszura zawierająca informacje o Stanisławie Wierzychuckim i jego oddziale

*zakochany w jedynej, zdawało mu się na świecie, dziewczynie, zakochany pierwszą, wielką miłością bez granic. Wyruszając w pole, każdy oprócz wałówki na drogę, zabrał ze sobą jakże różne doświadczenia, przyzwyczajenia, fantazje i kompleksy. Tylko miłość, najczęściej wstydliwie, głęboko w sercu skrywana, miłość do ukochanej i **miłość do Ojczyzny** była niezmienna i prawdopodobnie jednakowo wielka u wszystkich⁴.*

Dlaczego poszliście do lasu, dlaczego chcieliście walczyć z systemem komunistycznym?

Poszliśmy do lasu ponieważ nie zgadzaliśmy się na to wszystko. Zaczęli nawet rozstrzeliwać naszych chłopaków. 30 czerwca 1946 r. zostało przeprowadzone sfałszowane referendum ludowe. Było głosowanie trzy razy tak/trzy razy nie. My roznosiliśmy ulotki z „trzy razy nie”, niestety przyłapali nas na tym i zaczęli nam robić „koło pióra”. Nam wszystkim to się nie podobało i nie odpowiadało. Widzieliśmy, że tu rządzą Rosjanie, a nie Polacy i właśnie dlatego ruszyliśmy w las.

Jak rodzina zareagowała, kiedy pan poszedł do partyzantki?

Moja rodzina nic o tym nie wiedziała, napisałem do nich tylko list, że żyję. W tamtym czasie mieszkalem na stacji u kobiety, która miała dwóch młodszych ode mnie synów, mieli po około 10 lat. Często zostawałem z nimi i się nimi opiekowałem. Dzięki temu mogłem tam mieszkać. Właśnie tego dnia, kiedy poszedłem do lasu, nie wróciłem ze szkoły. Po dłuższej mej nieobecności zaczęli się niepokoić. Gdzieś tam przypadkowo usłyszeli o partyzantce. Dziesięcioletnie chłopaki ze strachu o mnie ruszyli w las i szukali mnie przez tydzień czasu.

Miał pan kontakt w tym czasie z rodziną?

Niestety nie, ponieważ nie chciałem im zaszkodzić. Przez 10 lat nie miałem z nimi kontaktu, bo było bardzo niebezpiecznie.

⁴ [online], [dostępny: <http://nsz.com.pl/index.php/wspomnienia/190-wspomnienia-ryszarda-mikoajczuka>], [dostęp: 15.01.2016]; A. Marski, *Leśne wspomnienia* (broszura bez roku i miejsca wydania).

Kiedy i dokładnie dlaczego oddziały zostały rozwiązane?

30 września 1947 r. musieliśmy rozwiązać nasz oddział, ponieważ dowódca wraz z komendantem pewnego dnia pojechali załatwić dokumenty i niestety już nie wrócili. Podzieliliśmy się wszyscy w grupki po trzech i każdy poszedł w swoją stronę, gdyż ciężko było utrzymać takie ilości ludzi w lesie. Największym problemem było to, że nie mogliśmy nic zrobić, ponieważ nie mieliśmy dokumentów⁵.

Jak pan w takim razie uzyskał nowe dokumenty ze zmienionym nazwiskiem?

24 grudnia przypadkiem wraz z dwójką moich kolegów spotkaliśmy kuriera – znajomego, z którym nie widzieliśmy się już przeszło 20 lat. W trakcie krótkiej rozmowy wspomniałem o braku wszelkich dokumentów i rozwiązaniu oddziału, na co kolega odparł: *Ja wam dokumenty załatwię, czyli blankiety, dowody tymczasowe, dowody z pieczętką i zaświadczenie wojskowe. Tylko musicie wpaść w nocy do gminy, wybić okno i wszystko porozrzucić, żeby wyglądało na kradzież,*



Świadectwo dojrzałości na zmienione nazwisko „Jasiński”



5 M. Brechta, dz. cyt., s. 348.

ponieważ są to papiery tajne. Tak też więc zrobiliśmy. Nikt z nas nie wiedział, jakie nazwisko nam przypadnie. W ten oto właśnie sposób stałem się Stanisławem Jasińskim. Przypuszczam, że dzięki temu, że nikt nie wiedział, jak naprawdę się nazywam, przeżyłem... Resztę kolegów szybko połapali i wywieźli do Wroniek. Zostały wykonane cztery kary śmierci.

Kiedy się pan ujawnił i jakie były dalsze tego skutki?

W 1956 r., kiedy rozwiązali Urząd Bezpieczeństwa [Publicznego – D.W.] było bardzo duże zamieszanie. Postanowiłem to wykorzystać. W ten czas zwierzyłem się swojej przyszłej żonie i oboje zaczęliśmy się zastanawiać, co zrobić. Chcieliśmy wziąć ślub na nazwisko Jasiński, ale niestety nie miałem metryki. Więc musiałem to w końcu zgłosić. Dopiero 16 października 1956 r. poszedłem przekazać informacje prokuraturze w Opatowie. Otrzymałem osobny pokój, dwie kartki i długopis. Prokurator powiedział mi tylko, że mam pisać, i nawet do mnie nie zajrzał. Odnotowałem wszystko i oddałem kartkę. Prokurator przeczytał po łebkach, po czym napisał krótkie zaświadczenie i zwolnił mnie do domu. Wtedy mogłem już zrobić duży krok naprzód. Jak już wszystko załatwiłem, to wraz z moją przyszłą żoną pojechałem do Łosic wyciągnąć metrykę, żeby wziąć ślub. W ten czas pierwszy raz od dawna spotkałem się z rodziną. Po powrocie poprosiłem księdza Rutkowskiego, także z AK, o udzielenie nam ślubu, najlepiej po cichu, ponieważ się ujawniłem. Wyjaśniłem dokładnie, o co chodziło i na czym to polegało. Ksiądz wziął wtedy moją metrykę, pojechał do Sandomierza do biskupa, załatwił mi zaświadczenie i powiedział, że mam jechać do Częstochowy, tam wziąć ślub i właśnie tak się stało. Pobraliśmy się 27 października 1956 r., czyli 11 dni po moim ujawnieniu. Po wszystkim wróciliśmy do codziennego życia, nikt nic nie wiedział o moim ślubie i ujawnieniu. Pracowałem w dalszym ciągu pod nazwiskiem Jasiński. Problemy zaczęły się dopiero, gdy chcieliśmy wziąć ślub cywilny. Wtedy trzeba było wszystko dokładnie zgłosić, aby zmienić dane we wszystkich dokumentach oraz powrócić do dawnego nazwiska. Kłopotów była masa. W pracy zaczęli mi trochę robić pod górkę, zdjęli mnie z etatu kierownika na pracownika fizycznego. Dopiero po dwóch latach, gdy akurat byłem u siostry, dostałem telefon od żony siostry z informacją, że moi koledzy z partyzantki przyszli i chcieli się ze mną spotkać. Tak naprawdę okazało się, że to wcale nie

byli moi znajomi, tylko trzech „ubeków”. Krążyli już trzeci dzień po moim zakładzie pracy. Wróciłem normalnie do domu, bo przecież byłem już ujawniony. Na drugi dzień poszedłem do pracy, nie minęło 10 minut i dostałem telefon od Komendanta Straży Przemysłowej z prośbą o zgłoszenie się do niego. Od razu tam poszedłem, wyjaśnili mi, o co chodzi, i zabrali do Urzędu Bezpieczeństwa, który znajdował się w Skarżysku. Czekałem tam dosyć długo, aż w końcu pojechaliśmy pociągiem do Warszawy. Tam wsadzili mnie do więźniarki i zabrali do wojewódzkiej komendy, gdzie zaprowadzili do celi. Następnego dnia zabrali mnie do sądu rejonowego. Prokurator zaczął wypytywać o miejsce zamieszkania i pracę. Okazało się, że jego matka pracowała tam, gdzie ja i wypisywała u mnie karty. Powiedział, że ma cztery tomy mojej działalności, ale bez sensu jest je analizować. Ustalił mi datę rozprawy sądowej na 30 kwietnia i dał tylko zaświadczenie. Następnego dnia, gdy wróciłem do pracy, wszyscy byli w szoku, zaczęli wyzywać od bandytów itp. Od razu zostałem wezwany do działu kadr i wypytywany, o co chodziło. Pokazałem tylko kartkę, którą na koniec dał mi prokurator i nic więcej nie powiedziałem. Niestety przez to wszystko byłem gnębiony. Często nachodzili mnie oraz moją rodzinę. Musiałem prawie codziennie wysłuchiwać wyzwisk i kłamstw na swój temat.

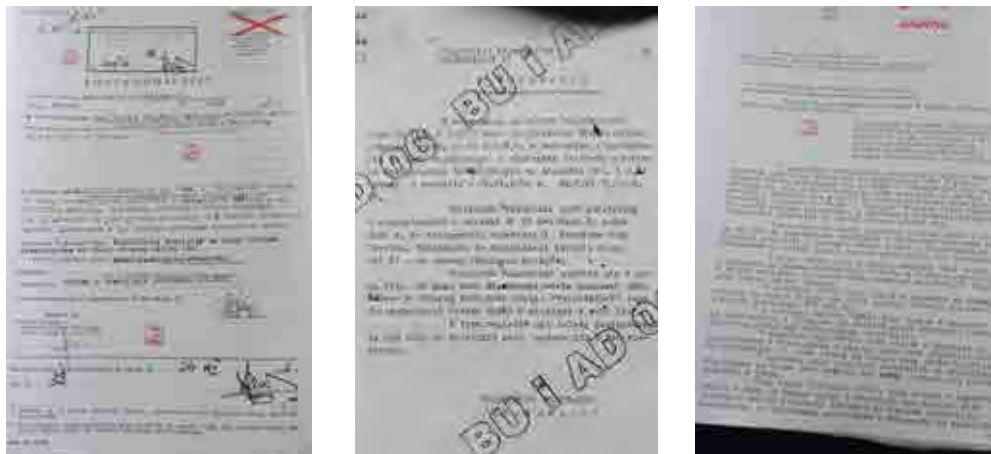
Nikt pana wcześniej nie pytał o przeszłość?

Nie, ponieważ nikt nie wiedział, że nazywałem się inaczej, podałem nowe dane i byłem tak, jakbym już był zupełnie inną osobą. Jak się okazało później, zbierano na mnie dokumenty. Kopię tej teczki otrzymałem z Instytutu Pamięci Narodowej⁶.

Ilu jeszcze kolegów z oddziału, tak jak pan, zostało bez wyroku?

Tylko ja wraz z moim kolegą Ryszardem Mikołajczukiem zdołaliśmy się przed tym uchronić. Ja, jak już opowiadałem, ukrywałem się pod innym nazwiskiem. Ryszard wymyślił o wiele trudniejszy sposób uniknięcia wyroku. Udawał w więzieniu przez cztery lata wariata. Po pewnym czasie w końcu napisali list do jego

6 Dokumenty Stanisława Wierchuckiego, WK – 109/08, IPN Bydgoszcz, sygn. 0207/7757, t. I; IPN Bydgoszcz, WK – 109/08, 383/463.



Fragmenty teczki personalnej z gromadzonymi informacjami Służby Bezpieczeństwa na temat Stanisława Wierzchuckiego i jego działalności

ojca, aby wraz z bratem odebrali stamtąd Ryśka. Byłem w szoku, gdy się o tym dowiedziałem. Ile musiał się tam nacierpieć, a i tak się nie poddał i walczył do końca. Reszta niestety została wyłapaną.

Czy spotkał pan kiedyś swoich dawnych kolegów?

Tak, pierwszego, tego, który też uchronił się od wyroku, spotkałem przypadkowo po 30 latach. Jechałem pociągiem z Warszawy do Otwocka. Staliśmy obok siebie, naprzeciwko drzwi i nagle czuję, że ktoś blisko mnie się kreci i wręcz się przytula. Nagle patrzę, że ten pozornie nieznajomy przybliży się do mnie i lekko zawstydzony pyta: *Proszę pana, czy pan to nie jest przypadkiem Wierzchucki?* Usłyszawszy to, byłem w szoku, z wyglądu go nie poznałem, a gdy usłyszałem jego głos, od razu wiedziałem, z kim rozmawiam i odparłem z uśmiechem: *Tak, a czy pan przypadkiem nie jest Mikołajczuk?* Na to pytanie uzyskałem pełną radości odpowiedź: *Tak, tak, no cześć, cześć! Jak dobrze cię widzieć!* Oboje bardzo się ucieszyliśmy z tego względu, że nie widzieliśmy się tyle lat.

Czy na tym zakończył się wasz kontakt?

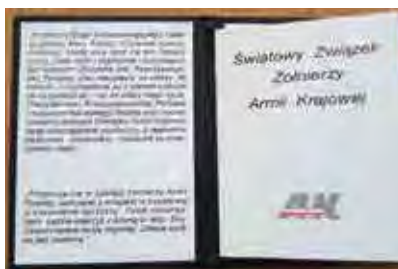
Nie, no oczywiście, że nie. Od razu wymieniliśmy się numerami i umówiliśmy się na spotkanie. Musieliśmy nadrobić tyle czasu rozłąki. Do dnia dzisiejszego mamy dobry kontakt i staramy się widywać jak najczęściej.



Potwierdzenie nadania Krzyża Walki o Niepodległość



Legitymacja potwierdzająca członkostwo w NSZ



Legitymacja członkowska Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej

Legitymacja członkowska
Korpusu Weteranów Walk
o Niepodległość RPLegitymacja potwierdzająca
nadanie Krzyża Narodowego Czynu
Zbrojnego

Od kiedy mieszka pan w Grudziądzu?

Od przeszło 10 lat, zameldowaliśmy się tutaj w 2004 lub 2005 r. Do Grudziądza ściągnęły mnie dzieci. Chciały mieć nas blisko siebie i widywać się częściej niż raz, więc ściągnęły nas tutaj do ich starego mieszkania.

Jak pan się odnajduje w tutejszym środowisku kombatantów?

Czuję się tu bardzo dobrze. Wszyscy ciepło mnie przyjęli. Dużo ze sobą rozmawiamy, nawet okazało się, że wcześniej jeden z moich kolegów także tutaj był. Naprawdę się z nimi zaprzyjaźniłem. Wciągnęli mnie w ten wir pracy i staram się jak najwięcej działać. Dopóki mam trochę zdrowia, sił i chęci, to czemu nie? Chętnie uczestniczę wraz z innymi kolegami – kombatantami w uroczystościach patriotycznych.

Co by pan chciał powiedzieć dzisiejszej młodzieży?

Powiedziałbym, że walczyłem dla nich, żeby mogli się uczyć języków, wyjeżdżać, żeby mogli mieć po prostu wolność. Przecież my byliśmy chłopcami po paręnaście lat, baliśmy się, ale jednak dla was wszystkich walczyliśmy i nie poddawaliśmy się. Gdybym miał teraz to wszystko powtórzyć i iść do partyzantki, nie wahałbym się nawet chwili.

Dziękuję bardzo za rozmowę i podzielenie się ze mną kawałkiem historii własnej, która była historią Polski.

Ja również dziękuję. Bądźcie dobrymi Polakami i życzę waszemu Klubowi dobrej działalności.

Obecna działalność

Pan Stanisław swojej działalności nie zakończył z dniem rozwiązania jego oddziału. Porucznik „Sęk” nadal tworzy historię. Przez cały czas próbuje uświadomić młodzieży i nie tylko, co tak naprawdę działo się w tamtym czasie. Jest naczynym świadkiem i do tego uczestnikiem działań tamtego okresu. Spotyka się z kombatantami z regionu. Należy do Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej oddział Grudziądz. Uczestniczy w wydarzeniach patriotycznych Grudziądza



Uroczystość odsłonięcia tablicy poświęconej Janowi Sikorskiemu „Wilkowi”, Lipinki, 20.06.2013



Święto Niepodległości, Grudziądz, 11.11.2015 r.



Kościół pw. Niepokalanego Serca Najświętszej Maryi Panny, uroczystość odsłonięcia i poświęcenia tablicy upamiętniającej płk. Ryszarda Kuklińskiego, Grudziądz, 13.12.2015 r.



Uroczystość inauguracji Klubu Historycznego im. Armii Krajowej w Gimnazjum nr 1 w Łasinie, 10.11.2015 r. (Kronika Klubu Historycznego)



Wręczenie odznaki Klubu Historycznego (fot. Dominika Wilmowicz)

i regionu. Bardzo często zapraszany jest do szkół, spotyka się z uczniami, by kształtować wśród młodych ludzi empatię do tamtych ludzi i czasów. Doświadczenia pana Stanisława, jako żywa lekcja historii, pozwalają na głębsze poznanie historii naszego narodu, zacieśniają międzypokoleniowe więzi i pozwalają ocalić od zapomnienia niezwykle ludzkie losy. Widać, że pan Stanisław robi to z wielką przyjemnością, ponieważ zawsze miło wypowiada się o spotkaniach z młodzieżą. Cieszy się tym, że może dzielić się swoimi uczuciami i przekazywać innym pewnego rodzaju wiedzę. Pan Stanisław rzadko odmawia zaproszenia na jakąkolwiek uroczystość związaną z historią – czy to z AK, czy też z Żołnierzami Wyklętymi, dlatego że sama możliwość uczestniczenia sprawia mu wielką radość. Dlatego też gdy powstał Klub Historyczny w Gimnazjum nr 1 w Łasinie, którego jestem wiceprezesem, i zaprosił Stanisława Wierchuckiego na oficjalne otwarcie, nie wahał się on ani chwili, aby przybyć do naszej szkoły i podzielić się swoimi refleksjami. I nie mógł doczekać się tego dnia – jak wspomina. Było to dla społeczności naszej całej szkoły wyróżnienie, ponieważ mogliśmy usłyszeć tyle



Stanisław Wierzchucki z autorką pracy (fot. Dominika Wilmowicz)

mądrych słów od bohatera, który tyle przeżył. Jeszcze bardziej ucieszyło mnie to, gdy się dowiedziałam, że pan Stanisław zgodził się na przeprowadzenie wywiadu umieszczonego wyżej. Było to dla mnie, osoby młodej, wielkie przeżycie, ponieważ dzięki panu Wierzchuckiemu mogłam przenieść się w tamten trudny czas. Cała opowieść wywarła na mnie duże wrażenie i pokazała, co robili dla nas wtedy zwykli ludzie, którzy teraz stali się naszymi bohaterami. Również dzisiaj, spotykając się z młodzieżą i uczestnicząc w wydarzeniach patriotycznych, dają świadectwo tego, o co walczyli.

Walka zbrojna z okupantem sowieckim po kapitulacji Niemiec nie była aż tak bezsensowna, jak to próbują naświetlić niektórzy historycy i dziennikarze. Gdyby nie było partyzantki i ruchu oporu, najprawdopodobniej nie byłoby również polskiego Października, Poznania, Gdańska i nie powstałaby Solidarność w 1980 roku – pisał Ryszard Mikołajczuk o znaczeniu działań żołnierzy NSZ, wśród których był Stanisław Wierzchucki⁷.

7 [online], [dostępny: <http://nsz.com.pl/index.php/wspomnienia/190-wspomnienia-ryszarda-mikoajczuka>]

Źródła informacji:

1. Wspomnienia (relacja ustna) Stanisława Wierzchuckiego
2. IPN Bydgoszcz, Dokumenty Stanisława Wierzchuckiego, WK – 109/08, 0207/7757, t. I; IPN Bydgoszcz, WK – 109/08, 383/463

Literatura:

1. M. Brechta, *Mazowsze i Podlasie w ogniu 1944–1956. Między Bolszewią a Niemcami*, Warszawa 2008
2. *NSZ na Podlasiu w walce z systemem komunistycznym w latach 1944–1952*, red. M. Brechta, L. Żebrowski, t. II, Siedlce 1998
3. A. Marski, *Leśne wspomnienia* (broszura bez roku i miejsca wydania)

Netografia:

<http://nusz.com.pl/index.php/wspomnienia/190-wspomnienia-ryszarda-mi-koajczuka>

<http://www.dws-xip.pl/PW/formacje/pw2053.html>

<http://www.zolnierzewykleci.pl/?tag=zolnierze-wykleci>

<http://zolnierzewykleci.polskieradio.pl/>

<http://nusz.com.pl/index.php/artykuly-i-opracowania/35-nusz-a-ydzi>

[https://pl.wikipedia.org/wiki/Stronnictwo_Narodowe_\(1928%E2%80931947\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Stronnictwo_Narodowe_(1928%E2%80931947))

https://pl.wikipedia.org/wiki/Narodowa_Organizacja_Wojskowa

https://pl.wikipedia.org/wiki/Narodowe_Si%C5%82y_Zbrojne

https://pl.wikipedia.org/wiki/Armia_Krajowa

https://pl.wikipedia.org/wiki/Referendum_ludowe

https://pl.wikipedia.org/wiki/Powstanie_warszawskie

<http://archiwum2000.tripod.com/497/lirycz.html> (pobr. 20.12.2015).

Fotografie:

1. Ze zbiorów Stanisława Wierzchuckiego
2. Własne autora pracy
3. Kronika Klubu Historycznego im. Armii Krajowej przy Gimnazjum nr 1 w Łasinie

3. <http://splipinki.pl/?art=120&id=234&s=18>
4. <http://diecezja-torun.pl/Artykuly/View/930/pamieci-plk-kuklinskiego>
5. <http://grudziadz.naszemiasto.pl/artykul/zdjecia/swieto-niepodleglosci-w-grudziadzu-zdjecia,3568156,gal,17923540,t,id,tm,zid.html>

III miejsce

kategoria: szkoły gimnazjalne

Weronika Dyl

opiekun: Kamila Niciejewska
Zespół Szkół im. Jana Pawła II w Łochowie

Dziwny jest ten świat

*Dziwny jest ten świat,
gdzie jeszcze wciąż
mieści się wiele zła.
I dziwne jest to,
że od tylu lat
człowiekiem gardzi człowiek*

Czesław Niemen

Od kilku lat wraz z rodzicami zwiedzamy Europę. W ubiegłym roku na naszej mapie podróży pojawiła się Rosja i Ukraina. Na początku naszej wyprawy nie myślałam, że uda mi się przeżyć tak niesamowitą historię. W tym roku jednym z celów naszej podróży był Polski Cmentarz Wojenny w Miednoje.

Zaopatrzona w znicze, przechodziłam obok postawionych w szeregu grobów policjantów, funkcjonariuszy służby granicznej, wywiadu, sędziów i urzędników państwowych, którzy w 1940 r. zostali zamordowani z zimną krwią, bezwzględnym strzałem w tył głowy. Przechodząc wąską ścieżką, prawie nie zauważyłam starszego pana stojącego nad jednym z malutkich pomników. W ręce trzymał duży, brązowy album. Zainteresował mnie swoją osobą od razu, gdy go zobaczyłam.

Było to dla mnie dziwne, że w południe w środku tygodnia mogę tutaj kogoś spotkać. Podeszłam bliżej, stawiając małą lampkę dla upamiętnienia osoby, której nawet nie znałam. Chciałam już odchodzić, gdy tajemniczy pan zainicjował rozmowę:

– To miło z twojej strony – powiedział. – Cieszę się, że tak młode osoby jak ty odwiedzają ten cmentarz.

– Właściwie to jestem tutaj pierwszy raz. Jest to jeden z punktów mojej tegorocznej wakacyjnej wyprawy. Interesuję się II wojną światową – odparłam.

– Znał pan osobę, która tutaj leży?

– Tak, to grób Józefa Deręgowskiego, mojego ojca – odpowiedział i posmutniał.

– Przepraszam, nie wiedziałam. Może ja już pójdę. Nie chciałabym panu przeszkadzać. – Zakłopotana nie do końca wiedziałam, co mam teraz zrobić.



Fotografia przedstawiająca
Józefa Deręgowskiego
w czasie służby w policji

– Nic się nie stało. Jestem tutaj nie po raz pierwszy, ale za każdym razem jest mi tak samo smutno... Skoro interesujesz się II wojną światową, to może zostaniesz i trochę ci o niej opowiem? – zaproponował pan, a na jego twarzy zagościł ledwo widoczny uśmiech.

– To miło z pana strony! Tam jest ławeczka. Może usiądziemy? – powiedziałam bardzo podekscytowana! Niecodziennie ma się okazję na rozmowę z synem osoby, która zginęła w wyniku zbrodni katyńskiej. – Proszę pana, czy ja na pewno nie przeszkadzam? – zapytałam trochę zakłopotana.

– Oczywiście, że nie. Panienka pozwoli, że się przedstawię. Nazywam się Witold Deręgowski.

– Weronika, miło mi. Dziękuję, że chce mi pan poświęcić swój czas.

– To dla mnie przyjemność... – Tu pan Witold jakby się zamyślił. – Ważne, aby młode pokolenia знаły tę historię. Wszystko zaczęło się podczas I wojny światowej – kontynuował mój rozmówca. Mówił jakby do siebie. Jego wzrok utkwiony był w martwym punkcie. – Mój tata został wzięty do niewoli we Francji. Po zakończeniu wojny nie wrócił jednak w rodzinne strony. Powrócił dopiero w 1919 r. w szeregach „Błękitnej Armii Ochotniczej”¹, powołanej przez gen. Józefa Hallera. W 1920 r. pod jego dowództwem stanął do walki w wojnie polsko-bolszewickiej, a po jej zakończeniu został skierowany do służby w policji. Szkolenie odbywał w Szkole Policyjnej w Warszawie. Pełnił służbę w Pruszczu Pomorskim² i w Lubiewie³, gdzie poznał swoją przyszłą żonę, a moją mamę – Stanisławę. Najpierw na świat przyszła moja starsza siostra, Irena, a w 1934 r. ja. – Tu mój rozmówca zatrzymał się na chwilę. Wspomnienie o siostrze wywołało na jego twarzy uśmiech. Widać było, że darzy ją wielkim uczuciem. – Przed rozpoczęciem wojny mieszkaliśmy razem z rodzicami i siostrą w Świekatowie⁴. Miałem zaledwie pięć lat, gdy zaczęła się wojna. Pamiętam jednak, jak w nocy ewaku-



Fotografia ojca w mundurze
(u góry na schodach po lewej stronie),
album autorstwa pana Witolda Deręgowskiego

1 Błękitna Armia, zwana też Armią Polską we Francji lub Armią Hallera – polska ochotnicza formacja wojskowa powstała w czasie I wojny światowej w 1917 r., powołana dekretem prezydenta Francji Raymonda Poincarégo 4 czerwca 1917 r. z inicjatywy Romana Dmowskiego oraz kierowanego przez niego Komitetu Narodowego Polskiego.

2 Miejscowość w województwie kujawsko-pomorskim, leżąca nieopodal Chełmna nad Wisłą.

3 Miejscowość w województwie kujawsko-pomorskim, leżąca nieopodal Tucholi, nad Wisłą.

4 Miejscowość w województwie kujawsko-pomorskim, leżąca nieopodal Świecia nad Wisłą.



owali całą moją rodzinę w bezpieczne miejsce do Chełmna⁵. Mama namawiała ojca, by przebrał się za cywila i nie opuszczał rodziny. Tata był nieugięty. Nocą, w swoim policyjnym mundurze, pożegnał się z nami i wyszedł, udając się z armią polską na front wschodni. To był ostatni raz, kiedy go widzieliśmy – powiedział ze smutkiem.

– Był pan małym chłopcem. To musiało być traumatyczne przeżycie.

– Z racji mojego młodego wieku nie byłem świadomy tego, co się działo. Przerażał mnie jednak smutek matki, bałem się jej strachem... Cały czas myśleliśmy,

że ojciec wróci. Mama wierzyła, że jednak żyje. Ile razy ktoś zapukał do drzwi, ona miała nadzieję, że to właśnie on. Cierpliwie na niego czekaliśmy. – Tutaj mój rozmówca zamyślił się. – Wiąże się z tym jednak pewna historia. Wiem, że każdy policjant, który poszedł na wojnę, zostawiając swoją rodzinę, trzymał w kieszeniach klucze, bo wierzył, że któregoś dnia wróci o północy do domu, nie budząc nikogo, tak, jak to miał w zwyczaju robić po skończonej służbie. Klucze były symbolem towarzyszącej im nadziei. Można powiedzieć, że oni również czekali... Czekali na swój powrót.

– A co działo się z pana rodziną podczas wojny?

– Nasze życie, jak zresztą wszystkich Polaków, było bardzo ciężkie. W Chełmnie matka podjęła decyzję dalszej ucieczki, tym razem na południe Polski, aż do Lublina w obawie przed represjami ze strony okupanta niemieckiego. Pewnego dnia doszło to tragedii. W wyniku działań wojennych spalił się nam dom. Musieliśmy przeprowadzić się do brata mamy, Jana Iwickiego, do Lubiewa⁶. Przez cały czas matka wzywana była przez Gestapo na długie i męczące przesłu-

⁵ Miasto w województwie kujawsko-pomorskim, leżące nad Wisłą.

⁶ Miejscowość w województwie kujawsko-pomorskim, leżąca nieopodal Tucholi, nad Wisłą.

446

Тайный рапорт osób skazanych na śmierć przez rozstrzelanie

ИЖОЛ СССР № 016/2

Do Waczelnika Ostaszkowskiego Obozu Jeńców Wojennych
majora тов. Борисовича
миста: Остасzków

МАЛОРУ-ТОВ. ОРМОНДИ-ГОР. ОСТАСКОВ-

По стрелянию письма неувольнение склеров

de miasta Kalinin do dyspozycji Waczelnika WWO obwod Kalinińskiego niżej wymienionych jeńców.

1. V претрzymывающих в Остасzkówском оbozie:

2. wykaz jeńców od 1 do 10.	
3. ВУЛАСИК Эвста Ивлович, 1890г.р.	3334
4. ВАРЛЕКОВИЧ Мария Макаровича, 1885г.р.	3793
5. К О Т Валент Ивановича, 1900г.р.	1448
6. ВАРЛЕКОВИЧ Валент Ивановича, 1896г.р.	1015
7. КИТЕР Тоо-иля Эв-овича, 1897г.р.	4503
8. КОПЕЦ Эвста Эв-овича, 1899г.р.	550
9. БЕХОВНИКОВ Г. Болеслава Эв-овича, 1906г.р.	4279
10. СКОПЕНКА Якуса Якубовича, 1882г.р.	2176

Kserokopia tajnego raportu osób skazanych na śmierć przez rozstrzelanie, wykaz jeńców od 1 do 10, strona 1

ИЖОЛ СССР № 016/2

Тайный рапорт osób skazanych на смерть через розстріляние

МАЛОРУ-ТОВ. ОРМОНДИ-ГОР. ОСТАСКОВ-

По стрелянию письма неувольнение склеров

de miasta Kalinin do dyspozycji Waczelnika WWO obwod Kalinińskiego niżej wymienionych jeńców.

1. V претрzymывающих в Остасzkówском оbozie:

2. wykaz jeńców od 1 do 10.	
3. ВУЛАСИК Эвста Ивлович, 1890г.р.	3334
4. ВАРЛЕКОВИЧ Мария Макаровича, 1885г.р.	3793
5. К О Т Валент Ивановича, 1900г.р.	1448
6. ВАРЛЕКОВИЧ Валент Ивановича, 1896г.р.	1015
7. КИТЕР Тоо-иля Эв-овича, 1897г.р.	4503
8. КОПЕЦ Эвста Эв-овича, 1899г.р.	550
9. БЕХОВНИКОВ Г. Болеслава Эв-овича, 1906г.р.	4279
10. СКОПЕНКА Якуса Якубовича, 1882г.р.	2176

Kserokopia tajnego raportu osób skazanych na śmierć przez rozstrzelanie, wykaz jeńców od 89 do 95, ostatnia strona

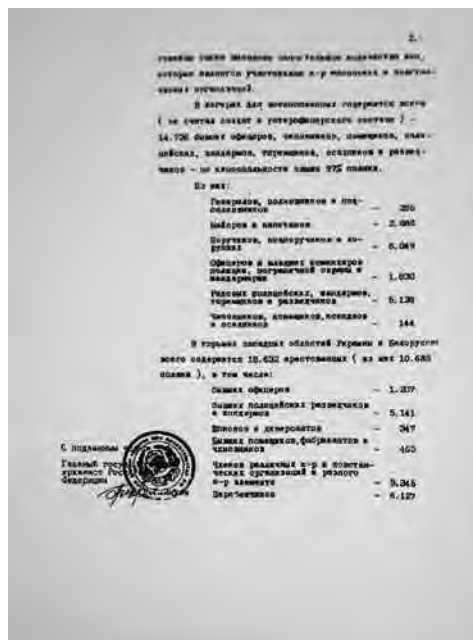
chania. Przesłuchujący ją Niemcy poszukiwali mojego taty za walkę i inwigilację członków V Kolumny niemieckiej w gminie Świekatowo. Mama, by zdobyć środki na utrzymanie rodziny, zatrudniała się u gospodarzy niemieckich i polskich do różnych prac polowych. Oczywiście przez cały czas czekaliśmy na jakiś znak. Znak od ojca, że żyje. Nie przychodziły jednak żadne listy, wiadomości. Pozostało nam tylko cierpliwie czekać w nadziei, że któregoś dnia usłyszymy dzwonek do drzwi, a w nich zobaczymy naszego tatę. W 1945 r., w trakcie działań wojennych całkowitemu spaleni uległ dom mojego wuja wraz z niewielkim dobytkiem. Po wyzwoleniu Lubiewa mama podjęła decyzję, aby przeprowadzić się do jej sióstr, które mieszkały w Bydgoszczy. Zatrzymaliśmy się tam na stałe.

– A co stało się z pana ojcem? – zadałam pytanie.

– Długo po wojnie dowiedziałem się całej prawdy. Oczywiście już wcześniej można było usłyszeć utajnione informacje na temat jego śmierci, jednak nie mając pewnych wieści, nie przestaliśmy wierzyć w jego powrót. Dużo później okazało się, że po tym, jak udał się z armią polską na wschodni front, tata



Kserokopia oryginalnych dokumentów radzieckich wydających wyrok śmierci na jeńców wojennych przebywających w obozach na terenie ZSRR



Kserokopia oryginalnych dokumentów radzieckich wydających wyrok śmierci na jeńców wojennych przebywających w obozach na terenie ZSRR, liczba osób skazanych na rozstrzelanie

– Chciałbym ci uświadomić, kto tak naprawdę za tym stał. – Po chwili milczenia usłyszałam zachrypnięty głos pana Witolda. – Głową tej operacji był nie kto inny, jak Józef Stalin. Jego pracownicy są również współwinni tej tragedii. Byli to m.in. Kalinin, Mołotow czy Mikojań. To tylko trzy osoby z ogromnej liczby obywateli Rosji odpowiedzialnych za zbrodnie katyńskie oraz wyroki śmierci na polskich urzędnikach.

– Nie czuje pan do nich urazy? – zapytałam ze łzami w oczach.

– Szczerze mówiąc nie. – Nie mogłam uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszałam.

– Jak to? Ci ludzie zrobili Polakom tyle krzywdy. Tyle rodzin dostało od nich, może nie bezpośrednio, jednak był to strzał w samo serce. Odebrali im członków rodziny, których tak bardzo kochali. Zginęli synowie, ojcowie, bracia, kuzyni... niewinni ludzie!



Kopia certyfikatu dla uhonorowania
pamięci aspiranta Policji Państwowej
– Józefa Deręgowskiego

– No bo widzisz, moje dziecko... Pogo-
dziłem się z tym. Minęło wiele lat. Cofnąć
czasu nie można, więc trzeba nauczyć się
zaakceptować to, co było i iść dalej przez
życie. Bardzo ciężko jest żyć, gdy towa-
rzyszy nam nienawiść. Bardzo trudno
jest osiągać sukcesy, gdy cały czas myśli-
my o smutnych dla nas rzeczach. Trze-
ba umieć odkreślić wszystko grubą linią
i zacząć żyć od nowa. Byłem parę razy
w Rosji. Spotykałem Rosjan, swoją drogą
bardzo mili i uczynni ludzie. Oni też dzie-
kują Bogu, że przeżyli, a przecież ilu z nich
zginęło. Wiadomo, zawsze będę pamiętał
o zbrodniarzach, którzy odebrali mi ojca.
Chciałbym, żeby każdy dowiedział się,
kim byli i ile krzywdy wszystkim wyrzą-

dzili. Ważna jest pamięć o bliskich. Istotne jest, aby o nich nie zapomnieć.

– W zasadzie to już rozumiem. Bardzo trudno jest żyć w zgodzie ze sobą, gdy
towarzyszą nam złe emocje. Czy ma pan jakieś pamiątki po tacie?

– Zostało nam jedyne zdjęcie ojca w mundurze policjanta z 1928 r., wszyst-
kie inne zostały spalone w dwóch pożarach, o których wcześniej już mówiłem.
Jedyne, co zostało mi do teraz, to posadzony przed laty katyński Dąb Pamięci⁸.

– Odwiedził pan kiedyś miejsce, w którym Rosjanie porzucili pana ojca po
rozstrzelaniu?

– Gdy znaleziono miejsce, gdzie porzucono ciała zamordowanych, wszyscy
przeżyli szok. Grób znajdował się na terenie ośrodka wypoczynkowego NKWD,
a Rosjanie w miejscach pochówku zrobili szambo. – Oczy mojego rozmówcy
były przepełnione pogardą. – Był duży problem z identyfikacją zwłok, ponieważ
wszystko zostało zalane ściekami. Tyle właśnie znaczyli dla nich ludzie.

8 Dąb Pamięci – dąb jako symbol „żywego pomnika” według zasady, że każdy posadzony Dąb Pamięci upa-
miętnia jedno nazwisko, czyli konkretną osobę, która została zamordowana na rozkaz Stalina w Katyniu,
Miednoje, Tworze lub Charkowie przez NKWD.



Polski Cmentarz Wojenny w Miednoje, źródło: Internet

– To okropne. Nie wiem, jak można być tak bezwzględny i nieczułym na ludzką krzywdę – wyznałam zgodnie z prawdą. – Zastanawia mnie jednak jeszcze jedno. Co działo się z panem po wojnie?

– Uczyłem się w Oficerskiej Szkole Wojsk Pancernych i Zmechanizowanych w Giżycku⁹, kończąc ją z wyróżnieniem. Do wojska wzięli mnie niestety pół roku przed maturą. Byłem z tego powodu bardzo zły. Podejrzewałem, że może zrobili mi na złość, ponieważ dowiedzieli się o tym, że mój ojciec był policjantem, chociaż było to mało prawdopodobne. Postanowiłem w wojsku nie pokazywać, jaką posiadam wiedzę, jednak o co by mnie nie zapytali, wiedziałem. W końcu poddałem się i zacząłem czynnie uczestniczyć we wszystkich zajęciach. Wyszło mi to na dobre, ponieważ po zakończeniu mojej służby w wojsku od razu dostałem stopień kaprała. Z uwagi na to, że byłem tam prymusem, w późniejszym czasie pracowałem w sztabie wśród oficerów. Gdy wróciłem z wojska, za cel postawiłem sobie zdanie matury. Ukończyłem Uniwersytet Ekonomiczny w Poznaniu¹⁰. Zostałem również pedagogiem, później zamieszkałem w Bydgoszczy.

– Widziałam, że wcześniej przeglądał pan jakiś album. Musi mieć dla pana ogromne znaczenie.

9 Szkoła została utworzona w 1951 r. w Giżycku. Jej zadaniem było przygotowywanie oficerów wojsk pancernych na stanowiska pomocników dowódców kompanii ds. technicznych oraz dowódców plutonów remontowych w warsztatach naprawy czołgów dywizji zmechanizowanych.

10 Państwowa szkoła wyższa z siedzibą w Poznaniu przy alei Niepodległości 10.

– Bardzo mi miło, że go zauważyłaś i dobrze, że o nim wspomniałaś. Od 1990 r. prowadzę album dotyczący życia mojego ojca. Zamieszczam w nim wszystkie informacje na temat naszej rodziny. Najróżniejsze wycinki z gazet. Dowody na śmierć ojca, zdjęcia oraz wszystko to, co mogłoby pomóc w zapamiętaniu go w przyszłości. Parę lat temu starałem się o uzyskanie pozwolenia na posadzenie dębu dla ofiar zbrodni katyńskiej i właśnie dzięki jego zawartości wydano mi na to pozwolenie.

– To niesamowita historia. Całe życie umieszczone w jednym albumie. Cieszę się, że pana tutaj spotkałam. Mam nadzieję, że historia pana ojca dotrze do jak największej liczby młodych osób, by mogli przekazywać ją dalej.

– To ja bardzo się cieszę, że mogłem ją tobie opowiedzieć. Teraz i ty wiesz, kim był policjant ze Świekatowa, Józef Deręgowski.

To było niezapomniane spotkanie. Niewątpliwie Józef Deręgowski to bohater, o którym warto pamiętać. Tuż przed służbą wojenną, jak opowiadał mój rozmówca, miał szansę zrezygnować ze służby, mógł zostać z rodziną. Wybrał jednak drogę do ocalenia kraju, która prowadziła na śmierć. Kierował się sercem napełnionym odwagą i patriotyzmem. Oddał swoje życie za wolny kraj. Rozmowa z panem Witoldem, synem poległego, dała mi szansę poznania tej historii. Cały czas żył nadzieją, że ojciec wróci. Po oficjalnym ogłoszeniu śmierci pana Józefa starał się zachować pamięć o nim. Przykładem może być chociażby jego autorski album, który zawiera najróżniejsze pamiątki, wycinki z gazet oraz kopie dokumentów dotyczących życia ojca. To właśnie ten aspirant Policji Państwowej tworzył naszą historię.

*Lecz ludzi dobrej woli jest więcej
i mocno wierzę w to,
że ten świat
nie zginie nigdy dzięki nim.
Nie! Nie! Nie!
Nadszedł już czas,
najwyższy czas,
nienawiść zniszczyć w sobie.*

Czesław Niemen

Źródła informacji:

1. Rozmowa z panem Witoldem Deręgowskim przeprowadzona w dniu 22 listopada 2015 r.

Fotografie:

1. Fotografia Józefa Deręgowskiego, źródło Internet, wyszukane w dniu 20 stycznia 2016 r.
2. Fotografia ojca w mundurze (u góry na schodach po lewej stronie), album autorstwa pana Witolda Deręgowskiego
3. Kserokopia dokumentu pośmiertnego mianowania starszego posterunkowego Policji Państwowej na aspiranta Policji Państwowej wydane przez prezydenta Bronisława Komorowskiego 5 października 2007 r.
4. Kserokopia tajnego raportu osób skazanych na śmierć przez rozstrzelanie, wykaz jeńców od 1 do 10, strona 1
5. Kserokopia tajnego raportu osób skazanych na śmierć przez rozstrzelanie, wykaz jeńców od 89 do 95, ostatnia strona
6. Kserokopia tajnego raportu osób skazanych na śmierć przez rozstrzelanie, wykaz jeńców od 49 do 69. Zaznaczona pozycja 61, to dane Józefa Deręgowskiego
7. Kserokopia oryginalnych dokumentów radzieckich wydających wyrok śmierci na jeńców wojennych przebywających w obozach na terenie ZSRR
8. Kserokopia oryginalnych dokumentów radzieckich wydających wyrok śmierci na jeńców wojennych przebywających w obozach na terenie ZSRR, liczba osób skazanych na rozstrzelanie
9. Kopia certyfikatu dla uhonorowania pamięci aspiranta Policji Państwowej – Józefa Deręgowskiego
10. Fotografia przedstawiająca Polski Cmentarz Wojenny w Miednoje, źródło Internet, wyszukane w dniu 20 stycznia 2016 r.

I miejsce

kategoria: szkoły ponadgimnazjalne

Jakub Skiba

opiekun: Grzegorz Banaś

Zespół Szkół Ogólnokształcących w Wąbrzeźnie

Liceum Ogólnokształcące im. Z. Działowskiego w Wąbrzeźnie

Polka, która prawie stała się Niemką

Wojna zabrała mi rodziców



Punktem wyjścia dla tej pracy będą wspomnienia mojej ciotki Janiny Kani (nazwisko panieńskie Chmura) i babci Genowefy Skiby. Dzięki ich niesamowitej pamięci i szacunku dla własnej przeszłości mogę teraz napisać tę pracę i przekazać historię mojej rodziny następnym pokoleniom. Okres II wojny światowej okazał się niezwykle trudny dla Janiny Chmury, w chwili jej wybuchu we wrześniu 1939 r., miała za-

ledwie cztery latka. Wydarzenia następnych lat wojny odcisnęły wyraźne piętno na jej psychice. Wojna to przede wszystkim czas kojarzony przez wielu z rozstaniem z bliskimi, serią tragedii i śmiercią. Tak było i w przypadku mojej rodziny.

Janina Chmura urodziła się w 1935 r. Wraz ze swoimi kochającymi rodzicami mieszkała w Łopatkach, miejscowości oddalonej o 6 km od



Zbiór dokumentów po ojcu Janiny Chmury

Wąbrzeźna. Jej rodzice wiedli spokojne życie, starali się żyć ze wszystkimi w zgodzie. Wybuch wojny był dla nich dużym zaskoczeniem. Nie sądzili bowiem, że ludzkość po tak krwawym doświadczeniu, jakim była I wojna światowa, będzie dążyć do kolejnego konfliktu.

1939 rok

Na wieść o wybuchu wojny rodzice Janiny Chmury zdecydowali, wspólnie ze swoją rodziną z Książek, o ucieczce. Przyjaciół mojego pradziadka zaprosił go wraz z całą rodziną do swojego domu w Lipnicy, miejscowości oddalonej o 25 km od Łopatek. Dom ten usytuowany był na uboczu, przy linii lasu. Było to idealne miejsce na przeczekanie działań wojennych. W Książkach i Łopatkach panował chaos, Polacy pakowali na wozy najbardziej niezbędne rzeczy i uciekali. Tak postąpił także i mój pradziadek. Spakował najpotrzebniejsze rzeczy na pożyczony wóz konny i wyruszył wraz z swoją rodziną do Lipnicy. Babcia miło wspomina pobyt w tym miejscu. Była to odskocznia od rzeczywistości, z dala od realiów wojny. Kilkuletnia Janina Chmura, ze względu na swój wiek, pamięta niewiele z tego epizodu¹.

¹ Relacja ustna Genowefy Skiby z dnia 10.12.2015 r.

Pradziadek, mimo że był otoczony przez rodzinę i przyjaciół, czuł się tam nie-swojo. Chciał koniecznie wracać do Książek – swojej małej ojczyzny. Tak samo postanowili rodzice mojej krewnej. Powrót nie był jednak taki łatwy, drogi bowiem przeładowane były niemieckimi transportami. Babcia wspomina także, że raz minęła ich ciężarówka z zaaresztowanymi Polakami. Możliwe, że transport ten zmierzał do piaskowni w Brudzawkach. Tego samego dnia, kiedy do swoich domów w Książkach wracali moi przodkowie, rozpoczęły się masowe aresztowania Polaków prowadzone przez SS Heimwehr Danzig². Tylko w tym dniu 48 Polaków z Książek i okolic straciło wolność i w większości także życie³.

Kiedy mój pradziadek tylko wjechał wozem na swoje podwórko, pojawiło się dwóch Niemców po cywilnemu z karabinami na ramionach. *Niczego ze sobą nie zabieraj, bo i tak ci się już nic nie przyda* – odburknął jeden z oprawców. *Przyszli z karabinami, jakby mieli jakiegoś bandytę aresztować, a nie mojego ojca* – żali się babcia. Pradziadkowi udało się jednak przeżyć i wrócić.

Okupacyjna rzeczywistość

Rodzice Janiny Chmury musieli pracować przymusowo na rzecz Niemców. Jej mama została skierowana do mleczarni, a tata do miejscowego bauera. Ciocia wspomina, że jako małe, czteroletnie dziecko musiała wstawać rano, przygotowywać sobie śniadanie i pójść do szkoły. Zazwyczaj chodziła jeszcze do swojej mamy, pracującej w mleczarni, aby ta zaplotła jej warkocze. Po przyjściu ze szkoły także sama musiała się sobą zajmować, gdyż jej mama po skończonej pracy w mleczarni musiała dodatkowo pracować dorywczo u Niemców. Natomiast ojciec musiał pracować u bauera zazwyczaj aż do wieczora. Tak wyglądała większość dni podczas okupacji niemieckiej.

Wielka ucieczka – styczeń 1945 r.

Na wieść o wkroczeniu Rosjan do Brodnicy wśród Niemców wybuchła panika. Zarządzono wielką ewakuację niemieckiej ludności cywilnej. Niemcy pakowali

2 Kronika Gminy Książki (mps w zasobach Urzędu Gminy Książki), Książki, s. 18.

3 A. Czarnecki, *Historia Gminy Książki*, Wąbrzeźno – Książki 2014, s. 92.

swój dobytek na wozy konne i uciekali na zachód, w strachu przed Rosjanami. Kilka polskich rodzin także zostało zmuszonych do ucieczki wraz z Niemcami, aby im służyć. Rodziny te miały zająć się pakowaniem dobytku, jego pilnowaniem i przede wszystkim usługiwaniem Niemcom. Zima była sroga, a mróz nie do zniesienia. Mimo to całe rodziny wraz z małymi dziećmi były zmuszane do towarzyszenia i służenia Niemcom w tej bezsensownej ucieczce. Janina Chmura wspomina, że wozów było bardzo dużo, nie było nawet widać, gdzie się kończą. Podróż była bardzo męcząca. Czasu na odpoczynek było bardzo niewiele. Spano w okolicznych domach, stodołach, oborach, a jeśli dogodnie miejsce się nie znalazło, to noce, mimo bardzo niskich temperatur, spędzano na wozach. O jedzenie także było bardzo trudno, ludzie jedli nawet korzonki roślin, gdyż nic innego nie mogli znaleźć⁴.

Rozłąka z rodzicami

Po kilku dniach tułaczki, w okolicach Tucholi (miejscowość oddalona o 95 km od Łopatek) zarządzono postój. Janina Chmura wraz ze swoją koleżanką postanowiły znaleźć i przynieść trochę wody w kance. W tym celu weszły do pobliskiego lasu. Gdy wróciły, nikogo już nie było, wszyscy odjechali przed ich powrotem. Dziewczyny znalazły się w niewyobrażalnie trudnej sytuacji. Postanowiły się jednak nie poddawać i podążać za śladami konwoju w nadziei na odnalezienie rodziców. To była wędrówka przez mróz w lichym ubraniu, rozlatujących się butach, o głodzie, o nocach rzadko spędzonych w ciepłym pomieszczeniu. W końcu cioci, jej koleżance i sześciu innym uciekinierom udało się dotrzeć pociągiem do Szczecina. Z powodu świerzbii osłabiona Janina Chmura została hospitalizowana w szpitalu w Stralsundzie. Tam od razu odwiedziła ją starsza koleżanka. Jak się później okazało, było to ich ostatnie spotkanie.

Janina Chmura dookoła słyszała tylko język niemiecki. Postanowiła nie przyznawać się, że zna jeszcze język polski, bo – jak wspomina – strasznie się bała. Po pobycie w szpitalu rozpoczął się etap domów dziecka. Najpierw Ostseebad Grall Muritz – mnóstwo dzieci w różnym wieku, wszystkie mówiły tylko po niemiec-

4 Relacja ustna Janiny Kani z dnia 5.12.2015 r.

ku. Okropnie się tam bała, bo tak dziwne nazwisko miała tylko ona. Wszystkim podopiecznym mówiono, że są tam tylko przejściowo i jak tylko wojna się skończy, to odnajdą swoich rodziców.

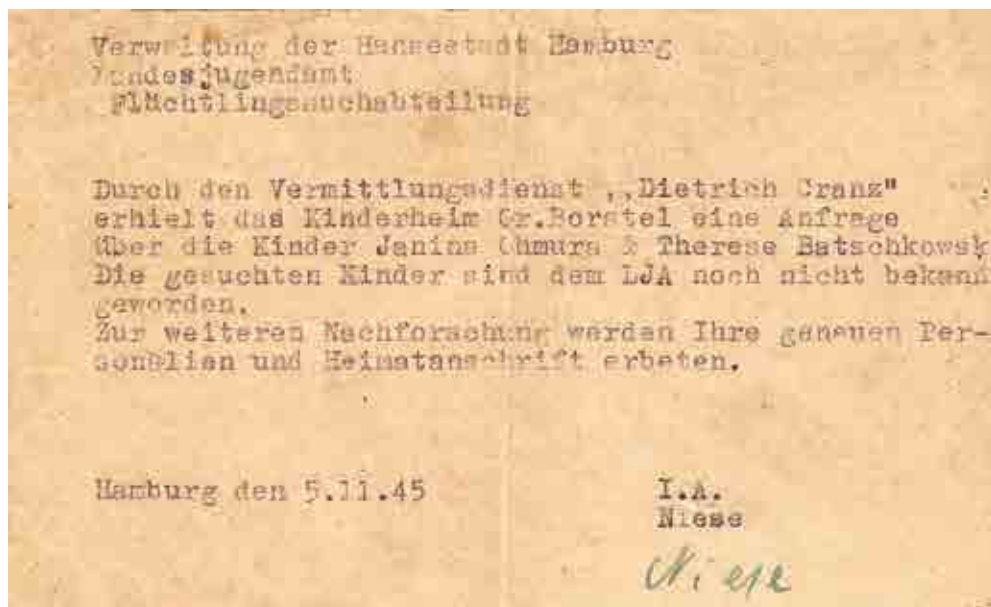
Kiedy Rosjanie wkraczali do miasta, wszystkie dzieci z domu dziecka zostały zegnane na pobliską plażę. Tam miały czekać statki transportowe, którymi dzieci miały być ewakuowane. Żadnych statków jednak nie było. Wszyscy Niemcy poddali się, wywieszając białe flagi. Dzieci wróciły z powrotem do domu dziecka. Po „wyzwoleniu” nastał głód. Rosjanie wysyłali dzieci, aby te żebrały po niemieckich wioskach.

Gdy wojna skończyła się na dobre, zaczęła się szkoła. I wybór: ewangelik czy katolik? Janina Chmura nie wiedziała do końca, co to znaczy i kim jest. Modlitw niemieckich nie umiała, a polskie zapomniała. Moja ciocia przyznała się do bycia ewangeliczką, ale później tego żałowała. Katolickie dzieci miały przepustkę do miasta i chodziły na religię do sióstr zakonnych do kaplicy św. Urszuli. Ewangelickie nigdzie nie chodziły. Dopiero po tym jak ciocia opisała kościół, do którego chodziła ze swoim tatą, pewna starsza dziewczynka – Elisabeth Lewandowski, uświadomiła ją, że jest katoliczką. Ponadto ta dziewczynka nauczyła ją po kryjomu modlitwy *Ojcze nasz* (w języku niemieckim), gdyż Janka przyznała, że z domu nie pamięta praktycznie niczego. Cały czas bała się powiedzieć, że zna język polski.

Po zadeklarowaniu się jako katoliczka u opiekunek z domu dziecka zaczęła uczęszczać na lekcje religii i przygotowywać się do przyjęcia pierwszej Komunii Świętej. Wybór ten znacznie wpłynął na dalsze losy Janiny Chmury. Wyjścia do kościoła stały się odskocznią od rzeczywistości w domu dziecka. W 1946 r. postanowiono, że kto do tej pory nie odnalazł swoich rodziców, zostanie skierowany do rodziny zastępczej. Rodzice mojej cioci istnieli w jej pamięci, ale ich sylwetki blakły i oddalały się. Tak się zżyła tam z innymi dziećmi, że aż zapomniała, jak długo bez nich jest. Jednak inne dzieci wyjeżdżały, bo znajdowały swoich krewnych. Myślała, że nikt jej nie szuka i została sama.

Nadzieja

Jednak ktoś jej szukał. Gdy na postoju moja ciocia nie wróciła do rodziców, jej mama poszła jej szukać. Zgubiła się z mężem, uciekinierzy w tym czasie ruszyli



Kartka z negatywną odpowiedzią w sprawie poszukiwań Janiny Chmury

w drogę, Chmurowie jakimś cudem się odnaleźli. Po podróży Niemcy porzucili swoich robotników. Chmurów skierowano do Stade, do obozu. Codziennie wysyłali po kilka kartek do innych obozów w poszukiwaniu córki. Niestety działania te okazały się daremne. Do Łopatek wrócili w listopadzie 1945 r.

Rodziny zastępcze

Janina Chmura wraz z kilkoma innymi niemieckimi dziećmi została wysłana do miasta Halle. Miały tam czekać niemieckie rodziny. Została ona adoptowana przez rodzinę Pullerów. Wkrótce jednak Niemcy zwrócili ją z powrotem do ośrodka adopcyjnego w Halle. Druga rodzina zastępcza była dla niej lepsza. Okazało się jednak, że w okolicy nie ma żadnego katolickiego kościoła. Ciocia była tym faktem zdruzgotana. Postanowiła porozmawiać o tym ze swoimi przybranymi rodzicami. Ci uznali, że jeśli się jej u nich nie podoba, to jej nie chcą. Najgorsze dla tak młodej dziewczynki było to, że ledwie się do kogoś przyzwyczaiła, wrywano ją i wysyłano gdzie indziej⁵.

⁵ Tamże.

Jestem Polką

Janina Chmura trafiła znowu do domu dziecka, tym razem znajdował się on w miejscowości Oebisfelde. Prowadziły go katolickie zakonnice. Warunki były tam bardzo trudne. Chłopcy strzelali do ptaków, które następnie piekli i jedli, inne dzieci chodziły na pola kraść ziemniaki.

Był już 1949 r., moja ciocia skończyła piątą klasę. Chłopców z domu dziecka wysłano wtedy na naukę zawodu, dziewczyny miały szczęście wyjechać do lepszych Niemiec – RFN. W domach dziecka nigdy nie było pożegnań, tylko „zbieraj swoje rzeczy i pakuj się”. Nigdy nie było nawet *Auf Wiedersehen*. Było trochę jej żal zostawiać te wszystkie dzieci, z którymi zdążyła się już zaprzyjaźnić. Zakonnice nielegalnie przeprowadziły dziewczynę na drugą stronę granicy. Siostry niejednemu tak pomogły. Młoda dziewczyna trafiła do Bad Lippspringe koło Paderborn. Została tam skierowana do pracy w sanatorium, poznała kilka sióstr



Dom dziecka w Oebisfelde



Sanatorium w Bad Lippspringe

zakonnych – franciszkanek, z którymi się zaprzyjaźniła. Janina Chmura wrosła w niemieckie otoczenie, języka polskiego zapomniała. W lutym 1950 r. skończyła 15 lat i ciągle nie miała żadnej informacji o rodzicach. Modliła się za nich jak za zmarłych, sądziła bowiem, że nie żyją.

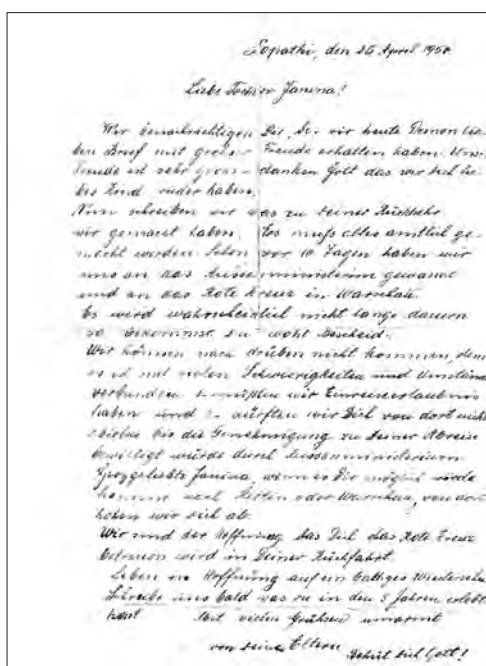
Pewnego dnia udało się jej nawiązać znajomość z jedną z kuracjuszek sanatorium – Ursulą Rohl. Nastolatka opowiedziała całą swoją historię. Ursula postanowiła pomóc jej w odnalezieniu rodziny. Wspólnie napisały list do mojej prababci Marty Faberskiej, która w 1945 r. nie uciekła z Książek wraz z Niemcami. Pomimo że list zaadresowany był w języku niemieckim (*Hohenkirch, kreis Briesen*), dotarł do mojej prababci. Prababcia niezwłocznie przekazała tę informację do państwa Chmurów zamieszkających w Łopatkach. Ci od razu postanowili odpowiedzieć na list. Po otrzymaniu odpowiedzi Ursula domyśliła się, że jej nowa znajoma jest Polką. W sanatorium wybuchła sensacja, gdy okazało się, że Johanna Kleinchen, jak ją nazywali, jest Polką. Ciągle ją wypytывali, dlaczego jest tu jako niemiecka dziewczyna?⁶

6 Tamże.

Powrót

Janina Chmura mogła wybrać pomiędzy życiem w bogatej jak na ówczesne standardy RFN a powrotem do swoich rodziców w Polsce. Wybór okazał się oczywisty. Ciocia, z pomocą sióstr zakonnych, wystąpiła o pozwolenie na powrót do Polski. W tym celu musiała potwierdzić swoje polskie pochodzenie. Wszystkie potrzebne dokumenty udało się bez problemu uzyskać. Ciocia po pięciu latach tułaczki mogła w końcu wrócić do swoich rodziców. Do pewnego listu zaadresowanego do rodziców ciocia dołączyła swoje zdjęcia – jak wygląda obecnie. Miało ono pomóc rodzicom rozpoznać swoją córkę na dworcu kolejowym w Szczecinie, bo tam mieli się spotkać.

Gdy pociąg zajechał na szczecińską stację, jej rodzicie postanowili się rozdzielić, aby szybciej odnaleźć swoją córkę. Kiedy mama znalazła ją jako pierwsza,



Odpowiedź na list Janiny Chmury, napisana przez jej rodziców w 1950 r. Zawiera wskazówki, jak ich córka może się ubiegać o uzyskanie obywatelstwa polskiego



Upragnione zezwolenie na powrót do Polski



Zdjęcie, które Janina Chmura wysłała swoim rodzicom w 1950 r.

radości nie było końca. Niestety, jak się okazało, Janina Chmura nie potrafiła powiedzieć ani jednego zdania w języku polskim. Ze swoim tatą nie mogła zamienić nawet słowa, gdyż nie znał on dostatecznie niemieckiego. Była radość, ale i płacz, i łzy. W Niemczech jej życie się unormowało, a teraz wszystko musiała zaczynać od nowa, łącznie z nauką języka polskiego. Nic nie rozumiała, niczego nie mogła załatwić. Zderzenie z polską wsią było bardzo bolesne – lampa naftowa, woda w studni, błotniste drogi⁷.

To były trudne czasy dla świeżo przybyłej do Polski Janiny Chmury. Rychna śmierć jej taty, bardzo ciężka praca w gospodarstwie, nauka – doby nie

wystarczało na wszystko, ale w głowie ciągle tkwiła przeszłość. Co się dzieje z zakonnicami? Ze szkolnymi koleżankami? Czy wiedzą, że ich mała Johanna odzyskała rodziców?

Spotkanie po latach

Po 40 latach Janina Chmura postanowiła ponownie nawiązać kontakt z siostrami z domu dziecka, gdzie przebywała. Najpierw napisała list. Okazało się, że żyją tylko trzy z pięciu siostr, które znała. Zaprosiły ją do Niemiec, aby ponownie się spotkać i wspominać dawne czasy. Zarówno siostry zakonne i jej dawna podopieczna mocno przeżyły to spotkanie. Jedna z siostr przekazała jej pamiątki, jakie pozostawiła w domu dziecka po sobie. Był to m.in. wierszyk, który ciocia napisała do jednej ze swoich koleżanek z domu dziecka.

⁷ Tamże.

Historia przepełniona tęsknotą

Rok 1945 stał się początkiem tułaczki niespełna dziesięcioletniej dziewczynki. Musiała ona opuścić swój dom rodzinny w Łopatkach. W trakcie tej ucieczki straciła rodziców na pięć lat. Nie wiedziała wtedy nawet, czy przeżyli wojnę. Mimo to postanowiła się nie poddawać. W końcu udało się jej powrócić do swoich rodziców, którzy z utęsknieniem czekali na nią w Łopatkach.

Ciekawe, jak potoczyłyby się losy Janiny Chmury, gdyby nie odnalazła swoich rodziców. Czy mogłaby być wtedy szczęśliwa, żyjąc w obcym kraju?

Źródła informacji:

1. Archiwum rodzinne Janiny Kani z Łopatek
2. Relacja ustna Janiny Kani z dnia 05.12.2015 r.
3. Relacja ustna Genowefy Skiby z dnia 10.12. 2015 r.
4. Kronika Gminy Książki (mps w zasobach Urzędu Gminy Książki), Książki.
5. A. Czarnecki, *Historia Gminy Książki*, Wąbrzeźno – Książki 2014

II miejsce

kategoria: szkoły ponadgimnazjalne

Daniel Zero

opiekun: Radosław Stawski

Zespół Szkół nr 1 im. Karola Wojtyły – Jana Pawła II

III Liceum Ogólnokształcące w Brodnicy

„Narzucony los...”

Zyjemy w „złotych czasach”, w których coraz częściej dominuje kłamstwo, a każda obchodzona rocznica jest w rzeczywistości okazją do głoszenia swoich poglądów. Słowa Stalina: *Jedna śmierć to tragedia, milion to statystyka*, nabierają obecnie coraz większego znaczenia. Aby jak najlepiej poznać historię II wojny światowej, należałoby chyba poznać historię każdego z jej uczestników, albowiem każda historia jest inna, ale każda prawdziwa. Moja opowieść jest o rodzinie Zerów, która niestety miała wziąć czynny udział w „parodii pomyłek”, jaką była wojna.

Poniższa historia napisana jest w oparciu o fakty, a rozpoczyna się 8 września 1930 r., kiedy to na świat przyszedł Bolesław, który otrzymał imię po ojcu, dlatego nazywano go Bolkiem. Jego rodzicami byli Bolesław Zero i Wanda Piotrkowska. Bolesław pochodził z Konopat, Wanda zaś mieszkała w Zembrzu, wsi sąsiadującej z Sugajnem w powiecie brodnickim, województwie pomorskim. Po ślubie rodzice Bolka osiedlili się w Sugajnie. Prowadzili tam 10-hektarowe gospodarstwo rolne. Bolek miał trzy siostry: Czesławę, Leonię i Gertrudę oraz młodszego brata – Leona. Tworzyli wspólną rodzinę. Ich szczęście nie trwało jednak długo, wkrótce bowiem poznali gorzki smak wojny.

Od września 1939 r. rodzina wyczekiwała dnia, który miał się okazać ostatnim¹. Ich strach był uzasadniony, jednak bardziej niż o swój majątek bali się utraty bliskich. Ich obawy potwierdziły się.

Był 10 kwietnia 1942 r., noc – choć zimna i spokojna, a na niebie świecił jasno księżyc – wydawała się inna niż wszystkie. Dookoła panowała cisza, którą przerwało pukanie do drzwi. Przed domem stali esesmani, których wizyta była początkiem ciężkiej drogi, jaką mieli przejść domownicy. Nieoficjalny cel odwiedzin był jasny – aresztowanie całej rodziny i przejęcie gospodarstwa, a oficjalnym powodem było to, że ojciec Bolka pochodził z tzw. Polski Kongresowej, czyli terenów dawniej okupowanych przez Rosję².

Rodzice korzystając z nieuwagi Niemców, zdołali sprytnie ukryć swojego najmłodszego syna – Leona u sąsiada.

Esesmani powtarzali: *Raus! Raus! Schnell! Schnell! (Precz! Precz! Szybko! Szybko!)*. Rodzina doskonale zdawała sobie sprawę, że być może ostatni raz dane jest im przebywać razem we wnętrzu ich domu. Nie zabrali ze sobą dokumentów, bo przeczuwali, iż tam, dokąd mają się udać, nie będą im one potrzebne. Tracili nadzieję, ale pozostawała im wiara, dlatego zależało im, by wziąć ze sobą książeczkę z modlitwami oraz różaniec. Wsiedli na wóz, a następnie zostali dowiezieni na dworzec kolejowy w Jajkowie (obecnie gmina Brzozie) i umieszczeni w pociągu, ich trasa biegła przez Brodnicę aż do Nakła, stamtąd zostali przewiezieni do obozu w Potulicach³.

Gdy rodzina dojeżdżała do obozu, ich oczom ukazał się wspaniały pałac i park hrabiów Potulickich, a w powietrzu unosił się aromat świeżego pieczywa. Wszystko to bardzo szybko okazało się jednak złudzeniem. Cały obóz otoczony był wysokim na kilka metrów murem. Nad nim znajdowały się trzy kolczaste druty. Chodziło o uniemożliwienie ucieczki, która i tak graniczyła z cudem, bo cały teren patrolowało wielu strażników. Każdy nowo przybyły do obozu więzień dostawał pasiak i drewniaki.

1 1 września 1939 r. III Rzesza napadła na Polskę, rozpoczynając tym samym II wojnę światową.

2 III Rzesza w trakcie okupacji ziem polskich prowadziła akcję wysiedleńczą, szczególnie na terenach dawnego zaboru pruskiego. Wysiedlano Polaków, a w ich miejsce sprowadzano Niemców.

3 Potulice (Lebrechtsdorf) – niemiecki obóz przesiedleńczy zbudowany w 1941 r. jako podobóz Stutthofu.

ZASWIADCZENIE
Nr: 476394

Zero
Bolesław
imiona
08.09.1930r. *Sugajno*
Data i miejsce urodzenia



Wspiera się przywołanie
dok. 1000
w. 1000

Zero
podpis

**URZĄD DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH**

Niniejsze zaświadczenie uprawnia do
ulgi i świadczeń określonych w ustawie
z dnia 24 stycznia 1931 r. o kombatan-
tach oraz niektórych osobach będących
żołnierzami i marynarzami wojennymi i okresu po-
wojennego (Dz.U. nr 17, poz. 19 z póź-
niejszymi zmianami).

1.07.1993r.
Data

Adres zamieszkania
Sugajno
84-318. Bolskie Brzoze
woj. toruńskie

65 73 /TOR

**RODZAJE I OKRESY
ZAŁICZANE DO UPRAWNIEN
USTAWOWYCH**

Okresy	Wykaz egzekucji	Przebieg choroby
04 04 1942	01 01 1945	hitlerowskie 1942
		3-21

Wzrost: 170 cm
Ciężar ciała: 70 kg
Ciężar serca: 10

Wzrost: 170 cm
Ciężar ciała: 70 kg
Ciężar serca: 10

Wzrost: 170 cm
Ciężar ciała: 70 kg
Ciężar serca: 10

Zaświadczenie uprawniające
Bolesława Zero do korzystania
z przywilejów kombatanta

ARCHIWUM PAŃSTWOWE
ul. 22.06.71
22.06.71
010000

ZASWIADCZENIE

Nasz znak: 042-3205/94 Data: 02.01.1995 r.

Archiwum Państwowe w Bydgoszczy zaświadcza, że Bolesław Zero,
ur. 08.09.1930 r. został wysiedlony 10 kwietnia 1942 r. z miejsc.
Sugajno pow. Brodnicki do obozu w Potulicach (karta wysiedleńcza
nr XXI/820). W aktach brak daty zwolnienia.
Bolesław Zero nie występuje w zachowanych rejestrach osób
zwolnionych z obozu w Potulicach przed jego wyzwoleniem w dniu
31 stycznia 1942 r.

SEKTOR
ul. 22.06.71
010000

4T/III

Zaświadczenie nr 2

W ten sposób zaczął się ich pobyt w hitlerowskim lagrze. Bolek z wielkim smutkiem wspominał swój pobyt tam. Opowiadał, że trafili do baraku o znacznych rozmiarach, w którym panował ogromny ścisk. Każdy miał tyle miejsca do spania, ile mógł zająć swoją powierzchnią ciała. Spano na betonie, a czasem na

słomie, niczym zwierzęta w oborze. Noc, będąca jedyną okazją do regeneracji sił, w rzeczywistości była jednym wielkim koszmarem. Po całym pomieszczeniu chodziło robactwo wszelkiego rodzaju. Zdarzały się też żaby i myszy, najgorsze jednak były szczury. Jeśli ktoś nie miał na stopach drewniaków, musiał się liczyć z tym, że szczury dobiorą mu się do palców. Wszędzie panował smród pochodzący z wiader, do których ludzie się wypróżniali⁴.

Jedzenie w Potulicach było okropne, Bolek nie był w stanie nic przełknąć. Dopiero po jakimś czasie, gdy głód przezwyciężył obrzydzenie, wziął do ust pierwszy posiłek. Mięsa nie dawano prawie wcale, a jeśli już – to padlinę. Najczęstszą „potrawą” była zupa z brukwi. Jej główny składnik stanowiła stara, zmarznięta, często zgniła brukiew. Zdarzało się, że rodzina przysyłała komuś chleb, wtedy jednak trzeba go było dobrze pilnować, gdyż kradzież jedzenia była na porządku dziennym. Ludzie wprawdzie dzielili się często tym, co mieli, lecz – co zrozumiałe – każdy chciał zachować sobie parę kawałków na czarną godzinę. Czasem dochodziło do takich paradoksów, że ktoś dzielił się chlebem, który wcześniej ukradł osobie, z którą się dzielił. O jakiegokolwiek higienie można było zapomnieć. Nie było mowy nie tylko o prysznicu, ale nawet o zwykłym mydle. Kobiety nie myły włosów, toteż nie było sensu ich rozczesywać, nawet jeśli któraś z nich posiadała grzebień.

Krótko po przybyciu do obozu w rodzinie Zerów doszło do pierwszego rozstania. Otóż ojciec Bolka – Bolesław, skierowany został do fabryki samolotów w Hanowerze. Od tej pory za rodzinę odpowiedzialna była Wanda i jej najstarszy syn Bolek, który miał wtedy zaledwie 12 lat.

Fatalne warunki higieniczne, okropne, niewystarczające jedzenie sprzyjały chorobom. Najgroźniejszą z nich był tyfus. To właśnie w jego wyniku zmarły dwie siostry Bolka – Leonka i Gertruda. Pierwsza miała lat dziewięć, druga siedem. Ich matka była świadkiem śmierci własnych dzieci, pozostała jednak cał-



Bolesław, mąż Wandy i ojciec Bolka

⁴ Na podstawie relacji Bolka, syna Wandy i Bolesława.

kowicie bezradna. Próbowwała zapewnić im choć trochę jedzenia, by zmniejszyć odczucie głodu. Gdy zmarły, wzięła własne prześcieradło (a każde było tam na wagę złota) i przedarła je na pół. Każdą z córek owinęła osobno w pół prześcieradła. Dziewczynki zostały złożone do grobu na terenie obozu, w którym znajdowały się jeszcze trzy lub cztery osoby.

W jaki sposób świętowano Wigilię w Potulicach? Bolek w swych opowieściach często podkreślał, że wyglądało to zupełnie inaczej niż za czasów pokoju. Nie było dzielenia się opłatkiem, bo nikt go nie posiadał, zamiast tego dzielono się chlebem. Więźniowie schodzili się i składali sobie życzenia, zazwyczaj życzone sobie szczęśliwego powrotu do domu. Nie było też mowy o stole wi-

gilijnym pełnym przepysznych wypieków i o tradycyjnym karpiu. Aby to jakoś zrekompensować, więźniowie uruchamiali wyobraźnię. Opowiadali sobie nawzajem o tym, co by przyrządzili. Niektórzy próbowali nawet opisywać smak potraw, jakie by zjedli w ten wyjątkowy, świąteczny wieczór.

A jak się miała sprawa kolęd? Wprawdzie ludzie je śpiewali, ale bardzo cichutko, aby strażnicy niczego nie usłyszeli. To wszystko wystarczało im, aby choć na chwilę odciąć się od koszmaru, jakim był lager, i dodać sobie otuchy. Blisko lagru znajdował się kościół, lecz więźniowie mieli kategoryczny zakaz wstępu do niego (groziła za to śmierć).

Czym się w obozie zajmowano? Większe dzieci, takie jak 12-letni Bolek, zmuszane były do ciężkiej pracy. Przede wszystkim chodzili na łąki po witki, które potem trzeba było donieść do obozu na własnych plecach. Pracę nadzorowali kapo wyposażeni w metalowe bicz obciążone gumą. Jeśli któreś z dzieci marudziło lub się przewróciło, nie nadążając z pracą, czekała je bolesna kara.



Zdjęcie ukazujące Bolesława (osoba stojąca za chłopcem) i jego bliskich podczas I Komunii Świętej syna Zbigniewa

Tak się też stało z młodym Bolkiem. Dzieciom na ogół nie kazano dźwigać zbyt dużych ciężarów, by pracowały jak najdłużej, jemu jednak przypadł pewnego razu zbyt duży ładunek. Chłopiec przewrócił się, co nie uszło uwagi nadzorca. Chwycił Bolka za rękę i zaczął go okładać. Skończyło się to bolesnym złamaniem ręki, które – źle zagojone – ciążyło mu do końca życia.

Z przynoszonych przez dzieci witek produkowano rozmaite koszyki i maty. Wanda zajmowała się szyciem roboczych ubrań albo cholewek do butów na maszynie. Siostry Bolka nosiły drewno do kuchni, kopały i zbierały ziemniaki, zdarzało się też, że pasły bydło.

Po pewnym czasie 13-letni Bolek został przeniesiony do folwarku koło Sępólna Krajeńskiego (niem. Zempelburg). Wprawdzie warunki życia były tam trochę lepsze, za to praca znacznie cięższa. Do obowiązków Bolka należało m.in. nakarmienie sześciu wołów. Zwierzęta te o godzinie szóstej rano przygotowywano do pracy w polu, trzeba więc było wstać o czwartej, najpóźniej o piątej, by zdążyć je nakarmić. Dzieci zajmowały się także wyrzucaniem obornika. Wielu młodych fizycznie nie było w stanie tej pracy podołać. W majątku więźniowie spali razem, z końmi lub nad nimi. Noce bywały nieraz bardzo zimne, a ponieważ nie było się czym okryć, zagrzebywano się w słomie. Bolek nie zdążył się przystosować, ponieważ niebawem znów powrócił do lagru. W międzyczasie jego ostatnia żyjąca siostra Czesia straciła dwa palce u nogi na skutek odmrożenia.

Gdy likwidowano obóz, więźniowie starali się zabrać ze sobą wszystko to, co stanowiło ich własność⁵. Mieli jeden cel – wrócić do domu. Wanda, Bolek i Czesia nie dali jednak rady niczego dźwigać. Wprawdzie mieli na tyle szczęścia, że od okolic Jabłonowa, dzięki uprzejmości pewnego gospodarza, mogli jechać na wozie, ale podczas tej podróży Czesia znów doznała odmrożenia (z rąk dziewczynki zeszła skóra, a matka okładała je później gęsim smalcem, delikatnie smarowała i robiła okłady, co poskutkowało – skóra powoli odrosła, ale palce do końca życia pozostały krzywe).

W końcu wiosenną porą strudzeni podróżnicy stanęli przed miejscem, skąd ponad trzy lata wcześniej ich wysiedlono. W stodole zastali jedną zabiedzoną

5 21 stycznia 1945 r. zarządzono ewakuację i rozpoczęto niszczenie dokumentacji. Tego dnia więźniowie stali się wolni. Byli wycieńczeni, głodni, bez środków do życia, lecz mimo wszystko wolni.

krowę, która nie miała siły wstać, oraz konia. Dzięki okazanej trosce zwierzęta wkrótce powróciły do sił i stały się bardzo użyteczne. Rodzina nie miała ani drewna, ani węgla na opał. Ulitowali się nad nimi państwo Łukaszewscy, którzy przywieźli wóz desek opałowych. Zerowie nie mieli też garnków, misek ani sztućców. Tu z pomocą przyszedł szwagier i siostra Wandy, od których dostali najpotrzebniejsze przedmioty. Wprawdzie 10-hektarowe gospodarstwo i budynki przetrwały wojnę, błędem jednak byłoby postawić znak równości między tym, co zostawili, a tym, co zostali. Ziemia, wcześniej bardzo żyzna, pod wpływem złego zagospodarowania, nie wydawała takich plonów jak wcześniej. Budynki były w opłakanym stanie. Wszystko, co dało się ukraść, okoliczni mieszkańcy ukradli.

Jak to się stało? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba cofnąć się do momentu zaraz po aresztowaniu. Gospodarstwo, jak planowano, miał objąć Niemiec. Jednak nie przypadło mu ono do gustu, postanowił więc zamienić się z sąsiadującą z nim rodziną Siedleckich. Tak też się stało. Tam, gdzie gospodarował Niemiec, wszystko się rozwijało, interes przynosił coraz wyższe dochody. Natomiast gospodarstwo prowadzone przez małżeństwo Siedleckich podupadło. Państwo Siedleccy musieli oddawać część swoich plonów, nie wierzyli ponadto w zwycięstwo aliantów, w konsekwencji nie dbali o właściwe użytkowanie dóbr pozostawionych przez Zerów. Teraz Wanda, Czesia i 15-letni Bolek musieli zacząć odrabiać straty. Czasami pomagał im sąsiad. W zamian Bolek wspierał go w wyrębie lasu i zwożeniu drewna.

Rodzina nie posiadała ziarna na zasiew. Tu również z pomocą przyszli sąsiedzi, którzy ofiarowali część swoich zbóż. Niedługo po powrocie z obozu Wanda zamówiła mszę świętą w podzięce za szczęśliwy powrót do domu.



Bolek ze swoimi pierwszymi wnuczkami
– Jolantą i Joanną



Bolesław (syn Wandy i Bolesława)
podczas tańca z swoją małżonką,
Zofią

Prawdziwa radość nastąpiła jednak na jesieni, kiedy to do Sugajna powrócił mąż Wandy. Rodzina długo nie potrafiła się sobą nacieszyć. Można powiedzieć, że Bolesław wrócił w idealnym momencie, ponieważ była pora żniw.

A co się stało z najmłodszym synem Zerów – Leonem? Otóż po tym, jak ukrył go sąsiad, postanowił powiadomić o tym brata Bolesława, zamieszkałego w Żurominie. Ten przygarnął natychmiast chłopca do siebie i wychowywał go dopóty, dopóki rodzina nie wróciła do domu.

Warto dodać, że małżeństwu urodziła się jeszcze jedna córka, której dano imię Jadwiga. Obecnie mieszka ona w miejscowości Radoszki.

Dokumenty dotyczące powyższej historii rodziny Zerów były przechowywane w archiwum w Bydgoszczy. Ślady po lagrze zostały w nich już do końca życia, niczym niedające się uleczyć blizny, zarówno fizyczne, jak i psychiczne. Bolek bardzo często chorował, miewał silny kaszel, płuca były bardzo osłabione, ponadto miał wykrzywioną lewą rękę (tę złamaną na skutek pobicia przez strażnika obozowego). Ponadto podczas budowy nowego domu nie pozwolił zalać podłoża betonem, ponieważ stwierdził, że już dość się na nim należał. Nigdy nie zapomniał o tym, co go spotkało, nie lubił tego wspominać, ale każda opowieść była pełna emocji, którym zawsze towarzyszyły łzy...

Wszystkie opisywane osoby żyją dziś wyłącznie w pamięci ich bliskich. Ich życie opisują również dokumenty i zdjęcia, które po sobie zostawili. Wanda zmarła w 1984 r., jej mąż w 1972 r. Bolek, który dorósł i w 1959 r. ożenił się z Zofią Brygołą, pozostawił po sobie pięcioro dzieci, 16 wnuków oraz dziewięciu



Medal „Więźniom Hitlerowskich Obozów Koncentracyjnych 1939–1945” wręczony Bolesławowi Zero osobiście przez Lecha Wałęsę



Bolesław (syn Wandy i Bolesława) w wieku 80 lat

prawnuków, a w 2009 r. świętował „złote gody” ze swoją małżonką. Dokładnie 8 września 2010 r., w towarzystwie ciepłych promieni słonecznych został pochowany na cmentarzu w Boleszynie, niedaleko grobu swoich rodziców.

Z tej historii wynika, że obecnie naprawdę mamy „złote czasy”, czego bardzo często nie doceniamy. Jednak jak pięknie by było, gdyby ludzie pamiętali o swoich przodkach, o ich osiągnięciach, walce i odwadze, gdyby każda osoba miała motto: „Bóg, Honor, Ojczyzna”...

Podczas spisywania tej historii przypomniał mi się niepublikowany dotąd wiersz Janiny Brygoła (matka Zofii Brygoła) pt. *Rozmowy*:

*Wspaniałe były te nasze rozmowy,
na każdy temat i bardzo rzeczowy,
nie było sprzeczek, nie było kłótni,
nigdy razem nie byliśmy smutni.*

*I tak mijały dni i tygodnie,
z nadzieją w przeszłość patrzyliśmy zgodnie,
lecz iskra zwątpienia się pojawiła,
i życie nasze całkiem zmieniła.*

*Ostatnia rozmowa tematem miłości,
co wprowadziła tyle niejasności,
i nowe jeszcze podejrzenia weszły,
że nasze drogi tak się rozeszły.*

*A kiedy stamtąd wyjechać musiałam,
wierzyłam, z tobą nadzieję miałam
i w przyszłość, ale na pożegnanie,
mówić nie mogę, żegnaj kochanie.*

*Niełatwe było tamto rozstanie,
gdzie oczy łzami były zalane,
a w myślach tylko jedno pytanie,
co teraz dalej z nami się stanie.*

*I dziś tak sobie czasami myślę,
ile to wody upłynie w Wiśle,
kiedy się może jeszcze spotkamy,
i jeszcze z sobą porozmawiamy.*

*Kiedy ci smutno będzie,
powiedz mi tylko słowo,
a ja odnajdę cię wszędzie,
zaczniemy wszystko na nowo.*

Bolek – syn Wandy i Bolesława całą historię swojego pobytu w lagrze opowiedział swej małżonce Zofii. Osobiście mogłem przeprowadzić z Zofią cykl wywiadów w dniach 23–26 sierpnia 2015 r., których zwieńczeniem jest ta praca.

Źródła informacji:

1. *Słownik Języka Polskiego PWN*, Warszawa 2012
2. J. Dygała, *Brodnica: siedem wieków miasta*, Brodnica 1998
3. W. Jastrzębski, *Hitlerowskie wysiedlenia z ziem polskich wcielonych do Rzeszy 1939–1945*, Poznań 1968
4. W. Jastrzębski, *Potulice: hitlerowski obóz przesiedleńczy i pracy (luty 1941–styczeń 1945)*, Bydgoszcz 1967
5. W. Jastrzębski, T. Jaszowski, *Potulice oskarżają*, Bydgoszcz 1968
6. J. Wultański, *Śladami dawnej Brodnicy*, Brodnica 1995
7. Zdjęcia z archiwum rodziny Zero

Netografia:

hhttp://pl.wikipedia.org

III miejsce

kategoria: szkoły ponadgimnazjalne

Jakub Walter

opiekun: Jacek Tymiński

V Liceum Ogólnokształcące im. Jana Pawła II w Toruniu

Album rodzinny Walterów

Bierzgłowo

Jest to moja rodzinna wieś. Wszystkie najważniejsze rzeczy z nią związane miały tam miejsce. Położona w województwie kujawsko-pomorskim, w gminie Łubianka, ok. 17 km na północny zachód od Torunia. Miejscowość słynie z 200-letniego wiatraka i gotyckiego kościoła z przełomu XIII i XIV w.

Krótko o koźlarzu

Bierzgłowski wiatrak pochodzi z XIX w. Trudno ustalić dokładną datę jego powstania, ale ma on ok. 200 lat. Ostatnim właścicielem był mój dziadek – Ksawery Walter, a młynarzem jego brat – Władysław Walter. Finał pracy „Ksawerego” miał miejsce w 1958 r. Przez 40 lat koźlarz nie działał i zamieniał się w ruinę. Niestety czas zrobił swoje, przez co „Ksawery” był w opłakanym stanie. W 2007 r. moja rodzina oddała obiekt miejscowej parafii pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Do rekonstrukcji wiatraka przyczynił się samorząd wojewódzki, przekazując pieniądze z funduszy unijnych oraz Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Toruniu. Wymieniono wiele



Pierwotna konstrukcja wiatraka, fot. z 1973 r.

elementów i odtworzono te brakujące. W zniszczonym koźlarzu znajdował się kamień służący do mielenia ziarna na mąkę oraz kamień służący do śrutowania. Podczas rekonstrukcji udało się uratować przedmioty i części z pierwotnej budowli. Wszystko trwało trzy lata. Oficjalne ponowne uruchomienie bierzgłowskiego „Ksawerego” im. Jana Pawła II nastąpiło 7 maja 2011 r. Wiatrak jest szeroko kojarzony z naszą rodziną.



Obecny wygląd koźlarza

Historia rodziny Walterów

Moja rodzina liczy wiele lat, a nawet wieków. Dzięki pomocy najbliższej rodziny udało się odtworzyć historię naszego rodu od 1870 r. Dokładnie ta data zapoczątkowuje drzewo genealogiczne, ponieważ dochodzi do zawarcia związku małżeńskiego Ksawerego Waltera oraz Pauliny Czajkowskiej w kościele pw. Najświętszej Maryi Panny w Bierzgłowie. Ksawery pochodził z Rzęczkowa, a jego małżonka z naszej rodzinnej wsi.

Młody Ksawery dorastał w otoczeniu koźlarza. Jako młodzieniec poznał Balbinę, również pochodzącą z Bierzgłowa. Różnica wieku między nimi wynosiła aż siedem lat. 29 stycznia 1907 r. Ksawery i Balbina składają przysięgę małżeńską w kościele pw. Najświętszej Maryi Panny w Bierzgłowie. Małżonkowie wychowali trzynaścioro dzieci. Jako pierwszy, 27 listopada 1907 r., urodził się Władysław, a po nim na świat przyszli: Marianna, Marta, Kazimierz, Zygmunt, Helena, Wincenty, Bernadeta, Janina, Roman, Balbina, Ksawery, Tekla. Podczas II wojny



Balbina Walter z domu Jankowska, żona Ksawerego, matka trzynaściora dzieci – najstarsze zdjęcie ze zbiorów rodziny Walterów



Balbina Zielińska, nazywana przez wszystkich „Jadzią”, jedyna żyjąca z trzynaściora rodzeństwa, wdowa. Mąż zginął w wypadku samochodowym po zaledwie pół roku małżeństwa



Kazimierz Walter to drugi syn Ksawerego. Skazany na śmierć przez rozstrzelanie przez mieszkańców wsi. Powodem było poślubienie Niemki Joanny, którą poznał podczas wysiedlenia do Niemiec



Janina Grzelska została wysiedlona do Niemiec. Ciężko pracowała w gospodarstwie rolnym, gdzie poznała swego męża Stanisława. Po wojnie oboje wrócili do Polski



Marianna Lewandowska, najstarsza z sióstr, która poślubiła Jana Lewandowskiego, wraz z córką Urszulą



Helena poślubiła Kazimierza Bartosińskiego. Mieszkali w Bierzgłowie aż do śmierci



Bernadeta Lewandowska w czasie II wojny światowej została wysiedlona do Łążyna. Na zdj. siostry Balbina i Tekla w czasie ślubu Bernadety



Tekla – najmłodsza z rodzeństwa, poślubiła Zdzisława Szarszewskiego i zamieszkała z nim w Toruniu



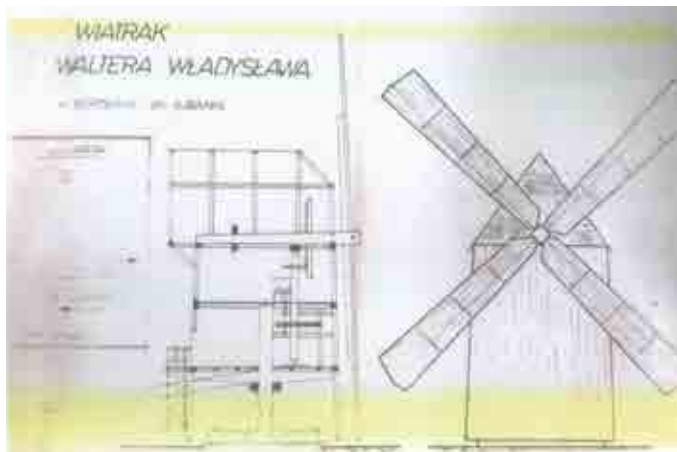
Zygmunt Walter w czasie II wojny światowej został wysiedlony w okolice Gdańska i przymusowo pracował jako kowal w Trąbkach. Po wojnie powrócił do Bierzgłowa i poślubił Elżbietę

światowej rodzinie zostało rozdzielone przez wywózki na roboty przymusowe. W dorosłym życiu Kazimierz, Marta, Władysław, Ksawery, Wincenty oraz Balbina zamieszkali w Bierzgłowie, Roman na Śląsku, Tekla w Toruniu, Bernadeta w Zamku Bierzgłowskim, Marianna w Stolnie, Janina w okolicach Bydgoszczy.

Władysław w czasie wojny został wywieziony do Żukowa. Przymusowo pracował w młynie wodnym. Po wojnie wrócił do Bierzgłowa, przejął po ojcu wiatrak i pracował w nim ponad 11 lat. Przedsiębiorstwo podlegało składkom

Dokument sprawdzający działalność wiatraka z 1954 r., sporządzony przez Główny Urząd Statystyczny

Kwity dostawy dla mieszkańców pobliskich wsi z 1949 r.



Rysunek przedstawiający elementy pierwotnej konstrukcji wiatraka



Zakończenie działalności wiatraka przez młynarza. Powodem było uszkodzenie jednego z elementów koźlarza i problem z dostarczeniem go do naprawy

cechu młynarzy, który miał siedzibę w Toruniu przy ul. Świętej Katarzyny. Dokumenty oraz kwity pozwoliły określić, kto korzystał z usług wiatraka. Byli to zazwyczaj mieszkańcy pobliskich wsi oraz państwo. Dokładnie 12 lutego 1958 r. bierzgłowski wiatrak został zamknięty. Ostatni młynarz zmarł 5 stycznia 1990 r. w Bierzgłowie.



Halinie i Ksaweremu Walterom sakramentu małżeństwa udzielił ks. proboszcz Franciszek Korwin-Milewski

Ksawery 12 lutego 1958 r. prosi Halinę o rękę. Ich najstarszy syn, Tomasz, urodził się 10 miesięcy później. Następnie na świat przyszedł Marek – 6 stycznia 1961 r. Najmłodszy z rodzeństwa, Bogdan, urodził się 21 listopada 1963 r. W czasie żniw Ksawery zranił się przy naprawie grabiarki. Lekarz wstrzyknął mu zbyt dużą dawkę leku i po trzech godzinach Ksawery zmarł. Było to 16 lipca 1966 r. Halina sama wychowywała trzech synów i utrzymywała gospodarstwo, które przejął najstarszy z synów.





Tomasz z młodszym bratem Markiem



Bogdan, Tomasz i Marek z matką Haliną

Tomasz poślubił Hannę Wrzosek, która mieszkała w Zamku Bierzgłowskim. Owocem ich miłości były córki: Karolina, Joanna i Kinga. Następnym kawalerem, który się ożenił, był mój ojciec – Marek. Jego wybranką była Katarzyna Zielińska, również z Zamku Bierzgłowskiego. Z tego małżeństwa urodziły się moje dwie starsze siostry: Emilia i Agata. Siedem lat później na świat przyszedłem ja. Najmłodszy z synów, Bogdan, poślubił Lucynę Przekwas, zamieszkałą w Łubiance. Wychowują oni trzech synów: Macieja, Łukasza i Mateusza. Obecnie czworo wnucząt Ksawerego założyło już rodziny. Emilia wyszła za mąż za Adama Przekwas, ma dwie córki: Oliwię i Zuzannę. Karolina poślubiła Lesława Miś i ma córkę Amelię. Joanna wyszła za mąż za Michała Kowalskiego i ma dwóch synów: Ksawerego i Franciszka. Najmłodszym małżeństwem są Kinga i Maciej Melerski, którzy mają syna Oskara i córkę Marię.

Statystyki

Rodzina Walterów od momentu małżeństwa Ksawerego Waltera i Pauliny z domu Czajkowska liczy 346 członków. Mogą oni poszczycić się 66 wnukami, 144 prawnukami oraz 102 praprawnukami. Najpopularniejszym imieniem żeńskim w naszej rodzinie jest imię Anna, natomiast wśród imion męskich Jakub i Tomasz. Powtarzały się one osiem razy. Drzewo genealogiczne zdominowała płeć męska, za to płeć piękna ma dłuższą linię życia. W rodzinie jest 183 mężczyzn oraz 163 kobiety.



Zjazd rodu Walterów (27.04.2013 r.). Było to pierwsze takie spotkanie, w czasie którego każdy mógł przedstawić własną rodzinę



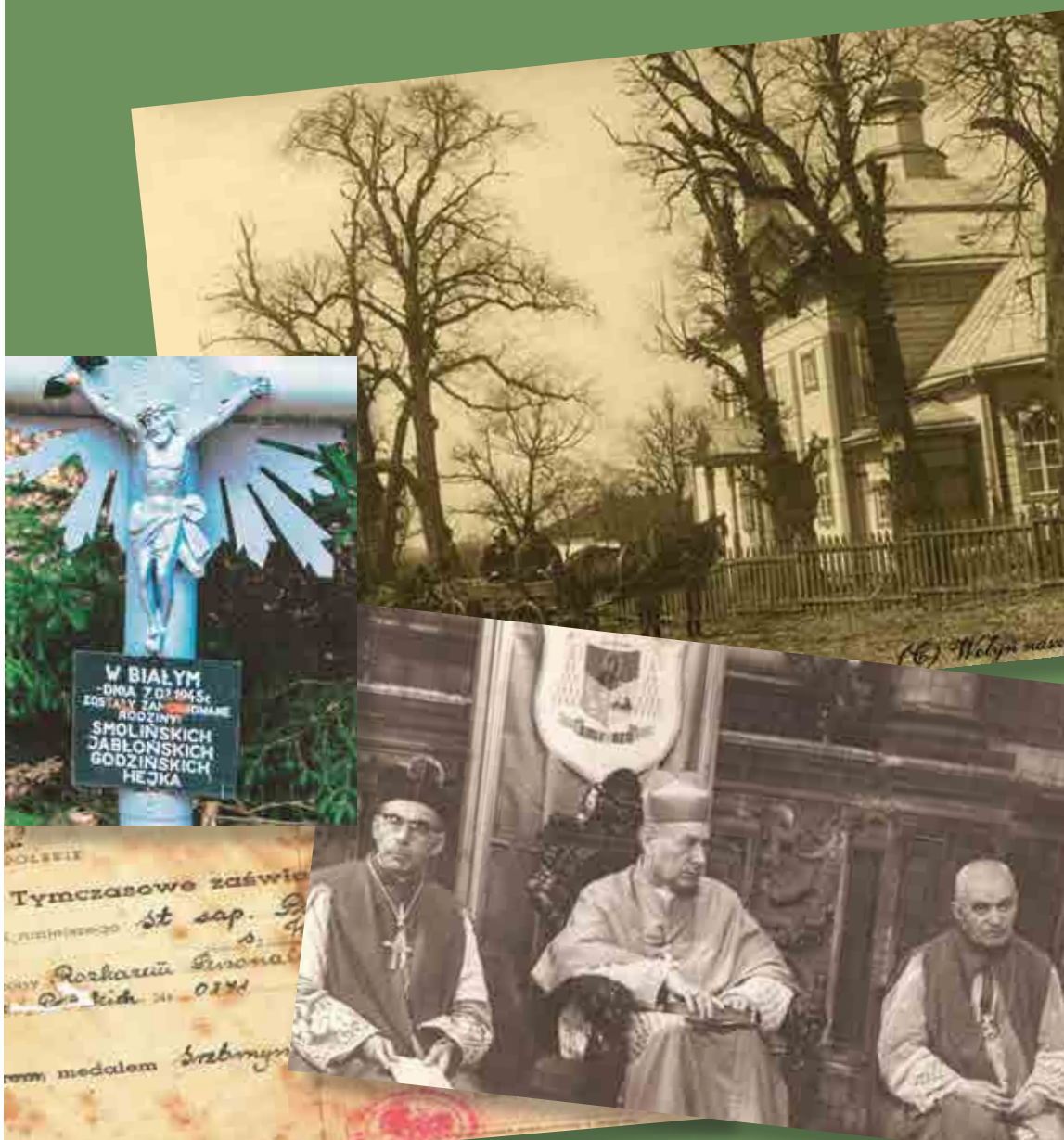
Najmłodsze pokolenie na tle koźlarza.
Oliwia i Zuzia są prawnuczkami Ksawerego,
córkami Emilii i Adama Przekwas

Źródła informacji:

Wszystkie zdjęcia, dokumenty, materiały i informacje pochodzą z archiwum rodzinnego

Wojewódzki Konkurs im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej „Oni tworzyli naszą historię”

2017 – IX EDYCJA



I miejsce
kategoria: szkoły gimnazjalne

Ewa Śpiewakowska

opiekun: Aleksandra Budzińska
Gimnazjum Gminy Brzuze w Ostrowitem

Eugeniusz Piotrowski – z Wołynia do ziemi dobrzyńskiej

Tak, przeżył rzeź wołyńską. I choć czas leczy rany, to brutalnych czynów, gdy ofiarą i katem był ktoś z sąsiedztwa, nigdy nie zapomni. Jako kilkunastoletnie dziecko nasłuchiwał się wiele, że tu i ówdzie dzieją się rzeczy straszne, czasem był ich naocznym świadkiem. Gdy dziś zamyka oczy i myśli „Wołyń” – wracają okrutne obrazy – jak choćby ten, gdy na każdą z trzech sztachet drewnianego ogrodzenia banderowcy ponabijali poodcinane, jeszcze krwawiące głowy sąsiadów. Pewnie widziałby i przeżył jeszcze więcej tam, na wołyńskiej ziemi, gdyby nie pełna odpowiedzialności decyzja ojca o opuszczeniu domu i podjęciu wędrówki w nieznane. Byle najdalej od tego piekła...

Poświęteczny czas. W moim domu jeszcze wciąż roznosi się zapach choinki i przeróżnych smakołyków. Na dworze mróz. „Oj jak tu dobrze. Jak ważne jest domowe ognisko” – myślę. „A o jakim domu opowie mi mój dzisiejszy rozmówca?” Udaję się na kraniec mojej gminy. Tam czeka na mnie ponad 90-letni Eugeniusz Piotrowski – zapewne jeden z najstarszych mieszkańców gminy. Już po wejściu jestem miło zaskoczona jego świetnym stanem zdrowia i kurtuazją...



Autorka pracy ze swoim rozmówcą
– Eugeniuszem Piotrowskim

Korzenie

Urodził się 1 maja 1925 r. we wsi Boguszówka (Bogusze Kolonia), w gromadzie Bogusze, w gminie Malin, w powiecie Dubno w województwie wołyńskim.



Mapa II Rzeczypospolitej w latach 30. Strzałkami pokazano drogi z Wołynia do ziemi dobrzyńskiej, nawiązując do tytułu pracy, a pomijając fakt, iż Bohater pracy dotarł także do Berlina i dopiero wówczas osiadł na ziemi dobrzyńskiej.
Źródło: https://pl.wikipedia.org/wiki/II_Rzeczpospolita, [dostęp: 20.02.2017]

Dubno, lata
międzywojenne, ul. gen.
Listowskiego.
Pocztówka ze
zbiorów Tadeusza
Marcinkowskiego, źródło:
[http://www.nawolyniu.
pl/zdjecia/dubienski/54.
htm](http://www.nawolyniu.pl/zdjecia/dubienski/54.htm), [dostęp: 20.02.2017]



Z dniem 1 czerwca 1920 r. ten powiat przekazany został Rządowi Rzeczypospolitej Polskiej, a 19 lutego 1921 r. wszedł w skład nowo utworzonego województwa wołyńskiego II RP. Jego siedzibą było miasto Dubno. W skład powiatu wchodziło 12 gmin wiejskich, dwie miejskie, 353 gromady wiejskie (sołectwa) i dwa miasta. Powiat dubieński zajmował południową część województwa wołyńskiego i graniczył: na zachodzie z powiatem horochowskim, od północy z powiatem łuckim, od wschodu z powiatami rówieńskim i zdołbunowskim, zaś od południa z powiatem krzemienieckim. Jego powierzchnia przekraczała 3 200 km², a zamieszkiwało tam (wg spisu z 1931 r.) ponad 220 tys. osób. W większości ludność powiatu dubieńskiego stanowili Ukraińcy (niemal 70 proc.). Drugą narodowością pod względem liczebności byli tam Polacy w liczbie 34 tys. osób, zaś reszta to Żydzi, Czesi i inne nieliczne grupy narodowościowe¹. Ludność polska zamieszkująca Kresy Wschodnie Rzeczypospolitej zaznała w czasie II wojny światowej eksterminacji zarówno ze strony okupantów, jak i mniejszości narodowych.

Wojciech (ur. 1884 r.) i Marianna (z domu Grzegolec, ur. 1890 r.) Piotrowscy mieli siedmiu synów: Stanisława (ur. 1912 r.), Jana (ur. 1915 r.), Władysława (ur. 1919 r.), Wincentego (ur. 1922 r.), Eugeniusza (ur. 1925 r.), Feliksa (ur. 1928 r.) i Tadeusza (ur. 1932 r.). Małżonkowie początkowo mieszkali na Kielecczyźnie.

Była tam bieda niesamowita, dlatego w roku 1922 rodzice wyruszyli na Wołyn za lepszym życiem. To tam, w Boguszówce, w małej ziemiance, przyszedłem na

1 [online], [dostępny: <http://wolyn.org/index.php/powiaty-wolynia/6-dubno>], [dostęp: 20.02.2017].



Pałac w Długoszyjach, źródło: <https://audiovis.nac.gov.pl/obraz/223116:2/>, [dostęp: 20.02.2017]

świat. Podobno na początku, gdy tak jak bodaj 150 rodzin tam się osiedliliśmy, nie było nic – wszędzie tylko puste pola, wycięte lasy. Z majątku Długoszyje dziedziczka Zofia Boguszowa wydzieliła osadnikom po kawałku ziemi. Jak mówiłem, rodzice zamieszkali początkowo w lepiance. Dopiero później ojciec rozpoczął budowę drewnianego domu, składał się z bali przekładanych mchem i słomą. Pamiętam, że była tam jedna izba, wytynkowana kuchnia i przedsionek. Budowa trwała latami, ojciec zaciągnął kredyt, mieliśmy małe, kilkuhektarowe gospodarstwo. Niedaleko nas była wioska, cała zamieszкана przez Czechów, tam to było wszystko mrowane, wysoko stały tam gospodarstwa. Najbliżej nas mieszkający gospodarze to: Rubak, Trzpiot, Potoga, Wójcik, Zielonka – opowiada mój rozmówca.

Jak udało mi się ustalić, wieś Długoszyje położona była ok. 12 km od miasta Ołyka i należała niegdyś do rodu Radziwiłłów, później Koźuchowskich, a w latach 20. – do Zofii Boguszowej. Był tam piękny pałac, którego zbiory i urządzenia zniszczone zostały przez Rosjan, a później bolszewików².

2 M. Orłowicz, *Ilustrowany przewodnik po Wołyniu*, Łuck 1929.

Piotrowscy kochali swoich synów, ale zdawali sobie sprawę, że Ojczyzna też ich potrzebuje. W 1937 r. do wojska powołano Władysława. Już wtedy był stolarzem, a Wincenty uczęszczał na zajęcia z przysposobienia wojskowego „Orląt” w Dubnie. W 1932 r. Bohater mojej pracy – Eugeniusz, rozpoczął edukację. Program pierwszej i drugiej klasy realizowano w jego szkole przez jeden rok, zaś trzeciej i czwartej – przez dwa lata. Jak podkreśla – wciąż w głowie ma nazwisko swojego nauczyciela – pana Szklińskiego.

W 1939 r. miał kontynuować naukę, lecz plany przerwał...

Wybuch II wojny światowej...

Miałem wtedy 14 lat, pamiętam ten nastrój w domu. Mama płakała, ba, wszyscy płakali... Ciągłe padały słowa: „Niemcy zabiorą nas, zabiją”. Myśle, że każdy się bał. Ja jednak najbardziej nie mogłem przeżyć tego, że nie pójdę do szkoły. Coraz bardziej jednak docierało do mnie, że już nic nie będzie tak jak dawniej. Starsi bracia poszli na wojnę, a ja jak mogłem, pomagałem rodzicom, głównie przy wypasaniu bydła. Gdy później powołano mnie do wojska, gdy nachodziły mnie momenty słabości i tęsknoty, najczulej zawsze wspominałem matkę i jej skromną, ale smaczną strawę – opowiada z drżącą brodą i łzami w oczach staruszek. Wojna sprawiła, że Piotrowscy zaczęli się bać o swoje życie. Coraz częściej jednak też było słychać:

Sława Ukrainie...

Później było jeszcze gorzej. Eugeniusz pamięta, jak wokół wszyscy mówili, że nacjonaści ukraińscy przeprowadzają akcję palenia polskich stodół i stogów ze zbożem. Szczególnie zapadło mu w pamięci podpalenie 19 marca:

Pamiętam, bo to na św. Józefa było – wysoki ogień, krzyki, nienawiść wobec oprawców, niemoc i taka bezsilność wobec tych niewinnych ludzi. Zbrodnie na Polakach dokonywane były z niebywałym okrucieństwem, palono żywcem, wrzucano do studni, używano siekier i wideł, wymyślano tortury dla ofiar przed ich śmiercią. Noce zwykle spędzaliśmy w lesie, w kartoflisku albo w zbożu, obserwując ukradkiem poczynania Ukraińców. Właśnie pod osłoną nocy bandery były aktywne. Raz,

gdy wróciliśmy nad ranem, nasz Burek ze strachu nie chciał wyjść z wykopanej nocą jamy, tak się bał. Pamiętam pewne Boże Narodzenie, gdy już przenieśliśmy się do Łucka – w sierocińcu, gdzie mieszkali też starcy, przeprowadzono prawdziwą rzeź, wszędzie było tyle krwi, że ściekała ona z piętra na dół. Byłem młody, gdy te wydarzenia przeżywałem, ale potem, w dorosłym życiu, gdy już była wolna Polska, wciąż te obrazy wracają – zawiesza głos Eugeniusz Piotrowski. Relację potwierdza uczestniczący w rozmowie wnuczek, który opowiada, jak jego ojciec nie raz musiał biec do dziadka w środku nocy, bo ten spocony ze strachu krzyczał, że „widzi” stojącego na balkonie banderowca.

Życie religijne

Rodzina Piotrowskich należała do parafii Długoszyje, której administrowanie w 1937 r. powierzono, nomen omen, urodzonemu w Szubinie (dzisiejsze województwo kujawsko-pomorskie) ks. Janowi Chojnackiemu. Liczyła 1437 dusz. Do głównej świątyni w Ołyce (oddalonej o kilkanaście kilometrów) Piotrowscy jeździli może raz na miesiąc.



Ołyka, kolegiata św. Trójcy – widok współczesny, źródło: <http://www.ofittravel.com.ua/pl/engine/print.php?newsid=l4>, [dostęp: 20.02.2017] [wikimedia.org/Nataliya Shestakova](https://www.wikimedia.org/)

W Długoszyjach była tylko kaplica, zniszczono ją w 1945 r. Posługa i troska tego duszpasterza, ks. Chojnackiego, nie ograniczała się jedynie do roli duszpasterza, wielką wagę przywiązywał też do podtrzymania zdrowego ducha patriotycznego, życia społecznego, polskiej kultury. Ksiądz Jan pozostał na tej parafii do czasu rozproszenia parafian w 1943 r. w wyniku napadów Ukraińskiej Powstańczej Armii, niósł posługę kapłańską do końca. Banderowcy na terenie parafii organizowali masowe mordy ludności polskiej. Jak pisze Michał Posadzy, ksiądz został ukryty w wozie ciągniętym przez konie, który wcześniej służył do wywożenia obornika. Wywieziono go pod stertą cuch-



Wiesz Długoszyje, źródło: <http://www.nawolyniu.pl/zdjecia/dubienski/36.htm>, [dostęp: 22.02.2017]

nącej słomy wraz z obrazem Matki Bożej Częstochowskiej z kaplicy parafialnej. Wóz przechodził systematyczne kontrole. Sprawdzający jego zawartość wbijali widły w różne miejsca, tuż obok pleców ukrytego ks. Jana. Tak więc ksiądz cudem przedostał się do Dubna. Obraz, który wiozł ze sobą, po dziś dzień wisi w kościele parafialnym pw. Znalezienia Krzyża Świętego w Ochotnicy Dolnej³.

Ogień i broń

Mam przed oczyma takie żywe wspomnienie – któregoś dnia wiosny 1943 r., pod wieczór, bandery przyjechały do Batara – gospodarza mieszkającego niedaleko nas, długo walili do drzwi, krzycząc „Odkrywaj”. Dopiero groźba podpalenia domu spowodowała, że gospodarz zdecydował się otworzyć. Wszystkim domownikom kazano się ubierać i wyjść na ganek. Poszukiwano zięcia tego naszego sąsiada, właściciela sklepiku, który przybył z Ołyki na gościnę. Oprawcy obwiązali mu szyję liną i przywiązali do wozu. Musiał biec za nim kilkadziesiąt metrów.

Eugeniusz z bratem Władkiem widzieli całe zajście. Chcieli pomóc biednemu człowiekowi, ale nie wiedzieli jak, śledzili więc całą akcję, biegnąc ukradkiem za niecodziennym zaprzęgiem. Bandyci zatrzymali się koło plebanii. Wtedy bracia,

3 [online], [dostępny: <http://www.swzygmunt.knc.pl/MARTYROLOGIUM/POLISHRELIGIOUS/BIOs/CHOJ-NACKijanOl.pdf>], [dostęp: 4.02.2017].

chcąc przestrzec księdza, zaczęli hałasować, walić grubymi kijami w drewniany płot. Nieproszeni goście weszli do środka. W tym czasie związany mężczyzna, korzystając z zamieszania, uwolnił się z pętli i zaczął biec przed siebie. Pogoń trwała kilkadziesiąt metrów przez pola. Wkrótce bracia usłyszeli strzały. Ciało zmarłego bliscy odnaleźli dopiero o świcie. Ojciec Eugeniusza został poproszony, by furmanką odwieźć zwłoki mężczyzny do Ołyki. W drodze powrotnej do Boguszkówki, pod wpływem tego, co widział i co usłyszał od mijanych ludzi, podjął dramatyczną i trudną decyzję...

Trzeba stąd uciekać...

Piotrowscy zostawili cały dobytek i furmanką z kilkoma bagażami kierowali się w stronę Łucka. O grozie tragicznego 1943 r. wielokrotnie opowiadał swojej żonie Zygmuncie nieżyjący już Tadeusz – brat Bohatera mojej pracy⁴.

To był chyba czerwiec, na pewno przed żniwami. Ojciec ubolewał nad tym, kto sprzątnie chleb z pola. Matka myślała głównie o pozostawionej żywności. Kłacz i krowę oddaliśmy znajdującemu się z ojcem Czechowi, u którego stolarki uczył się brat Władek. Wyjechaliśmy z ogromną trwogą: rodzice i nas trzech chłopców. Brat pojechał na furmance z sąsiadem, powoził. W naszych głowach kłębiły się myśli i rodziły pytania: „Co dalej? Co z chłopcami, którzy są na wojnie? Czy dotrze do nich informacja, że w Boguszkówce już rodziny nie ma?”

Zatrzymali się na przedmieściach Łucka. Tam wynajęli kwaterę. Co jakiś czas pojawiał się znajomy Czech, donosząc im trochę strawy. Zachował się bardzo lojalnie. Chciał w ten sposób odwdzińczyć się za przekazanie darowizn.

W marcu 1944 r. Eugeniusz dostał powołanie

do wojska

Pamiętam, że przyjechało dwóch oficerów. Kazano nam zabrać prowiant na dwa tygodnie. Jechaliśmy koleją, w każdym wagonie był piecyk i paliliśmy, czym się dało, aby trochę się ogrzać. Po tym czasie dotarliśmy na miejsce zgrupowania. Były

⁴ Relacja Zygmunty Piotrowskiej z Łączonka – bratowej Eugeniusza.

tam koszary po I wojnie światowej, spaliśmy na słomie, a zaczęło się od golenia, strzyżenia, łaźni, no i umundurowania nas. Po tych wszystkich czynnościach organizacyjnych wszyscy ustawieni zostaliśmy na dużym placu i nastąpił przydział do jednostek. Władek poszedł do piechoty, Jan – do łączności, a ja – do saperów. Otrzymaliśmy przydział broni. Dla mnie nie było to nic nowego. Władek już w domu nauczył mnie nią władać. Zaczęły się ćwiczenia, prowadzącymi byli rosyjscy oficerowie.



Eugeniusz Piotrowski w wojsku, ARP

Tak więc Eugeniusz Piotrowski wstąpił do Armii Polskiej w ZSRR pod dowództwem gen. dyw. Zygmunta Berlinga. 23 marca 1944 r. przydzielono go do 10. Samodzielnego Oddziału Saperskiego. Był to pododdział wojsk inżynierskich „ludowego” Wojska Polskiego. Batalion został sformowany w miejscowości Lebedin w okolicach Sum. Przysięgę młody Piotrowski złożył 17 września 1944 r. Pełnił funkcję dowódcy drużyny i jak czytam w książeczce wojskowej – miał stopień kaprała.

Pierwszym bezpośrednim jego dowódcą był mjr Ignacy Sołowiej. Zgodnie z rozkazem dowódcy 1. Armii Polskiej w ZSRR od 1 kwietnia 1944 r. oddział Eugeniusza Piotrowskiego był w składzie 1. Warszawskiej Brygady Saperów. Saperzy nauczyli się obsługiwać park pontonowy, traki, kafary, wykrywacze min. Opanowali budowę przepraw desantowych, promowych i mostowych w dzień i w nocy, w różnych warunkach atmosferycznych. Poznali sposoby minowania, rozminowania oraz unieszkodliwiania min i materiałów wybuchowych, urządzania przejść w polach minowych oraz organizacji prac przy całkowitym rozminowaniu. Uczyli się naprawy dróg i mostów na konkretnych obiektach. Saperzy pozostawili wiele kilometrów odbudowanych dróg i kilka mostów, z których korzystała potem ludność cywilna.

Nie raz doświadczałem głodu i strachu. Nie raz narażałem swoje życie. Pamiętam takie epizody z tego okresu, jak np. te wypadki na zwiad, czy taką sytuację, gdy miałem przyprowadzić tzw. „język”, czyli Niemca, który pod naciskiem podzieli się



Z kolegami – Eugeniusz pierwszy z prawej, ARP

tajemnicą wojskową. Trudna i napięta sytuacja była także wtedy, gdy przez jedną noc musieliśmy zbudować most pontonowy, albo wówczas, gdy znaleźliśmy się na brzegu Wisły, widziałem zadymioną Warszawę, zrzucone, jakich dokonywały samoloty i taki wielki plakat z Berlingiem „Żołnierzu Polski, twój kierunek Berlin”. Był też taki jeden piękny wieczór grudniowy.

Pamiętam, że mieliśmy prowadzić obserwację Warszawy, siedząc na piątym piętrze wysokiego budynku. Spędziliśmy tam z dwoma kolegami kilkanaście dni i 24 grudnia ktoś nas zaprosił na prawdziwą kolację i mogliśmy podzielić się opłatkiem. Z maja 1945 r., po zdobyciu Berlina, utkwiała mi w pamięci taka ogromna salwa, wystrzelona przez nas w powietrze. Niestety, także tuż po wojnie były momenty, gdy igrało się z życiem, ot, choćby gdy rozminowywaliśmy Gdańsk, Sztum czy Malbork. Potem przerzucono mnie na Śląsk. Kolejny raz przyszło mi się wtedy zmierzyć ze śmiercią – to było przykre, wojna się skończyła, a wtedy zginął mój kolega z drużyny.

Cała dywizja miała szczególne misje polityczne do spełnienia. Wraz z Armią Czerwoną na tereny naszego kraju wchodziły przecież polskie oddziały, głoszące tzw. braterstwo broni i stanowiące załóżek reżimu komunistycznego. Oddziały uczestniczyły w tzw. desancie czerniakowskim, którego celem było zdobycie przyczółków na lewym brzegu Wisły. Wraz z Armią Czerwoną berlingowcy, choć już bez Berlinga, zajęli całą Polskę i zwycięsko wkroczyli do Berlina.

Wiem, że przez lata ich działalność nie do końca i nie przez wszystkich była doceniana. Główny zarzut był taki, że oddziały te organizowano niezależnie od prawowitego rządu londyńskiego. Myślę jednak, że dla zwykłego żołnierza idącego na front, a takim był Bohater mojej pracy, polityka nie była najważniejsza. Oni wierzyli, że walczą za Ojczyznę.

Przez jakieś dwa tygodnie w 1946 r. Piotrowski wraz z kolegami sprawowali jeszcze nadzór nad rozwożeniem zbóż po magazynach. Trasę Kraków–Łódź poznali więc dokładnie. Pod koniec lutego 1947 r. Eugeniusz Piotrowski przeszedł do cywila. Udało mu się odnaleźć rodzinę. Dotarła do Malborka. Tam, gdzie przebywali dotychczas, nie było już Polski, Piotrowscy odnaleźli ją na ziemi dobrzyńskiej. W wyniku reformy rolnej otrzymali dom i ziemię po wysiedlonym Niemcu. Nazywał się Olwech i podczas II wojny światowej prowadził gospodarstwo w Łączonku.



Z kolegą – Eugeniusz z prawej, ARP

No muszę przyznać, że oprócz wielu odznaczeń, których częścią gardzę, otrzymałem też i od władzy ludowej propozycję zostania burmistrzem małego miasta. Był to chyba Greifenberg. W styczniu 1956 r. zawarłem związek małżeński z piękną dziewczyną z sąsiedztwa – Danusią Okońszczanką, która właśnie teraz jeszcze dość sprawnie krząta się w kuchni.



Tymczasowe zaświadczenie nr 160869 o przyznaniu srebrnego medalu „Zasłużonym na Polu Chwały”, ARP

Działacz społeczny

Do niemal połowy lat 90. Eugeniusz Piotrowski prowadził gospodarstwo rolne i przez 36 lat był sołtysem Łączonka oraz kierownikiem miejscowej zlewni mleka. To tu, na tych terenach współtworzył meliorację, czynił kroki w kierunku remontu dróg w nowej, powojennej Polsce. Pan Eugeniusz był też członkiem rady gminy oraz ławnikiem sądowym, ponadto prowadził kursy dla rezerwistów.



Marianna Piotrowska (siedzi z prawej) z czterema synami: Janem, Tadeuszem, Eugeniuszem i Władysławem oraz synową i wnuczką. Zdjęcie wykonane na początku lat 50., ARP

Podsumowanie

Patriotyzm to dla jednych szanowanie przeszłości, wierne realizowanie testamentu Norwida, który mówił, że Ojczyzna to groby i pamięć. Dla innych to płacenie podatków, szanowanie prawa, uczciwa praca. A dla jeszcze innych to patrzenie w przyszłość, myślenie perspektywiczne o Polsce świadczy o patriotyzmie. Według mnie wspianała, godną naśladowania postawą patriotyczną jest pielęgnowanie naszej przeszłości, by móc przekazać ją kolejnym pokoleniom. Myślę, że to jest wręcz nasz obowiązek.

Moje pokolenie, na szczęście, nie musi udowadniać swojego patriotyzmu poprzez przelewanie krwi, podczas walki za Ojczyznę. Ale także w czasie pokoju mamy okazję prezentować swoje przywiązanie do Ojczyzny, np. poprzez

szacunek do polskiej kultury i tradycji, języka. Patriotyzm to wielkie słowo, które powinno być bliskie sercu każdego człowieka. Nie wiem, czy taka postawa jak moja, czyli podjęcie się spisania wspomnień człowieka, który widział wiele i wiele przeżył, to przejaw patriotyzmu. Myślę, że nie mnie to oceniać, ale wiem jedno: było warto poświęcić swój czas na ten projekt. Wierzę też, że nie tylko dla mnie będzie miał on wymiar edukacyjny i że po tę lekturę sięgnie wielu moich kolegów, gdy znajdzie ona swoje miejsce w szkolnej bibliotece.

Źródła informacji:

1. Archiwum rodziny Piotrowskich (fotografie Eugeniusza Piotrowskiego i jego bliskich, dokumenty potwierdzające jego odznaczenia)
2. Relacja Eugeniusza Piotrowskiego z Łączonka
3. Relacja Zygmunty Piotrowskiej z Łączonka – bratowej Eugeniusza

Opracowania zwarte:

1. M. Orłowicz, *Ilustrowany przewodnik po Wołyniu*, Łuck 1929, wersja elektroniczna: www.wolyn.orh.org/ippw/

Netografia:

<https://audiovis.nac.gov.pl/obraz/223116:2/>

https://pl.wikipedia.org/wiki/II_Rzeczpospolita

<http://wolyn.org/index.php/powiaty-wolynia/6-dubno>,

<http://www.nawolyniu.pl/zdjecia/dubienski/54.htm>, <http://www.nawolyniu.pl/zdjecia/dubienski/36.htm>,

<http://www.ofit-travel.eom.ua/pl/engine/print.php?newsid=14>,

<http://www.swzygmunt.knc.pl/MARTYROLOGIUM/POLISHRELIGIOUS/BIOs/CHOJNAC Kijan01.pdf>

II miejsce

kategoria: szkoły gimnazjalne

Dawid Wypyszewski

opiekun: Małgorzata Drożdżewska
Gimnazjum nr 1 w Brześciu Kujawskim

Wojenne losy Anny Mantyk

Urodziłam się w 1929 r. w Dąbiu Poduchownym. Moje wczesne dzieciństwo upłynęło w atmosferze błogiej bez troski. Kiedy ukończyłam siedem lat, rozpoczęłam naukę w Szkole Podstawowej w Dąbiu Kujawskim. Tam kształciłam się przez trzy lata. 1 września 1939 r. pamiętam bardzo dokładnie. *Panie, który oświecasz serca i umysły nasze, dodaj im ochoty i zdolności, aby ta nauka była dla nas pożytkiem doczesnym i wiecznym, przez Chrystusa Pana naszego. Amen.* Wszystko zapowiadało normalny przebieg zajęć, a jednak... Kiedy nasz wychowawca zamierzał udzielić nam wskazówek dotyczących organizacji następnego dnia nauki, rozległ się niespodziewanie dźwięk dzwonka. Zaniepokojeni tym sygnałem wybiegliśmy na korytarz. Tam czekał na nas dyrektor Brzeziński. Wszystkie klasy ustawiły się w szeregu, a on powiedział: *Kochane dzieci, na dziś wszystko skończone... Dostałem przed chwilą wiadomość, że Niemcy wypowiedziały nam wojnę i ich wojska przekroczyły granicę Polski. Mamy więc wojnę, więc musimy rozejść się do domów. Jak wszystko się ustabilizuje, to was powiadomimy. Do miłego zobaczenia...* Nasze serca zamarły na chwilę.

Kiedy wróciliśmy do domów, moi rodzice już wiedzieli o tym, co się zdarzyło w naszym kraju, a to za sprawą audycji radiowej, której wysłuchali tuż po śniadaniu. Wszystkich ogarnęło wielkie poruszenie. Potem nastała złowieszcza cisza. Następnego dnia przyszedł rozkaz o powszechnej mobilizacji.

Wtedy wszystkich ogarnęła niesamowita groza. Wszyscy młodzi mężczyźni i chłopcy z naszych okolic zgłosili się do wojska. Zostali nieliczni, pośród nich mój ojciec. Był w stopniu porucznika i pełnił akurat funkcję sołtysa we wsi. Zapanaował straszny chaos i rozpacz. Pozostały prawie same kobiety i dzieci. Następnego dnia przez naszą okolicę zaczęło przechodzić polskie wojsko, głównie piechota. Żołnierze byli bardzo zmęczeni i głodni, więc kobiety wyniosły im wodę do picia, mleko i jedzenie. Byleby tylko jakoś wspomóc strudzonych bohaterów.

Kolejnego dnia przedostali się uciekinierzy bryczkami, rowerami. Niektórzy nawet ciągnęli ze sobą wózki z dobytkiem. To trwało około dwóch dni. Kilka dni później przez wioskę przejechał patrol niemiecki na motorze. Na sam wieczór pojawił się tabor niemiecki. Żołnierze niemieccy przejechali spokojnie obok naszych domostw, a my z ukrycia obserwowaliśmy, co się wydarzy. Niemcy rzucali dzieciom suchary. Wyglądało to tak, jakby chcieli obłaskawić przyczapane psy.

W tym czasie pod Sochaczewem rozpętało się istne piekło, w związku z tym uczestnicy wyprawy do Warszawy byli zmuszeni do odwrotu. Cały ten zgiełk bitwy przesunął się powoli na wschód. Nasi śmiałkowie powracali do domu wygłodzeni i przemęczeni. Opustoszał dwór, który znajdował się w naszej okolicy. Także w kościele i szkole zapanowała cisza i pustka. Potem okazało się, że niektórych nauczycieli Niemcy gdzieś wywieźli. W tym czasie doszły do nas wieści, że Polska skapitulowała. I znów zapanowała pustka i cisza, ale tym razem w naszych sercach.

Zaczęły się wysiedlenia miejscowej ludności. Powoli opuszczone domy zaczęły zajmować rodziny niemieckie. Niemcy osiedlali się głównie w majątkach i większych gospodarstwach i pozostała ludność polska musiała u nich pracować. Majątek w Dąbiu Kujawskim objął Hans Ditrich. Był samotny. Zwracano się do niego „komisarzu”. Dość dobrze traktował Polaków. Miał swoją sekretarkę – Niemkę, której imienia i nazwiska nie pamiętam. Pozostali pracownicy tego majątku to byli Polacy. Pamiętam nazwiska: inspektor Zimierski, pisarz Ozimiński i włodarz Zieliński. Całą naszą wioskę dołączono do tego majątku. Zabrano nam bydło i inwentarz. Mieszkańcy naszej wsi i okolicy musieli tam pracować. Nie oszczędzano również dzieci powyżej 10. roku życia. Pamiętam doskwierający głód, przemarznięte w lichych drewniakach nogi, przemoknięte ubrania i ciężką pracę, której nasze drobne dziecięce ręce nie dawały rady. Za wykonaną

pracę dostawaliśmy z majątku pewien deputat żywnościowy, ale niestety to były po prostu tak małe racje, że ledwo starczało dla dziecka. Pamiętam, że gdy brakło mąki do pieczenia chleba, mama dodawała co tylko można było do ciasta, byleby nadawał się do zjedzenia.

Czasami były to stare ziemniaki, które po ugotowaniu dokładała do ciasta. Rarytasem była też marmolada z brukwi. Pamiętam, że do prania używaliśmy szarego mydła, które przydzielane było na kartki. Wolno było tylko raz w roku zabić jedną świnię, a nasza rodzina liczyła akurat pięć osób. Byliśmy głodni, więc rodzice postanowili w nocy po kryjomu zabić jeszcze jedną świnię. Taki czyn groził więzieniem lub rozstrzelaniem. Rodzice postanowili więc dokonać tego w nocy. Rano wraz z ojcem udaliśmy się do pracy do majątku. Niestety w tym czasie do naszego domu zapukali żandarmi i przeprowadzili rewizję, podczas której znaleźli ukryte mięso. Zabrali moją mamę. Następnie żandarmi zjawili się również w majątku i zabrali mojego tatę. Zawieźli ich do więzienia do Włocławka. Ja w tym czasie pracowałam w drugim końcu majątku i nie byłam świadoma tego, co zaszło. Wróciłam do domu i zastałam rodzeństwo potwornie zapłakane i wystraszone. Brat powiedział mi, że żandarmi zabrali mamę. Rozpłakałam się okropnie i ogarnął mnie paraliżujący strach. Nie wiedziałam, co z nami będzie. Miałam jednak nadzieję, że wkrótce wróci tato. Tak przeczekałam całą noc, ale niestety ojciec się nie zjawił. Rano przygotowałam dzieciom jedzenie, a sama z małą kromką chleba w kieszeni ruszyłam do pracy. Kiedy dotarłam na miejsce, zawołał mnie nasz inspektor i opowiedział mi o wczorajszym zajściu z moim ojcem. Rozpłakałam się tak bardzo, że czułam, jak moje małe serce pęka... W tym momencie inspektor mnie przytulił i powiedział: *Idź dziecko do domu, do braci. Dam ci parę dni urlopu, może rodzice wrócą i będzie dobrze...*

Wróciłam do domu, żeby zaopiekować się pozostałym rodzeństwem. Przyszli moi sąsiedzi, żeby uradzić, co z nami począć. Było nas troje, więc niestety trzeba było rozdzielić nas, bo jedna rodzina nie wykarmiłaby tylu osób. Moich braci przygarnęli Walczakowie, a mnie Kwaśni. Kolejna rozpacz, bo musieliśmy się rozdzielić. Najbardziej przeżył to mój najmłodszy brat. Mocno przytulił się do mnie i wprost nie chciał się ode mnie oderwać. To było straszne przeżycie. Będąc już w oddzielnych rodzinach, każdego dnia wyglądaliśmy przez okno z nadzieją, że zobaczymy rodziców...

Wkrótce przyszło zawiadomienie o mającej się odbyć sprawie, która miała dotyczyć moich rodziców. Pojechałam razem z sąsiadami na tę rozprawę. Stałam na korytarzu, byłam zagubioną dziewczynką z rozdrapanym sercem. Czułam się taka bezsilna i załamana. W pewnym momencie zauważyłam, jak żandarmi prowadzą korytarzem moich rodziców. Chciałam do nich podbiec i rzucić się im na szyję, chciałam wyrwać ich z rąk tych bezdusznych potworów i uciec z nimi do domu. Niestety, byłam tylko bezbronną dziewczynką, która mogła jedynie rozpłakać się i upaść na kolana. Nawet nie wolno mi było do nich podejść. Patrzyłam na zapłakaną matkę i ojca, którzy znikali w korytarzu, podążając ze smutkiem do sali rozpraw. Pamiętam tylko, jak sędzia czytał wyrok. Łzy zalewały mi oczy, kiedy usłyszałam, że zostali skazani na trzy lata więzienia. Rodzice stali przerażeni. Uświadomili sobie, że znów dzieci zostaną kompletnie same. Jedyne, co pamiętam, to smak łez, które spływały mi po twarzy strumieniami wprost do ust, które zaciskałam, żeby nie krzyczeć z rozpacz.

Mamę i tatę przydzielono do różnych więzień, a my, biedne sierotki, znów zostaliśmy sami, zdani wyłącznie na przychyłność sąsiadów. Po miesiącu przyszedł do nas list od mamy. Została osadzona w więzieniu we Wronkach. Znów ogarnęła nas potworna rozpacz. Wkrótce i od taty przyszedł list, w którym pisał, że czuje się dobrze, pracuje przymusowo w fabryce i strasznie za nami tęskni. Nie minął rok, jak przyszła wiadomość, że zmarł. Praca, do jakiej był zmuszany, była tak ciężka, że jego słaby organizm nie wytrzymał. W taki sposób zostaliśmy pozbawieni naszego ukochanego taty. Pozostała nam tylko mama. Dowiedzieliśmy się potem, że została przewieziona na roboty do Bawarii w Niemczech.

Ale to nie był koniec naszych kłopotów. Pewnej nocy Niemcy urządzili tzw. łapankę i zabrali całą rodzinę sąsiadów, u których mieszkali moi bracia. Tej nocy moje rodzeństwo przesiedziało dosłownie pod stołem. Znów zostali bez opieki. Po tym zajściu rodzina Kwaśnych, u których ja przebywałam, wzięła pod swój dach całe moje rodzeństwo. Takim więc sposobem znów byliśmy razem.

I chociaż ze strony naszych opiekunów otrzymaliśmy tyle ciepła i troski, i wiedzieliśmy o tym, jak bardzo się poświęcają, przygarniając nas do siebie, to jednak nasze serca wciąż przepełniał smutek i tęsknota za naszą ukochaną mamą. Tak mijały kolejne lata. W 1945 r., pod koniec wojny, było to zimą, leśniczy z naszej okolicy, który był volksdeutschem, odkrył na śniegu ślady stóp w po-

blizu lasu. Natychmiast doniósł o tym Niemcom, którzy zorganizowali obławę. W lesie ukrywała się grupa partyzantów albo żołnierze rosyjscy. Wyłapali ich wszystkich i wywieźli nie wiadomo dokąd.

Jakiś czas później w majątku młóciliśmy zboże. Przyjechał komisarz i powiedział, że kończymy pracę i wracamy do domów, ponieważ wkrótce przez nasze tereny przejdzie linia frontu. W związku ze zbliżającym się niebezpieczeństwem wszyscy pracownicy majątku dostali rozkaz ucieczki wraz z Niemcami na zachód. Kiedy przygotowani byliśmy już do ucieczki, a komisarz nieco się oddalił, większość nas, Polaków, odłączyła się od Niemców i zawróciła z powrotem do wsi, do swoich domów. Wśród śmiałków był także pewien Niemiec, który miał sklep w Dąbiu. Był kulawy, stracił nogę, kiedy służył w polskim wojsku. Był dla nas dobry, więc pomyślał, że z nami będzie bezpieczny i powrócił do wioski. Niestety, kiedy byliśmy już na miejscu, w wiosce byli już Rosjanie. Ktoś wydał go żołnierzom, a oni wyprowadzili go do lasu i rozstrzelali.

Majątek w Dąbiu zajęli Rosjanie. Zaczęli rozdysponowywać jego dobra. Oddawali miejscowej ludności to, co zabrali Niemcy. Do nas wróciła nasza krowa. Niestety nie mieliśmy jej co dać jeść. Sami też wróciliśmy do zimnego, pustego domu, w którym nie było nic do jedzenia ani naczyń. Nie było także odrobiny opału. Zapewne zamarzylibyśmy lub umarlibyśmy z głodu, gdyby nie dobre serce sąsiadów. Minęła zima, wiosna i nadchodziło lato. Ludzie powracali z niewoli niemieckiej, a naszej mamy wciąż nie było. Ale cały czas czekaliśmy, pełni nadziei. Pod koniec lata nasze serca przepełniła ogromna radość: mama wróciła! Powoli zaczynaliśmy nasze życie od nowa. We wrześniu, kiedy ruszyła na nowo szkoła, moi bracia powrócili do nauki.

Mama zdecydowała, że ja zostanę w domu, żeby jej pomóc w pracy. Zgodziłam się, bo sama nie dałaby rady. Jedyłą moją rozrywką był szkolny teatr, do którego należałam. Pamiętam dobrze pewne tragiczne zdarzenia z tego okresu. Doszły nas słuchy, że w okolicy grasuje grupa bandytów i napada na ludność. Była zima i nasz teatrzyk wystawiał akurat Jasełka w szkole. W pewnej chwili do sali wtargnęło trzech uzbrojonych mężczyzn. Zaczęli strzelać w górę. Wszystkich opatnowała trwoga. Jeden z nich zerwał z dekoracji gwiazdę, rzucił na podłogę i zaczął deptać, krzycząc, że to „ruska gwiazda”. Wszystkim kazał ustawić się w koło i zaczął strzelać w górę. Kazał nam krzyczeć „niech żyje Londyn”. Wśród małych

artystów był 14-letni chłopiec, syn leśniczego. Kiedy padły kolejne strzały, chłopiec runął na podłogę. Okazało się, że kula bandyty trafiła go w serce. Krew tryssała strumieniami, mimo pomocy nic nie dało się zrobić. Bandyci w tym czasie rzucili się do ucieczki. Tak tragicznie zakończyły się Jasełka. Zamiast cieszyć się nadejściem nowego życia, straciliśmy naszego kolegę. Do dziś pamiętam go leżącego na podłodze w kałuży krwi... Byliśmy przerażeni. Chłopiec nazywał się Marian Paluszek. Został pochowany na cmentarzu w Dąbiu Kujawskim.

Mijały lata, moje rodzeństwo dorosło. Przez ten czas wszyscy pomagaliśmy mamie w utrzymaniu rodziny. Ja w zasadzie najwięcej, bo kiedy moi bracia założyli już swoje rodziny, ja pozostałam z mamą, żeby wspólnie przejść najtrudniejsze czasy. A było po wojnie naprawdę ciężko. Po prostu klepałiśmy biedę. Poznałam w tym czasie wspaniałego chłopca i wyszłam za niego za mąż. Urodziłam troje dzieci: Różę, Wiesławę i syna Mariana. Przeżyliśmy z mężem wiele wspaniałych lat w zdrowiu i szczęściu.

Doczekałam się siedmiorga wnucząt i czworga prawnucząt. Mimo moich 88 lat jestem bardzo sprawna i cieszę się jeszcze w miarę dobrym zdrowiem. Jeżdżę na rowerze, łowią ryby i pomagam w wychowaniu wnucząt i prawnuków. Wiem jednak, że niedługo skończy się moja misja na tym świecie. Chciałabym móc jeszcze tu kiedyś powrócić.

Źródło informacji:

Wspomnienia pani Anny Mantyk

III miejsce

kategoria: szkoły gimnazjalne

Hubert Kwiatkowski

opiekun: Dariusz Miller
Gimnazjum nr 7 w Grudziądzu

Wyzwolenie sprawia radość, wyzwoliciele – smutek

Wraz z nadejściem połowy stycznia 1945 r., po trwających 10 miesięcy przygotowaniach, armia radziecka zbliżyła się do Wisły w okolicach Grudziądza. Zima była wtedy mroźna, toteż bez problemu żołnierze przeszli po pokrywającym rzekę lodzie. Dziewięć dywizji 65. Armii miało za zadanie zdobyć pobliskie przyczółki i okrążyć „twierdzę” Grudziądz. Była to część operacji zwanej mazowiecko-mazurską lub wschodniopruską. Droga do miasta wiodła przez okoliczne wioski, m.in. Biały Bór. Mieszkała tam rodzina Żaków: matka z dziećmi. Stasia miała 23 lata, Kazia 21, Lodzia (Leokadia) – 19, Ludwik – 17 oraz młodsze rodzeństwo: Wacek, Heniek, Jadzia i Zosia¹. Losy dwojga z tej rodziny – pana Ludwika i pani Leokadii, zostaną przybliżone w niniejszej pracy. Źródłem wiedzy na ten temat są: relacja z rozmowy z panem Ludwikiem, sporządzone przez niego notatki oraz wiersze i sprawozdania nieżyjącej pani Leokadii.

1 Wspomnienia pana Ludwika Żaka.

Ludwik Żak bardzo lubił wsłuchiwać się w dochodzące z daleka odgłosy dział, które oznaczały rychłe wyzwolenie spod niemieckiego jarzma. 26 stycznia wielką radość sprawił ludziom widok oddalających się oddziałów niemieckich. Przemarsz odbywał się od strony Błędowa w kierunku Mniszka. Następnego dnia z okolic Wałdowa i Błędowa niósł się dźwięk karabinów maszynowych. Po południu mały oddział radzieckich żołnierzy zmierzał w kierunku domostwa Żaków. Upewniwszy się, że w domu nie ma Niemców, weszli. Zostali ugoszczeni, bowiem na „taką chwilę” czekali od dłuższego czasu. Rosjanie najedli się do syta, podziękowali i odjechali. Do wieczora nikt obcy nie pojawił się w okolicy.

Następnego dnia Ludwika ze snu obudził hałas spowodowany niespodziewaną wizytą żołnierzy. Rosyjski oficer zapytał go, czy zna drogę na Adamsdorf (Mały Rudnik; Rosjanie dysponowali mapami w języku niemieckim). Poproszono o zaprowadzenie ich do tejże wsi. Ludwik zgodził się, ucieszony, że może im w czymś pomóc. Po powrocie z tej wędrówki z wojskiem siedemnastolatek ujrzął zniszczoną pasiekę. Podczas wojny giną ludzie i nie tylko... Następnych kilka dni spędzono na odśnieżaniu dróg.

W dzień Matki Boskiej Gromnicznej (2 lutego), wieczorem, do domu wkroczyło dwóch radzieckich żołnierzy. Kazali ubierać się Ludwikowi i jego trzem starszym siostram – młodsze rodzeństwo zostawiono z matką. Mówiono, że po sprawdzeniu dokumentów dzieci wrócą do rodzinnego domu. Rosjanie zaprowadzili rodzeństwo do Wałdowa, gdzie była już spora grupa ludzi. Czekali na dworcu ok. dwóch godzin.

Dokumentów jednak wciąż nie sprawdzano. Dalsza wędrówka przebiegała przez Rudę, Klęczkowo i zakończyła się w Trzebiełuchu. Był tam sztab NKWD. Mężczyźni byli więzieni w piwnicy, kobiety natomiast w innym pomieszczeniu. Rano i wieczorem więźniów wyprowadzano „w oborno”, czyli za potrzebą. W ciągu tygodniowego pobytu ani razu nie brano ich na przesłuchania. Następnie osoby przetrzymywane wsadzono na ciężarówki i cysterny, wieziono w kierunku Paparzyna, potem w lewo – przez Robakowo, Gorzuchowo, Działdowo, Błędowo, Wiewiórki i Radzyń Chełmiński do Jabłonowa Pomorskiego. Przemarnięci więźniowie musieli iść pieszo ok. 2 kilometry. Spali w gospodarstwie, na rozłożonych pękach słomy. Następnego ranka konwojent poinformował o konieczności przemarszu na zamek w Jabłonowie. Po drodze można było zauwa-

żyć, że okoliczne tereny to istne pobojuwisko – wszędzie leżał zniszczony sprzęt wojskowy i trupy. Po dojściu do twierdzy mężczyźni i kobiety ulokowani zostali w osobnych pomieszczeniach. Celem pobytu w tym właśnie miejscu miało być wydanie dokumentów, a pojmani mieli udać się do domów. Jak się okazało, było to zwyczajne oszustwo. Ludzie byli wyczytywani z listy i rewidowani. Zabierano wszystko, zegarki, obrączki, noże. Pan Ludwik wspomina: *Zostawiali tylko chusteczki, a to chyba dlatego, żeby było czym łzy otrzeć, które potem nieraz się polały*². Panu Żakowi zabrano nożyk oraz pudełko z drobiazgami. W Jabłonowie spotkał kolegę – Romana Groszewskiego oraz fotografa, pana Poznańskiego z Grudziądza. Po tygodniowym pobycie w Jabłonowie Rosjanie załadowali więźniów do wagonów towarowych i zawieźli do Ciechanowa, gdzie stało bardzo dużo baraków. Tam dopiero mieli dowiedzieć się, jaki faktycznie był cel tej podróży.

*Krótko po ofensywie styczniowej okazało się, że kolejną konsekwencją wyzwolenia stały się masowe aresztowania, a następnie deportacje do obozów pracy w Rosji ponad trzydziestu tysięcy Polaków z Pomorza i Górnego Śląska, w większości wpisanych do III DVL*³. Z powiatu grudziądzkiego wywieziono 1009 osób, w tym 129 ustalonych imiennie. Powód? My was oswobodziliśmy, więc wy musicie nam to odpracować⁴. Najwięcej deportowanych było w wieku 19–49 lat, natomiast prawie cztery razy mniej w wieku 15–18 lat. W tej drugiej grupie znajdował się pan Żak.

Na początku Ludwik bardzo się cieszył, że uda mu się zwiedzić obcy kraj, przeżyć przygodę. Rzeczywistość okazała się inna. Odbierano więźniom ich prywatne rzeczy. Zdzierali wszystko z człowieka i w zamian dawano brudne i stare ubrania. Mówiono po rosyjsku. Pan Żak znał ten język dosyć dobrze dzięki ojcu (mieszkał na Lubelszczyźnie). Kiedy w 1939 r. do Grudziądza wkroczyli Niemcy, z bibliotek i księgarni usunęli polskie książki, wstawiając w ich miejsce niemieckie i rosyjskie. Ojciec kupował Ludwikowi rosyjskie bajki, a chłopiec, chcąc poznać ich treść, uczył się czytać i mówić po rosyjsku. Gdy nadszedł wieczór, wniesiono do baraku stół i kilka krzeseł – dla komisji lekarskiej. Więźniowie byli

2 Tamże.

3 M. Golon, *Obława pomorska NKWD. Deportacje Polaków z Pomorza do obozów pracy ZSRS w 1945 r.*, „Miesięcznik Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej”, marzec 2016, s. 27.

4 Wspomnienia pana Ludwika Żaka.

wywoływani do „badania”, które polegało na tym, że lekarz pytał każdego, czy coś mu dolega. Na jednym końcu pomieszczenia zbierali się chorzy, na drugim – zdrowi, wśród których znalazł się opisywany 17-latek. Osoby przydzielone do tej drugiej grupy zostały odprowadzone na dworzec. Wchodziły do wagonów towarowych przystosowanych do przewozu ludzi. Były tam prycze, o które jednak trzeba było się mocno starać. Ludwikowi nie udało się „zdobyć” pryczy, jednak odszukał miejsce pod jedną z nich. Transport był uzupełniany przez dobę, aż uzbierało się ok. 5 tys. osób. Drzwi wagonu były cały czas zamknięte, więc panował tam mrok. Można było rozpoznać twarze osób będących blisko; na środku wagonu był kwadratowy otwór pełniący rolę ubikacji. Trzeciego dnia od wejścia Ludwika do pociągu ruszyli. Gdy wyjeżdżali z Polski, padał deszcz, a im dalej w głąb Rosji, tym było zimniej. W wagonie znajdował się piecyk z blachy, ale nie było czym palić, na jakiejś stacji podrzucono kilka mokrych kłód. Nie dano jednak żadnej siekiery. Każdego ranka Rosjanie przynosili dwa worki sucharów, trochę cukru i parę konserw. Na jedną osobę przypadały trzy suchary, trzy kostki cukru i mała łyżka konserwy! Jednak największym kłopotem był deficyt wody. Rano wypuszczano po nią jedną osobę z każdego wagonu – miała szczęście, gdyż mogła napić się do syta. Na jednego człowieka tej wody przypadało ok. 0,25 l. Marcowe noce były mroźne i na deskach osadzał się szron. Ci, którzy pierwsi się budzili, zeskrobywali szron, by choć trochę zwilżyć spękane wargi. Kiedy po wzroście temperatury szron topniał, zdarzało się, że ludzie przymarzali do podłogi.

Gdy transport dotarł do Moskwy, więźniowie mieli okazję zjeść pierwszą od dłuższego czasu potrawę gotowaną – kaszę pęczak. Jeśli osoby wysłane po wodę znalazły ciesielski hak i kamień, było czym rąbać drzewo, które jednak ze względu na wilgotność nie chciało się palić. Ludzie zaczęli umierać, a trupów nie wyciągano. Około 200 km od Moskwy pociąg zatrzymał się na stacji. Ludzie, którzy czuli się słabo, mieli wysiąść i pojechać do łagru saniami, a ci, którzy czuli się na siłach – pojechać dalej i dojść pieszo. Mimo że Ludwik nie czuł się zbyt dobrze, postanowił pójść pieszo, gdyż gwarantowało to możliwość jedzenia po drodze śniegu. Jak się jednak okazało, osoby słabsze wcale nie jechały na saniach, tylko zostały odprowadzone do bliższego łagru. Znalazła się wśród nich także pani Leokadia, wspomniana już siostra naszego bohatera.

Słabszych więźniów przeprowadzono przez miasto Szatura. 7 km dalej usytuowany był łagier, do którego wprowadzono Leokadię i współwięźniów. 15 marca 1945 r. zobaczyli trzymetrowy mur z drutem kolczastym, który jeszcze długo miał ograniczać im wolność. Jak się okazało, w obozie było już ok. 400 mężczyzn. Wszyscy mieścili się w trzech barakach. Deportowanych skierowano do łaźni, oddalonej o pół kilometra od łagru. Przez dwa tygodnie spali na deskach, dopiero potem otrzymali sienniki. Rzekome trzy tygodnie odpoczynku po podróży okazały się trzema dniami, po których wysłano więźniów na torfowiska. *Chlebek miły (...) chleb kochany*⁵ był, wraz z zupą, jedynym ich pożywieniem.

Rodzeństwo dzieliła znaczna odległość. Około godziny 11 deportowani rozpoczęli marsz polnymi, ośnieżonymi drogami. Szli gęsiego, prowadzeni przez konwojentów. Ludzie z okolicznych wiosek przychodzili, przyglądali się i rozdawali pierożki, chleby, placki. Około północy, po 12 godzinach wędrówki, dotarli na miejsce. Łagier Radowice. W centrum wsi było jezioro, po jego obu stronach były kaplice, a naprzeciw łagru klasztor z żółtą wieżą, która mieniła się w słońcu, jakby była ze złota. Nieopodal jednej z kaplic stała cerkiew. Wszystkie te murowane budynki sakralne były przystosowane do pełnienia świeckich funkcji publicznych.

Rosjanie wprowadzili deportowanych do jednopiętrowego budynku, gdzie czekały na nich zbite z desek prycze. Nad ranem nakazano więźniom zgromadzić się na placu łagrowym, gdzie oficer wygłaszał przemówienie. Zawarł w nim obowiązujące zasady, m.in. to, że nie wolno zbliżać się do płotu oraz uciekać, pod groźbą zastrzelenia. Zapewnił, że po tak ciężkiej podróży dostaną dwa tygodnie odpoczynku. Sformowani w brygady, więźniowie zostali przydzieleni do poszczególnych sal.

Na śniadanie dostali rzadką zupę i kawałek chleba. *Kobiety z tego chleba robiły paciorki do różańca, na którym się modliły*⁶. Kąpiel odbywała się w prymitywnej łaźni, każdy mył się w drewnianym cebrzyku. Żołnierze rozdali deportowanym zagłówki oraz sienniki, a następnie zaprowadzili do stogu z sianem, którym te przedmioty mieli napchać. Po powrocie do łagru dano więźniom koce, przeście-

5 Z wiersza autorstwa pani Leokadii Żak.

6 Wspomnienia pana Ludwika Żaka.

radła, ubrania i płytke kalosze, a także worki na nogi – „bachyły”. Wszyscy deportowani byli podzieleni na grupy. Pierwsza grupa to najmocniejsi, druga – słabsi, trzecia – najsłabsi. Czwartą grupą było OK – tj. Ozdrowiające Komando (osoby po wyjściu ze szpitala). Szpital był izbą wydzieloną w budynku łagru. Umierało w nim dziennie 5–6 osób. Do noszenia zwłok wyznaczono czterech silniejszych mężczyzn – tzw. truponoszy. W nocy wrzucano nagie ciała do zbiorowej mogiły.

Termin dwóch tygodni odpoczynku okazał się, jak wspomniałem wyżej, wyolbrzymiony, gdyż już na trzeci dzień pobytu w Radowicach deportowani musieli pracować w lesie, oddalonym od obozu o ok. 6 km. Prace kończyły się po południu o godzinie 16. Każdy więzień musiał sobie przywiązać kawałek torfu i zanieść do łagru. Gdy ktoś upadał, konwojent bił go, a kiedy okazało się, że nie może się podnieść, był niesiony na noszach. Przed wejściem do obozu należało oddać piły i siekiery. Po dokonaniu tej czynności trzeba było zejść do kuchni z naczyniami, gdzie nalewano zupę.

Jednego dnia ok. godziny 14 zwołano wszystkie brygady w jedno miejsce. Konwojent nakazał więźniom siadać na śniegu. Przyczyną tej nagłej zbiórki, jak się później okazało, była ucieczka trzech osób. Zbiegami byli kolejarze z Chełmży. Nim zdążyli się pożywić, konwojent już ich złapał. Na początku delikatnie się z nimi obchodził, jednak gdy doszli do łagru, bito ich kolbami karabinów do krwi, następnie wsadzono do karceru, czyli miejsca, gdzie trzymano nieposłusznych. Dwóch z uciekinierów zmarło, jeden, najmłodszy, się wyleczył. Mimo tych przestróg, Ludwik postanowił, że musi uciec – sam, bez żadnego towarzysza.

Pewnego dnia konwojent odliczył z brygady 10 osób. W tej szczęśliwej grupie znalazł się też Ludwik Żak. Zaprowadzono ich do klasztoru, gdzie mieli przebierać ziemniaki. Deportowani zapytali przewodniczącego kołchozu, czy można te ziemniaki ugotować. O dziwo, zgodził się i wybrali ok. 30 kg, dali najsilniejszemu mężczyźnie i przebierali dalej. Około godziny 14 weszły do pomieszczenia dziewczyny niosące dwa kotły z ziemniakami, które więźniowie łapczywie jedli. Kiedy największy głód był już zaspokojony, rozdzielili resztę pomiędzy siebie, po równo. Taka „uczta” już się więcej nie powtórzyła.

W Wielkanoc przed drzwiami klasztoru zebrali się ludzie, a pop odprawił nabożeństwo. Był wtedy w łagrze dzień wolny, toteż można było przyglądać się ceremonii. To był bardzo smutny widok, gdyż cerkiew zajmowały kołchozowe

krowy, a ludzie musieli uczestniczyć w nabożeństwach w tak niegodnych warunkach.

Gdy zaczął się maj, deportowani budowali ziemianki parę kilometrów od łagru, w lesie. Miał tam powstać nowy obóz. Ruszyły też roboty na torfowisku. Przedsiębiorstwo właśnie dzięki tym złożom miało wielkie zyski. Z początkiem maja uciekło dwóch Niemców, których zastrzelono, nie pozwalając odejść zbyt daleko. Kolejne przemówienie komendanta miało na celu objaśnienie, że lasy i łąki w pobliżu należą do ZSRR, niedługo wszyscy wrócą do domów, a jeśli ktoś odważy się uciec, dostanie dwa metry ziemi. Nie zgasiło to jednak zapалу Ludwika do ucieczki.

Pod koniec kwietnia Leokadia zachorowała na tyfus. W szpitalu dostawali jedzenie aż pięć razy dziennie. Po sześciu tygodniach Żakówna wróciła do zdrowia. Wkrótce otrzymała wieść o zakończeniu wojny. Przez trzy tygodnie była zwolniona od pracy, następnie wykonywała ją tylko przez cztery godziny dziennie, a przez kolejne trzy tygodnie zajmowała się chorymi w szpitalu.

Wielki problem w łagrze stanowiły wszy, zwane w slangu łagrowym „czołgami”. Środkiem do zwalczania pasożytów były dużych rozmiarów blaszane szafy, zwane przez Rosjan „prożarkami”, pod którymi rozpalony był ogień. Na hakach w ich wnętrzu wieszało się ubrania i bieliznę. Pod wpływem temperatury wszy wychodziły na wierzch i spadały, ginąc na gorącej podłodze. Gnidy jednak dalej się rozprzestrzeniały, toteż nie była to skuteczna metoda. Pierwszeństwo mieli ludzie miejscowi, więc deportowani z dalszych miejsc, jak Ludwik, rzadko dostępowali zaszczytu „prożarki”.

Gdy kończył się maj, panu Żakowi zaczęły puchnąć nogi, co było objawem śmiertelnej choroby, na którą często cierpieli ludzie w łagrach. Został odesłany do szpitala – ucieczka musiała być odłożona na później. W szpitalu były piętrowe, drewniane prycze. Jedynym lekarstwem były tabletki z wołowej krwi. Porcje chleba były mniejsze. *Leżeliśmy i myśleliśmy, kto z nas pierwszy odejdzie na tamten świat. Każdego ranka, jak żeśmy się obudzili, pierwszą czynnością było policzyć martwych i pomodlić się za ich duszę, potem przychodzili z obsługi szpitala i zabierali ich do piwnicy, by następnej nocy na ramionach truponoszy mogli odbyć swą ostatnią wędrówkę do lasu⁷.*

7 Tamże.

Jednak, jak się okazało, nie wszystkim pisana była śmierć. Opuchlizna na nogach Ludwika zmniejszała się, aż wreszcie po dwóch tygodniach ustąpiła. Pod koniec lipca przywieziono transport Węgrów. Część z nich okazała się chora, a że nie było ich gdzie umieścić, trzeba było ulokować ludność w szpitalu w łagrze w Radowicach. Konieczne było zwolnienie części osób ze szpitala. Komisja oceniała stan chorego w następujący sposób: każdy musiał wstać, oprzeć się rękoma o pryzę, wyciągnąć do tyłu nogi i dotknąć pryczy klatką piersiową. Kto dał radę unieść się do trzech razy, był zwolniony. Ludwik, wraz z innymi, którzy opuścili szpital, został przeniesiony do brygady OK.

Najsilniejsi z OK nosili wodę i rąbali drewno, słabsi porządkowali obejście, zbierali grzyby i szczaw. Ludwik chciał skorzystać z okazji i przygotować się do ucieczki. Z blachy wykonał nożyk, zdobył dwa pudełka zapalek, puszkę po konserwie i onuce. Wszystko to zapakował do woreczka i czekał na odpowiednią chwilę.

18 sierpnia 1945 r. udał się z częścią OK na grzyby. Na 24 osoby przypadało 10 dużych koszy, największy niosły cztery osoby. Jako słabych i chorych, puszczono ich bez konwojenta, jedynie policzono i wyznaczono jednego z więźniów na kierownika. Po pokonaniu ok. 5-kilometrowej drogi do lasu mogli chodzić, dokąd chcieli, i stawić się na zbiórkę ok. godziny piątej. Wraz z dwoma Polakami i Włochem Ludwik znalazł miejsce, w którym w pół godziny uzbierali pół kosza. Rozpalili ognisko, włożyli grzyby do puszek i wrzucili do ognia, by się usmażyły. Żak powiedział towarzyszom, że w pobliżu miało być jezioro, więc pójdzie i przyniesie trochę wody. Wiedząc, że z łagru do lasu szli na południe, obrał drogę w tym samym kierunku, by odejść jak najdalej. Ludwik od maleńkości bardzo lubił czytać, szczególnie atlas geograficzny. Wiedza zdobyta w ten sposób przydała się, gdy wiedząc, że są 200 km na wschód od Moskwy, obliczył, że do najbliższej granicy z Polską było ok. 2500 km.

Po przejściu ok. kilometra skończył się las i zaczęła równina, na której rosły karłowate brzoźki. Było ciepło, więc Ludwik zostawił przy dróźnie ciężkie i twarde buty otrzymane w łagrze i uciekał boso. Przez kilka kilometrów wędrówka wciąż odbywała się wśród brzożek, sporadycznie rosły znacznie wyższe od nich sosny. Ludwik wychował się koło lasu, spędzał całe dnie, wspinając się na drzewa. Korzystając ze zdobytych w ten sposób umiejętności, wdrapał się na drzewo

i rozejrzał dookoła. Wszędzie wkoło były tylko brzoźki i sosny, ale na południowym horyzoncie można było zobaczyć skupisko drzew przypominające wyspę. Tam też Żak postanowił się udać.

O ile droga nie była ciężka do przebycia, to tak samo wyglądający teren po wszystkich stronach mógł być mylący. Ludwik co kawałek wdrapywał się na wyższą sosnę, by sprawdzić, czy nie zboczył z drogi. Po kilku kilometrach wysepkę było widać z podłoża. Im bliżej niej, teren robił się coraz bardziej mokry. Na szczęście w najgłębszym miejscu woda sięgała mu po kolana, więc bez problemu przeszedł przez mokradła. Po obejściu mierzącego ok. 30 arów terenu napotkał ziemiankę, w której nikogo nie było. Wdrapał się na rosnące nieopodał drzewo, spojrzał w kierunku południowym i ujrzał wręcz identyczny widok do tego poprzedniego – równinę, a na horyzoncie kępę drzew, wśród których była wieża. Doszedł do wieży, jednak, zmęczony, wspinaczkę zostawił na dzień następny. Narwał paproci, zrobił legowisko, a w ochronie przed wilkami, od których w tamtych okolicach się roiło, rozpałił obok niego ogień. Ucieszony, że przetrwał, obudził się z twardego snu i podszedł do czterokondygnacyjnej drewnianej wieży. Na pierwszych dwóch oraz czwartym poziomie były drabinki – tak więc trzeba było trzecie piętro jakoś pokonać. Korzystając z warunków atmosferycznych (mgła), chciał coś zjeść, gdyż głód bardzo doskwierał. Grzybów jednak nie znalazł. Kiedy była dobra widoczność, wszedł na wieżę. Bezkręśna równina rozciągała się wokoło, a z tyłu, w słonecznym świetle połyskiwała złota wieża klasztoru w Radowicach. Trzeba było jednak ruszać dalej. Ciągłe żadnych śladów bytowania człowieka, jedynie tropy dzikich zwierząt. Po trzech czy czterech godzinach wędrówki zobaczył dwie kobiety i mężczyznę, którzy układali stóg siana. Było to świetne miejsce na nocleg, więc gdy odeszli, wygrzebał dziurę i miał zamiar się wyspać.

Dalsza ucieczka była niemożliwa. Idąc drogą, zwracałby na siebie uwagę – był wychudzony i łysy, a na pociąg nie miał pieniędzy. Stworzył plan dostania się do kołchozu – *należy mówić, że jest z łagru, ale nie pamięta jakiego i zgubił się w lesie na grzybach*. Ścieżka przekształcała się w drogę. Siedziały przy niej dwie dziewczyny, które bardzo uważnie i podejrzliwie przyglądały się deportowanemu. Niedaleko Ludwik znalazł sandały z łyka, a kawałek dalej była wieś, pełna drewnianych domków. Z jednego z nich wyszła kobieta i zapytała, czy jest głodny.

Jako że od dłuższego czasu nic nie jadł, nie mógł odpowiedzieć przecząco. Kobieta podała miskę zupy grzybowej na mleku i chleb. *Zwykłe sowieckie życie. W dzień szpicle. W nocy areszty. (...) W niedzielę miting. A każdego dnia nędza*⁸. Wypytywała wędrowca, kim jest. Odpowiedział według wcześniej ustalonej już wersji. Na pożegnanie zasugerowała, by szedł koło lasu, a nie dalej na południe, gdyż są tam łagry. Tak też uczynił.

Przy drodze zauważył małą chatkę. Pomyślał, że lepiej ją ominąć, toteż wszedł do lasu. Nagle, sprzed domku, radziecki żołnierz rozkazał mu wrócić. Obok żołnierza stały te dziewczyny, które wcześniej spotkał na drodze. Zapytany, kim jest i skąd się wziął, odpowiedział tak samo jak kobiecie we wsi, a także że chce iść pracować do kołchozu. Jedna z tych panien miała za zadanie doprowadzić wędrowca do tego kołchozu, jednak po drodze wstąpiła do swojego domu i przedstawiła go swojej matce. Tu również został nakarmiony zupą grzybową na mleku. Pewien czas rozmawiali, a następnie Ludwik z dziewczyną ruszyli do kołchozu.

Mniej więcej w tym samym czasie siostra Leokadia, odesłana do pobliskiej wsi do prac ogrodniczo-rolnych, usłyszała bardzo dobrą wiadomość. Kazano rzucić pracę i wracać do domu. 18 sierpnia kolejka wąskotorowa zawiozła ich do Szatury. Jednak zamiast na dworzec, zostali odprowadzeni do kolejnego obozu. Żakówna wypytywała o brata. Dowiedziała się, iż zaginął dwa dni przed planowanym odjazdem do Polski. Kolejnym łagrem była Sewierna Grywa. *A gdy ja w tym łagrze umrę (...) złóżcie róże na mój grób*⁹.

Wróćmy jednak do losów Ludwika. Biuro kołchozu mieściło się w cerkwi, jednak wszyscy byli przy żniwach i jedyną osobą, którą tam znaleźli, był magazynier. Po przedstawieniu przez młodą Rosjankę sprawy deportowanego, kazano czekać na przewodniczącego wsi. Magazynier był starszym człowiekiem, bardzo współczuł Ludwikowi. Poinformował, że wieś nosi nazwę Chmielnaja, rok temu byli w niej polscy żołnierze, a ok. 3 km stąd płynie rzeka Oka. Gdy nadjechał przewodniczący, magazynier opowiedział mu krótko o sytuacji Ludwika. Podjęto jednak decyzję, że jest już późno i zaprowadzono deportowanego do cerkwi, gdzie miał spać. Gdy się obudził i wyszedł z cerkwi, wokół niego gro-

8 S. Piasecki, *Człowiek przemieniony w wilka*, Łomianki 2013, s. 105.

9 Z piosenki z Charkowa spisanej przez panią Leokadię Żak.

madzili się ludzie. Każdy przyniósł coś do jedzenia. Gdy nadjechał przewodniczący kołchozu, oznajmił, że do pracy nie przyjmie, ale dał starszemu kołchożnikowi karteczkę i kazał odprowadzić Ludwika do sąsiedniego kołchozu. Rzekę Okę musieli przepłynąć łodzią. Niebawem znaleźli się we wsi o nazwie Kuźnica. W jednym z domów był mężczyzna w mundurze NKWD. Stary kołchożnik wręczył karteczkę, po przeczytaniu której urzędnik nakazał przewodnikowi odejść, a Ludwikowi usiąść. Został spisany protokół, jednak jedna rubryka pozostała pusta – miejscowość, w której znajdował się łagier. Urzędnik powierzył Ludwika starszemu stróżowi. Nim Ludwik zasnął, rozmawiali na różne tematy. Na koniec powiedział deportowanemu następujące słowa: *Najgorzej z całego świata jest w Rosji i w Chinach*¹⁰. Po obudzeniu się Żak siadł na ławce i czekał na dalsze decyzje urzędnika. Powtórzyło się to samo co w poprzedniej wsi – ludzie znowu gromadzili się i obdarowywali jedzeniem. Była sobota, 22 sierpnia. Około 11 przybył urzędnik. Uśmiechał się, jednak zapytany, dokąd jadą, odpowiedział tylko, że to 18 km drogi. Jeden koń był kulawy, więc do miasteczka Rybnoje dojechali po południu. Weszli do urzędu milicji.

Wieczorem zamknięto deportowanego w milicyjnym więzieniu. Było tam również dwóch Rosjan i Mongoł. W niedzielę przed południem Ludwika przyszedł zobaczyć żołnierz. Stwierdził, że to nie osoba, o którą mu chodziło. Prawdopodobnie, w którymś z pobliskich łagrów zaginął deportowany i sprawdzali, czy to czasem nie jest Żak. Wraz z przydzielonym konwojentem deportowany udał się na dworzec kolejowy. Stała tam dziewczyna, która jadła orzechy. Zmierzywszy wzrokiem Ludwika, spojrzała na funkcjonariusza NKWD, a ten z kolei skinieniem głowy zezwolił na rzucanie w chłopaka tymi właśnie orzechami. Chwilę potem nadjechał pociąg, a pilnowany przez konwojenta zbieg z łagru, podziękowawszy uprzednio dziewczynie, wsiadł do wagonu.

Kierunek jazdy był sprzyjający – oddalali się od pierwszego łagru w Radowicach. Po kilkugodzinnej jeździe i wędrowce weszli do kolejnego łagru. Według uzyskanych od Rosjanina informacji był to łagier polityczny. Ludwik przeczekał tam do wieczora, aż inny konwojent przyszedł i zaprowadził go do innego, oddalonego o kilka kilometrów obozu. Zaprowadzony do bloku przeznaczonego dla

10 Wspomnienia pana Ludwika Żaka.

Polaków, rozmawiał ze swoimi rodakami o przeżyciach, ciągle jednak zachowując wersję o zagubieniu się w lesie. Gdy nadszedł czas układania się do snu, więźniowie, którzy przybyli przed Żakiem, wzięli sienniki i poszli spać na korytarz. Zdziwiony chłopak został jednak i ułożył się na pryczy. Sen w tym miejscu nie trwał jednak długo, gdyż ból i swędzenie spowodowane pluskwami zmusiły Ludwika do spędzenia reszty nocy przed drzwiami. Po bardzo ubogim śniadaniu, przepytany przez radzieckiego oficera, wraz z konwojentem odesłany został z powrotem do łagru politycznego. Tam już kilku funkcjonariuszy NKWD zadawało pytania, na które należało odpowiadać bez chwili namysłu. Właśnie przez ten pośpiech Ludwik przypadkiem powiedział, że łagier znajdował się w moskiewskiej „obłasti”. Zaczęli więc czytać wszystkie nazwy łagrów tam się znajdujących, jednak z żadną z nich Żak się nie identyfikował. Nakazali wyjść Ludwikowi na korytarz, a po chwili przydzielili mu konwojenta, który miał odprowadzić deportowanego do łagru dla niemieckich niewolników. Wprowadzono Polaka bezpośrednio do karceru, który mieścił się w piwnicy. W tymże pomieszczeniu stały dwa żelazne łóżka, jedno miało lepsze wyposażenie i było zajęte przez Niemca. Podłoga była z desek, które gniły, a za ubikację służyło od dłuższego czasu nieopróżniane wiadro. Murowany piec był nieczynny. Dni wolno mijały. Wszystkie były takie same, a przetrwanie wciąż opierało się na zupie i kawałku chleba. Wszy dalej strasznie gryzły. Aż nagle, po około tygodniu, monotonię przerwał obchód komisji po łagrze. Składała się z kapitana, dwóch oficerów i jednego cywila. Weszli do karceru, rozejrzeli się, a gdy już mieli wychodzić, Ludwik odważył się zgłosić kapitanowi po rosyjsku, że musi skorzystać z pomocy lekarskiej. Zdziwiony kapitan wydał zgodę i po niedługim czasie przysłano gońca, który zaprowadził Żaka do niemieckiego lekarza, zmierzono ciśnienie i zawołano zwierzchnika – lekarza rosyjskiego. Ten po przeczytaniu wyniku wydał skierowanie do szpitala. Było to jak przeniesienie się do innego świata, porcje tak ubogiego przecież jedzenia były podwojone, czasem nawet chory otrzymywał szklankę mleka.

Pod koniec września przyjechał transport Niemców. Część z nich była chora, toteż należało przeprowadzić selekcję. Wyglądała ona jednak nieco inaczej niż w Radowicach – tym razem należało się rozebrać i położyć na brzuchu, a członkowie komisji patrzyli, jak wyglądają żebra. Ludwik, zwolniony ze szpitala, podjął pracę w łagrowej pralni. Na jeden dzień przypadało ok. 80 rzeczy do wyprania

w drewnianej balii za pomocą metalowej tarki. Poprawność wykonywanej pracy kontrolował brygadzysta. Upłynął tydzień. Był normalny dzień pracy, którą prze-rwało wejście do pralni radzieckiego żołnierza. Zapytał o Ludwika Żaka. Gdy ten przedstawił się, został powiadomiony, że już dawno powinien być w domu. Miał zostawić pracę, zabrać swoje rzeczy i wyruszyć w drogę.

Pojechali pociągiem do Moskwy, dokąd dotarli w nocy. Przesiedli się do innego pociągu, którym jechali przez cały następny dzień. Krótco po opuszczeniu wagonu znowu przeszli przez łagrowy płot i Ludwik skierowany został do „karca” w łagrze Sewierna Grywa. Spotkał w tym pomieszczeniu człowieka, z którym był w łagrze radowickim. Opowiedział mu, jak potoczyły się jego losy po ucieczce Żaka. Mianowicie, Ludwik „zgubił się” we wtorek, a w środę wszystkie brygady ruszyły na poszukiwania. Potem ludzie z okolicznych łagrów zostali ewakuowani do punktu zbiorczego, a małą ich część odesłano do Polski. W tej grupie miał się również znaleźć Ludwik. Następnego dnia rano konwojent stanął w drzwiach „karca” i nakazał Ludwikowi wyjść. W brygadzie spotkał znowu dużo twarzy znajomych z Radowic. Po powrocie z prac przy wydobywaniu torfu nie wrócił już do „karca”, lecz do brygady o ograniczonych możliwościach poruszania się po obozie. Wykonywali najcięższe prace.

Po dwóch tygodniach Ludwik, wywołany przez konwojenta, wyszedł z łagrowego budynku i zobaczył swoją siostrę Leokadię. Przywitali się ze łzami w oczach, jednak na dłuższe rozmowy brakło czasu – konwojent kazał wracać. Od tej pory widywali się często. Pewnego dnia do łagru przyjechali Rosjanie, którzy wybierali ludzi z pierwszej i drugiej grupy roboczej. Tu pojawił się problem, gdyż Leokadia, będąca w grupie drugiej, została wybrana, a Ludwik nie miał możliwości, gdyż znalazł się w trzeciej grupie. Uprosili jednak komendanta, by umieścić ich w tym samym oddziale, i tak wyruszyli węglarkami. Mieli jechać do innego łagru, by utworzyć batalion wolnych robotników. *Och, dobry Boże, дочекаć daj, zobaczyć znowu nasz piękny kraj*¹¹.

Chodzili do pracy bez konwojenta. Leokadia pracowała w lesie, a Ludwik, wraz z 11 innymi Polakami, w straży pożarnej. Po 12 godzinach pracy czekały ich 24 godziny wolnego. Można było pisać listy do domu. Przydzielili każdemu

11 Z piosenki łagrowej spisanej przez panią Leokadię Żak.

talony, za które można było kupić papier, coś do pisania i znaczki. List szedł w jedną stronę dwa miesiące.

16 czerwca 1946 r. posłaniec obwieścił, że wracają do domu. Wśród ogólnej radości należało władzom łagrowym zdać wszystko, prócz rzeczy, które miało się założone. O trzeciej w nocy nastąpił wymarsz do Szatury. Około 17 doszli do tegoż miasta. Łagrowicze zostali wpuszczeni do wagonów towarowych. Teraz jechali z otwartymi drzwiami, patrząc na tereny, na których toczyły się działania wojenne. W Brześciu nad Bugiem znowu weszli do obozu. Całe szczęście ten położony kilka kilometrów od granicy łagier był tylko etapem dalszej drogi do domu. Po dwóch tygodniach pobytu w tymże obozie zostali znowu załadowani do towarowych wagonów. Na granicy był postój. Zwolnieni z łagrów Polacy zostali przeliczeni, odczekano, aż wagony zostaną przystosowane do jazdy po polskich torach. To był wieczór, sobota 13 lipca 1946 r. Czekala ich całonocna podróż. Gdy nastał ciepły ranek, kolejarze przebywający w wagonach dostrzegli przez szpary między deskami, że znajdują się na trasie Radom–Kielce. Kolejną noc spędzili w stojącym już pociągu. W poniedziałek Ludwik wraz z innymi, uformowani w szeregi, wyszli na ulice Jaworzna. Na zwolnienie musiał czekać aż do soboty w przejściowym obozie pracy.

Żak po wyjściu z tego obozu szedł z Maksymilianem Zielińskim z Chełmży. Otrzymali kartki na darmowy posiłek z PCK oraz uprawnienie do darmowego przejazdu środkami lokomocji. Tramwajem dojechali na katowicki dworzec, skąd, po otrzymaniu z punktu Czerwonego Krzyża chleba i pieniędzy, mieli odjechać pociągiem pośpiesznym do Gdyni. Trzeba było jednak zmienić kierunek podróży, gdyż na północ nie było już miejsca. Skorzystali więc z pociągu do Poznania, który kończył swój bieg rano. Z Wielkopolski pojechali, również pociągiem, do Bydgoszczy, następnie do Torunia, aż wreszcie do Grudziądza. *Nastał spokój i swoboda (...) wracamy do ojczyzny, aby zacząć nowe życie*¹².

W rodzinnym Białym Borze Ludwik pożywił się i przebrał. Jego matka spaliła wszystkie rzeczy, które miał na sobie w Rosji, nie pozwoliła nic zatrzymać.

W Europie lato 1945 r. zaczęło się w radosnym nastroju. Przemijały już echa ciężkich walk na frontach. Alianci świętowali swój sukces – zwycięstwo nad

12 Z wiersza Pożegnanie Rosji autorstwa pani Leokadii Żak.

Niemcami. Niestety, w tym samym czasie w Europie Środkowej i Wschodniej daleko było do idylli. Wówczas na terenie Polski pod nową okupacją – tym razem sowiecką – „wprowadzanie wolności” wiązało się z przemocą, gwałtami, mordami, torturowaniem i „sądowymi” wyrokami śmierci. Dopiero od kilkunastu lat na nowo odkrywamy karty historii, zwłaszcza te „białe”, które powinny być czerwone, bo zabrudzone krwią naszych bliskich.

W Wigilię 2016 r., po ciężkiej chorobie, odszedł pan Ludwik Żak – niezwykle człowiek, świadek historii.

Na zakończenie mojej pracy chciałbym przekazać w całości wcześniej cytowane już fragmenty wierszy pani Leokadii Żak. Niech jej słowa pisane „tam i wtedy” choć trochę oddadzą codzienność ludzi wywiezionych na Syberię.

Osanowo

*W Osanowie łagier ciężki
choć nie zowią go tak wspólnie,
Utworzono z nas batalion,
I pracować trza podwójnie.
Praca ciężka, płaca mała,
tyraj człeku z całej siły,
za dwie zupki i dwie kaszki
i za czarny chlebek miły.
A za normę to pouczysz,
czegoś jeszcze nie znał w świecie,
„Tryśła chleba” i „goracze”
to wystarczy za to przecież.
Zdążysz podejść, już wołają,
bo czas pracy już się zbliża
Choć dopiero siódma bije,
więc na ósmą spiesz się hyżo.
Przepracujesz dzionek cały
osiem godzin to niedużo,
a gdy normy nie masz jeszcze,*

*przytrzymają cię i dłużej.
Nie pytają o jedzenie,
czy jest głodna, czy też syta,
Nawet nie myśl sobie o tem,
grunt, że praca jest odbyta.
Zanim przyjdiesz w łagier
znowu i pomyjesz brudne ciało,
zawołają na kolację,
lecz to wszystko jest za mało.
Nic nie zrobisz, trudna rada,
trza położyć się na prycę,
by zapomnieć ten głód srogi,
no i wszystkie me gorycze.
A gdy wspomnisz domek miły,
to zapomnisz wszelkie troski,
to zagłębiasz się w marzeniach,
widać tylko uśmiech boski.
Nie pomogą próżne żale,
ból swój niebu trzeba zlecić,
A samemu wciąż wytrwale
naprzód iść i świecić.*

Piosenka łagrowa

*W obcej krainie, w dalekiej stronie,
gdzie więdną mojej młodości dni,
gdzie żadna gwiazdka dla mnie nie płonie,
tam smutek serce zalewa mi.
A oczy często zalane łzami,
patrzę na zachód w bezbrzeżną dal.
Hen, aż do Polski, ojczystej ziemi,
ach, jak ogromny w sercu mym żal.
Bo widzę matkę, jak płacze o mnie
i wciąż do Boga modlitwy śle.
Ach, dobry Boże, błagamy Cię,
pozwól czem prędzej połączyć się.
Ach, ile razy śni mi się w nocy,
że jestem w domu z rodziną wraz.
A kiedy ze snu otworzę oczy,
ach, jestem w łagrze i wstawać czas.
Lecz jestem ufna nadziei tej,
że do Ojczyzny powrócę swej.
Ach, dobry Boże, doczekać daj,
zobaczyć znowu nasz piękny kraj.
A może mama moja nie żyje,
i gdy powrócę, nie będzie jej,
zimna mogiła ciało jej kryje
i nie zobaczę już mamy swej.
Ach, dobry Boże, miej litość, miej,
i nie zabieraj mi mamy mej
I pozwól ojcu mojemu żyć,
I daj nam wszystkim szczęśliwym żyć.
Albo też ojciec zginął na wojnie,
może z rodzeństwa nie wszyscy są
Więc serce bije wciąż niespokojnie,*

*rozpaczam wciąż nad dolą swą.
A gdy wrócimy z tej Ukrainy,
szczęśliwy będzie, kto wyjdzie stąd.
Bo tu zostały całe rodziny,
to ojciec, matka, siostra, brat.*

Piosenka z Charkowa

*Tam w Charkowie ostry łagier,
naokoło gruby mur.
Tam się wszystkie Polki grzebią,
tam wie każda, co to głód.
A gdy one z pracy wrócą
i na prycze kładą się,
wtenczas każda ciężko wzdycha
o straconej Polsce swej.
Tam, w Charkowie ostry łagier,
gdzie nie dojdzie słońca blask,
stałam często i płakałam,
serce rwało się zza krat.
Przyleć do mnie, ptaszku złoty,
przyleć do mnie, ptaszku mój.
I zaśpiewaj mi piosenkę
o straconej Polsce mej.
Młodsza siostra zapytuje:
mamo, gdzie siostrzyczka ma?
Ona w łagrze tam pracuje,
woła: mamo, ratuj mnie!
A gdy ja w tym łagrze umrę,
gdy w tym łagrze padnę trup,
zawieźcież mnie do Ojczyzny,
złóżcie różę na mój grób.*

**Wiersz ułożony w łagrze
Woroszyłowgrad na Ukrainie**

*Nie masz nad Polaka dzisiejszego człeka,
bo choć dola marna, to on lepszej czeka.
I choć los złowrogo wciąż go prześladowa,
on pełen nadziei sobie podśpiewuje.
Sprzedał swoje portki i wydał koszulę,
dostał garść tabaki i cztery cebule.
I czym może jeszcze ten biedak handluje
i pełen nadziei sobie podśpiewuje.
I biedni Polacy obdarci zostali,
wszystkie lepsze rzeczy za druty wydali.
A Polki łakome za puszkę wisienek
pozbyły się swetrów i swoich sukienek.
Stąd powstają w łagrze przeróżne kradzieże,
bo kto swego nie ma, to i cudze bierze.
I choć łagier bunkrem karze ich surowo,
to gdy z niego wyjdą, handlują na nowo.
Niedługo do domu, każdy się raduje,
i ostatek z siebie na handel czachruje,
by tylko do domu szczęśliwie wrócili.*

I miejsce

kategoria: szkoły ponadgimnazjalne

Daniel Zero

opiekun: Radosław Stawski

Zespół Szkół nr 1 im. Karola Wojtyły – Jana Pawła II

III Liceum Ogólnokształcące w Brodnicy

Tajemnica leśnej osady, czyli odkrywanie tragedii mieszkańców Białego

*Kto nie zna swojej przeszłości,
nie jest wart teraźniejszości
i nie jest godzien żyć w przyszłości*

Józef Piłsudski

Zawsze interesowałem się historią. Lubiłem wypytywać dziadka, póki jeszcze żył, a teraz wypytyuję babcię i starszych sąsiadów o różne wydarzenia z przeszłości. Ciekawi mnie to, jak się dawniej żyło na wsi, jakie panowały zwyczaje, jak się ludzie bawili, jak pracowali, a także jak udało im się przeżyć ostatnią wojnę, co jeszcze pamiętają z tych tragicznych czasów.

Bezpośrednich świadków tamtych wydarzeń sprzed ponad 70 lat żyje już coraz mniej. Z mojej najbliższej rodziny nikt już nie pamięta czasów wojny.

Interesuje mnie też bardzo historia regionu, w którym mieszkam. Oglądam różne ślady przeszłości, staram się zrozumieć ich znaczenie. Ostatnio natrafiłem



Krzyż upamiętniający zamordowane rodziny (fot. Daniel Zero)

na kolejny taki ślad, który bardzo mnie zaintrygował. Ta opowieść będzie właśnie dotyczyć mojego „prywatnego śledztwa” w tym zakresie. Ale od początku...

Na Pojezierzu Brodnickim znajduje się ponad sto jezior o powierzchni większej niż 1 ha. W upalne lato ubiegłego roku postanowiłem wybrać się wraz z bratem nad jezioro Wielkie Partęczyny, którego nazwa pochodzi podobno od występujących tu kilku par tęcz naraz.

Minęliśmy wieś Ciche w gminie Zbiczno i dotarliśmy do północnej części tegoż jeziora. Po kąpeli postanowiliśmy wybrać się na spacer. Przeszliśmy przez pozostałości wsi Iwanki i po kilkuminutowym marszu znaleźliśmy się na pełnym odludziu. Idąc lasem, dostrzegłem posrebrzany metalowy krzyż, na którym znajdował się następujący napis:

„W Białym – dnia 07.02.1945 r. zostały zamordowane rodziny: Smolińskich, Jabłońskich, Godzińskich, Hejka”.

Kto je zabił i dlaczego? Wojna przecież miała się niebawem zakończyć. Co doprowadziło do tej tragedii? Postanowiłem się tego dowiedzieć.

Historia spowita mgłą tajemnicy

Poszukiwania w bibliotece nie dały rezultatów. Również w Internecie nie mogłem odnaleźć interesujących mnie informacji. Zmuszony zostałem zmienić obszar poszukiwań. Dzięki rozmowie z historykiem, nauczycielem i autorem artykułów w lokalnej gazecie, Radosławem Stawskim, dowiedziałem się, gdzie mogę znaleźć potrzebne wiadomości oraz otrzymałem potrzebne materiały.

Głównym źródłem wiedzy okazali się okoliczni starsi mieszkańcy. Ich wypowiedzi dają ogólny zarys niezwyklej historii. Białe – to dawna, nieistniejąca już osada pracowników leśnych, sąsiadująca z miejscowością Iwanki. W czasie ostatniej wojny mieszkali w niej cztery wspomniane rodziny: Smolińskich, Jabłońskich, Godzińskich i Hejka. Historia wiążąca się ze zniknięciem mieszkańców osady 7 lutego 1945 r. i jest dowodem wyjątkowego bestialstwa Niemców w okresie wojny.

Styczeń, rok 1945. III Rzesza rozpoczęła odwrót z zajętych terenów, które zostają przejęte przez Armię Czerwoną i żołnierzy Wojska Polskiego. Gdy front znalazł się już za osadą Białe, przetaczając się przez opisywane tereny, do miejscowości wkroczył oddział niemieckich żołnierzy – Jagdkommando (była to formacja złożona m.in. z rosyjskich i ukraińskich renegatów, bandytów i zdeklarowanych volksdeutschów; wielu z nich w zamian za służbę w Jagdkommando – „Spielmannszugu”¹ odpuszczono kryminalne kary). Mieli ze sobą rannego – 19-letniego towarzysza broni, wartownika przy magazynach w okolicy Łąkorza². Mieszkańcom Białego kazano opatrzyć jego rany i zaopiekować się nim.

Nikt się do tego nie palił, jednak w obawie przed zemstą spełniono to żądanie.

Wkraczanie Rosjan nie było dla mieszkańców Białego powodem do radości. Zdawali sobie sprawę, że za ukrywanie niemieckiego żołnierza groziła śmierć z rąk NKWD. Obawa o własne życie zmusiła ich do działania. Rannego żołnierza

1 [online], [dostępny: <http://www.fronda.pl/blogi/prawda-o-nobliscie/zbrodnia-w-brodnicy,36702.html>], [dostęp: 05.02.2017].

2 Według niektórych źródeł, m.in. newslettera sołectwa Łąkorz, rannym mógł być Ukraińiec, ale bardziej prawdopodobne wydaje się, że był to Niemiec, co potwierdzają lokalni świadkowie zdarzeń, [online], [dostępny: <http://www.naszawioska.pl>], [dostęp: 05.02.2017].



Tabliczka z krzyża ku czci
zamordowanych (fot. Daniel Zero)

postanowili odprowadzić do zniemczonego Polaka – volksdeutscha Markwata, mieszkającego w pobliskiej wsi Iwanki.

Nie była to jednak – jak się wkrótce okazało – dobra decyzja. Markwat zamknął ранego Niemca w drewnutni, a sam, przejęty strachem, udał się wprost do stacjonującego już w szkole w Łąkorzu NKWD z wiadomością o obecności we wsi ранego wroga. Rosjanie zareagowali błyskawicznie. Rozkazali Alojzemu Sochackiemu przywieźć Niemca konnym wozem do siedziby NKWD. Podczas przesłuchania 19-latek zapewniał, że nigdy nie był na froncie, a do tej pory zajmował się wyłącznie pilnowaniem magazynów w Łą-

korzu. Mimo iż błagał o darowanie mu życia, postanowili go rozstrzelać. Egzekucji dokonano w piaskowni pod Łąkorzem.

Powrót Niemców i zdrada

Ranek, 7 lutego 1945 r. Do osady Białe powrócił niemiecki oddział z zamiarem przejęcia swojego towarzysza. Rodziny Godzińskich, Smolińskich Jabłońskich i Hejka obawiały się żołnierzy, jednak mimo to przyznały, że ранego u nich nie ma (stało się to, zanim wartownik znalazł się w rękach Rosjan, toteż nic nie wiadano o złożonym donosie). Zaprowadzono Niemców do Iwanek, tłumacząc się, że ranny miał być tam bezpieczniejszy i właśnie tam polecono im szukać ранego kolegi. Wrogie wojsko dotarło wkrótce na obszerne podwórze gospodarstwa pana Sochackiego. Według naocznych świadków oddział mógł liczyć 40 żołnierzy³. Między sobą porozumiewali się w języku niemieckim oraz w dialekcie zbliżonym do rosyjskiego, co wskazywałoby na to, że byli wśród nich Niemcy i Ukraińcy. Żołnierze wypytывали gospodarza o ранego Niemca. Przed

3 Tamże.



Obelisk z tablicą upamiętniającą ofiary zbrodni (fot. Daniel Zero)

obiadem, który żołnierze kazali sobie po-
dać, do Sochackich przysłała pani Grabow-
ska, której pozwolili wyjść dopiero po swo-
im odejściu.

Mieszkańcy wioski panicznie bali się
odpowiedzialności zbiorowej ze strony za-
gubionego na froncie oddziału wojska nie-
mieckiego. Gdyby na jaw wyszło, co stało
się z rannym żołnierzem, z pewnością spo-
tkałby ich tragiczny los. Dlatego solidarnie
twierdzili, że żadnego rannego Niemca tu
nie ma, bo i też go tu nigdy nie było. Żołnie-
rze niemieccy poczuli się oszukani i zapew-
ne już wtedy domyślali się śmierci młode-
go kolegi. Poprzysięgli zemstę na zdraj-
cach. Świadkowe opowiadają, że Niemcy



Tablica upamiętniająca, pochodząca
z obelisku ufundowanego przez braci
leśną (fot. Daniel Zero)

już wtedy zaczęli ostrzyć wojskowe noże i bagnety na osełkach i kamiennych kołowrotkach. Widać było, iż przygotowują się do opuszczenia wsi.

Na koniec zażądali od Sochackich posiłku. Gdy na zewnątrz zapadł zmierzch, ok. godziny 21.30 opuścili wieś i udali się w kierunku Białego.

Relacje ostatnich świadków masakry

Kolejne wydarzenia relacjonują: Kazimierz Rydel – mieszkaniec Łąkorza, który usłyszał tę opowieść od rodzeństwa Zygmunta i Geni Smolińskich — uczestników opisanych wydarzeń, oraz Regina Kulpa (z domu Smolińska), która opowiedziała swoje przeżycia Krzysztofowi Błażejowskiemu – redaktorowi „Expressu Bydgoskiego”.

W osadzie Białe o tej porze dzieci już spały. 15-letni wówczas Zygmunt Smoliński pamiętał, że do ich domu weszło czterech żołnierzy (pozostali okrążyli domy). Rozłożyli na stole mapę i zaczęli się naradzać. Od rodziny zażądali czegoś do jedzenia (w trakcie posiłku liczyli domowników), kłódki (której później użyli do zamknięcia stodoły) i latarenki naftowej.

39-letniej matce Zygmunta i Geni kazano wyjść na zewnątrz. Kobieta odmówiła. Wtedy podskoczył do niej jeden z oprawców i pewnym ruchem pchnął ją wojskowym nożem w okolice krtani. Dzieci widziały to przez uchylone drzwi. W tym samym czasie ktoś inny silnym kopnięciem wyważył drzwi ich domu. Do Smolińskich wtargnęli Niemcy wraz z Ukraińcami, siejąc popłoch i przerażenie.

Leżące w łóżeczkach dzieci: 11-letni Jan, 9-letnia Janina i 7-letnia Irena zaczęły krzyczeć – wspomina Kazimierz Rydel. – Wówczas napastnicy zdjęli z szyi automaty i zaczęli pruć seriami strzałów w ich kierunku. Cała trójka zginęła na miejscu. Od wystrzałów zginęła także sąsiadka – Hejkowa, która akurat była u Smolińskich⁴.

Zygmunt zdołał rzucić się między nogi Niemca i uciec na strych. Ukrył się tam w podartej pierzynie. Według relacji Reginy Kulpy został on trafiony w nogę. Mimo poszukiwań oprawcy go nie znaleźli.

4 R. Stawski, *Mord nad Jeziorem*, „Czas Brodnicy”, 2009, nr 16 (582), s. 10.



Zapomniane miejsce. Dawna osada (fot. Daniel Zero)

Jego siostra, 16-letnia Genia, otrzymała postrzał, który rozerwał jej policzek – relacjonuje Kazimierz Rydel – omdlała z bólu, upadła na podłogę. Przeleżała tak parę minut. W pewnej chwili ocknęła się z omdlenia i nieświadoma zagrożenia wstała. Słyszając kroki, położyła się na podłodze, jednak nie w to samo miejsce. „Hans sie ledt noch!” (Hans, ona jeszcze żyje!) – usłyszała słowa Niemca, który, chcąc sprawdzić swoje przypuszczenie, dla pewności zaczął wbijać jej bagnet w plecy⁵. Genia miała ogromne szczęście, ponieważ sztychy dotarły tylko do kości. Dzięki temu rany nie były głębokie, a co najważniejsze, nie uszkodziły żadnego organu. Dziewczynka nie straciła świadomości. Kątem oka dostrzegła, jak napastnicy kolejno wynosili na prześcieradłach zwłoki jej najbliższych. Sama również została zaniesiona do dołu w stodole.

Zaniesiono mnie do stodoły i rzucono na leżące w zagłębieniu ciała mamy i rodzeństwa – relacjonowała Krzysztofowi Błażejewskiemu Genia Smolińska. – Przysypano nas ziemią i przykryto słomą. Leżałam twarzą do ziemi, to mnie uratowało – mogłam oddychać. Najgorsze było to, że mama jeszcze żyła. Słyszałam, że przez jakiś czas mówiła, żeby stąd wyjść. Potem skarżyła się, że jest jej gorąco, aż w którymś momencie ucichła⁶.

Ocalenie

Niemcy i Ukraińcy zemścili się także na pozostałych mieszkańcach Białego. Śmierć dosięgła również Godzińskich i Jabłońskich. Żołnierze zabrali wartościowe rzeczy, demolowali wszystko po drodze. W akcie zemsty za wydanie ранego kolegi ciała zabitych Godzińskich zakopali w gnojowisku⁷.

Tymczasem Zygmunt Smoliński przez długie godziny leżał ukryty w pierzy nie, w końcu zasnął z wyczerpania. Ocknął się o 5 lub 6 rano, w każdym razie na zewnątrz nie świeciło jeszcze słońce. Gdy w półmroku stwierdził, że Niemców już nie ma, błyskawicznie wybiegł z domu na bosaka i w samej koszuli. Pobiegł do Łąkorza, by zaalarmować NKWD i milicję o całym zajściu. Chłopiec dostał na

⁵ Tamże.

⁶ K. Błażejewski, *Ostatni świadek masakry w Białem*, „Express Bydgoski”, [dostępny: <http://www.express-bydgoski.pl/archiwum/a/ostatni-swiadek-masakry-w-bialem,11380159/>], [dostęp: 05.02.2017].

⁷ R. Stawski, dz. cyt., s. 10.



Grób ofiar niemieckiego mordu z osady Białe, Łąkorz (fot. Daniel Zero)

miejsu wojskowe ubranie, jedzenie i herbatę ze spirytusem. Do osady przyjechało zaalarmowane wojsko – Rosjanie i Polacy.

W międzyczasie Geni udało się wygrzebać z dołu. Jednak drzwi stodoły były zamknięte na kłódkę. Dziewczyna położyła się i przykryła sianem, trzęsąc się z wyczerpania, głodu i zimna. O wschodzie słońca zauważyła przez szpary stodoły jakieś kolejne wojsko na podwórku. Prerażona pomyślała, że znowu przyszli Niemcy. Domyślili się, że jeszcze żyje i przyszli ją dobić.

Nagle zauważyła wśród żołnierzy swojego brata. Zaczęła go wołać na tyle głośno, na ile wystarczało jej sił. Żołnierze rozerwali kłódkę i weszli do środka. Dziewczyna była skrajnie wyczerpana, trzeba było odwieźć ją do szpitala.

Czytając listę ofiar, można się zastanawiać, gdzie w tym czasie byli mężczyźni. Otóż, tak jak wcześniej wspomniałem, osada Białe była miejscem zamieszkania pracowników leśnych.

Podleśniczy Franciszek Smoliński (42 lata) i jego współpracownicy Kazimierz Jabłoński (22 lata) i Alfons Hejka (37 lat) dwa dni przed masakrą (5 lutego 1945 r.) zostali aresztowani przez Rosjan. Wywieziono ich w nieznane miejsce,

skąd już nigdy nie wrócili⁸. Jak większość pracowników leśnych, oskarżono ich zapewne o donoszenie Niemcom na ukrywających się w okolicznych lasach partyzantów, bo taką praktykę dość powszechnie wtedy stosowano.

Te wydarzenia oznaczały kres istnienia osady. Obecnie w jej miejscu rośnie las. Nic, poza ufundowaną przez brać leśną tablicą pamiątkową oraz posrebrzanym metalowym krzyżem, postawionym przez rodziny ofiar, nie wskazuje na to, aby w tym miejscu istniała jakakolwiek osada. Nie ma tu obecnie nawet ruin domów. Zwłoki zabitych zostały oczywiście przeniesione. Pochowano je katolickim zwyczajem na cmentarzu parafialnym w Łąkorzu.

Napis na tablicy pamiątkowej głosi: „Pamięci pracowników leśnych, ich Rodzin – mieszkańców osady Białe (...) Wielka była ofiara Wasza. Niech pamięć o tym pośród tych sosen żyje na wieki, a potomnym przestrożą będzie”.

Lista ofiar – bezbronni i niewinni

Na płycie nagrobnej cmentarza w Łąkorzu możemy przeczytać dane ofiar zbrodni:

Smolińska Stefania z domu Redmer – lat 35 (na płycie w Białem – lat 39)

Smoliński Jan – lat 11

Smolińska Janina – lat 9

Smolińska Irena – lat 7

Jabłońska Leokadia z domu Rutecka – lat 54

Jabłońska Marianna – lat 25

Jabłońska Helena – lat 19

Jabłoński Bernard – lat 19

Godzińska Ludwika z domu Paturalska – lat 72

Godziński Józef – lat 76

Godziński Aleksander – lat 32

Czubkowska Janina – lat 16

Hejka Jadwiga z domu Radomska – lat 29

Niemcy i Ukraińcy okazali się bestialskimi zbrodniarzami, mordującymi

⁸ Nie ma ich na liście potwierdzonych ofiar wywózki, opublikowanej przez prof. Włodzimierza Jastrzębskiego w książce *W dalekim, obcym kraju: deportacje Polaków do ZSRR w 1945 roku*, Bydgoszcz 1990.

z zimną krwią bezbronnych ludzi, w tym dzieci i starców. Nie zdawałem sobie sprawy, że blisko miejsca mojego zamieszkania 72 lata temu rozegrała się podobna tragedia. Sądzę też, że mało kto w mojej okolicy zna szczegóły tej historii, dlatego warto je nagłośnić. Warto, by ofiara rodzin Smolińskich, Jabłońskich, Godzińskich i Hejka nie odeszła w zapomnienie.

Winowajcy do tej pory pozostają anonimowi. Nikt nie podejmuje interwencji w tej sprawie. Śledztwo prowadzone przez Okręgową Komisję Badania Zbrodni Niemieckich w Olsztynie zostało umorzone.

W pobliżu dawnej osady znaleziono odprute naszywki SS. Czy mają związek z przedstawionymi wydarzeniami? Nie wiadomo. Pani Regina Kulpa twierdzi, że kaci stanowili regularny oddział sił niemieckich, wycofujący się z Prus Wschodnich w kierunku twierdzy Grudziądz. Mimo upływu tylu lat, zagadka pozostaje nierozwiązana. Istnieje bardzo wiele niejasności. Być może zaangażowanie się w tę sprawę IPN-u lub grupy ekspertów rozwiąłoby wszystkie wątpliwości.

Warto interesować się historią, szczególnie przekazami ustnymi. Niezapisane opowieści świadków różnych wydarzeń najbardziej narażone są na niebyt. Dziś nie ma śladu po tętniących niegdyś życiem leśnych osadach Białe i Iwanki. Będąc tam, warto wsłuchać się w niespokojny szum lasu, z którego zrozumiałem taką pieśń...

Osada Białe

Cienka granica pamięć i zapomnienie

Posłuchaj pieśni drzew

o bohaterach narodu wołają lecz cichną z pokoleniem

Nie szukaj osady odeszła w zapomnienie

pamięć

zanika wraz z właścicielem Wspomnienie

noc ciemna

latorośl i gałąź sucha nie ma różnicy

lecz wspólna trumna

Cienka granica pamięć i zapomnienie

Źródła informacji:

Publikacje:

1. J. Dygała, *Brodnica: siedem wieków miasta*, Brodnica 1998
2. J. Wultański, *Śladami dawnej Brodnicy*, Brodnica 1995
3. W. Jastrzębski, *W dalekim, obcym kraju: deportacje Polaków z Pomorza do ZSRR w 1945 roku*, Bydgoszcz 1990
4. *Słownik Języka Polskiego PWN*, Warszawa 2012

Czasopisma:

R. Stawski, *Mord nad jeziorem*, „Czas Brodnicy” 2009, nr 16 (582), s. 10

Netografia:

<http://pl.wikipedia.org>

<http://www.frona.pl>

<http://www.naszawioska.pl>

<http://www.expressbydgoski.pl>

<http://ukraincy.wm.pl>

<http://www.czasbrodnicy.pl>

Przekazy ustne:

Praca powstała na podstawie rozmowy przeprowadzonej 5 kwietnia 2009 r. z Kazimierzem Rydlem (ur. 1928), emerytowanym stolarzem z Łąkorza, który swoje informacje zebrał w wyniku osobistych rozmów z Genią i Zygmuntem Smolińskimi – jedynymi mieszkańcami osady Białe, którzy przeżyli masakrę z 7 lutego 1945 r. Pomoc w znalezieniu miejsc: Roman Kulwicki, Tadeusz Kulwicki, Roman Rozwadowski.

II miejsce

kategoria: szkoły ponadgimnazjalne

Dominika Maciejewska

opiekun: Renata Lepsza
Zespół Szkół w Mogilnie

Historia mojego wujka

17 września 1939 r. do Polski wkroczyła Armia Czerwona. Była to realizacja wcześniej zawartego między III Rzeszą a ZSRR paktu Ribbentrop-Mołotow, a w szczególności tajnego protokołu. Jednym ze skutków radzieckiego najazdu na Polskę były deportacje ludności w głąb ZSRR. Polityka deportacji była jednym z narzędzi stalinowskiego systemu władzy. Już wcześniej, w 1937 r., z terenów zachodniej Ukrainy i Białorusi przesiedlono do Kazachstanu kilkadziesiąt tysięcy osób narodowości polskiej. Po agresji 17 września 1939 r. w obozach na terenie Związku Radzieckiego znalazło się ok. ćwierć miliona polskich żołnierzy.

10 lutego 1940 r. miała miejsce pierwsza fala deportacji ludności, m.in., urzędników, nauczycieli, prawników, kolejarzy, leśników. Akcją objęta została również rodzina mojego wujka. Dotyczyła ona przede wszystkim osób, które mogły mieć wpływ, zdaniem Stalina, na postawę pozostałej ludności na terenach włączonych do ZSRR. Dwie następne akcje przesiedlenia odbyły się 13 kwietnia 1940 r., a czwarta w czerwcu 1940 r.



Józef Klag – mój wujek,
mój bohater

Józef Klag – mój wujek, mój bohater

Rodzice mojego wujka wyjechali z Siekierczyny, powiat Limanowa, województwo krakowskie w marcu 1919 r. – do miejscowości Czerwień, powiat Podhajce, województwo tarnopolskie, gdzie zakupili gospodarstwo rolne. Mój wujek urodził się 18 lipca 1924 r. w tejże miejscowości. Do szkoły podstawowej uczęszczał we wsi Hnilcze. Szkoła była czteroletnia. 17 września 1939 r., po przekroczeniu granicy przez Rosjan, rozpoczęła się rzeź Polaków przez zamieszkałych tam Ukraińców. Od 18 września 1939 r. przez tydzień wujek spał przywiązany do drzewa, bojąc się, że w każdej chwili mogą przyjść Ukraińcy i wymordować całą rodzinę. 10 lutego 1940 r. przyszło pięciu uzbrojonych żołnierzy NKWD i bijąc kolbami w okna i do drzwi domu mojego dziadka, krzyczeli: „Otwierać drzwi”. Wtargnęli do środka, krzycząc „Ręce do góry!”. Przeprowadzili rewizję osobistą i mieszkania. Kazano ubrać się w ciągu 15 minut całej rodzinie wujka. Matka wujka oraz siostra Bronisława i jego brat Tadeusz zostali zabrani na sanie. Ojczym mego wujka, starszy brat Antoni, Józef (mój wujek) i młodszy brat Stanisław szli pieszo za saniami do stacji kolejowej w miejscowości Rudniki, oddalanej o ok. 50 km. Temperatura wynosiła ok. 30 stopni poniżej zera. Tam załadowano całą rodzinę wujka w wagony bydłące, które posiadały prycze. Siedzieli ściśle jak śledzie, ok. 100 osób w wagonie. Wieczorem przyszło trzech żołnierzy NKWD, spisywali dane poszczególnych rodzin. Gdy przyszła kolej na rodzinę mojego wujka, ojczym wuja podał nazwiska Kędziołka Wojciech, Agnieszka, Stanisław, Bronisława, Tadeusz. Przerwał i zaczął tłumaczyć, że moja prababcia ma dwóch synów z poprzedniego małżeństwa: Klag Antoni i wujek (Józef). Rosjanin zapytał: „Czy to jedna rodzina?”. Ojczym wujka odpowiedział, że tak, ale „nazwisko Antoniego i wuja pochodzi z pierwszego małżeństwa”. Rosjanin wpisał Kędziołka.

W nocy pociąg ruszył. Dojechali do Lwowa, tu pociąg stanął i zezwolono nabrać wody i dalej jechali na wschód. Na granicy polsko-radzieckiej zostali przeładowani do wagonów radzieckich (szerokotorówek) i jechali na Ural. Temperatura spadła do 40 stopni poniżej zera. Podczas podróży dano im po jednym bochenku na rodzinę. Na miejscu dojechali ok. 27 lutego. Miejscowość Pierwomajski Pasiołek. Tu znajdowały się baraki a w nich po 16 pomieszczeń, jedno

pomieszczenie miało ok. 12 m², w których umieszczono po 2–3 rodziny (od 12 do 13 osób). Spali na podłodze. Strasznie gryzły ich pluskwy. 1 marca 1940 r. wszyscy mężczyźni i kobiety, którzy byli zdolni do pracy, zostali skierowani do pracy w kopalniach złota. Wujek miał wtedy niecałe 16 lat i nie przydzielono go do pracy. Małoletnim i starszym dawano 0,5 kg chleba, natomiast pracującym 0,8 kg na dobę i nic więcej. W związku z powyższym, aby zwiększyć porcję chleba, wujek musiał zmienić datę urodzenia i podał, że jest o dwa lata starszy. Przyjęto go do pracy w kopalni Kierowska Szachta, jako wozaka wagoników górniczych pod ziemią. Wujek, ze względu na wiek i złe odżywianie, był bardzo słaby. Kiedy wagonik wypadł z szyn, wujek nie miał siły go podnieść. Z płaczem prosił przypadkowych pracowników, aby mu pomogli. W związku z tym zarobek wujka był bardzo mały. *Z rodziną nie mogliśmy wyżyć, a pracować nie miałem siły* – wspominał. Po dwóch miesiącach poszedł do naczelnika, aby przeniósł go na powierzchnię, do wożenia wagoników i wysypywania do zsypów.

Pod koniec lipca 1941 r. NKWD zorganizowało zebranie, ogłaszając, że są wolnymi obywatelami na mocy porozumienia między ZSRR a Rządem Polskim w Londynie. Powiadomili również, że mężczyźni mogą wstąpić do Wojska Polskiego na terenie ZSRR. Wtedy zrobili listę ochotników i wysłali do przedstawicielstwa Wojska Polskiego (Armii Andersa) w Moskwie. 28 września 1941 r. zostali wezwani przez NKWD na komisję wojskową do Armii Andersa. 29 września wujek poszedł na komisję i chciał wrócić do swojego prawdziwego nazwiska – Klag i daty urodzenia 1924 r. Odrzucono go jednak na komisji, ponieważ był za młody. 1 października 1941 r. wujek zdecydował się więc pójść do Swierdłowska, gdzie znajdowało się także przedstawicielstwo Armii Andersa. Tam odbywała się rejestracja i wszystkich odsyłano wagonami towarowymi do Buzułuku. Ponieważ przez pomyłkę wujek nie został wpisany na listę wyjeżdżających, wszedł do wagonu na siłę.

Podróż trwała ok. dwa tygodnie. Po dotarciu do Buzułuku, ze względu na dużą liczbę ochotników, pięć dni czekali w wagonach, po czym skierowano ich przez Taszkient do rzeki Amu-daria. Następnie załadowano ich na barki i z prądem rzeki płynęli ok. 10 dni (600 km). Po dopłynięciu na miejsce skierowano ich do pracy w kołchozach. Po dwóch tygodniach pracy dostali polecenie ponownego zgłoszenia się w porcie, gdzie zostali znów załadowani na barki. Przez miesiąc

płynęli do stacji kolejowej powrotną drogą. W pierwszym okresie dwóch tygodni dostawali po 0,5 kg chleba na dobę. W drugim okresie już tylko minimalne stawki, aby przeżyć. Podróż trwała długo, ponieważ płynęli pod prąd i często grzęźli na mieliźnie. Barki były towarowe, żelazne, gdzie spali bez przykrycia w samych kufajkach, w grudniu, przy ujemnej temperaturze. Było sześć barek sprzęgniętych po dwie razem. Po kilku dniach zostali załadowani do wagonów i przez trzy dni jechali. Przez następne dwa dni szli ok. 70 km do kołchozu, gdzie umieszczono ich w lepiankach z gliny. Następnego dnia była Wigilia Bożego Narodzenia. Nic nie mieli do jedzenia.

Wujek zauważył stertę, która z bliska wyglądała jak pszczele plastry. Okazało się, że są to ziarna i plewy bawełny, których zębami nie można było ugryźć. Dopiero po sparzeniu w ogniu można było po trochu skubać zębami. Przy takim posiłku spędzili w 12 osób Wigilię i Boże Narodzenie 1941 r. Pracowali przy zbieraniu bawełny. W zamian dostawali do jedzenia 0,5 kg dziugary (odmiana prosa) na dobę. Była to jednostka administracyjna – Sza frykańskoja Bucharskaja Oblast'. Tam mój wujek zostawił swojego ciężko chorego brata Antoniego, którego widział wtedy po raz ostatni.

Następnie poszli pieszo do kolejnej stacji, skąd przewieziono ich do Kermine w Uzbekistanie, gdzie była organizowana Armia Polska. Około siedem dni czekali na komisję lekarską i przyjęcie do wojska. 10 lutego 1942 r. wujek został umundurowany w angielski mundur jako żołnierz i przydzielony do 8. Kompanii 22. Pułku Piechoty 7. Dywizji pod dowództwem gen. Zygmunta Szyszko-Bohusza w Kermine. 10 lutego 1942 r. kompania liczyła 125 żołnierzy. Po 25 dniach z powodu różnych chorób zostało 48 żołnierzy. Umierali oni z powodu głodu i braku lekarstw. 28 marca wyjechali pociągiem z Kermine do portu w Krasnowodsku. Tam załadowano ich na statek i przez Morze Kaspijskie po trzech dniach dotarli do portu w Pahlevi w Iranie. Podczas rejsu do jedzenia dostali po dwa suchary i cztery śledziki. W Pahlevi nastąpiła wielka radość, ponieważ 4 kwietnia (Wielka Sobota) dostali 14 tumanów (waluta irańska) na osobę na 10 dni.

Po dwóch tygodniach zostali skierowani przez Irak do Palestyny, do miejscowości Ibna. Udało mu się zwiedzić Betlejem i Jerozolimę. Widział Drogę Krzyżową, grób Pana Jezusa. Po 15 dniach wyjechał z żołnierzami nad Kanał Sueski do Port Saidu. Tam zostali załadowani na statek „Mauretania” i Kanałem



Legitymacja mojego wujka

Sueskim, przez Morze Czerwone i Ocean Indyjski – popłynęli do Afryki Południowej, do portu Durban. Następnie pojechali pociągiem do Pietermaritzburga. Po 10 dniach powrócili do portu Durban. Na statek „Frankonia” załadowano ok. 2,5 tys. żołnierzy i zaczęli przyjmować jeńców włoskich (ok. 7 tys.). Po załadowaniu jeńców wypłynęli statkiem „Frankonia” do portu Kapsztad. Później przez Ocean Atlantycki dotarli do Anglii, do Liverpoolu, gdzie jeńców przejęło wojsko angielskie. Żołnierzy przewieziono do WKR w Ohtertul ok. 28 lipca 1942 r.

5 sierpnia 1942 r. w Wojskowej Komendzie Rekrutacji wujek zmienił nazwisko i datę urodzenia na właściwe – Klag Józef, urodzony 18 lipca 1924 r. Po rejestracji i komisji lekarskiej został ochotniczo skierowany do pierwszej kompanii, pierwszego batalionu 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej. Dowódcą pierwszej kompanii był Szelepin, dowódcą całej brygady spadochronowej był gen. Stanisław Sosabowski. Dowództwo mieściło się w Leven w Largochoaus w Szkocji. Stacjonowali w namiotach pod wieżą spadochronową, tam wujek został przeszkolony jako spadochroniarz.

Po kursie i skokach spadochronowych z samolotu nad Manchesterem wujek został przeniesiony do czwartego batalionu, dziesiątej kampanii w miejscowości Yele, skąd poszedł na kurs kierowców od 4 stycznia do 6 marca 1943 r. Po ukończeniu kursu w marcu został przydzielony do kampanii dowodzenia 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej w Leven (Szkocja), gdzie był w plutonie transportowym. W maju 1944 r. wyjechał ze Szkocji do Anglii. Wraz z kampanią dowodzenia 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej wylądował w Normandii drogą morską, jako późniejszy desant przez Francję, Belgię do Holandii, brał udział w operacji powietrzno-desantowej pod kryptonimem „Market-Garden”



Legitymacja mojego wujka – inwalida wojenny

w Arnheim-Driel w Holandii (21 września–7 października 1944). Następnie został oddelegowany do Szkocji do dyspozycji Zapasowej Brygady Spadochronowej.

Od 8 lutego 1944 do 24 marca 1945 r. rozpoczął kurs mechaników w Londynie w dzielnicy Dagenham (fabryka Forda). W maju 1945 r. został wysłany do brytyjskiej strefy okupacyjnej w Niemczech, służył tam w miejscowości Firstynau. 1 lipca 1947 r. wujek zgłosił się do Ośrodka Demobilizacyjnego nr 2 w Quakenbrück, skąd skierowano go do Polski (Szczecin), gdzie nastąpiła demobilizacja 8 lipca 1947 r. Ze Szczecina przyjechał do rodziny w Stroniu Śląskim (Kotlina Kłodzka), gdzie mieszkała matka z siostrą i bratem, którzy wrócili z zesłania z Syberii 6 kwietnia 1946 r. Natomiast pozostali członkowie rodziny wujka: babcia, ojczym, dwóch braci oraz kuzyni zmarli na Syberii z wycieńczenia i głodu.

Od 8 maja 1945 do 8 lipca 1947 r. wujek brał udział w okupacji Niemiec. Od 15 lipca 1947 do 31 grudnia 1949 r. pracował w lesie, a od 2 stycznia do 1950 do 31 sierpnia 1957 r. – w kamieniołomie. Od 1 września 1957 do 8 listopada 1978 r. był kierownikiem kolumny transportu sanitarnego w szpitalu w Stroniu Śląskim. Wujek zmarł w wieku 85 lat, był inwalidą wojennym I grupy.

Podsumowanie

Pisząc tę pracę, nie miałam dużego problemu ze znalezieniem informacji, ponieważ wnuk wujka (mój kuzyn) miał zebrane wszystkie informacje na jego temat i przekazał mi je z nadzieją, abym i ja podzieliła się nimi z innymi. Dlatego zebrane tu zdjęcia i informacje pochodzą z rodzinnego archiwum.

Czy mój wujek należy do grona bohaterów „tworzących naszą historię”? Uważam, że TAK. Przeżył wojnę, niewolę i walczył o wolność naszego kraju. Za swoją walkę został nagrodzony w wolnej Polsce tytułem „Weterana Walk o Wolność i Niepodległość Ojczyzny” i uhonorowany za swoją działalność w Wielkiej Brytanii.

OSTATECZNIE NADESŁANE Z ANGLII ODZNACZENIE WUJKA

Toye, Kenning & Spencer Ltd.

LONDON

FOUNDED 1685



Odznaczenie dla wujka z Wielkiej Brytanii



WICEWOJEWODA KUJAWSKO-POMORSKI
ARKADIUSZ HORONZIAK

Bydgoszcz, kwiecień 2004 r.

WPS. VI-HB.5017-13/04

Szanowny Panie

Pragnę przekazać w załączeniu Patent „Weterana Walk o Wolność i Niepodległość Ojczyzny”, który został Panu przyznany decyzją Prezesa Rady Ministrów oraz Kierownika Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Dokument ten jest wyrazem uhonorowania zasług i dokonań w walkach o wyzwolenie Ojczyzny, Pana patriotyczna postawa winna wzbudzać najwyższe uznanie i stanowić wzór dla współczesnych i przyszłych pokoleń.

Mam nadzieję, że Patent stanie się pamiątką dla Pana i będzie powodem do dumy dla najbliższej rodziny.

Wykorzystując okazję, chciałbym również życzyć Panu zdrowia, pogody ducha i wszelkiej pomyślności.

Z wyrazami szacunku

Wicewojewoda Kujawsko-Pomorski
Arkadiusz Horonziak

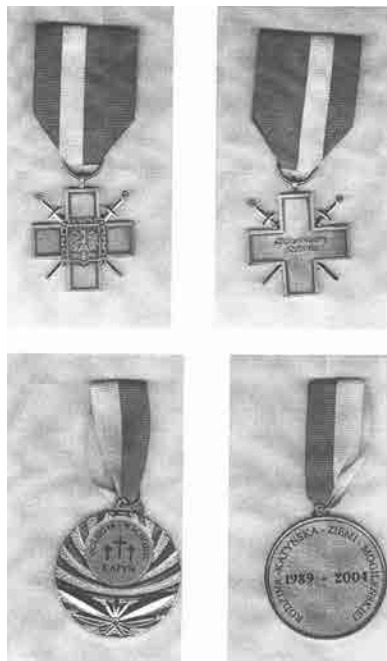
Patent dla „Weterana Walk o Wolność i Niepodległość Ojczyzny”



Patent przyznany przez Prezesa Rady Ministrów dla mojego wujka



Odznaczenia wujka z czasów wojny



Odznaczenia wujka z czasów wojny



III miejsce

kategoria: szkoły ponadgimnazjalne

Anna Borowicz

opiekun: Zofia Wojtalik

Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych w Chełmży

Lokalne Milenium? Wizyta prymasa Stefana Wyszyńskiego w Chełmży oczami świadków

Wstęp

Niedawno obchodziliśmy 1050. rocznicę chrztu Polski. Miasto, w którym mieszkam, a także szkoła, do której uczęszczam, również obchodziły ten jubileusz. Wydarzenie to sprawiło, że zaciekało mnie, jak przebiegały obchody tej rocznicy 50 lat temu. Napisano na ten temat wiele książek i artykułów, jednak zazwyczaj uwagę poświęcano głównym obchodom. Tymczasem mnie zainteresowało, jak te uroczystości wyglądały w okolicach Chełmży, czyli w mojej małej ojczyźnie. To zainspirowało mnie do napisania tej pracy. Jej tematem będą organizowane przez polski Kościół obchody Milenium Chrztu Polski, ale także państwowe obchody Tysiąclecia Państwa Polskiego w mieście i gminie Chełmża. W ich trakcie, w ciągu dekady od 1957 do 1967 r., obie instytucje starły się w walce na konkurencyjne obchody tej ważnej rocznicy.

Przez krótki moment w tamtym okresie Chełmża znalazła się w centrum wydarzeń. Było to w czasie wizyty prymasa Stefana Wyszyńskiego w naszym

mieście. Udało mi się znaleźć dwóch naocznych świadków tej wizyty i tego, co się wówczas wydarzyło. Jedną z relacji jest historia widziana oczami osoby dojrzałej, byłego nauczyciela i dyrektora szkoły, do której uczęszczam, pana Ryszarda Muzioła, a druga oczami dziecka, kiedyś ucznia mojej szkoły, a teraz nauczyciela, który mnie uczy, pana Ryszarda Imieli.

Stosunki państwo–Kościół w latach 1945–1960

Do stycznia 1945 r. komuniści w stosunkach z Kościołem stwarzali pozory otwartości. Zezwolili na powrót do szkół religii, reaktywowanie Caritasu i innych organizacji charytatywnych, kapelani wznowili posługę w szpitalach i więzieniach. Władze zezwoliły na powrót do kraju prymasa Augusta Hlonda, który posiadał pełnomocnictwa papieża do uporządkowania spraw Kościoła na Ziemiach Odzyskanych. Kościół wydawał prasę katolicką, m.in. „Niedzielę”, „Tygodnik Warszawski” i „Tygodnik Powszechny”

Jednak były to tylko pozory. Wkrótce stało się jasne, że porozumienie obu stron będzie bardzo trudne. 12 września 1945 r. Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej zerwał konkordat z 1925 r. Przy tej okazji władze zaczęły nagonkę na papieża Piusa XII, pod pretekstem podejrzenia o sprzyjanie hitlerowskiemu Niemcom. W 1947 r. komuniści rozpoczęli trwającą do 1956 r. ostrą walkę z wpływami Kościoła. Próbowano zepchnąć go na margines życia publicznego, a następnie wnikać do niego i rozbić od wewnątrz. Komuniści odciągali od Kościoła młodzież, zachęcając do wstępowania do Związku Młodzieży Polskiej, w którym organizowano niedzielne wyjazdy oraz inne podobne zajęcia. Ze szkoły wyrzucano księży katechetów pod pozorem szerzenia propagandy antykomunistycznej.

Od 1947 r. zaczęły powstawać ateistyczne szkoły, a te prowadzone przez zakony szkalowano i zamykano. Zaczęto wyrzucać kapelanów z więzień i szpitali. Kościół znalazł się w defensywie i próbował bronić się przed tymi atakami. Swoją niepokojącą wyraził w liście pasterskim z 8 września 1947 r.¹

1 A. Dziurok, M. Gałęzowski, Ł. Kamiński, F. Musiał, *Od niepodległości do niepodległości. Historia Polski 1918–1989*, Warszawa 2010, s. 323.

W lipcu 1949 r. powstała państwowo-kościelna komisja mieszana, w której skład ze strony Kościoła weszli: biskup Zygmunt Choromański (sekretarz Konferencji Episkopatu Polski), biskup płocki Tadeusz Zakrzewski i biskup łódzki Michał Klepacz. Władze reprezentowali: Władysław Wolski (minister administracji państwowej), Franciszek Mazur (poseł i sekretarz KC) i Edward Ochab (członek Biura Politycznego KC). Podpisana deklaracja gwarantowała Kościołowi nauczanie religii w szkołach, funkcjonowanie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i organizacji charytatywnych oraz pozwolenie na posługę księży w szpitalach i więzieniach. W zamian duchowieństwo miało wzywać do szanowania władz i sprzyjać utrzymywaniu porządku na niespokojnych Ziemiach Odzyskanych.

W tym samym czasie zaczęto realizować plan Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, zgodnie z którym w każdym województwie odbył się przynajmniej jeden pokazowy proces z udziałem księdza. Jakby tego było mało, komuniści zajęli szpitale prowadzone przez zakonnice, a we wrześniu 1949 r. wprowadzono przepisy prawne zmuszające biskupów do zawieszania działalności wszystkich katolickich stowarzyszeń (poza archidiecezją krakowską) i organizowania zgromadzeń religijnych (poza Bożym Ciałem). Zakazano zbiórek do puszek oraz wprowadzono księgę rozrachunkową nr 11, która pozwoliła władzom na wgląd w budżety parafii. Władze nakładały na nieruchomości kościelne wysokie podatki, zajmowały majątki na Ziemiach Odzyskanych oraz wzmocniły sieć informatorów pośród księży². W styczniu 1950 r. rozwiązano struktury i zarekwirowano mienie Caritasu oraz wprowadzono przymusowy zarząd. Owe poczynania władzy nakłoniły prymasa Polski, kard. Stefana Wyszyńskiego, do podpisania 14 kwietnia 1950 r. układu. W tym porozumieniu Kościół zgodził się nie przeszkadzać w kolektywizacji i w tępieniu bandytyzmu, tzn. przystał na akcje przeciwko pozostałościom podziemia niepodległościowego. Zobowiązano się do nakłonienia Watykanu, aby ten ustanowił stałe diecezje na Ziemiach Odzyskanych. Państwo natomiast obiecywało zgodę na nauczanie religii w szkołach, zachowanie istniejących jeszcze szkół katolickich oraz zezwolenie na wydawanie prasy katolickiej.

2 A. Albert, *Najnowsza historia Polski 1914–1939 r.*, Warszawa 1995, s. 442.

Do 1954 r. komuniści zlikwidowali wydziały teologiczne na UW i UJ oraz powołali do życia, kierowaną przez ludzi ze współpracującego z władzami stowarzyszenia PAX (tzw. katolicy postępowi), Akademię Teologii Katolickiej w Warszawie. Urząd Bezpieczeństwa w celu „łamania” zwykłych księży wykorzystywał ich słabości, jak np. alkohol, kobiety. Część księży nie wytrzymała presji i przechodziła na stronę władz, zasilając szeregi tzw. księży patriotów. Korzystali oni z licznych przywilejów, np. mieli dostęp do materiałów budowlanych na remonty lub budowę kościołów, mogli korzystać z sanatoriów, byli zwalniani z podatków oraz nagradzani odznaczeniami państwowymi³.

9 lutego 1953 r. władze wydały dekret o obsadzaniu stanowisk duchownych. Odtąd o obsadzaniu tych posad decydowali komuniści. Prawo to obejmowało zarówno wikariuszy, jak i biskupów. Spotkało się to z ostrym sprzeciwem Kościoła, a wyrażone zostało w słynnym liście do władz *Non possumus* z 8 maja 1953 r. Stwierdzono w nim, że biskupi wolą w ogóle nie obsadzać stanowisk kościelnych, niż godzić się na ludzi podstawionych przez państwo. Kościół posunął się nawet do groźby ekskomunikowania tych, którzy odważą się objąć jakieś stanowisko bez zgody władz kościelnych.

Władze eskalowały napięcie i represje jesienią 1953 r. Biuro Polityczne KC podjęło decyzję o internowaniu kard. Wyszyńskiego. Nocą 25 września prymasa potajemnie aresztowano i wywieziono z Warszawy. Kiedy papież dowiedział się o tym zdarzeniu, nałożył klątwę na organizatorów tego zajścia. Prymas był przetrzymywany w odosobnieniu do jesieni 1955 r. To wydarzenie „złamało” ducha w hierarchach, którzy 28 września 1953 r. wydali ugodowy w stosunku do komunistów komunikat, w którym zobowiązywali się do przestrzegania porozumienia z kwietnia 1950 r. Wkrótce też złożyli przysięgę na wierność PRL i jej rządowi. Władze, widząc słabość Kościoła, wymusiły na nim wydanie odezwy do społeczeństwa, w której wzywały do udziału w wyborach do rad narodowych w 1954 r.

Początek rządów Gomułki zaowocował powrotem z więzienia kard. Wyszyńskiego (1953–1956). W styczniu 1957 r. władze polskiego Kościoła, z prymasem Wyszyńskim na czele, starając się podtrzymać dobre stosunki z władzą, spełniły

3 A. Dziurok, M. Gałęzowski, Ł. Kamiński, F. Musiał, dz. cyt., s. 326.

swój „obowiązek sumienia wzięcia udziału w głosowaniu”. Niestety nie zapobiegło to kolejnemu rozbiciu relacji władz i Kościoła, a ich pozorna przyjaźń opierała się na strategii politycznej, a nie rzeczywistej chęci zmian. Komuniści zawzięcie starali się zmniejszyć kościelne wpływy, dlatego stworzono Stowarzyszenie Ateistów i Wolnomysłicieli, którego zadaniem było promowanie poglądów materialistycznych i ateistycznych. Nazwano to ofensywą ateistyczną⁴.

Pasowało to do ogólnej strategii władz komunistycznych, opierającej się na obietnicach bez pokrycia i zapewnieniach o przyjaznych intencjach oraz staraniu się, aby nie doszło do ostatecznej konfrontacji. Kościół był zmuszony do zachowania neutralności, a komuniści pod pretekstem obojętności osłabiali pozycję Kościoła⁵. Świadomy dwulicowości politycznych przywódców Polski, kard. Wyszyński postanowił temu przeciwdziałać.

Przygotowania do obchodów Milenium Chrztu Polski na terenie diecezji chełmińskiej i Tysiąclecia Państwa Polskiego w województwie bydgoskim

W tych warunkach Kościół rozpoczął przygotowania do obchodów tysiąclecia chrztu Mieszka I i włączenia Polski w krąg chrześcijańskiej cywilizacji Zachodu. Z punktu widzenia biskupów religijny wymiar tych uroczystości, nazwanych Milenium Chrztu Polski, był oczywiście najważniejszy. Władzom takie obchody były jednak nie w smak.

W 1957 r. Kościół ogłosił dziewięcioletnie przygotowania do Milenium Chrztu Polski, zwane programem „Wielkiej Nowenny”. Odpowiedzią na to była uchwała Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z 25 lutego 1958 r. o obchodach Tysiąclecia Państwa Polskiego. Oczywiście władze wypierały się, że ów program miał być kopią katolickich obchodów. Kościelne uroczystości były jednak uznawane przez komunistów za część walki ideologicznej⁶.

Program Wielkiej Nowenny rozpoczął się 3 maja 1957 r. na Jasnej Górze od powtórzenia przyrzeczeń jasnogórskich z 26 sierpnia 1956 r. Tekst przyrzeczeń

4 A. Dziurok, M. Gałęzowski, L. Kamiński, F. Musiał, dz. cyt., s. 322.

5 W. Pronobis, *Świat i Polska w XX wieku*, Warszawa 1990, s. 396.

6 *Tysiąclecie kontra Milenium 1966–1967* [film], reż. G. Kopeć, W. Słota, Warszawa 2006.

powstał w Komańczy, czyli w bieszczadzkim miejscu uwięzienia prymasa. Śluby podejmowały bolączki życia moralnego Polaków. Dotyczyły codziennych spraw: katolickiego wychowania dzieci i młodzieży, wartości rodziny, wierności małżeńskiej, walki z pospolitymi wadami narodu, obrony życia nienarodzonych dzieci i rozszerzania kultu maryjnego. Jasnogórskie Śluby Narodu stały się programem odnowy życia religijnego w Polsce.

W ramach obchodów Milenium Chrztu Polski każda diecezja obchodziła swoje uroczystości. W diecezji chełmińskiej początkowy termin celebracji wyznaczono na 26 czerwca 1966 r., jednak na prośbę prymasa Wyszyńskiego przeniesiono je na 10–11 września 1966 r.⁷ Na główne miejsce uroczystości diecezjalnych wybrano Toruń. Powodem była nie tylko jego wielkość i znaczenie, ale także względy historyczne. W Toruniu podpisane zostały obydwa pokoje polsko-krzyżackie, odbyło się Colloquium Charitativum, czyli słynne rozmowy teologów różnych wyznań chrześcijańskich. Tam też w 1473 r. urodził się astronom i kanonik Mikołaj Kopernik. Dwudniowe obchody planowano jednak zakończyć w Chełmży. Dlaczego? Dlatego że to tutaj do 1824 r. znajdowała się stolica diecezji chełmińskiej. Zachowały się zdjęcia dokumentujące te obchody i obecność prymasa w Chełmży i Toruniu⁸

Władze województwa bydgoskiego, podobnie jak w całej Polsce, usiłowały ingerować w przebieg uroczystości i utrudniać je. Uroczystości kościelne zostały poprzedzone rozmowami oficerów z kapłanami diecezji. Były organizowane również spotkania dla urzędników wojewódzkich. Władze wojewódzkie postanowiły zorganizować obchody 500. rocznicy II pokoju toruńskiego (w ramach Tysiąclecia Państwa Polskiego). Początkowo termin obchodów jubileuszu II pokoju toruńskiego zaplanowano na 3–4 września 1966 r., ale gdy okazało się, że termin obchodów kościelnych przypada na 10–11 września, zmieniono go tak, aby obie uroczystości odbyły się w tym samym czasie. Oczywiście władze komunistyczne zrzuciły winę na stronę kościelną, oskarżając ją, że chciała przejąć datę dla siebie. Partia zaproponowała społeczeństwu dożynki gromadzkie, konkursy, zawody strażackie, imprezy sportowe i wycieczki szkolne.

7 A. Dziurok, M. Gałęzowski, F. Musiał, dz. cyt., s. 328.

8 W. Konopka, *Pobyty prymasa Stefana Wyszyńskiego w Toruniu. Z dziejów kościoła katolickiego w Polsce po II wojnie światowej*, Toruń 2012, s. 90.

Mimo usilnych starań władz i prób uniemożliwienia wiernym przyjazdu do Torunia (np. przez blokowanie komunikacji publicznej), wielu nie ustąpiło i liczne grono wiernych przybyło do Torunia z całej Polski⁹.

Przebieg uroczystości w Chełmży przedstawię w kolejnym rozdziale pracy.

Obchody Milenium Chrztu Polski oczami świadków – dzieci i osoby dorosłe

W tym rozdziale zaprezentuję relację z pobytu prymasa Stefana Wyszyńskiego w Chełmży 11 września 1966 r. Wysłuchałam przekazów dwóch naocznych świadków wydarzeń – Ryszarda Imieli i Ryszarda Muzioła. Obaj panowie są nauczycielami z mojej szkoły.

Profesor Ryszard Imiela tak wspomina wydarzenia:

W roku 1966 miałem dziewięć lat. Odbierałem wszystko to tak, jak może małe dziecko, ale o wizycie ks. prymasa w Chełmży z okazji Milenium Chrztu Polski mówiło się tak dużo, że nie sposób było o niej nie wiedzieć. Była oczekiwana z ogromnym zainteresowaniem. Chełmża, jako historyczna stolica diecezji chełmińskiej, czuła się szczególnie doceniona. Pamiętam, jak w ten sposób to wydarzenie komentowali moi rodzice. Nie było widać żadnych wątpliwości, że całą rodziną udamy się do kościoła na uroczystości. Na godzinę przed zapowiadanim przyjazdem prymasa udaliśmy się wszyscy do naszej kolegiaty. Niestety, tłum ludzi był tak wielki, że nie było mowy, by wejść do świątyni. Ledwo udało nam się znaleźć miejsce gdzieś w połowie ul. Tumskiej. To i tak dobrze, bo ludzie gęstym szpalerem stali na rynku i nawet dalej. Jak daleko – nie wiem. No i stało się – kawalkada samochodów nadjeżdżała. Zgromadzeni rzucali pod koła pojazdów kwiaty. Ojciec trzymając mnie za ramię, wypchnął mnie przed siebie, abym mógł wszystko widzieć. Samochody jechały wolno w kierunku świątyni. Biły dzwony. W tłumie panował wielki entuzjazm. A potem uroczystości przeniosły się do wnętrza świątyni. Wszyscy stojący przed kościołem mogli się jej przysłuchiwać dzięki megafonom. Podczas kazania ks. prymasa ludzie słuchali w skupieniu. Stałem u boku rodziców i mało z tego

9 G. Miloch, *Obchody Milenium w Toruniu i w Chełmży. Krajowy obchód milenijny diecezji chełmińskiej*, „Ate-neum Kapłańskie” 2007, z. 3 (589) s. 451.

rozumiałem. Wyczuwałem jednak, że dzieje się coś ważnego. Mimo bólu nóg od długiego stania w jednym miejscu, stałem posłusznie. Kiedy wróciliśmy wieczorem do domu, dyskusje między rodzicami i dorosłymi krewnymi ciągnęły się jeszcze długo. Tak było też i w następnych dniach.

Kolejna relacja ze zdarzeń należy do pana Ryszarda Muzioła, który był w owym czasie dorosłą osobą, a więc sposób, w jaki interpretował i zapamiętał te wydarzenia, był inny. Oto jego obserwacje:

Przyjazd prymasa z części Episkopatu na ziemię chełmińską to przykład tego, jak ogólnopolskie obchody milenijne przebiegały w lokalnej skali. W przeddzień przybycia ks. kard. Stefana Wyszyńskiego do Chełmży, a więc 10 września 1966 r., odbyło się w kościele Świętej Trójcy czuwanie zakończone Mszą św. Celebrował ją i wygłosił homilię biskup pomocniczy gorzowski, ks. Ignacy Jeż. Następnego dnia, a więc już 11 września 1966 r. rano, Mszę św. odprawił biskup diecezjalny lubelski, ks. Piotr Kałwa.

Później dla dużej rzeszy wiernych z Chełmży i okolicy, równoległe z uroczystościami w Toruniu, kolejną Mszę św. celebrowali biskup Ignacy Jeż i biskup pomocniczy gnieźnieński ks. Lucjan Bernacki. Uroczystość z udziałem dostojnego gościa była zaplanowana tego dnia, czyli w niedzielę, na godzinę 17.00.

Po zakończeniu uroczystości w Toruniu i krótkim odpoczynku prymasa kolumna składająca się z 14 motocykli i siedmiu samochodów okręgną drogą przez Wrzosey, gdzie około godziny 16.30 na chwilę zatrzymano się w parafii pw. św. Józefa, około 16.40 wyruszyła do Chełmży przez Łubiankę, Biskupice i Kończewice. Kolumna przybyła do Chełmży, jadąc ulicą Polną, następnie M. Nowotki (dzisiaj gen. Hallera), przez plac Wolności (Rynek) i Tumską dotarła około 17.15 przed kościół. Samochody ominęły w ten sposób zorganizowany na trasie Toruń–Chełmża wyścig kolarski, który był elementem organizowanych przez władze konkurencyjnych obchodów, a jednocześnie miał utrudniać podróż z Torunia do Chełmży.

Aby odwieść od udziału w podniosłej uroczystości, która miała się odbyć w Chełmży, zorganizowano zloty organizacji młodzieżowych Związku Młodzieży Wiejskiej i Związku Młodzieży Socjalistycznej. Poza tym w czterech miejscowościach odbywały się w tym samym czasie dożynki gminne: w Zalesiu, Zelgnie, Łysomicach i Łubiance. Oprócz starszych mieszkańców mobilizowano do udziału w nich młodzież szkolną, zespoły artystyczne i sportowe. W tych „dobrowolnych” impre-

zach uczestniczyli pracownicy chełmińskich zakładów pracy i szkół. „Zaproszono” wszystkich na imprezę do Zalesia. Samochody ciężarowe wywiozły tę grupę, w której ja się również znajdowałem do rozjazdu dróg w Obrębie, by resztę drogi pokonała pieszo. Tu zdecydowana większość uczestników zaskoczyła organizatorów i porządkowych, skierowała się bowiem w przeciwnym kierunku. Ponieważ na szosie był nieustanny ruch, szliśmy większą część drogi do Chełmży rowem bądź poboczem. Spoceni, zakurzeni, jednak zdążyliśmy na uroczystość.

Należy zwrócić uwagę na nieprzebrane tłumy wiernych. Według szacunków kościelnych około 20 tysięcy, władze wskazywały na liczbę 3–4 tysięcy. Ksiądz kard. Stefan Wyszyński podróżował czarną limuzyną, na której umieszczona była metalowa plakietka z napisem „Dar Polonii Amerykańskiej”. Samochód zarzucony został przez wiwatujące tłumy bukietami kwiatów.

Następnie uczestniczyłem w historycznej dla miasta i parafian mszy z udziałem prymasa Wyszyńskiego, zajmując miejsce na chórze, gdzie przebieg wydarzeń nagrywał magnetofonem pan Marian Dorawa. Było to przeżycie niezapomniane, budujące duchowo.

Wierni, którzy wypełnili kościół po brzegi, przywitali gości gromkimi okrzykami „Sto lat” i „Niech żyje nam”. Po odśpiewaniu „Ecce Sacerdos magnus” („Oto wielki Kapłan”) i krótkiej adoracji Najświętszego Sakramentu duchowni zajęli miejsca i wysłuchali powitań młodzieży i delegacji. Główny ołtarz przyozdobiono wielkim napisem „Te Deum laudamus” („Ciebie Boga wystawiamy”), a z góry ołtarza spływały po bokach biało-czerwone flagi z orłami w dolnej części. Z kolei biskup chełmiński Kazimierz Józef Kowalski przedstawił historię diecezji, a należy pamiętać, że Chełmża przez 570 lat była stolicą diecezji i obecność prymasa w mieście miała symboliczny charakter – była nawiązaniem do korzeni chrześcijaństwa i Kościoła chełmińskiego czasów średniowiecza.

Uroczystą Mszę św. odprawiał w koncelebrze były proboszcz chełmiński (1952–1962) i biskup pomocniczy chełmiński, ks. Zygfryd Kowalski. Homilię z ambony wygłosił prymas Stefan Wyszyński. Wszystkie kazania nagrywano na magnetofon, by mieć ewentualnie dowód w sprawie. Udział w uroczystości wzięli m.in.: ks. arcybiskup Antoni Baraniak z Poznania, ks. arcybiskup Bolesław Kominek z Wrocławia, ks. biskup Edmund Nowicki z Gdańska, ks. biskup Franciszek Jop z Opola, ks. biskup Józef Drzazga z Olsztyna, ks. biskup Stefan Bareła z Częstochowy,



Ks. kard. Stefan Wyszyński podczas obchodów Milenium Chrztu Polski w Chełmży. Z archiwum Szymona Szczęsnego. Fot. Henryk Kaczmarek

ks. biskup Jerzy Modzelewski z Warszawy, ks. biskup ordynariusz chełmiński Kazimierz Józef Kowalski, ks. biskup pomocniczy Zygfryd Kowalski z Pelplina, o. Jerzy Tomziński, generał paulinów z Częstochowy, przedstawiciele innych zgromadzeń zakonnych, senaty Akademii Katolickiej w Warszawie i KUL-u w Lublinie, ks. Zygmunt Michelis, duchowny Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, w sumie 40 dostojników Kościoła. Na zakończenie Mszy św. odmówiono Modlitwę Tysiąclecia, zaśpiewano hymn „Te Deum” oraz udzielono błogosławieństwa. Zachowało się zdjęcie z tego momentu uroczystości.

Msza św. w Chełmży kończyła uroczystości milenijne w diecezji chełmińskiej.

Z kościoła procesja ruszyła w kierunku plebanii, gdzie wieczerzą dostojnych gości podjął ks. proboszcz Alfons Groszkowski. Następnie prymas Polski około 20.30–21.00 wrócił z Chełmży do Torunia, do klasztoru Sióstr Elżbietanek.

Podsumowanie

Na podstawie książek, filmów i artykułów zebrałam informacje na temat obchodów Milenium Chrztu Polski i Tysiąclecia Państwa Polskiego. Praca miała

na celu pokazanie, w jaki sposób władze państwowe i Kościół, czyli instytucje, których zadaniem powinno być łączenie społeczeństwa, prowadziły wojnę o dominację i jakie były skutki takiego działania. Gdy dochodzi do działań tak absurdalnych, jak aresztowanie obrazu, to jest to niezbity dowód na to, że rządzący stracili kontakt z rzeczywistością i nie wiedzieli, jak zareagować. Jednocześnie z pracy wynika, że sprzeciw wobec działań takiej władzy może mieć pokojowy charakter – czasem, by go wyrazić, wystarczy udział w Mszy św.

Do napisania pracy zmobilizowało mnie również to, że przez chwilę, a mianowicie 11 września 1966 r., Chełmża i jej mieszkańcy stali się częścią wielkiej historii zmagania między Kościołem a władzami PRL. Wielu z nas sądzi, że żyjąc w tak małej miejscowości jak nasza Chełmża, nie mamy wpływu na wydarzenia z „wielkiego świata”. Tymczasem z relacji zamieszczonych w rozdziale trzecim, zwłaszcza pana Ryszarda Muzioła, wynika, że czasem jednak możemy mieć.

Źródła informacji:

1. Wspomnienia profesora Ryszarda Imieli oraz Ryszarda Muzioła
2. A. Albert, *Najnowsza historia Polski 1914–1993 r.*, Warszawa 1995
3. A. Dziurok, M. Gałęzowski, L. Kamiński, F. Musiał, *Od niepodległości do niepodległości. Historia Polski 1918–1989*, Warszawa 2010
4. W. Konopka, *Pobyty prymasa Stefana Wyszyńskiego w Toruniu. Z dziejów Kościoła katolickiego w Polsce po II wojnie światowej*, Toruń 2012
5. G. Miloch, *Obchody Milenium w Toruniu i w Chełmży. Krajowy obchód milenijny diecezji chełmińskiej*, „Ateneum Kapłańskie” 2007, z. 3, nr 589), s. 451–464
6. W. Pronobis, *Świat i Polska w XX wieku*, Warszawa 1990
7. *Tysiąclecie kontra Milenium 1966–1967* [film], reż. G. Kopeć, W. Słota, Warszawa IPN, 2006

Wojewódzki Konkurs im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej „Oni tworzyli naszą historię”

2018 – X EDYCJA



I miejsce
kategoria: szkoły gimnazjalne

Monika Lisiecka

opiekun: Marcin Lisiecki
Szkoła Podstawowa im. Jana Czochralskiego w Kcyni

„O wydarzeniach”, czyli wspomnienia mojej Babci Teresy z okresu wojny i okupacji (1939–1945)

Czy młodzi ludzie interesują się przeszłością swojej rodziny? Czy rozmawiają z rodzicami i dziadkami o tym, co działo się w ich rodzinie kilkadziesiąt lat temu? Na te pytania można odpowiedzieć twierdząco bądź przecząco.

Uważam, że każdy z nas powinien wiedzieć, skąd pochodzi, jakie ma korzenie. Tylko w natłoku codzienności często o tym zapominamy.

Nie każdy interesuje się przeszłością, nie każdy próbuje nawet poznać to, co było udziałem jego przodków. A przodkowie nasi żyli w zupełnie innych realiach, w innej rzeczywistości. Nie zajmowali żadnych eksponowanych stanowisk, nie odgrywali żadnej znaczącej roli w dziejach naszego narodu. Ale żyli, uczyli się, pracowali, walczyli o Polskę tak, jak tylko umieli.

Rodzina mojego taty ze strony dziadka wywodzi się z Gniezna, a więc kolebki polskości. Życie mojego prapradziadka Telesfora przypada na okres zaborów i odzyskiwania przez Polskę niepodległości w 1918 r. Jego dwaj młodszy bracia Władysław i Wincenty brali udział w strajku szkolnym 1905 r. w podgnieźnieńskiej Dębnicy, a później w powstaniu wielkopolskim 1918–1919. Władysław zmarł



Podczas gromadzenia informacji rodzinnych. Autorka pracy wraz ze swoją Babcią

w 1973 r., Wincenty pod koniec lat 60. Brat Babci mojego taty ze strony ojca, Ludwik, walczył w kampanii wrześniowej 1939 r. i 17 września 1939 r. poległ podczas ataku lotniczego pod miejscowością Załusków. Spoczywa wraz z blisko 1200 żołnierzy polskich w kwaterze wojennej cmentarza parafialnego w Iłowie.

Jego szwagier, a mój pradziadek Edmund, walczył w kampanii wrześniowej 1939 r. w szeregach kcyńskiego batalionu Obrony Narodowej. Przebijając się przez Puszcę Kampinoską w kierunku Warszawy, został ciężko ranny w ramię. Życie uratował mu różaniec, który nosił w jednej z kieszeni munduru na piersiach. Wzięty do niewoli, cudem uciekł z transportu wiozącego go wraz z innymi polskimi żołnierzami do jednego z obozów jenieckich. Na szczęście transport przejeżdżał przez rodzinne Gniezno i to właśnie tam pradziadek uciekł. Przeżył wojnę i okupację. Przez wiele lat pracował w nieistniejącej już kopalni soli w Wapnie. Zmarł w 1982 r.

Rodzina Babci ze strony mojego taty wywodzi się z Małopolski. W okresie zaborów była więc poddana rządów austriackim, później austro-węgierskim.

Prapradziadek Marcin był kołodziejem w jednym z małopolskich dworów. Miał wraz z moją praprababcią Marianną kilkoro dzieci. Część z nich wyemigrowała za chlebem do USA.

Rodzice mojej Babci Teresy (ur. w 1938 r.) ze strony taty – pradziadek Franciszek i prababcia Józefa – pochodzili z Podkarpacia, którego mieszkańcy żyli biednie, na małych kawałkach ziemi, ale znani byli z przywiązania do niej i umiłowania Ojczyzny.

Nic więc dziwnego, że pradziadek Franciszek (1900–1967) i jego brat Stanisław (1896–1968) jako młodzieńcy zaangażowali się w ruch niepodległościowy. Pradziadek pojechał gdzieś w okolice Krakowa, gdzie u boku Józefa Piłsudskiego mógł walczyć o niepodległość. Niestety, po krótkim czasie, chyba ze względu na młody wiek, zmuszony był powrócić na wieś.

Jego starszy brat został powołany do armii austro-węgierskiej. W jej szeregach walczył na Bałkanach, by w końcu znaleźć się w Błękitnej Armii gen. Józefa Hallera, z którą to powrócił do niepodległej już Polski. Kiedy znalazł się już na terenie kraju, skierowano ich do walk na frontach wojny polsko-bolszewickiej (1919–1921). Z zachowanych przez Babcię fragmentów wspomnień utkwilo mi to o szczególnie ciężkich warunkach atmosferycznych na terenie Rosji i o walkach z oddziałami konnymi. Szczegółów już Babcia dziś nie pamięta. A szkoda. Ze swoim bratem Stanisławem pradziadek do końca swojego życia utrzymywał bardzo bliskie stosunki i relacje rodzinne. Obydwaj darzyli się wielkim szacunkiem, który pozostawili w spadku młodszemu pokoleniu.

W 1927 r. moi pradiadkowie założyli rodzinę i wychowywali dwóch synów: Stanisława i Mariana.

Jak większość ludzi na tym terenie, żyli ubogo i zapewne marzyli, by zmienić swoje życie na lepsze. Okazja taka nadarzyła się, gdy po wielkiej powodzi w latach 30. państwo umożliwiło im wyjazd na Pomorze, gdzie otrzymali średnie gospodarstwo wraz z nowymi zabudowaniami. Nie przegapili okazji i latem 1938 r. osiedlili się w Turznie na tzw. Abisynii, daleko od centrum wsi i szosy.

We wrześniu ich synowie poszli do szkoły podstawowej w Mycielewie w powiecie szubińskim. W grudniu tego roku urodziła się wymarzona córka (moja Babcia). Do szczęścia już dużo nie brakowało, ale nastał niespokojny 1939 r. i tragiczny Wrzesień.

Lato tego roku zdominował niepokój i przygotowania do obrony kraju. Wielu młodych mężczyzn powołano do wojska. Mobilizacja ominęła mego pradziadka, z czym on się nie mógł pogodzić. Przecież jak inni chciał bronić swej Ojczyzny. Wraz z innymi młodymi mężczyznami udał się do Bydgoszczy, licząc na to, że przyjmą go i pozwolą walczyć. Niestety...

Ze złamanym sercem i opuszczoną głową musiał wrócić do domu. Dlaczego? Najprawdopodobniej na skutek przedwojennej przeprowadzki nie był nigdzie zarejestrowany. W podobnym nastroju, pieszo, ok. 50-kilometrową trasę pokonało kilku jego sąsiadów.

We wrześniu 1939 r. chłopcy, zamiast do szkoły, wyruszyli z rodzicami na ucieczkę „donikąd”. W popłochu uciekali, a wokół czyhało niebezpieczeństwo: naloty niemieckie, ostrzeliwania, tłumy na drogach, brak żywności, noclegów.

Moja Babcia jako kilkumiesięczne niemowlę nie zdawała sobie sprawy z tragiczności sytuacji. A co przeżywali jej rodzice? Nietrudno sobie wyobrazić.

Beznadziejna ucieczka musiała się wcześniej zakończyć powrotem do opuszczonego domu i wtedy rozpoczął się okupacyjny koszmar.

Zapanowali Niemcy. Polaków traktowano jak niewolników. Zabrano ziemię z powrotem do majątku Niemca.

Rozebrano niepotrzebne budynki gospodarcze i część mieszkalnych. Polaków przesiedlano. Moi pradziadkowie stracili w ten sposób wszystko i po przesiedleniu mieszkali w jednym pokoiku (pięć osób), a obok nich – w pokoiku z kuchnią – rodzina siedmioosobowa.

Pradziadek zmuszony był do pracy w niemieckim majątku, a jego nieletni synowie początkowo u niemieckich gospodarzy w sąsiednich wsiach jako parobcy. Traktowani byli bardzo źle. Spali najczęściej w budynkach gospodarczych. Jedli resztki po gospodarzach. Za każdą źle wykonaną pracę byli karani.

Po pewnym okresie chłopcy wrócili do rodziców i pracowali w niemieckim majątku.

Moja Babcia nie pamięta początku wojny. Jednak w jej pamięci utkwiły pewne epizody, które dla osób dorosłych miały inne znaczenie niż dla dzieci. Za przykład może posłużyć fakt rozbiórki nowych domów. Rodzice Babci patrzyli pewnie na to ze złamanym sercem, a dziecku podobało się zsuwanie eternitu i jego pękanie przy uderzaniu o ziemię. Podobnie atrakcyjne było kruszenie się cegieł

i odpadający tynk. Ileż to można była zebrać materiału do codziennych zabaw. Bo czym bawiły się dzieci? Zużytymi naczyniami kuchennymi, jakimiś szkiełkami, kaflami piecowymi, cegłami itp.

Teren zabaw, jak wspomina Babcia, wyznaczał płot podwórka, a nieco później najbliższa droga i pole.

Dzieci wychowywane były w posłuszeństwie. Nie uczestniczyły w tajemniczych rozmowach ludzi dorosłych. Były na tyle nieświadome, że nie zauważały zmian fizjologicznych kobiet ciężarnych i wierzyły, że dzieci przynosi bocian. Bały się wszystkiego, nawet traktora pracującego w polu. Najbardziej jednak umundurowanych policjantów. Oni to zwiastowali rewizję w domu. Czego szukano? Wszystkiego, co nie było legalne, a więc nadwyżki hodowanego drobiu, za wyżonej ilości uprawianych krzewów tytoniu, a przede wszystkim ukradzionych z pól produktów żywnościowych (zboża, grochu, ziemniaków). Trzeba tu przyznać, że Polacy kradli wszystko, co się do jedzenia nadawało, bo bez tego trudno było żyć na kartkowych produktach, i to wątpliwej jakości, i chudym mleku, po które trzeba było chodzić do mleczarni w sąsiedniej wsi, pokonując trasę 6 km w jedną stronę.

W domu moich pradiadków chleba nie brakowało, a to dzięki żarnom przywiezionym z Podkarpacia i kradzionemu z pola zbożu.

Zaznaczyć należy, że żarna nie były sprzętem legalnym i mielenie zboża było czynnością zakonspirowaną, a po wykonanej pracy były ukrywane. W ramach pomocy pradiadek udostępniał ten sprzęt zaufanym sąsiadom. O istnieniu żaren dzieci nie wiedziały, ponieważ ich odkrycie przez Niemców groziło nawet śmiercią.

Po żniwach na rżysku wypasano owce. Dla dzieci była to atrakcja, gdyż owczarz (Polak) doił karmiące owieczki i dawał mleko dzieciom, które przychodziły na pole z kubkami.

Babcia mieszkała z rodzicami na wsi. Były to odległe czasy i prace w polu były bardzo prymitywne.

Większość prac wykonywano w polu przy pomocy wołów. Były to ociężałe zwierzęta, bardzo wolno się poruszające i wznoszące tumany kurzu.

W czasie żniw wielu mężczyzn chodziło do pracy z kosami do koszenia, a kobiety wiązały zboża w snopy i stawiały w tzw. sztygi. Na polach stawiano wielkie

stogi zboża, a później młócono maszynami parowymi, które dla dzieci jawiły się jako duże czarne „smoki”.

Podobnie prace jesienne, tzw. wykopki, prowadzone były w bardzo prymitywny sposób i wymagały wielkiego wysiłku ludzi je wykonujących.

Wypada w tym miejscu powiedzieć o odzieży. Okupacja trwała już kilka lat i zapasy odzieży się kurczyły. Z tego powodu cierpieli wszyscy, a szczególnie dorastająca młodzież i dzieci. Odzież wykorzystywana była do ostatniego strzępka, cerowana, łatana lub przerabiana dla młodszych.

Poważny problem stanowiło obuwie, którego przerabiać się nie dało. Podstawę w tym zakresie stanowiły drewniaki (na drewnianym spodzie), różnego rodzaju dyby, patany, klapacze. Dzieci miały zazwyczaj poobijane aż do krwi nogi, bo trudno było do tego obuwia się przyzwyczaić.

Na odzież i obuwie, podobnie jak na żywność, też obowiązywały „kartki”, ale ich zdobycie to było coś podobnego do znalezienia igły w stogu siana.

O tym, jak biednie wyglądali nasi przodkowie w okresie okupacji, świadczą ocalałe zdjęcia. Gdy na nie patrzymy, to łza się w oku kręci.

Pod koniec wojny, gdy sytuacja na wschodzie stała się dla Niemiec coraz gorsza, z majątków zabierano ludzi do kopania umocnień. W ten sposób zmniejszała się liczba robotników rolnych, a zwiększało obciążenie dla tych, którzy w majątkach pozostali. Akcja ta trwała do samego końca wojny.

Gdy ostatni Polacy wyjeżdżali do swej pracy, w pociągach na zachód podążały opuszczające Polskę rodziny niemieckie ze swoim dobytkiem. Uciekali.

Niektórzy wywiezieni Polacy, a wśród nich brat mojej Babci, nie zdążyli nawet podjąć pracy przy okopach. Zostali wyzwoleni i wracali pieszo do swoich domów, nocując, gdzie się dało i jedząc, co się znalazło. Wędrowali zazwyczaj polnymi drogami, bo szosą przemieszczały się wojska radzieckie. Starali się dotrzeć do domów w tych niebezpiecznych chwilach. Jak już wspomniałam, Babcia wraz z rodzicami żyła na wsi. Nie było w niej gospodarstw niemieckich i w życiu codziennym bezpośrednich kontaktów z Niemcami też prawie nie było. Jednak Polacy czuli się zniewoleni i ciągle marzyli o prawdziwej wolności. Nic więc dziwnego, że wieści o klęsce Niemiec wyzwały emocje. Nie było ważne, skąd nadchodziła wolność, kto ją przynosił. Ważne było, że ta wolność się zbliża. Zapanała euforia, gdy wolność nadeszła szosą od Szubina.

Zapanował chaos. Niemcy w popłochu opuszczali tereny polskie, zabierając ze sobą część dobytku. Ich ucieczce towarzyszyły silne mrozy, które powodowały śmierć uciekających wozami, szczególnie ludzi starszych i dzieci. Brutalnie traktowały uciekających wojska radzieckie.

Ze względu na to, że Babcia mieszkała daleko od szosy, nie była świadkiem tych wydarzeń, co nie znaczy, że nie nosi na swoim ciele śladów zakończenia wojny w postaci wielu szram po odniesionych ranach oraz urazu psychicznego związanego z pewnym wydarzeniem.

W pobliżu domu, gdzie Babcia mieszkała, był niewielki las, który latem i jesienią dostarczał mieszkańcom grzybów i jagód oraz gałęzi do palenia, a w 1945 r. stał się przyczyną tragedii.

Otóż ukryło się w nim czterech uzbrojonych niemieckich żołnierzy, którzy przyszedli do najbliższego domu, by się pożywić i wypocząć. W domu tym były dwie kobiety (w tym moja prababcia) i kilkoro dzieci oraz 20-latek, który zdążył już wrócić z kopania okopów. Ponieważ ten niepokorny chłopak doświadczył w czasie okupacji wielu upokorzeń, więc się ukrył, aby uniknąć spotkania ze znienawidzonymi Niemcami. Wystraszone, niepewne losu swych rodzin kobiety nakarmiły „gości”, a dla odpoczynku wskazały poddasze budynku gospodarczego, z czego żołnierze chętnie skorzystali. Wówczas młodzieniec wyszedł z ukrycia i z wieścią pobiegł przez pola do stacjonujących w majątku żołnierzy radzieckich. Ci zareagowali natychmiast, oddając kilka strzałów armatnich w kierunku zabudowań, gdzie byli Niemcy. Strzelali niecelnie i dopiero któryś z kolei strzał dosięgnął celu, ale nie budynku, gdzie odpoczywali Niemcy. W wyniku ostrzału poszkodowane były dwie kobiety i dwoje dzieci. Jedna z nich odniosła bardzo ciężkie rany i tylko natychmiastowa pomoc i odwiezienie do szpitala uratowało jej życie. Babcia i jej mama oraz trzyletni chłopiec mieli wiele odłamków w nogach. Z pomocą pośpieszyli sąsiedzi, a jeden z nich za pomocą brzytwy w prymitywnych warunkach usuwał odłamki z nóg. Nie wszystkie dało się usunąć i w nodze prababci aż do śmierci przesuwali się, powodując ból.

Moja Babcia do chwili obecnej wspomina ogłuszający huk i potworny ból w nogach, oraz tę chwilę, gdy jej Mama, mimo bólu, chwyciła dzieci, aby je ratować. W tej chwili wszyscy myśleli, że ostrzału dokonali Niemcy.

Odniesione rany długo się goiły i pozostawiły liczne blizny.

Budynek zaczął się palić. I tu znowu pomocy udzielili sąsiedzi, a Rosjanie przybyli, by splądrować dom i zabrać to, co godne było uwagi. Na poddasze do Niemców się nie pofatygowali. Ci z kolei po odpoczynku poszli do lasu. Nikt o ich losie niczego się nie dowiedział, ale na pewno nie udało im się uratować, gdyż żołnierze radzieccy surowo się z Niemcami rozprawiali.

Rany goiły się bardzo wolno i mojej Babci nie dane było pójść z innymi dziećmi normalnie do szkoły.

Zaradność ludzi starszego pokolenia (rodziców mojej Babci) powodowała, że po przejściu frontu we wsi, w której mieszkała, w jednym z budynków gospodarczych znajdował się niemiecki magazyn sprzętu wojskowego. Były tam i hełmy, i mundury, i środki opatrunkowe. Nic więc dziwnego, że magazynem tym zainteresowali się okoliczni mieszkańcy. W domu moich pradziadków pojawiły się jakieś bluzy wojskowe, z których odpruto faszystowskie symbole. Służyły one ludziom przez wiele lat po wojnie. Na nielicznych zachowanych w rodzinie zdjęciach z końca lat 50. odnajdujemy np. pradziadka Franciszka w wojskowej bluzie niemieckiej oraz prababcię Józefę sypiącą zboże kurom i kaczkom z niemieckiego hełmu wojskowego.

Kiedy po przejściu frontu sytuacja nieco się ustabilizowała, moi pradziadkowie podjęli jedną z ważniejszych decyzji w swoim życiu. Była to decyzja powrotu na teren swojego zburzonego przez Niemców gospodarstwa. Dzięki zaradności mojego pradziadka dla celów mieszkalnych udało się pozyskać część drewnianego, poniemieckiego baraku. Tam zamieszkali. Stopniowo rozpoczęli odbudowę swojego gospodarstwa, w którym do dnia dzisiejszego żyją ich naturalni spadkobiercy. Po moich pradziadkach gospodarzył tam ich syn (brat mojej Babci), a po nim gospodarstwo przejął jego syn (kuzyn mojego taty), znacznie je rozbudowując i unowocześniając.

Ale to zupełnie inna historia.

II miejsce

kategoria: szkoły gimnazjalne

Kaja Pantkowska

opiekun: Joanna Bociek

Szkoła Podstawowa nr 1 im. Komisji Edukacji Narodowej
w Koronowie

Zawsze w naszej pamięci – historia Franciszka Pantkowskiego

Każde miejsce powinno mieć swojego historycznego bohatera. Moje miasto – Koronowo – może pochwalić się kilkoma takimi. Są to m.in. postacie trzech koronowskich pilotów: sierż. Zygmunta Kleina, kpr. Benedykta Mielczyńskiego oraz brata mojego pradziadka – por. Franciszka Pantkowskiego. Ja w swojej pracy skupię się jednak na sylwetce ostatniego.

Wiele razy miałam okazję słyszeć o historii wujka. Moja prababcia – bratowa porucznika – przy każdej możliwej okazji przywołuje tę postać, pokazując nam stare dokumenty, notatki i zdjęcia. Gdy spotykamy się wspólnie z całą rodziną, pomimo znajomości tej historii, słuchamy jej za każdym razem z wielkim zainteresowaniem.

Prababcia „zaraziła” pasją odkrywania historii o zmarłym członku naszej rodziny mojego wujka – Marka Przybyłowicza. Wujek Marek, historyk z zamiłowania, od wielu lat odnajduje coraz to nowe fakty związane z katastrofą halifaxa. Podczas podróży do Norwegii wujek Marek usłyszał wiele historii od żyjących świadków tamtych wydarzeń. Jest on również autorem wielu publikacji na temat wujka Franciszka i pozostałych koronowskich pilotów.



Pomnik lotników w Koronowie przy ul. Szkolnej

Biografia por. Franciszka Pantkowskiego

W zbiorach prababci Janiny doszukałam się wielu dokumentów i kserokopii, które opowiadają o życiu zmarłego wujka.

Franciszek Pantkowski urodził się 3 stycznia 1918 r. w Koronowie. Uczęszczał do szkoły powszechnej, a później do Państwowego Gimnazjum Męskiego Humanistycznego w Bydgoszczy. Gdy uzyskał tam maturę, zgłosił się do wojska, gdzie rozpoczął trzymiesięczny kurs w piechocie. 3 stycznia 1939 r. został słuchaczem Szkoły Podchorążych Lotnictwa.

W październiku 1939 r. miał zostać promowany na podporucznika oficera technicznego, lecz nie doszło do tego, gdyż wybuchła wojna. Został najprawdopodobniej ewakuowany do Rumunii, po czym dostał się do Francji. Z polskiej bazy Lyon-Bron, w której przebywał, został przeniesiony do Clermont-Ferrand na szkolenie. Na skutek ewakuacji przybył do Anglii 27 czerwca 1940 r.

W sierpniu tego roku odszedł z ośrodka w Kirkham, aby udać się na przeszkolenie na strzelca-radiotelegrafistę. Niedługo później został włączony do 305. Dywizjonu Bombowego, w którym niestety nie miał okazji, aby latać na maszynach bojowych. W marcu kolejnego roku przeniesiono go do 301. Dywizjonu Bombowego, gdzie dostał szansę i wykonał swój pierwszy lot bojowy jako strzelec.



Por. Pantkowski wraz z innymi lotnikami



Por. Pantkowski

Na tym stanowisku latał jeszcze dziesięć razy, z tą samą załogą. Następnie przeniesiono go na miejsce radiotelegrafisty, jednak od tego czasu latał w zmiennym składzie. Odbywał loty nad najlepiej bronione cele – miasta niemieckie. Łącznie było ich aż 28. Po ich zakończeniu odszedł na odpoczynek, wcześniej będąc promowanym na podporucznika 15 sierpnia 1942 r.

Przez krótki czas szkolił młodych radiotelegrafistów i lotników. Następnie zgłosił się do udziału w drugiej turze lotów. Jednakże tym razem zrobił to w brytyjskiej 138. Eskadrze. Loty były lotami zaopatrzeniowymi. Latał dziesięć razy do Francji, raz do Estonii oraz odbył jednorazowy lot na bombardowanie dworca kolejowego w Tours. W sierpniu 1942 r. został promowany do stopnia porucznika. Rozpoczynając od września tego samego roku, odbył swoje ostatnie pięć lotów – do Polski. Niestety na skutek tragedii, która miała miejsce w czasie ostatniego lotu w Norwegii, w okolicy Egersund, zginął wraz z całą załogą halifaxa.

Łącznie z ostatnim lotem odbył ich 44. Ciała wszystkich członków załogi pierwotnie zostały pogrzebane na wydmach przez Niemców, jednak po wojnie zostały przeniesione na cmentarz w Egersund. Obecnie spoczywają na cmentarzu w Oslo.



Por. Pantkowski wraz z innymi lotnikami

Odznaczenia Franciszka Pantkowskiego

Porucznik Franciszek Pantkowski został odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari, a także czterokrotnie Krzyżem Walecznych.

Podczas rodzinnych wieczorów prababcia często wspomina, że wujek był wspaniałym człowiekiem. Jak twierdzi, docenili to też Brytyjczycy w jednym z dokumentów, który udało mi się odnaleźć wśród wielu rodzinnych pamiątek. Na pożółkłej kartce papieru widnieje zapis: *Ten oficer jest zręcznym i nieustraszonym radiooperatorem i strzelcem. Nie zważając na swoje osobiste bezpieczeństwo, zawsze poświęca się swoim zadaniom, wykonując swoją pracę bez względu na warunki. Jego zdolność w określaniu położenia samolotu w dwóch przypadkach uratowało samolot i załogę i pozwoliło na bezpieczny powrót do bazy po ataku niemieckich myśliwców. W listopadzie 1941 brał udział w ataku na Berlin. Podczas tego lotu jego udział w pomocy pilotowi samolotu przyczynił się do wykonania zadania. Jego odwaga i oddanie inspiruje kolegów*¹. Takie uzasadnienie wydali oni dla nadania zaszczytnego odznaczenia Distinguished Flying Cross (Krzyż Wybitnego Lotnika), którym również dekorowali porucznika, mojego wujka.

Katastrofa pod Hellenen

Wiele razy słyszałam opowieść o katastrofie. Wujek Marek, będąc na miejscu zdarzenia, usłyszał również relację żyjących świadków. Dotarł m.in. do opowieści gospodarza farmy Hellenen. Często podczas rodzinnych spotkań opowiada historię najmłodszym członkom naszej rodziny, którzy za każdym razem słuchają jej z wielkim zainteresowaniem. Do dziś pamiętam tę treść...

Nocą z 30 na 31 października właściciela farmy obudził huk silników samolotu. Zaciekawiony wyrzwał przez okno i zauważył nadlatującego halifaxa. Po chwili zniknął mu z oczu, lecz na tym się nie zakończyło. Usłyszał silną eksplozję i serię drobniejszych wybuchów. Pośpiesznie udał się w miejsce źródła hałasu – oddalone kilka kilometrów od jego zagrody. Gdy tam dotarł, ujrzał morze ognia,

1 Notatka z dnia 24.02.1942, Public Record Office Air 2/9591.



Masyw skalny, o który rozbił się samolot



Szczątki samolotu w jeziorze i okolicy skały



a nieustające wybuchy uniemożliwiały zbliżenie się. Stwierdzając, że nikt nie przeżyłby takiego piekła, wrócił do domu.

Źródłem katastrofy, którą zaobserwował farmer, było uderzenie samolotu o ogromną skałę. Podobno wokoło wraku porozrzucone były broń i amunicja, a także ciała ofiar tragedii.

Jak wynika z relacji świadków katastrofy, Niemcy bardzo szybko dowiedzieli się o tym zdarzeniu. Przeszukali szczątki samolotu w poszukiwaniu cennych dokumentów czy broni. Krążą pogłoski, że odnaleźli również 90 tys. dolarów amerykańskich! Po pewnym czasie pilnowania terenu katastrofy zrezygnowali z tego.

Łącznie odnaleziono 10 ciał. Siedem z nich było ubranych w brytyjskie mundury, pozostała trójka w stroje cywili. Byli to spadochroniarze – cichociemni. Początkowo wszystkie ciała zostały zakopane w zbiorowej mogile na wydmach w okolicy miejsca wypadku. Na szczęście teraz godnie spoczywają na cmentarzu w norweskiej stolicy.



Pomnik i nagrobek lotników oraz cichociemnych, którzy rozbili się pod Helleren, znajdujące się w Oslo

Noc z 30 na 31 października to ważna data dla mojej rodziny. Zawsze zapalamy symboliczny znicz, modlimy się za wujka. Dzięki wspomnieniom prababci historia jest ciągle żywa...

Ta noc miała być kolejnym lotem ze zrzutem zaopatrzenia i trójki cichociemnych. Tym razem miał to być zrzut w okolice Opola Lubelskiego. Jednak z niewiadomych powodów załoga nie wykonała zadania. Prawdopodobnie nie natrafili na cel i chcieli wrócić do bazy, jednak samolot został uszkodzony przez niemiecki myśliwiec. Możliwe, że źle przyjęto kurs, minięto Danię, a dalsze zdarzenia już znamy. Wiadome jest jednak to, że por. Pantkowski do samego końca nadawał położenie przez radiostację. Dzięki temu Niemcom nie udało się zaatakować katastrofy. Nadal nie mamy stuprocentowej pewności dotyczącej powodów tej tragedii. *Niestety, brytyjskie archiwa zobligowane do zachowania tajemnicy muszą milczeć jeszcze kilkanaście lat²* – podaje autor artykułu w „Tematach Koronowskich”.

Dla mnie i mojej rodziny obchodzenie tej rocznicy jest bardzo ważne. Pomimo że od daty katastrofy mijają kolejne lata, my nie chcemy zapomnieć o tych wydarzeniach. Wręcz przeciwnie – dowiadujemy się o nich coraz więcej!

2 M. Przybyłowicz, *Koronowscy lotnicy*, „Tematy Koronowskie”, nr 60, s. 8.

Uroczystość odsłonięcia pamiątkowej tablicy w Hellenen

Uroczystość odbyła się przy skale, o którą rozbił się samolot, 30 października 2002 r. – w 60. rocznicę katastrofy. Wszystkich przywitał burmistrz miasta Egersund, po wcześniejszym wspólnym wykonaniu *Roty* przez tamtejszą orkiestrę. Norweski duchowny odmówił modlitwę za poległych, prosząc przybyłych gości z Polski o odmówienie modlitwy *Ojcze nasz* w ojczystym języku. Odbyły się przemówienia gości honorowych i złożenie kwiatów. W tym miejscu chciałam przytoczyć nazwisko osoby, która w wielkim stopniu przyczyniła się do rozgłosu sytuacji sprzed kilkudziesięciu lat – Björna Bratbaka. Od lat, w dzień rocznicy katastrofy, stawia w miejscu pamięci zapalony znicz w imieniu naszej rodziny. Regularnie koresponduje z moją prababcią – szwagierką por. Franciszka – informując o różnych ważnych zająciach. Takimi zachowaniami zyskuje wielką wdzięczność z naszej strony. Niestety nikt z naszej rodziny nie mógł być na miejscu w czasie uroczystości, ale odwiedzamy je i wspominamy tam bohatera naszej rodziny.

Na skale umieszczona została płyta pamiątkowa (z napisami w językach polskim i norweskim) z nazwiskami poległych.



Droga do miejsca katastrofy w Hellenen



Płyta pamiątkowa na skale
w Helleren



Uroczystość upamiętniająca katastrofę
w Helleren

Inne miejsca upamiętnienia poległych żołnierzy

Jestem dumna z tego, że mam takiego przodka. Czytanie artykułów na jego temat, słuchanie opowieści – to wszystko sprawia, że chcę dowiadywać się coraz więcej! Zbliżają się 90. urodziny mojej prababci. Będzie to znakomita okazja, aby ponownie powspominać życie wujka Franka, a może dowiem się znowu czegoś nowego?



Pomnik poległych żołnierzy w Northolt, Londyn





Masyw skalny w Hellenen

Najważniejsze w tym wszystkim jest jednak to, że dzięki niemu uświadomiłam sobie, czym jest patriotyzm. Patriotyzm to nie tylko miłość do ojczyzny i walka za nią, to też pamięć o jej bohaterach – znanych i mniej znanych, o przodkach, o których często się zapomina. Dzięki takim postaciom w nas, młodych ludziach, kształtuje się poczucie moralnego obowiązku do tego, by głośno mówić o bohaterskich ludziach i ich czynach.

Właśnie tacy ludzie i takie czyny pobudzają w młodzieży poczucie przynależności narodowej! A dlaczego? Bo to właśnie oni tworzyli naszą historię! Oni sprawili, że możemy robić teraz to, co robimy. Dzięki nim mamy wolność, niepodległość. Dzięki nim mamy coś, o czym warto pamiętać – wolną ojczyznę!

Źródła informacji:

1. Notatka z dnia 24.02.1942, Public Record Office Air 2/9591
2. M. Przybyłowicz, *Koronowscy lotnicy*, „Tematy Koronowskie”, nr 60, s. 8–9
3. Zdjęcia nr 2–9 oraz 11–16 z albumu rodzinnego Janiny Pantkowskiej
4. Zdjęcia nr 1 i 10 – Google

III miejsce

kategoria: szkoły gimnazjalne

Julia Kruszk

opiekun: Katarzyna Sopolińska
Szkoła Podstawowa nr 14 z Oddziałami Dwujęzycznymi
w Inowrocławiu

On stworzył naszą historię – Paweł Cymś

Wstęp

Paweł Cymś miał być księdzem, a został jednym z dowódców powstania wielkopolskiego. Wyzwolił Mogilno, Trzemeszno, Strzelno, Kruszwicę oraz Inowrocław, brał również udział w III powstaniu śląskim. Walczył dzielnie w czasie II wojny światowej, mimo podupadania na zdrowiu. Chcę opisać jego życie w tej pracy, gdyż jego heroiczne czyny stały się częścią historii Kujaw. Znajomość z jego wnukiem (panem Rafałem Cymsem) pozwoliła mi jeszcze bardziej zainteresować się tym tematem i zgłębić swoją wiedzę o życiu Pawła Cymśa.

Rok 1894

2 marca 1894 r. Paulinie i Leonowi Cymśom urodził się trzeci syn – Paweł Kazimierz. Jego imię pochodzi od nazwy miejscowości, w której się urodził. Było to Pawłowo, położone blisko Gniezna. Cymśowie mieli jeszcze trzy córki i trzech synów, niestety jeden z synów zmarł jako małe dziecko.

Lata 1894–1914

W domu Cymsa panowała trudna sytuacja materialna. Powodem tego był fakt, że posada nauczyciela, którą pełnił jego ojciec, nie należała do najlepszych. Mimo problemów, zarówno Paweł, jak i jego rodzeństwo zdobyli odpowiednie wykształcenie. Najstarszy syn Leon został księdzem. Był on swego rodzaju wzorem dla brata Pawła, który po ukończeniu szkoły podstawowej rozpoczął naukę w Kaiser Wilhelm Schule in Gnesen-Königliche Gymnasium in Gnesen (Szkoła Cesarza Wilhelma w Gnieźnie-Królewskie Gimnazjum w Gnieźnie).



Stare Królewskie
Gimnazjum w Gnieźnie

Cyms był dobrym uczniem, jego prace maturalne z języka greckiego oraz niemieckiego znajdują się w Archiwum Państwowym w Poznaniu, Oddział w Gnieźnie.



Paweł Cyms jako gimnazjalista

Podczas nauki w gimnazjum Paweł Cyms wstąpił do tajnej organizacji konspiracyjnej o nazwie Towarzystwo Tomasza Zana. Działała ona w Wielkopolsce, a jej celem był bunt młodzieży przeciwko cenzurze kultury polskiej i germanizacji. Członkowie tej organizacji wzorowali się na założeniach Tomasza Zana, który uważał, że wolność należy zdobyć poprzez rozum i wychowanie oraz że najpierw należy stać się ułożonym obywatelem kraju.

Lata 1914–1918



Paweł Cymś jako podporucznik

Po zdaniu egzaminu dojrzałości, w 1914 r. Cymś wstąpił do poznańskiego seminarium. Wybrał tę drogę, ponieważ jego brat Leon był księdzem i stanowił dla Pawła wzór do naśladowania, więc chciał pójść w jego ślady. Jednak w 1915 r. został przymusowo wezwany do działania w armii pruskiej. Brał udział w walkach na froncie wschodnim i zachodnim. Kończąc szkołę oficerską w Biederitz, otrzymał stopień podporucznika.

W czasie rewolucji niemieckiej, podczas której wcieleni do armii żołnierze byli zwalniani do domów, Cymś powrócił do Gniezna. W 1918 r. dołączył do Polskiej Organizacji zaboru pruskiego. Została ona założona w tym samym roku, w celu walki o przyłączenie zaboru pruskiego do Polski.

Powstanie wielkopolskie (1918–1919)

Powstanie wielkopolskie było powstaniem mieszkańców dawnej Prowincji Poznańskiej przeciwko Rzeszy Niemieckiej, którego główną przyczyną było domaganie się przez Polaków powrotu ziem zaboru pruskiego do Polski. Rozpoczęło się ono 27 grudnia 1918 r. w Poznaniu. Paweł Cymś wziął udział w powstaniu. Latem 1918 r. wstąpił do Polskiej Organizacji Wojskowej zaboru pruskiego w Gnieźnie. Dostał on rozkaz od mjr. Wojciecha Jedliny-Jacobsona, aby objął dowództwo grupy ochotników, pochodzących m.in. z Wrześni, Gniezna i Witkowa. Było ich około stu i w takiej liczbie wyruszone na wschód. Na początku Cymś zajął się wyzwaniem Gniezna, następnie oddziały pod jego komendą zajęły Trzemeszno, Mogilno, Strzelno oraz Kruszwicę. Prowadzono tam niewielkie, lecz ważne bitwy. W ciągu tygodnia z pomocą przybyło ok. 400 powstańców. Paweł Cymś wyruszył w kierunku Inowrocławia.

Powstanie wielkopolskie w Inowrocławiu

Ataku na Inowrocław miało nie być. Powiatowa Rada Ludowa była przeciwko walkom, lecz wśród powstańców wrzało. Cymś porozumiał się telefonicznie z dowództwem 31. Pułku Piechoty z Włocławka, prosząc o pomoc w wyzwoleniu Inowrocławia. Mimo zwycięstwa mieszkańcy burzyli się, że zginęło mnóstwo osób, a to samo można było osiągnąć drogą pertraktacji. Pawłowi Cymśowi grożono nawet sądem polowym.

Słowa Pawła Cymśa z 10 stycznia 1919 r.

Rodacy! Walka bohaterska oswobodziła Inowrocław. Tego, cośmy zrobili, nigdy nie oddamy. Ale potrzebny nam jest silny garnizon. Wzywamy każdy patriotyczny dom polski, aby oddał do służby wojskowej najlepsze i najzaciejsze jednostki, które posiada, na całą służbę, aż do objęcia rządów przez władzę centralną. Tylko nieskalane, czyste jednostki są godne wstąpić do wojska do walki za Ojczyznę. Pożądane są osoby z szarżą wojskową. Sprawa żołdu uregulowana zostanie przez kwaterę główną w Poznaniu. Żołnierze! Komendzie i przełożonym dajcie posłuch bezwzględny. Kto nie czuje w sobie ducha karności, nie może służyć w wojsku polskim. Ojczyzna woła! Na okopy! Do dzieła! Inowrocław, dnia 10 stycznia 1919r. Komenda Naczelna Wojsk Powiatu Inowrocławskiego. Cymś – komendant.



Kapitan Paweł Cymś

Dzięki jego staraniom w Inowrocławiu powstały dwa bataliony piechoty. Jako dowódca 1. Pułku Grenadierów Kujawskich brał udział w walkach pod Żłotnikami, Łabiszynem oraz Brzozą Bydgoską. Objął również dowództwo II Okręgu Wojskowego.

W maju 1919 r. otrzymał stopień porucznika, a w 1920 r. – kapitana.

Losy Cymśa po powstaniu były burzliwe i związane z kształtowaniem się niepodległości. Został przeniesiony do 57. Pułku Piechoty w Biedrusku pod Poznaniem, gdzie uczestniczył w walkach w czasie wojny z bolszewikami. Właśnie tam, za swoje

heroiczne czyny otrzymał Order Virtuti Militari o numerze 808. Był również dowódcą batalionu.

Order Wojenny Virtuti Militari

Jest to najwyższe polskie odznaczenie wojskowe, przyznawane za wybitne zasługi bojowe. Został ustanowiony przez Stanisława Augusta Poniatowskiego. Cymś otrzymał go w 1921 r.

Rok 1921 – III powstanie śląskie

Było to wystąpienie zbrojne od 2/3 maja do 5 lipca 1921 r. Miało ono na celu przyłączenie Górnego Śląska do Polski. Cymś przybył w to miejsce jako ochotnik, dowodził 1600-osobowymi oddziałami powstańców, walcząc w rejonie Kędzierzyna. Jednym z ważniejszych starć była walka w Bierawie, gdzie zdobyto siedzibę niemieckiej policji. Wyczerpani i źle wyglądający powstańcy byli transportowani do domów, a Cymś zwolnił się ze służby, aby podjąć studia ekonomiczno-prawnicze na Wydziale Prawa Uniwersytetu Poznańskiego.



Paweł Cymś jako student

Krzyż Walecznych

Odznaczenie to zostało ustanowione w 1920 r., celem nagrodzenia czynów męstwa i odwagi. Rok później zostało przyznane Cymśowi po raz drugi. W sumie otrzymał je czterokrotnie.

Lata 1922–1928

Niestety w 1922 r., z powodu zbyt wysokiego czynszu, Paweł Cymś zmuszony był przerwać studia. Pracował kolejno:

– Gdańsko-Tczewska spedycja drzewa i tartaki – Towarzystwo Akcyjne „Leonka”

– Bank Handlowy w Warszawie, Oddział w Gdańsku – wydział towarowo-zagraniczny

– dzierżawca gospodarstwa rolnego – Modliborzyce.

W 1927 r. powrócił do służby i został powołany do 59. Pułku Piechoty w Inowrocławiu.

Złoty i Srebrny Krzyż Zasługi

Polskie cywilne odznaczenie nadawane za zasługi dla państwa i obywateli. Paweł Cymś otrzymał zarówno Srebrny, jak i Złoty Krzyż Zasługi.

Oprócz powyższych odznaczeń zdobył również Śląski Krzyż Powstańczy, Medal Pamiątkowy za Wojnę 1918–1921 oraz Krzyż Niepodległości.

Lata 1928–1933

W tych latach Paweł Cymś zamieszkiwał w trzech inowrocławskich kamienicach: Dworcowa 18/1, Królowej Jadwigi 37/3 oraz Solankowa 59/3. Obecnie są to ulice: Dworcowa 45, Dworcowa 15 i Solankowa 47. 7 lutego 1931 r. ożenił się z Marią Krawczak. Ślub cywilny odbył się w Urzędzie Stanu Cywilnego w Złotnikach Kujawskich, a 10 lutego tego samego roku – ślub kościelny w Poznaniu. Uroczystość weselna miała miejsce w hotelu „Bazar”. 1 grudnia 1931 r. Maria urodziła córkę Barbarę, a 24 lutego 1933 r. – syna Janusza.

Lata 1934–1939



Dom w Bystrej (dawniej)

W 1934 r. Cymś został przeniesiony do Sztabu Generalnego w Warszawie i służył w II Oddziale, który zajmował się kontrwywiadem. Ze względu na zły stan zdrowia przeszedł na emeryturę. Mieszkał w miejscowości Bystra Górna, a dom prowadziła gospośia Helena Hoffmann.

Lata 1945–1949

Z biegiem czasu kapitan Cymś podupadał na zdrowiu. Wiadomo było, że chorował na gruźlicę. Szczególnie dawała się we znaki podczas II wojny światowej. Zaopiekowali się nim Stanisława i Władysław Wippel. Wspominali: *Kapitan Cymś był człowiekiem samotnym, chorym, potrzebującym pomocy. Nikt nie wiedział, czy posiada rodzinę. (...) Kiedy odszedł do wieczności, sami załatwiliśmy wszystkie formalności pogrzebowe.*

Paweł Cymś zmarł 13 listopada 1949 r. Jego ciało zostało pochowane na cmentarzu parafialnym pw. Najdroższej Krwi Pana Jezusa w Bystrej Krakowskiej.

Lata 1961–1965

W 1961 r. ówczesna Rada Narodowa Miasta Poznania podjęła uchwałę dotyczącą nadania jednej z ulic nazwy Pawła Cymśa. W 1965 r. dokonano odsłonięcia nagrobka kapitana w Bystrej.

Lata 1979–1980

W 1979 r. Szkole Podstawowej nr 1 w Inowrocławiu nadano imię Kapitana Pawła Cymśa. Obecnie jest to Szkoła Podstawowa nr 1 im. Świętego Wojciecha. W 1980 r. Miejska Rada Narodowa w Inowrocławiu podjęła uchwałę o nadaniu jednej z ulic nazwy Pawła Cymśa.



Nagrobek kapitana Pawła Cymśa w Bystrej

Rok 2013

21 grudnia 2013 r. na cmentarzu w Bystrej dokonano ekshumacji szczątków Pawła Cymśa. Był na niej obecny Rafał Cymś – wnuk kapitana. 27 grudnia szczątki zostały złożone na cmentarzu św. Piotra w Gnieźnie. Przed tym jednak odbył się przejazd trumny ze zwłokami przez główne ulice tego miasta.

Wywiad z Rafałem Cymsem

4 lutego 2018 r. miałam okazję przeprowadzić krótki wywiad z Rafałem Cymsem – wnukiem kpt. Pawła Cymsa.

Chciałabym, aby na początku powiedział pan coś o sobie. Czy mógłby pan powiedzieć, czym się pan zajmuje, jakie są pana zainteresowania?

Pracuję w firmie Soda Polska, jako specjalista ds. ekspedycji. Moje zainteresowania wynikają z działalności społecznej, czyli dominuje historia i polityka. Lubię również dobre kino, muzykę jazzową. Interesuje mnie też dawna motoryzacja.

Ciekawi mnie również, jak pan zareagował na decyzję powrotu do poprzedniej nazwy szkoły (Świętego Wojciecha).

Miałem nadzieję, że w 2017 r., kiedy wrócimy do ośmioletnich szkół podstawowych, będzie rozważana możliwość powrotu do dawnego patrona, czyli Pawła Cymsa. Tak się jednak nie stało, a jest tam siedziba Towarzystwa Pamięci Powstania Wielkopolskiego... Mam żal do dyrekcji.

Rozumiem, to przykra sytuacja. A czy może pan powiedzieć, kto wyszedł z inicjatywą ekshumacji Pawła Cymsa?

Na ekshumację rodzina musiała wyrazić zgodę. Byłem jednym ze współtwórców tego wydarzenia, natomiast pomysłodawcą i animatorem – obecny senator Robert Gawęł.

Jak historycy oceniają Pawła Cymsa? Czy są też takie osoby, którym nie podobają się jego działania i uważają, że można było osiągnąć to samo drogą pertraktacji?

Na to wszystko trzeba szerzej spojrzeć. Wiadomo, Cymś to nie tylko powstanie wielkopolskie, a z tego wydarzenia jest najbardziej znany i to właśnie na tym najbardziej skupiają się historycy. Jest to dla nich na pewno postać znacząca, niektórzy nazywają go Zdobywcą Kujaw. Jednak zdania na pewno są podzielone i znajdują się takie osoby, które nie zgadzają się z jego działaniami. Moim zdaniem droga pertraktacji była wątpliwa, gdyż doskonale znano mentalność i upór



Rafał Cymś razem z autorką

Prusaków. Reakcja niektórych obywateli na czyny mojego dziadka była bardzo negatywna, a powstańcy nie byli do końca dobrze potraktowani. Jest to smutne, ponieważ wyzwolono Inowrocław i wszystko się udało.

A jakie zdanie o dziadku ma pan?

Nawet gdybym nie zgadzał się z jego postępowaniem i miał do niego jakby negatywny stosunek, nie byłbym w stanie powiedzieć o nim złego słowa. Jak najbardziej jest dla nas wzorem. W rodzinie jego dokonaniom nie dorównał nikt. I myślę, że ciężko będzie dorównać. Patrząc z drugiej strony, miał on ciężkie życie i nikt nie chciałby przechodzić tego, co on.

„Tego, co on”. To znaczy?

Najpierw przekreślona droga bycia księdzem... Wcześniej jeszcze ciężka sytuacja materialna. Z czasem wszystko się unormowało i dziadek sam chciał służyć Polsce. Poszedł na studia, które musiał przerwać z powodu zbyt wysokiego czesnego. Następnie rozłąka z rodziną, choroba i śmierć pod opieką obcych osób...

A czy nie uważa pan, że Bóg wybrał dziadkowi taką drogę?

Tak, zdecydowanie. Myślę, że w momencie włączenia dziadka do armii pruskiej Bóg powiedział mu, że będzie służył ojczyźnie, a nie Jemu. Po prostu tak musiało być. Dzięki temu mogę być dumnym wnukiem Pawła Cymśa, a mieszkańcy Kujaw mają w swojej historii tak wielkiego bohatera.

Czy chciałby pan dodać coś na koniec?

Bardzo zależałoby mi na rozbudzaniu w ludziach, szczególnie tych młodych, zainteresowania i świadomości o historii i o tym, co działo się tam, gdzie teraz mieszkają. Warto o to dbać i wiedzieć, jak kształtował się nasz kraj i jak niesamowici byli mieszkańcy miast wyzwolanych podczas powstania. Myślę, że nie każdy zdaje sobie sprawę z tego, jak wiele oni robili, abyśmy mogli żyć w takiej Polsce, jaką mamy teraz.

To bardzo mądre słowa. Dziękuję panu za wyrażenie zgody na udział w wywiadzie i za poświęcony czas.

Źródła informacji:

Relacja ustna Rafała Cymsa

Netografia:

https://pl.wikipedia.org/wiki/Wikipedia:Strona_g%C5%82%C3%B3wna

https://pl.wikipedia.org/wiki/Towarzystwo_Tomasza_Zana [dostęp: 4.02.2018]

https://pl.wikipedia.org/wiki/Powstanie_wielkopolskie [dostęp: 4.02.2018]

https://pl.wikipedia.org/wiki/Order_Virtuti_Militari [dostęp: 4.02.2018]

https://pl.wikipedia.org/wiki/III_powstanie_%C5%9Bl%C4%85skie [dostęp: 4.02.2018]

https://pl.wikipedia.org/wiki/Krzy%C5%BC_Walecznych [dostęp: 4.02.2018]

https://pl.wikipedia.org/wiki/Krzy%C5%BC_Zas%C5%82ugi [dostęp: 4.02.2018]

https://pl.wikipedia.org/wiki/Pawe%C5%82_Cyms#Ordery_i_odznaczenia [dostęp: 4.02.2018]

https://pl.wikipedia.org/wiki/Pawe%C5%82_Cyms [dostęp: 20.01.2018, 25.01.2018, 4.02.2018]

Niedostępna już (usunięta) strona www.inowroclawfakty.pl/ oraz www.inowroclawfakty.pl/porucznik-paweł-cyms-wyzwoliciel-inowroclawia/ [dostęp: 20.02.2018, 25.01.2018] (wtedy strona była dostępna)

I miejsce

kategoria: licea, technika i szkoły branżowe

Matylda Rumińska

opiekun: Joanna Marta Lewandowska

Zespół Szkół nr 1 im. ks. Czesława Lissowskiego w Rypinie

Liceum Ogólnokształcące

Z Murmańska do Dywizjonu 300 – wojenna tułaczka sierżanta Jerzego Jaworskiego

Jak to się zaczęło?

Przy okazji rodzinnych spotkań w mojej rodzinie wspomina się przodków. Dziadkowie chętnie przywołują wtedy postać mojego pradziadka – Stefana Kowalskiego z Żałego – wyjątkowego wesołka, człowieka towarzyskiego, prawego i opiekuńczego. Jego dobrym kolegą i towarzyszem podczas pracy w miejscowym majątku, a potem sąsiadem był Jerzy Jaworski – żołnierz, jeniec obozów sowieckich, potem żołnierz Armii gen. Andersa, członek Dywizjonu 300 im. Ziemi Mazowieckiej i wreszcie powojenny działacz społeczny. To właśnie jemu chcę poświęcić niniejszą pracę.

Człowiek pozbawiony korzeni upada

Urodził się 20 marca 1914 r. w Działyniu, w ówczesnym powiecie lipnowskim, w województwie warszawskim (od 1938 r. pomorskie, obecnie kujawsko-



Akt urodzenia
Jerzego Jaworskiego
(ARJ)

-pomorskie) z rodziców Franciszka (ur. 1878 r.) i Agaty (ur. 1879 r.) z domu Janiszewskiej¹. Miał czterech braci: Jana, Józefa, Seweryna i Zygmunta (ur. 1908 r.) i dwie siostry: Helenę i Stanisławę.

Jaworscy pochodzili z Zajezerza (k. Lipna), skąd w latach 20. XX w. przeprowadzili się do Żałego (powiat rypiński). Wszyscy zamieszkiwali w małym drewnianym domku, położonym w małej niecce nad rzeką Ruziec, w centralnej części wsi².



Dom rodziny
Jaworskich
w Żałem
(fot. autorka)

1 Archiwum Państwowe w Toruniu, oddział we Włocławku, Akta Stanu Cywilnego Parafii Rzymskokatolickiej Działuż z 1914 r., sygn. 107.

2 Relacja Wojciecha Jaworskiego z Ostrowitego – syna Jerzego Jaworskiego.

W dramacie wojny nie ma małych ról

We wspomnieniach Jerzego Jaworskiego czytamy: *W siódmym roku życia rozpocząłem naukę w Publicznej Szkole Powszechnej w Żale, którą ukończyłem w zakresie pięciu oddziałów w 1928 r. Po ukończeniu 16 lat życia zacząłem pracować na majątku Żale*³.

Dobra Żale w okresie międzywojennym podzielone były między sukcesorów znanego w ziemi dobrzyńskiej ziemianina Adolfa Chełmickiego i liczyły w sumie 700 ha⁴. W dalszej części wspomnień czytamy: *Od 1 marca 1934 r. do momentu powołania mnie do czynnej służby wojskowej dn. 29 lutego 1936 r. pracowałem jako ekspedient w sklepie spółdzielczym „Jedność” w Żale. Służbę wojskową odbywałem w 86. Pułku Piechoty w Mołodecznie (...). Ukończyłem [w Mołodecznie – M.R.] sześciomiesięczną szkołę podoficerską i sześciomiesięczny kurs dla podoficerów nadterminowych. Z chwilą wybuchu wojny 1939 r. przydzielony [zostałem – M.R.] do 77. Pułku Piechoty jako instruktor do szkoły podchorążych rezerwy.*



Z kolegami w Wilnie, Jerzy Jaworski w środku, Archiwum Rodziny Jaworskich [dalej: ARJ]

3 Archiwum Rodziny Jaworskich [dalej: ARJ], Wspomnienia Jerzego Jaworskiego s. 1 (kopia rękopisu w zbiorach autorki).

4 P. Gałkowski, *Brzuze i okolice (monografia historyczna wsi ziemi dobrzyńskiej)*, Brzuze 2002, s. 222.



Dokument nr 011937 potwierdzający internowanie Jerzego Jaworskiego (ARJ)

Koń by się jej brzydził. Natomiast na skraju osiedla ukazał się bardziej pożądany widok: liczne kuchnie polowe, wśród nich zaginiona kilkanaście dni temu, wozy z prowiantem. (...) Podczas forsownych marszów kilku zginęło, a reszta jest tutaj, w kupie. Są także inne oddziały. Kawaleria także się przyplątała. Mają luźne konie. Wozy z plecakami i innym żołnierskim dobytkiem. (...) Nadchodziła zima. Żadnego ogrzewania wnętrza koszar nie było. Może dlatego przenieśli całe 3 tysiące nas do innego miasta (30 października), Wiłkomierza (Ukmerge), czy coś takiego, ja już nie pomnę⁶.

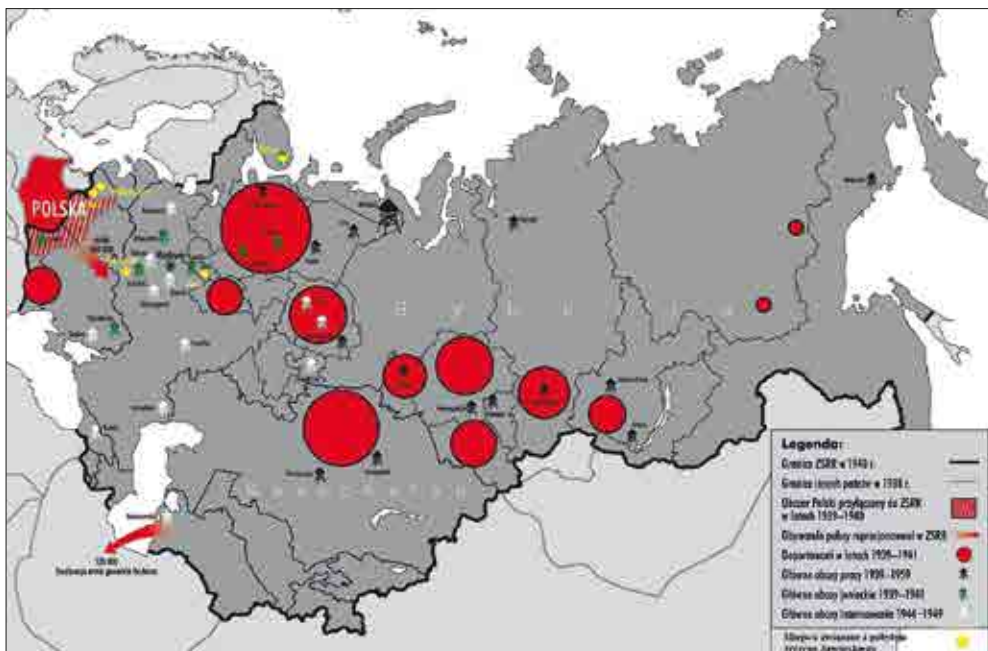
23 września 1939 r. internowano mnie w Litwie i osadzono w obozach Olita i Wiłkomierz – czytamy dalej⁵.

Pobyt mógł wyglądać tak jak w opisie autorstwa jednego z innych jeńców:

23 września 1939 r. po przekroczeniu granicy o godzinie 13.20, złożyliśmy broń na stos i udaliśmy w dalszą drogę, mijając obojętnie patrzących strażników. Dotarliśmy wkrótce do dużej wsi. W jej środku znajdowała się niewielka sadzawka. Miałem ochotę zdjąć moje niedopasowane buty i przekłute, nieumiejętnie owinięte onuce (skarpetki były w wojsku nieznane), aby wreszcie wymoczyć zbolące nogi, ale zrezygnowałem z zamiaru, widząc wodę nadającą się wyłącznie ku uciechu kaczek.

⁵ ARJ, Wspomnienia Jerzego Jaworskiego, s. 1–2.

⁶ [online], [dostępny: <http://blogpress.pl/node/9053>], [dostęp: 20.01.2018].



Miejsca represji wobec obywateli polskich na terenie ZSRR (1939–1959). Kolorem żółtym zaznaczono obozy, w których przebywał Jerzy Jaworski, źródło: dostępny: http://pamiec.pl/ftp/pamiec_ebooki/mapa_represje.pdf

W lipcu 1940 r. Jerzy został wywieziony do obozu Juchnow k. Smoleńska, a następnie do obozu Panoj na Półwyspie Kolskim⁷. Był to główny obóz jeniecki w obwodzie murmańskim, funkcjonujący w latach 1939–1941. 27 lipca 1941 r. bohater mojej pracy został przeniesiony do obozu Juża w obwodzie iwanowskim⁸. *To właśnie ten okres swojego życia wujek wspominał najgorzej. Opowiadał o surowych warunkach pobytu, o wysokiej śmiertelności współtowarzyszy i głodzie* – relacjonuje bratanek mojego bohatera⁹.

⁷ ARJ, Wspomnienia..., s. 3.

⁸ [online], [dostępny: <http://www.indeksrepresjonowanych.pl/int/wyszukiwanie/94,Wyszukiwanie.html>], [dostęp: 20.01.2018].

⁹ Relacja Jerzego Jaworskiego z Ostrowitego – syna Zygmunta (brata Jerzego Jaworskiego).

Szlak nadziei

Od 5 września 1941 r. Jerzy związany był już z Armią gen. Andersa¹⁰. Było to możliwe dzięki układowi Sikorski–Majski, podpisanemu 30 lipca 1941 r. w Londynie. Jaworski wstąpił wówczas do 5. Kresowej Dywizji Piechoty 14. Pułku („Żbików”), którego dowódcą był ppłk Kazimierz Dudziński¹¹.



Legitymacja nr 198
5. Dywizji Piechoty
Polskich Sił Zbrojnych
(ARJ)

Ośrodkiem jej formowania był obóz w Tatiszczewie. Żołnierze kwaterowali w namiotach, a w zimie w ziemiankach. Temperatury spadające zimą do minus 40 stopni spowodowały, że ok. 20 proc. żołnierzy miało odmrożone uszy, policzki, ręce i nogi¹². Jak czytamy we wspomnieniach Jerzego, w marcu 1942 r. odbył trzymiesięczny kurs dowódców plutonu w Dżalalabadzie, zaś oddział rozmieszczony został w rejonie wsi Błagowieszczanka¹³. Było to ok. 6 km od sztabu dywizji. Oddziały rozlokowano częściowo w namiotach, a częściowo w budynkach gospodarczych. Warunki tam panujące były korzystniejsze niż w Tatiszczewie, lecz z racji dużo cieplejszego klimatu szerzyły się żółtaczka, dezynteria, a zwłaszcza

10 ARJ, *Wspomnienia...*, s. 3; [online], [dostępny: <http://www.indeksrepresjonowanych.pl/int/wyszukiwanie/94,Wyszukiwanie.html>], [dostęp: 20.01.2018].

11 ARJ, *Wspomnienia...*, s. 4; E. Kospath-Pawłowski, P. Matusak, J. Odziemkowski, *5. Dywizja Piechoty w dziejach oręża polskiego*, Pruszków 1997, s. 109.

12 Tamże, s. 107.

13 ARJ, *Wspomnienia...*, s. 3.



Irak, uczestnicy zjazdu 86 PP w Iraku – Jerzy Jaworski w pierwszym rzędzie, trzeci z prawej

malaria, które zaczęły dziesiątkować szeregi wojska¹⁴. W początkach sierpnia 1942 r. zapadła decyzja o ewakuacji armii do Iranu i dalej na wschód. Ewakuacja 5. Dywizji rozpoczęła się 9 sierpnia. Transportami kolejowymi żołnierze wileńskiej dywizji – przez Samarkandę, Aszchabad – zostali przewiezieni do Krasnowodska nad Morzem Kaspijskim. Stamtąd okrętami do irańskiego miasta Pahlawi. Po tygodniu 5. Dywizja (żołnierze zdolni do noszenia broni) została przetransportowana do Iraku, do obozu w Khanaquin¹⁵.

Na kamieniach i skałach wokół obozu znajdowały się znaki wyryte przez polskich żołnierzy, były to symbole polskich jednostek wojskowych oraz różne wizerunki naszego godła narodowego¹⁶. Jedno z takich zdjęć znajduje się w albumie rodziny Jaworskich.

14 E. Kospath-Pawłowski, P. Matusak, J. Odziemkowski, dz. cyt., s. 111.

15 Tamże, s. 112–113.

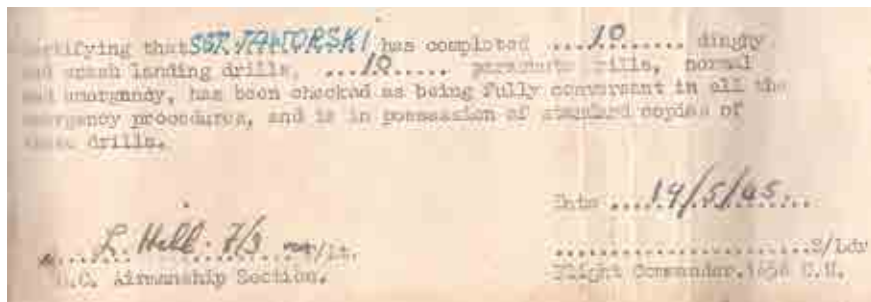
16 [online], [dostępny: http://www.bagdad.msz.gov.pl/pl/wspolpraca_dwustronna/polacy_w_iraku/miej-sca_stacjonowania_polakow/k_hanaqin_i_qizil], [dostęp: 20.01.2018].



Irak, z kolegami na pustyni przy orle ułożonym z kamieni kredowych – Jerzy Jaworski czwarty z lewej (ARJ)

„Dywizjon Trzysta leci w krwawy bój”

W czerwcu 1943 r. Jerzy przedostał się do Anglii i zaciągnął się do lotnictwa. Przebywając tam, odbył dziewięciomiesięczny kurs radiotelegrafistów dla personelu latającego. Ukończył go 19 kwietnia 1944 r. Rok później otrzymał certyfikat, w którym czytamy: *Sierżant Jaworski ukończył ćwiczenia z szalupy awaryjnego lądowania, ćwiczeń spadochronowych, normalnych i awaryjnych. Został sprawdzony jako w pełni zaznajomiony z wszystkimi procedurami awaryjnymi oraz jest w posiadaniu standardowych kopii tych ćwiczeń.*



Poświadczenie z dnia 19.05.1945 r. o otrzymaniu certyfikatu na temat umiejętności lotniczych (ARJ)

Następnie, już jako lotnik o numerze wojskowym P706475, przydzielony został do 10. OTU (ośrodka szkolenia) RAF, ćwicząc na samolotach typu „Wellington” z bazą w Lindholme (Yorkshire).

NVC: 732 30-7-45 Lindholme 56 1

Certificates of Qualification.

(to be filled in as appropriate)

1. This is to certify that **P706475** **JAWORSKI A**
 has qualified as **W/CPT AIR.**
 with effect from **19.7.44** Sgd. *Chambers*
 Date **19.7.44** Unit **No 1. RADIO SCHOOL**

Fragment książki lotów (ARJ)¹⁷

January				1945		Total	
Time	From	To	Remarks	Time	From	To	Remarks
14.30	11.00	12.00	Practice	14.30	11.00	12.00	Practice
15.15	11.00	12.00	Practice	15.15	11.00	12.00	Practice
16.00	11.00	12.00	Practice	16.00	11.00	12.00	Practice
16.45	11.00	12.00	Practice	16.45	11.00	12.00	Practice
17.30	11.00	12.00	Practice	17.30	11.00	12.00	Practice
18.15	11.00	12.00	Practice	18.15	11.00	12.00	Practice
19.00	11.00	12.00	Practice	19.00	11.00	12.00	Practice
19.45	11.00	12.00	Practice	19.45	11.00	12.00	Practice
20.30	11.00	12.00	Practice	20.30	11.00	12.00	Practice
21.15	11.00	12.00	Practice	21.15	11.00	12.00	Practice
22.00	11.00	12.00	Practice	22.00	11.00	12.00	Practice
22.45	11.00	12.00	Practice	22.45	11.00	12.00	Practice
23.30	11.00	12.00	Practice	23.30	11.00	12.00	Practice
24.15	11.00	12.00	Practice	24.15	11.00	12.00	Practice
25.00	11.00	12.00	Practice	25.00	11.00	12.00	Practice
25.45	11.00	12.00	Practice	25.45	11.00	12.00	Practice
26.30	11.00	12.00	Practice	26.30	11.00	12.00	Practice
27.15	11.00	12.00	Practice	27.15	11.00	12.00	Practice
28.00	11.00	12.00	Practice	28.00	11.00	12.00	Practice
28.45	11.00	12.00	Practice	28.45	11.00	12.00	Practice
29.30	11.00	12.00	Practice	29.30	11.00	12.00	Practice
30.15	11.00	12.00	Practice	30.15	11.00	12.00	Practice
31.00	11.00	12.00	Practice	31.00	11.00	12.00	Practice
31.45	11.00	12.00	Practice	31.45	11.00	12.00	Practice
32.30	11.00	12.00	Practice	32.30	11.00	12.00	Practice
33.15	11.00	12.00	Practice	33.15	11.00	12.00	Practice
34.00	11.00	12.00	Practice	34.00	11.00	12.00	Practice
34.45	11.00	12.00	Practice	34.45	11.00	12.00	Practice
35.30	11.00	12.00	Practice	35.30	11.00	12.00	Practice
36.15	11.00	12.00	Practice	36.15	11.00	12.00	Practice
37.00	11.00	12.00	Practice	37.00	11.00	12.00	Practice
37.45	11.00	12.00	Practice	37.45	11.00	12.00	Practice
38.30	11.00	12.00	Practice	38.30	11.00	12.00	Practice
39.15	11.00	12.00	Practice	39.15	11.00	12.00	Practice
40.00	11.00	12.00	Practice	40.00	11.00	12.00	Practice
40.45	11.00	12.00	Practice	40.45	11.00	12.00	Practice
41.30	11.00	12.00	Practice	41.30	11.00	12.00	Practice
42.15	11.00	12.00	Practice	42.15	11.00	12.00	Practice
43.00	11.00	12.00	Practice	43.00	11.00	12.00	Practice
43.45	11.00	12.00	Practice	43.45	11.00	12.00	Practice
44.30	11.00	12.00	Practice	44.30	11.00	12.00	Practice
45.15	11.00	12.00	Practice	45.15	11.00	12.00	Practice
46.00	11.00	12.00	Practice	46.00	11.00	12.00	Practice
46.45	11.00	12.00	Practice	46.45	11.00	12.00	Practice
47.30	11.00	12.00	Practice	47.30	11.00	12.00	Practice
48.15	11.00	12.00	Practice	48.15	11.00	12.00	Practice
49.00	11.00	12.00	Practice	49.00	11.00	12.00	Practice
49.45	11.00	12.00	Practice	49.45	11.00	12.00	Practice
50.30	11.00	12.00	Practice	50.30	11.00	12.00	Practice
51.15	11.00	12.00	Practice	51.15	11.00	12.00	Practice
52.00	11.00	12.00	Practice	52.00	11.00	12.00	Practice
52.45	11.00	12.00	Practice	52.45	11.00	12.00	Practice
53.30	11.00	12.00	Practice	53.30	11.00	12.00	Practice
54.15	11.00	12.00	Practice	54.15	11.00	12.00	Practice
55.00	11.00	12.00	Practice	55.00	11.00	12.00	Practice
55.45	11.00	12.00	Practice	55.45	11.00	12.00	Practice
56.30	11.00	12.00	Practice	56.30	11.00	12.00	Practice
57.15	11.00	12.00	Practice	57.15	11.00	12.00	Practice
58.00	11.00	12.00	Practice	58.00	11.00	12.00	Practice
58.45	11.00	12.00	Practice	58.45	11.00	12.00	Practice
59.30	11.00	12.00	Practice	59.30	11.00	12.00	Practice
60.15	11.00	12.00	Practice	60.15	11.00	12.00	Practice
61.00	11.00	12.00	Practice	61.00	11.00	12.00	Practice
61.45	11.00	12.00	Practice	61.45	11.00	12.00	Practice
62.30	11.00	12.00	Practice	62.30	11.00	12.00	Practice
63.15	11.00	12.00	Practice	63.15	11.00	12.00	Practice
64.00	11.00	12.00	Practice	64.00	11.00	12.00	Practice
64.45	11.00	12.00	Practice	64.45	11.00	12.00	Practice
65.30	11.00	12.00	Practice	65.30	11.00	12.00	Practice
66.15	11.00	12.00	Practice	66.15	11.00	12.00	Practice
67.00	11.00	12.00	Practice	67.00	11.00	12.00	Practice
67.45	11.00	12.00	Practice	67.45	11.00	12.00	Practice
68.30	11.00	12.00	Practice	68.30	11.00	12.00	Practice
69.15	11.00	12.00	Practice	69.15	11.00	12.00	Practice
70.00	11.00	12.00	Practice	70.00	11.00	12.00	Practice
70.45	11.00	12.00	Practice	70.45	11.00	12.00	Practice
71.30	11.00	12.00	Practice	71.30	11.00	12.00	Practice
72.15	11.00	12.00	Practice	72.15	11.00	12.00	Practice
73.00	11.00	12.00	Practice	73.00	11.00	12.00	Practice
73.45	11.00	12.00	Practice	73.45	11.00	12.00	Practice
74.30	11.00	12.00	Practice	74.30	11.00	12.00	Practice
75.15	11.00	12.00	Practice	75.15	11.00	12.00	Practice
76.00	11.00	12.00	Practice	76.00	11.00	12.00	Practice
76.45	11.00	12.00	Practice	76.45	11.00	12.00	Practice
77.30	11.00	12.00	Practice	77.30	11.00	12.00	Practice
78.15	11.00	12.00	Practice	78.15	11.00	12.00	Practice
79.00	11.00	12.00	Practice	79.00	11.00	12.00	Practice
79.45	11.00	12.00	Practice	79.45	11.00	12.00	Practice
80.30	11.00	12.00	Practice	80.30	11.00	12.00	Practice
81.15	11.00	12.00	Practice	81.15	11.00	12.00	Practice
82.00	11.00	12.00	Practice	82.00	11.00	12.00	Practice
82.45	11.00	12.00	Practice	82.45	11.00	12.00	Practice
83.30	11.00	12.00	Practice	83.30	11.00	12.00	Practice
84.15	11.00	12.00	Practice	84.15	11.00	12.00	Practice
85.00	11.00	12.00	Practice	85.00	11.00	12.00	Practice
85.45	11.00	12.00	Practice	85.45	11.00	12.00	Practice
86.30	11.00	12.00	Practice	86.30	11.00	12.00	Practice
87.15	11.00	12.00	Practice	87.15	11.00	12.00	Practice
88.00	11.00	12.00	Practice	88.00	11.00	12.00	Practice
88.45	11.00	12.00	Practice	88.45	11.00	12.00	Practice
89.30	11.00	12.00	Practice	89.30	11.00	12.00	Practice
90.15	11.00	12.00	Practice	90.15	11.00	12.00	Practice
91.00	11.00	12.00	Practice	91.00	11.00	12.00	Practice
91.45	11.00	12.00	Practice	91.45	11.00	12.00	Practice
92.30	11.00	12.00	Practice	92.30	11.00	12.00	Practice
93.15	11.00	12.00	Practice	93.15	11.00	12.00	Practice
94.00	11.00	12.00	Practice	94.00	11.00	12.00	Practice
94.45	11.00	12.00	Practice	94.45	11.00	12.00	Practice
95.30	11.00	12.00	Practice	95.30	11.00	12.00	Practice
96.15	11.00	12.00	Practice	96.15	11.00	12.00	Practice
97.00	11.00	12.00	Practice	97.00	11.00	12.00	Practice
97.45	11.00	12.00	Practice	97.45	11.00	12.00	Practice
98.30	11.00	12.00	Practice	98.30	11.00	12.00	Practice
99.15	11.00	12.00	Practice	99.15	11.00	12.00	Practice
100.00	11.00	12.00	Practice	100.00	11.00	12.00	Practice

Fragment dziennika lotów Jerzego Jaworskiego (Flying log book for navigators, airbombers, airgunners, flightengineers), (ARJ)

¹⁷ ARJ, Książka lotów (Flying log book for navigators, airbombers, airgunners, flightengineers).



Defilada lotnicza. Flaga brytyjska i polska na lotnisku Faldingworth (ARJ)



Przelot 10 maszyn po koncentracji, widoczna szachownica pól (ARJ)

W kwietniu 1945 r. z kolei został przydzielony do 1656 H.C.U. Latał tam na samolotach typu „Lancaster” o numerach bocznych EK-A, B, F, L, P¹⁸. We wspomnieniach Jerzego czytamy, że z początkiem lutego 1945 r. służył już w 300 Dywizjonie Bombowym im. Ziemi Mazowieckiej, stacjonującym w Faldingworth. Załogi Dywizjonu latały wówczas na samolotach typu „Lancaster”¹⁹. Z Jaworskim latali wtedy: Jerzy Kwapniewski – pilot, Wacław Mądracki – nawigator, Kazimierz Targ – mechanik, Edward Polesiński – bombardier, Michał Orlisz-Kozaryn – strzelec, Wiesław Zmirkowicz – strzelec²⁰.

Jednak z analizy książki lotów możemy wywnioskować, że jego pierwszy lot w Dywizjonie odbył się 24 maja 1945 r. i trwał 5,5 godziny²¹.



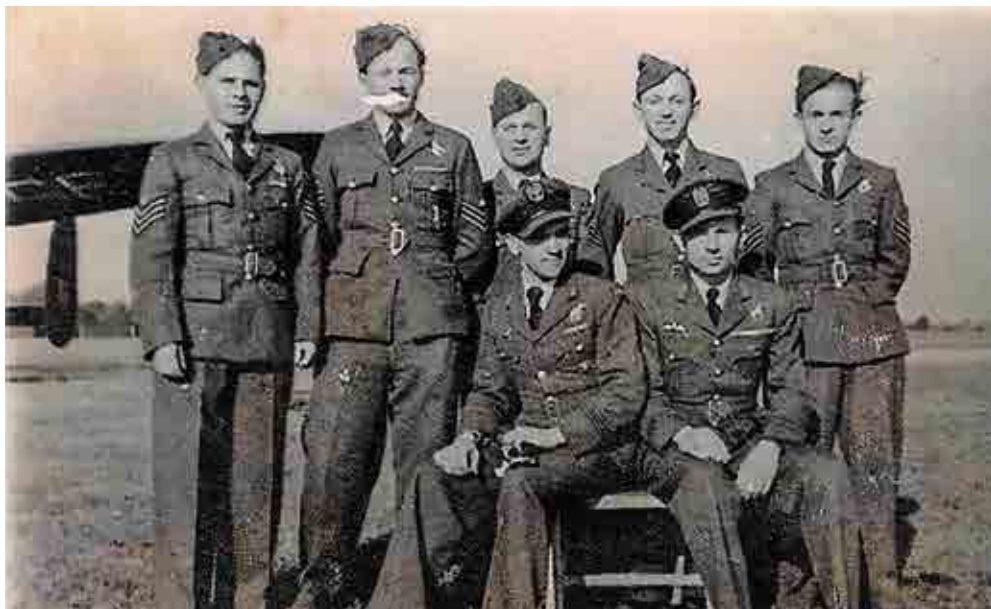
Dywizjon 300 im. Ziemi Mazowieckiej powstał 1 lipca 1940 r. Był pierwszą polską jednostką bojową, która weszła do działań wojennych z Wysp Brytyjskich. Celem misji bojowych było niszczenie infrastruktury przemysłowej III Rzeszy oraz innych obiektów o znaczeniu strategicznym. Jego symbolem rozpoznawczym była odznaka w kształcie herbu Piastów mazowieckich, podzielona na cztery pola w kolorze biało-czerwonym. Umieszczono na nich po przekątnej orła polskiego i brytyjskiego lwa.

18 Tamże, Książka lotów...

19 Tamże, Wspomnienia..., s. 4.

20 Tamże, Notatnik...

21 ARJ, Książka lotów...



Załoga bombowa samolotu Lancaster, Jerzy Jaworski w drugim rzędzie w środku (ARJ)



Bomby załadowane tuż przed startem do zrzutu w morze, Jerzy Jaworski pierwszy z prawej (ARJ)



Praca śmigła sfotografowana przez szybę pilota – 5.08.1946 r. (ARJ)



Defilada po zakończeniu wojny (ARJ)



Żołnierska książka serwisowa – Soldier's Service Book (ARJ)

Poszczególne maszyny nosiły oznaczenie „BH”²². Kapral radiotelegrafista Jerzy Jaworski odbył w sumie dziewięć lotów bojowych na następujące miasta: Hamburg (dwa razy), Brunszwik, Brema, Berchtesgaden, Düsseldorf, Poczdam, Gelsenkirchen, wyspa Sylf²³. Jego bratanek relacjonował, że były też loty nad Warszawę z prowiantem i bronią. Dowodów jednak na to nie znajdujemy w dzienniku lotów²⁴. Z dniem 1 listopada 1945 r. Jaworski awansował na plutonowego²⁵.

22 [online], [dostępny: <http://dzieje.pl/artykuly/histories/polacy-na-niemieckim-niebie-dywizjon-300-i-pierwsze-bombardowanie-berlina>], [dostęp: 27.01.2018].

23 ARJ, Wspomnienia...

24 Relacja Jerzego Jaworskiego.

25 ARJ, Wspomnienia..., s. 4.

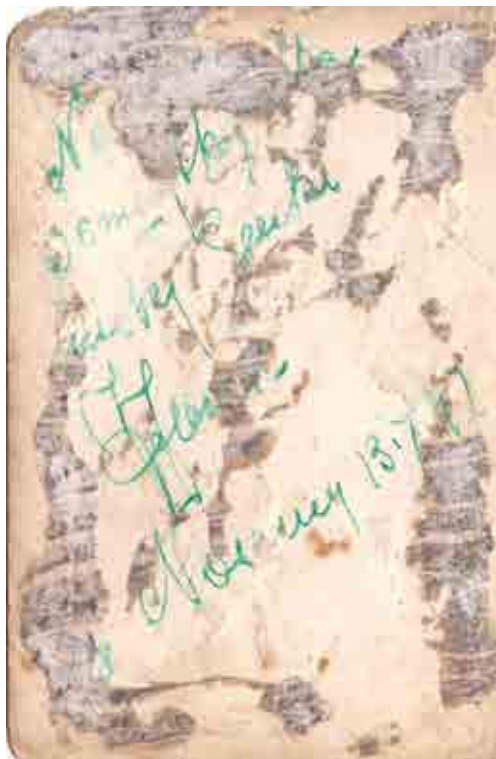
Życie jest podróżą, która prowadzi do domu...

W czerwcu 1947 r. podjął decyzję, by wraz z grupą współtowarzyszy wrócić do kraju. *Wuj wielokrotnie wspominał, że rozważał pozostanie w Anglii na stałe.* Sądzę jednak, że tęsknota za krajem rodzinnym oraz bliskimi zaważyła na decyzji o powrocie. Opowiadał, że gdy wpłynęli do portu w Gdańsku, ktoś podpowiedział wracającym z Anglii lotnikom, by wszystkie odznaczenia wrzucili do Bałtyku. Tak też uczynili. Jak wynika z dokumentu wystawionego przez Państwowy Urząd Repatriacyjny w Gdańsku-Porcie, na polskim wybrzeżu znalazł się 21 czerwca 1947 r., zaś w Urzędzie Gminy Żałe zameldował się trzy dni później²⁶.



Zaświadczenie z dnia 21.06.1947 r. nr 939297, wydane przez Państwowy Urząd Repatriacyjny w Gdańsku-Porcie, potwierdzające przybycie Jerzego Jaworskiego do kraju (ARJ)

²⁶ Tamże, zaświadczenie nr 939297 Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Gdańsku-Porcie.



Fotografia ofiarowana Genowefie Jabłońskiej przez Jerzego Jaworskiego (ARJ)

W rodzinnej wiosce okazało się, że najbliższej rodziny już nie ma. W maju 1945 r. zmarł 60-letni ojciec, a nieco wcześniej matka. Kątem zamieszkał więc u swojej siostry – Heleny Lewandowskiej. Wówczas też odnowił przedwojenną znajomość z Genowefą Jabłońską z Nowin. To właśnie jej, tuż po powrocie do kraju – 13 lipca 1947 r. przekazał swoją fotografię z tkliwą dedykacją: „Na pamiątkę dla miłej Geniutki – Jerzy”²⁷.

Młodzi pobrali się latem 1948 r. i doczekali pięciorga dzieci: Ewy (ur. 1952), Adama (ur. 1950), Arkadiusza (ur. 1953), Teresy (ur. 1954) i Wojciecha (ur. 1956)²⁸.

²⁷ Tamże, Fotografia ofiarowana Genowefie Jabłońskiej przez Jerzego Jaworskiego.

²⁸ Relacja Wojciecha Jaworskiego z Ostrowitego – syna Jerzego Jaworskiego.

„Czasem odkrywasz swoją misję chwila po chwili”

Pierwszą powojenną pracę Jerzy podjął w Gminnej Spółdzielni (GS) Żałe, pracując jako sprzedawca w sąsiedniej wsi Radzynek. Widać sprawdził się tam jako wzorowy pracownik, skoro od lipca 1948 r. przez dwa lata pełnił funkcję kierowniczą w GS w Pręczkach. Kolejne dwa lata to z kolei prezesura w GS Żałe. Z początkiem 1952 r. był już związany z miejscowym urzędem gminy, pracując tam jako urzędnik odpowiedzialny za sprawy finansowe. W latach 1958–1969 był sekretarzem gromadzkiej rady narodowej w Złem, zaś w latach 1969–1975 – księgowym w międzykółkowej bazie maszynowej w Kleszczynie. Z końcem czerwca 1975 r. przeszedł na emeryturę.



Jerzy Jaworski z żoną Genowefą i pierwszą trójką dzieci, zdjęcie z początku lat 50. (ARJ)



Rypin, defilada najprawdopodobniej z okazji 1 Maja, Jerzy Jaworski pierwszy z lewej (ARJ)



Żałe, 1976 r., przekazanie sztandaru, Jerzy Jaworski pierwszy z lewej (ARJ)

We wspomnieniach bliskich powtarza się informacja o wielkim zaangażowaniu społecznym bohatera mojej pracy. Mimo że wuj nie ukończył wielkich szkół, zwiedził pół świata, a wszystkie doświadczenia wojenne zaowocowały wieloma umiejętnościami. Ludzie z Żałego i okolicy często przychodzili do niego z różnymi problemami, a on nigdy nie odmawiał pomocy. Podpowiadał, gdzie mają się udać, sporządzał pisma urzędowe, znał dobrze język angielski, więc gdy była konieczność, tłumaczył przynoszone listy²⁹. Matka narzekała, że ojca często nie było w domu. Udzielał się w miejscowej straży pożarnej, spotykał się z młodzieżą szkolną, relacjonując wojenną tułaczkę³⁰. Jak wynika ze wspomnień samego Jerzego, z Ochotniczą Strażą Pożarną w Żałem związany był już przed wojną. Po powrocie z Anglii wrócił do swojej pasji. Gdy z początkiem lutego 1949 r. został naczelnikiem miejscowej OSP, jednostka wielokrotnie zajmowała pierwsze miejsca w zawodach powiatowych i wojewódzkich. Powstała też wówczas przy jednostce sekcja dziewcząt – druhenek. Jaworski musiał cieszyć się dużym zaufaniem społeczeństwa, gdyż przez 12 lat był ławnikiem Sądu Powiatowego w Rypinie.

29 ARJ.

30 Relacja Jerzego Jaworskiego.



Rypin, lata 60., Jerzy Jaworski prowadzi sekcję druhenek podczas Świąta Pracy (ARJ)

Za wojnę i nie tylko...

Za walki na Zachodzie Jerzy Jaworski oznaczony został „Medalem za Wojnę” (War Medal) i Medalem za obronę (Defence Medal). Ponadto wśród odznaczeń wojskowych znajdują się jeszcze dwa medale lotnicze oraz Medal Armii. W latach 50. otrzymał Brązowy Krzyż Zasługi (nr A 49484), a w następnej dekadzie Odznakę Tysiąclecia Państwa Polskiego. Ponadto dostrzeżono jego pracę społeczną, przyznając w 1958 r. srebrny medal „Za Zasługi dla Pożarnictwa”. Co więcej, pomiędzy wszelakimi odznaczeniami jest także odznaka „Strażak Wzorowy” (1960). Uehonorowany został wieloma dyplomami, głównie za pracę na rzecz OSP w Żałem³¹. Po wojnie otrzymał też jednorazowo sporą sumę pieniędzy, podobno po przeliczeniu na polskie złote wynosiła ok. 120 tys.³².

„Umarłych wieczność dotąd trwa, dokąd pamięcią się im płaci...”

31 P. Gałkowski, *Straże Pożarne Powiatu Rypińskiego*, Rypin 2016, s. 234; relacja Jerzego Jaworskiego.

32 Relacja Jerzego Jaworskiego.



Brązowy Krzyż Zasługi



Medal Zwycięstwa i Wolności (ARJ)

Jerzy Jaworski zmarł 15 lipca 1984 r. w Żałem – niewielkiej wiosce, bliskiej jego sercu, do której wracał niczym Odys do swojej Itaki. Pochowany został na cmentarzu parafialnym w Żałem.



Nagrobek Jerzego Jaworskiego i jego żony Genowefy (zdz. autorka)

Epilog

Myślę, że Jerzy Jaworski chciałby, aby jego historia ujrzała światło dzienne. Dlaczego? Odpowiedzią są piękne i wymowne słowa znanego lotnika – Tadeusza Krzystka: *Aby pamięć powróciła do tych, co zapomnieli, a pozostała na zawsze wśród tych, co pamiętają*. Sam Jerzy po powrocie do Ojczyzny na ile mógł i ile mógł, wracał do czasów wojny, np. spotykając się z młodzieżą, relacjonując swój pobyt w obozach oraz w Anglii na spotkaniach druhów strażaków. Jestem pełna podziwu dla jego osoby – ponad dekadę był poza swoim rodzinnym domem, swoją Małą Ojczyzną, z dala od swoich bliskich. A mimo to potrafił udźwignąć trudną powojenną rzeczywistość, naznaczoną głównie, jak podkreślali moi rozmówcy, biedą, ale i radością, że piekło wojny już się skończyło. Pomimo tego, co przeżył, poradził sobie bez rodziców – ich bliskości i wsparcia. Co więcej, umiał sprostać wielu obowiązkom – kochającego męża i ojca, wzorowego strażaka, czynnego sąsiada.

Jednak przeszłość jak bumerang wracała nie tylko do Jerzego, ale także do jego bliskich. Konsekwencje związku z Armią gen. Andersa Jerzy odczuł na

własnej skórze – syna Adama, mimo świetnych wyników podczas egzaminu, nie przyjęto na wymarzoną uczelnię wyższą, informując wprost – „ze względu na przeszłość ojca”. Jerzy Jaworski był także podejrzany o udział w słynnej w regionie rypińskim akcji odwetowej jednego z oddziałów Ruchu Oporu AK obwo-du „Mewa” na rypińską grupę operacyjną MO-UB. Miało to miejsce w Okalewie w 1947 r., kiedy to 15 leśnych zaatakowało z zasadzki 25 funkcjonariuszy milicji. Dom Jaworskich otoczyło kilkunastu milicjantów z zamiarem aresztowania Jerzego.

Nie zastano go, był wówczas u swojej Geniutki. Dopadli go, gdy wracał. Na szczęście po przesłuchaniu nazajutrz wypuszczono.

Zbierając materiały do tej pracy, spotykając się z wieloma osobami, które znały Jerzego Jaworskiego osobiście lub też znały jego historię z relacji innych, a także przeglądając materiały źródłowe, doszłam do wniosku, że był to wspa-niały, pełen wrażliwości i ciepła człowiek. Podczas rozmów z sąsiadami Jerzego nie usłyszałam o nim żadnego złego słowa, wręcz przeciwnie. Dziewięćdziesię-cioletnia Mieczysława Potwardowska z Żałego na pytanie, jak wspomina Jerzyka, odpowiedziała: *Zawsze był gotów do niesienia pomocy innym. Potrafił rozwiązać trudne problemy ze stoickim spokojem. (...) Przystojny, a jaki zalotny... (...) Wszystkie moje koleżanki się w nim podkochiwały, ale on wybrał Genię*³³. Zaś bratanek Jerzyka opisuje go tak: *Wujek był wspaniałym facetem, pomocnym, uczynnym, ciepłym i dobrym człowiekiem, dziś byście powiedzieli superwujkiem.*

33 Relacja Mieczysławy Potwardowskiej z Żałego.

Źródła informacji:

Archiwum Rodziny Jaworskich:

1. Akt urodzenia Jerzego Jaworskiego
2. Fotografia ofiarowana Genowefie Jabłońskiej przez Jerzego Jaworskiego
3. Książka lotów Jerzego Jaworskiego (*Flying log book for navigators, airbombers, airgunners, flightengineers*)
4. Notanik Jerzego Jaworskiego
5. Wspomnienia Jerzego Jaworskiego
6. Zaświadczenie nr 939297 Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Gdańsku-Porcie

Zbiory własne autorki:

1. Relacja Jerzego Jaworskiego z Ostrowitego – syna Zygmunta (brata Jerzego Jaworskiego)
2. Relacja Wojciecha Jaworskiego z Ostrowitego – syna Jerzego Jaworskiego
3. Relacja Mieczysławy Potwardowskiej — sąsiadki Jerzego Jaworskiego

Opracowania:

- P. Gałkowski, *Brzuze i okolice (monografia historyczna wsi ziemi dobrzyńskiej)*, Brzuze 2002, s. 222
- P. Gałkowski, *Straże Pożarne Powiatu Rypińskiego*, Rypin 2016, s. 234
- E. Kospath-Pawłowski, P. Matusak, J. Odziemkowski, *5. Dywizja Piechoty w dziejach oręża polskiego*, Pruszków 1997, s. 109

Netografia:

http://www.bagdad.msz.gov.pl/pl/wspolpraca_dwustronna/polacy_w_iraku/miejsca_stacjonowania_polakow/khanaqin_i_qizil_ribat;jsessionid=C683FCB-CF6D0178D76E5CAE13513D3AB.cmsap1p

<http://blogpress.pl/node/9053>

<http://dzieje.pl/artykulyhistoryczne/polacy-na-niemieckim-niebie-dywizjon-300-ipierwsze-bombardowanie-berlina>

<http://www.indeksrepresjonowanych.pl/int/wyszukiwanie/94,Wyszukiwanie.html>

<http://dzieje.pl/artykulyhistoryczne/polacy-na-niemieckim-niebie-dywizjon-300-ipierwsze-bombardowanie-berlina>

<http://dzieje.pl/artykulyhistoryczne/polacy-na-niemieckim-niebie-dywizjon-300-ipierwsze-bombardowanie-berlina>

II miejsce

kategoria: licea, technika i szkoły branżowe

Anna Wiśniewska

opiekun: Grzegorz Banaś

Zespół Szkół Ogólnokształcących w Wąbrzeźnie

Gen patriotyczny i społeczny w mojej rodzinie

*Album ten chciałabym poświęcić pamięci moich przodków
oraz bliskich krewnych ze strony babci, Marii Grabowskiej.*



PIERWSZE POKOLENIE

■ Jezierscy

Pamięć historyczna rodziny sięga końca XIX w., kiedy to prapradziadek ze strony mojej mamy, Mieczysław Jezierski, przybył do Wąbrzeźna z okolic Poznania. Pochodził z rodziny wierzącej i patriotycznej. Miłości do ojczyzny nauczyli go rodzice, Michalina i Bartłomiej Jezierscy, poznańscy kupcy. Młody Mieczysław dorastał w Poznaniu i tam terminował w zawodzie kupca¹. Najprawdopodobniej do Wąbrzeźna przybył z początkiem XX w. Na przełomie wieków miasto przeżywało rozkwit. Pojawiło się zjawisko wykupywania przez Polaków sklepów od niemieckich kupców. Jedną z osób, która nabyła w ten sposób sklep żelazny, był mój prapradziadek². W 1906 r. ożenił się z Gertrudą Białecką, córką innego wąbrzeskiego kupca. Z tego związku urodziła się dwójka dzieci: Filip i Łucjan. W 1914 r. wybuchła Wielka Wojna, co spowodowało, że został wcielony do pruskiego wojska. Służył na froncie zachodnim, a po 1916 r. w Warszawie. Tam nawiązał współpracę z Polską Organizacją Wojskową i zaczął działać na rzecz odzyskania niepodległości³. Po zakończeniu wojny wrócił do Wąbrzeźna i włączył się w przygotowania uroczystości przejęcia miasta przez Polaków oraz powitania żołnierzy polskich. Stanął na czele powołanego 23 grudnia 1919 r. Oddziału Polskiego Czerwonego Krzyża. W styczniu 1920 r. PCK w Wąbrzeźnie gromadził dary dla mających wkroczyć żołnierzy, a nawet tworzył „gospodę żołnierską”⁴. 20 stycznia 1920 r. – po wkroczeniu wojsk polskich do miasta – jako przewodniczący PCK zajmował się zakwaterowaniem żołnierzy. Po powrocie Wąbrzeźna do macierzy pełnił funkcje radnego oraz przewodniczącego Rady Miasta. Ponadto kierował Korporacją Samodzielných Kupców. Gertruda Białecką przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego udziela się charytatywnie w Towarzystwie św. Wincentego à Paulo⁵.

1 Relacja ustna Marii Grabowskiej, Wąbrzeźno, 2.02.2018.

2 *Historia Wąbrzeźna*, red. K. Mikulski, Wąbrzeźno 2005, s. 142.

3 *Srebrne Gody Małżeńskie Państwa Jezierskich*, „Głos Wąbrzeski”, Wąbrzeźno 1931, s. 6.

4 *Historia Wąbrzeźna*, s. 187.

5 *Srebrne Gody...*, s. 6.



Mieczysław Jezierski
(ur. 9.11.1882, zm. 29.01.1953)



Gertruda Jezierska z Białeckich
(ur. 4.03.1886, zm. 1.11.1948).
Na kolanach trzyma mojego pradziadka,
Filipa Jezierskiego. Obok stoi jego brat,
Łucjan Jezierski



Rodzina Jezierskich podczas Wielkiej Wojny



Mieczysław Jezierski podczas I wojny światowej



Sklep Mieczysława Jezierskiego i jego wnętrze





Towarzystwo
św. Wincentego à Paulo.
Siedząca, druga od lewej
Gertruda Jezierska



Sklep Filipa Białeckiego,
Wąbrzeźno, 1912 r.



Filip Białeckie, szwagier
Mieczysława Jezierskiego, pierwszy
polski burmistrz Wąbrzeźna
po powrocie Pomorza do macierzy,
kupiec, samorządowiec

■ Chwiałkowscy

Rodzina Chwiałkowskich, podobnie jak Jezierskich, przybyła do Wąbrzeźna z początkiem XX w. Jednak w pamięci rodzinnej nie zachowało się więcej informacji na jej temat. Stanisław Chwiałkowski (mój drugi pradziadek) urodził się w 1884 r. Z zawodu był kupcem i założył sklep z artykułami odzieżowymi⁶. Ożenił się z Bronisławą Rolirad. W trakcie I wojny światowej był radnym miejskim reprezentującym Polaków. Po powrocie Wąbrzeźna w granice II Rzeczypospolitej był wieloletnim radnym miejskim. Politycznie sympatyzował z piłsudczykami, dlatego też wszedł w 1931 r. do wąbrzeskiego BBWR. Udzielał się w Towarzystwie Śpiewu „Lutnia”⁷. Dzieci państwa Chwiałkowskich wychowywane były w wierze katolickiej. Zwyczajem świątecznym było przygotowywanie przez dzieci jasełek dla rodziny i znajomych. Ojciec rodziny wpajał dzieciom poczucie obowiązku pracy dla ojczyzny oraz uczył bycia dobrym Polakiem⁸.



Stanisław Chwiałkowski (ur. 1.05.1884, zm. 7.07.1953) i Bronisława z Roliradów Chwiałkowska (ur. 1.09.1889, zm. 10.08.1966) z dziećmi

6 *Historia Wąbrzeźna*, s. 163.

7 Tamże, s. 213.

8 Relacja ustna Marii Grabowskiej...



Sklep „Bazar” należący do Chwiańkowskich



Wieszak ze sklepu „Bazar” – pamiątka rodzinna



Jasełka Bożonarodzeniowe

Rewindykacja Wąbrzeźna do Polski 20 stycznia 1920 r.

Moi wąbrzescy przodkowie aktywnie uczestniczyli w akcji rewindykacji Pomorza do Polski. Byli zagorzałymi orędownikami polskości. Wszyscy uczestniczyli w przygotowaniu przyjęcia wojsk gen. Józefa Hallera. Uczestniczyli w przystrajaniu miasta oraz w oficjalnym powitaniu oddziałów na dworcu kolejowym w Wałyczu. 20 stycznia 1920 r. powitali na wąbrzeskiej ziemi gen. Stanisława Pruszyńskiego, a kilka dni później dowódcę frontu pomorskiego gen. Józefa Hallera.



1. Pułk Ułanów Krechowieckich – pierwsi żołnierze polscy wkraczający do Wąbrzeźna 20.01.1920 r.



Delegacja wąbrzeźnian eskortująca wojsko polskie z dworca kolejowego na centralny rynek w mieście



Mieszkańcy Wąbrzeźna witający na rynku oddziały polskie



Oficjalne przywitanie gen. Józefa Hallera na wąbrzeskim rynku (styczeń 1920 r).
Drugi od lewej Filip Białecki

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości moi prapradziadkowie Jezierski i Chwiałkowski działali społecznie, m.in. na rzecz mieszkańców miasta. Byli radnymi. Prowadzili również działalność charytatywną. Pomagali młodym ludziom



Na zdjęciu widoczni Mieczysław Jezierski (trzeci z dołu od lewej) oraz Stanisław Chwiałkowski (pierwszy od prawej)

w zdobywaniu zawodu. Finansowali szkolenia związane z nauką np. krawiectwa, szycia kapeluszy dla kobiet⁹.

DRUGIE POKOLENIE

■ Filip Jezierski

Mój pradziadek Filip Jezierski urodził się 4 maja 1912 r. w Wąbrzeźnie, gdzie dorastał. Naukę rozpoczął na terenie macierzystego miasta, a następnie kontynuował w Szkole Handlowej w Poznaniu. Przeszkolenie wojskowe odbywał w Szkole Podchorążych Artylerii w Toruniu. W latach 30. XX w., zgodnie ze swoim wykształceniem, został kupcem. W 1936 r. ożenił się z Łucją Chwiałkowską – kompanką dziecięcych zabaw. Z nią miał córkę Marię. Niestety Łucja zmarła po

9 Tamże.

urodzeniu dziecka. W związku ze zbliżającą się wojną mógł z bratem wyjechać do Szwajcarii. Jednak poczucie przywiązania do ojczyzny oraz wychowanie patriotyczne nie pozwoliło mu na to. Podczas kampanii wrześniowej 1939 r. dostał się do niemieckiej niewoli. Przetrzymywany był w Fordonie pod Bydgoszczą, następnie w Stargardzie Szczecińskim. Ostatecznie trafił do obozu jenieckiego w Murnau (nr więźnia 20503). Przebywał w nim do wyzwolenia przez oddziały aliantów zachodnich w kwietniu 1945 r. Następnie trafił do II Korpusu Wojska Polskiego gen. Władysława Andersa.

Pradziadek wrócił do kraju w styczniu 1947 r.¹⁰ Po powrocie do Polski zaangażował się w pracę Towarzystwa Przyjaciół Żołnierzy w Wąbrzeźnie. Głównym zadaniem organizacji było wspieranie finansowe byłych młodych wojskowych, pragnących podejmować studia na UMK w Toruniu¹¹. Prowadził własną działalność gospodarczą, produkował siatki, betony, sprzączki do pasków, łyżki i widelce. Był aktywnym członkiem Spółdzielni Rzemieślniczej Wielobranżowej. W 1951 r. ożenił się z Kazimierą Stefańską (wywodziła się z rodziny kupieckiej), z którą miał troje dzieci. W 1952 r. urodził się Wojciech (przyszły lekarz weterynarii), w 1953 r. Elżbieta (przyszła nauczycielka) oraz w 1958 r. Tadeusz (zootechnik). Dbał o dobre wykształcenie swoich dzieci. Córka Maria ukończyła w 1976 r. ekonomię w Gdańsku. Dzięki determinacji wykształcił swoje potomstwo. Nie było to łatwe, ponieważ byli dziećmi znienawidzonego przez komunistów „prywaciarza” – brakowało im „punktów za pochodzenie”¹². W 1984 r. pradziadek wszedł w skład zarządu i został zastępcą prezesa Spółdzielni Rzemieślniczej Wielobranżowej¹³. Filip Jezierski kierował firmą w trudnych realiach PRL, kiedy niektóre przedwojenne wartości (takie jak szacunek dla pracy, pracownika oraz własności prywatnej) stały się mało istotne. Wówczas sam starał się postępować zgodnie z zasadami wyniesionymi z rodzinnego domu. Darczył swoich pracowników szacunkiem i był przez nich bardzo poważany. Zmarł 23 marca 1989 r.

10 Tamże.

11 *Historia Wąbrzeźna*, s. 116.

12 Relacja ustana Marii Grabowskiej...

13 *Historia Wąbrzeźna*, s. 416.

Filip Jezierski w mundurze
Wojska Polskiego



Fotografia ślubna Filipa Jezierskiego
z pierwszą żoną Łucją Chwiałkowską



Łucja i Filip Jezierscy przed wybuchem
II wojny światowej



Oflag w Murnau – Filip Jezierski siedzi w pierwszym rzędzie, trzeci od prawej



Oflag w Murnau – Filip Jezierski stoi w pierwszym rzędzie, trzeci od prawej



Siostra Łucji Jezierskiej – Cecylia wraz z mężem Janem Lewandowskim, zamordowanym w Katyniu



Zakład rzemieślniczy Filipa Jezierskiego oraz członkowie jego rodziny



Zakład rzemieślniczy Filipa Jezierskiego oraz członkowie jego rodziny



Zakład rzemieślniczy Filipa Jezierskiego oraz członkowie jego rodziny



Moja mama Katarzyna Wiśniewska z domu Grabowska – w tle produkowane przez pradziadka betony, 1973 r.



Zdjęcie z Józefem Suchockim (trzeci od prawej), oddanym pracownikiem pradiadka



Filip Jezierski z rodziną

TRZECIE POKOLENIE

■ Maria Grabowska

Babcia Maria Grabowska z domu Jezierska urodziła się w Wąbrzeźnie 9 listopada 1947 r. Uczęszczała do Szkoły Podstawowej nr 2 oraz miejscowego Liceum Ogólnokształcącego im. Zygmunta Działowskiego, które ukończyła w 1965 r.



Maria Grabowska

Studia rozpoczęła w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Gdańsku. Po studiach podjęła pracę w Zespole Opieki Zdrowotnej w Wąbrzeźnie. Szara rzeczywistość PRL wpłynęła na jej krytyczny ogląd sytuacji. W związku z tym w 1980 r. wstąpiła do tworzącego się w miejscu pracy NSZZ „Solidarność”. Przewodniczącym związku był wówczas lek. dent. Andrzej Andrzejewski. Moja babcia była przedstawicielem wąbrzeskiej „Solidarności” w wojewódzkiej komisji Służby Zdrowia przy Wojewódzkiej Stacji Sanitarnej w Toruniu. W późniejszym okresie babcia została zakładową przewodniczącą

NSZZ „Solidarność”. Była współorganizatorem jednego ze strajków. Członkiem związku była od początku jego istnienia do przejścia na emeryturę. Obecnie cieszy się jesienią życia. Jest pogodną i kochającą babcią – skarbnicą wiedzy o rodzinie¹⁴.

■ Elżbieta Plewako

Siostra mojej babci Marii Grabowskiej, Elżbieta Plewako z domu Jezierska, urodziła się 8 sierpnia 1953 r. w Wąbrzeźnie, ukończyła Szkołę Podstawową nr 3 oraz Liceum Ogólnokształcące im. Zygmunta Działowskiego w Wąbrzeźnie. Karierę nauczyciela rozpoczęła w 1978 r. w Szkole Podstawowej nr 1 w macierzystym mieście. Zamiłowanie do zawodu nauczyciela wyniosła z domu. W latach wczesnej młodości często rozmawiała z siostrą prapradziadka Mieczysława Jezierskiego, Gabrielą Jezierską. Ciocia w okresie zaborów pracowała jako guwernantka, później (po odzyskaniu przez Polskę niepodległości) jako na-

14 Relacja ustna Marii Grabowskiej...

LEGITYMACJA Nr _____

Nozwiisko Grabowska
Imię Maria Barbara
Imię ojca Filip
Data urodzenia 9.11.1947

JEST CZŁONKIEM
NIEZALEŻNEGO
SAMORZĄDNEGO
ZWIĄZKU ZAWODOWEGO
„SOLIDARNOŚĆ”

Od dnia listopad 80 19__

[Signature] sekretarz [Signature] przewodniczący

Wąbrzeźno 29.08.1989
miejscowość data

_____ podpis

Legitymacja członka NSZZ „Solidarność”

Okolicznościowe spotkanie z okazji 25. rocznicy powstania NSZZ „Solidarność” w Wąbrzeźnie.
Maria Grabowska stoi pierwsza od prawej

uczycielka w szkole. Wiele podróżowała, znała języki obce. Elżbieta Plewako po wyjściu za mąż przeniosła się w 1979 r. do Kołobrzegu. Tam, w Szkole Podstawowej nr 8, w październiku 1980 r. zakładała struktury NSZZ „Solidarność”. Potrzebę działania na rzecz prawdy i osób potrzebujących wsparcia wyniosła z domu rodzinnego. Jej ojciec, Filip Jezierski, twierdził, że komunistyczny reżim musi kiedyś upaść. Wpajał jej prawdę o Katyniu, w którym zginęli jego koledzy szkolni oraz wuj mojej babci, oficer rezerwy por. Jan Lewandowski, z zawodu stomatolog, którego żona, Cecylia Lewandowska, była przez wiele lat polonistką w Szkole Podstawowej nr 2 w Wąbrzeźnie. Uczył też swoje dzieci współczucia dla osób biednych i opuszczonych oraz szacunku i miłości do zwierząt. Dlatego ciocia Elżbieta w Kołobrzegu podjęła działalność charytatywną w Towarzystwie Przyjaciół Dzieci. Niosła pomoc najmłodszym będącym w trudnej sytuacji życiowej. Za te działania została uhonorowana najwyższymi odznaczeniami: Srebrną i Złotą Odznaką TPD oraz Medalem Doktora Jordana. Od początku pracy zawodowej Elżbieta Plewako stała na czele szkolnej Ligi Ochrony Przyrody i prowadziła przez 30 lat szeroko zakrojoną działalność ekologiczną, organizując zbiórki karmy dla zwierząt leśnych i zwierząt w schronisku, publikując programy ekologiczne, organizując apele i popularyzując ochronę środowiska w szkole i w mieście. Współpracowała też z Polskim Związkiem Łowieckim. Za tę działalność Szkoła Podstawowa nr 8 w Kołobrzegu, jako jedyna placówka oświatowa w północnej Polsce, otrzymała w 2014 r. medal „Zasłużony dla łowiectwa”. Ciocia indywidualnie została odznaczona medalami „Zasłużony dla łowiectwa” i „Zasłużony dla łowiectwa ziemi koszalińskiej” – jako jedyny nauczyciel niebędący członkiem Polskiego Związku Łowieckiego. Za swoje osiągnięcia dydaktyczno-wychowawcze oraz działalność na rzecz lokalnej społeczności i ochrony przyrody ciocia otrzymała wiele wyróżnień: dwukrotnie nagrodę Prezydenta Miasta, Złoty Krzyż Zasługi i Medal Komisji Edukacji Narodowej. Swoje zaangażowanie na rzecz pomocy zawdzięcza swoim Rodzicom. Słowa „Bóg, Honor, Ojczyzna” nigdy nie były dla niej pustym hasłem, a postać Marszałka Józefa Piłsudskiego była w jej domu rodzinnym zawsze otaczana głębokim szacunkiem. 21 października 2017 r. w czasie miejskich obchodów Dni Rotmistrza Witolda Pileckiego, wielkiego patrioty i bohatera, Elżbieta Plewako, w obecności kolegów i koleżanek z lat 80., została za swoją postawę patriotyczną odznaczona medalem „Pro Patria”,



Gabriela Jezierska – nauczycielski wzór
Elżbiety Plewako



Elżbieta Plewako w czasach
licealnych



Elżbieta Plewako
– druga od prawej

przyznawanym za kultywowanie pamięci o bohaterach narodowych. Odznaczenia wręczył wojewoda zachodniopomorski¹⁵. Obecnie ciocia mieszka w Kołobrzegu, gdzie na co dzień oddaje się swoim pasjom – przyrodzie oraz historii.

¹⁵ Relacja ustna Elżbiety Plewako, Koszalin, 30.01.2018.



Legitymacja członkowska NSZZ „Solidarność”



Walne zebranie delegatów NSZZ „Solidarność” regionu koszalińskiego „Pobrzeże”. Przemawia Elżbieta Plewako



Odznaczenia Elżbiety Plewako za działalność społeczną



List gratulacyjny z okazji otrzymania Złotego Krzyża Zasługi

Opisani członkowie rodziny są dla mnie wzorem do naśladowania. Uważam, że prezentowane przez nich wartości, takie jak: wiara, szacunek do ludzi, umiłowanie ojczyzny, są ponadczasowe. Dali świadectwo swoim życiem, że praca i poświęcenie dla innego człowieka oraz ojczyzny w trudnych czasach są wartością nadrzędną. Wzorzec zachowań, który prezentują, może być inspiracją dla mojego pokolenia zakotwiczonego w konsumpcjonizmie oraz karierowiczostwie.

Źródła informacji:

1. Relacja ustna Marii Grabowskiej, Wąbrzeźno, 2.02.2018 r.
2. Relacja ustna Elżbiety Plewako, Koszalin, 30.01.2018 r.

Opracowania:

1. *Historia Wąbrzeźna*, red. K. Mikulski, Wąbrzeźno 2005
2. *Srebrne Gody Małżeńskie Państwa Jezierskich*, „Głos Wąbrzeski”, Wąbrzeźno, 1931

Fotografie:

Zbiory rodzinne

III miejsce

kategoria: licea, technika i szkoły branżowe

Anna Borowicz

opiekun: Zofia Wojtalik

Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych w Chełmży

Antoś jest taki odważny, oni go przecież zabiją. **Antoni Łapczyński i „Solidarność” w Chełmży**

Na wielkie wydarzenia historyczne składają się losy pojedynczych ludzi, niejednokrotnie mało znanych bohaterów. Takim właśnie człowiekiem był Antoni Łapczyński. Moja praca ukazuje zaledwie kilka wydarzeń z jego bogatej biografii. Za to zdarzeń niezwykle istotnych. To losy zwykłego człowieka, który mieszkał nieopodal Chełmży i którego dzieje splotły się z historią Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Rolników Indywidualnych „Solidarność”, czyli związku zawodowego rolników.

„Solidarność” miała być nie tylko związkiem zawodowym, ale też ruchem społeczno-politycznym, opozycyjnym wobec władz PRL i walczącym o przestrzeganie praw człowieka. Pośród przyczyn jej powstania najważniejszą stanowiła pogarszająca się sytuacja gospodarcza za czasów Edwarda Gierka, a także represje po strajkach z 1976 r. Jednym z impulsów było również wybranie Karola Wojtyły na papieża w 1978 r. Jednak bezpośrednio powołanie „Solidarności” w 1980 r. wynikało z fali ogólnopolskich strajków, które zaczęły się od Lubelszczyzny. Wkrótce, a mianowicie 18 lipca 1980 r., protestowało już ok. 70 zakładów.

Głównymi postulatami strajkujących było odwołanie podwyżki cen żywności z 1 lipca 1980 r., zniesienie uprzywilejowania rządzących grup partyjnych i poprawa warunków pracy.

Strajki objęły całą Polskę. Najważniejszą rolę odegrał komitet strajkowy w Stoczni Gdańskiej, gdzie 14 sierpnia 1980 r. protest podjęto z inicjatywy Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Specyfiką tego strajku było włączenie po raz pierwszy żądań politycznych, obok socjalnych. Domagano się bowiem przywrócenia do pracy Anny Walentynowicz oraz Lecha Wałęsy. Stoczniovcy postulowali również wzniesienie pomnika kolegom poległym w 1970 r. 18 sierpnia 1980 r. na bramie Stoczni w Gdańsku wywieszono 21 postulatów strajkujących. Domagali się oni m.in. prawa do własnej reprezentacji – wolnego związku zawodowego – oraz wolności obywatelskich – wolności słowa i mediów. Oprócz tego żądano reform socjalnych i służby zdrowia, podwyżki płac oraz wolnych sobót.

Strajki rozszerzyły się na Stocznę Szczecińską, a potem na większość zakładów w Gdańsku, Szczecinie i na Górnym Śląsku. Protesty miały tak ogromny zasięg, że władza nie mogła stłumić ich siłą, choć rozpoczęła represje. Prowadzono rokowania w Szczecinie i Gdańsku, gdzie z robotnikami rozmawiali przedstawiciele Komisji Rządowej. W wyniku tych rozmów w obu wspomnianych miastach 30 i 31 sierpnia 1980 r. podpisano Porozumienia sierpniowe. Na Śląsku zawarto porozumienie w Jastrzębiu 3 września 1980 r. W tekście porozumień uzyskano gwarancję powstania wolnego związku zawodowego jako prawdziwego reprezentanta robotników. Prócz tego rząd miał ograniczyć cenzurę, zatrudnić uczestników strajków z lat 1970 i 1976 oraz przedstawić program reformy prowadzącej do większej samodzielności przedsiębiorstw¹.

Strajki objęły także środowisko wiejskie. Protestowano z powodu trudnej sytuacji upaństwowionej gospodarki oraz niskich zarobków. To spowodowało zawiązanie Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Rolników Indywidualnych „Solidarność”². Jednak ze względu na silny sprzeciw władz komunistycznych wobec reprezentacji rolników organizację zalegalizowano dopiero 19 lutego 1981 r. po porozumieniach rzeszowsko-ustrzyckich.

1 P. Czerwiński, *Historia. Vademecum. Liceum, technikum*, cz. 2, Kraków 2000, s. 173–180.

2 D. Bogdanowicz, B. Łaukajtys, *Nasi przodkowie*, Wąbrzeźno 2014, s. 16–17.



Strajk okupacyjny rolników, 1981 r.

„Solidarność” działała też na terenie Chełmży i okolic³. Jej działacze z chełmżyńskiej cukrowni, na czele z Przemysławem Zellem, przeprowadzali strajki. Ważną rolę odegrał w nich także przewodniczący Antoni Marian Łapczyński – bohater mojej pracy⁴.

Pierwsze lata swojego życia spędził on na wygnaniu. Gdy miał dziewięć miesięcy, jego rodzina została umieszczona w toruńskiej „Szmalcówce”, czyli niemieckim obozie dla wysiedlonych. Stamtąd trafili do niemieckiej miejscowości Wallendorf. Jako kilkuletni zaledwie chłopiec powstrzymał Niemca, który chciał postrzelić jego ojca. Kopnął napastnika w nogę, a ten nie trafił. Po wojnie rodzina Antoniego wróciła do Polski i pozbawiona rodzinnego gospodarstwa w Brzeccze osiedliła się w okolicach Chełmży.

Jego bliscy i znajomi, z którymi przeprowadziłam trzy zamieszczone w tej pracy wywiady, zapamiętali go jako człowieka niezwyklego hartu ducha. W czasie rozmów opowiedzieli mi o jego działalności i charakterze. Moimi rozmówcami byli: Maria Bulińska, córka Antoniego Łapczyńskiego, Jan Wyrowiński,

3 D. Bogdanowicz, M. Łaukajtys, B. Stachowska, *Dziedzictwo*, Głuchowo 2006, s. 34–35.

4 H. Śmiałek, *Od Solidarności do Samorządności*, Chełmża 2017, s. 36–64.

senator RP, który spotkał go w Klubie Inteligencji Katolickiej w Toruniu i później przebywał z nim w tym samym ośrodku internowania w Potulicach, oraz Michał Grabianka, z którym współpracował w związku zawodowym rolników i który również w stanie wojennym przebywał w Potulicach.

Pierwszy z wywiadów przeprowadziłam z Marią Bulińską, córką Antoniego Łapczyńskiego. Niżej przedstawiam zapis tej rozmowy.

Jakim człowiekiem był pani ojciec – Antoni Łapczyński?

W skrócie: mój tata bardzo zaangażował się w działalność NSZZ „Solidarność” Rolników Indywidualnych i właściwie od początku do internowania – nie wiem, czy to był rok, czy więcej – prawie nie było go w domu, bo albo strajkował, albo cały czas wyjeżdżał na jakieś spotkania do Warszawy lub Rzeszowa. Był bardzo, a nawet niezwykle odważny, ponieważ kiedy moja mama i babka pojechały do ośrodka w Potulicach i z ojcem siedzieli przy stole, bo nie mogli inaczej, a strażnik, który ich pilnował, odezwał się nieprzyjemnie, to mój tata odpowiedział mu, że był dwa razy w obozie: raz w niemieckim, a teraz w polskim. I jak był w niemieckim, to w sumie się nie dziwi, bo to był obcy najeźdźca. Natomiast tutaj Polak Polakowi potrafi zrobić taką krzywdę, skoro pozamykali ich za nic. Babcia po powrocie do domu płakała: *Antoś jest taki odważny, oni go przecież zabiją*. Pamiętam więc ojca głównie z tej odważnej strony. Tata zawsze mówił to, co myślał.

Mój tata był bardzo religijny. Poszedł na pierwszą Pomorską Pielgrzymkę na Jasną Górę. To było w 1979 r. I on już był tam takim przywódcą, na zdjęciach widać, jak on tam krzyże nosił, czytał i śpiewał. Miał bardzo piękny głos. Mama opowiedziała mi też, że podczas internowania tata wyrwał z krzesła jakąś część i wystrugał z niej krzyżyk. Powiesił go nad drzwiami w celi i powiedział do współwięźniów, że ostatnia osoba, która wyjdzie z aresztu, ma go zabrać. Ostatni był Stefan Pastuszewski.

Czy działalność pani ojca odbiła się na rodzinie?

Było nam bardzo trudno. Taty nie było, bo był uwięziony w Potulicach przez rok albo półtora, a mama zajmowała się gospodarstwem, które liczyło kilkana-

ście hektarów i 167 świń. Niestety nie mieliśmy kombajnu ani do buraków, ani do ziemniaków, więc musieliśmy pomagać mamie.

Poza tym baliśmy się. Kiedy 14 grudnia tata został aresztowany, byłam w ósmej klasie. Pamiętam, że na lekcji historii lub WOS-u nauczyciel chyba wiedział o zatrzymaniu, bo usłyszałam od niego takie słowa: *Nie wiadomo, czy tych internowanych wywieźli na Sybir, czy ich nie pozabijają*. Pamiętam, że kiedy po powrocie do domu powiedziałam to mamie, bardzo płakałyśmy, bo nie wiedziałyśmy, gdzie i po co zabrali tatę. Jednak to skłoniło mamę do działania – poszła na milicję i zapytała, gdzie jest ojciec.

Co robiliście 13 grudnia, w dzień wprowadzenia stanu wojennego?

Ojciec był przewodniczącym strajku rolników indywidualnych w Toruniu. Protest trwał przez miesiąc, a 12 grudnia tata przyjechał do domu. Następnego dnia planowano spotkanie popielgrzymkowe w Chełmży, które miała poprzedzić msza o 12. Pamiętam, że wrócił do domu o 21. Nazajutrz rano o ósmej przybiegła babcia i krzyczała: *Jest Antoś w domu?* Mama odpowiada, że tak. *Bo wojna jest* – kontynuowała babcia, która z telewizji dowiedziała się o stanie wojennym. Mój tata powiedział, że czuje się jak zdrajca, bo on – przewodniczący – opuścił strajkujących i przyjechał do domu.

Zaraz ojciec zdecydował, że jedziemy do Torunia. Muszę jechać do swoich przyjaciół – powiedział tata. Za torami przy drodze z obu stron stało dwóch Rosjan z wycelowanymi w nas giwerami. Tata kazał mi się położyć, a mama prowadziła samochód. Myślałam, że nas rozstrzelają. Czułam przeszywający strach. Dojechaliśmy na miejsce, a mnie przeszedł dreszcz. Wcześniej, kiedy odwiedziłam tatę podczas strajku okupacyjnego, wszystko było ładnie urządzone, nawet był tam pięknie przystrojony ołtarz. Natomiast wtedy, gdy zajechaliśmy, zobaczyłam powybijane szyby i wyrzucone na śnieg dekoracje. Zostałam w samochodzie, bo rodzice nie pozwolili mi wejść do środka. Gdy wrócili, zapytałam, co się stało, a oni odpowiedzieli, że w nocy był nalot SB. Zabrano pieniądze, dokumenty, a nawet ludzi i zniszczono ołtarz, meble, materace⁵. Tata był w szoku.

5 Relacja z tego wydarzenia została wspomniana w książce H. Śmiałka, *Od „Solidarności” do samorządności*, Chełmża 2017, s. 36–38.

Chcieliśmy jechać do domu, ale tata postanowił jeszcze uspokoić swoją siostrę w Toruniu i poinformować ją, że nic mu się nie stało.

Po powrocie pojechaliśmy na mszę i potem na obiad do domu. Zaprosiliśmy księży, którzy uczestniczyli w pielgrzymce. Dyskutowano o tym, co należy robić. Gdy goście odjechali, tata pojechał do Pluskowęs. Mama mówiła, że nie wrócił na noc. Była godzina milicyjna i ojciec liczył się z tym, że może coś się stać.

Jak wyglądało zatrzymanie ojca?

14 grudnia, w poniedziałek, o 15 przyjechał wóz milicyjny z Chełmży. Do domu wszedł milicjant i kazał tacie zabrać swoje rzeczy. Gdy ojciec zrobił, co mu polecono, pożegnał się z mamą. Nie było mnie przy tym, bałam się zejść. Z okna swojego pokoju widziałam, jak szedł przez podwórko do milicyjnego samochodu. Nie skuto go żadnymi kajdankami.

Dopiero w szkole dowiedziałam się, co spotkało ojca. 23 grudnia, dzień przed Wigilią, po wspomnianych słowach nauczyciela pojechaliśmy z mamą na milicję do Chełmży. *Zabraliście mojego męża. Chciałabym wiedzieć, gdzie on jest? Mija dziesiąty dzień, a ja nie wiem, co się z nim dzieje!* – powiedziała mama. Odpowiedzieli tylko, że nic nie wiedzą i że oni jedynie mieli go zawieźć do Torunia. Niechętnie wskazali jedną z komend w Toruniu. Pojechaliśmy tam i ponownie usłyszałyśmy, że nikt nic nie wie i odesłano nas na kolejny posterunek. Dopiero na komisariacie przy ul. Matejki powiedziano nam, że tata jest internowany w Potulicach. Ta Wigilia była ciężka. Podobnie było w Wigilię po śmierci ojca.

Mama zaraz po świętach musiała iść do urzędu w Chełmży, żeby załatwić pozwolenie na wyjazd do taty do Potulic. Dostała je na 28 grudnia i wtedy dowiedziała się, co i jak z mężem.

Wspominała pani wcześniej o szkole. Czy spotkały panią jakieś przykrości ze strony rówieśników lub nauczycieli?

Ze strony rówieśników – nigdy. Wręcz przeciwnie, reagowali pozytywnie. Podobnie nauczyciele w szkole podstawowej. Przykrości spotykały mnie natomiast w liceum. Niektórzy nauczyciele – powiem otwarcie: komuniści – traktowali mnie inaczej niż pozostałych. Byłam gorzej oceniana, zwłaszcza przez jednego nauczyciela, który – jak się potem dowiedziałam – był esbekiem. Cały czas

to pamiętam. Mogłam osiągać wyższe wyniki, ale moje nazwisko – Łapczyńska – na to nie pozwalało.

Mój brat także był gnębiony. Kiedyś nauczyciel powiedział mi: *Powiedz Wojtkowi, że jak nie pójdzie na pochód 1 maja, to nie zda matury*. Byłam wtedy w pierwszej klasie, a Wojtek w trzeciej. Brat mimo to nie poszedł na pochód, a maturę i tak zdał.

Spotkało nas też wiele pozytywnych gestów. Gdy mój tata był w szpitalu, w tej samej sali leżał mój wychowawca. Potem, kiedy nie było mnie w szkole z powodu pogrzebu ojca, nauczyciel powiedział, że nie muszę tego usprawiedliwiać. W takich momentach czułam ludzkie wsparcie.

Czy u was w domu odbywały się spotkania działaczy „Solidarności”?

Tak, nawet sporo ich było, chociaż nie wiedziałam, kto dokładnie na nie przyjeżdża. Byłam wtedy w okresie dojrzewania i denerwowało mnie to, że taty nie ma, a my z mamą musimy pracować w gospodarstwie i jeszcze przyjąć gości. Dużo spotkań odbywało się w tzw. Józefku, czyli sali, która kiedyś należała do parafii, a dzisiaj jest tam hotel „Imperium”. Poza tym mama opowiadała mi o tym, że oni bardzo sprawnie działali w Potulicach. Utworzyli podziemną pocztę i rurami przesyłali sobie wiadomości. Niestety bardzo szybko rozbito tę grupę i odesłano do różnych miejsc. Mojemu tacie nakazano powrót do domu.

A jak na działalność pani ojca reagowali sąsiedzi?

Różnie. Gdy sprawdziliśmy listę tajnych współpracowników SB, to znaleźliśmy tam nazwiska naszych sąsiadów. Zdarzało się, że gdy rodzice gdzieś jechali, to w domu pojawiali się funkcjonariusze. Mieliśmy wtedy syrenkę – jedną z dwóch we wsi. Te samochody były bardzo hałaśliwe, dlatego wszyscy wiedzieli, że ktoś od nas wyjeżdża i albo ktoś o tym donosił, albo mieliśmy podsłuch w domu. Na drzewach wywieszano też plakaty, wisielca i pogrożki.

Czy SB interesowała się też wami – dziećmi Antoniego?

My, dzieci, żyliśmy pod kloszem, bo tata niewiele mówił o tym, co działo się w Potulicach. Funkcjonariusze podpytywali, ale niewiele się mogli dowiedzieć. Pamiętam jedno takie zdarzenie. Kiedy miałam 15 lat, podczas zabawy na

łyżwach podszedł do nas esbek i zapytał o nauczyciela z liceum w Chełmży: *A pan Kuczka to jakiej treści ma kabaret?* Powiedziałam, że normalny.

A jak wyglądały wizyty funkcjonariuszy SB u was w domu?

Mój tata, gdy przychodziła do nas SB, mówił uprzejmie: *Dzień dobry, witam, sparzyć panu kawę, herbatę?* Potem podawał rękę i pytał: *A co by pan chciał wiedzieć?* Taką miał siłę wewnętrzną.

Pamiętam jedną z rewizji, która zdarzyła się po tym, jak tata wrócił z internowania. Pewnego dnia o szóstej rano zajechała do nas milicyjna suka z sześcioma mężczyznami – trzech umundurowanych, a trzech po cywilnemu. Czuć było od nich wódkę. Wparowali do pokoi i wszystko wyciągali, przeszukiwali nawet bieliznę, a ja się śmiałam. Ojciec prześmiewał: *A co jeszcze chcecie zobaczyć? Może jeszcze tu zajrzyjcie?* i zabrał ich i do stajni, i do stodoły. Zastanawiałam się, o co im chodzi, czemu to robią. Później płakałam, bo nie byliśmy złymi ludźmi, nikomu nic nie zrobiliśmy, nawet nie mieliśmy zamiaru, a oni nas traktowali jak zbrodniarzy. To było ohydne. Ojciec był tylko zwykłym działaczem, chciał dobrze dla Polski. Kiedyś miałam w sobie gorycz i złość, ale teraz to zelżało, oni też mieli swoje powody.

Czy rewizje to była jedyna forma represji ze strony SB?

Nie. Jak jechaliśmy gdzieś z rodzicami, zwłaszcza z tatą, to nas legitymowali. Pojechaliśmy kiedyś na dożynki kościelne do Torunia. W drodze powrotnej chcieliśmy zwiedzić zoo, ale zatrzymali nas esbecy. Musieli się upewnić, czy to mój ojciec był mężczyzną, który przemawiał na dożynkach czy nie. Nie wiedzieli, bo tata zapuścił brodę.

Jak zapamiętała pani ostatnie dni z życia ojca?

Tata do końca nie wiedział, na co choruje. W ostatnich dniach radzili z mamą, co posadzić w tym roku i mimo że mama chciała buraki, on powiedział, żeby posadzić trzy hektary ziemniaków. Po śmierci ojca dostaliśmy niewiarygodną pomoc od wielu ludzi, od członków „Solidarności”, od rodziny.



Zdjęcie z pogrzebu Antoniego Łapczyńskiego

A pogrzeb, co działo się wtedy w mieście?

Podobno w zbiorach IPN można znaleźć nagranie z pogrzebu taty. Na zdjęciach z pogrzebu widzieliśmy, że uczestniczyli w nim esbecy. Agenci SB szli z nami w pogrzebowym kondukcje! Przy cukrowni i przy poczcie stały suki milicyjne. Jak zobaczyłam pierwszy samochód milicji, to ogarnęła mnie nienawiść. Pomyślałam wtedy: „Ojciec nie żyje, a oni i tak cały czas czegoś chcą”. Zgromadziło się tylu ludzi, że niektórzy myśleli, że to jest Boże Ciało. Nad grobem były trzy przemówienia. Wtedy też spotkałam pana Stawikowskiego. Kiedy przedstawiałam mu się po pogrzebie, bardzo się ucieszył. To było miłe.

Nazajutrz po pogrzebie poszliśmy na cmentarz. Grób mojego taty został zbezczeszczoney. Nie było tam żadnej szarfy z napisem „Solidarność”, wszystkie zostały zabrane, a w pobliżu cmentarza stała milicyjna suka.

Drugi wywiad przeprowadziłam z Janem Wyrowińskim, senatorem RP, który przebywał z Antonim Łapczyńskim w Ośrodku Odosobnienia w Potulicach. Poniżej przedstawiam zapis tej rozmowy.

W jakich okolicznościach został pan internowany?

Tak jak większość. W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. dostałem nakaz internowania. Kiedy około północy zapukano do moich drzwi, byłem sam z dziećmi. Jedna córka miała 10 miesięcy, a druga siedem lat. Funkcjonariuszom, którzy po mnie przyszli, a było ich trzech – jeden mundurowy, a dwóch z SB – powiedziałem, że z nimi nie pójdę. Oni po naradach, które trwały około godziny, uznali, że jeżeli oświadczę, że stawię się wieczorem na ul. Słowackiego w Toruniu, gdzie było centrum dyspozycyjne, odstąpią od zatrzymania w tym momencie. To był wyjątkowy przypadek. Napisałem takie zobowiązanie, a kiedy stawiałem się wieczorem na wezwanie, zaproponowano mi podpisanie deklaracji lojalności. Powiedziałem, że nie podpiszę i wtedy wręczono mi akt internowania, zakuto w kajdanki i zawieziono do aresztu na ul. Wały Generała Sikorskiego, gdzie z dwójką kolegów spędziłem noc. Rano w poniedziałek 14 grudnia 1981 r. zapakowano nas do więźniarki i zawieziono w nieznanym kierunku. Jak się później okazało, pojechaliśmy do zakładu karnego w Potulicach.

Jakie warunki panowały w zakładzie w Potulicach?

W pierwszych dniach traktowano nas gorzej niż więźniów, dlatego że władze więzienne nie wiedziały do końca, co z nami zrobić. Instrukcje pojawiły się dopiero po około dwóch tygodniach. W związku z tym podchodzono do nas jak do więźniów, z tą różnicą, że nie przebrano nas w stroje więzienne. Pierwsze dni pobytu nie były wesołe, ale z tygodnia na tydzień warunki stawały się nieco lepsze, chociaż trzeba pamiętać, że jednak było to więzienie.

Przebywaliśmy w odrębnym pawilonie numer siedem. W tym budynku znajdowali się wyłącznie internowani. Mieszkaliśmy w ośmioosobowych celach o małej przestrzeni. Ubikacja znajdowała się w celi. Wszyscy doświadczyliśmy nieprzyjemnych sytuacji związanych z pobytem w więzieniu.

Kiedy spotkał pan po raz pierwszy Antoniego Łapczyńskiego?

Byłem wiceprezesem Klubu Inteligencji Katolickiej, którego siedziba znajdowała się przy ul. Mostowej w Toruniu, i tam właśnie powstawał Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Rolników Indywidualnych „Solidarność” w regionie toruńskim. Udostępniliśmy im lokal i pomagaliśmy w organizacji. Antoni przychodził do klubu i tam się spotykaliśmy oraz rozmawialiśmy. To był ten pierwszy kontakt.

Jakim był człowiekiem?

Był bardzo zaangażowany. Biła z niego taka siła i zdecydowanie, że jest po właściwej stronie. Ten jego entuzjazm i to jego przekonanie udzielało się innym, nie tylko tym, którzy tworzyli NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność”, ale także osobom z innych kręgów, w tym m.in. naszemu środowisku Klubu Inteligencji Katolickiej. To grono bardzo zaangażowało się w „Solidarność”, a przejawem tego była również nasza bezpośrednia pomoc.

W jakich okolicznościach spotykał się pan z Antonim Łapczyńskim w zakładzie karnym Potulicach?

Pawilon numer siedem miał dwie kondygnacje, a my byliśmy na pierwszym piętrze, dlatego spotykaliśmy się często. Poza tym był jeszcze spaceriak i raz dziennie przez godzinę czy dwie nadarzała się okazja, żeby ze sobą porozmawiać.

Czego dotyczyły te rozmowy?

Codzienniej egzystencji. Trzeba się było po tych pierwszych dniach rozepchnąć i korzystać z tych niewielkich, ale jednak praw, które władze przyznały internowanym. Należało starać się o jeszcze więcej.

A czy więzień Łapczyński wyróżniał się spośród internowanych?

Antoni umiał wszystkich zaskoczyć. Mianowicie mieliśmy niezbyt czyste koce, a on zdecydował się wyprać swoje okrycie. To wymagało ogromnej determinacji. Z łaźni można było skorzystać tylko raz w tygodniu, a tam nie wpuszczano z dodatkowymi rzeczami, oprócz środków czystości. W celi było wspomniane

już oczko sanitarne i kran z zimną wodą i pranie koca w takich warunkach było operacją niezwykle skomplikowaną, w jakimś sensie wyrażającą jego niepokorną naturę.

Czy rozmawiano o polityce?

Trudno było uciec od tego tematu. Przyczyny stanu wojennego i dalsze działania były tematem naszych rozmów. Najczęściej te dyskusje odbywały się w niedzielę, kiedy mieliśmy prawo do opieki duszpasterskiej. Wówczas msza sprawowana była na korytarzu, a drzwi do cel były otwarte i można było rozmawiać.

Jeżeli miałby pan wybrać jedną cechę charakteru Antoniego Łapczyńskiego, to jaką by pan wskazał?

Niewątpliwie to, że był człowiekiem zasadniczym i nie dał sobie w kaszę dmuchać.

Trzeci wywiad przeprowadziłam z Michałem Grabianką, współpracownikiem NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność” w latach 1979–1980, internowanym 15 grudnia 1981 r. w Ośrodku Odosobnienia w Potulicach, a zwolnionym 23 lutego 1982 r. Niżej przedstawiam zapis tej rozmowy.

Jak pan zapamiętał Ośrodek Odosobnienia w Potulicach?

Wspomnienia mam jak najgorsze. Tym bardziej że byłem chorym człowiekiem i od 28 grudnia 1981 r. byłem sam w szpitalu, pozbawiony jakichkolwiek kontaktów kolegami.

Na jakie represje narażone były osoby przetrzymywane w miejscu internowania?

Przetrzymywali nas jak więźniów. Przede wszystkim służby chciały zniszczyć naszą osobowość i naciskały, żebyśmy wyparli się naszej działalności. Represje najbardziej dotyczyły naszych rodzin – żon i dzieci. Szczególnie dotkliwe było to na wsi. Pani Łapczyńska była wytykana palcami, że mąż jest przestępcą, bo siedzi w więzieniu.

Kiedy i w jakich okolicznościach zetknął się pan po raz pierwszy z Antonim Łapczyńskim?

Antek Łapczyński był jednym z tych rolników, którzy rozumieli, że jest potrzeba odnowienia tożsamości chłopskiej w Chełmży. Komuniści podejmowali tu dużo działań na rzecz środowiska wiejskiego. Pomimo wielu starań pani i pana Sikorów oraz pana Kusia, było bardzo trudno zorganizować gminne koło „Solidarności” w mieście. Wtedy ksiądz infułat Groszkowski odpowiedział mi, że taką osobą, która może podjąć się zadania zorganizowania ruchu, jest Antek Łapczyński. Jemu natomiast powiedział o moich planach.

Jak rozwinęła się ta znajomość?

Zaczęliśmy dążyć wszelkimi sposobami do zorganizowania „Solidarności” Rolników Indywidualnych w Chełmży. Udało nam się to zrobić po półtora miesiąca. Chełmża była jednym z ostatnich punktów, gdzie tworzyliśmy wiejskie koło rolników indywidualnych i to była duża zasługa Antka. On został przewodniczącym i zaczął prężnie działać. Był bardzo dobrze postrzegany w Toruniu, należał do rady wojewódzkiej. Kiedy potrzebowałem pomocy w różnych zadaniach, to Antek był tą osobą, na którą zawsze mogłem liczyć.

Tak też było, kiedy trzeba było zorganizować okupację budynku cukrowni chełmżyńskiej, Antek podjął się ze mną tego i został przewodniczącym komitetu strajkowego. Muszę przyznać, że wypełniał swoje obowiązki bardzo rzetelnie. Pomimo że prowadził duże gospodarstwo rolne i miał sporą rodzinę, zawsze można było na niego liczyć i zawsze był tam, gdzie należało się pojawić. Odwiedzał strajkujących bardzo często i zawsze umiał znaleźć złoty środek – kompromisowe rozwiązanie, bo trzeba wiedzieć, że tam pojawiały się różne konflikty.

Jakim człowiekiem był Antoni Łapczyński?

To był rolnik, który nie był zaprzyjaźniony z komuną. To był człowiek, który bardzo dużo pomagał księdzu infułatowi Groszkowskiemu i miał jego rekomendację. Ksiądz infułat Groszkowski natomiast to była osobistość chełmżyńska, więc takie poparcie było jednoznaczne z wystawieniem moralnej laurki. Bardzo ceniłem Antka, bo to był bardzo porządny człowiek i prawdziwy patriota. Jak jeździliśmy tą jego rozklekotaną syrenką po województwie, to śpiewaliśmy

pieśni patriotyczne. Antek znał pieśni przedwojenne, które w tamtych komunistycznych czasach mało kto umiał. Kiedy zaczęliśmy śpiewać *Rotę* w Chełmży, to tylko chyba pięć osób ją pociągnęło.

Czy jego działalność jest znana mieszkańcom Chełmży?

Antek zasłużył się swoim działaniem na rzecz rolników w Chełmży, dlatego zasługuje na upamiętnienie. Podjąłem takie działania i szukam miejsca, gdzie można by było umieścić tablice poświęcone „Solidarności” Rolników Indywidualnych i Antkowi.

Czy był pan na pogrzebie Antoniego Łapczyńskiego? Co panu utkwiło w pamięci?

Byłem na pogrzebie, to była piękna ceremonia, w której uczestniczyła ogromna liczba ludzi. Przemawiali tam pani Meller i pan Stawikowski. Koledzy Antka z celi w Potulicach nieśli jego trumnę na barkach. To była niesamowita manifestacja, o której mówiło się jeszcze przez lata.

Córka pana Antoniego mówiła, że wśród uczestników konduktu pogrzebowego byli agenci SB. Czy to prawda?

Jedna trzecia pogrzebu to byli funkcjonariusze SB.

Gdyby miał pan scharakteryzować pana Antoniego jedną cechą, to jakiej pan by użył?

Nie potrafię określić jego charakteru tylko jednym słowem. Po pierwsze to był człowiek odważny, po drugie – wielki patriota, po trzecie – ojciec rodziny i jeszcze katolik. Antek był nastawiony na działanie, na „Solidarność”, to był człowiek czynu. On wiedział, że to jest walka o Polskę. Był zakorzeniony w ojczyźnie i religii. U niego wszystko miało swój sens i podstawy, nie wahał się i nie bał o to, że jak pójdzie do więzienia, to rodzina zostanie sama. On służył sprawie – walce o Polskę. Można powiedzieć, że Antek był takim Witosem dla Chełmży. Był oddany ziemi, obowiązkowi i religii. On myślał, że chłopci powinni żywić naród i go bronić. Właśnie tak to pojmował.

Z przeprowadzonych wywiadów można wysnuć jednolitą charakterystykę Antoniego Łapczyńskiego. Mój bohater był wielkim patriotą. Okazał się nie tylko odważnym, walecznym, oddanym sprawie i zasadniczym człowiekiem, ale także kochającym mężem i ojcem. Interesował się polityką i sytuacją swojego kraju, a podczas strajku okupacyjnego na terenie cukrowni w Chełmży wspierał protestujących m.in. poprzez zapewnianie im potrzebnej żywności⁶. Chociaż jego działalność związkowa zaważyła na losach jego najbliższych, to nie zawahał się i działał dla dobra ojczyzny.

Uważam, że Antoni Łapczyński może być przykładem do naśladowania. Dzięki takim ludziom jak on Polska stała się suwerennym państwem. W dzisiejszych czasach, pełnych komercjalizacji, pogoni za sławą i bogactwem, cechy i postawa mojego bohatera nie są popularne, a nawet mogą być niezrozumiałe. Jego postać i losy przypomniały mi, czym jest obowiązek wobec ojczyzny. Moim zdaniem Antoni Łapczyński jest człowiekiem, który w historii Polski, a przede wszystkim mojej Małej Ojczyzny, odegrał ogromną i godną podziwu rolę. Jego działalność natomiast zasługuje na upamiętnienie. Chciałabym, by dzięki mojej pracy postać Łapczyńskiego i jego postawa wobec ojczyzny nie poszły w zapomnienie. Ale pracując nad nią, zrozumiałam, jak wielką rolę w jego działalności odegrała rodzina, która go nie powstrzymywała. Wręcz przeciwnie, wspierała i pomagała na miarę własnych możliwości. Ten tekst to także hołd dla niej.

Źródła informacji:

1. D. Bogdanowicz, B. Łaukajtys, *Nasi przodkowie*, Wąbrzeźno 2014
2. D. Bogdanowicz, M. Łaukajtys, B. Stachowska, *Dziedzictwo*, Głuchowo 2006
3. P. Czerwiński, *Historia. Vademecum. Liceum, technikum*, cz. 2, Kraków 2000
4. D. Meller, *NSZZ „Solidarność” Cukrowni Chełmża w latach 1980–2002*, Chełmża 2003
5. H. Śmiałek, *Od Solidarności do Samorządności*, Chełmża 2017

6 D. Meller, *NSZZ „Solidarność” Cukrowni Chełmża w latach 1980–2002*, Chełmża 2003, s. 29.

Wojewódzki Konkurs im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej „Oni tworzyli naszą historię”

Lista nagrodzonych



Wojewódzki Konkurs im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej „Oni tworzyli naszą historię”

VI edycja – 2014 rok

SKŁAD KAPITUŁY:

prof. dr hab. Wojciech Polak – Wydział Politologii i Stosunków Międzynarodowych UMK w Toruniu – Przewodniczący Kapituły Konkursu

prof. dr hab. Zdzisław Biegański – Kierownik Zakładu Dydaktyki Historii i Edukacji Europejskiej, Instytut Historii i Stosunków Międzynarodowych UKW w Bydgoszczy

Kazimierz Burek – starszy wizytator Kuratorium Oświaty w Bydgoszczy Delegatura w Toruniu

Czesław Ficner – Dyrektor Departamentu Edukacji i Sportu, Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu

Dominika Kosiewicz-Wawrzonkowska – pracownik Biura Europejskich Programów Edukacyjnych w Departamencie Edukacji i Sportu, Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu

Dorota Kromp – przedstawiciel Fundacji Generał Elżbiety Zawackiej. Archiwum i Muzeum Pomorskie AK oraz Wojskowej Służby Polek w Toruniu

Kamila Łajczak – główny specjalista Biura Europejskich Programów Edukacyjnych w Departamencie Edukacji i Sportu, Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu – Sekretarz Kapituły

dr Teresa Maresz – adiunkt Zakładu Dydaktyki Historii i Edukacji Europejskiej, Instytut Historii i Stosunków Międzynarodowych UKW w Bydgoszczy

Anna Mikulska – przedstawiciel Fundacji Generał Elżbiety Zawackiej. Archiwum i Muzeum Pomorskie AK oraz Wojskowej Służby Polek w Toruniu

Izabella Milewska-Warta – nauczyciel bibliotekarz Biblioteki Perlagogenicznej im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej w Toruniu

dr Małgorzata Strzelecka – adiunkt Zakładu Dydaktyki Historii i Wiedzy o Społeczeństwie w Instytucie Historii i Archiwistyki UMK w Toruniu

Elżbieta Wykrzykowska – Dyrektor Biblioteki Pedagogicznej im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej w Toruniu

Dariusz Zagórski – starszy wizytator Kuratorium Oświaty w Bydgoszczy Delegatura w Toruniu

KATEGORIA SZKOŁY GIMNAZJALNE**Prace nagrodzone****I miejsce – Julia Knak**

opiekun Dariusz Miller

(Gimnazjum nr 7 im. Tadeusza „Bora” Komorowskiego w Grudziądzu)

tytuł pracy: *Ślad afrykańskiej Sybiraczki*

II miejsce – Natalia Tuńska

opiekun Aleksandra Jankowska

(Zespół Szkół Publicznych; Gimnazjum nr 1 w Łasinie)

tytuł pracy: *Jak bieda, to jeden drugiego ratuje*

III miejsce – Magdalena Mikołajewska

opiekun Józef Nowakowski

(Zespół Szkolno-Przedszkolny; Publiczne Gimnazjum

im. Władysława Stanisława Reymonta w Bądkowie)

tytuł pracy: *„Gdybym miał wybierać... wybrałbym Was – Polaków”*

Prace wyróżnione**Tomasz Cienkowski**

opiekun Hanna Kozakiewicz

(Gimnazjum im. Ziemi Dobrzyńskiej w Tłuchowie)

tytuł pracy: *Cel, pał, pisz!*

Weronika Domańska

opiekun Kamila Niciejewska

(Zespół Szkół im. Jana Pawła II w Łochowie)

tytuł pracy: *Stefan Pastuszewski – legenda „Solidarności” w naszym regionie*

Emilia Konkół

opiekun Ewa Rzepka

(Gimnazjum im. Mikołaja Kopernika w Jabłonowie Pomorskim)

tytuł pracy: *Przerwane dzieciństwo – Losy mieszkańca Wąbrzeźna wpisane w historię regionu*

Mateusz Lange

opiekun Małgorzata Gawrońska

(Zespół Szkół nr 8; Gimnazjum nr 8 im. Marii Curie-Skłodowskiej w Toruniu)

tytuł pracy: *Szeregowy „Olcha” – mój pradziadek*

Nicole Lewicka

opiekun Kamila Niciejewska

(Zespół Szkół im. Jana Pawła II w Łochowie)

tytuł pracy: *Kawałek papieru, który zmienił historię Polski*

Kamil Nowek

opiekun Aleksandra Jankowska

(Zespół Szkół Publicznych; Gimnazjum nr 1 w Łasinie)

tytuł pracy: *Chłopiec z pogranicza*

Marta Szmelter

opiekun Hanna Molenda

(Zespół Szkół w Kowalewie Wielkopolskim)

tytuł pracy: *Zwykła historia, czyli okupacja i lata powojenne we wspomnieniach Krystyny Spechcińskiej*

Karolina Śmiglak

opiekun Kamila Niciejewska

(Zespół Szkół im. Jana Pawła II w Łochowie)

tytuł pracy: *Enigmatyczny – o Rejewskim słów kilka*

Tomasz Wawrzyszko

opiekun Alina Dyrda

(Zespół Szkół nr 8; Gimnazjum nr 8 im. Marii Curie-Skłodowskiej w Toruniu)

tytuł pracy: *Gdyby nie moja prababcia*

KATEGORIA SZKOŁY PONADGIMNAZJALNE**Prace nagrodzone****I miejsce – Marcjanna Tomczewska**

opiekun Jacek Tymiński

(V Liceum Ogólnokształcące im. Jana Pawła II w Toruniu)

tytuł pracy: *„Na początku było słowo...” Historia Toruńskiej Społecznej Biblioteki*

II miejsce – Karolina Monika Woźniak

opiekun Radosław Stawski

(Zespół Szkół nr 1 im. Karola Wojtyły – Jana Pawła II;

III Liceum Ogólnokształcące w Brodnicy)

tytuł pracy *Smutno więźniarką być...*

III miejsce – Laura Wollert

opiekun Zofia Wojtalik

(Zespół Szkół w Chełmży;

Liceum Ogólnokształcące im. Komisji Edukacji Narodowej)

tytuł pracy: *„KOBIECY, ŻONY, MATKI, CÓRKI...” Historia pomordowanych Żydówek z Bocienia i Szerokopasu*

Prace wyróżnione**Michał Angowski**

opiekuni Hanna Pankowska, Anna Hanasz

(Zespół Szkół Ekonomicznych; Technikum Ekonomiczne w Toruniu)

tytuł pracy: *Sławomir Szczepankiewicz – Odwaga młodego pokolenia*

Izabela Argalska

opiekun Piotr Sokoll

(Zespół Szkół Przemysłu Spożywczego; Liceum nr VIII w Toruniu)

tytuł pracy: *10 dni z życia Jana Mohna*

Magdalena Jaszewska

opiekun Tomasz Izajasz

(III Liceum Ogólnokształcące im. Adama Mickiewicza w Bydgoszczy)

tytuł pracy: *Bydgoszczanin i węgierska rewolucja*

Karolina Kwiatkowska

opiekun Tomasz Izajasz

(III Liceum Ogólnokształcące im. Adama Mickiewicza w Bydgoszczy)

tytuł pracy: *Józef Kępa: historia mojego życia*

Marta Mirosławska

opiekun Jolanta Zofia Iwińska

(Zespół Szkół im. Waleriana Łukasińskiego w Skępem)

tytuł pracy: *Tadeusz Mierosławski, ofiara zbrodni Selbstschutzu w Domu Kaźni w Rypinie*

Paulina Piątek

opiekun Katarzyna Koźlikowska

(III Liceum Ogólnokształcące im. Samuela Bogumiła Lindego w Toruniu)

tytuł pracy: *Moje babcie – bohaterki*

Paweł Pilarski

opiekun Alicja Antonowicz

(II Liceum Ogólnokształcące im. Królowej Jadwigi w Toruniu)

tytuł pracy: *Pamiętnik nieznanego żołnierza 63 – tego Toruńskiego Pułku Piechoty*

Michał Skałdanowski

opiekun Andrzej Łata

(I Liceum Ogólnokształcące im. Cypriana Kamila Norwida w Bydgoszczy)

tytuł pracy: *Ja nie zapomnę...*

Iga Stefańska

opiekun Piotr Sokoll

(Zespół Szkół Przemysłu Spożywczego; Liceum nr VIII w Toruniu)

tytuł pracy: *Poznajcie mojego Dziadka*

Aleksandra Świerżyńska

opiekun Jolanta Zofia Iwińska

(Zespół Szkół im. Waleriana Łukasińskiego w Skępem)

tytuł pracy: *Ludwik Uzarowicz – nauczyciel w wiejskiej szkole i jego niezwykła droga do kariery naukowej*

Uroczyste wręczenie nagród laureatom VI edycji Konkursu z udziałem członka zarządu województwa Sławomira Kopyścia odbyło się 19 marca 2014 r. w Dworze Artusa w Toruniu, podczas 105. rocznicy urodzin gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej.









Wojewódzki Konkurs im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej „Oni tworzyli naszą historię”

VII edycja – 2015 rok

SKŁAD KAPITUŁY:

prof. dr hab. Wojciech Polak – Wydział Politologii i Stosunków Międzynarodowych UMK w Toruniu – Przewodniczący Kapituły Konkursu

Emilia Balana-Mroczkowska – wizytator Kuratorium Oświaty w Bydgoszczy

prof. dr hab. Zdzisław Biegański – Kierownik Zakładu Dydaktyki Historii i Edukacji Europejskiej, Instytut Historii i Stosunków Międzynarodowych UKW w Bydgoszczy

Czesław Ficner – Wicedyrektor Departamentu Kultury i Edukacji, Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu

dr Sylwia Galij-Skarbińska – Wydział Politologii i Studiów Międzynarodowych UMK w Toruniu

Ewa Ignaszak – starszy wizytator Kuratorium Oświaty w Bydgoszczy Delegatura w Toruniu

Dorota Kromp – przedstawiciel Fundacji Generał Elżbiety Zawackiej. Archiwum i Muzeum Pomorskie AK oraz Wojskowej Służby Polek w Toruniu

Kamila Łajczak – główny specjalista w Wydziale Projektów Edukacyjnych i Stypendiów w Departamencie Kultury i Edukacji, Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu – Sekretarz Kapituły

dr Teresa Maresz – adiunkt Zakładu Dydaktyki Historii i Edukacji Europejskiej, Instytut Historii i Stosunków Międzynarodowych UKW w Bydgoszczy

Anna Mikulska – przedstawiciel Fundacji Generał Elżbiety Zawackiej. Archiwum i Muzeum Pomorskie AK oraz Wojskowej Służby Polek w Toruniu

Izabella Milewska-Warta – nauczyciel bibliotekarz Biblioteki Pedagogicznej im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej w Toruniu

Agata Wesołowska – specjalista w Wydziale Projektów Edukacyjnych i Stypendiów w Departamencie Kultury i Edukacji, Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu

Elżbieta Wykrzykowska – Dyrektor Biblioteki Pedagogicznej im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej w Toruniu

KATEGORIA SZKOŁY GIMNAZJALNE**Prace nagrodzone****I miejsce – Adrianna Michalak**

opiekun Jolanta Szubska

(Gimnazjum Publiczne nr 2 w Solcu Kujawskim)

tytuł pracy: *Historia małego rycerza o walecznym sercu*

II miejsce – Agata Gorczewska

opiekun Aleksandra Jankowska

(Zespół Szkół Publicznych w Łasinie; Gimnazjum nr 1)

tytuł pracy: *„Jedni z drugimi, nigdy jedni przeciw drugim”*

III miejsce – Katarzyna Sopolńska

opiekun Elżbieta Ratańska

(Gimnazjum Dwujęzyczne w Inowrocławiu)

tytuł pracy: *„... jesteśmy mimo wszystko stróżami naszych braci...”*

Prace wyróżnione**Kacper Andziński**

opiekun Dariusz Gejda

(Gimnazjum nr 2 im. Jana Pawła II w Grębocinie)

tytuł pracy: *Dziadkowie, którzy przeżyli drugą wojnę światową*

Marta Będziechowska

opiekun Małgorzata Rutkowska

(Gimnazjum nr 1 im. ks. Stefana Kardynała Wyszyńskiego w Wąbrzeźnie)

tytuł pracy: *Witalis Szlachcikowski – żołnierz Września, regionalista, człowiek o wielu pasjach*

Maria Knaak

opiekun Aleksandra Jankowska

(Zespół Szkół Publicznych w Łasinie; Gimnazjum nr 1)

tytuł pracy: *W służbie dla Ojczyzny*

Agata Kołacz

opiekun Kamila Żegalska

(Zespół Szkół nr 10 im. Stefana Banacha w Toruniu; Gimnazjum nr 11)

tytuł pracy: *Historia pewnej tablicy*

Gordiana Kryszak

opiekun Marek Wilgórski

(Publiczne Gimnazjum nr 1 w Żninie)

tytuł pracy: *Moja prababcia Katarzyna Kopocińska – droga z Ukrainy do Polski*

Zuzanna Majewska

opiekun Joanna Lipowicz-Jagodzińska

(Zespół Szkół nr 10 im. Józefa Piłsudskiego w Bydgoszczy; Gimnazjum nr 6)

tytuł pracy: *Czesław Majewski Mój bohater rodzinny*

Aleksandra Markiewicz

opiekun Jolanta Helak

(Gimnazjum nr 3 im. 3 Kujawskiego Pułku Artylerii Lekkiej w Inowrocławiu)

tytuł pracy: *Rodzinne wspomnienia łączą pokolenia*

Sandra Orepuk

opiekun Teresa Bórawska

(Zespół Szkół nr 8; Gimnazjum nr 8 im. Marii Curie-Skłodowskiej w Toruniu)

tytuł pracy: *Historia mojego dziadka Michała*

Jacek Pisiewicz

opiekun Paweł Becker

(Zespół Szkół Gimnazjum w Myśliwcu)

tytuł pracy: *Historia mojego pradziadka Franciszka Żuchowskiego*

Natalia Retkowska

opiekun Danuta Kamińska

(Zespół Publicznych Szkół w Kijewie Królewskim)

tytuł pracy: *Jan Slaski – wielki patriota z mojej wsi*

Natalia Retkowska

opiekun Magdalena Łubkowska-Stanisławska

(Zespół Publicznych Szkół w Kijewie Królewskim)

tytuł pracy: *Historia patrioty. Pamięci mojego kochanego pradziadka*

Aleksandra Salamońska

opiekun Józef Nowakowski

(Zespół Szkolno-Przedszkolny;

Publiczne Gimnazjum im. Władysława Reymonta w Bądkowie)

tytuł pracy: *Jadwiga Bartel de Weydenthal w obronie honoru i żołnierskiej czci brata Przemysława*

Justyna Talarczyk

opiekun Justyna Piotrowska-Tojza

(Gimnazjum im. Jana Pawła II w Mroczy)

tytuł pracy: *Roman Mataczyński we wspomnieniach rodziny*

Martyna Topolska

opiekun Katarzyna Sopolińska

(Gimnazjum nr 4 z Oddziałami Dwujęzycznymi

im. Zygmunta Wilkowskiego w Inowrocławiu)

tytuł pracy: *Kilka kartek z historii rodziny...*

Julia Zajączkowska-Rynek

opiekun Marta Dreślińska

(Zespół Szkół Miejskich w Rypinie; Gimnazjum im. J. Wybickiego)

tytuł pracy: *Patriotyczne korzenie moich przodków. Pamięci pradziadków... Wandy i Wojciecha Jachimowicz*

KATEGORIA SZKOŁY PONADGIMNAZJALNE**Prace nagrodzone****I miejsce – Marcjanna Tomczewska**

opiekun Jacek Tymiński

(V Liceum Ogólnokształcące im. Jana Pawła II w Toruniu)

tytuł pracy: *„Poproszę kurs na wolność...” Historia działalności NSZZ „Solidarność” Toruńskich Taksówkarzy*

II miejsce – Karol de Tillier

opiekun Jacek Tymiński

(V Liceum Ogólnokształcące im. Jana Pawła II w Toruniu)

tytuł pracy: *Historia rodziny de Tillier*

III miejsce – Anna Tęcza

opiekun Małgorzata Pielacka

(Zespół Szkół Ogólnokształcących nr 6 w Bydgoszczy;

VI Liceum Ogólnokształcące)

tytuł pracy: *Ocalić od zapomnienia*

Prace wyróżnione**Izabela Argalska**

opiekun Piotr Sokoll

(Zespół Szkół Przemysłu Spożywczego w Toruniu; Liceum nr VIII)

tytuł pracy: *Bohater idealny*

Radosław Baran

opiekun Renata Lepsza

(Zespół Szkół w Mogilnie)

tytuł pracy: *Uścisk dłoni*

Artur Januszewski

opiekun Aleksandra Wachowiak

(Zespół Szkół Budowlanych im. Jurija Gagarina w Bydgoszczy)

tytuł pracy: *Wojna z psychologicznego punktu widzenia – rozmowa z bydgoskim kombatantem*

Kinga Kwiatkowska

opiekun Joanna Frajtag

(I Liceum Ogólnokształcące im. Braci Śniadeckich w Żninie)

tytuł pracy: *Echo historii w zaciszu „Księgarni Pałuckiej”*

Natalia Kwiatkowska

opiekun Ilona Cichoń

(IV Liceum Ogólnokształcące im. Tadeusza Kościuszki w Toruniu)

tytuł pracy: *Zapomniany poeta*

Sylwia Matysiewicz

opiekun Renata Lepsza

(Zespół Szkół w Mogilnie)

tytuł pracy: *Halina Gorlach – Honorowy Obywatel Miasta Strzelna*

Marta Molińska

opiekun Maria Jadczak

(Liceum Akademickie w Toruniu)

tytuł pracy: *Z Wileńszczyzny na Kujawy. Kartki z kroniki rodzinnej***Marta Lipińska**

opiekun Kamila Piątkowska

(III Liceum Ogólnokształcące im. Samuela Bogumiła Lindego w Toruniu)

tytuł pracy: *Cichy bohater***Patrycja Lis**

opiekun Karina Kazanecka

(Zespół Szkół Chemicznych im. Marii Skłodowskiej-Curie we Włocławku)

tytuł pracy: *Wspomnienia rodzinne z czasów II wojny światowej***Paulina Piątek**

opiekun Kamilla Piątkowska

(III Liceum Ogólnokształcące im. Samuela Bogumiła Lindego w Toruniu)

tytuł pracy: *Jan Zumbach – człowiek wolny jak ptak***Monika Ruszkowska**

opiekun Jolanta Zofia Iwińska

(Zespół Szkół im. Waleriana Łukasińskiego w Skępem;

Technikum Informatyczne)

tytuł pracy: *Była wierna Ojczyźnie swojej Rzeczypospolitej Polskiej, stała nieugięcie na straży jej honoru i o wyzwolenie jej z niewoli walczyła ze wszystkich sił – Maria Rogalewicz, adwokat, żołnierz AK, więźniarka sowieckich łagrów***Kacper Sadowski**

opiekun Grzegorz Banaś

(Zespół Szkół Ogólnokształcących w Wąbrzeźnie)

tytuł pracy: *Skrócone dzieciństwo***Jakub Skiba**

opiekun Aleksander Czarnecki

(Zespół Szkół Ogólnokształcących w Wąbrzeźnie)

tytuł pracy: *Ocalić od zapomnienia. Losy mojego pradziadka podczas drugiej wojny światowej spisane na podstawie rodzinnych wspomnień*

Marta Szmelter

opiekun Joanna Frajtag

(I Liceum Ogólnokształcące im. Braci Śniadeckich w Żninie)

tytuł pracy: *Z odwagą przez życie*

Marta Szyszkowska

opiekun Radosław Stawski

(Zespół Szkół nr 1 im. Karola Wojtyły – Jana Pawła II;

III Liceum Ogólnokształcące w Brodnicy)

tytuł pracy: *W oczekiwaniu na mamę*

Aleksandra Świerżyńska

opiekun Jolanta Zofia Iwińska

(Zespół Szkół im. Waleriana Łukasińskiego w Skępem;

Liceum Ogólnokształcące)

tytuł pracy: *Syberyjsko-afrykańska epopeja Bolesława Ciesielskiego w latach 1941–1947*

Franciszek Światała

opiekun Danuta Kopińska-Kołowacik

(Zespół Szkół Ogólnokształcących nr 1 w Bydgoszczy)

tytuł pracy: *Ksiądz Wacław Gieburowski – bydgoszczanin zapomniany*

Katarzyna Wojtyniak

opiekun Krzysztof Bartoszyński

(Zespół Szkół Przemysłu Spożywczego w Toruniu; Liceum nr VIII)

tytuł pracy: *Wspomnienia pani Marii Fordońskiej*

Uroczyste wręczenie nagród laureatom VII edycji Konkursu z udziałem Sekretarza Województwa Marka Smoczyka odbyło się 19 marca 2015 r. w Baju Pomorskim w Toruniu, podczas 106. rocznicy urodzin gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej.









Wojewódzki Konkurs im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej „Oni tworzyli naszą historię”

VIII edycja – 2016 rok

SKŁAD KAPITUŁY:

prof. dr hab. Wojciech Polak – Wydział Politologii i Stosunków Międzynarodowych UMK w Toruniu – Przewodniczący Kapituły Konkursu

dr Sylwia Galij-Skarbińska – Wydział Politologii i Studiów Międzynarodowych UMK w Toruniu

prof. dr hab. Zdzisław Biegański – Kierownik Zakładu Dydaktyki Historii i Edukacji Europejskiej, Instytut Historii i Stosunków Międzynarodowych UKW w Bydgoszczy

dr Teresa Maresz – adiunkt Zakładu Dydaktyki Historii i Edukacji Europejskiej, Instytut Historii i Stosunków Międzynarodowych UKW w Bydgoszczy

Kazimierz Burek – starszy wizytator Kuratorium Oświaty w Bydgoszczy Delegatura w Toruniu

Czesław Stawikowski – starszy wizytator Kuratorium Oświaty w Bydgoszczy Delegatura w Toruniu

Tadeusz Kierel – główny specjalista w Departamencie Edukacji, Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu

Agata Wesołowska – specjalista w Biurze Realizacji Projektów Edukacyjnych w Departamencie Edukacji, Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu

Elżbieta Wykrzykowska – Dyrektor Biblioteki Pedagogicznej im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej w Toruniu

Izabella Milewska-Warta – nauczyciel bibliotekarz Biblioteki Pedagogicznej im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej w Toruniu

Dorota Kromp – przedstawiciel Fundacji Generał Elżbiety Zawackiej. Archiwum i Muzeum Pomorskie AK oraz Wojskowej Służby Polek w Toruniu

Anna Mikulska – przedstawiciel Fundacji Generał Elżbiety Zawackiej. Archiwum i Muzeum Pomorskie AK oraz Wojskowej Służby Polek w Toruniu

KATEGORIA SZKOŁY GIMNAZJALNE**Prace nagrodzone****I miejsce – Matylda Rumińska**

opiekun Aleksandra Budzińska

(Gimnazjum Gminy Brzuze w Ostrowitem)

tytuł pracy: *Rotmistrz Stanisław Marian Kowalewski – jeździec w mundurze*

II miejsce – Dominka Wilmowicz

opiekun Aleksandra Jankowska

(Zespół Szkół Publicznych w Łasinie; Gimnazjum nr 1)

tytuł pracy: *Dłatego wyruszyliśmy do lasu*

III miejsce – Weronika Dyl

opiekun Kamila Niciejewska

(Zespół Szkół im. Jana Pawła II w Łochowie)

tytuł pracy: *„Dziwny jest ten świat”*

Prace wyróżnione**Weronika Kawka**

opiekun Aleksandra Jankowska

(Zespół Szkół Publicznych w Łasinie; Gimnazjum nr 1)

tytuł pracy: *Sanitariuszka Myszka*

Martyna Nowicka

opiekun Kamila Niciejewska

(Zespół Szkół im. Jana Pawła II w Łochowie)

tytuł pracy: *Śladami katyńskiej zbrodni*

Weronika Opalińska

opiekun Aleksandra Jankowska

(Zespół Szkół Publicznych w Łasinie; Gimnazjum nr 1)

tytuł pracy: *„Byłeś ostoją naszej rodziny, uczyłeś nas patriotyzmu i miłości do rodziny...”*

Macy Paradowska

opiekun Agnieszka Lis-Kornacka

(Gimnazjum im. Mikołaja Kopernika w Jabłonowie Pomorskim)

tytuł pracy: *Mój pradziadek „Pomsta”*

Paulina Pawełczyk

opiekun Aleksandra Jankowska

(Zespół Szkół Publicznych w Łasinie; Gimnazjum nr 1)

tytuł pracy: *Dla mnie liczył się człowiek*

Kacper Tucholski

opiekun Kamila Niciejewska

(Zespół Szkół im. Jana Pawła II w Łochowie)

tytuł pracy: *Droga Stanisława Nowaka do wolnej Polski w latach 1939–1944*

Weronika Zioło

opiekun Magdalena Łubkowska-Stanisławska

(Zespół Publicznych Szkół w Kijewie Królewskim; Publiczne Gimnazjum)

tytuł pracy: *Z Kijewa Królewskiego do Potulic – o wojennym losie, który nie ominął najmłodszych*

KATEGORIA SZKOŁY PONADGIMNAZJALNE**Prace nagrodzone****I miejsce – Jakub Skiba**

opiekun Grzegorz Banaś

(Zespół Szkół Ogólnokształcących w Wąbrzeźnie;

Liceum Ogólnokształcące im. Z. Działowskiego w Wąbrzeźnie)

tytuł pracy: *Polka, która prawie stała się Niemką*

II miejsce – Daniel Zero

opiekun Radosław Stawski

(Zespół Szkół nr 1 im. Karola Wojtyły – Jana Pawła II;

III Liceum Ogólnokształcące w Brodnicy)

tytuł pracy: *„Narzucony los”*

III miejsce – Jakub Walter

opiekun Jacek Tymiński

(V Liceum Ogólnokształcące im. Jana Pawła II w Toruniu)

tytuł pracy: *Album rodzinny Walterów*

Prace wyróżnione**Paulina Galińska**

opiekun Grzegorz Kacprzak

(Technikum Fryzjerski; Zespół Szkół nr 1 im. Bartłomieja z Bydgoszczy)

tytuł pracy: *„Kto przeżyje wolnym będzie, kto umiera wolnym już...”*

Daria Heberlejn

opiekun Grzegorz Banaś

(Zespół Szkół Ogólnokształcących w Wąbrzeźnie)

tytuł pracy: *„Wszystkie drogi prowadzą do... domu”*

Robert Kaczorek

opiekun Radosław Stawski

(Zespół Szkół nr 1 im. Karola Wojtyły – Jana Pawła II;

III Liceum Ogólnokształcące w Brodnicy)

tytuł pracy: *Droga przez piekło polskich wysiedleńców, czyli gdy śmierć staje się chciwym towarzyszem wędrówki*

Violetta Kowalska

opiekun Radosław Stawski

(Zespół Szkół nr 1 im. Karola Wojtyły – Jana Pawła II;

III Liceum Ogólnokształcące w Brodnicy)

tytuł pracy: *Bajka o zwykłym bohaterze*

Magdalena Kurnatowska

opiekun Renata Lepsza

(Zespół Szkół w Mogilnie)

tytuł pracy: *Mój pradziadek – mój bohater*

Kinga Kwiatkowska

opiekun Joanna Frajtag

(I Liceum Ogólnokształcące im. Braci Śniadeckich w Żninie)

tytuł pracy: *Usłyszał: „Bądź wierny. Idź”*

Agata Płachetko

opiekun Jacek Tymiński

(V Liceum Ogólnokształcące im. Jana Pawła II w Toruniu)

tytuł pracy: *Od wolności można się odzwyczaić*

Patrycja Politowska

opiekun Renata Lepsza

(Zespół Szkół w Mogilnie)

tytuł pracy: *Nietypowy album rodzinny...*

Marta Preis

opiekun Hanna Zdziarska

(Zespół Szkół w Chełmży;

Liceum Ogólnokształcące im. Komisji Edukacji Narodowej)

tytuł pracy: *Kartki z życia ks. Polikarpa Gulgowskiego*

Kacper Sadowski

opiekun Grzegorz Banaś

(Zespół Szkół Ogólnokształcących w Wąbrzeźnie;

Liceum Ogólnokształcące im. Z. Działowskiego w Wąbrzeźnie)

tytuł pracy: *Witold Maciejewski – patriota w Wąbrzeźnie*

Jakub Stark

opiekun Anna Rudzka

(Zespół Szkół Technicznych w Lipnie)

tytuł pracy: *Ludzki człowiek na miarę nieludzkich czasów*

Marta Szmelter

opiekun Joanna Frajtag

(I Liceum Ogólnokształcące im. Braci Śniadeckich w Żninie)

tytuł pracy: *Prosty człowiek bohaterem walki o wolność*

Aleksandra Wiśniewska

opiekun Joanna Frajtag

(I Liceum Ogólnokształcące im. Braci Śniadeckich w Żninie)

tytuł pracy: *Rodzina Piotrowiczów – bohaterowie czasów wojny, bohaterowie czasów pokoju*

Natalia Wiśniewska

opiekun Radosław Stawski

(Zespół Szkół nr 1 im. Karola Wojtyły – Jana Pawła II;

III Liceum Ogólnokształcące w Brodnicy)

tytuł pracy: *Wojna oczami małego dziecka*

Uroczyste wręczenie nagród laureatom VIII edycji Konkursu z udziałem Marszałka Województwa Kujawsko-Pomorskiego Piotra Całbeckiego odbyło się 18 marca 2016 r. w Centrum Dialogu w Toruniu. Na zdjęciach zamieszczonych na stronach 512-518 widoczna jest Pani Pułkownik Lidia Lwow-Eberle.















Wojewódzki Konkurs im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej „Oni tworzyli naszą historię”

IX edycja – 2017 rok

SKŁAD KAPITUŁY:

prof. dr hab. Wojciech Polak – Wydział Politologii i Stosunków Międzynarodowych UMK w Toruniu – Przewodniczący Kapituły Konkursu

Danuta Brzózka-Ciechanowska – starszy wizytator Kuratorium Oświaty w Bydgoszczy Delegatura w Toruniu

Marta Chojnacka – starszy specjalista w Biurze Realizacji Projektów Edukacyjnych w Departamencie Edukacji i Kształcenia Ustawicznego, Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu

dr Sylwia Galij-Skarbińska – Wydział Politologii i Studiów Międzynarodowych UMK w Toruniu

Ewa Ignaszak – starszy wizytator Kuratorium Oświaty w Bydgoszczy Delegatura w Toruniu

Domicela Kopaczewska – dyrektor Departamentu Edukacji i Kształcenia Ustawicznego, Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu

dr Teresa Maresz – adiunkt Zakładu Dydaktyki Historii i Edukacji Europejskiej, Instytut Historii i Stosunków Międzynarodowych UKW w Bydgoszczy

Anna Mikulska – przedstawiciel Fundacji Generał Elżbiety Zawackiej. Archiwum i Muzeum Pomorskie AK oraz Wojskowej Służby Polek w Toruniu

Izabella Milewska-Warta – nauczyciel bibliotekarz Biblioteki Pedagogicznej im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej w Toruniu

Monika Sanocka – podinspektor w Biurze Realizacji Projektów Edukacyjnych w Departamencie Edukacji i Kształcenia Ustawicznego, Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu – Sekretarz Kapituły

Elżbieta Skerska – przedstawiciel Fundacji Generał Elżbiety Zawackiej. Archiwum i Muzeum Pomorskie AK oraz Wojskowej Służby Polek w Toruniu

Maria Sztandarska – nauczyciel bibliotekarz Biblioteki Pedagogicznej im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej w Toruniu

KATEGORIA SZKOŁY GIMNAZJALNE**Prace nagrodzone****I miejsce – Ewa Śpiewakowska**

opiekun Aleksandra Budzińska

(Gimnazjum Gminy Brzuze w Ostrowitem)

tytuł pracy: *Eugeniusz Piotrowski – z Wołynia do ziemi dobrzyńskiej***II miejsce – Dawid Wypyszewski**

opiekun Małgorzata Drożdżewska

(Gimnazjum nr 1 w Brześciu Kujawskim)

tytuł pracy: *Wojenne losy Anny Mantyk***III miejsce – Hubert Kwiatkowski**

opiekun Dariusz Miller

(Gimnazjum nr 7 w Grudziądzu)

tytuł pracy: *Wyzwolenie sprawia radość, wyzwoliciele – smutek***Prace wyróżnione****Milena Balcerak**

opiekun Małgorzata Drożdżewska

(Gimnazjum nr 1 w Brześciu Kujawskim)

tytuł pracy: *„Wszystko zaczęło się od Solidarności” – wywiad z Panem Dariuszem Jaworskim***Natalia Bednarska**

opiekun Hanna Kozakiewicz

(Gimnazjum im. Ziemi Dobrzyńskiej w Tłuchowie)

tytuł pracy: *Guzik z orzełkiem***Jakub Dryś**

opiekun Małgorzata Drożdżewska

(Gimnazjum nr 1 w Brześciu Kujawskim)

tytuł pracy: *Wielką historię tworzą życiorysy zwykłych ludzi*

Martyna Jaranowska

opiekun Aleksandra Janowska

(Zespół Szkół Publicznych w Łasinie; Gimnazjum nr 1)

tytuł pracy: *Niepokorny człowiek czasów „Solidarności”***Oliwia Mikołajczak**

opiekun Aleksandra Włosińska

(Zespół Szkół Samorządowych w Kruszwicy; Gimnazjum nr 1)

tytuł pracy: *„...naród mój nie żałuje sił, walczy i tworzy, i nie uśnie”.**O zapomnianym powstańcu wielkopolskim – Szczepanie Zielińskim***Weronika Rzepka**

opiekun Ewa Rzepka

(Gimnazjum im. Mikołaja Kopernika w Jabłonowie Pomorskim)

tytuł pracy: *Wieloletni kolejarz na „bocznym torze”***KATEGORIA SZKOŁY PONADGIMNAZJALNE****Prace nagrodzone****I miejsce – Daniel Zero**

opiekun Radosław Stawski

(Zespół Szkół nr 1 im. Karola Wojtyły – Jana Pawła II;

III Liceum Ogólnokształcące w Brodnicy)

tytuł pracy: *Tajemnica leśnej osady, czyli odkrywanie tragedii mieszkańców Białego***II miejsce – Dominika Maciejewska**

opiekun Renata Lepsza

(Zespół Szkół w Mogilnie)

tytuł pracy: *Historia mojego wujka***III miejsce – Anna Borowicz**

opiekun Zofia Wojtalik

(Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych w Chełmży)

tytuł pracy: *Lokalne Milenium. Wizyta prymasa Stefana Wyszyńskiego w Chełmży oczami świadków*

Prace wyróżnione**Marta Cipkowska**

opiekun Kamilla Piątkowska

(III Liceum Ogólnokształcące im. Samuela Bogumiła Lindego w Toruniu)

tytuł pracy: *Zbyszek Rośliniec – mój dziadek bohater*

Zuzanna Dziwulska

opiekun Grzegorz Banaś

(Zespół Szkół Ogólnokształcących w Wąbrzeźnie)

tytuł pracy: „*KORUN*”

Daria Heberlejn

opiekun Grzegorz Banaś

(Zespół Szkół Ogólnokształcących w Wąbrzeźnie)

tytuł pracy: *Sowieckie „wyzwolenie”. Z pamiętnika Haliny Szymańskiej (z domu Jurgawka)*

Natalia Przybyłowska

opiekun Radosław Stawski

(Zespół Szkół nr 1 im. Karola Wojtyły – Jana Pawła II;

III Liceum Ogólnokształcące w Brodnicy)

tytuł pracy: *Nigdy nie noście w sercu nienawiści...*

Marcelina Sikora

opiekuni Marek Beyger, Justyna Radziwińska

(Zespół Szkół nr 1 im. Anny Wazówny w Golubiu-Dobrzyniu)

tytuł pracy: *Janina Sikora – zapomniany bohater Powstania Warszawskiego*

Natalia Wiśniewska

opiekun Radosław Stawski

(Zespół Szkół nr 1 im. Karola Wojtyły – Jana Pawła II;

III Liceum Ogólnokształcące w Brodnicy)

tytuł pracy: *Z Niemcami mimo woli*

Uroczyste wręczenie nagród laureatom IX edycji Konkursu odbyło się 28 marca 2017 r. w Sali Sejmiku Województwa Kujawsko-Pomorskiego, w siedzibie Urzędu Marszałkowskiego w Toruniu.









Wojewódzki Konkurs im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej „Oni tworzyli naszą historię”

X edycja – 2018 rok

SKŁAD KAPITUŁY:

prof. dr hab. Wojciech Polak – Wydział Politologii i Stosunków Międzynarodowych UMK w Toruniu – Przewodniczący Kapituły Konkursu

Danuta Brzózka-Ciechanowska – starszy wizytator Kuratorium Oświaty w Bydgoszczy Delegatura w Toruniu

Kamila Łajczak – główny specjalista w Biurze Realizacji Projektów Edukacyjnych w Departamencie Edukacji i Kształcenia Ustawicznego, Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu

Ewa Ignaszak – starszy wizytator Kuratorium Oświaty w Bydgoszczy Delegatura w Toruniu

dr Teresa Maresz – adiunkt Zakładu Dydaktyki Historii i Edukacji Europejskiej, Instytut Historii i Stosunków Międzynarodowych, UKW w Bydgoszczy

Anna Mikulska – przedstawiciel Fundacji Generał Elżbiety Zawackiej. Archiwum i Muzeum Pomorskie AK oraz Wojskowej Służby Polek w Toruniu

Izabella Milewska-Warta – nauczyciel bibliotekarz Biblioteki Pedagogicznej im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej w Toruniu

Monika Sanocka – podinspektor w Biurze Realizacji Projektów Edukacyjnych w Departamencie Edukacji i Kształcenia Ustawicznego, Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu

Elżbieta Skerska – przedstawiciel Fundacji Generał Elżbiety Zawackiej. Archiwum i Muzeum Pomorskie AK oraz Wojskowej Służby Polek w Toruniu

Maria Sztandarska – nauczyciel bibliotekarz Biblioteki Pedagogicznej im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej w Toruniu

**W KATEGORII VII KLAS SZKÓŁ PODSTAWOWYCH
ORAZ II I III KLAS GIMNAZJALNYCH****Prace nagrodzone****I miejsce – Monika Lisiecka**

opiekun Marcin Lisiecki

(Szkoła Podstawowa im. Jana Czochralskiego w Kcyni)

tytuł pracy: *O wydarzeniach, czyli wspomnienia mojej Babci Teresy z okresu wojny i okupacji (1939–1945)*

II miejsce – Kaja Pantkowska

opiekun Joanna Bociek

(Szkoła Podstawowa nr 1 im. Komisji Edukacji Narodowej w Koronowie)

tytuł pracy: *Zawsze w naszej pamięci – historia Franciszka Pantkowskiego*

III miejsce – Julia Kruszką

opiekun Katarzyna Sopolńska

(Szkoła Podstawowa nr 14 z Oddziałami Dwujęzycznymi w Inowrocławiu)

tytuł pracy: *On stworzył naszą historię – Paweł Cymś*

Prace wyróżnione**Klaudia Forembśka**

opiekun Aleksandra Budzińska

(Szkoła Podstawowa im. Tadeusza Kościuszki w Ostrowitem)

tytuł pracy: *Dama żelazna – Halina z Chełmickich*

Julia Zawacka

opiekun Aleksandra Jankowska

(Szkoła Podstawowa im. Bojowników o Wolność i Demokrację w Łasinie)

tytuł pracy: *Tradycja przez wieki – album rodzinny*

W KATEGORII LICEÓW, TECHNIKÓW I SZKÓŁ BRANŻOWYCH**Prace nagrodzone****I miejsce – Matylda Rumińska**

opiekun Joanna Marta Lewandowska

(Zespół Szkół nr 1 im. ks. Czesława Lissowskiego w Rypinie;

Liceum Ogólnokształcące)

tytuł pracy: *Z Murmańska do Dywizjonu 300 – wojenna tułaczka sierżanta Jerzego Jaworskiego*

II miejsce – Anna Wiśniewska

opiekun Grzegorz Banaś

(Zespół Szkół Ogólnokształcących w Wąbrzeźnie)

tytuł pracy: *Gen patriotyczny i społeczny w mojej rodzinie*

III miejsce – Anna Borowicz

opiekun Zofia Wojtalik

(Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych w Chełmży)

tytuł pracy: „*Antoś jest taki odważny, oni go przecież zabiją*”.
Antoni Łapczyński i „Solidarność” w Chełmży

Prace wyróżnione**Olga Aksamit**

opiekun Szymon Wiśniewski

(Zespół Szkół nr 2 w Golubiu-Dobrzyniu)

tytuł pracy: *Sierżant Franciszek Aksamit*

Dominika Gutowska

opiekun Radosław Stawski

(Zespół Szkół nr 1 im. Karola Wojtyły – Jana Pawła II w Brodnicy)

tytuł pracy: *Wspomnienia obozowe Teresy Kamińskiej*

Gabriela Kolasińska

opiekun Joanna Frajtag

(I Liceum Ogólnokształcące im. Braci Śniadeckich w Żninie)

tytuł pracy: *O moim pradziadku – żołnierzu tułacz: pamiątnik Wojciecha Kolasińskiego*

Róża Paluch

opiekun Grzegorz Banaś

(Zespół Szkół Ogólnokształcących w Wąbrzeźnie)

tytuł pracy: *Henryk Miśkiewicz – świadek dwóch totalitaryzmów*

Macy Paradowska

opiekun Radosław Stawski

(Zespół Szkół nr 1 im. Karola Wojtyły – Jana Pawła II w Brodnicy)

tytuł pracy: *Zamek, w którym nie zawsze było jak w bajce – obóz zniemczenia w Jabłonowie*

Bartłomiej Szela

opiekun Kamilla Piątkowska

(III Liceum Ogólnokształcące im. Samuela Bogumiła Lindego w Toruniu)

tytuł pracy: *Bolesław Lenart, mój pradziadek*

Natalia Wiśniewska

opiekun Radosław Stawski

(Zespół Szkół nr 1 im. Karola Wojtyły – Jana Pawła II w Brodnicy)

tytuł pracy: *O dymiących Polach pod Brodnicą*

Natalia Wrońska

opiekun Radosław Stawski

(Zespół Szkół nr 1 im. Karola Wojtyły – Jana Pawła II w Brodnicy)

tytuł pracy: *Jedna decyzja, która mogła zmienić wszystko*

Wręczenie nagród laureatom X edycji Konkursu z udziałem Członka Zarządu Województwa Kujawsko-Pomorskiego Sławomira Kopyścia odbyło się 19 marca 2018 r. w Sali Mieszczańskiej Ratusza Staromiejskiego w Toruniu.













Wojewódzki Konkurs im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej „Oni tworzyli naszą historię” jest realizowany przez Samorząd Województwa Kujawsko-Pomorskiego od 2009 r.

Prace nagrodzone w Konkursie VI–X w latach 2014–2018 oraz dokumentacja fotograficzna z wręczania nagród w edycjach Konkursu są dostępne na portalu Klubu Odkrywców Historii Regionu kohr.kujawsko-pomorskie.pl



**EDUKACJA
REGIONALNA**
WOJEWÓDZTWA
KUJAWSKO-POMORSKIEGO



Klub Odkrywców Historii Regionu
kohr.kujawsko-pomorskie.pl
e-mail: kohr@kujawsko-pomorskie.pl

Regulamin i terminarz kolejnych edycji jest do pobrania ze strony www.kohr.kujawsko-pomorskie.pl

Wersja elektroniczna publikacji znajduje się na stronach:
Klubu Odkrywców Historii Regionu kohr.kujawsko-pomorskie.pl
issuu.com/kujawsko-pomorskie.pl

Publikowane w niniejszym tomie prace dotyczą mieszkańców Pomorza i Kujaw, których losy były ciekawe, zajmujące, niezwykle, którzy poświęcali się dla Ojczyzny i dla swoich społeczności. Autorzy tych opowieści to uczniowie, pasjonaci historii. Dzięki inspiracji swoich nauczycieli podjęli oni prace badawcze i dokumentacyjne w ramach Wojewódzkiego Konkursu im. gen. bryg. prof. Elżbiety Zawackiej „Oni tworzyli naszą historię”. Zachęcam wszystkich do lektury książki o niezwykłych losach mieszkańców Kujaw i Pomorza, o ludziach twardych, niepokornych i kochających zarówno swoją małą Ojczyznę, jak i tę wielką – Polskę. Zachęcam do lektury opowieści o polskich patriotach.

prof. dr hab. Wojciech Polak
Przewodniczący Kapituły Konkursu



**EDUKACJA
REGIONALNA**

WOJEWÓDZTWA
KUJAWSKO-POMORSKIEGO



Klub Odkrywców Historii Regionu

kohr.kujawsko-pomorskie.pl
e-mail: kohr@kujawsko-pomorskie.pl

www.kujawsko-pomorskie.pl

Wersja elektroniczna publikacji znajduje się na stronach:
Klubu Odkrywców Historii Regionu kohr.kujawsko-pomorskie.pl
issu.com/kujawsko-pomorskie.pl

ISBN 978-83-66844-68-1

Publikacja bezpłatna